



KRZYSZTOF PISKORSKI

NAJEMNIK



Krzysztof Piskorski

NAJEMNIK

Opowieść piasków. Tom II

Rozdział 1. Dotyk słońca

Nahar Al'Iarnak śnił o małym gospodarstwie u brzegów Shaprut, gdzie spędził dzieciństwo. Śnił o zielonych pastwiskach, oliwnych gajach, o smaku placków z czosnkiem i kasztanowej, kudłatej sierści swojego psa. Wspomnienia mieszały się najpierw w nieprzerwanym ciągu, lecz po chwili zaczęły tworzyć spójną historię. Naharowi zdawało się, że wyszedł na bagniska za domem, by znaleźć zaginioną kozę. Wysłał go tam wujek, który we śnie okazał się jeszcze bardziej odrażający niż we wspomnieniach. Jego pusty oczodół, który zawsze przerażał małego Nahara, był teraz rozciągnięty na pół twarzy. Wuj Ahmar dał Naharowi tylko kij i zawiniątko z kawałkiem chleba. Choć było tuż przed zachodem słońca, a na bagnach nocą tańczyły utopce, chłopiec się nie bał. Wyruszył w drogę bez wahania.

Długo brodził po pas w wodzie, strząsając z ciała pijawki. Kaleczyły go ostre liście szuwarów. Wreszcie trafił na wysepkę, jedyne suche miejsce wśród rozlewiska, które rozciągało się po horyzont. Nahar wszedł na nią, by odpocząć, i wtedy właśnie z wody wynurzyło się rozdęte, zzieleniałe ciało jego starszej siostry. Wyciągnęła ku niemu dłoń, mówiąc, że wuj woła na obiad.

Nahar cofnął się o kilka kroków, chciał się odwrócić i uciec, żeby zgubić zjawę wśród zarośli. Wtedy kilka innych utopców wychynęło z bagniska po obu stronach wysepki. Al'Iarnak był otoczony. Kurczowo chwycił kij, by bronić się do ostatniego tchu. Pamiętał słowa ciotki Sarmy, która ostrzegała, że lepiej zginąć, niż oddać się żywcem trupom. Potwory zaciągały niewolników do błotnych, podwodnych jaskiń, gdzie torturowały ich, dopóki przypominali choć trochę ludzką istotę.

Al'Iarnak rzucił się na jednego z potworów, lecz jego atak był dla utopca zaledwie dziecięcą igraszką. Białe, jakby ulepione z wosku ramiona wyrwały mu kij. Zaraz potem na Nahara spadł grad ciosów. Chłopiec bronił się, kopiąc i wbijając palce w oczy umarłych, lecz został szybko obezwładniony. W przypływie desperacji ugryzł nawet jednego, choć omal nie wymiotował, czując w ustach smak zgniłego ciała.

Cztery utopce przytrzymały kończyny Nahara, a piąty przyniósł z brzegu kamień. Chwycił go w obie dłonie niczym dłuto i uderzył w kolano Al'Iarnaka.

Chłopiec zawył, czując, jak pęka mu staw. Zaraz potem cios spadł na drugą nogę, potem na rękę. Ból był tak okropny, że Nahar z ulgą spostrzegł potwora celującego w jego głowę. Jeśli nie zginie, to przynajmniej straci świadomość.

Utopiec skrzywił oblicze, które kiedyś należało do starej kobiety. Wodniste, zapadnięte oczy błysnęły. Spuścił kamień, który (nie wiadomo, czy za sprawą okrucieństwa, czy niecelności) ugodził Nahara prosto w szczękę.

Al'Iarnak stracił co najmniej dwa zęby, a kolejny ułamał się w pół. Ból poruszył każdy nerw w ciele, rozchodząc się paraliżującą falą. Na dodatek Nahar zakrztusił się krwią, która spłynęła mu do gardła. Dławił się i kaszłał, zapominając zupełnie o utopcach, wyspie wśród bagnisk i zaginionej kozie.

— Przewróć cię na bok, przyjacielu. Uważaj tym razem z pięściami, jeśli nie chcesz, żeby stary Kazar się na ciebie obraził...

Sen rozwiął się nagle, lecz krew w gardle i ból pozostały. Nahar czuł pod sobą wilgotny siennik. Było mu zimno. Nie mógł poruszyć nogami za sprawą obtłuczonych, spuchniętych kolan.

— Kim jesteś? — wyjąkał, próbując bezskutecznie unieść głowę.

— Na światło proroka, czy to ważne? Obaj jesteśmy tylko więźniami.

Nahar obmacał językiem przednie zęby i skrzywił się, gdy dotknął złamanej krawędzi. Zebrał wszystkie siły i tym razem zdołał usiąść. Zobaczył przed sobą starego, wychudzonego mężczyznę o zapadniętych policzkach i trójkątnej szczęce. Twarz nieznanego nosiła liczne ślady uderzeń. Jego ubranie wisiało w strzępach, a krótka, postrzępiona broda wyglądała, jakby ktoś przypalał ją pochodnią. Najgorsze było jednak wyłupione lewe oko.

Cela była tak mała, że obaj ledwie się w niej mieścili. Nie miała żadnego okienka i tylko przez szparę pod drzwiami wpadało odrobinę światła.

— Czemu trafiłeś do Pałacu Sprawiedliwych? — spytał Nahar, gdy obejrzał współwięźnia dokładnie.

Kazar prychnął.

— Bo to mało jest rzeczy, za jakie można pójść dzisiaj w kazamaty? Zanim cię przynieśli, siedziałem z człowiekiem, który nie ukłonił się przed świątynią Vezamarowi.

Nahara uderzyła pogarda, z jaką więzień wypowiedział imię proroka.

— Co się z nim stało?

— Nie żyje. Vammaz bił go tak mocno, że złamał mu kark.

Nahar milczał chwilę.

— Mimo wszystko wolałbym wiedzieć, jakie przestępstwo cię tu przywiodło.

Kazar się roześmiał.

— Nie martw się, młody paniczku! Bynajmniej nie morderstwo albo inny odstręczający czyn. Zgrzeszyłem chęcią wiedzy. Próbowałem kupić zwoje O właściwościach materii i ciała mistrza Zerakhima. Teraz twoja kolej.

Nahar zmarszczył czoło, nie zrozsiumawszy.

— Twoja kolej, by wyjawic, za co cię skazali!

Młodzieniec zmierzył Kazara wzrokiem. Wiedział z opowieści, że strażnicy mają w lochach zaufanych ludzi, którzy przebrani za więźniów wyciągają z oskarżonych dowody winy. Jednak żaden szpieg nie pozwoliłby dla lepszej charakteryzacji wyrwać sobie oka. Poza tym nienawiść, jaką Kazar żywił wobec Vezamara, wydawała się autentyczna. Al'Iarnak odparł więc:

— Także za sprzyjanie staremu prorokowi. Zarzucono mi rozprowadzanie jego nielegalnych dzieł.

— Czy to prawda?

Nahar zawahał się.

— Prawda — rzucił krótko.

Nie chciał kłamać, lecz dziwne przeczucie powiedziało mu, że jeśli już trafił do lochu, lepiej zbliżyć się do współwięźniów. Patrzył chwilę w oczy Kazara, jakby się bojąc, czy starzec nie usłyszał w jego słowach fałszu, lecz ten odparł jedynie:

— Wiedza i mądrość kosztują dziś dużo. Cieszę się, że przyszło mi dzielić niewolę z kimś, kto nie bał się płacić. Pomogę ci we wszystkim, co będzie leżeć w mojej mocy.

Nahar uśmiechnął się słabo.

— Na początek rad byłbym wiedzieć, ile czasu leżałem bez ducha.

— Cały dzień.

— Skąd wiesz?

— Jeśli spędzisz w celi tyle czasu ile ja, też będziesz wiedział, młodzieńcze. Słuch mi się wyostrzył i potrafię złowić uchem głosy strażników w głównym korytarzu. Wiem, że zmieniają wartę dwa razy dziennie. Umiem poznać, gdy to się dzieje.

Al'Iarnak słuchał, jednocześnie rozglądając się po celi. Był niewiarygodnie głodny. Wreszcie wypatrzył w kącie mały gliniany dzban.

— Jedzenie? — spytał.

— Tak. Zostawiłem ci połowę.

Nahar stęknął, uniósł się na rękach i podczołgał do naczynia. W środku znajdowało się nieco śmierdzącej brei z rozgotowanych ziaren. Zaczął wyjadać ją łapczywie, pakując garściami prosto do gardła, żeby nie czuć smaku.

— Znasz tu kogoś? — odezwał się, kiedy nasycił pierwszy głód.

— Tylko mężczyznę z celi obok. Nazywa się Samir. Samir Makhar'Sawi. Jest tu jeszcze dłużej ode mnie. Kiedyś rozmawialiśmy, gdy wokół nie było straży.

— Kiedyś?

Kazar wzruszył wychudłymi ramionami.

— Od wielu dni nie odpowiada.

— Może nie żyje.

— Nie. Wciąż tam jest. Czasem, gdy próbuję zasnąć, słyszę jego jęki. Sądzę, że wyrwali mu język... Albo postradał zmysły.

Nahar wzdrygnął się. Wytarł dłonie, jakby chciał zetrzeć z nich zapach szarej papki.

— Czy chcesz wiedzieć coś jeszcze? Nigdzie mi się, he, he, nie śpieszy, więc mogę odpowiedzieć na wszystkie pytania — rzekł starzec, kładąc się na sienniku.

— Głowa mi pęka, przyjacielu. Nie mam sił pytać więcej. Dziękuję za opiekę. Wiedz, że pochodzę z bogatego rodu. Kiedy wyjdziemy, możesz liczyć na nagrodę. Oczywiście jeśli nas wypuszczą...

Twarz Kazara ściągnęła się nagle w bolesnym grymasie.

— Ja może wyjdę — powiedział cicho — ale ty, młody przyjacielu, nie ujrzysz już słońca.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Nadzorcy boją się zemsty, więc nie katują tych, którzy mogą jeszcze wyjść na wolność. Sądząc po twoich ranach, przyjacielu, masz dożywotni wyrok lub zapisano ci śmierć.

Nahar poczuł, jakby lodowata ręka ścisnęła mu serce.

*

Tylko nomadzi z plemienia Manar wiedzą, jak gorący może być piasek na dalekiej północy, wśród spalonych pustkowi, gdzie nie potrafią przeżyć nawet saury czy wydmowe jaszczurki. I tylko oni mogą opowiedzieć, jak się czuje człowiek złapany w kleszcze między bezchmurnym niebem a parzącą nogi ziemią.

Nawet Kashim Al'Shannagg, choć znał pogranicza Ocalonej Krainy, był przytłoczony. Żadna ze znanych mu pustyń nie mogła się bowiem równać bezkresnemu morzu rozżarzonego powietrza, w które pochopnie weszli. Dla Brenvana Aam Caerleigha, który pochodził z zielonych równin Learfeld, kraina owa była spełnieniem najgorszych koszmarów. Modlił się co wieczór do Eyul, wiedząc, że może nie przeżyć następnego dnia.

Wybór tej drogi wydawał się na początku rozsądny. Oddziały Świętych Jeźdźców potrafiły zapuszczać się daleko na wschód od Tel'Halik, najpierw więc musieli jechać wiele dni ku północy i wrócić na martwe piaski, omijając osady i posterunki. Kashim co noc badał gwiazdy i rysował na piasku geometryczne schematy, szukając drogi do grobów towarzyszy. Przed opuszczeniem ziem środka chciał się z nimi pożegnać. Jednak bliźniaczo podobne wydmy okazały się trudnym terenem, nawet dla kogoś, kto uczył się astronomii i nawigacji od najmądrzejszych Duzzahów. Nie znaleźli miejsca bitwy. Brenvan zresztą nie cieszył się na myśl o powrocie tam, gdzie leżały oskubane z mięsa ciała jego żołnierzy.

Po dwóch tygodniach na horyzoncie, wśród falującego powietrza, ukazał im się Kamień Wiatrów, skalna iglica wygładzona piaskiem przez tysiące pustynnych burz. Za nim kończyła się Ocalona Kraina, choć jałowe ziemie ciągnęły się jeszcze daleko, aż do brzegów owianego legendą Morza Bestii.

Popasając pod Kamieniem dwa dni, żeby zwierzęta odpoczęły od skwaru, Kashim i Brenvan przeliczyli jeszcze raz zapasy wody i jedzenia. Potem skręcili na wschód, w stronę ziem, o których Brenvan opowiadał co wieczór Kashimowi. Uznali, że są bezpieczni — żaden patrol nie odważyłby się pójść dalej niż do granicznej skały — i że spokojnie pokonają pustynię. Byli w wielkim błędzie.

Zaledwie sto mil na północ od drogi, którą jechała rycerska wyprawa, panowały zupełnie inne warunki. Powietrze dosłownie parzyło, a piasek oślepiał, odbijając jasne słońce. Saury szły bardzo powoli, przegrzane i ciągle zmęczone. Wody ubywało w zastraszającym tempie, a na domiar złego dwa worki okazały się dziurawe.

O ile Kashim, kryjąc śniadą cerę pod grubymi chustami i turbanem, jakoś sobie radził, o tyle Brenvan po raz drugi stanął u progu śmierci. Niezależnie od tego, ile włożył na siebie białych chałatów, jego skóra i tak pokrywała się oparzeniami. Wargi miał spękane do krwi. Marszczył twarz z bólu przy każdym oddechu, bo skwar drażnił mu płuca.

Dziesiątego dnia, odkąd zostawili za plecami Kamień Wiatrów, Kashim

zaczął się poważnie zastanawiać, czy nie powinni skrócić na południowy zachód, w stronę mniej bezpiecznych, ale łatwiejszych do przebycia ziem. Omawiał to z Brenvanem przez pół nocy. Rysowali patykami mapy, liczyli przebytą drogę i kłócili się. Wreszcie Al'Shannagg musiał przyznać rację białoskóremu. Odskok na południe przy obecnej prędkości kosztowałby ich tydzień. To za wiele, biorąc pod uwagę malejące zapasy wody. Pozostawało tylko zacisnąć zęby w nadziei, że piekło wkrótce się skończy.

Wieczorami, gdy nadchodził chłód, a ból oraz pragnienie nie pozwalały zasnąć, Kashim i Brenvan dużo rozmawiali. Pierwsza dłuższa pogawędka nastąpiła drugiego dnia po tym, jak wjechali na martwe piaski. Rozbili obóz wcześniej niż zwykle i po uporządzeniu zwierząt, przygotowaniu ogniska i skromnym posiłku nie mieli co robić. Siedzieli więc, patrząc w gwiazdy, aż w końcu Kashim rzekł:

— Pamiętasz, białoskóry? Dziwiłeś się kiedyś, że nie dociekam, skąd znasz moją mowę, ani nie pragnę wiedzieć nic o ziemiach, z których pochodzisz. Odparłem, że wolę nie zaprzętać tym głowy, gdy trzeba się skupić na pilniejszych rzeczach. Teraz niegroźny już nam pościg. Zostawiliśmy za plecami Um'Magar, przed sobą mamy tylko bezludzie. Czas wyjaśnić wiele spraw.

— Pytaj, człowieku z pustynnego miasta. Spróbuję odpowiedzieć.

Kashim zastanawiał się chwilę.

— Jak to się stało, że władasz językiem Świętego Miasta?

— Po prostu spotkałem już kiedyś człowieka z twego ludu.

— Wyznawca Najwyższego poza Ocaloną Krainą? To niemożliwe!

— A jednak. Nazywał się Amid Jedżari i był niewolnikiem na zamku mojego ojca.

— Jedżari... To nie nazwisko mieszkańca Tel'Halik. Brzmi raczej jak...

— Amid był nomadem z plemienia Zahr. Jego lud zapuścił się daleko na wschód, poza waszą krainę, szukając nowych miejsc do... *gashiri*? Nie jestem pewien słowa.

— Nie, *gashiri* znaczy wypłatać. Chodziło ci chyba o *gashri*: obozować.

— Tak. Szukali nowych miejsc do obozowania. Gdy zaczęło brakować wody, starszyzna rozpuściła młodych we wszystkie strony świata. Mieli zobaczyć, gdzie da się wykopać studnię. Amid dotarł najdalej, a jego saur złamał nogę i padł. Jedżari zebrał resztki zapasów i spróbował wrócić do obozu, lecz zamiast tego trafił na wyprawę kilkunastu zbrojnych Marovian.

— Marovian?

— Kiedyś opowiem ci o nich więcej. To nieokrzesany, czarnobrody lud, który żyje na obrzeżach pustyni. Czasem zapuszczają się na nią głębiej, by... *ab'eket*?

— Masz na myśli: plądrowanie?

— Tak.

— *Ab'eket*. Ale jeśli chciałeś użyć bezokolicznika, to *ab'ekat*.

— Bezokolicznik? Na zastępy Eyul, co to takiego?

Kashim zaśmiał się.

— Widzę, że przydałaby ci się lektura *Dwunastu sonetów o słowie Al'Dżiriego*. Niestety, mój egzemplarz został w Świętym Mieście. Wątpię, czy dałoby się go jeszcze wygrzebać z samego dna skrzyni ze zwojami... To nigdy nie było moje ulubione dzieło.

— Cóż, nie znam wszystkich *mea... me...* Na mądrą Irde, jak to się mówi? Meandrów. Wszystkich meandrów waszej mowy. No, ale radzę sobie chyba dobrze?

Kashim zaśmiał się drugi raz.

— Masz potworny akcent. Mów jednak dalej, to nie konkurs recytacji w Pierwszej Świętyni.

— Na czym skończyłem? A... Marovianie plądrowali stare kurhany i rozkopywali ruiny. Właśnie na taką grupę trafił Amid. Wzięli go do niewoli i na postronku zawiedli z powrotem przez pustynię do swojego drewnianego grodu. Tam Jedżari sprzątał zwierzęce nieczystości, nosił wodę, zamiatał śmierdzące, zadymione chaty. Cierpiał bicie i upokorzenia. Tak było do czasu, gdy do grodu przyjechał mój wuj, Eryk, który mimo zgorszenia rodziny parął się zawodem kupca. Choć to mało chwalebne zajęcie, muszę przyznać, że wielu żołnierzy powinno mu było pozazdrościć odwagi.

Z ciemności dobiegł cichy chichot.

— Co znowu pomyliłem? — jęknął Brenvan.

— Nic. Mieszasz trochę czasy, ale kontynuuj. Słucham.

— Doprawdy, przesadzasz! — obruszył się Brenvan. — I co to ma znaczyć, że człowiek pustyni poucza rycerza z Learfeld? Wiedz, że przeszedłem porządną świętynną szkołę.

— Ale w tej szkole nie uczyli naszej mowy? Bo jeśli tak, to jej Duzzahów powinno się przegnać na cztery wiatry.

— Tylko poczekaj, zobaczymy, jak sobie poradzisz z językami Learfeld. Będziesz musiał poznać choć podstawy, jeśli masz tam uchodzić za coś więcej niż egzotyczne zwierzę.

Al'Shannagg milczał chwilę, po czym rzekł:

— Na Jedynego, nie pomyślałem o tym. No, ale to sprawa na dalszy czas. Teraz chciałbym poznać opowieść do końca. Urwałeś na wuju, Eryku.

— Ach tak. Wuj był odważnym człowiekiem. Mając tylko kilku ludzi ochrony, zapuszczał się na ziemie dzikich Wotów i Gerydów. Niestraszni byli mu też Marovianie, choć mają w zwyczaju grabienie karawan. W ich osadzie wuj zobaczył Amida. A że lubił przywozić niezwykłości z dalekich podróży, kupił go, zabrał do Learfeld. Ojciec długo zastanawiał się, co mógłby robić ten ciemnoskóry niewolnik. W końcu Amid zyskał jego zaufanie i gdy okazało się, że jest niewzruszony i spokojny jak głąz, powierzono mu opiekę nad synami lorda. Od najmłodszych lat pamiętam tego cichego, czarnowłosego mężczyznę, jak szedł za nami krok w krok w czasie zabaw, wypraw do lasu czy gonitw po zamkowych korytarzach. Z początku nie lubiliśmy Jedźariego, toteż spotkało go z naszej strony wiele głupich... *maihi*?

— Przypuszczam, że chodzi ci o żart lub dowcip. W takim wypadku — *masihi*.

— Tak, spotkało go wiele głupich dowcipów. Dopiero gdy nauczył nas robić strzały do łuku czy drewniane statki, splatać węzły, które mogły utrzymać każdy ciężar, lecz rozwiązywały się, gdy odpowiednio się je pociągnęło, zyskał naszą sympatię. Zauważyliśmy, że Amid mówi do siebie w dziwnym języku, kiedy sądzi, że nikogo nie ma w pobliżu. To był twój język — język pustynnego miasta. Wraz ze starszymi braćmi pomyśleliśmy, że dobrze byłoby znać mowę, której nikt poza nami by nie rozumiał i w której moglibyśmy wypowiadać bez obaw wszystkie... Czekał, zabrakło mi słowa... A, tak. Wszystkie tajemnice. Po długich namowach Amid zgodził się nas uczyć, a my chłoniliśmy ów tajny język szybko. Wkrótce mogliśmy używać go w zabawach oraz sekretnych listach. I choć ojciec był niezadowolony, Jedźari nadal nas uczył. Sądzę, że sprawiało mu to radość. Mógł wreszcie usłyszeć rodzinną mowę, mimo tysięcy mil, które dzieliły go od obozów Zahr.

Minęły lata. Dorosłem, opuściłem rodzinne ziemie, podobnie jak moi bracia. Nasz tajny język niemal poszedł w zapomnienie, podobnie jak skrytka ze skarbami pod młyńskim kamieniem, miejsce nad potokiem, gdzie podglądaliśmy kąpiące się wieśniaczki i cała reszta. Traf chciał, że kilka lat później los postawił na mojej drodze Konrada von Dellera. Ten gotrlandzki rycerz zbierał ubogich, odważnych ochotników, którzy chcieliby wziąć udział

w wyprawie na pustynię za krajami Marovian. Von Deller miał mapę — wiekowy dokument jeszcze z czasów Ery Opuszczonych, który wskazywał, że za piaskami są wzgórza bogate w żelazo, o stokach aż czerwonych od rudy. Nie muszę chyba mówić, jak ta wizja podniecała nasze młode umysły. Gdyby to była prawda, wszyscy zyskalibyśmy iście książęce majątki.

Kashim przerwa:

— Twój von Deller miał rację. Żelazne Wzgórza istnieją. Są prowincją podległą Świętemu Miastu.

Brenvan zerwał się i odrzucił na bok futro. Mimo ciemności Al'Shannagg widział, że oczy Jasnowłosego błyszczą jak dwa kawałki polerowanego kwarcu.

— Co? Po tygodniach drogi... Byliśmy pewni... Uznaliśmy, że Konrad to szaleniak! A więc jego wyśniona kraina istnieje naprawdę?

— Uspokój się, człowieku ze wschodu. Za bardzo się ekscytujesz. W Żelaznych Wzgórzach nie ma nic nadzwyczajnego, choć rudy rzeczywiście tam w bród. Czyżby w twym kraju była tak cenna?

— Cenna?! Bezcenna, Kashimie! Gdy opuszczałem Learfeld, płacono za nią dziesiątą część wagi w złocie! Wiesz, że stalowy pancerz jest u mnie tak drogi, że noszą go tylko synowie wielkiej szlachty? A miecz? Wart jest dwie wsie! Ubożsi rycerze mogą sobie pozwolić jedynie na włócznię i topór z brązu, o zwykłych żołdakach nie mówiąc. Yauran najeżdża nasze ziemie, a my nie potrafimy mu się skutecznie oprzeć. Co z tego, że w Learfeld są dziesiątki tysięcy szlachetnie urodzonych, odważnych młodzieńców, wspaniałych jeźdźców i wojowników. I tak w całym królestwie zbierzesz tylko dziesięć chorągwi ciężkiej jazdy: sześciuset, siedmiuset konnych. Oszczędności całego rodu starczą na wyekwipowanie jednego rycerza.

Brenvan mówił coraz szybciej, wyraźnie rozgorączkowany.

— Kashimie! Przyjedziemy do Learfeld i zbierzemy wielką karawanę, dwadzieścia, trzydzieści wozów. Przeprowadzisz mnie przez pustynię, kupimy żelazo i zawieziemy je do krain środka. Będziemy potem u siebie bogaczami!

Al'Shannagg pokręcił głową.

— Nie, Jasnowłoso. Marzenia o złocie chyba przyćmiły twój rozum. Jestem wygnańcem. Zginę, jeśli wrócę do Ocalonej Krainy. Zresztą Święci Jeźdźcy nigdy was nie przepuszczą. Musiałbyś zebrać wielką armię i podbić całe Tel'Halik. Zrozum. Księga mówi nam, że na wschodzie mieszkają

białskóre demony, a na zachodzie leży Shannyevan. Miejsce spoczynku proroka. Wiesz, co to znaczy? Każdy wierny żyje i umiera tylko po to, by bronić Shannyevan. Taka wyprawa zakrawa na szaleństwo. Skończy się podobnie, jak ekspedycja twojego von Dellera.

Brenvan przycichł i usiadł z powrotem na posłaniu. Chwilę milczał, wsłuchując się w niespokojne sapanie saurów.

— Nie sądz pochopnie, przyjacielu — powiedział w końcu. — Teraz wiem dużo o pustynnej krainie, a z tobą jako przewodnikiem moglibyśmy ominąć Tel’Halik szerokim łukiem.

— I pełznąć przez piaski pół roku? Jacy ludzie będą ci wierni tak długo, skoro sam po miesiącu zacząłeś się burzyć? Nie, Brenvanie. To mrzonka. Kiedyś może o tym pomyślimy, lecz teraz... Teraz mamy ważniejsze sprawy na głowie. Powiedz, czy wszyscy białskórzy są tak impulsywni? Masz przed sobą długą i niebezpieczną podróż, a zamiast myśleć o niej, rozważasz to, co chciałbyś robić za wiele lat.

— A ty? Czy byłbyś lepszy, gdybym ci rzekł, że znam miejsce, gdzie rosną na drzewach diamenty? Zachowałbyś spokój?

Kashim uśmiechnął się.

— Ależ zrobiłeś to! Powiedziałeś, że jest kraina, w której wszystko jest zielone, a wody tyle, ile dusza zapagnie. Nie pamiętam, żebym zaczął z tego powodu skakać jak wariat.

Brenvan zmieszał się i zaklął we własnym języku.

— No, ale opowiadaj dalej — zachęcił go Kashim. — Skończyłeś na spotkaniu z von Dellerem.

— A tak. Konrad z początku nie chciał mnie przyjąć, ale gdy się dowiedział, że władam mową nomadów z pustyni, od razu zwerbował mnie do ekspedycji i zaoferował podwójny udział w zyskach. Jego ludzie zbierali się przez cztery miesiące w Unborgu, kupując zapasy i wozy. Ja wykorzystałem ten czas na podróż do Caerleighmarch, by spotkać się z rodziną i przede wszystkim zobaczyć Amida. Zapomniałem bowiem większość jego nauk, a obce słowa przez lata nieużywania całkiem mi się pomieszały. Zdążyłem w ostatniej chwili — Jedźari leżał na łożu śmierci, zmożony chorobą. Mimo osłabienia udzielił mi cennych lekcji. Sądzę, że pod koniec mówiłem w jego języku jeszcze lepiej niż w czasach dzieciństwa. Wróciłem więc do Unborgu, a wkrótce potem ruszyliśmy w drogę. Najpierw przez ziemie Marovian, gdzie dwukrotnie nas napadano. Potem przez stepy, gdzie wiatr prawie zrzucał jeźdźców z siodeł. Aż wreszcie przez pustynię,

która ciągnęła się w nieskończoność.

W tym momencie Aam Caerleigh posmutniał nagle i ucichł.

— Koniec historii... znasz równie dobrze jak ja — dodał.

— Znam. Nie mówmy o tym.

Chwilę patrzyli w gwiazdy i ogromną tarczę księżycy wiszącą nisko nad wydmami.

— Wiesz już, dlaczego mówię w twoim języku. Pewnie masz dużo innych pytań?

— Dużo? Tysiące, rzekłbym raczej. Chcę wiedzieć, jakie są krainy na wschodnich ziemiach, jakiego czcicie boga, jak orzecie ziemię, co jecie, z czego budujecie domy, jakie macie święta, jakie obyczaje, jak duże są dobra twego ojca, jak liczna jest twoja rodzina...

— To od czego zaczniemy?

— Od wypoczynku, białoskóry. Jutro czeka nas długa droga. Będzie jeszcze wiele wieczorów i wiele rozmów.

— Zatem niech Eyul ześle ci głęboki sen.

— Niech Najwyższy strzeże twego ciała, gdy dusza odejdzie w krainę marzeń.

Po tych słowach zawinęli się dokładnie w futra, lecz długo nie mogli zasnąć. Brenvan marzył o wozach pełnych rudy, złocie i sławie, a Kashim o pachnących trawą, soczyście zielonych wzgórzach.

*

Mahri siedziała na stopniu, szlochając cicho. Tuliła do ciała rękę, która pulsowała bólem, a nieopodal leżała taca z rozsypanymi resztkami posiłku. Pani Jelaya znów wygnała służącą. Od wielu dni nie jadła i nie wpuszczała do komnat nikogo z wyjątkiem ojca, bo jemu nawet mimo rozpaczki bała się sprzeciwić.

Stary pan Iznak w końcu zdenerwował się i zapowiedział, że panienska ma być normalnie karmiona, a jeśli służba tego nie dopilnuje, on osobiście tę służbę wychłoscze. Cóż jednak miała zrobić Mahri? Mogła tylko namawiać i prosić, a Jelaya raz za razem przeganiała ją grubymi słowami, aż wreszcie, całkiem wyprowadzona z równowagi, chwyciła mosiężną figurkę i cisnęła nią w niewolnicę.

Teraz Mahri mogła już tylko płakać. Uderzona ręka bolała, ale to nic w porównaniu z chłostą, którą niewątpliwie wymierzy jej pan Iznak, gdy dowie się, że córka znów nic nie zjadła. Gdyby tu był jeszcze Phari! Jego jednego panienska słuchała. On mógłby wnieść do komnat Jelayi tacę z obiadem.

Niestety, Phari nie był już służącym domu Makhar'ad i nikt nie wiedział, gdzie się teraz podziewa. Gdy bracia Jelayi dowiedzieli się o roli, jaką eunuch pełnił w gorszącym romansie, przegnali go na cztery wiatry.

Mahri wytarła twarz rąbkiem spódnicy i zaczęła myśleć. Kto jeszcze mógł jej pomóc? Bracia Jelayi? Narfah był właśnie w domu, doglądał pocztowych gołębi. Jeśli panienka ma dziś trochę lepszy humor, może porozmawia z Narfahem. Tylko czy najmłodszy syn Iznaka zechce wysłuchać jej prośby? Mahri pokręciła głową. Nie. Pewnie ją wyśmiejie i każe iść precz. Kto zatem? Kto?

Pogrążona w myślach służąca nie spostrzegła nawet, że w domu zjawił się gość. Z sieni dobiegł gwar służby i chropowaty głos Narfaha. Potem na schodach rozległy się kroki obutych w miękkie sandały stóp. Mahri nie usłyszała jednak i tego. Dopiero gdy odziana w czerń potężna sylwetka stanęła tuż nad nią, służąca pisnęła i cofnęła się o kilka kroków. Szybko jednak poczuła ulgę: mężczyzna, choć z początku mógł się wydawać Jastrzębiem Najwyższego, miał miłą, chłopięcą twarz i szczery uśmiech. Duzzah Tantahar!

Mahri padła na kolana i ucałowała rąbek jego szaty.

— Niech Najwyższy ma cię w opiece, panie! Tak bardzo cię potrzebowaliśmy. Panienka... całkiem postradała zmysły.

Tantahar pogładził głowę niewolnicy i odparł spokojnie:

— No już, droga Mahri. Wstań i nie smuć się. Zrobię wszystko, co w mej mocy.

Obrzucił wzrokiem podłogę zasłaną resztkami z upuszczonej tacy.

— Posprzątaj to, a potem zanieś na górę jeszcze jeden posiłek.

Służąca odstąpiła, gnąc się w ukłonie, a Duzzah podszedł do zasłony, która odgradzała wejście do pokojów Jelayi.

— Szlachetna Jelayo Makhar'ad! Przyszedłem porozmawiać i ukoić twój smutek.

Nie padła żadna odpowiedź. Tkana w misterne wzory kotara wisiała nieruchomo.

— Jelayo Makhar'ad! Ja, Duzzah Tantahar Al'Garah, stoję u wejścia do twych komnat i zaraz przekroczę próg — rzekł.

Tradycja nakazywała trzy razy zapowiedzieć się, robiąc przerwy długości dziesięciu wersetów, nim można było naruszyć chronioną prawem Księgi prywatną sferę kobiety.

— Jelayo Makhar'ad! Ja, Duzzah Tantahar Al'Garah, stoję u wejścia do

tych komnat i zaraz przekroczę próg.

Przez okna dochodziły głosy ćwierkających w ogrodzie ptaków. Gdzieś na ulicy ryknął smagnięty biczem bacharn.

— Jelayo Makhar'ad! Ja, Duzzah Tantahar Al'Garah, stoję u wejścia do twych komnat i zaraz przekroczę próg.

Narfah wraz z kilkoma niewolnikami stał u stóp schodów, czekając na rozwój sytuacji. Powietrze pachniało kwiatami pomarańczy, bo drzewa w sadzie już rozkwitły.

Tantahar uniósł dłoń i pewnym ruchem odciągnął zasłonę. Z małego pokoiku o ścianach pokrytych arrasami trzy wejścia prowadziły kolejno do gabinetu, sypialni i garderoby. Duzzah zajrzał najpierw do pierwszego z pomieszczeń, lecz było puste. Biała zasłona łopotała na wietrze, przewrócony ołtarzyk leżał na ziemi. Tantahar skrzywił się i zajrzał do sypialni.

Jelaya siedziała na krawędzi łóżka, wśród spiętrzonej w nieładzie pościeli. Opierała brodę na podciągniętych kolanach, patrząc w okno. W sypialni unosił się zapach potu i nieświeżych prześcieradeł. Tantahar musnął ręką kadzidło, które zwisało na złotym łańcuszku obok łoża. Palce pokryła mu warstewka kurzu, świadcząca, że pomieszczenia od wielu dni nie sprzątano.

— Po co przyszedłeś, po trzykroć przeklęty kłamco? — szepnęła Jelaya. Jej głos z trudem przeciskał się przez gardło. — Idź precz. Niech cię pochłoną czeluście Marrenvan.

— Czym zasłużyłem na tak zimne przyjęcie, moje dziecko?

Jelaya odwróciła ku niemu twarz. Drgnął, zobaczywszy, jak bardzo dziewczyna zmieniła się od ostatniego spotkania: jej oblicze było opuchnięte od płaczu i blade, ściągnięte w brzydkim grymasie złości. Koszula zwisała na wychudłych, kościstych ramionach. Skołtunione włosy i obgryzione paznokcie dopełniały miary, odbierając dziewczynie resztki tak świetnej niegdyś urody.

— Jeszcze śmiesz pytać? — syknęła Jelaya. — Ty, który zapewniałeś mnie, że Kashim będzie tylko upomniany, że robisz wszystko dla naszego dobra! I co? On nie żyje — załkała. — Nie żyje! A ja jestem skazana na potępienie, bo wydałam go na śmierć.

Padła na łóżko, chowając twarz w pościeli. Jej ciałem targnęła spazmatyczny płacz.

Tantahar podszedł i wyciągnął ku niej rękę, lecz Jelaya zerwała się i odsunęła.

— Zrobiłaś dobrze, dziecko. Nie powinnaś ponosić winy za czyjeś grzechy. Nie mogliśmy przewidzieć, że wszystko tak się skończy.

— Kłamiesz. Od początku wiedziałeś!

Duzzah westchnął.

— Moje dziecko... Nie jestem władcą Pałacu Sprawiedliwych. Ja również zostałem wprowadzony w błąd i również czuję się po części winny. Twojemu... — szukał chwilę odpowiedniego słowa —. .. ukochanemu nic by nie groziło, gdyby nie inne, o wiele poważniejsze przestępstwa. Skąd mogłem wiedzieć, że sędziowie wpadną na ich ślad, gdy Kashim czekał na karę za wasz grzech? Taka widać była wola Najwyższego, bo zbieg okoliczności...

— Mam wierzyć, że to zbieg okoliczności? Że przypadkiem, zaraz po jego uwięzieniu, wpadły w wasze ręce dowody zdrady, morderstwa, krzywoprzysięstwa i całej reszty?!

— Tak właśnie było.

Jelaya porwała karafkę leżącą obok łóżka i cisnęła nią w Tantahara.

— Kłamiesz! — krzyknęła.

Duzzah stał jak posąg i tylko skrzywił się z bólu, gdy naczynie trafiło go w pierś, a potem spadło, rozbijając się na podłodze.

— Posłuchaj, Jelayo — rzekł, rozmasowując uderzone miejsce. — Odnalazłem już Pharięgo, służy u mojego kuzyna i jest szczęśliwy. Teraz chcę pomóc tobie. Naprawiłaś swój grzech, postąpiłaś zgodnie z Księgą. Śmierć kapitana Al'Shannagga obciąża jego sędziów, jeżeli wyrok był niesprawiedliwy. Ty masz czyste sumienie i nie zmarnuj tego zwątpieniem lub gorzkimi słowami. Wszystkie cierpienia, wszystkie żale będące ceną za sprawiedliwy postępek czynią cię jeszcze godniejszą w oczach Najwyższego. Pamiętasz historię o pokornym kowalu? „A każdy cal zdartej skóry i każdy odcisk, który cierpiałeś, kując wrota mej świątyni, lepsze są niż czas spędzany na modlitwie. Po nich jak po stopniach wejdiesz do Shannyevan”. Najwyższy docenia poświęcenie.

— Milcz. Jestem porzucona. Przeklęta.

— Jesteś bardziej czysta niż wszyscy w tym domu. O twym postępku można napisać przypowieść. Zaufałaś Księdze, nie bacząc na nic.

Jelaya ucichła, wpatrując się w okno. W jej duszy toczyła się walka: nienawidziła Tantahara, lecz to, co mówił, głęboko ją poruszyło. Roztoczył przed nią piękny obraz, jego słowa tłumaczyły tak wiele, nadawały wszystkiemu sens. Chciała mu wierzyć.

— Teraz zostaje ci już tylko kroczyć dalej drogą cnoty — ciągnął Duzzah. — A dostąpisz zaszczytów, na jakie zasługuje niewiele kobiet.

— Chcę spytać o jedną rzecz. Kashim... Nikt nie chciał mi powiedzieć. Wiadomo, co go spotkało?

Tantahar spuścił wzrok.

— Patrol Świętych Jeźdźców znalazł jego zwłoki piętnaście mil na północ od bramy. Kapitan Al'Shannagg nie żyje. Może jest w Marrenvan, a może w Shannyevan. Ciężko mi to osądzić, bo nie znam prawdy o jego czynach. W każdym razie nigdy go już nie zobaczysz. Czas pogrzebać Kashima w niepamięci.

— To nie jest proste, kapłanie — powiedziała cicho Jelaya. — Nie mogę się modlić ani spać. Ciągle o nim myślę.

— Musisz się zająć, drogie dziecko, czymś, co pochłonie cię bez reszty i pozwoli zapomnieć. Dziś, kiedy wokół pełno wrogów proroka i prawdziwej wiary, z pewnością znajdę dla ciebie odpowiednie zadanie. Będziesz pracować ku chwale i potędze Najwyższego.

W jej oczach po raz pierwszy błysnął słaby płomyk.

— Teraz jednak — nakazał Tantahar, widząc, że w drzwiach stoi Mahri z tacą — posilisz się, umyjesz i doprowadzisz do ładu. Widok pięknego dziewczęcia w tak oplakanyim stanie z pewnością nie jest miły Najwyższemu. W końcu nie po to dał ci urodę, byś ją miała marnować.

Jelaya uśmiechnęła się słabo, a rozpromieniona Mahri podała jej obiad.

Dwie klepsydry później Jelaya Makhar'ad, już odświeżona i uczesana, po raz pierwszy od tygodni wyszła do ogrodu. Krążyła między kwitnącymi drzewami, czując na twarzy dotyk słońca, który wydawał się jej wzrokiem samego Najwyższego. Patrzyła w bezchmurne niebo, jakby spodziewając się, że zobaczy w nim Jego twarz. Wreszcie nie była smutna.

*

Sala Słońc tonęła w złotym świetle, które odbijało się od lśniącej kamiennej posadzki i kolumn z aldzuńskiego marmuru. Oficerowie w ciężkich zbrojach mrużyli oczy, by nie oślepnąć, żaden jednak nie odważył się przesłonić twarzy ręką. Klęczeli w bezruchu, podobni do strażniczych posągów, stojących po obu stronach tronu. Nawet gdyby chcieli, nie mogli zrobić inaczej. Pamięć tysiąca, może setek tysięcy dworskich ceremonii zdawała się żyć w każdym calu pomieszczenia. Zwykli ludzie czuli się tu jak elementy tajemnej maszyny, prowadzone bezbłędnie rowkami i prowadnicami na swoje miejsca. Jakby przestrzeń została trwale zmieniona;

jakby dopuszczała tylko jedną formę. Wejść, ukłon głęboki, przejść sto kroków, ukłon płytki, czekać na zezwolenie, paść na kolana, na kolanach pięćdziesiąt stóp, paść na twarz, wrócić do klęku, czekać. Od momentu, w którym przekraczało się próg, nie trzeba było nic robić świadomie — wystarczyło poddać się aurze pomieszczenia.

Tylko Pierwszy Strateg i kilku wysokich rangą dworzan miało podniesiony wzrok. Siedzieli na poduszkach wokół wysokiego na dwie stopy stołu, na którym, w postaci hebanowo-dębowej mozaiki, widniała mapa Błogosławionego Cesarstwa. Jednakże nawet oni starali się nie patrzeć na Boga Cesarza bez powodu. On tymczasem stał przy stole prosto niczym kolumna, w błyszczącym napierśniku ze szczerego złota. Szponiasta dłoń co chwila przesuwiała się nad mapą, bez dotyku wprawiając w ruch stojące na niej figury. Nawet głośniejszy oddech nie przeszkadzał Władcy Władców w snuciu wojennych planów.

Dopiero gdy oderwał wzrok od stołu i wyciągnął w bok jedną rękę, dworzanie poruszyli się. Jeden z nich natychmiast wstał i podniósł ze stojącego w tyle tronu purpurowy płaszcz. Podał go Powiernikowi Boga, Ihmetowi Al’Harah — jedynej osobie w Błogosławionym Cesarstwie, która mogła dotykać władcy. Ihmet sprawnie przełożył płaszcz przez Jego wyciągnięte ramię i zapiął pod szyją. Kamienna dotychczas twarz sługi drgnęła, gdy rozległ się głos:

- Ile farsangów jest między fortecą Ardż a Ul’Banrą?
- Sto pięćdziesiąt dwa i pół, o najpotężniejszy.
- A ile w najszerszym miejscu ma zatoka Al’Dzebara?
- Sto osiemdziesiąt, jeśli moja zawodna pamięć nie oszukuje.
- Mapa ma złe proporcje. Pojutrze chcę mieć nową.

Ihmet skłonił się głęboko, a jego Bóg, już ubrany, zszedł po schodach i ruszył w stronę głównych drzwi sali, przez które wpadały do środka promienie słońca. Oficerowie natychmiast poderwali się i rozstąpili, tworząc po obu stronach szpaler czarnych polerowanych napierśników i wysokich szyszaków; dziwną szachownicę twarzy ludzkich oraz gadzich. Ten i ów rozmyślał nad losem biednego rzemieślnika. Choć Władca Władców nie wydał rozkazu, wszyscy wiedzieli, że twórca stołu jeszcze przed wieczorem będzie rwany przez dzikie konie, razem z całą rodziną aż do trzeciego stopnia pokrewieństwa.

Bóg opuścił salę, roztopił się w promieniach słońca. Nieco dalej za nim szli pokornie Ihmet oraz para niższych dworzan.

Za progiem owiał ich gorący wiatr. Gad w złotej zbroi stał z przodu, a pod nim otwierała się przepaść, strome schody o kilkuset stopniach, prowadzące na kamienny plac, który pomieściłby ludność niemal każdego z miast Błogosławionego Cesarstwa. Prawa zakazywały bowiem wznosić jakiegokolwiek budowlę bliżej niż pięćset kroków od pałacu. Mimo to plac nie był pusty. Ustawiona w równych czworobokach, ciesząc oko geometryczną precyzją szeregów, stała na nim Czwarta Armia Wschodu, prawie sześćdziesiąt tysięcy jeźdźców, łuczników, ciężkozbrojnych assari, wojennych słoni. Gdy Władca Władców wznosił ręce ku słońcu, wszyscy żołnierze, wszyscy słudzy, gotowi oddać życie na najlżejsze jego skinienie, wydali okrzyk, który wstrząsnął Wiecznym Miastem. Nawet w dalekich dzielnicach ludzie unosili głowy w stronę górującego nad metropolią pałacu.

Okrzyk, z początku bezkształtny i nieartykułowany, przemienił się w rytmiczne skandowanie.

— Chwała! Chwała! — krzyczeli pospołu żołnierze, oficerowie, a nawet sędziwy generał Iljalbar, stojący w rydwaniu u podnóża schodów.

Wtedy właśnie Ihmet trzeci raz w życiu zobaczył uśmiech na twarzy swojego pana. Władca Władców cieszył się, widząc nieprzebrane legiony. Wiedział, że zbliża się dzień, w którym królowie całego świata będą zjeżdżać do Asar'Aden, by oddać mu hołd.

Rozdział 2. Tajemnica

Mijały dni męczącej podróży. Upał nie lżał, lecz byli już do niego przyzwyczajeni. Spękana skóra Brenvana pociemniała i choć pocił się przeraźliwie, wyglądało na to, że kryzys ma za sobą. Al'Shannagg zasypywał więc białoskórego pytaniami, nie mogąc nadziwić się jego opowieściom. Potrafił jeszcze wyobrazić sobie krainę, leżącą w całości na smolistej, żyznej ziemi, gdzie wszędzie rosną drzewa i trawa. Zdołał nawet z rysunków Aam Caerleigha pojąć, jak wyglądają tamtejsze grody, napędzane wiatrem młyny albo tartaki, korzystające z sił płynących rzek. Nie umiał jednak zrozumieć, gdy Brenvan opowiadał o bitwach, w których ścierały się dziesiątki tysięcy zbrojnych, o marchii zamieszkiwanej przez milion ludzi, o jeszcze większym Gotrlandzie i wreszcie o Cesarstwie Yauranu, liczącym tyle mil, że od jednej granicy do drugiej jechało się rok.

Kashim słuchał tego z mieszaniną strachu i zdziwienia. Czy to możliwe, że Ocalona Kraina, którą dotąd uważał za cały świat, była w gruncie rzeczy tylko fragmentem ludzkich ziem? I to niewielkim fragmentem, by nie rzec: okruchem? Czy Księga mogła aż tak się mylić? Przecież wszystkie narody i plemiona zachodu nie mogły przetrwać Zagłady! A więc mieszkańcy pustynnego miasta nie byli narodem wybranym? Jeśli tak, to dlaczego mieli w sobie prawdziwą boską krew, której według białoskórego nie miał nikt na zachodzie? Skąd wszystkie cudowności daru, które potrafili wykorzystać szlachetnie urodzeni? Skąd cuda czynione przez Sammara i jego proroków?

Kashim był coraz bardziej rozdarty. Człowiek, który dowiaduje się, że żył w błędzie przez wiele lat, cierpi okrutnie. Al'Shannagg spotkał jeszcze gorszy los. Zarówno Księga, jak i słowa białoskórego miały za sobą niepodważalne argumenty. I jedno, i drugie było równie godne wiary. A jeśli rzeczywiście ujrzy wkrótce wszystkie miejsca z opowieści Brenvana? Jak pogodzić ze sobą dwie sprzeczne rzeczy, z których każda jest prawdziwa? W ten sposób musieli popadać w obłąd Duzzahowie oraz mędrzy, w labiryntach logiki trafiający na pułapki nie do przejścia! Jeśli istnieje A, nie może istnieć B. Jeśli istnieje B, nie może istnieć A. Co jednak, gdy zobaczymy A tuż przy B? To logika okazuje się ułomna? A może umysł, pogrążający się w odmętach szaleństwa, widzi nieistniejące rzeczy?

Al'Shannagg rozważał i taką możliwość. Mógł przecież oszaleć od

piekącego słońca albo zginąć już dawno, wypatroszony we śnie przez demona, któremu nieopatrzenie zaufał. Przed wygnaniem popełnił wiele czynów sprzecznych z Księgą, dlatego piekło po śmierci wcale by go nie zdziwiło. Jak przez mgłę pamiętał nauki w świątyni i słowa kapłanów, opisujących to miejsce. Ponoć każdemu grzesznikowi Jedyne miał wyznaczyć osobną krainę tortur, będących karą za jego występki. Kashim zgrzeszył, szukając wiedzy tam, gdzie nie powinien. Zgrzeszył pychą umysłu, próbując przejrzeć plan Boga. Wydawało się doskonale logiczne, że jego męczarnie będą dotyczyć rozumu, poznawania i odkrywania tajemnic. Czy to nie argument, który trzeba brać pod uwagę?

Kashim próbował rozmawiać o tych obawach z białoskórym. Rycerz roześmiał się, gdy tylko zrozumiał, co podejrzewa Święty Jeździec, i więcej nie chciał wrócić do tematu. Powiedział, że w Learfeld ludzi poważnie zastanawiających się nad tym, czy nie są martwi, przekazuje się do klasztorów, pod troskliwą opiekę siostr zakonnych.

Przez kilka dni Kashim był tak pochłonięty myślami, że omal nie przeoczył niepokojącej zmiany w zachowaniu towarzysza. Osiemnastego wieczoru dzielącego ich od chwili, gdy wjechali na martwe piaski, Brenvan Aam Caerleigh zaczął mieć kłopoty z jazdą wierzchem. Często pochylał się w siodle, by rozmasować przez gruby chałat udo lub łydkę. Czasem pojękiwał z bólu. Al'Shannagg poświęcał temu niewiele uwagi, przekonany, że to wina otarć lub odparzeń. Gdy w południe Brenvan zatrzymał się i zszedł z saury, Kashim spokojnie usadził swoje zwierzę i czekał, pewien, że towarzysz poczuł naturalną potrzebę. Jednakże Brenvan, zamiast pójść za wydnię, stał w miejscu i ścisnął przedramię. Święty Jeździec spostrzegł to dopiero po dłuższej chwili. Przyjrzał się uważnie: palce lewej ręki Jasnowłosego tańczyły wbrew jego woli, jakby co chwila obejmowały niewidzialny przedmiot.

— Na Jedynego! — krzyknął Kashim.

Zeskoczył z saury i podbiegł do Brenvana. Jasnowłose miał na twarzy ból zmieszany z zażenowaniem. Choć ścisnął przedramię z całej siły, palce nie przestawały się ruszać.

— Przepraszam — powiedział słabym głosem. — Zupełnie nie wiem, co się dzieje. Nigdy się tak nie czułem. Ciało mnie nie słucha. Co jakiś czas mięśnie nóg lub rąk zaczynają się kurczyć.

Al'Shannagg pobrał i zbadał dłoń towarzysza. Palce były spięte, mięśnie naprężone. Wiedział, co to znaczy. Wiedzieli to wszyscy Święci Jeźdźcy.

— Powiedz, przyjacielu — rzekł wolno Kashim — ile piłeś przez ostatnie dni?

— Dokładnie tyle, ile uzgodniliśmy. Ćwierć skóry dziennie, kilka łyków co farsang.

— Kiedy to się stało po raz pierwszy?

— Wczoraj. Chyba rano, ale poważnie zaczęło mi przeszkadzać dopiero po południu. Myślałem, że jestem po prostu zmęczony, lecz dzisiaj jest znacznie gorzej. O co chodzi? Wiesz coś, prawda? Powiedz, Kashimie, co się ze mną dzieje?

— To choroba. Dotyka ludzi, którzy długo podróżują w skwarze. Odkrył ją Al'Siri, opisał zaś Al'Razi, choć nomadom z plemienia Manar podobno była znana od wieków. Musimy zrobić postój. Ściągnij z saura palankin i rozbij go po zawietrznej stronie wydmy.

— Ale jest dopiero południe! Przed zmierzchem musimy jeszcze ujechać...

— Nie kłóć się — odparł zdecydowanie Kashim, po czym ruszył w stronę swojego wierzchowca.

— Czy to groźne?

— Bardzo groźne. Zdarza się, że ludzie od tego umierają.

W niebieskich oczach Brenvana błysnął strach. Gdy tylko dłoń się uspokoiła, zaczął przygotowywać miejsce na obóz, szepcząc cichą modlitwę do Saari, bogini życia. Święty Jeździec tymczasem wyciągnął z głębi sakwy drewniane puzderko, potem zdjął z saura Jasnowłosego trzy bukłaki i do każdego dosypał dwie szczypty jakiegoś proszku. Brenvan obserwował te zabiegi z ciekawością.

— Co to? — zapytał.

— Sól. Może uratować ci życie.

To mówiąc, Kashim wziął jedną ze skór i przyniósł Brenvanowi.

— Pij, ile zdołasz.

— Chyba pomieszało ci zmysły! Słyszałem od żeglarzy, że słona woda to pewna śmierć!

Al'Shannagg podał mu bukłak.

— Zaufaj mi. Spędziłem na pustyni dużą część życia. Bierz, bo czas gra na twoją niekorzyść.

Brenvan był zdziwiony, lecz czuł, że to nie jest dobry moment do zadawania pytań. Zostawiwszy je na później, chwycił bukłak i zaczął sączyć płyn.

*

Śpiew, który niósł się nad pogrążonymi w mroku uliczkami, zwiastował początek ciszy nocnej. Jeśli ktoś się zapomniał, jeśli zabawił długo w tawernie czy na rozmowie ze znajomym, miał ostatnią szansę, by szybko dojść do domu. Potem na ulicę wychodziły Czerwone Turbany.

Prawo, które zabraniało krążenia po Świętym Mieście głęboką nocą, zapisano już za czasów Muira, jedenastego proroka. Dotychczas jednak nie było twardo egzekwowane. Czasem tylko straż wykorzystywała je jako pretekst, by wybatożyć pijaka zakłócającego ludziom sen wrzaskami. Teraz wszystko się zmieniło. Prorok Vezamar mówił, że na zepsucie, które owładnęło Tel'Halik, trzeba odpowiedzieć wiernością prawu i oddaniem Księdze. Właśnie dlatego z całą surowością zaczęto przestrzegać przepisów uważanych za dawno umarłe.

Głos muezina sięgał daleko, przelatywał nad dachami domów, nad warsztatami i placami. Dochodził nawet poza cyklopowe mury Świętego Miasta. Pasterze, których namioty były rozbite na wzgórzach po zachodniej stronie Tel'Halik, słuchali go uważnie.

Gdy pieśń ucichła, Święte Miasto zamarło. Tylko wiatr i dalekie szczekanie psa niosły się nad dachami. Od tej chwili nie wolno było opuszczać domów. Każdy złapany na ulicy mężczyzna mógł być wychłostany i zaciągnięty do lochu, każda kobieta — ukamienowana. Wyjątek czyniono tylko dla zbrojnych oraz świątynnej milicji. I oczywiście wyższych rangą Duzzahów. Choć nigdzie tego nie zapisano, osoby takie jak Kar'Shin czy sam Vezamar mogły wraz ze świtą poruszać się bez przeszkód.

Mudda wąpił, czy należy do tej grupy. Choć był Duzzahem, i to dość uznanym, drżał ze strachu, pokonując kolejne aleje i place. Nie miał ze sobą lampy ni pochodni, ponieważ byłoby to proszeniem się o kłopoty. W ciemności co jakiś czas potykał się o kamienie i starał się patrzeć wokół, gotów na widok pochodni skryć się w cieniu domu czy nawet wskoczyć do cudzej sieni. Musiał być ostrożny. Do odwiedzenia miał jeszcze dwa domy.

Choć ryzyko było spore, młody Duzzah nawet nie myślał, by zawrócić. Jak mógłby spojrzeć w oczy ojcu i braciom? Nie. On jedyny mógł pomóc Naharowi. Znał w końcu tyle wpływowych osób. A jednak... Spędziwszy dwa kolejne dni na rozmowach i wizytach, zaczął mieć wątpliwości. Był już u drugiego kadiego Pałacu Sprawiedliwych, był u starego Ishama Makhar'Diwi, który przewodził Czerwonym Turbanom, był u Kaila Al'Dibh, głównego nadzorca więzienia. Poza tym odwiedził dziesiątki mniejszych

person — niemal wszystkich znanych Duzzahów, Świętych Jeźdźców, bogatszych kupców. Wszystkich łączyło jedno: strach.

Nawet ci wysoko postawieni bali się mu pomóc. Jedni spuszczaali wzrok i tłumaczyli się nawałem pracy lub problemami z rodziną, inni zaś mówili wprost, że to zbyt wielkie ryzyko. Po tym, jak dwa dni temu nawleczono na pal pierwszego astronoma, któremu udowodniono związki z nielegalnym skryptorium, ludzie zrobili się nadzwyczaj ostrożni. Wiedzieli doskonale, że każdy, kto zbyt naciska na wypuszczenie więźnia, może być posądzony o współudział w spisku.

Mudda właśnie minął warsztat powroźniczy i skręcił w aleję Dwunastu Tablic, gdy, niespodziewany hałas sprawił, że jego serce przyśpieszyło. Był to łopot — jakby ciężkiego płaszcza. Mudda sięgnął pod chilę i wymacał rękojeść kindżału. Co prawda nie władał nim biegle, lecz gdyby napastnik...

Łopot powtórzył się. Duzzah pobladł, dźwięk bowiem dochodził z góry, gdzieś z dachu po lewej stronie. Uniósł głowę, próbując wypatrzeć jakąś sylwetkę w miejscu, w którym krawędzie budynków stykały się z rozgwieżdżonym niebem. Kto to mógł być? Z pewnością nie Czerwone Turbany, lecz w tej chwili Duzzah wolałby spotkanie właśnie z nimi. Szedł powoli, gotowy w każdej chwili uskoczyć przed atakiem. Znów hałas, tym razem z dachu po prawej stronie alei. Duzzah się zatrzymał. Czyżby napastników było dwóch? Bo niemożliwe, żeby ktoś przesadził ulicę w jednym skoku, od dachu do dachu było tu przeszło dwanaście stóp.

Młody uczoney wiedział teraz, jak czuje się osaczane zwierzę. Mimo to postąpił naprzód, przewyciężając chęć panicznej ucieczki. Wbijał wzrok w ciemność, choć zdawał sobie sprawę, że to się nie zda na wiele. Nawet trzeciokrwisty nie uniknąłby strzały wypuszczonej w mroku.

Kolejny łopot — tym razem długi, z przodu. Przerażony Mudda dostrzegł, jak ciemny kształt odrywa się od ściany budynku i spływa na ziemię kilkanaście stóp dalej. Duzzah wyszarpnął ostrze. Nieznajomy ruszył ku niemu. Wiatr szarpał połami długiego płaszcza.

*

Nahar zerwał się, cały spocony. Długą chwilę siedział bez ruchu na sienniku, próbując uspokoić skołatane serce. W jakiś podświadomy sposób czuł, że stało mu się coś złego. Wziął kilka głębokich oddechów, choć smród siennika nieprzyjemnie drażnił nozdrza. Kazar chrapał, jakby nigdy nic. Gdzieś zza ściany dobiegały bolesne jęki.

Młody gwardzista odsunął z czoła mokre kosmyki włosów. Uczucie

niepokojem nie ustępowało. Próbował sobie tłumaczyć, że nic złego się nie dzieje. Zresztą kto mógł znaleźć się w gorszej sytuacji niż on? Kashim? Dzięki Najwyższemu, był w połowie drogi do krain za piaskami. Może ktoś z rodziny? Nie, byli bezpieczni. Mudda o nich zadba...

Nahar dotknął czołem zimnych, oślizgłych kamieni. Splunął, by oczyścić usta ze smaku krwi, potem zbadął językiem zęby; ten złamany prawie już nie bolał.

Zaczął powoli dochodzić do siebie. Może miał tylko zły sen, który wypadł z pamięci zaraz po przebudzeniu, pozostawiając irracjonalne poczucie lęku? Takie rzeczy się zdarzają. Matka opowiadała kiedyś...

Nagle na korytarzu rozbrzmiały kroki. Dziwne uczucie natychmiast opuściło młodzieńca, zastąpił je strach. Choć od przesłuchania nie był już bity, i tak bał się zawsze, gdy słyszał nadzorców. Podobnie było ze wszystkimi skazańcami.

Słuch Nahara wyostrzył się już na tyle, że Święty Jeździec potrafił rozpoznać, kto przechodzi korytarzem. Teraz wyraźnie rozróżniał trzy pary butów. Jedne stąpały bardzo ciężko — ciężej nawet, niż miał to w zwyczaju czynić barczysty Vammaz. Nahar nie poznawał nadchodzących, a to było kolejnym powodem do niepokoju. Dokąd zmierzali ci obcy ludzie? Na wydawanie posiłków było za wcześnie. Na przesłuchania — za późno.

Nieznajomi skreśliли w korytarz, w którym znajdowała się cela Nahara oraz Kazara. Zbliżali się, wreszcie stanęli po drugiej stronie drzwi. Szczęknął zamek. Kazar obudził się i gwałtownie cofnął w kąt, prosząc Najwyższego o zmiłowanie. Nahar czuł się, jakby zaraz miał stanąć naprzeciw Manhaura, mając krótki kindżał za jedyną broń. Przywołał w myślach modlitwy, jakie Święci Jeźdźcy wypowiadali przed bitwą. Nie mógł się bać! Księża nakazywała nigdy nie lękać się wroga.

Skrzydło otwarło się, a światło pochodni na chwilę oślepiło obu więźniów. Gdy Nahar odzyskał wzrok, zobaczył, że nad jego siennikiem stoi trójka mężczyzn. Jeden miał biały chałat i czerwony turban — ktoś z Pałacu Sprawiedliwych. Dwóch pozostałych nosiło się na czarno, luźne spodnie, długie płaszcze, ghanki przy szerokich pasach. Nahar spojrział na ich twarze. Tak. Turbany, na których błyszczało pajęczne pismo, nie pozostawiały wątpliwości.

Nocne Jastrzębie. Stały z uśmiechami na twarzach, jakby cieszyła ich bezbronność więźnia.

Młodzieniec zdał sobie sprawę, że najwyższego skądś zna. Widział już

gdzieś ten ostro załamany nos, wystające kości policzkowe, krzaczaste brwi. No i ta okropna, szeroka na palec blizna, która szła od lewego oka, przez nos, do prawego policzka...

Wreszcie Nahar przypomniał sobie. To było w upalny dzień, na placu Orlego Fortu — wtedy, gdy Jastrzębie przysły zdławić bunt gwardii. Mężczyzna stojący nad siennikiem był tym samym, którego Nahar pokonał w pojedynku.

Jak to możliwe? Wszyscy byli pewni, że ów Jastrząb zginął na miejscu! Czyżby ci tajemniczy słudzy Vezamara posiadli żywotność demonów?

— Znowu się spotykamy, psie — wycedził Jastrząb. — Gdy się dowiedziałem, że trafiłeś wreszcie tam, gdzie twoje miejsce, nie mogłem darować sobie małej, prywatnej wizyty. Widzisz?

To mówiąc, przejechał palcem po bliźnie.

— Wiesz, jaki piekielny był ból, kiedy to się goiło? Kiedy w ranę na nosie wdała się infekcja?

— Szkoda, że nie ciąłem głębiej — warknął Nahar. — Uwolniłbym miasto od widoku tak parszywej gęby.

Mężczyzna zaklął i wziął zamach.

*

— Dlaczego, panie? — spytał Mudda, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. — Czemu tutaj?

— Żeby ci ostrzec. I żeby pomóc. Dobrze mi służyłeś, więc pora, bym się odwdzieczył. — Głos był nieprzyjemny i syczący.

Mudda skłonił się w pas. Tak dworny gest w brudnej, ciemnej uliczce był groteskowy, lecz Duzzah wiedział, że tej osoby lepiej nie drażnić brakiem szacunku.

Gwiazdy błyszczały na masce przybysza. Mudda widział go dziś po raz pierwszy — dotąd rozmawiali przez zasłony i parawany. Czuł nieprzyjemny dreszcz. Nawet w półmroku mógł zauważyć, że sylwetka tego człowieka jest niepokojąca, w jej proporcjach kryło się coś nieludzkiego. Był wyższy od Muddy co najmniej o stopę, jego głowa zdawała się nienaturalnie wydłużona, choć Mudda nie mógł mieć pewności, bo skrywał ją kaptur oraz srebrna maska. Dłonie o bardzo długich palcach kryły się w ciężkich rękawicach. Ciało było chude, rozciągnięte. Szaty — przesadnie grube. Mudda nie widział ani skrawka ciała przybysza, choć była ciepła noc.

— Mam nadzieję, że pieniądze ci dobrze służyły? — odezwał się mężczyzna.

— O tak, szczodry panie. Okazały się wielkim wsparciem dla mojego rodu.

Mudda nie kłamał — choć stary Zawir Al'Iarnak boczył się, niepewny pochodzenia złota, reszta rodziny bardzo się cieszyła. Ostatnio przecież dochody z ich winiarni spadły, mało kto kupował też zwierzęta. W niepewnych czasach ludzie woleli oszczędzać. Wystarczyła więc połowa nagrody Muddy, by Al'Iarnakowie znów znaleźli się wśród bogatszych rodzin Świętego Miasta.

Złoto uratowało od nędzy i drugi ród. A przynajmniej to, co z niego zostało. Tylko dzięki wsparciu Muddy siostra i matki nieszczęsnego Kashima nie musiały sprzedać posiadłości. Miały też posag, który dawał nadzieję, że jakiś szlachetnie urodzony mężczyzna zainteresuje się młodą Sirrą. Oczywiście nie uratowałyby to rodu Al'Shannaggów, ale jego krew mogła przetrwać, choć nie wprost i pod innym nazwiskiem.

— Mimo to pieniądze nie potrafią rozwiązać wszystkich problemów, prawda, Muddo? — rzekł przybysz. — Gdyby tak było, nie chodziłbyś teraz jak żebrak od drzwi do drzwi.

— Księga mówi, że nie wstyd prosić o pomoc w zbożnej sprawie.

Mężczyzna zaśmiał się chrapliwie.

— Ratowanie heretyka to raczej nie jest „zbożna sprawa”. Ale dość pogawędek, Muddo. Życzę sobie, byś natychmiast wrócił do domu i porzucił sprawę swojego brata. Zbyt ryzykujesz, Muddo, a w dzisiejszych czasach przyda mi się kilku mądrych i zaufanych Duzzahów. Byłoby szkoda, gdybyś także trafił do lochu.

— Panie... — wyjąkał Mudda — wybac, ale nie możesz o to prosić.

— Źle mnie zrozumiałeś. Od tej pory ja zajmę się sprawą Nahara. Możesz być pewien, że dopóki będziesz mi wiernie służył, nie spotka go krzywda. A gdy na to zapracujesz, opuści loch.

— Panie... Nawet nie wiem, czy mój brat jeszcze żyje.

— Zadbałem, byś otrzymał dowód. Jutro o świcie czekaj na posłańca z Pałacu Sprawiedliwych. Przyniesie ci także pismo z rozkazami na najbliższy czas. Wypełnij je z pełnym oddaniem. Pamiętaj: na szali waży się życie Nahara.

Mudda skłonił się jeszcze raz. Nieznajomy jednak nie odchodził.

— Wiem, że chcesz o coś spytać. Mów więc, Duzzahu.

— Co masz na myśli, panie, mówiąc o rozkazach? Co będę musiał zrobić?

— Och, nic szczególnego. Mam kilka zadań, które wymagają rzutkiego umysłu i znajomości Księgi. To sprawy, których wolałbym nie powierzać siepaczom z milicji Vezamara lub starym Duzzahom.

— Czy mogę odejść, panie?

— Tak, rzekłem już wszystko.

Mudda odwrócił się, by wyjść z zaułka. Wolał nadrobić drogi niż przejść koło tej dziwnej osoby.

— Ach, jeszcze jedno, Muddo!

Duzzah zatrzymał się.

— Nigdy już nie mów, że nie mogę o coś prosić — syknął przybysz głosem pełnym złości. — Pamiętaj! Mogę żądać czegokolwiek i od każdego w tym mieście. Nieroztropnie jest nawet myśleć o sprzeciwie.

— Tak, panie — odparł Mudda.

Potem ruszył w stronę głównej ulicy, nie odwracając się ani razu.

W drodze do domu miał dużo czasu, by zastanowić się nad rozmową. Doszedł do wniosku, że ta dziwna znajomość, choć dała mu złoto i nadzieję na uratowanie brata, może okazać się błędem. Nie wiedział co prawda, jakie są cele zamaskowanego, był wszelako pewien, że nie pragnie on niczego dobrego.

Czyżby on, Mudda, miał się stać narzędziem w ręku demona?

*

Nahar zastanowił się chwilę, po czym dopisał na samym końcu listu prośbę o to, by pod jego nieobecność dobrze dbano o jego wyścigowego saura. Potem odstawił na bok zwój i mały pulpit, które przyniósł mu sługa z Pałacu. Siedział, wpatrując się w płomień oliwnej lampy. Roztarł obolały policzek, zastanawiając się, kto też mu pomógł. Rodzina? A może pasza? W każdym razie prawo do napisania listu świadczyło, że ktoś jednak się nim interesuje. A to mogło dobrze wróżyć.

— Niech mnie morgghi zeżrą — rzekł Kazar ze swojego kąta celi. — Wygląda na to, że się myliłem. Naharze, obiecasz mi coś?

Nahar skinął głową na znak, że słucha.

— Kiedy wyjdiesz, znajdź moją córkę i zięcia. Sprawdź, czy niczego im nie brakuje. Wstawię się za tobą w Shannyevan, gdy już tam trafię.

Ostatnie zdanie było wypowiedziane z gorzkim uśmiechem.

Nahar odpowiedział cicho:

— Wiesz dobrze, Kazarze, że to jeszcze nic nie znaczy. Jutro mogą mnie równie dobrze nawlec na pal.

— Daj spokój. I ja, i ty wiemy, po co są takie listy. Ktoś chce mieć dowód, że jeszcze żyjesz. To dobry znak, Naharze. — Starzec ściszył głos. — Jest jeszcze jedna sprawa. Na Jedynego, nie wiem, jak zacząć, ale... Gdybyś po wyjściu...

— Słucham, Kazarze. Mów, nie krępuj się.

— Jeśli uznasz, że mimo ryzyka wciąż interesuje cię zakazana wiedza... jeśli nie boisz się siepaczy Vezamara... Jest pewne stowarzyszenie. Grupa znajomych, którzy dzielą wspólne poglądy.

Teraz Kazar mówił już szeptem.

— Nie powiedziałem tego na przesłuchaniu, nawet gdy zaczęli mi wyłupiać oko. Ale tobie zdradzę ów sekret, bo ci ufam. Tylko przysięgnij na Jedynego, że nie powiesz.

Oczy Nahara Al'Iarnaka rozbłysły w półmroku. Na samą myśl o zemście poczuł jak wracają utracone w lochu siły.

— Przysięgam — odparł. — A wiedz, Kazarze, że Święty Jeździec rychlej zginie w mękach, niż złamie przysięgę.

— Wyśmienicie. Wiesz, gdzie jest archiwum Pałacu Ksiąg? To wschodnie, wysunięte poza mur pałacu skrzydło.

— Wiem. Mój brat, Duzzah, spędzał tam całe dni, badając stare woluminy.

— Zawsze w drugi dzień tygodnia można tam znaleźć Zirana Makhar'Bakhr. To uczonego w podeszłym wieku. Zazwyczaj do czwartego czytania siedzi w sali, gdzie leżą zwoje z czasów proroka Muira. Musisz się z nim spotkać. Powiedz mu: „Światło mądrości przenika najgęstszą ciemność”, a gdy spyta, kto cię przysyła, powołaj się na mnie, na Kazara Al'Darbi. Ziran wprowadzi cię do grupy.

— Dziękuję, Kazarze. Jeśli wyjdę stąd, możesz być pewien, że odzukam Zirana.

— Jest jeszcze jedna rzecz, którą powinienes wiedzieć.

— Tak?

— Ziran to musalita. Podobnie jak niemal cała reszta, no i ja.

Nahar chwilę milczał, mierząc Kazara uważnym spojrzeniem.

Gdy był mały, ojciec mówił mu, że musalicy jedzą mięso noworodków i oddają cześć demonom, a na dodatek wszyscy bez wyjątku są sodomitami. Potem, już w świątynnej szkole, dowiedział się o Bitwie Trzech Sokołów, o ich samozwańczym proroku i buncie przeciw naukom Jedynego. Mimo to był dziwnie spokojny, jeśli chodzi o Kazara. Może wypadało zaufać i jego

przyjaciołom? Kto mógł lepiej znaleźć się w dzisiejszych czasach niż ludzie, którzy od pokoleń uczyli się żyć w sekrecie?

— Wiedz, że w obecnej chwili twoja... — w ostatnim momencie stłamsił na języku słowo „herezja” — twoja wiara mi nie przeszkadza, choć jako Święty Jeździec powinienem z nią walczyć. Wróg mojego wroga jest mi przyjacielem.

— Mądre słowa, młody żołnierzu — powiedział Kazar. — Zapewniam, że ich nie pożałujesz.

*

Rano okazało się, że skurcze niemal ustąpiły. Choć od czasu do czasu Brenvan marszczył twarz z bólu, mógł już spokojnie usiedzieć w siodle. Zwinęli obóz, po czym ruszyli na wschód, przecinając kolejne wydmy. Po solidnym wypoczynku saury szły rażno, mimo że słońce wciąż bardzo doskwierało, a na dodatek tego dnia zerwał się wiatr, który raz po raz dmuchał jeźdźcom w twarz piaskiem.

Gdy słońce pokonało trzy czwarte dziennej drogi, zatrzymali się, by napoić wierzchowce.

— Wiedza twoich uczonych zaczęła mnie dziwić — powiedział wtedy Brenvan. — Pustynni barbarzyńcy, a wiecie o rzeczach, o których nie śniło się medykom z Learfeld! Ba, nawet *mahistroi* z Południowych Księstw mogliby się wiele od ciebie nauczyć.

Kashim machnął ręką.

— Wystarczy uważnie obserwować świat. Gdyby wasi medycy mieszkali od dziesiątków pokoleń na pustyni, też w końcu odkryliby chorobę Al'Siriego. Choć przyznam, że wśród uczonych Tel'Halik wciąż nie ma zgody na temat jej przyczyn.

— Opowiedz mi o tym mędrцу — rzekł Brenvan, zabierając drewnianą miskę sprzed pyska saura.

Zwierzę syknęło i zmierzyło go złowrogim spojrzeniem, lecz Brenvan napełnił miskę i podszedł do drugiego. Saury mogłyby pić bez końca, dlatego należało im racjonować wodę. Kashim tymczasem skończył oglądać łapy swojego gada, przeczesał palcami brodę i zaczął opowieść:

— Al'Siri twierdzi, że do życia, prócz jedzenia, wody i powietrza, trzeba nam jeszcze pewnych alchemicznych składników. W *Tajemnicach przemian* pisał, że ciało człowieka oraz wszystkich żywych istot jest ciepłe za sprawą nieustannej reakcji, która zachodzi w jego wnętrzu. Zwróć uwagę, że tylko materia żywa samoistnie się grzeje. Zupełnie jak retorta, do której wlejemy

odpowiednie kwasy, robi się ciepła i bulgocze. Według tej zasady krew ociepla się i miesza w człowieku.

— I co to ma wspólnego ze mną?

— Al'Siri utrzymywał, że sól jest jednym z tych składników. Gdy jej braknie, reakcja ustaje. Krew zwalnia, ciało chłodnieje. Stąd spazmy oraz dreszcze. A dlaczego straciłeś całą swoją sól? Powiedz sam, jaki smak ma pot?

— Słony. Rozumiem już, do czego dążysz. Sól uciekła ze mnie, gdy wiele dni mocno się pocilem?

— To jedyne wyjaśnienie. Dlatego nomadzi i ich zwierzęta potrzebują dużo soli. Ale masz rację, trzeba uważać z ilością. Al'Razi, lecząc ludzi, którzy zapadli na tę chorobę, stwierdził, że zbyt wielkie dawki także mogą zakłócić reakcję. Choć objawy tego były zgoła inne... Nie potrafię ich sobie jednak przypomnieć.

Brenvan odstawił bukłak od ust i spojrzał na niego podejrzliwie.

— Chyba wiesz, jaka ilość będzie „zbyt wielka”?

— Nie jestem medykiem — odparł Kashim. — Pij słoną wodę, dopóki nie miną wszystkie objawy. Potem możesz dać saurum, bo im nie zaszkodzi.

— Chyba i tym razem ci ufam. Wyjaśnij mi tylko jedno. Czy u was wszyscy wojownicy znają się na medycynie i alchemii?

— Na Najwyższego, nie! Mówiłem ci już, że nie byłem zwykłym żołnierzem. Święci Jeźdźcy chodzą do madrasy przy Pierwszej Świątyni, zupełnie jak młodzi Duzzahowie, choć my nie jesteśmy poddawani egzaminowi, który im pozwala wdziać chilę. Zresztą wiele z tej wiedzy ugryzłem, gdy byłem mały. Ojciec przykazał w testamencie, bym miał dobrych nauczycieli, i matki o to zadbały.

— A! Rozumiem. Twój ród był szlachetnie urodzony, więc jesteś *caighe*, zupełnie jak ja.

— *Caighe*?

— To słowo z Learfeld, bo nie wiem, jak powiedzieć je w pustynnej mowie. Po waszemu winno brzmieć chyba: rycerz.

Kashim zaczął dopinać uprzęż saura i pakować sakwy. Musieli już ruszać, bo wczoraj stracili dużo czasu.

— Niech mnie porwą sępy — rzekł — jeśli wiem, o co ci chodzi. Mówiłeś, że u was nie ma ludzi z darem, to jak możecie posiadać szlachetnie urodzonych? Po kim dziedziczą krew, że są lepsi od reszty?

Brenvan zmarszczył czoło i chwilę myślał.

— No... Po swoich przodkach, a ci po innych przodkach — dawnych wodzach oraz książętach.

— Czyli u was, jeśli zostaniesz władcą, możesz założyć szlachecki ród? — zdziwił się Al'Shannagg.

— Nie zostaniesz władcą, jeśli nie jesteś ze szlacheckiego rodu.

Kashim pokręcił głową.

— Dziwne obyczaje panują w twoich krainach. Powiedz zatem: jak szlacheckie rody bronią u ciebie swojej pozycji? Bez daru nie są przecież silniejsze od zwykłych ludzi.

— Teraz ja nie rozumiem — powiedział Brenvan. — Przed kim mielibyśmy się bronić? Jesteśmy szlacheckie urodzeni, nikt nie wątpi w naszą władzę.

— No, na przykład przed ludźmi, którzy zazdroszczą wam pozycji.

— Czyli przed kim? Chłoptwem? Drobnymi rzemieślnikami, którym nawet nie wolno nosić broni?

Kashim przerwał oporządzanie wierzchowca i odwrócił się do Brenvana z wyrazem niedowierzania na twarzy.

— To u was jedynie szlacheckie urodzeni mogą nosić broń? Jak zatem walczyacie z innymi ludami? Skąd te bitwy, w których biorą udział tysiące zbrojnych? W Tel'Halik spośród szlachty mógłbyś najwyżej zaciągnąć setnię jazdy.

— Broń mogą nosić również ci, którzy kupią sobie lub otrzymają ten przywilej. Na przykład powoływani przez nas żołnierze.

— Rozumiem. W takim wypadku w krainach wschodu wysokie rody muszą być jeszcze ważniejsze niż u nas. Ale czy między nimi są słabsze i silniejsze?

Brenvan przerzucił sakwy przez saura i sprawdził popręg.

— Oczywiście, że tak — odpowiedział. — Istnieją królewskie rody, którym służy średnia szlachta, której z kolei służą...

— Szlachcic służy szlachcicowi? Tego już zupełnie nie rozumiem. Jak można nazywać się wysoko urodzonym, gdy trzeba komuś usługiwać?

— Och, nie bierz tego dosłownie. Chodzi o to, że mniejsze rody oddają się pod opiekę możnym panom. Wspierają ich polityczne działania, czasem płacą ustalony czynsz za objęte dobra, a w razie potrzeby wspierają ich orężem. W zamian otrzymują ochronę i ziemię. Z kolei ci możni panowie mogą być lennikami diuka, a nawet samego króla.

— Rozumiem więc, że u ciebie szlacheckie urodzeni walczą między

sobą? Po to potrzebna im ochrona?

— O, tak! Widzisz, z pięciu moich braci dwóch zginęło właśnie w pojedynkach i podjazdach. Każda rodzina ma kogoś, z kim toczy od dawna spór.

— Nic dziwnego, że ci Yaurańczycy, czy jak ich tam zwałeś, siedzą już na waszych granicach...

Brenvan wzruszył ramionami.

— Nie będę się o to kłócił. Ale wiedz, że gdyby nie zbrojne ramię szlachty, tamci już dawno spaliliby nasze ziemie, a mieszkańców wzięli w niewolę. To my, szlachta, wojenne przewagi oraz waleczność wysysamy z mlekiem matki. To my jesteśmy potomkami wielkich wodzów i rycerzy. Mnie z kolei wydaje się bardzo dziwny kraj, w którym tylko czarownicy są uważani za szlachtę.

Kashim wskoczył na saura płynnym ruchem. Zwierzę kwiknęło ze złością, lecz szybko poddało się woli jeźdźca.

— Jedziemy, białoskóry. Daleka droga przed nami. Poza tym mówiłem już, żebyś nie nazywał mnie czarownikiem. Jestem dalekim potomkiem proroka, a więc mam we krwi odrobinę krwi Jedynego. To, że potrafię rozkazywać geniuszom, to nie czary. Powietrze i piasek słuchają mnie przez wzgląd na pokrewieństwo ze Stworzycielem.

Brenvan roześmiał się, dosiadając swojego wierzchowca.

— Wiesz, co poniektórzy nawiedzeni czarnoksiężnicy również tak gadają. A znałem nawet takiego, co twierdził, że moce nadała mu naga jak niemowlę dziewczica, która wychynęła z jeziora. Uważaj więc z takim gadaniem, bo jak już dojedziemy do Learfeld, możesz trafić na szafot.

— Jeśli tam dojedziemy — rzekł z naciskiem Kashim. — Musimy przyśpieszyć, bo inaczej zostaną z nas tylko białe kości.

Jasnowłosa skinął głową. Zabijali czas żartami i rozmowami, więc atmosfera była dobra. Zapasy wody kurczyły się jednak, a końca martwych piasków wciąż nie było widać.

*

Na porannym czytaniu panował taki rozgardiasz, że mędrzec Kar'Shin aż poczerwieniał od krzyku. Jego napomnienia i groźby nie przyniosły jednak rezultatu. Mężczyźni Tel'Halik, choć na co dzień pobożni, teraz szeptali między sobą, nie poświęcając nawet krzty uwagi kazaniu. Gwar setek głosów, który rezonował od kopuły świątyni, był nie do zniesienia. Dopiero kiedy między zebranych weszły Czerwone Turbany, a kilka najgłośniejszych

osób dostało pałką po karku, sytuacja nieco się uspokoiła. Mimo to Duzzah co chwila musiał podnosić wzrok znad Księgi, by karcić co bardziej rozgadanych ludzi.

Wszystkiemu winne było nowe prawo. O świcie, gdy tylko nocna straż zeszła z murów, na uliczki Świętego Miasta wyszli pomocnicy wielkiego kadiego. Bili w bębny i dęli w trąby, żeby zwrócić na siebie uwagę. Doprawdy tylko głuchy mógłby przespać ten raban. Potem, zgodnie z tradycją, na każdym placu i na każdym skrzyżowaniu odczytano nowe prawa, które kadi uchwalił wraz z prorokiem. Duzzahowie zdecydowali się zwiększyć pogłównie oraz przykazali, by każda rodzina w Tel’Halik w ciągu miesiąca wniosła w Pierwszej Świątyni odpowiedni do swoich zarobków datek, mający posłużyć do „budowy nowego ładu”. Poza tym muhtasibowie w sukach mieli pobierać dwukrotnie większy podatek. To ostatnie było szczególnie dotkliwe, ponieważ każdy bogatszy ród Tel’Halik w ten czy inny sposób był związany z handlem. Zyski z niego płynące miały teraz znacznie spaść. Ci, którzy przed pierwszym czytaniem zwozili towary do suków, wiedzieli o tym doskonale, muhtasibowie bowiem już zaczęli egzekwować nowe opłaty. Jaki mógł być powód takiego pośpiechu? Nikt nie potrafił zgadnąć.

*

Choć kobietom Tel’Halik nie przystało rozmawiać o polityce czy handlu, wiele z nich podchwyciło temat podczas czytania dla kobiet, w bocznej sali Pałacu Mądrości.

Lekcje Księgi dla dziewcząt były nowym obyczajem. Dotychczas uważano, że to na matkach ciąży powinność, by zapoznać z nią córki. Ojcowie z kolei mieli pilnować, by żyły one wedle praw i obyczajów Księgi, a w razie potrzeby — karać je. Ostatnio jednak, gdy milicja świątynna ścigała za najmniejsze odstępstwa, okazało się, że wiele dziewcząt nie ma wystarczającej wiedzy, by w każdej sytuacji zachować się dokładnie tak, jak żądały prawa Księgi. Z początku bogate rody najmowały Duzzahów jako nauczycieli, lecz mędrzec Kar’Shin uznał, że to niefortunne rozwiązanie. Co prawda Duzzahowie, w przeciwieństwie do reszty mężczyzn, mogli spotykać się w cztery oczy z niespokrewnionymi kobietami, wiadomo jednak było, że część z nich tego prawa nadużywa. Po Świętym Mieście rozniosły się plotki o grzesznych czynach, jakich mieli się dopuszczać nauczyciele ze swymi uczennicami. Wtedy właśnie Kar’Shin zdecydował się położyć temu kres. Zarządził, by zorganizowano specjalne czytania. Wszystkie kobiety, których

rody było na to stać, mogły uczęszczać na nie dwa razy dziennie. Niektórzy dziwili się temu, bo mędrzec za młodu był przeciwny nauczaniu kobiet, lecz uznano, że to sam prorok namówił go do zmiany stanowiska. W rzeczywistości było inaczej: Kar'Shina przekonała tajemnicza postać, która zjawiała się pewnej nocy w jego sypialni. Ale o tym nie wiedział nikt oprócz samego mędrca.

Większość kobiet skorzystała z nowego przywileju, często za namową mężów. Każdy przecież chciał, by niewiasty z jego rodu uchodziły za cnotliwe, szczególnie że dzięki temu rodzina była w oczach Czerwonych Turbanów mniej podejrzana. Z nowego układu byli więc zadowoleni wszyscy, z wyjątkiem nauczycieli, którzy stracili zarobek, oraz młodych Duzzahów, którym przypadło prowadzenie specjalnych czytań.

Ci ostatni mieli prawo do narzekania, bo lekcje dla kobiet okazały się szczególnie trudne. Przedstawicielki możliwych rodów często lekcewały lektora, rozmawiając jeszcze głośniejsze niż mężczyźni, a że czytania nie odbywały się w świątyni (na to Kar'Shin pod żadnym pozorem się nie godził), nie było w zasadzie prawa, którym można je było zmusić do uwagi. Duzzah mógł tylko apelować do ich sumienia i raz za razem prosić o ciszę. Jeśli kobieta nie popełniała przestępstwa, nie mógł jej dotyczyć nikt poza mężem i braćmi. Dotyczyło to zwłaszcza szlachetnie urodzonych niewiast. Nawet Czerwone Turbany musiały respektować to prawo, zapisane w Księdze nadzwyczaj wyraźnie.

W ten sposób kobiece czytania szybko stały się miejscem wymiany najnowszych plotek. Właśnie dzięki nim Jelaya Makhar'ad nieco odżyła, codzienne rozmowy z rówieśnicami wyrwały ją z marazmu. Nie przychodziła tu jednak tylko dla plotek, wciąż bowiem szukała sposobu, by jeszcze lepiej służyć Jedynemu.

Tego dnia jednak nawet Jelaya nie słuchała lektora. Kobiety przegadały całe czytanie, a wiele nie chciało opuścić sali, gdy Duzzah dawno już skończył i wyszedł. Dopiero gdy strażnicy Pałacu Mądrości postraszyli, że wezwą ich mężów, niewiasty zaczęły powoli, dwójkami i trójkami rozchodzić się do domów.

Jelaya wracała z matką i dwiema siostrami. Szła zamyślona i patrzyła tylko na czubki swoich haftowanych złotą nicią butów, które błyskały co chwila w słońcu, i ocknęła się dopiero, gdy wpadła na plecy małej Istri. Powiodła wokół nieprzytomnym spojrzeniem. Okazało się, że drogę zastąpił im jakiś mężczyzna.

— Witaj, mądry Tantarze — powiedziała matka Jelayi, nim ta zdążyła go rozpoznać.

— Witaj, Sahiro. Przepraszam najmocniej, że zaczepiam was na ulicy, lecz mam pilną sprawę, więc gdy zobaczyłem, jak wychodzicie z Pałacu...

— Nie musisz się tłumaczyć, Tantarze. Jesteś przyjacielem domu, odkąd pomogłeś nam rozwiązać tę krępującą sprawę. Mów, o co chodzi, chętnie wysłucham.

— Mam coś do przekazania Jelayi. Rozmawiałem w sprawie jej grzechu z dwoma wielkimi mędrkami i znam już rozwiązanie, które pomoże jej zmasać winy. Nie chciałbym łamać, Sahiro, twojego prawa do pilnowania córki, lecz owi Duzzahowie wyraźnie zaznaczyli, że tylko Jelaya powinna znać całą sprawę. W ten sposób nikt jej nie będzie przymuszał do podjęcia pokuty. Żeby grzechy były zmasane, musi być ona dobrowolna..

Sahirze nie przeszło nawet przez myśl, że Tantar mógłby powiedzieć jej córce coś niestosownego, odparła więc:

— Dobrze. Poczekamy, a ty, córko, pójdz z Tantarzem pod tamtą ścianę. Nikt nie będzie was słyszeć.

Jelaya skinęła głową, a następnie, gdy Duzzah dał znak, że mogą iść, podreptała za nim w cień. Tam Tantar zatrzymał się i rzekł:

— Już wiesz, o co chodzi, Jelayo.

— Tak, mądry Tantarze. Jaką pokutę mi znalazłeś?

Duzzah uśmiechnął się.

— Nie chodzi mi o pokutę w takim sensie, o jakim możesz myśleć. Niech mi Najwyższy wybaczy, jeśli wprowadziłem w błąd twoją matkę. Nie będziesz się modlić ni składać ofiar.

Jelaya spojrzała na niego z zaciekawieniem. Prawdę mówiąc, choć bardzo chciała zostać wierną służką Jedynego, czytania i długie rytuały ją nużyły. Czyżby istniał przyjemniejszy sposób wejścia w Jego łaski?

— Wiesz, że w Tel’Halik mamy niespokojne czasy — podjął Tantar. — Prorok ma wielu wrogów, podobnie jak jego światłe reformy. W tej sytuacji potrzebna mu pomoc wszystkich, nawet... kobiet. Niektórzy Duzzahowie powołali szkołę, gdzie uczą szlachetnie urodzone niewiasty, jak mogłyby przysłużyć się mądrym Vezamarowi. Szkoła jest tajna, aby kobiet nie dosięgła zemsta wrogów proroka, najzdolniejsze uczennice otrzymują bowiem ważne zadania. No i oczywiście błogosławieństwo Jedynego, któremu miła jest zbożna praca.

Jelaya zastanowiła się. Słowa Tantara były dziwne: tajna szkoła dla

kobiet? Nie, coś takiego było nieprawdopodobne! Jednakże gdyby to się okazało prawdą... Może wreszcie niewiasty Tel’Halik miałyby okazję dowieść swojej wartości, pokazać, że one także mogą bronić Ocalonej Krainy?

— Powiedz, Tantarze, jakie zadania wykonują uczennice? — spytała.

— Na początek służą za oczy proroka. Święte Miasto kipi od spisków. Wierne kobiety, które wewnątrz rodzin dostrzegą nieprawość lub złe zamiary, są dla nas nieocenionym skarbem. Więc jak, Jelayo? Zgodzisz się?

— Ja... nie wiem, co rzekną rodzice.

— Porozmawiam z Sahirą i ze szlachetnym Iznakiem. Powiem im, że stanęła przed tobą możliwość uczestnictwa w specjalnych czytaniach dla grzesznic. Na miejsce lekcji, do skrzydła Pałacu Medyków, będzie cię odprowadzał brat, któremu za tę fatygę zapłacimy hojnie, nie widzę więc problemu. Musisz jednak zdecydować, czy chcesz podjąć wyzwanie. Więc jak, Jelayo Makhar’ad? Czy ja i prorok możemy na ciebie liczyć?

— Tak, Tantarze. Będę służyć naszemu panu lepiej od wszystkich innych — odparła bez zastanowienia.

Rozdział 3. Żmije i szczury

Szirh nie zdarzał się częściej niż dwa, trzy razy na pokolenie, dlatego uważano go za niezwykle zdarzenie. Jednak ten, który właśnie się odbywał, był chyba najdziwniejszym z *szirhów* w historii ludu Manar.

W wielkim czarnym namiocie zebrała się starszyzna plemienia. Mężczyźni byli pokryci kurzem, mieli spękane wargi, brudne ręce. Na zewnątrz mali chłopcy rozładowywali bacharny z towarami. *Szirh* zwołano natychmiast, gdy tylko podróżnicy wrócili z wyprawy do Słonych Oaz. Zamiast wysprzątanych namiotów i powitalnej uczyty zobaczyli spalone domostwa, rozwłóczony dobytek oraz gotowe stosy z ciałami siedmiu kobiet, które zginęły w czasie napaści. Ich mężowie, choć tradycja mówiła, że wendetę można podjąć dopiero po okresie żałoby, także byli na *szirhu*. Nikt nie czynił im z tego powodu wymówek. Dopiero co członkowie wyprawy tętnili radością na myśl, że lada chwila zobaczą swoje domy, a teraz siedzieli w ponurym milczeniu, pełni złości.

Kolejną różnicą między tym sądem a poprzednimi, był fakt, że w *szirhu* wzięły udział kobiety. Oprócz dwóch, które zostały ranne w czasie napadu, na skórze w rogu namiotu siedziała jeszcze matka Gundzara i jego przybrana córka. Miidzę, białoskórą dziewczynę o miedzianych włosach, uważano za najbardziej pokrzywdzoną w czasie napadu. Zamknięcie w skrzyni pod podłogą płonącego namiotu zostawiło ślady na jej ciele i duszy. Te ostatnie były szczególnie niepokojące. Kobiety twierdziły, że Miidza niemal przestała się odzywać. A gdy już mówiła, były to brednie o świetlistej postaci, niezrównanej urody kobiecie, pod której stopami wystrzeliwały z piasków zielone rośliny. O, tak — nikt nie miał wątpliwości, że nieszczęsna Miidza oszalała.

Ostatni powód, dla którego sąd był tak dziwny, leżał na środku klepiska. Tam według tradycji powinien zasiadać oskarżony lub jego prawomocny przedstawiciel. Zamiast nich leżał dziś tylko czarny, nadpalony turban, na którym wciąż można było poznać pajęczą sieć srebrnych liter. Liter Świętego Miasta.

Kirab, mimo sędziwego wieku wciąż sprawujący funkcję naczelnika plemienia, chrząknął i powiedział:

— W imię Jedynego, oby ten sąd wydał sprawiedliwy wyrok, zgodnie z

wolą przodków, Boga i Jego proroków.

— Tak niech się stanie — odpowiedzieli zebrani.

Tylko Miidza nic nie rzekła, wpatrzona w snop światła, wpadający do środka przez dziurę w poszyciu namiotu.

— Jak wszyscy wiemy — rzekł Kirab — winni tej haniebnej napaści nie zdecydowali się wytłumaczyć lub przysłać osoby, która miałaby ich bronić. Czy nikt się tego nie podejmie?

W namiocie panowała grobowa cisza.

— Czy zatem mam wydać wyrok od razu?

Kilka osób skinęło głowami.

— Poczekaj chwilę, Kirabie — odezwała się niespodziewanie jedna z kobiet.

Starzec spojrział na nią groźnym wzrokiem. Pozwolono niewiastom wziąć udział w *szirhu*, bo to one najwięcej ucierpiały, nikt jednak nie zezwalał im na zabieranie głosu.

— Tak? Masz coś do powiedzenia, Ziro?

— Tyle że powinniście, drodzy mężowie, dobrze przemyśleć sprawę. Gdzież bowiem są mordercy? Dawno uszli i pewnikiem siedzą za murami Tel'Halik. Jeśli uchwalicie wyrok, będziecie ich ścigać. Strawicie miesiące na pustkowiach, bez żadnego rezultatu, a osada znów zostanie bez obrony i opieki. Rzekłam.

Kirab skinął głową i pokazał jej gestem, że może usiąść. Mężczyźni zaszemrali. Mąż Ziry spoglądał gniewnie, lecz ona odwróciła wzrok.

— To nieprawda! — zawołał gromko Gundzar. — Mylisz się, kobieto. Gdy dotarliśmy do Słonej Oazy, mężczyźni już opowiadali o ludziach w czerni, którzy zaczęli patrolować granicę zamiast Świętych Jeźdźców. Widziano ich w wielu miejscach, krążą od osady do osady po całym pograniczu niczym bezpańskie psy. W końcu na nich trafimy i dokonamy zemsty!

— Gundzar ma rację! — wyrwał się ktoś inny. — Nie mógłbym znieść tego, że po śmierci będę musiał tłumaczyć szacownym przodkom, czemu nie zmyłem plamy na honorze plemienia.

— Śmierć! — zawrzęsnęło gromko kilku młodszych. — Śmierć najeźdźcom!

— Czy jesteście gorsi od bacharnów, by popełniać ten sam błąd dwa razy z rzędu?! — krzyknęła Zira. — Na Najwyższego i świętych przodków, to przecież głupota.

Podniósł się raban. Kirab próbował uciszyć zebranych, lecz jego słaby głos nie potrafił przedrzeć się przez rumor.

Wtem w powietrzu zawibrował przeraźliwy, wysoki pisk. Skonfundowani ludzie umilkli i zaczęli rozglądać się w poszukiwaniu tego, kto zakłóca rozmowy. Krzyczała Miidża. Stała na macie i krzyczała. Wniebogłosy. Przestała dopiero, gdy Kama zaczęła ją błagać, by się uspokoiła.

— Zginiecie — rzekła wtedy miedzianowłosa, a z jej oczu pociekły łzy. — Widzę krew na piasku. Krew, rwane ciała, wnętrzności. Nawet nie wyobrażacie sobie... Nawet nie wiecie... Przy fioletowej wodzie. Wielkie noże. Powiedz im, babciu. Niech uwierzą, bo inaczej umrą!

Kama przygarnęła Miidżę, zaczęła ją głaskać po głowie.

— Słyszałeś, Gundzarze? Wszyscy słyszeliście? — zapytała kobieta, gdy udało jej się ukoić wnuczkę. — Miidża przemówiła, zupełnie jak wtedy, gdy wyruszaście do Słonej Oazy. Nikt jej nie uwierzył, a później osadę spotkało nieszczęście. Gundzarze, synu. Ty wiesz, że Miidża ma wizje, i wiesz, że się sprawdzają. Nie pozwól, by plemię szło ku zgubie!

Gundzar stropił się. Popatrzył ponuro na matkę i córkę, potem powoli przeniósł wzrok na mężczyzn zebranych w namiocie. Wreszcie przemówił:

— Wizje są niepewne. Wołaj Najwyższego jest, czy się spełnią, czy nie. Ale hańba będzie pewna, jeśli nie zmyjemy jej krwią. Powinniśmy przystąpić do wydania wyroku.

Kilkanaście osób poparło go zaraz głośnymi okrzykami.

Miidża znów wybuchła płaczem, po czym uciekła z namiotu. Kama pobiegła za nią, rzuciwszy wpierw rozszoszczone spojrzenie Gundzarowi.

Mężczyźni po chwili uspokoiли się, usiedli na miejscach. Rozpoczęła się rzeczowa dyskusja nad tym, jaki powinien być wyrok i czy miał dotyczyć tylko tych czarnych żołnierzy, którzy spalili osadę, czy też wszystkich. Wreszcie *szirh* ustalił wspólną wersję. Karą była śmierć. Winę zaś ponosił każdy, kto nosił czarny turban ze słowami Księgi. Zaraz po zapadnięciu wyroku mężczyźni wyciągnęli swoje kindżały oraz szable, po czym uroczyście przysięgli, że będą ścigać winnych aż do skutku: dopóki wyrokowi nie stanie się zadość.

*

Ruiny pojawiły się nagle. Wjechali na szczyt wydmy, a Brenvan, który prowadził, aż krzyknął ze zdziwienia. Przed nimi rozpościerało się pradawne miasto, na poły już pogrzebane wśród piasków. Las spękanych i połamanych kolumn, morze ruin, zburzonych ścian, domów zasypanych prawie po dach.

W centrum widzieli kilka wyższych budynków, resztki muru i coś, co kiedyś mogło być pałacem. W jednym miejscu zachowała się nawet wysoko sklepiona kopuła. Miasto wyglądało na niewiele mniejsze od Tel'Halik.

Stali długą chwilę pośród wycia wiatru, niezdolni wypowiedzieć choćby słowa. Widok ruin był niepokojący. Mimo słonecznego dnia czuło się przy nich jakąś ciężką i ponurą atmosferę. Domy, choć o prostych dachach, lekko zwęziały się ku górze. Zbudowano je z wielkich kłoców ciemnego kamienia, bez żadnych ozdób — przynajmniej takich, które dałoby się spostrzec z odległości. Kashim wiedział, że tego miasta nie wzniesli prawowierni. Musiało pochodzić sprzed pożogi, należało więc do Nieocalonych. Kto by pomyślał, że tak wielkie znalezisko było skryte wśród martwych piasków. Na Jedyne! Niejeden Duzzah z Pałacu Mądrości dałby się zabić w zamian za trzy dni spędzone w tym miejscu...

Al'Shannagg odwrócił się do Brenvana.

— Tak wyglądają wasze miasta? — spytał. — Bo jeśli wierzyć Księdze, widzimy przed sobą relikty po białoskórych.

Aam Caerleigh pokręcił głową.

— W życiu czegoś takiego nie widziałem. Te piramidalne domy... A widzisz kopułę? Co to za wsporniki ujmują ją po bokach? Tak się nie buduje w krainach środka, Kashimie. I w żadnym kraju, o którym słyszałem.

Święty Jeździec pogładził w zamyśleniu brodę. Teraz zaniepokoił się na dobre. Bo jeśli nie jasnówłosi, to kto mógł zbudować tę metropolię? Coś mówiło Al'Shannaggowi, że powinni stąd jak najszybciej odjechać. Duzzahowie opowiadali nieraz, że wśród ruin na pustkowiach czai się zło. Mogli tu spotkać morgha, szczątki, a nawet gorsze rzeczy. Mimo to ciężko było odmówić sobie choć pobieżnego zbadania niezwyklej budowli. Budziły strach, lecz jednocześnie przyciągały w jakiś niezwykle sposób.

— Chodź. Przyjrzymy się temu z bliska — rzekł, a potem zjechał zrećznie na dół wydmy.

Brenvan podążył za nim niechętnie.

Gdy dotarli do pierwszych budynków, okazało się, że ruiny mają w zanadrzu jeszcze kilka niespodzianek. Drzwi i otwory okienne domów były wąskie, lecz wysokie, zdecydowanie za wysokie, jak na ludzkie potrzeby. Ściany zaś z bliska ujawniały fakturę subtelnych ornamentów, układających się w hipnotyczne, pozbawione sensu wzory.

— Spójrz, Kashimie. Kamienie, z których to zbudowano, są koszmarnie wielkie. Trudno mi sobie wyobrazić, jaki murarz mógłby je przenieść. A już

z pewnością nie chciałbym go spotkać.

Al'Shannagg nie patrzył jednak w stronę Brenvana, przyklęknął bowiem koło jednej ze zwalonych kolumn i uważnie badał jej powierzchnię. W kilku miejscach widział ślady sadzy. To samo w paru domach, do których zajrzał. Miasto, nim zostało opuszczone, nawiedził ogromny pożar. A więc jednak pożoga opisana w Księdze! Tylko dlaczego nie mieszkali tu jasnowłosi? A może ruiny były już opuszczone, w momencie gdy przybysze ze wschodu zniewolili ludy piasków? Patrząc na prastare mury, Kashim nie mógł tego wykluczyć.

Dwóch podróżnych zapuściło się w labirynt ruin pieszko, ponieważ saury okazały się tak odporne, że musieli przywiązać je koło pierwszych kolumn. Trudno powiedzieć, jak długo chodzili wśród prastarych budowli. W nielicznych domach, gdzie piasku nie nawiało jeszcze do połowy wysokości, znajdowali dziwne drobiazgi. Brenvan wypatrył między kamieniami masywną fibulę z brązu. Kashim odnalazł fragment tablicy z osobliwym pismem oraz fragmenty niezwykle wysokiej amfory. Poza tym w niektórych domach widzieli nadpalone, połamane kawałki drewna.

Choć poszukiwania całkowicie ich pochłonęły, co jakiś czas obracali się z niepokojem. W ruinach ciągle zdawało im się, że ktoś patrzy na nich z ukrycia. Brenvan nawet słyszał co jakiś czas dziwny chrobot, dobiegający z opuszczonych ulic. Chodził z wyciągniętym mieczem i żałował, że zbroję zostawił w sakwach saura. Czułby się tu lepiej w gotrlandzkim pancerzu niż w białym chałacie.

Dotarłszy pod pałacowy mur, zdali sobie sprawę, że słońce niedługo zacznie chylić się ku zachodowi.

— Musimy już wracać, Jasnowłosy. I to szybko — rzekł Kashim.

Brenvan patrzył właśnie na wysoką, ostro sklepioną bramę, za którą leżały ruiny jeszcze bardziej ponure niż reszta miasta.

— Daj spokój. Jesteśmy tak blisko — powiedział, wskazując wejście. — Rozejrzyjmy się tam chociaż.

Kashim pokręcił głową. Dopiero teraz Aam Caerleigh spostrzegł, że wojownik też dobył broni.

— O co chodzi? — spytał z niepokojem.

— Do zmroku musimy ujechać daleko od ruin, najdalej jak to możliwe. Niech Najwyższy mi wybaczy, że aż tak straciłem rachubę czasu. Obawiam się, że narażamy się przez to na wielkie niebezpieczeństwo.

Jasnowłosy rozejrzał się niepewnie. Ruiny stawały się coraz ciemniejsze i

coraz bardziej groźne.

— Co masz na myśli? — spytał.

— Duzzahowie, i to ci mądrzy, twierdzą, że nocami po ruinach chodzą Nieocaleni. To pełne żalu oraz wściekłości upiory tych, co zginęli w trakcie Wielkiego Sądu.

Brenvan uśmiechnął się.

— Wiem, że atmosfera tutaj jest dość przytłaczająca, ale duchy, Kashimie? To dobre dla zniewieściałych trubadurów.

— Wiem jedno. Wedle ludzi, którzy nigdy nie opuszczali Świętego Miasta, morghi to też bajania. A ja widziałem jednego na własne oczy. I wolałbym nie zostawać w tym miejscu, żeby się przekonać, kto tym razem ma rację.

Brenvan niechętnie skinął głową. Wtem dostrzegł coś w piasku pod łukiem bramy, jakiś przedmiot błyszczał metalicznie w promieniach wieczornego słońca.

— Poczekaj chwilę! — rzucił rycerz.

— Doprawdy, nie mamy czasu! — krzyknął za nim Al'Shannagg.

Brenvan był już jednak niemal pod łukiem. Po obu stronach wznosiły się tu cokoły, lecz z posągów, niegdyś strzegących wejścia, pozostał gruz, zupełnie jakby ktoś celowo je powalił. Jasnowłosa widział jedynie pozostałość prawej figury — rozczapierzoną, szponiastą łapę — ale poświęcił jej tylko moment i zaraz wrócił do szukania przedmiotu, którego blask ujrzał z ulicy.

Kashim widział, jak Brenvan schylił się, pogrzebał chwilę w piasku i wstał, podnosząc coś nad głowę w tryumfalnym geście. Al'Shannagg przywołał towarzysza ruchem ręki i obaj rozpoczęli szybki marsz ku krańcom miasta.

Po drodze Święty Jeździec starał się obejrzeć znalezisko. Okazała się nim broń nieco przypominająca sztylet, lecz inkrustowana złotem rękojeść miała poziomą poprzeczkę, a samo ostrze było mocno zakrzywione. Kashim nie potrafił sobie wyobrazić, jak czymś takim walczyć. Bardziej niepokoiło go jednak co innego — broń była wciąż ostra, a srebrzysty metal nie nosił najmniejszej skaży.

— I co teraz powiesz? — rzekł Brenvan. — Może warto było jednak zwiedzić pałac? Ten śmieszny nóż wydaje się bardzo cenny. Stal, z której go zrobiono, jest diabelsko twarda, a weź jeszcze pod uwagę te złote wzory...

— Jak dla mnie, ostrze to doskonały argument, by jak najszybciej stąd

uciekać.

— Nie rozumiem...

— Nie wydaje ci się dziwne, że wygląda jak nowe, choć wszystko wokół mocno nadgryzł czas?

— Daj spokój, to po prostu znakomicie wykonana broń. A poza tym mogła przeleżeć wieki w suchym piasku.

— I wiatr odsłonił ją akurat tego dnia, gdy zjawiliśmy się pod bramą? Nie, Jasnowłoso. To niepokojący znak. Przywodzi mi na myśl opowieści o podstępach, jakimi Nieocaleni wabią ludzi do swoich leży.

— A ty znów o ludowych bajdach!... — Brenvan westchnął.

W kamiennym labiryncie łatwo było się zgubić, na szczęście Al'Shannagg wcześniej zapamiętał kształt wydmy, po której zjechali do miasta. Szli więc ku niej na skróty, aż wreszcie do ich uszu dobiegły żłosne ryki saurów. Gdy podróżnicy do nich dotarli, okazało się, że są dziwnie pobudzone. Saur uwiązany najbliżej ruin tak mocno szarpał się na postronku, że oderwał sobie kilka łusek. Leżały w piasku, a z rany sączyła się krew. Mężczyźni szybko przygotowali zwierzęta do drogi, po czym ruszyli po grzbiecie wydmy, by szerokim łukiem ominąć miasto.

Słońce zaczęło kryć się za horyzontem. Cienie pradawnych kolumn wydłużały się. Kashim popędził wierzchowce, a te ochoczo przyjęły nowe tempo, zupełnie jakby również chciały szybko oddalić się od miasta. Tylko Brenvan, jadąc, patrzył jeszcze na dziwaczne domy i zasypane piaskiem ulice. Marzył o skarbach, jakie mógł kryć tajemniczy pałac, i obiecywał sobie, że kiedyś wróci tu z setką kopaczy oraz paroma tuzinami zbrojnych, którym niestraszne są duchy.

Nagle drgnął.

Wydało mu się, że jakiś cień przemknął między ruinami... Po chwili coś znów się poruszyło — na granicy pola widzenia, w kącie oka. Brenvan odwrócił pośpiesznie wzrok. Chwilę zastanawiał się, czy nie powiedzieć o tym Kashimowi, lecz wreszcie uznał, że lepiej milczeć. Nie chciał wyjść na pomyłca. To, co widział w ruinach, było zapewne tylko złudzeniem.

Wkrótce zostawili miasto za sobą i dopiero wtedy skręcili z powrotem na zachód. Zapadła noc. Mimo coraz dotkliwszego chłodu wypoczęte saury biegły rażno. Jeźdźcy kołysali się w siodłach, walcząc ze zmęczeniem. Brenvana niepokoiło, że Al'Shannagg co jakiś czas odwracał się i uważnie badał horyzont z tyłu, zupełnie jakby się spodziewał pościgu.

— Długo jeszcze będziemy jechać? — spytał białoskóry. — Rad bym

położyć się wreszcie.

— Ujedziemy tyle, ile tylko wytrzymają zwierzęta. Im dalej, tym bezpieczniej.

To mówiąc, popędził saura.

— Daj spokój, przecież zjawy nie będą nas ścigać daleko na pustyni. Ujechaliśmy już dobre dziesięć mil. Zresztą o czym ja mówię! Przecież nie ma żadnych zjaw!

— Są — odparł Kashim. — Widziałem cienie między gruzami, gdy oddalaliśmy się od miasta.

Brenvan poczuł dreszcz na karku i umilkł. Od tej chwili i on zaczął spoglądać niepewnie w tył.

*

Była pełnia. Księżyc wydawał się znacznie większy niż zwykle. Jego okrągła, blada twarz wisiała tuż nad murami. Można było sądzić, że gwardziści na blankach zdołaliby sięgnąć go ostrzami włóczni, gdyby tylko chcieli. Kaskady srebrzystego światła spadały z nieba, skrząc się na kopułach pałaców i iglicach minaretów. Z oddali Tel'Halik migotało jak ryba pływająca tuż pod powierzchnią górskiego strumienia, kiedy padnie na nią promień słońca. Lekki wiatr rozgonił chmury, więc na nieboskłonie rozpostarł się przepiękny, gwiazdzisty kobierzec. Na ulicach było niemal tak jasno jak w dzień.

W mrocznych czasach Najwyższy zsyła nam rozświetlone noce. Czyż to nie dowód, że nieobca mu ironia? — pomyślał Mudda, po czym odwrócił wzrok od okna.

W pomieszczeniu także było jasno. Paliło się dobre kilkadziesiąt świec, a niemy sługa czuwał pod ścianą, na wypadek gdyby któraś się wypaliła i trzeba ją było wymienić. Oprócz niego było tu jeszcze siedmiu Duzzahów i jeden uczonec, który nigdy nie przyjął chili. Każdy zajmował własny dywanik, miał też do dyspozycji pulpit, zwoje, misę owoców. Mudda owoce już skończył — dyskusja nie wciągnęła go tak bardzo, jak resztę zebranych. Mało zainteresowany zdawał się także cenzor, gruby jegomość w czerwonym turbanie, siedzący pod ścianą. Z początku uważnie łowił każde słowo, teraz jednak wyraźnie było widać, z jakim trudem zwalcza senność.

Nic dziwnego, że potrzebują mojej pomocy, pomyślał Mudda. Ten grubas może zna się na biciu nierządnic, lecz znajomość Księgi ma nie większą niż pierwszy lepszy mężczyzna z ulicy.

Tymczasem dyskusja się zaogniała, w miarę jak cenzor wyglądał na

bardziej zmęczonego. Uczeni, choć w większości byli nobliwymi starcami, zachowywali się żywo mimo późnej pory. Mudda był pewien, że przed spotkaniem każdy z nich przeżuł garść owoców yari, a zamęczenie cenzora było metodą praktykowaną przez nich od dłuższego czasu. Rozmowa stawała się coraz ciekawsza i bardziej złożona.

Mimo setek lat debat i wielu zapisanych zwojów Duzzahowie wciąż nie potrafili udowodnić, które z hitabów były godne zaufania, a które nie. Zachowały się niemal trzy tysiące tych opowieści z życia proroka. Niektórzy utrzymywali, że nawet więcej. W sądach i w prawodawstwie często powoływano się na precedensy z hitabów, więc ich uszeregowanie było niezwykle ważne. Niestety, logiczne sprzeczności między hitabami, niezgodność niektórych z ogólnie znanymi zdarzeniami, a także mała wiarygodność przekazów czyniły zadanie prawie niewykonalnym.

Gdy prorok leżał na łożu śmierci, polecił, by Księga, oprócz części objawionej, czyli Irdy, składała się także z zapisu wszystkich jego sądów. Sama Irda bowiem, choć najdoskonalsza, bo spisana przez Jedyneho, nie wystarczyła do rozwiązania bardzo szczegółowych kwestii. Za życia Sammar nieraz spotykał się z takimi problemami, a wtedy radził się Najwyższego i wydawał mądry sąd. Zdawało mu się więc, że pełen zapis wyroków, przemówień i kazań wystarczy, by uregulować życie w Ocalonej Krainie na tysiące lat. Niestety, zamknięty w pałacu i przykuty do łoża nie mógł wiedzieć, jak wiele fałszywych czy wręcz heretyckich opowieści o nim krąży wśród ludu. Kiedy zmarł, jego następca podjął wielkie dzieło ukończenia Księgi. Dzieło w zasadzie trwające do dziś, bo choć za piątego proroka ustalono wreszcie jedynie słuszną wersję, w której skład wchodziło dwieście trzynaście hitabów, to o sprzecznościach tylko wśród nich napisano grube tomy. Na dodatek gołym okiem było widać, że jedne są znacznie bardziej prawdopodobne od innych. Uczeni zaczęli porównywać isnad — czyli ścieżkę, którą przekaz dotarł do spisujących Księgę. Czasem ogniwami w isnadzie były tylko osoby wiarygodne, na przykład z bliskiego otoczenia proroka. Częściej jednak trafiali tam przypadkowi ludzie: oto wieśniak opowiedział kupcowi, kupiec rzekł siostrze, siostra przyjaciółce, a ta kronikarzowi. Stworzono całą kartotekę osób z isnadów, nadawano im stopnie wiarygodności. Obalony lub inaczej zinterpretowany hitab sprawiał, że osoby z jego isnadu stawały się mniej wiarygodne. Wtedy z kolei inne hitaby, w których isnadzie były również owe osoby, trzeba było uważnie rozpatrywać, a często i odrzucać, gdy kryterium ich przyjęcia stawało się

zbyt słabe. A to z kolei sprawiało, że hitaby, do których nawiązywała historia z odrzuconego hitabu, stawały pod znakiem zapytania.

Każda zmiana w układzie hitabów wywoływała lawinową serię innych zmian. Jedną możliwość „co by było gdyby” badało kilku uczonych — często przez całe życie, spisując przy okazji dziesiątki zwojów. Ba! Powstały szkoły zajmujące się badaniem, jak ustawi się wiarygodność wszystkich hitabów, jeśli uznamy, że prorok spędził trzynasty rok w Ocalonej Krainie na medytacjach w pustelni, i czy spowoduje to odrzucenie opowieści, które pokazywały go wtedy gdzie indziej!

Cel tych zabiegów był jeden: stworzenie wersji idealnie spójnej — zespołu hitabów, opisującego życie Sammara bez jakiegokolwiek wątpliwości czy sprzeczności. Owa wersja, zwana sziraitab, była marzeniem każdego uczonego. Jej odkrycie mogło jednak zająć jeszcze dziesiątki lat. A może setki? W każdym razie obecnie niemal wszyscy interpretatorzy Księgi zajmowali się hitabami. Interpretowanie Irdy zostało surowo zakazane za czasów jedenastego proroka — po tym, jak doprowadziło do rebelii musalitów oraz krwawej waśni. Tylko najwyżsi Duzzahowie i sam prorok mogli dyskutować o Irdzie.

— Udowodnię to, tylko dajcie mi dojść do słowa! — krzyknął właśnie jeden z dyskutantów.

— Nie zgodzę się, Azizie. Twoja teoria zmniejszy spójność Księgi. Jest zła!

— Daj mi ją udowodnić, na Jedynego!

— Czy szukamy wersji, która zaspokoi twoje ambicje, Azizie, czy też wersji najprawdopodobniejszej?

Cenzor ocknął się i wsłuchał w dyskusję.

Aziz rzucił kose spojrzenie Czerwonemu Turbanowi, po czym odparł:

— Nie pragnę sławy jako mędrzec. Chcę się tylko przysłużyć Księdze. Wiem, że pozornie może się wydawać, iż wprowadzę zamęt, lecz, na Jedynego, posłuchajcie wpierw dowodu!

— Mów, byle szybko.

— Dowodem, że hitab siedemnasty nie koliduje z hitabami Omhara, może być fakt, że wersy siedemnastego są niekompletne. To ishamateb. Może więc być razem z nimi w sziraitabie, jeśli przyjmiemy, że brakujący fragment tłumaczył sprzeczności.

Cenzor znów przymknął oczy.

Ishamateb — zjedzona mata. Mudda pokręcił głową. Już od pierwszych

lekcji uczono młodych Duzzahów, że z braku papirusu lub pergaminu słuchacze spisywali słowa Sammara na przypadkowych powierzchniach, takich jak gliniane skorupy, kości, a nawet maty. Gdy drugi prorok — Muhtani Mądry — zbierał je wszystkie w całość, okazało się, że do treści wielu przemówień nie da się już dotrzeć, a reszta jest zachowana tylko we fragmentach. Przedmioty ginęły albo były kradzione, a zdarzało się i tak, że maty ze słowami Sammara zjadały domowe zwierzęta. Świadkowie zaś podawali sprzeczne wersje kazań, a przyboczni proroka, którzy podróżowali wraz z nim i dlatego cieszyli się największym zaufaniem twórców hitabów, niemal do ostatniego wyginęli w bitwach z demonami.

W dawnych czasach, gdy Duzzahowie często spierali się nad interpretacją Księgi, zaczęto używać tego argumentu w dyskusjach.

Gdy mędracy wysnuwali wnioski zgodne z jakimś fragmentem hitabu, ale niezgodne z innymi, twierdzili, że dowodem ich teorii może być ishamateb; że ta część słów, w której wyjaśniano sprzeczność lub wskazywano istotną różnicę między przypadkami, zaginęła. Jednakże już za czasów Kirdzuka Wspaniałego zaczęto uznawać ów argument za pozbawiony wagi naukowej. Mimo to przetrwał i starsi uczeni od czasu do czasu powoływali się na niego.

— To nie żaden dowód! — krzyknął jakiś Duzzah z kąta sali.

— Aziz może oparł się na słabym argumencie — wtrącił ktoś inny — lecz ja mam lepszy. Istnieje bowiem doskonała analogia do sytuacji, którą rozważamy. Podobny problem, jak przy porównaniu hitabu siedemnastego z hitabami ze zwojów Omhara, wynikł dawno temu przy konfrontowaniu hitabów z czwartego rozdziału z hitabem sto dwunastym. Czy zgadzacie się, żebym rozwinął analogię?

Ten i ów uczoney skinął głową.

— I tu, i tu mamy słowa z trzeciej ręki, a isnad obejmuje osobę małego zaufania, ale również osobę z bliskiego otoczenia proroka, która przecież nie przekazałaby kłamstwa dalej. I tu, i tu chodzi o sprawę dwóch wersji wyroków błogosławionego Sammara. Zatem jeśli przyjmujemy, że hitab sto dwunasty i cały czwarty rozdział się wykluczają, przyjdzie tę samą metodę zastosować do podstawowego problemu, czyż nie?

Większość uczonych przytaknęła.

— Otóż możecie nie pamiętać, drodzy przyjaciele, lecz hitab sto dwunasty został bezsprzecznie uznany za wiarygodny przez nieżyjącego już Urzę Al’Gara. Jest podstawą zbioru, na którym opieramy obecnie przyjęty kanon. Jeśli taką metodologię zastosowano do budowy podwalin

współczesnej wiedzy, wypada stosować ją dalej, w imię większej spoistości Słowa. Wnioskuje zatem, by uznać hitab siedemnasty za obowiązujący i prawdziwy, ze wszystkimi konsekwencjami.

Na chwilę zapadła cisza. Tylko jeden z Duzzahów rozwinął jakiś zwój i szybko go przeglądał.

— Niestety, Tadźidzu. Gdy uchwalano wersję Al’Gary, nie znaleźliśmy jeszcze zwoju z Mengłos — powiedział wreszcie. — A w wersach od piętnastego do trzydziestego tegoż hitabu czytamy:

A wcześniej przywiedziono do niego Mirde
Najwyższy, wybacz płochość niewiastom!
Zdradziła ona swego męża
Co prawem został przypisany/ Zdrada zaś grzechem niemiłym Panu!
Osądź tę sprawę, cny Książę Wiernych!/ I brat jego brał w tem udział
Choć był przez Mirde sprowokowan
Myśli tedy prorok, pyta:
Jedyny patrzy na czyny Księcia
Czy to zrobiłaś? Tak, powiada Mirda
Najwyższy, chroń ją, bo wielce zgrzeszyła! / Grzesznik nie dojrzy bram raj i we śnie
Czy wniesiesz skargę, męża prorok pyta
Pozwól wybaczyć, choć obraza straszna
Mąż mówi. Radem żywą widzieć
Różgę szykuje krzepki młodzian
Dwadzieścia różeg prorok jej przykazał
Gdyby nie mąż, sto różeg i śmierć.

— Nie muszę wam chyba tłumaczyć, że jest to sprzeczne z treścią hitabu sto dwunastego, gdzie prorok cudzołóstwo z bratem męża karze zwykłą śmiercią, nie wyróżniając go jako szczególnego przypadku. Tutaj zaś wyraźnie widzimy naddatek do kary, wynoszący sto batów. Łatwo wysnuć wniosek, że mają zostać wymierzone właśnie za to, że zdrada nastąpiła z bliskim członkiem rodziny. Skupcie się jeszcze, bracia. To samo dotyczy następnego hitabu. On również koliduje ze zwojami Mengłos w taki sam sposób.

Duzzahowie chwilę zastanawiali się i szemrali między sobą.

— Ale jeśli odrzucimy te hitaby, trzeba nam będzie wrócić do dyskusji, które się na nich wspierały! Do sprawy dwuznaczności imienia Jedynego, do tego, czy sakiewka proroka była jego własnością. No i do spraw z następnymi...

Mudda nagle odwrócił wzrok od okna. Rozmowa przecież nie dotyczyła już hitabu sto dwunastego. „Następne”? Sto trzynasty, sto czternasty: Sammar rozmawia z kadim o roli proroków w prawie boskim. Cenzor

przysypiał, nie rozumiejąc, co właśnie się dzieje.

— Ale to doprowadzi do spadku spoistości wersji!

— Tylko pozornie. Będziemy wtedy musieli wrócić do dyskursu Al'Azira.

— Dobrze, niech ta sprawa poczeka jeszcze chwilę. Wróćmy na razie do głównego tematu. A więc hitab sto dwunasty odrzucamy i...

Młody Duzzah poczuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach. Czerwony Turban nie mógł wiedzieć, co rozważał dwieście lat temu uczony Al'Azir i do czego właściwie chcieli wracać uczeni. Mudda jednak doskonale znał historię badań nad Księgą, dlatego wiedział, że sprawa ociera się o herezję.

Rozumiał już, jak działa koło uczonych, na które zwrócił uwagę jego pracodawca. Pozornie dyskutowali o błahych, obyczajowych kwestiach, jednak w każdej dygresji i analogii posuwali odrobinę do przodu inny temat, stanowiący drugie dno dyskusji. Skrywali go celowo, bo temat ów dotyczył spraw zakazanych. Cenzorzy nie potrafili dostrzec, że dyskurs toczy się o czymś innym, bo na kluczowe dla drugiego tematu hitaby powoływano się nie wprost — bez ich numeru czy nazwy.

Mudda przez chwilę czuł dumę ze starców. Na Jedynego! Jakiejż imponującej znajomości Księgi wymagała taka dyskusja! Trzeba było cały czas wymyślać sprawy powiązane z hitabem, o którym naprawdę chciało się rozmawiać, i pokazać owo połączenie w sposób niewidoczny dla cenzora. Wreszcie dbać, by główna dyskusja, stanowiąca ledwie parawan ze słów, wydawała się sensowna. Zaiste, było co podziwiać.

Zaraz po uczuciu dumy przyszedł niepokój. Dłonie Duzzaha zaczęły się pocić, zjawilo się nieprzyjemne ssanie w trzewiach. Oto bowiem nadchodziła chwila, w której będzie musiał wkroczyć do akcji. Zdobył już dowody herezji, miał co przedstawić w sądzie. Pod bramą madrasy stały cztery Jastrzębie Najwyższego oraz oddział straży. Czekali tylko na znak. Mudda się wahał.

Wstał i wyszedł na balkonik. Nikt nie zwrócił na to uwagi, zdawało się bowiem, że młody duchowny chce tylko ochłonać po parnej atmosferze, jaka panowała w komnacie. Mudda oparł się o filigranową balustradę i spojrzał jeszcze raz na błyszczące kopuły świątyń oraz szachownicę dachów i podwórek, zwieńczoną murem. Spojrzał na księżyc, na główną bramę. Potem odszukał wzrokiem obserwatora: ów młody chłopak stał już po przeciwległej stronie ulicy, skryty w cieniu.

Duzzah walczył ze sobą. Mógł przecież dać znak, że śledztwo spaliło na

panewce, że uczeni okazali się wierni Księdze. Tylko co by to dało? Pogłoski o heretyckich dyskusjach w madrasie dalej będą się szerzyć, aż wreszcie mężczyzna w masce wyśle kolejnego szpiega. Ten wszystko odkryje, a Muddzie będzie groziła śmierć za ukrywanie prawdy o herezji. Albo jeszcze gorzej — śmierć dotknie jego brata!

Nie było czasu. Obserwator przestępował z nogi na nogę, wyraźnie się niecierpliwiąc. Na migi pokazywał, że żołnierze czekają na rozkaz.

Mudda przymknął oczy. Wciągnął w nozdrza rześkie, nocne powietrze. Dał dłonią znak, że mogą zaczynać, a potem wrócił do środka i usiadł na miejscu.

Jastrzębie wiedziały, że od sygnału muszą odczekać trzy klepsydry. Uczeni nie powinni wiedzieć, kto ich zdradził, aż do momentu, gdy zobaczą świadka na sali rozpraw. Mudda miał więc przed sobą jeszcze długie chwile czekania. Patrzył na rozognione dyskusją twarze Duzzahów i czuł wstyd. Oto stał się zdrajcą, nie lepszym od setek płatnych donosicieli, którzy służyli Vezamarowi. Westchnął boleśnie.

Tel’Halik zmieniło się nie do poznania od czasów Zerakhima, choć świątynie, domy i pałace wciąż stały na miejscu. Teraz było wielką klatką, pełną szczurów i żmij. Pierwsze zagryzały się nawzajem, próbując wywalczyć dla siebie choć trochę miejsca. Te, które nie miały zębów, rozszarpywano w pierwszej kolejności. Szczury nie znały litości dla słabych. Żmije z kolei czały się w mroku; nieuchwytnie, niepokonane. Czasem, ot dla kaprysu, zjadały szczura. Nie mógł się przed nimi obronić nawet największy i najpotężniejszy — taki, który zgryzł karki dziesiątek współplemieńców.

Kim więc jestem? — pomyślał Mudda. Żmiją, jak Kar’Shin, jak Jastrzębie Najwyższego? A może tylko szczurem, na którego właśnie patrzy z apetytem jakiś gad?

Z dołu dobiegł głośny huk. Przez chwilę uczeni nie rozumieli, co się dzieje. Niemy sługa wstał i patrzył na drzwi oczyma rozszerzonymi ze strachu. Hałasy przybierały na sile. Mudda nie mógł uwierzyć, że to trwa tak długo. Co się stało? Czyżby służba zdecydowała się przeciwstawić napastnikom?

Nagle z korytarza dobiegł krzyk któregoś z opiekunów szkoły:

— Słudzy proroka atakują madrasę! Ratujcie się, szlachetni panowie! Powstrzymamy ich najdłużej, jak się da!

Dopiero teraz uczeni zaczęli panikować. Wiedzieli, że ktoś zdradził. Jeden wyszarpnął zza pasa kindżał, inny jął się modlić. Rzucali po sobie

wściekłymi spojrzeniami. Nagle wzrok kilku zawisł na Muddzie.

Młody Duzzah przełknął ślinę. Cofnął się i krzyknął:

— Za mną! Znam drogę ucieczki.

Rzucił się pędem w stronę wyjścia po przeciwległej stronie pomieszczenia. Nie kłamał. Istotnie spędził w tej madrasie wiele czasu i w przeciwieństwie do uczonych, przychodzących tylko do sali rozpraw, znał dokładnie jej plan. Nie wiedział jednak, co nim kieruje. Skąd impuls, który pchnął go do szalonego czynu? Jeśli Jastrzębie się dowiedzą, że pomógł uczonemu w ucieczce, jest stracony wraz z bratem!

Mędracy wiedzieli, że nie ma wiele czasu. Sześciu ruszyło w ślad Muddy. Dwaj najstarsi i niezdolni do ucieczki powoli wyciągnęli zza kołnierzy buteleczki z trucizną. Od dawna wiedzieli, że heretyckie dyskusje tak się mogą skończyć. Byli przygotowani. Gdy kroki ich towarzyszy umilkły w dali, jeden starzec od razu połknął zawartość, drugi wpierw zmówił modlitwę.

Mudda jednak tego nie widział. Pokonał wraz z Duzzahami korytarz, po drodze zrywając kolejną kotarę. Szybko analizował sytuację: schody w dół prowadziły do bocznego wyjścia, trudno jednak uwierzyć, by i tam nie było strażników. Dlatego wpadł w trzecie wejście po lewej — do skryptorium, przez które przelecieli niczym wichur, przewracając pulpity i depcząc zwoje. Doprawdy, wizja więzienia i zaostzonego pała sprawiała, że starcy biegli szybciej niż za czasów młodości.

Za skryptorium wąski korytarzyk prowadził do magazynu na piętrze. Tam potykali się co chwila, pozbawieni jakiegokolwiek światła, jednak udało im się wreszcie dotrzeć do schodów. Z kolei one wiodły w dół, do małego sklepiku ze zwojami, znajdującego się w skrzydle madrasy.

Mudda ucieszył się, lecz była to radość pełna gorzkości. Wyglądało na to, że zdoła wyprowadzić tych ludzi z zasadzki. Ale co wtedy powie Jastrzębiom? Jak wytłumaczy się człowiekowi w masce? Można oczywiście sprawę ukryć, lecz jeśli którykolwiek z uczonych zostanie schwytany i wzięty na spytki, prawdziwa wersja zdarzeń wyjdzie na jaw.

Muddę dręczyło także to, że sam nie potrafił powiedzieć, dlaczego postanowił pomóc im w ucieczce. Czy zrobił to ze szlachetności serca? A może raczej nie wytrzymał widoku pełnych wyrzutu twarzy i chciał odsunąć od siebie podejrzenia?

Spojrzał w tył, by sprawdzić, czy nikt się nie zgubił w ciemnym magazynie. Na szczęście cała szóstka zbiegała już po schodach.

— Teraz na ulicę! — powiedział, gdy zdyszani stanęli obok. — Biegnijcie w prawo, w cieniu budynków, a potem w pierwszy zaułek. Przy odrobinie szczęścia nas nie zauważą.

Starzec o czerwonej ze zmęczenia twarzy wydyszał:

— Niech... Naj... wyższy... zapłaci ci... za pomoc. Bez ciebie... już bylibyśmy... martwi.

Mudda rzekł:

— Nie czas na grzeczności. Trzeba uciekać. Gotowi?

Gdy mężczyźni potwierdzili, Mudda odsunął trzy kotary i wyskoczył na ulicę. Mędracy ruszyli za nim.

Prosto w zasadzkę.

*

Groty włóczyli skrzyły się w świetle księżycy, podobnie jak szyszaki strażników i dwa obnażone ghanki. Jeden z mędrców próbował wrócić do środka, lecz z rozkazu Jastrzębia powalono go na ziemię. Inny wyszarpnął kindżał, ale zaraz doskoczyło dwóch zbrojnych i wyrwało mu broń. Starcy znieruchomieli. W tym świetle ich blade twarze wyglądały jak martwe. Mudda stał sztywno, zaciskając pięści do bólu.

— Związać te psie ścierwa i odprowadzić do Pałacu Sprawiedliwych — powiedział Jastrząb.

Mudda spojrział mu w oczy. Mężczyzna skrzywił się w złośliwym uśmiechu, a wtedy młody Duzzah spuścił wzrok. Wiedział już, że Nocny Jastrząb nie przepuści okazji, by mu dopiec.

— Dziękuję ci, szlachetny Muddo — rzekł z ironią sługa proroka. — Wyprowadziłeś tych heretyków prosto w nasze ręce. Jakie to szczęście, że do ostatniej chwili dawałeś im nadzieję na wolność. Dzięki temu jedynie dwóch zdążyło odebrać sobie życie.

Mudda przymknął oczy. Nie mógł i nie chciał widzieć, jak patrzą na niego w tej chwili uczeni.

— Ty... zdrajco! Sprzedajny śmieciu! Jak mogłeś? — zawołał z rozpaczą jeden z nich.

— Oby Najwyższy zesłał na ciebie trąd! Psie Vezamara...

— Dość! — przerwał im Jastrząb, po czym rozkazał żołnierzom:

— Wystarczająco się nagadali, zabierzcie ich. Pokrzyczą sobie jeszcze na palu.

Kilku strażników zarechotało.

*

Kashim długo czekał na sen, choć Brenvan dawno już chrapał, niezrażony ani chłodem, ani myślami o demonach piasków, które mogły lecieć ku nim ponad szczytami wydmy. Nawet saury stały bez ruchu, pogrążone w letargu. Święty Jeździec tymczasem obracał się to w jedną, to w drugą stronę, owijając się dla ochrony przed chłodem grubą derką. Nie mógł uspokoić rozkołatanego serca. Gdy tylko zamykał powieki, przed oczyma stawał mu obraz domów z ciemnego kamienia i spiętrzonych ruin pałacu. Leżał więc wgapiiony w piaszczysty stok, licząc w księżycowej poświacie ziarna piasku. Kiedy wreszcie zaczął już czuć szum w głowie, zwiastujący rychłe zaśnięcie, dostrzegł nagle coś niepokojącego.

Światło.

Zza wydmy, na której zboczu leżeli, zaczęła się rozchodzić zielona łuna. Była coraz wyraźniejsza, aż wreszcie Al'Shannagg miał pewność, że to coś więcej niż przywidzenia. Odrzucił derkę i sięgnął ostrożnie po szablę. Spojrzał w stronę Brenvana, zastanawiając się, czy go obudzić.

Upiorne światło przybierało na sile. Kashim wstał i zaczął iść boso w górę wydmy. Miał na sobie tylko koszulę i jeździeckie spodnie, toteż lodowaty wiatr przewiewał go na wskroś. Wkrótce znalazł się na szczycie. Wtedy zamarł.

Przed sobą widział niebo zasnute czarnymi chmurami, a pod nim krainę umarłych. Pustynia zniknęła, a zamiast niej rozpościerało się tu czerwone, spękane pustkowie. Nie było żadnej rośliny, nawet źdźbła trawy, tylko poryta głębokimi szczelinami ziemia. Na niej, jakieś dwieście stóp od miejsca, w którym piasek przechodził w spękaną skałę, leżała piramida z kości. Ów stos czaszek i piszczeli żarzył się jasnym, zielonym światłem.

Kobieta siedziała na tronie. Dokładnie taka, jak zapamiętał z wizji: blada, o czarnych włosach sięgających kostek i zaciśniętych, sinych powiekach.

Kashim poczuł jej nieme wezwanie. Dreszcz przeszedł mu po plecach. Dlaczego znowu go nawiedzała? Przecież zwiastowała tylko zło — najpierw śmierć oddziału, potem wygnanie. Mimo to nie potrafił po prostu odwrócić się i odejść. Wszedł na wymarłą równinę i powoli zbliżył się do tronu. Gdy przestępował nad jedną z szerszych szczelin, spojrzał w dół. Pęknięcia wiodły w mrok, ale zdawało się, że ten mrok się rusza, przelewa i miesza w leniwym tempie. Al'Shannagg wzdrygnął się.

Chwilę potem stał już u podnóża tronu. Spojrzał w twarz zjawy. Kim była? Złą boginią, dawno już zapomnianą przez ludzi? Dlaczego tak przypominała jego matkę, Anda'Kien z Żelaznych Wzgórz? Z głową pełną

pytań, Al'Shannagg przyklęknął.

Błada zjawa rozchyliła powieki.

Kashim spadł w otchłań splątanych wizji.

Widział w nich Tel'Halik w ogniu, ludzi walczących w świetle płonących budynków. Potem Nahara, jak pada z rozciętą twarzą na schodach Piaskowej Iglicy. Stosy obdartych ze skóry ciał, leżące na wjeździe do Żelaznej Doliny.

Dym nad Tel'Amman.

Później znalazł się w zielonych krainach wschodu. Razem z tuzinem pancernych jeźdźców bronił się przed dziwnymi ludźmi w pstrokatych ubraniach, którzy nacierali z halabardami i wielkimi mieczami. Konie kwiczały, padając w piach, a spieszeni kawalerzyści bronili się desperacko za wałem z ich drgających ciał.

Potem Kashim zobaczył armię większą niż w najstraszniejszych snach — żołnierze w szyszakach i bechterach szli nieskończoną kolumną po suchym stepie. Mieli śniade i dzikie twarze. Wyglądali prawie jak mieszkańcy Ocalonej Krainy. Po bokach przejeżdżały chorągwie lekkiej jazdy. Mrowie taborów ciągnących się za armią wyglądało jak ruchome miasto.

Nagle Al'Shannagg zobaczył, jak przed jedną z chorągwi wyjeżdża manhaur w złoconej uprzęży, na którego grzbiecie dumnie siedzi gad o ludzkiej postawie, odziany w srebrzystą zbroję i płaszcz z najprzedniejszego jedwabiu.

Nie można było pomylić tej wydłużonej głowy, oliwkowych łusek i złych oczu: Kashim miał przed sobą Bestię.

Nim jednak zdążył się jej przyjrzeć, znalazł się w środku kolejnej wizji. Tym razem widział przed sobą białą kobietę o krótkich, ciemnych włosach. Kurta z jeleniej skóry ledwo się dopinała na jej pełnych piersiach. Szerokie usta kobiety poruszały się, lecz Al'Shannagg nie potrafił złowić słów. Stała z jedną ręką opartą na biodrze, a drugą na rękojeści dziwnego, cienkiego miecza. Niemal utonął w jej szmaragdowych oczach. Patrzył na czarne, lekko załamane brwi, na drobny nos i ostry podbródek i poczuł przyśpieszone bicie serca.

Zaraz jednak zobaczył tę samą twarz na śniegu, wykrzywioną przez strach i przeraźliwy ból. Zobaczył siebie, jak skulony nad nią próbuje nieporadnymi ruchami zatamować krew ze śmiertelnych ran. I dostrzegł Brenvana, jadącego z bojowym okrzykiem na ustach w sam środek szeregu ciemnoskórych pikinierów. Dziesiątki ostrzy mierzyły prosto w jego pierś.

Kashim załkał z bólu. Nigdy wcześniej nie miał tak długiej, okropnej

wizji.

— Czego chcesz?! — krzyknął łamiącym się głosem. — Dlaczego mnie dręczysz, więdźmo, demonie? Chcesz mnie pozbawić zmysłów, jak matkę?

Nie było odpowiedzi. Jednakże obrazy się zmieniły. Kashim widział teraz młodą dziewczynę w prostym białym chałacie, jak idzie po pustyni. Gdzie tylko stąpnęła, spod piasku wystrzeliwały bujne kwiaty i grube źdźbła trawy. Potem dostrzegł staruszkę, idącego leśną ścieżką i wesoło pogwizdującego. Gałęzie drzew falowały, gdy pod nimi przechodził, zupełnie jakby oddawały wędrowcowi hołd. Trzeci był człowiek w złotej masce, siedzący na wysokim tronie w sali, której ściany aż kapały od drogocennych arrasów i szczerozłotykh kadzielnic. Czwartym okazał się młody rybak siedzący w dłubance pośrodku zatoki. Był pochmurny dzień, wicher spiętrzał wody w wysokie fale, jednak wokół łodzi toń była zupełnie gładka. Potem...

Potem Kashim widział jeszcze dwie czy trzy postacie, ale zmęczony rozum zaczął odmawiać mu posłuszeństwa. Usłyszał cichy głos.

— Strzeż się starej krwi. Strzeż się, bo pożera własne dzieci. Strzeż się ludzi, których mógłbyś pokochać. Śmierć kroczy za tobą, zgubieni ci, których zatrzymasz przy boku.

Kashim zaczął osuwać się w mrok. Ostatnie obrazy przemknęły przed jego oczyma, a potem była już jedynie ciemność i przejmujący chłód. Chłód, który wciąż narastał.

Al'Shannagg wzdrygnął się.

Ciało miał całkiem zdrętwiałe, zupełnie jakby skóra i mięśnie zmieniły się w warstwę lodu. Otworzył oczy i spostrzegł, że stoi na szczycie wydmy. Promienie księżyca oświetlały łagodnie pofalowaną, piaszczystą równinę. Nie było już tronu ani czerwonej ziemi. Czy wizja była prawdziwa? Miał nadzieję, że to ledwie senny koszmar. Lecz czemu stał tutaj, zamiast leżeć pod kocami?

Gdy chłód stał się zbyt dotkliwy, Święty Jeździec wrócił do podróźnej maty. Owinął się szczelnie, by rozgrzać zdrętwiałe kończyny. Tym razem, mimo ponurego nastroju, zasnął szybko. Wcześniej zdążył jeszcze tylko pomyśleć, że jeśli wizja była prawdziwa, i za nim, i przed nim jest tylko rozpacz. Może lepiej, by zginął wśród piasków?

Rozdział 4. Kraniec świata

Mazznar, Yholed i prorok Vezamar siedzieli w ogrodzie, delektując się owocami yari i świeżym, porannym powietrzem. Zupełnie jak za starych czasów. Słowik śpiewał, mgła wisiała między krzewami róż. Daleko nad murem wylaniały się z jej oparów wieże Pierwszej Świątyni, których szczyty zaczynały błyszczeć w promieniach wschodzącego słońca. Tylko jeden szczegół nie pozwalał myśleć, że jakimś dziwnym trafem czas, ów niestrudzony biegacz, który nigdy nie odpoczywa, dziś się cofnął. Po murach ogrodu chodzili gwardziści, około dwudziestu. Nawet w trakcie spotkania z przyjaciółmi Vezamar dbał o bezpieczeństwo.

— Jeśli dobrze rozumiem — rzekł Mazznar — wpływy do skarbcza Pałacu Proroka mają wzrosnąć ponad trzykrotnie. Tak wynika z edyktów, jakie nam przedstawiłeś, przyjacielu.

Vezamar skinął głową i sięgnął po porcelanową czarkę z wywarem.

— Nie oczekujesz chyba, że wyrazimy na to zgodę, nie wiedząc nawet, w jakim celu potrzebujesz tak dużej ilości złota?

— Nie proszę was o zgodę, drogi Mazznarze. Pamiętaj, że jestem prorokiem, a dni naszego... triumwiratu dobiegły końca. Po prostu...

Przerwał, widząc, jak jeden ze strażników, którzy obchodzili mur, kładzie się beczelnie pod drzewem. Uznał jednak, że zajmie się tym później, i kontynuował:

— Po prostu wciąż chętnie słucham waszych spostrzeżeń, uczeni przyjaciele. No i chciałem, żebyście wiedzieli, w jaką stronę ma iść Święte Miasto, by własną pracą i pracą podległych urzędów wspierać ów marsz.

— Marsz ku czemu? — spytał z naciskiem Yholed.

— Ku wykonaniu planu, jaki objawił mi Wysłannik Niebios.

Yholed machnął kościstą ręką.

— Tyle wiemy już od dawna. Nie sądzisz jednak, że powinieneś zacząć wprowadzać nas w szczegóły?

— Niestety, przyjaciele. Szczegóły, o których mówicie, były przeznaczone tylko dla moich uszu. Jedynie ja i Wysłannik je znamy. Mogę wam...

Vezamar znów umilkł. Zmrużył oczy, patrząc na pogrążony we mgle ogród. Kolejnych dwóch strażników ułożyło się na ziemi, trzeci skulił się na

wąskim szczycie muru. Działo się coś bardzo niepokojącego.

— Mogę wam powiedzieć — podjął powoli prorok — że w ciągu roku będzie nam potrzebna wielka armia. Najmniej pięć tysięcy ludzi z pełnym uzbrojeniem, kilka skrzyń złota, dwie setki bacharnów.

— To przecież wyprawa wojenna! — krzyknął Yholed. — Gdzie zamierzasz... Poczekać! Widziałeś to?

Pokręcony reumatyzmem palec Duzzaha wskazywał miejsce, gdzie dopiero co zasnął kolejny strażnik — wpierw odrzucił pikę, potem znalazł sobie wygodny kawałek trawy i położył się na nim jakby nigdy nic.

— Przygotujcie się do wezwania pomocy, przyjaciele — rzekł Vezamar, wyciągając zza pasa długi sztylet.

Chwilę siedzieli w napięciu, obserwując cichy i zamarty w bezruchu ogród. Nie widzieli już ani jednego gwardzisty; nawet słowik umilkł. Pomarszczone twarze Duzzahów były blade ze strachu. Wtedy między drzewami pojawił się on.

Szedł majestatycznie — czarna plama wśród mlecznych oparów. Gdy zbliżył się na tyle, by trójka dostrzegła pokrytą gęstymi ornamentami maskę, Vezamar krzyknął:

— Co ty zrobiłeś, Snaar?! Oszalałeś? Chcesz, by ktoś cię zobaczył?

Gad wszedł na taras, skłonił się i powiedział szyderczym tonem:

— Wybaczcie ten mały pokaz umiejętności, o władcy Tel'Halik. Wydaje mi się jednak, że musiałem przypomnieć, gdzie jest czyje miejsce. I że jeśli będę z was niezadowolony, nie pomogą wam ani kamienne mury, ani gwardia.

— O czym mówisz, Wysłanniku Niebios? — powiedział łamiącym się głosem Mazznar. — Jesteśmy wierni i...

— Naprawdę? — przerwał mu gad. — Ja widzę co innego. Widzę wewnętrzne starcia i spiski, których być nie powinno. Cóż się stało, moi drodzy mędracy? Czy po zdławieniu wszystkich niewiernych zaczęliście własnych ludzi dzielić na wiernych i wierniejszych?

— Posłuchaj, Snaar. Zupełnie nie wiem, o co ci chodzi — rzekł Vezamar.

— Nie? Dzisiaj w nocy dokonano zamachu na paszę Asimara! Chyba powinniście posłać na pal swoich szpiegów, jeśli jeszcze o tym nie donieśli. Teraz jednak powiedzcie, przyjaciele: komu ten gruby opój był taką zawadą, że zdecydował się go usunąć?

Mędracy popatrzyli po sobie ze zdumieniem.

— Wiem, że to jeden z was, sucze syny! — krzyknął gad. — Co gorsza,

zamachu dokonano rękoma trójki moich Jastrzębi! Kto ich kupił? Kto wydał rozkaz?

Starcy nie odpowiadali.

— Nie spodziewałem się, że któryś od razu przyzna się do winy. Mówię jednak do wszystkich: nie psujcie planu. Zapomnijcie o prywatnych wojnach czy nieuzgodnionych działaniach. Jeśli to się powtórzy, nie spotkacie się już w tak licznym gronie. Rozumiemy się?

Mędracy z ociąganiem potwierdzili.

— Doskonale. Następną sprawą, z jaką się zjawiam, również wyprowadziła mnie z równowagi. Otóż ktoś myszkuje po podziemiach i wierzę, że to wasza sprawka. Zostawcie Kaan’Baash w spokoju. Ono należy do mnie.

— Nigdy nie...

— Milczeć! Nie interesują mnie kłamliwe tłumaczenia, jedynie fakty. Jeśli jeszcze raz odkryję wasze nieposłuszeństwo, nie będę się bawił w usypianie straży oraz służby. I srogo was ukarzę.

To mówiąc, odwrócił się i szybko ruszył ku murom. W połowie drogi rzucił jeszcze za siebie:

— Pamiętaj, Vezamarze. Najwyższy czas, byś rozpoczął realizację planu.

— Zaczynam dzisiaj, Wysłanniku. Wieczorem ludzie poznają jego pierwszą cześć.

Gad lekko skinął głową. Gdy był u podnóża ściany, przesadził ją wielkim susem i zniknął we mgle. Trójka Duzzahów została sama ze swoimi wątpliwościami i podejrzeniami. Od tej chwili zaczęli patrzeć na siebie uważnie, jakby z samych wyrazów twarzy próbowali odgadnąć, który w ukryciu przed towarzyszami toczy własną grę. Pełna melancholii atmosfera spotkania natychmiast się ulotniła.

*

O świcie, gdy Brenvan obudził się za sprawą słońca, które właśnie podniosło się nad wydumą i teraz świeciło mu prosto w twarz, Kashim już dawno był na nogach. Pogwizdując, pracował przy trzech juczych saurach, zdejmował z nich uprząż, przepakowywał sakwy.

— Puszczasz je wolno? — spytał Brenvan.

— Owszem — odparł Święty Jeździec, nie odwracając się. — Wody zostało tyle, że udźwigną ją nasze dwa, a pozostałe tylko zmniejszałyby zapasy.

— Wypuszczone tutaj, nie przeżyją, prawda?

Al'Shannagg wzruszył ramionami.

— Tylko Jedyny wie. Saury długo wytrzymują pragnienie, choć słabną i stają się powolne. Mają dziesięć, może dwanaście dni, żeby znaleźć jakieś źródło wody. Przynajmniej wypuszczam je porządnie napojone.

— To konieczne?

Kashim uśmiechnął się.

— W Świętym Mieście wielu ludzi kocha zagadki — rzekł. — I kiedyś słyszałem taką: Ilu tragarzy ma wynająć i jak winien postępować podróżny, który chce przejść od Tel'Halik do Tel'Amman szlakiem przez pustynię? Droga trwa osiemnaście dni, a każdy z tragarzy oraz sam podróżnik mogą unieść po dwanaście bukłaków, które dla jednej osoby starczą tylko na dwanaście dni wędrówki.

— Zagadki? Wyśmienicie, kocham je. Poczekaj chwilę.

Po zastanowieniu Brenvan odparł:

— Ha! To proste. Trzeba trzech tragarzy. Każdy bierze dwanaście bukłaków, pan bierze tylko miecz. Najpierw trzy dni wszyscy piją wodę pierwszego. Trzeciego dnia ma już suche bukłaki, więc pan go ścina i wszyscy przez cztery dni piją wodę drugiego. Ósmego dnia rano pan zabija obu tragarzy, bierze worki ostatniego i teraz może spokojnie iść. Wystarczy mu wody na dwanaście dni, a ma przed sobą tylko dziesięć dni podróży.

Kashim popatrzył na Brenvana zdziwiony, a potem wybuchnął śmiechem.

— Nie, nie o to chodzi. Nikogo nie trzeba zabijać! Można wziąć dwóch i obyć się bez miecza. Trzy osoby biorą po dwanaście bukłaków. Pierwszego tragarza odsyłamy z powrotem po trzech dniach, wypiwszy wcześniej jego dziewięć bukłaków. Wraca bezpiecznie, mając zapas dla siebie na trzy dni. Drugiego puszczamy z powrotem po kolejnych trzech dniach, gdy ma jeszcze zapasu na sześć dni powrotu. My zaś idziemy do przodu i w dwanaście dni docieramy do celu.

— Ha! No tak, ale wtedy musimy sami dźwigać bukłaki przez całą drogę! — zaprotestował Brenvan. — Czy życie niewolników jest u was tak cenne?

Kashim pokręcił głową.

— Już przeczuwam, że wasz kraj mnie zadziwi. A całą historię przytaczałem tylko po to, byś zrozumiał, jak pokonuje się długie odcinki na pustyni.

— Rozumiem, mimo to żal puszczać te wspaniałe wierzchowce wolno. — Brenvan westchnął.

Wstał, by rozprostować kości. Myślał o saurach jak o innym rodzaju koni, a te ostatnie w jego rodzinnych stronach darzono ogromnym szacunkiem. Wielu jeźdźców prędzej zaryzykowałoby śmierć z pragnienia lub poświęciło życie sługi, niż porzuciło konia na pustkowiu. Pustynia rządziła się jednak własnym, surowym prawem.

Chwilę później jechali już na wschód. Zwierzęta na razie szły ciężko, ale promienie słońca grzały coraz bardziej. Wiedzieli, że już niedługo saury będą gotowe do biegu. Znudzony Brenvan oglądał monotony krajobraz. Potem, z braku lepszego zajęcia, zawiesił wzrok na towarzyszu. Dopiero wtedy spostrzegł, że Kashim jest blady, a oczy ma podkrążone.

— Źle dziś spałeś?

— Tak. Dopadły mnie dziwne sny — odparł Jeździec.

Chwilę jechali w milczeniu.

— Mam pytanie, białoskóry — powiedział wreszcie Kashim.

— I bardzo dobrze. Przyznam, że nudzi mi się wprost piekielnie, a ty okazałeś się rano mało rozmowny. O co chodzi?

— Pamiętasz, jak mówiłeś, że u was nie czcicie Jedynego? Że wciąż macie wielu bogów?

— Tak. Dawno temu wierzono w istnienie Wielkiego Stwórcy. Ale teraz nikt chyba nie bierze już tego poważnie.

— No to powiedz mi, skąd się wzięły wasze krainy?

— Co masz na myśli?

— Co było na początku? Księga zaczyna się od momentu, gdy białoskórzy zniewolili ludy pustyni. Rad bym wiedzieć, jak świat wyglądał wcześniej. Przecież wasz kalendarz, wasza...

— Era Książąt — podpowiedział rycerz.

— Właśnie. Era Książąt trwa ponad pięćset lat, a więc dłużej niż historia Tel'Halik. Miasto, które mijaliśmy, także było znacznie starsze. Widzisz, wojownik ze wschodu, odkąd pochopnie wmieszałem się w tajemnice, jakie kryje Ocalona Kraina, cały czas trafiam na kolejne i kolejne pytania. Może część odpowiedzi kryje się w minionych dziejach?

— Niestety, Kashimie. Obawiam się, że niewiele ci pomogę. Owszem, byłem za młodu w szkole, ale historii uczono mnie mało. A z tego większość lekcji dotyczyła możnych rodów i słynnych rycerzy Learfeld. Musisz spytać kogoś z naszych mędrców. Albo chociaż kapłana czy trubadura.

— Na Jedynego, nie widzę w okolicy kapłanów ni trubadurów. Powiedz tyle, ile wiesz.

Brenvan zastanawiał się chwilę.

— Kiedyś mnich opowiadał nam, że u zarania dziejów świat zamieszkiwali dzicy, którzy nie znali sekretów metalu, wozów ani pisanych praw. Zupełnie jak niektóre szczepy Marovian czy Wetowie z północy. Czčili złożone bałwany, składali im ofiary z dziewic oraz młodzieńców. Nad Wielkim Morzem zjawił się jednak lud zmyślniejszy od innych. Lud ów potrafił robić miecze z brązu, budować świątynie, wysokie mury. Zwali się Dorianami. Dorianie szybko podbili okoliczne ludy, biorąc w jasyr wielu niewolników. Żyli rozpustnie, nie znali litości czy honoru. Jednak ich armia wydawała się niepokonana. Założyli imperium, które sięgało od skraju Południowych Księstw po równiny Learfeld. Ich wpływ sięgnął jednak dalej, bo nawet ludy niepodległe Dorianom chętnie przejmowały ich wiedzę, a z czasem również bogów.

— Bogów?

— No tak. Ponoć w początkach swojej supremacji Dorianie czcili jeszcze Wielkiego Stwórcę, ale mimo to co rusz musieli się zmagać z zarazami, suszą i rozlicznymi plagami. Ich imperium chwiało się w posadach. Wtedy właśnie kapłani i ludzie czystego serca zaczęli doznawać objawień. W snach i wizjach przemówiło do nich Dwunastu Nestorów, zwanych też Złotym Tuzinem. Byli to prawdziwi bogowie, w przeciwieństwie do Stwórcy, którego czczono od czasu pierwszych szczepów. Ta dwunastka opowiedziała prawdziwą historię stworzenia świata, wyzwoliła ludzi od plag, a swoim kapłanom dała wielką moc. Niestety, nie wszyscy Dorianie chcieli przyjąć Nestorów. Wybuchła wojna, ciągnąca się przez dwie setki lat. Popłynęło morze krwi. Co prawda nestorianie zwyciężyli, lecz całe imperium Dorian zostało osłabione i wkrótce się rozpadło, szarpane przez barbarzyńskie szczepy. Zaczęła się Era Książąt.

— Dlaczego Książąt?

— Bo najbardziej rozwinięte i waleczne plemiona, które przyswoiły sobie najwięcej mądrości Dorian, chciały sięgnąć po władzę nad ich lennem. Podbijały sąsiednie ludy, a ich władcy zaczęli stawiać zamki na wzór dorski oraz formować regularną armię. Najszlachetniejszy i najwspanialszy z nich — Godryk Dwumiecz — stał się założycielem dynastii Aam Goadric, która stworzyła Learfeld.

Brenvan przerwał na chwilę, żeby poprawić turban i popędzić saura. Zbliżało się południe. Żar był trudny do zniesienia, ale gady dopiero teraz otrząsnęły się z nocnego chłodu. Biegły rześko.

— Mów dalej — ponaglił zaciekawiony Kashim. — Co się stało z Dorianami?

— Ich państwo upadło. Prowincje zostały utracone, wiele miast i budowli, w tym ogromne porty i wspaniałe akwedukty, popadło w ruinę. Niektóre rody zaczęły się mieszać z władcami ościennych królestw lub napływającymi falami barbarzyńców. Powstała skomplikowana płatanina małych księstw. Setki lat toczyły ze sobą wojny, dynastie kolejno rosły i upadały, spisek rósł na spisku. Więcej ci nie powiem, Kashimie. To zbyt skomplikowane historie, i tylko kapłani, kronikarze oraz dworzanie mają w tym jakieś rozeznanie. My w Learfeld nazywamy ich po prostu Południowymi Księstwami. Ale to już nie Dorianie. Dorian czystej krwi zostało bardzo niewiele i raczej nie są kochani. A już szczególnie ta garstka, która wciąż wyznaje tajemny kult Wielkiego Stworzyciela. Ponoć zjadają noworodki, a z ich krwi pieką chleb. W kilku miastach Learfeld mają swoje getta. Natomiast budowle Dorian można jeszcze obejrzeć. Jedna nawet jest w Caerleighmarch — niedaleko zamku ojca, choć jej widok może cię rozczarować. To ruiny strażnicy, dziś została już z nich tylko najniższa kondygnacja. Jest jeszcze mur szeroki na dziesięć kroków, który przechodzi przez nasze ziemie i sporą część Learfeld. Z roku na rok jest go jednak coraz mniej, ponieważ ludzie rozbierają go na budulec. Oprócz ruin przetrwało też sporo wiedzy Dorian. W Południowych Księstwach niedawno zaczęto się nią powszechnie interesować, ale dla mnie to bzdura. Dopiero spryt Dorian, połączony z siłą i honorem jasnowłosych barbarzyńców, mógł dać początek prawdziwej szlachcie, królestwom takim jak Learfeld oraz Gotrland. Zresztą cóż nam przyjdzie z badania ludu, który upadł w bratobójczej wojnie? Głowa naszego zakonu, szlachetny kawaler Aam Morigadb, zawsze mówił, że trzeba brać przykład z wielkich czynów, a nie...

— Poczekaj chwilę — przerwał mu Kashim. — Po kolei, bo się w tym wszystkim zgubię. A jak powstał ów Yauran, którego tak się boicie?

Brenvan oburzył się:

— Co?! Na Yeilne, człowieku z pustyni, jak można się bać tych ciemnoskórych psów?! Tych żałości godnych niewolników! Jeden rycerz potrafi przecież rozpędzić dwudziestu yaurańskich piechurów. A hrabia Ragnald w czasie ostatniej wyprawy na ich ziemie własną ręką położył trzy setki!

Po chwili dodał jednak:

— Przyznam, że niepokoje nas ich liczba oraz coraz zuchwalsze najazdy.

Ale od ostrożności do strachu jest jeszcze długa droga.

Kashim się uśmiechnął.

— Nie chciałem cię denerwować. Zapomniałem, jak łatwo wy, białoskórzy, unosicie się honorem. Opowiedz mi po prostu o najdawniejszej historii Yauranu.

— Daj spokój, Kashimie. Chcesz, żeby mi się głowa zagotowała? O Yauranie wiem jeszcze mniej niż o Dorianach. Tyle tylko, że wyglądają podobnie jak ludy z Zachodnich Pustkowi, a ich cesarz włada największym królestwem świata. Są ich miliony, ale wszyscy cierpią pod jarzmem despoty. To karni żołnierze, lecz słabi i bez wielkiego ducha, jaki ma nasza szlachta.

— Kiedy to cesarstwo pojawia się pierwszy raz w waszej historii?

— Nie wiem! Niech mnie diabli, że nie wiem! Chyba już Dorianie z nimi walczyli, ale by mieć pewność, musisz spytać kogoś o rozleglejszej wiedzy.

— I naprawdę nie powiesz mi już nic o Yauranie?

— No, znam jeszcze opowieści o kilku ostatnich wojnach, ale współczesne dzieje cię chyba mniej interesują?

— Na razie. Potem zajmiemy się nimi szerzej.

— No to wiem jeszcze, że w Yauranie najwyżsi oficerowie są gadami o ludzkiej posturze.

Kashim ściągnął wodze saura. Twarz mu poczerwieniała.

— Powtórz, białoskóry.

— Tak mi opowiadali rycerze, którzy bili się w ostatniej wojnie. Generałowie Yauranu nie są ludźmi, to diabły o łuskowatej skórze. Władają potężną, złą magią, a żołnierze idą za nich w ogień bez chwili wahania.

Święty Jeździec zacisnął zęby. Czy to stamtąd przybyła Bestia? Mogła przecież tylko podawać się za Wysłannika Niebios, by wypełniać własne cele. Ale to przecież niemożliwe! Musiałaby przejechać całe krainy wschodu oraz pustynię! Choć z drugiej strony... Jeśli miała potężny dar, mogła wszystko. To jednak nie tłumaczyło, dlaczego Jedyny pozwalał przybłądzie z obcej rasy podawać się za własnego posłańca. Dlaczego ów przybłąda mógł korzystać ze swych demonicznych sił w samym sercu Świętego Miasta...

Kashim pogрузzył się w ponurym milczeniu. Och, jak bardzo pragnął zawrócić! Powiedzieć komuś o tym, czego się dowiedział, znaleźć sojuszników, pokonać potwora. Ale to brzmiało jak bajka dla dzieci, a życie przecież nie było bajką. Wiedział, że nikt mu nie pomoże, a jeśli nawet tak, to moc Bestii mimo wszystko może zatryumfować...

Brenvan dostrzegł zmianę nastroju towarzysza, próbował na powrót zająć

go rozmową. Kashim jednak ignorował wszystkie pytania, aż wreszcie rycerz zdenerwował się i także zamilkł. Dość długo jechali w ciszy. Wreszcie Kashim ocknął się, skierował saurę w bok, zatrzymał go i stanął w strzemionach, zwracając głowę to w jedną, to w drugą stronę. Brenvan również stanął. Popatrzył na linię horyzontu, ale zupełnie nie potrafił zgadnąć, o co chodzi. Może miał mniej bystre oczy?

Szybko jednak zorientował się, że Święty Jeździec nie rozgląda się, lecz węszy.

— Co czujesz? — spytał Aam Caerleigh.

— Dopiero teraz zwróciłem na coś uwagę. Zdaje mi się, że opuściliśmy martwe piaski.

— Na Yeilne, więc jednak nie straciłeś języka? Skąd wiesz? Pustynia wygląda tak samo, jak wczoraj. I jak przedwczoraj.

— Wciągnij powietrze.

Brenvan wziął kilka głębszych oddechów.

— Może nie jest już tak gorące, ale możliwe, że po prostu się przyzwyczaiłem.

— Nie, białoskóry. Doprawdy, twoje plemię ma chyba całkiem stępione zmysły. W powietrzu nie ma palącej suchości. Czuję obecność geniuszy wody. Co prawda niezwykle słabą i rozproszoną, lecz to już coś znaczy.

— Znowu magia.

— Nazywaj to sobie jak chcesz, ale dam głowę, że jeszcze przed wieczorem zobaczymy pierwsze rośliny.

— Nie wierzę! Za gorąco tu i za sucho.

— Rozumiem, że przyjmujesz zakład?

— Tak, ale nie o głowy. Szkoda by cię ścinać, zanim zobaczysz Caerleighmarch. Ten, który przegra, kupuje trunki w każdej gospodzie, w jakiej zatrzymamy się po drodze do zamku mojego ojca.

Kashim uśmiechnął się przebiegle.

— Ja mam sakiewkę złota z oazy Hazmud. A ty? Okażesz się wypłacalny, jeśli przegrasz?

— Mam jeszcze parę dukatów w zanadrzu. Ale tym się nie martw, bo zapewniam cię, że nie przegram.

Ledwie po czterech klepsydrach jazdy po nawietrznych stronach wydm zaczęły ukazywać się kawałki suchej i spękanej ziemi. A po pięciu Kashim znalazł kamień, którego północna strona była pokryta srebrno-zielonym porostem. W dalszą podróż wędrowcy ruszyli w wesołym nastroju. Nawet

przeegrany zakład nie mógł Brenvanowi przyćmić radości z tego, że oto wraca szczęśliwie do domu.

*

— Patrz, siostró! — krzyknął Izhi. — Świątynni ciągną Dirhuza. I dobrze mu tak, staremu skąpcowi.

Jelaya spojrzała na koniec ulicy, w miejsce które wskazywał jej brat. Trójka Czerwonych Turbanów ciągnęła tamtędy grubego kupca. Izhi splunął na ziemię i rzekł:

— Ojciec opowiadał, że ten robak nie płaci należnych podatków i dlatego tak dobrze mu się powodzi w interesach. Teraz zapłaci za wszystko z nawiązką!

Dirhuz kwiczał jak zarzynany prosiak, zwiesił się na ramionach mężczyzn, a jego drżące nogi wzbily z ziemi tuman kurzu. Musiał przeczuwać, jak surowo zostanie ukarany. Ciała tych, którzy nie chcieli lub nie mogli wypłacić poborcom wszystkich należności, coraz częściej wystawiano przed mury.

— Grzesznicy będą ukarani — zacytowała Księżę Jelaya, choć na myśl o losie kupca cierpła jej skóra.

— Najwyższy o to zadba — odparł jej brat. — Patrz, jak żałosny jest ten grubas. Gdybym to ja miał umrzeć, szedłbym z podniesioną głową. Co mu da wybuch hysterii?

Jelaya wzdrygnęła się. „Gdybym to ja miał umrzeć”. Przez głowę przeleciały jej jakieś upiorne wyobrażenia, lecz szybko je rozgoniła. Ścisnęła mocniej dłoń brata, a potem poprosiła:

— Chodźmy już, bo spóźnię się na czytanie.

Skręcili w Zaulek Sześciu Kramów, którym można było na skróty dojść do placu przed Pałacym Skrybów. Rozpięte między dachami markizy dawały tu przyjemny cień. Jelaya z zaciekawieniem zaglądała do wnętrz sklepów. Wbrew nazwie ulicy, było ich tu co najmniej dziesięć.

W parę chwł byli już na miejscu. Pałacyk Skrybów znajdował się na uboczu, z dala od reszty publicznych instytucji Świętego Miasta. Otaczały go białe domy mieszkalne, tak spiętrzone, że do niektórych można było dojść tylko po płaskich dachach.

Na placu przed kolumnadą biegały zakurzone i umorusane dzieci. Strażnik, który stał w cieniu przy bramie, śledził je leniwym wzrokiem. W półotwartych wrotach tkwił, czekając na uczennice, chudy jak tyczka Duzzah.

Jelaya wiedziała już, że strażnik nie jest zwykłym żołnierzem, tylko Jastrzębiem Najwyższego, choć służbę pełnił w przebraniu. W zakamarkach Pałacyku zawsze przebywało jeszcze kilku, choć trudno powiedzieć, skąd się brali, bo żaden nie wchodził ani nie wychodził przez główną bramę. Jelaya jednak nie zastanawiała się nad tym, skupiona na zbliżającej się lekcji.

Jej brat przyjął od Duzzaha pół srebrnej centimy, skłonił się i ruszył w cień najbliższego budynku, pod którym już stało kilkunastu młodych mężczyzn. Jelaya tymczasem weszła do środka. Jeden ze służących przeprowadził ją przez ciemne korytarze do przyjemnie chłodnej sali. Tam, na jedwabnych poduszkach, siedziały inne kobiety. Nie znała ich tożsamości, bo już przed pierwszą lekcją Duzzahowie surowo przykazali wszystkim nosić jednakowe, całkiem czarne burki. Nie wolno też było zdejmować przy czytaniu kwefów ani rozmawiać. Mimo to po tym, że zebrane niewiasty siedziały prosto i spokojnie, a mówiąc używały poprawnej mowy, dało się poznać, iż pochodzą ze szlchetnych rodzin.

Gdy tylko córka Iznaka zajęła miejsce, do sali wszedł inny Duzzah. Siadł ze skrzyżowanymi nogami na niedużym podwyższeniu i przysunął do siebie pulpit.

— Niech Najwyższy was strzeże i broni przed grzechem, na który niewiasty są szczególnie podatne — rzekł.

Kobiety skłoniły się. On tymczasem położył na pulpicie otwartą Księgę. Odklepał modlitewną formułkę, a potem rozpoczął nauki:

— Dziś, szlchetne córki Tel’Halik, nauczę was, jak być dobrymi oczyma i uszami proroka. Dowiedcie się, do kogo należy się zwrócić, gdy będziecie świadkami przestępstwa lub spisku. Poznacie też, jak zachować anonimowość, składając donos do Pałacu Sprawiedliwych.

Tu odchrząknął, żeby przeczyścić gardło.

— Nieraz już mówiliśmy, że w dzisiejszych czasach coraz bardziej mnożą się grzesznicy i herezje. Wielu nie wspiera prawowitej władzy nowego proroka, wielu źle mu życzy. Sam słyszałem, drogie siostry, zaprzańca, który głośno twierdził, że Światło Pustyni, ukochany nasz pan Vezamar, jest złem wcielonym. Złem! Wyobrażacie sobie? Ów nieszczęśnik nie mógł zrozumieć, że Jedyny nie zdzierżyłby nawet, gdyby miejsce w iglicy zajęła osoba mało godna, a co dopiero zła! Wtedy krainę czekałaby nowa zagłada. Wtedy bylibyśmy już dawno martwi. Bowiem: „Kto przeciw mnie wystąpi, w ogniu zgorzeje”.

Ostatnio rozpleniły się historie o prastarych grotach pod miastem, gdzie

miałyby się kryć demony i źli ludzie. Powiadam wam: to prawda! Od wielu lat w tajemnicy Jastrzębie Najwyższego toczą walkę w podziemnym świecie. Musicie bowiem wiedzieć, że bluźniercze białoskóre bestie wkradły się tam, prawdopodobnie przez tunele i szyby sięgające samego Marrenvan!

Kilka kobiet westchnęło ze strachu.

— Ich zła moc potrafi sprowadzić na drogę grzechu nawet cnotliwych mężów. Po zachodzie słońca owe obmierzłe istoty opuszczają leża i krążą ulicami, by tkać swą bluźnierczą magię. Mogą opętać każdego. Musicie być czujne! Najwierniejszy bowiem człek, gdy zostanie opętany czarem, może szkodzić prorokowi i namawiać przeciw niemu. Wtedy zaś, siostry, winnyście jak najszybciej przekazać sprawę Duzzahom lub Jastrzębiom. Baczcie jednak! Zło i pośród nas zapuszcza korzenie. Najlepiej więc zwrócić się do kogoś z prowadzących tę szkołę: do mnie, do Duzzaha Tantahara czy innych. W najgorszym wypadku możecie zgłosić sprawę kadiemu lub starszym mędrcom z Pałacu Sprawiedliwych.

Wiem, że wiele z was ma szlachetne serca, które buntują się na myśl o wydaniu członków własnego rodu. Zaczne to i chwalebne. Jednakże czyż do chorego nie sprowadzacie lekarza, gdy widzicie, że jego ciało słabnie? Tak samo do chorego na umyśle i duszy winnyście sprowadzić uczonych w Księdze, którzy z tymi chorobami uczyli się walczyć od młodości. „Wierność wobec rodziny, oddanie wobec męża kupują kobiecie drogę do raju”, powie niejeden. I będzie mieć rację. Na cóż jednak zda się wierność drzewa wobec ziemi, gdy ziemia zmieni się w piasek? Na cóż zda się wierność ryby wobec jeziora, gdy jezioro wyschnie? Jeden grzesznik, gdy nie zostanie powstrzymany, może przywieść do zguby cały ród! Która z was chciałaby wziąć za to odpowiedzialność? A powiadam wam: ten, który widzi grzesznika i go nie powstrzymuje, tak samo jest winien! W tym wypadku: winien najgorszej zbrodni. Skazany na męki i piekło Marrenvan!

To mówiąc, Duzzah uderzył pięścią w pulpit.

— Nawet jeśli wasz bliski zginie, nawet jeśli zostanie uznany za winnego, ocalicie resztę rodziny przed zepsuciem, piekłem, śmiercią. Czasem możecie myśleć, że jego wina nie jest duża, że, ot, powiedział w uniesieniu kilka głupich słów. Otóż jest to grzech pychy! Jedyne Duzzah potrafi rozstrzygać o wielkości winy, jedynie kadi może wydać sąd! Nie wy! Nie próbujcie same decydować o czyjejs wini czy niewinności! Jeśli człowiek, którego podejrzewacie o grzech, jest niewinny, sąd dowiedzie tego ponad wszelkie prawdopodobieństwo. Wy zaś zyskacie uznanie w oczach

Duzzahów, ten bowiem, który był sądzony i nie dowiedziono mu winy, bardziej godny zaufania jest niż ten, który nie stanął nigdy przed sądem. Odpowiadajcie zatem na każdy ślad grzechu. Ba! Na samo podejrzenie, że taki ślad istnieje. Rzekł bowiem Bóg: „Jako jeden bacharn parszywy złożyć zarazą potrafi całe stado, tak jeden grzesznik zepsuć może całe miasto”. Wielekroć już, siostry, widziałem godny pożałowania obraz, kiedy to z powodu źle pojętej lojalności kobiety przymykały oko na grzechy w rodzie. Wszystkie te historie, bez wyjątku, zebrały tragiczne żniwo, które możecie obejrzeć w dzień przed murami Świętego Miasta. Dlatego pytam was: nie popełnicie nigdy tego błędu?

— Nie — odparły zdecydowanie kobiety, a wśród nich Jelaya.

*

Wieczorem pustkowie zaczęło się zmieniać. Z każdym ujechanym farsangiem piasku było mniej, aż w końcu Kashim i Brenvan zobaczyli przed sobą płaski, wysuszony step, z rozsianymi tu i ówdzie kępami zeschniętej trawy. Gdy minęli ostatnią wydmnę, a właściwie stertę piachu wywianą w step, Kashim zatrzymał wierzchowca i obrócił się. Długo patrzył na majaczące na horyzoncie kształty wydmi, nad którymi zawisło wieczorne słońce.

— Widziałeś tam coś? — spytał w końcu Brenvan.

— Nie. Po prostu zdałem sobie sprawę, że oto stoję na krańcu świata. Na brzegu Ocalonej Krainy.

Brenvan wzruszył ramionami.

— Zapewniam, że do krańca świata jeszcze nam daleko. Zresztą znajduje się ponoć na morzu, więc bez obaw.

Kashim mimo to długo patrzył tęsknie na pustynny krajobraz.

— No dalej, jedźmy już — ponaglił go Brenvan.

— Daj mi trochę czasu. Po prostu... Boję się, że mogę już nigdy nie zobaczyć Ocalonej Krainy.

— Jeśli będziesz co chwila stawał i rozmyślał, nie zobaczysz jej z pewnością. Do pierwszych ludzkich siedzib mamy jeszcze kawał drogi.

Kashim Al'Shannagg z ciężkim sercem zawrócił na wschód. Przed nim noc rozpościerała skrzydła nad światem, niebo na horyzoncie przybrało ciemnogrnatową barwę. Obce krainy witały Kashima ciemnością i pustką. Przez okamgnienie pomyślał nawet, że dał się zwieść demonowi, a teraz jedzie prosto w objęcia śmierci — do Marrenvan. Szybko jednak otrząsnął się z tych absurdalnych przypuszczeń. Kto jak kto, ale Brenvan z pewnością nie był demonem. Już prędzej Kashim podejrzewałby o to ludzi, których

właśnie zostawiali daleko za sobą.

*

Plotki były niechętnie widziane przez Duzzahów, stąd ostatnimi czasy plotkowano ostrożnie i tylko w małym gronie. Każdy liczył się z tym, że jego rozmówca może być płatnym donosicielem. Nieoficjalny cennik Pałacu Sprawiedliwych był już powszechnie znany: pięć srebrnych centim za bluźniącego przeciw Duzzahom i Vezamarowi, złota centima za heretyka, trzy złote centimy za spiskowca. Jako że za wskazanie plotkarza płacono tyle, co za bluźniercę, z czasem robiło się ich coraz mniej.

Toteż mogło się wydawać dziwne, że plotka, która tego dnia poruszyła Święte Miasto, pędziła lotem błyskawicy. Niewielu wiedziało, że na początku rozpowszechniali ją żebracy, byli przestępcy, ludzie świeżo wypuszczeni z lochów, a także płatni donosiciele. Wkrótce stała się tak powszechna, że nikt już nie zwracał uwagi na jej podejrzaną źródło. Co więcej, Czerwone Turbany były tego dnia wyjątkowo spokojne. Ci srodzy zazwyczaj mężczyźni całkowicie ignorowali szepczących konspiracyjnym tonem mieszkańców i zbiegowiska, które robiły się na każdym placu.

A plotka była rzeczywiście nadzwyczajna: ubiegłej nocy miał się objawić prorokowi Wysłannik Niebios. Zazwyczaj przychodził on jedynie w momencie wyboru nowego proroka, by potwierdzić lub odrzucić kandydata. Potem — za kadencji — wysłannicy pojawiali się już tylko kilkakrotnie w znanej historii. Za każdym razem zwiastowali nadejście wielkich nieszczęść (jak za czasów buntu Degów) lub poważnych zmian (jak przed reformą Muira).

Wielu nie wierzyło w pojawienie się Wysłannika, lecz po trzecim czytaniu Duzzahowie obwieścili, że o zachodzie słońca prorok wygłosi z balkonu pałacu specjalne kazanie. Polecono, by zjawili się na nim wszyscy mieszkańcy miasta, którzy mogli chodzić. Teraz nikt nie miał już wątpliwości, że nastąpiło coś niezwykłego, coś przełomowego.

Wieczorem całe rzeki ludzi popłynęły w stronę placu Pałacowego. Zmobilizowano wszystkich Świętych Jeźdźców, którzy zostali jeszcze w mieście, poza tym na służbie musiał się też stawić każdy z Czerwonych Turbanów, a nawet wiele Jastrzębi Najwyższego. Teraz kierowali oni tłumem, pilnując, by nie doszło do burd czy przepychanek. Duzzahowie jednak zbyt późno zorientowali się, że stawianie obok siebie sług Asimara i Yholeda jest ryzykowne, szczególnie teraz, gdy pasza leżał na łożu śmierci, a za jego stan winiono duchownych. Kilka razy między żołnierzami wybuchły

gwałtowne sprzeczki, a raz polała się krew, gdy rozwścieczony oddział Jeźdźców rozgonił szablami Czerwone Turbany, kładąc trupem sześć osób. Gwardzistów zaraz aresztowano.

Większość ludzi dotarła jednak na miejsce sprawnie i bezpiecznie. Gdy słońce zaczęło chować się za blankami, a mury domów Świętego Miasta zmieniły kolor z białego na jasnoróżowy, plac był już szczelnie wypełniony. Święci Jeźdźcy na saurach zagrodzili ulice, by gromady, które wciąż napływały, nie pchały się dalej, bo mogło to oznaczać śmierć wielu słabszych czy starszych osób. Pechowcom zostało tylko wdrapywać się na dachy okolicznych domów, lecz stamtąd groźbami i kuksańcami przeganiali ich łucznicy.

Tłum był nie mniejszy niż podczas ostatnich kazań Zerakhima, ale zebrani zachowywali się znacznie ciszej i ostrożniej. Rozmawiali tylko szeptem, więc nad tą ogromną ciżbą niesły się daleko komendy oraz nawoływania gwardzistów. Wprawny obserwator mógł też dostrzec, że plac otaczała większa liczba żołnierzy, niż miał w zwyczaju używać Zerakhim. Ściągnięto trzy kompanie Jeźdźców, dwie setki Turbanów, setkę łuczników. Ci ostatni śledzili uważnie tłum, zajmując każdy dach wokół placu. Prorok nie ufał poddanym.

Pełne napięcia oczekiwanie przeciągało się, lecz w końcu na taras wyszli słudzy z długimi surmami. Gdy ich monumentalny dźwięk poniósł się nad placem, ludzie powstali w oczekiwaniu na Vezamara. Ten ukazał się wkrótce i podszedł do samej barierki. Jego kapiąca od złota i szlachetnych kamieni szata skrzyła się w ostatnich promieniach słońca. Wiele osób westchnęło — prorok wyglądał wspanialej niż wszystkie mozaiki z Pierwszej Świątyni razem wzięte! Vezamar rozłożył ramiona, jakby witał się z tłumem. Zaraz rozległo się kilka okrzyków:

— Niech żyje Światło Pustyni! Niech żyje Ojciec Wszelkiej Mądrości! Niech żyje prorok Vezamar!

Coraz więcej zebranych przyłączało się do skandowania, ale Vezamar dał znak, aby się uciszono. Gdy tłum umilkł, prorok rzekł gromkim głosem:

— Miałem sen! Miałem sen, że pewnego dnia wśród czerwonych wydm Ocalonej Krainy synowie możnych rodów i synowie najbiedniejszych prostaczków usiądą razem przy braterskim stole! Miałem sen, że pewnego dnia nawet Tel’Halik, teraz trawione bezprawiem, spiskami oraz złą wolą heretyków, przemieni się w oazę wolności i sprawiedliwości! Miałem sen, że nadejdzie czas, gdy nie będziemy musieli z nadzieją myśleć o śmierci i

drodze do Shannyevan: Shannyevan będzie bowiem tutaj!

Nieśmiałe z początku oklaski rychło przybrały na sile i rozbrzmiały z jednego do drugiego krańca placu.

— Miałem sen, że Jedyny powstanie wreszcie ze swojej krainy i znów obejmie władzę nad wiernym ludem. Że demony zostaną pokonane. Że Marrenvan zostanie z nich na zawsze oczyszczone i zamiast krainą śmierci stanie się zieloną ziemią pełną ogrodów. A wtedy nie będzie już zła, nie będzie strachu, jedynie wieczna szczęśliwość. To był piękny sen i bardzo żałowałem, gdy się skończył, ale...

Tu prorok uniósł palec i zrobił dramatyczną pauzę.

— Następnej nocy zjawił się u mnie anioł! Jaśniejący światłem Wysłannik Niebios. Powiedział, że to, co widziałem, nie było snem, lecz wolą i zamiarem Jedynego. Powiedział, że czas samotności ludzi już się kończy. Moi ukochani, choć dziś targają wami wątpliwości, choć życie jest surowe i trudne, powiadam wam: mój sen się ziści!

Tym razem nie trzeba było czekać na oklaski i krzyki radości.

— Wysłannik powiedział mi, co mam robić, by tak się stało. Przekazał mi wielki plan, dzięki któremu Ocalony Lud ostatecznie zwycięży zło. Moi poddani, moi bracia, moje dzieci! Dziś zaczyna się nowa era! Z waszą pomocą zbuduję raj na ziemi!

Oklaski znów wybuchły, tym razem z podwójną siłą. Grzmiąły długo, odbijane od ścian budynków i pałacowego muru.

*

Do czerwonych komnat nie można było się dostać bez zaproszenia. W dzień i w nocy strzegła ich przyboczna straż proroka — odziani w złocone pancerze groźni wojownicy, najlepsi spośród Jastrzębi Najwyższego. Zastąpili dawną straż pałacową, która teraz strzegła mniej ważnych skrzydeł. Przyboczni nigdy nie odzywali się bez wyraźnego pytania Vezamara, a w jego obecności stali nieruchomo jak skały. Każdy wiedział, że ta elitarna gwardia warta jest setki zwykłych żołnierzy. Do czerwonych komnat mógł wejść jedynie prorok i jego goście — każdego innego od razu miano karać śmiercią.

Vezamar dzięki temu żył w całkowitym spokoju. Był więc zaskoczony, gdy odprawivszy Yholeda i wszedłszy do prywatnej kaplicy, żeby zająć się wieczornymi modłami, zastał w niej gościa. Ciemno odziana postać stała bezczelnie oparta o ołtarz. Vezamar poczuł, jak serce skacze mu do gardła, lecz szybko się uspokoił. Tylko jedna osoba w Ocalonej Krainie mogła tu

przeniknąć bez wiedzy strażników.

— Witaj, Snaar — rzekł prorok. — Nie musiałeś znów mnie tak straszyć!

— Wiesz, że mam to w zwyczaju. Może lubię oglądać wasze śmieszne, zaskoczone twarze? A może chciałem ci przypomnieć, jak mało jesteś wart w obliczu mocy Jedynego, żebyś się nie zapomniał wśród oklasków i bałwochwalczych spojrzeń.

Vezamar chrząknął ze złością.

— Przeszedłeś tylko po to, żeby psuć mi chwilę tryumfu? Daruj sobie, Snaar. Cokolwiek byś mówił, wiem, że dziś przysłużyłem się Najwyższemu bardziej niż ten przeklęty odstępca Zerakhim w ciągu całego żywota. Moja mowa...

— Och, z pewnością ująłeś nią wszystkich kmiotków Tel'Halik — zakpił gad. — Ale to nie oni są twoim głównym problemem. Obyś nie stał się ślepy na prawdziwe niebezpieczeństwa. Obyś nie wbił się nadto w dumę.

Vezamar zmrużył oczy.

— Ty coś wiesz, prawda? Powiedz, Snaar. Z czym dzisiaj przyszedłeś?

Wysłannik Niebios stanął prosto. Jego maska błyszczała w świetle pochodni.

— W najbliższych dniach — powiedział — może dojść do bardzo niefortunnych zdarzeń. Bądź uważny, Vezamarze. Czuję, że nastąpią rzeczy, których konsekwencje okażą się znaczące. Jedyne mnie przestrzega. Intuicja mnie przestrzega. I jedno, i drugie nigdy się nie myli.

— Na mądrość Księgi! — prychnął Vezamar. — Gadasz jak stara baba. Mam całe Tel'Halik w kieszeni. Co się może zdarzyć?

Snaar powiedział:

O krwi i śmierci pełnym brzasku — wyrosną kwiaty pośród piasków
Wędrowcy hańbą urażeni — oderwą część Sokoła ziemi
Z mroków podziemi zaś wychynie — ten, od którego Sokół zginie.

— Co to ma być?! — rzekł gniewnie prorok. — Co to za szpetne wierszydła, Snaar?

— Nie lekceważ ich, Vezamarze — odparł z naciskiem gad. — Od pewnego czasu miałem złe przeczucia. Modły do Jedynego nie dawały mi jednoznacznej odpowiedzi, więc sięgnąłem po radę... innych sił. Sił, o których nie musisz i nie powinieneś wiedzieć nic poza tym, że są potężne. Drogo mnie to kosztowało, Duzzahu. Nawet nie wiesz, jak drogo. W zamian zaś dostałem jedynie ten wiersz. Rymowaną zagadkę, jak dla małych dzieci.

— I cóż ona znaczy?

— Nie wiem, Vezamarze. To ty się musisz domyślić, bo znasz ten lud i krainę lepiej ode mnie. Teraz odejdę, ale pamiętaj — nie lekceważ niebezpieczeństwa. Bądź ostrożny!

Powiedziawszy to, zbliżył się do okna. Prorok chciał powstrzymać Snaara i powiedzieć, że może go wyprowadzić drzwiami, lecz gad szybkim ruchem otworzył okiennicę i zniknął w mroku nocy. Vezamar usłyszał tylko łopot jego płaszcza. Nawet nie zadał sobie trudu, by spojrzeć za okno. Wiedział, że Wyśłannik Najwyższego dawno już zniknął z zasięgu wzroku, biegnąc niczym pająk po ścianie.

Rozdział 5. Dłoń proroka

Tuż przed świtem wrócił syn Gundzara. Przyniósł nomadom wieści, na które tak niecierpliwie czekali: wojowników było pięciu, zajęli chatę przy północnym skraju oazy, w cieniu starych daktyłowców. Gospodarz zabrał saury do wspólnej przegrady kilkaset kroków dalej.

Nomadzi dokładnie wypytawali Kaziego, by potwierdzić tożsamość zbrojnych. Ten jednak był pewien swego, zakradł się bowiem na tyle blisko, że widział czarne stroje tamtych, ostrza podobne do wielkich noży i wyszywane srebrnymi nićmi turbany. Mężczyźni podziękowali w myślach Jedynemu. Długie poszukiwania dobiegły końca. Wreszcie trafili na ludzi, którym mogli wymierzyć zemstę.

Jeden z młodszych nomadów zaraz popędził w stronę przeciwną do oazy, przejechał kilka wzniesień, aż wreszcie dotarł do obozowiska rozbitego w szerokiej kotlinie. Choć słońce jeszcze nie wzeszło, kobiety już były na nogach. Szykowały się do zwinięcia namiotów, musiały jednak przerwać pracę, gdy posłaniec wykrzyczał nowinę. Na ich twarzach pojawił się lęk.

Wiele z nich sprzeciwiało się tej wyprawie, ale nie miały nic do powiedzenia, bo kobiety z ludu Manar były posłuszne wobec mężów. Teraz wiedziały, że jeszcze przed południem kilka z nich stanie się sierotami, a kilka wdowami. Wolałyby już zostać na dalekiej północy i czekać miesiącami na nowiny niż siedzieć kilka farsangów od pola bitwy. Niestety, mężczyźni na tyle poważnie potraktowali słowa Miidży, że zdecydowali się nie zostawiać kobiet samych i zabrali na wyprawę całe obozowisko.

Kiedy niebo zaczęło szarzeć, a na wschodzie pojawiły się pierwsze promienie słońca, mężczyźni z ludu Manar klękali pod wydumą przyległą do oazy, by odprawić poranne modły. Było ich nieco ponad czterdziestu, lecz do walki miało iść tylko dwudziestu dwóch. Prastary zwyczaj nakazywał bowiem zostawiać nie mniej niż trzecią część mężczyzn, dzięki czemu nawet w wypadku przegranej wojny plemię mogło przetrwać.

Po skończonej modlitwie nomadzi wstali i przysięgli, że zgodnie z tradycją prędzej zginą, niż mieliby salwować się ucieczką — właśnie przez tego rodzaju przysięgi wprowadzono prawo trzeciej części. Po zaprzysiężeniu wojownicy zostawili wierzchowce pod opieką dwóch chłopców, a sami wspięli się na szczyt wydmy. Oaza spała. Nikt jeszcze nie krzątał się między

budynkami, nikt nie wyprowadzał zwierząt z zagród. Nieduże jezioro o nieregularnym brzegu miało osobliwy, fioletowy kolor, jednak żaden z nomadów nie zwrócił na nie uwagi. Wydawało się, że niepostrzeżenie dostaną się aż na krawędź palmowego gaju, a może i pod sam dom żołnierzy. Podbudowani tą nadzieją rozproszyli się i zeszli w dół szeroką linią. W ich oczach błyszczała determinacja, a dłonie mocno ścisnęły rękojeści broni. Zmyć z honoru plamę lub umrzeć — nie widzieli innej możliwości. I nie miało znaczenia ani to, że wróg był lepiej uzbrojony i wyszkolony, ani to, że większość nomadów miała tylko długie na łokieć kindżały, a reszta podłej jakości szable. Wierzyli, że determinacja i przewaga liczebna zapewnią im zwycięstwo.

Mylili się okrutnie.

Kiedy byli w połowie drogi do pierwszych drzew, okazało się, że ktoś już jednak w oazie nie spał. W cieniu dwóch palm, nad korytem pełnym wody, nachylał się jeden z czarnych gwardzistów. Nagi od pasa w górę, obmywał się, parszkając z zimna. Gdy spostrzegł nadchodzącą długą linię postaci, chwycił szablę i zniknął w budynku. Nomadzi spojrzeli po sobie, lecz nie przyśpieszyli. Teraz i tak nie miało to sensu, a biegnąc, mogli się tylko zmęczyć.

Po kilku pełnych napięcia chwilach zobaczyli wychodzącą z domu całą piątkę Jastrzębi. Jeden miał w ręku dużą kuszę. Dowódca w haftowanej złotem chili tłumaczył im coś szybko. Najwyraźniej nie zamierzali się chować, uciekać czy szukać obrony u opiekunów oazy, tylko ruszyli spokojnie na spotkanie wroga. Wkrótce kusznik odłączył się, klęknął za palmą, uważnie wymierzył i strzelił. Bełt, z nieziemską precyzją, trafił w czoło mężczyźnie, który szedł obok Gundżara.

— W imię Najwyższego! — krzyknął jeden z nomadów.

Zaczęli biec. Kolejny bełt — i kolejny wojownik pada w konwulsjach na ziemię. Nim pokonali sto kroków, został trafiony trzeci. Tymczasem wrogowie byli już tak blisko, że widzieli białka ich oczu. Czwórka Jastrzębi stanęła spokojnie tuż przy pierwszych drzewach. Czekali ze wzniesionymi ghankami. Pierwsze promienie słońca błyszczały na szerokich głowniach.

*

Półtora farsanga dalej Miidza zwinęła się z bólu i wydała przeciągły jęk. Babcia Kama rzuciła na ziemię miskę z paszą i przybiegła, by ją podtrzymać. Miedzianowłosa jęczała dalej. Czuła się, jakby ktoś wbił jej tępe ćwieki w czoło, lewe oko i pierś. Krew huczała w skroniach. Serce trzepotało.

— Co się stało, dziecko? — spytała zafrasowana Kama.

Miidza nie odpowiedziała, bo tym razem ból przeciął jej piersi.

Wyślizgnąwszy się z objęć Kamy, upadła, ale zaraz wzdrygnęła się ze wstrętem. Ziemia, zazwyczaj tak spokojna i cicha, teraz wibrowała od niemego krzyku. Nawet piasek stęzał w obrzydzeniu. Gdzieś niedaleko wsiąkała weń świeża krew; niedaleko drapały go w agonii palce. Miidza, leżąc twarzą ku ziemi, czuła to wyraźnie, zespoliła się z piaskami.

Pozostałe kobiety patrzyły na dziewczynę ze strachem. W tej chwili wizja była złym omenem. Niektóre padły na kolana, wznosząc w stronę szarego nieba błagania.

— No już, cicho, dziecko... Nic się nie dzieje — próbowała uspokoić wnuczkę Kama.

Kucnęła przy niej i wyciągnęła ręce, ale Miidza w tym samym momencie się poderwała i Kama zobaczyła przed sobą tknięte szaleństwem oblicze miedzianowłosej — nienaturalnie poszerzone źrenice, rozdęte nozdrza, pusty wzrok. Dziewczyna odepchnęła starą kobietę i pobiegła w stronę uwiązanych na skraju obozu wierzchowców.

— Miidzo! Zatrzymaj się! Ja ci każe! Babka ci każe — krzyczała za nią Kama.

Bez skutku.

Dziewczyna dopadła pierwszego saura. Zwierzę nie było przestraszone, wręcz przeciwnie, poddało się woli niedoświadczonego jeźdźca z zadziwiającym posłuszeństwem. Po chwili ruda, rozwiana wiatrem grzywa Miidzy zniknęła za wydumą. Kobiety biadoliły.

Tymczasem w oazie trup słał się gęsto. W pierwszym ataku padło czterech wojowników Manar. Kilku wciąż nie mogło dojść do siebie, zostali bowiem powaleni na ziemię przez wściekłe geniusze powietrza, które stanęły po stronie obrońców.

Długie noże czarnych wojowników były niezwykle ostre i doskonale hartowane, ich ciosy miały siłę wściekłego bacharna. Kindzały i szable zdawały się na nic — nawet gdy któryś z Manar okazywał się na tyle szybki, by sparować cios Jastrzębia, jego broń gięła się lub pękała, w najlepszym zaś wypadku zostawała wytrącona. Mimo to, podnosząc oręż martwych i rannych, nomadzi wciąż nacierali, otoczywszy czterech szermierzy zbitą ciżbą. Bojowe krzyki i szczęk oręża obudziły już wszystkich mieszkańców oazy. Jastrzębie jednak broniły się sprawnie; każdy, kto znalazł się bliżej niż dwie stopy od nich, miał przed sobą zaledwie chwilę życia. Na dodatek

kusznik co chwila wypuszczał kolejny bełt. Co prawda teraz mierzył dłużej, by nie trafić któregoś ze swoich, lecz wciąż zbierał okrutne żniwo. W pewnym momencie z kłębowiska walczących oderwało się dwóch Manar, którzy postanowili ubić strzelca. Nie dobiegli.

Potyczka się przeciągała. Z głównych budynków wyszło kilkunastu strażników oazy, ale byli to tylko prostaczkowie z kijami i procami, woleli więc nie mieszać się do walki i czekali w odległości stu kroków. Nie ulegało jednak wątpliwości, że wkroczą, kiedy tylko jedna ze stron zyska bezpieczną przewagę.

Miidza tymczasem gnała jak wichur, co chwila skręcając się w torsjach. Niemal straciła już wzrok, wszystko się rozmyło w jednostajnym szumie i w światłości, którą miała tuż przed oczyma. Zupełnie jakby cały świat nagle pojaśniał lub jakby patrzyła w słońce. Za każdym razem, gdy łapa gada dotykała ziemi, czuła nagłe uderzenie krwi w skroniach.

Wojownicy Manar byli coraz bardziej zdesperowani. Co prawda jeden z Jastrzębi, raniony kindziałem w bark, zaczął się wycofywać, lecz reszta wciąż siała zniszczenie. Na piasku leżało już ponad dziesięć ciał. Gundzar, którego dotąd śmierć oszczędzała, wydał pełen wściekłości ryk. Przemógł strach i gdy stary wojownik po jego lewej uderzył na Jastrzębia, a ich ostrza zwarły się w powietrzu, zanurkował pod ghankiem i wbił swój krótki nóż w udo przeciwnika. Ten cofnął się z jękiem i ciął z ukosa skulonego Gundzara.

Miidza zachwiała się w siodle.

Gundzar upadł w piasek z agonialnym krzykiem. Przycisnął dłonie do okropnej rany — od żeber do miednicy. Czuł, jak pod palcami skręcają się mięśnie, pulsują trzewia, cieknie krew. Wpatrzony w niebo wytrzeszczonymi z bólu oczyma czekał na śmierć, a w nozdrza bił mu smród z rozciętego brzucha. Nim całkiem stracił zdolność myślenia, spostrzegł, że jego przyjaciele nie dają ujść rannemu Jastrzębiowi. Trzech Manar rzuciło się na niego jednocześnie, a pozbawiony swobody ruchów wróg nie potrafił się przed nimi obronić. Czyjaś szabla rozcięła mu szyję, a na pierś posypały się ciosy kindżałów.

Minęła upiorna chwila. Saur Miidzy dzielnie pokonywał kolejne wzniesienia, lecz droga okazała się długa. Zbyt długa.

Gdy Miidza stanęła na szczycie ostatniej wydmy i spojrzała w dół na oazę, resztki jej świadomości natychmiast zniknęły. Przybyła za późno.

Cała droga od skraju wydmy do pierwszych zabudowań była pełna umarłych i rannych. Z początku leżeli rzadko, co kilkanaście stóp. Dopiero

dalej, w miejscu gdzie w piasku zaczynały się pojawiać krzewy i kępki trawy, zabitych było więcej. Niektóre ciała jeszcze drgały. Nikt nie chodził po poboju, nikt nie pomagał rannym. Niedobitki mężczyzn z jej ludu otoczyły niski dom, gdzie najwyraźniej ukryło się parę pozostałych Jastrzębi. Teraz nomadzi stali, miotając w stronę chaty obelgi; zbyt nieliczni, by atakować, i zbyt wściekli, by odejść.

Miidza zatrzymała saurę i niezręcznie zsunęła się z siodła. Gdy tylko dotknęła bosymi stopami ziemi, poczuła dreszcze na plecach, a wszystkie włosy na jej ciele stanęły dęba. W nozdrzach miała zapach krwi, a oczy porażał blask, którego źródła nie potrafiła określić. W tym blasku co jakiś czas widziała tajemne zwidy. Mignęła w nich kobieta o białej jak mleko skórze i rudych włosach — szła w jej stronę, rozpościerając ramiona. Mignęły obrazy zieleńszych od najlepszej oazy ogrodów i niewyobrażalnie wielkie stada zwierząt, idące trawiastymi równinami. Było tam tętniące życie; wszechogarniająca radość.

Miidza szła ku drzewom jak popsuta marionetka, na sztywnych nogach, z wytrzeszczonymi oczyma. Potykała się co kilka kroków i z trudem łapała równowagę. Jeden z nomadów, który właśnie w tej chwili ją dostrzegł, jęknął; opuścił broń.

Dziewczyna przeszła obok pierwszych trupów. Nawet nie zwolniła. Jednakże kilka kroków dalej leżał pasterz, konając z bełtem wbitym w oko. Śmierdziało od niego posoką i kałem, nogi rannego trzęsły się w niekontrolowanych skurczach. Miidza przyklękła, jedną rękę położyła na ranie, drugą powoli wyciągnęła bełt. Mężczyzna drgnął po raz ostatni, ona zaś wstała i ruszyła do następnego rannego. Pasterz wolno podniósł się z piasku i z niedowierzaniem badał oczodół, lecz oko było na miejscu, teraz całkiem zdrowe! Kolejny mężczyzna miał odciętą dłoń i przebite płuca. Nałożeniem rąk wtłoczyła w jego ciało tyle życiodajnej mocy, że zrosło się zaraz, a utracona krew na powrót wypełniła żyły. Dalej leżało kilka trupów. Jeszcze dalej — Gundzar.

— Dzie... ecko. Nie patrz. I... Idź — wycharczał, gdy zobaczył nad sobą grzywę miedzianych włosów.

Zaraz jednak umilkł, bo grymas jej twarzy zmroził mu serce.

Miidza patrzyła chwilę na obrzydliwą mieszaninę skręconych strzępów mięśni, poszarpanych wnętrzności i smrodliwej mazi, która się z nich wydobyła. Potem naprawiła wszystko dwoma ruchami rąk. Gdy ciało zasklepiło się i zrosło, ruszyła naprzód, a mężczyźni z nabożnym strachem

patrzyli, jak ziemia oazy pod jej stopami ożywa, a z suchej gleby wystrzeliwiają polne kwiaty i trawa.

Strażnicy uciekli w panice.

Kolejne niezdarne kroki — i oto mężczyzna przeszyty dwoma bełtami. Już się nie rusza, bo w ciele została ledwie nikła iskierka życia. Miidża wzbudza czułym dotykiem tę iskierkę, czyni z niej jasny płomień. Przy dwóch zrosniętych palmach leżą konający kusznik i jego zabójca z bełtem w boku. Rudowłosa omija kusznika, bo choć jest półprzytomna, pamięta, co znaczą czarne turbany. Klęka jednak przy drugim rannym i delikatnymi muśnięciami namawia jego ciało, żeby wypluło grot, zasklepiło się...

Z budynku dobiegły okrzyki niedowierzania, widać któryś z Jastrzębi zobaczył, co potrafi dziwne dziewczę z rodu Manar. Po kilku chwilach ranni stali już na nogach, a Miidża, jakby nigdy nic, położyła się na trawie i zwinęła w kłębek. Każdym skrawkiem ciała czuła życie wokół siebie i pod sobą. Była szczęśliwa. Pomyślała, że tak właśnie musiała się czuć w pierwszych chwilach istnienia, jeszcze w łonie matki.

Tymczasem nomadzi otrząsnęli się z cudu na tyle, by odzyskać zdolność działania.

— Naprzód! — zawołał Gundzar. — Z opieką Miidży, której moc zesłał Najwyższy i przodkowie, nie zdołają stawić nam czoła!

Reszta mężczyzn, z wrzaskiem, wymachując bronią, wpadła do budynku. Dobiegające stamtąd odgłosy wściekłej rąbaniny wkrótce ucichły. Dwójka pozostałych przy życiu Jastrzębi nie zdołała stawić czoła wściekłej fali nomadów, ich ciała dosłownie rozniesiono na ostrzach.

Gdy kobiety, które w końcu zdecydowały się ruszyć za Miidżą, dotarły na wydnię przy oazie, ich oczom ukazał się niezwykle widok. Wśród trupów i drzew stała miedzianowłosa dziewczyna — wyraźnie zawstydzona i ze zdziwioną miną. Wokół niej zaś klęczeli wojownicy, wznosząc modły i bijąc jej pokłony. Wkrótce kobiety dowiedziały się, że nastąpił cud. Jedyne objawił się w ciele dziwnej przybłędy, od maleńkości będącej wychowanką plemienia.

Lud Manar miał królową.

*

Szczęk zamka, który jeszcze niedawno podrywał Nahara na równe nogi, teraz ledwie skłonił go do otwarcia oczu. Kazar jednak przestraszył się i siedział już skulony w ciemnym kącie celi.

— Spokojnie — powiedział mu Nahar. — Pewnie chodzi o kolejny list.

Ostatnio urzędnik wraz z eskortą Jastrzębi przychodził do więzienia co dwa, trzy dni. Za każdym razem Nahar był proszony o napisanie kilku słów do brata. Raz nawet przekazano mu odpowiedź, Al'Iarnak zmartwił się nią jednak. Mudda nie pisał tego wprost, ale dało się wyczuć, że jest już na skraju załamania, że dla uwolnienia Nahara naraża się na liczne niebezpieczeństwa i upokorzenia. Święty Jeździec wolał nie myśleć, do czego Duzzahowie zmuszają szantażem Muddę, ale przysiągł, że gdy znajdzie się już na wolności, pomści go.

Celę zalało światło. Nahar zmrużył oczy. Począł, aż wzrok przywyknie do jasności, po czym uważnie przyjrzał się gościom.

Tym razem było inaczej.

Nahar ujrzał nie urzędnika, lecz dwójkę czarno odzianych wojowników z ghankami.

— Idziesz z nami, psie — powiedział jeden.

Drugi bezceremonialnie kopnął Nahara w bok.

— Pamiętaj o archiwum! „Światło proroka przenika najgłębsze ciemności”! — krzyknął Kazar, gdy Nahar wstał, a nieznajomy pchnął go na ścianę i zaczął mu krępować ręce.

— Milcz, ścierwojadzie — uciszył Kazara drugi Jastrząb.

Kiedy Al'Iarnaka wyprowadzano z celi, rzucił ostatnie spojrzenie na współwięźnia, po czym rzekł:

— Nie martw się. Pamiętam. Jeśli wyjdę, zrobię, o co prosiłeś.

— Dalej! Nie gadać!

Nahar, znów pchnięty, ruszył w dół korytarza. Po długim pobycie w celi nogi niemal odmawiały mu posłuszeństwa, a oczy bolały od światła.

*

— Ślijcie po Duzzaha Yholeda! — krzyknął strażnik nad główną bramą.
— Jada!

— Jada! Jada! — rozległo się zaraz na całym murze.

Strażnicy podrywali się z cienia, chwyтали broń, poprawiali hełmy, łucznicy szybko zakładali kołczany na plecy. Dwóch młodych gońców pobiegło w górę głównej ulicy, klapiąc głośno sandałami o bruk. Ludzie zatrzymywali się, z warsztatów i domów wychodzili następni. Czekano na niezwykle widok. Do miasta zbliżała się karawana z Żelaznych Wzgórz — po raz pierwszy za czasów nowego proroka dzicy Degowie przywozili swój trybut.

Tymczasem karawana podjechała na tyle blisko, że strażnicy widzieli już

poszczególne sylwetki. Grube bacharny człapały ciężko, ciągnąc jedenaście wozów. Pomiędzy nimi maszerowali niscy górale, mimo upału ubrani w pikowane kurty. Z tyłu pastuchowie poganiali jeszcze więcej bacharnów, bez ładunku i uprzęży, po bokach zaś jechało przeszło trzydziestu jeźdźców na wytrzymałych górskich konikach. Mieli dwubrzeszne łuki, czasem kolczugi lub pancerze z metalowych płytek. Przewodził im srebrnowłosy Czenda, który dosiadał siwego wierzchowca, a na ramionach nosił wspaniały ured. Karawana jechała powoli i dostojnie.

— Jedenaście wozów? Chyba słońce wypaliło im rozum — powiedział kapitan straży do młodego podoficera, odejmując od oka lunetę.

— Może władowali na nie więcej niż poprzednio?

— Niemożliwe — prychnął kapitan. — Rok temu wozy były tak ciężkie, że bacharny ledwie mogły je uciągnąć. Ci górscy rabusie chcą nas pewnie oszukać.

— No to setnie się rozczarują. Duzzahowie ostatnimi czasy nie lubią, gdy ktoś nie wywiązuje się z powinności.

Degowie zbliżyli się już do bramy na niecałe pół farsanga. Widać było, że są trochę zmieszani widokiem pali stojących na wydmach przy murze. Paru splunęło na ziemię, a siwy Czenda tłumaczył coś reszcie, żywo gestykułując. Napięcie nie opuszczało też strażników. Choć chroniły ich wysokie mury, a Degów nie było wielu, pamiętali, że ci niscy ludzie z Żelaznych Wzgórz potrafią być nieustępliwymi i okrutnymi przeciwnikami. Obawiano się szczególnie ich łuczników, którzy w kłusie umieli doskonale strzelać, a sami stanowili wtedy nadzwyczaj trudny cel.

Kiedy górale byli już pod główną bramą, Czenda krzyknął:

— Ludzie pustynnego miasta! Przywozimy daninę, zgodnie z prawami rozejmu, który wiele lat temu zawarli nasi dziadowie.

Nie padła żadna odpowiedź. Strażnicy patrzyli na przybyszy w milczeniu, a kapitan zerkał niepewnie na ulicę za sobą.

— Ludzie pustynnego miasta! Czekamy na otwarcie wrót!

Dowódca straży dopiero teraz uznał za stosowne się odezwać:

— Na mocy rozkazu Duzzaha Yholeda główną bramę można otwierać tylko za jego pozwoleniem. Musimy czekać, aż dojedzie z pałacu.

Wprawniejsi obserwatorzy mogli dostrzec, jak na twarzy siwowłosego Dega pojawia się grymas złości. Musiał jednak wiedzieć, że przeciw rozkazom Duzzahów niewiele zdoła, dał bowiem znak, by ludzie zsiadli z koni.

Yholed tymczasem się nie śpieszył. Dokończył spotkanie z kadim, przebrał się w odświętne szaty, po czym wezwał służących z lektyką. Pod bramą znalazł się po przeszło trzech klepsydrach, gdy Degowie byli już rozwścieczeni stanem w gorącym słońcu.

Yholed nie przypuszczał, jak tragiczne konsekwencje będzie miała jego opieszałość. Wszedł po krętych stopniach na szczyt muru, odebrał pokłon od żołnierzy i stanął przy blankach. Wyglądał jak rubin zatknięty na blankach. Jego szaty z czerwonego jedwabiu niemal świeciły.

— Jam jest mędrzec Yholed, Pierwszy Duzzah Tel’Halik, rządca Pałacu Proroka i Pałacu Sprawiedliwych.

Czenda podniósł się z piasku i krzyknął:

— Witaj, Duzzahu. Czekamy już długo w słońcu, choć mamy ze sobą bogate dary. Ile to jeszcze będzie trwać?

Yholed pogładził brodę, spoglądając na wozy i zwierzęta. Chwilę się zastanawiał, aż wreszcie rzekł:

— Nie wiem, do kogo przychodzicie i komu chcecie te dary przekazać. Wiem tylko, że nie prorokowi. Dlatego zastanawiam się, czy warto was wpuszczać.

Degowie popatrzyli po sobie zdumieni, Czenda zaś powiedział:

— Mylisz się, mędrcze. To właśnie dla proroka przywozimy żelazo i przyprowadzamy zwierzęta, dokładnie tak, jak nakazuje rozejm.

— Doprawdy? Otóż ów dokument po dziś dzień jest przechowywany w Pałacu Mądrości. Sam go widziałem, więc jestem pewien, że mówił o dwudziestu wozach żelaza i pięćdziesiątce zwierząt. Wozów widzę jedenaście, a zwierząt ledwie dwadzieścia. Cóż więc się stało, Degu? Potraciliście resztę w drodze?

— Wpuść nas do miasta, a osobiście zdam twojemu panu rachunek i wytłumaczę tę... niezgodność.

— O nie, przyjacielu. Zdasz rachunek tu i teraz.

Deg poczerwieniał, a kilku bardziej krewkich górali położyło ręce na broni. Mimo to siwowłosa przełknął zniewagę i zaczął tłumaczyć się, krzycząc w stronę łuku bramy:

— Tego roku stada zmogła zaraza, a jedna z kopalni wypełniła się wodą. Choć bardzo się staraliśmy i dokładaliśmy wszystkich sił, nie udało się zebrać więcej. Pokornie za to przepraszamy.

— Przeprosiny to za mało! — krzyknął Yholed. — Dziś żelazo i zwierzęta są nam bardziej potrzebne niż kiedykolwiek. Zresztą prorok

ślubował przestrzeganie umowy, która jest wyraźna i jednobrzmiąca. Uczyniłby się krzywoprzysięzcą, gdyby przyjął niższy trybut.

— Nie prosimy więc o jego obniżenie, tylko o odroczenie drugiej części, choćby na pół roku.

Yholed zaśmiał się gromko.

— Jak mógłbym zaufać plemieniu, które właśnie łamie przede mną obietnice?

Między Degami rozległy się gniewne pomruki. Kapitan straży poczuł, że pot spływa mu po czole. Zbliżył się do Yholeda i szepnął mu kilka słów. Obawiał się o bezpieczeństwo Duzzaha, który nieświadomie wystawiał się na strzał z łuku. Mędrzec jednak zbył oficera ruchem ręki.

— Mam rozumieć, że nie otworzycie wrót? — spytał zimnym głosem Czenda.

— Nie, dopóki nie przywieziecie należnej daniny. Od tej chwili, Degu, macie miesiąc i jeden dzień. Jeśli w tym czasie pod bramą nie stanie karawana, prorok uzna to za złamanie rozejmu.

Degowie naradzali się chwilę. Żołnierze na blankach słyszeli ich podniesione głosy, lecz nikt nie rozumiał mowy ludzi z gór, więc nie było wiadomo, nad czym debatują. Wreszcie Czenda wrócił pod bramę i rzekł:

— Weźcie chociaż to, co mamy ze sobą. Pozwólcie napoić zwierzęta oraz kupić prowiant.

Yholed nie zastanawiał się długo.

— Nie! Niech to będzie dobrą nauką. Wróćcie do Żelaznej Doliny ze wszystkimi wozami i całym stadem. A potem przywieziecie je jeszcze raz wraz z brakującą częścią.

— Ale bacharny są zmęczone. Wiele zginie w trakcie powtórnej przeprawy przez piaski!

— To twoje zmartwienie, góralu — powiedział Yholed, po czym odwrócił się i ruszył w dół schodów.

Tego było za wiele. Kilku młodych Degów zaczęło miotać w stronę bramy ciężkie obelgi, inni wyciągnęli nawet łuki, nie bacząc na to, że już celują do nich strażnicy. Minęła dłuższa chwila, nim Czenda zaprowadził porządek. W tym czasie lektykę Yholeda niesiono w górę ulicy. Niektórzy przechodnie wiwatowali, dumni z tego, jak odprawili krnąbrnych Degów. Jedynie kapitan straży zbladł, widząc, jak wściekli górale zbierają się do odejścia. Czuł, że jeśli kiedyś wróca, to w znacznie większej liczbie i bynajmniej nie z nową daniną.

*

Nahar poprawił pas i jeszcze raz się obejrzał. Wyglądało na to, że nikt go nie śledzi. Wąska uliczka była całkiem pusta, tylko pod jedną ze ścian siedziało dwóch starców, grzejąc kości w popołudniowym słońcu. Święty Jeździec był zaskoczony. Słyszał przecież nie raz, że większość osób, które wydostają się z lochu pod Pałacem Sprawiedliwych, jest bardzo uważnie obserwowana. Duzzahowie niechętnie wypuszczali z rąk zdobycz, a nawet jeśli tak robili, to z nadzieją, że ludzie ci naprowadzą ich na ślad kolejnych heretyków. Nahara jednak nie śledzono — i mógł to stwierdzić z całą pewnością, bo wyostrzone zmysły Świętego Jeźdźca trudno było oszukać. Czyżby Mudda okazał się aż tak skuteczny?

Nahar westchnął i ruszył przed siebie. Skóra swędziała go przeraźliwie pod białą dżelabą. Co prawda pozwolono mu się obmyć przed wyjściem z lochu, lecz dostał jedynie miskę z chłodną wodą. Aby całkiem pozbyć się odoru fekaliów i gnijącego siennika, musiałby spędzić chyba cały dzień w łaźni. Przydałoby się też porządne golenie, bo tęnym ostrzem zdołał zeskrobać tylko część zarostu.

Dobrze przynajmniej, że dostał czyste ubranie, choć wolałby odzyskać pancerz i strój Jeźdźca, w którym go aresztowano. No cóż, strażnicy więzienni pewnie już dawno sprzedali go z niemałym zyskiem. Kapitan Hanhakh nie będzie zadowolony.

Dotarłszy do placu Dwóch Posągów, Nahar przystanął. Żołądek skrzywił mu się boleśnie, gdy w jego nozdrza uderzył zapach świeżych placków i bacharniego gulaszu. Pod daszkiem z rozpiętego płótna siedział gruby handlarz w otoczeniu trójki dzieci-pomocników i z uwagą mieszał zawartość kociołka, a obok na palmowych liściach biała sterta podpłomyków. Nahar nie miał przy sobie nawet centymy. Długo szukał po kieszeniach, w końcu zdjął pasek z bacharniej skóry, którym była spięta dżelaba. Zbliżył się do kupca.

Za pasek zdołał wytargować jeden placek z mięsem i jeden suchy. Nie szukając miejsca, w którym można by spokojnie zjeść, przysiadł na ziemi w cieniu budynku i zaczął pałaszować jak ktoś, kto od wielu dni nie widział porządnego posiłku. Po tygodniach więziennej diety czuł się jak na wytwornej uczcie. Gdy nasycił głód, zastanowił się, dokąd iść. Rozsądek nakazywał wpierw odwiedzić dom i uspokoić rodzinę, ale posiadłość Al'Iarnaków leżała dokładnie po przeciwległej stronie miasta. Dlatego Nahar postanowił zobaczyć wpierw Orli Fort — i nie chodziło tylko o obowiązek.

Był niezwykle ciekaw, co wydarzyło się w mieście.

Marsz do twierdzy Świętych Jeźdźców był długi i żmudny, wznosiła się bowiem na najwyższym ze wzgórz Tel'Halik. Prowadziły do niej strome uliczki, wijące się wśród dziwnych budynków, których jedna ściana była zawsze znacznie krótsza od drugiej, by skompensować pochyłość. Mimo to w labiryncie nie dało się zgubić — mury z czerwonego piaskowca i wysokie wieżycy wyrastały ponad dachy mieszkalnych domów.

Dotarłszy pod mur, Nahar ruszył wzdłuż niego, aż dotarł do placynu przed bramą i samej bramy. Była otwarta, strzeżona ledwie przez dwóch strażników zajętych rozmową.

— Tak uważacie?! — krzyknął im tuż nad uchem, gdy udało mu się podkraść na kilka kroków.

Jeźdźcy aż podskoczyli. Wyszarpnęli broń, lecz ich spięte twarze zaraz się rozluźniły.

— Nahar! Na Jedynego, jak się cieszę, że cię widzę! Sporo naszych poszło do lochów, ale jesteś pierwszym, który wraca. Pasza z pewnością też się ucieszy. Tym bardziej, że teraz bardzo brak nam ludzi.

— Widzę — odparł Nahar. — Tylko dwóch strażników przy bramie? Powiedz, co się dzieje.

Święty Jeździec pokręcił głową. Jego towarzysz splunął na ziemię.

— Wolałbyś nie wiedzieć. No, ale prędzej czy później ci powiedzą... Dziewięć kompanii jest już w Um'Magar.

— Tak szybko?! Przecież pasza zapowiadał, że zostaniemy w Forcie tak długo, jak się da!

— Pasza... Zmienił zdanie po tym, jak próbowano go zabić.

— Zamach w Orlim Forcie?

Święty Jeździec westchnął.

— Teraz wiesz, dlaczego niechętnie o tym wspominał. To obraza Świętych Jeźdźców. Asasyni przeszli między nami, jakbyśmy byli zwykłymi gwardzistami. Było ich dwóch. Na szczęście stary wilk nie zapomniał jeszcze, jak się bronić. Wytrzymał do czasu, gdy przyszliśmy z pomocą, został jednak paskudnie ranny. Ponoć do tej pory słabuje i rzadko opuszcza komnaty.

— Jastrzębie?

— Nie, w każdym razie nie oficjalnie. Nie mieli ghanków, a ubrani byli w zwykłe szmaty. Mówię ci jednak, Naharze, walczyli jak Jastrzębie. Następnego dnia pasza powiedział, że Tel'Halik już nas nie chce i nie

potrzebuje. Choć nie mógł jeszcze wstawać, odjechał lektyką do Um'Magar razem z przeszło siedemdziesięcioma Jeźdźcami. W forcie są teraz niecałe cztery kompanie oraz trochę pomocników. Całe dni ćwiczymy, trochę włóczymy się bez celu... Nie ma oficjalnych rozkazów. Komendantem został kapitan... przepraszam... pułkownik Hanhakh.

— A mój oddział?

— Pojechali z paszą, przykro mi.

Nahar zasępił się. Nie chciał wcale opuszczać Świętego Miasta, ale wiedział, że w takim wypadku będzie musiał szybko dołączyć do drużyny. Tak więc po tygodniach więzienia miała go czekać kolejna niewola, tym razem w pradawnej strażnicy wśród smaganych wiatrem wydm.

Pożegnał się ze strażnikami i przeszedł pod smukłym łukiem bramy. Na podwórku kilka par ćwiczyło szermierkę, jednak większość treningowych kręgów była pusta. Zobaczywszy Nahara, żołnierze przerwali walkę. Podbiegli zaraz uściskać się i przywitać. Po wymianie grzeczności Al'Iarnak ruszył szukać komendanta. Już zamierzał wejść do budynku, gdy niespodziewanie jakiś głos za plecami osadził go w miejscu.

— A więc już jesteś? Miło cię widzieć całego.

Z cienia arkad wyłonił się pułkownik Hanhakh. Był ubrany w bogato zdobiony pancerz, a turban na szyszaku miał haftowany złotem. Jedwabne szarawary lśniły w słońcu.

— Spodziewałeś się mnie?

Hanhakh uśmiechnął się szeroko.

— Może i straciliśmy dużo wpływów, lecz wciąż mamy paru ludzi w Pałacu Proroka. Nie mogli cię wyciągnąć, ale przynajmniej mieliśmy najświeższe nowiny.

— Dobrze wyglądasz w stroju pułkownika — odparł Al'Iarnak, gdy uważniej przyjrzał się rozmówcy.

Hanhakh machnął ręką.

— Zamiast bogatego stroju, honorów i służby wolałbym kilka dziesiątek gwardzistów. Co to za pułkownik, który dowodzi czterema kompaniami?

— I tak w mieście nie ma już dla nas miejsca. Pewnie nudzicie się jak bacharny w święto?

— Nie jest tak źle. Od czasu do czasu wykonujemy drobne zadania — odrzekł enigmatycznie Hanhakh.

— Mnie i tak nie będzie dane ich poznać. Rozumiem, że piąta kompania jest w Um'Magar?

Hanhakh skinął głową.

— No to pójdę do zbrojmistrza po nowy ekwipunek, bo wszystkie rzeczy ukradły mi te psy z Pałacu Sprawiedliwych. Za dwa dni będę w drodze, dobrze?

Nie czekając na potwierdzenie, Nahar odwrócił się i ruszył w stronę ciemnego wnętrza fortu.

— Poczekaj — zatrzymał go głos przełożonego. — Widzę, że lochy nie ostudziły ci gorącej głowy, Naharze. Może zanim spakujesz manatki, przeczytasz chociaż swój rozkaz?

Nahar odwrócił się zdziwiony.

— Mam jakiś rozkaz?!

— Od samego paszy.

To mówiąc, Hanhakh wyciągnął zza pazuchy zwój z lakowaną pieczęcią. Nahar obejrzał go ze zdziwieniem. Pierwszy raz w życiu widział pismo od samego Asimara. Otworzył je i zaczął czytać. Gdy skończył, na jego twarzy było widać ogromne zdziwienie.

— Pasza rozkazał, by... by mnie przeniesiono. I awansowano — powiedział wolno.

— Wiem. Zostałem powiadomiony o treści rozkazu, gdy mi go wręczał. Od dzisiaj jesteś zastępcą dowódcy drugiej drużyny, kapitana Sidzara. Oficjalnie awansuję cię na porucznika jutro rano. Będziesz brał udział w tajnych zadaniach na terenie Świętego Miasta.

— Tajnych zadaniach? — bąknął zdumiony Nahar.

— Czasy się zmieniły. Nasze powinności także.

Al'Iarnak skinął głową, choć niewiele z tego rozumiał. Cóż mogli robić Święci Jeźdźcy, szkoleni do długich patroli na pustkowiach, w środku Tel'Halik? Walczyć z buntownikami? Ale od tego przecież były Jastrzębie Najwyższego!

Pożegnawszy się z pułkownikiem, Nahar ruszył w stronę bramy. Nie było sensu odbierać teraz ekwipunku, jeśli jutro rano miał dostać oficerski pancerz i szablę. Gdy wyszedł na środek skąpanego w słońcu placu, wydało mu się, że czuje na plecach czyjś wzrok. Odwrócił się — i w tym momencie w jednym z okien dostrzegł ruch. Słuch Nahara, niezwykle wyczulony przez tygodnie spędzone w podziemiach, złowił cichy stuk, jakby ktoś, cofając się szybko od okna, coś potrącił. Nahar wpatrywał się chwilę w ciemny otwór okienny, lecz nic się już nie wydarzyło.

Idąc ku bramie, pomyślał, że w Orlim Forcie dzieje się coś bardzo

dziwnego. Nie miał pewności, czy nie byłoby lepiej, gdyby musiał wyjechać do Um'Magar.

Pogrążony w ponurych myślach, przeszedł przez całą Dzielnice Rzemieślników i ocknął się dopiero, gdy wokół zamiast białych domków zobaczył suszone cegły murów rodowych rezydencji. Wtedy przyśpieszył kroku i w kilka chwil był już pod swoim domem. Wchodząc do ogrodu, wciągnął głęboko w płuca zapach jaśminu i cytrusowych drzewek. Sługa, który właśnie czyścił ogrodową fontannę, przerwał pracę, chwilę przyglądał się przybyszowi, a poznawszy w nim panicza Nahara, rzucił narzędzia i pobiegł do domu. Wkrótce potem wokół młodego Al'Iarnaka kłębiła się szczęśliwa rodzina.

Jedno tylko go niepokoiło — wśród radosnych twarzy nie widział Muddy.

*

Gdy Ezih wrócił z lekcji w madrasie, zastał dziadka pochylonego nad stołem. Jego ręce drżały, zaciskając się na krawędziach blatu, a twarz była całkiem sina.

— Dziadku! — krzyknął chłopiec, rzucając na bok zawiniątko z tabliczkami.

— Nic mi nie jest, Ezihu. Już. Spokojnie. To tylko duszności.

Wyraz twarzy ślepego garncarza przeczył jednak słowom. Jego okryte bielmem oczy były wytrzeszczone. Rękę miał podkurczoną pod siebie, oddech chrapliwy.

Ezih natychmiast odsunął wszystkie zasłony. Warsztat, pełen kawałków gliny i świeżo ulepionych naczyń, zalało jasne dzienne światło. Chłopiec chwycił pusty dzbanek i pobiegł do studni. To nie było pierwsze zasłabnięcie dziadka, wiedział więc, co ma robić.

Gdy garncarz wypił kubek lodowatej wody i pooddychał chwilę świeżym powietrzem, bóle minęły. Rozsiadł się na swoim szerokim, roboczym krześle i odetchnął z ulgą, masując pierś.

— Dziękuję, Ezihu. To naprawdę nic takiego. Zresztą bolało mniej niż ostatnio, dzięki niech będą Jedynemu.

Chłopiec uśmiechnął się i pokiwał głową. Mimo młodego wieku wiedział już swoje. Zdawał sobie sprawę, że garnki zaczęły się źle sprzedawać, a nowe podatki dotkliwie w nich uderzyły. Widział też, jak jeszcze ubożsi sąsiedzi patrzą na dziadka z wyrzutem, jak szepcą za jego plecami. Ba! Ezih sam niedawno pobił się na ulicy z synem rzeźnika, gdy ten pryszczaty

młodzieniec powiedział, że dziadek Eziha dostał nowe koło garncarskie w prezencie za donoszenie Duzzahom.

Przez te wszystkie zmartwienia dziadek ostatnio skurczył się i zgarbił. Jego twarz, zazwyczaj pogodną i roześmianą, coraz częściej znaczył smutek. Ezih to czuł i również się martwił, ale nie dawał tego po sobie poznać, wiedząc, że humor dziadka pogorszyłby się jeszcze bardziej.

— Jak tam na zajęciach? — spytał Udaj.

— Zwyczajnie, dziadku. Szkoda tylko, że czytanie z Księgi było krótkie. Tylko jedna, nieduża przypowieść. Potem Duzzah opowiadał nam o przemówieniach i planach proroka oraz o niewiernych plemionach, które żyją poza Tel'Halik. Dziadku, słyszałeś, że oni zjadają własnych zmarłych? Okropność!

— No nie wiem, Ezihu. Widziałem raz w życiu Degów i nie zachowywali się jak kanibale. Ale oczywiście Duzzah wie pewnie lepiej...

— Dziadku? — Mały sprawdził, czy tabliczki nie popękały, i usiadł przy garncarskim kole. — Opowiesz mi jakąś historię?

— Ejże, mały łobuzie, dopiero co wróciłeś z madrasy! — Garncarz się roześmiał. — Lepiej pójdz do suku i kup trochę owoców.

— Ale dziś było tak mało ciekawych historii! Proszę, dziadku. Opowiedz mi coś.

— No dobrze, dobrze. Zaciągnij tylko zasłony i rozrób mi porcję gliny.

Gdy Ezih uwinął się z pracą, Udaj wypił jeszcze trochę wody, po czym rozpoczął opowieść:

— Dawno temu, w czasach pierwszych proroków, żył sobie pasza, którego kochał cały lud. Pasza był sprawiedliwy, miał nieprzekupnych oficerów, dzielną armię i na długie lata zapewnił spokój Ocalonej Krainie. Poddani tak go kochali, że na jedno słowo byliby gotowi skoczyć z murów miasta, a nawet wyrzec się Księgi. Tak wielkie oddanie często zawstydzalo paszę, podobnie jak fakt, że ze wszystkich stron otaczali go pochlebcy. Rok mijał za rokiem, pasza zaś robił się coraz starszy i pewnego dnia, gdy siedział w ogrodzie, z natchnienia Jedynego zrodziła się w nim obawa. Pomyślał, że niebezpiecznie jest, gdy ludzie wierzą bez zastrzeżeń w każde jego słowo. Przecież sędziwy wiek odbierał mu siły i jasność rozumienia. Mógł się kiedyś omylić, a gdy wtedy nie znajdzie się nikt, kto odważy się dostrzec omyłkę, konsekwencje mogły być tragiczne!

I tak pasza powziął mocne postanowienie. Zdecydował, że uda kompletnie szalonego, a wtedy ludzie przekonają się, że nie mogą na nim

wiecznie polegać, że kiedyś będą musieli nauczyć się myśleć i decydować za siebie. Wezwał więc pasza na audiencję najdostojniejszego z oficerów, własnego zastępcę i rzekł do niego przy wielu świadkach: „Smutno mi i ponuro, bo ogród opuściły wszystkie ptaki. Jutro więc przebierzesz się za kolorowego słowika i będziesz skakał między drzewami, wesoło ćwierkając. To mi poprawi humor”. Ludzie zdziwili się niezmiernie, podobnie jak oficer. Ów uznał jednak, że pasza jest nieskończenie mądry i na pewno ma rację. Rzekł: „Tak, o najwspanialszy. Twoja wola jest dla mnie rozkazem”.

Następnego dnia ubrany w czerwone szaty oficer płaśał po ogródku. Pasza zaś wezwał na audiencję kolejnego dostojnika i oznajmił: „Ciemno w tej sali niczym w jaskini. Potrzebuję więcej światła, mój drogi. Przebierz się za płomień i od jutra cały dzień będziesz stał na środku sali, by oświetlać jej kąty”. Mężczyzna, choć zdziwiony, ugiął się i odpowiedział: „Tak, o najwspanialszy. Twoja wola jest dla mnie rozkazem”. Trzeciego dnia pasza wezwał następnego w kolejności urzędnika. „Ta wyschła fontanna w podwórcu całkiem psuje mi nastrój — powiedział. — Od jutra będziesz udawał w niej wodę. Cały dzień będziesz pluskał i przelewał się od brzegu do brzegu”. Bez chwili zastanowienia urzędnik odparł: „Tak, o najwspanialszy. Twoja wola jest dla mnie rozkazem”.

Ezih zachichotał. Garncarz Udaj przepłukał tymczasem gardło i kontynuował:

— Bez względu na to, jak śmieszne obowiązki wymyślał pasza dworzanom, ci ani razu nie wazyli się sprzeciwić. Wreszcie, po miesiącu, pałac paszy przypominał już dom, gdzie leczy się obłąkańców. Całe dnie wszyscy biegali w śmiesznych, kolorowych strojach, z całkowitym poświęceniem wykonując absurdalne prace. Stary pasza zaś smucił się coraz bardziej, bo widział, że oddanie wobec niego przyćmiło wszelki zdrowy rozsądek. Pewnego razu wezwał jednak młodego strażnika, który dotychczas stał co dzień przy wrotach pałacu. „Od wielu dni dręczą mnie upały, a Najwyższy nie raczył zesać nam choćby lekkiego zefirku. Będziesz więc od dziś wiatrem. Będziesz biegał szybko po korytarzach, salach i ogrodzie, chłodząc nas swoim powiewem”. Żołnierz skłonił się z szacunkiem i odparł: „Wybacz, o najpotężniejszy, lecz nie wiem, czy to rozsądne. Gdy zabraknie mnie przy wrotach, każdy będzie mógł wejść do środka i kraść co popadnie. Poza tym, nawet gdybym biegał najszybciej, jak potrafię, nie dam nikomu ochłody. Człowiek nie może zmienić się w wiatr”. Pasza patrzył chwilę na żołnierza groźnie, a potem wybuchnął donośnym śmiechem. „Wreszcie! Tyś

jedyny, przyjacielu, nie postradał rozumu! Tyś jedyny zachował trzeźwy umysł! ”. Inni słudzy paszy patrzyli na niego zdziwieni. Nagle każdy z nich zdał sobie sprawę, jak głupio zachowywał się przez ostatnie dni. Zaczerwienili się ze wstydu, a pasza wyniósł prostego żołnierza do rangi generała i uczynił go swym zastępcą. Całą historię kazał zaś wyryć na spiżowych wrotach pałacu, tak aby wszyscy, po wsze czasy, pamiętali już, że człowiek zawsze pozostanie zwykłym, omylnym człowiekiem, niezależnie od pozycji, urodzenia czy respektu, jakim darzą go współplemieńcy.

Ezih uśmiechnął się. Dziadek wyciągnął rękę, wymacał jego głowę i zmierzwił mu włosy.

— I jak? Podobało ci się?

— Jak zawsze, dziadku! Kiedyś myślałem, że opowiadasz jak Duzzah, lecz odkąd słyszę ich codziennie, wiem, że jesteś znacznie lepszy!

— No, no. Nie przesadzaj. Wiele mi brakuje, Ezihu. Nie nauczyłem się nigdy retoryki ni prowadzenia kazań. Ty, jako młody człowiek rzemiosła, powinieś wiedzieć, co czyni różnicę między zdolnym amatorem a fachowcem.

— I tak sędzę, że jesteś najlepszy, dziadku. Księga mówi: „Najwyższy bowiem zsyła talenty jako nagrodę za zbożne życie rodziców, a gdy jego ogień rozpali się w człowieku, daje mu siłę tworzenia rzeczy, które w osłupienie i podziw wprawiają współplemieńców”.

— Oho! Nie myślałem, że doczekam czasów, gdy własny wnuk będzie mi cytował Księgę! Jestem z ciebie dumny, Ezihu. Pojętny z ciebie chłopiec. A teraz weź ze szkatułki sześć miedziaków i pędź kupić owoce. Albo nie! Weź srebrną centimę i kup sobie jeszcze jakieś smaczne ciastko.

Ezih poderwał się na nogi.

— Dziękuję, dziadku.

Już zamierzał wybiec na dwór, gdy starzec go zatrzymał.

— Ezihu?

— Tak, dziadku.

— Tylko proszę, nie wyciągnij z mojej historii pochopnych wniosków. Niech ci się nie wydaje, że jesteś mądrzejszy od Duzzahów lub, niech Jedyny broni, proroka! Jeszcze wiele lat nauki przed tobą, nim będziesz mógł choć w myślach z nimi dyskutować.

— Rozumiem.

— No, znikaj już.

*

Mudda znowu wracał do domu grubo po ostatnim czytaniu — i znów obiecywał sobie, że to ostatni raz. Co prawda pracodawca zapewniał go, że jeśli zostanie pojmany, spędzi w Pałacu Sprawiedliwych najdalej jedną noc, jednak nawet ten czas wydawał się młodemu Duzzahowi zbyt długi. Poza tym wiedział, że w momencie pojmania strażnicy obejdą się z nim brutalnie, starał się więc jak mógł, by nie zostać złapanym. Unikał głównych ulic, przemykając wąskimi zaułkami, choć to z kolei narażało go na spotkanie z rzezimieszkami. Pospolitych złodziei bał się jednak mniej niż Czerwonych Turbanów, a zresztą liczba tych pierwszych jakoś gwałtownie spadła.

Niestety nocne eskapady były teraz codziennością Duzzaha. Oderwany od ksiąg i badań, znalazł się nagle w niepasującej do niego roli szpiega. Brał udział zarówno w oficjalnych spotkaniach Duzzahów, jak i w prywatnych przyjęciach. Próbował prowokować podejrzane osoby do niebacznego słowa, a potem donosił o wszystkim wskazanemu urzędnikowi. Z każdym donosem czuł do siebie coraz większe obrzydzenie. Choć starał się pracować niezbyt gorliwie i zgłaszał tylko część uchybień, niewątpliwie posłał już do lochu wiele osób.

Czasem Mudda próbował się pocieszać, że gdyby na jego miejscu znajdował się wierny sługa Vezamara, ofiar byłoby znacznie więcej. Zdawał sobie jednak sprawę, że podobnych usprawiedliwień mogą używać najgorsze kanalie i sługusi proroka.

Dziś miał szczególnie podły humor. Na spotkaniu, na którym bawił, pewien młody Duzzah, który ledwie kilka dni temu otrzymał chłep, upił się winem i narzekał na rządy. Niestety, słyszało to kilka osób. Mudda wiedział, że tak czy inaczej ktoś złoży donos i lepiej, żeby to był on. Nie chciał przecież, by posądzono go o opieszałość. Złożył więc meldunek jeszcze tego samego wieczoru, ale nie mógł wypędzić z głowy widoku tego młodego, radosnego człowieka, który wkrótce skończy na mękach. Coś w twarzy i ruchach nieszczęśnika przywodziło na myśl Nahara.

Z ponurego nastroju wyrwał Muddę łopot płaszcza. W pierwszym odruchu uczony schylił się i wyrwał zza pazuchy kindżał, odrywając jeden guzik chili. Jednak jeszcze nim ten mały, złocony owal przestał podskakiwać na kamieniach, Mudda opuścił broń. Widział przed sobą znajomą sylwetkę w srebrzystej masce.

— Dlaczego nigdy mnie nie ostrzegasz, panie? — spytał z wyrzutem Mudda. — Albo nie stoisz po prostu na rogu ulicy? Nie wiem, skąd masz swoją diabelską moc, ale chyba używasz jej dla czystej przyjemności!

— Nie pozwalaj sobie, Muddo. Jesteś użytecznym narzędziem, jednak dla krnąbrnych nie mam litości... Ale polowanie na ludzi w mroku istotnie dostarcza mi miłych wrażeń. Wiesz, o czym mówię. Dreszcz emocji. Łowy.

Mudda wzdygnął się.

— O co chodzi? — spytał.

— Mam dla ciebie dobrą wiadomość, którą chciałem przekazać osobiście. To nagroda, Muddo. Nagroda za twoje starania.

Serce Muddy przyspieszyło. Czyżby...?

— Twój brat jest już w domu. Dzisiaj w południe opuścił loch — powiedział nieznajomy.

Mudda przymknął oczy i odetchnął głęboko. Dzięki Jedynemu!

— Wiem, że bardzo chcesz się z nim zobaczyć, więc nie będę cię zatrzymywał — rzekł człowiek w masce. — Pamiętaj jednak, że w tym wypadku, co się stało, może się i odstać. Wiesz już, jak wielki jest mój wpływ w Świątym Mieście. Jeśli mnie zdradzisz lub zawiedziesz...

— Nie zawiodę, panie. Dalej będę twoim pokornym sługą — szepnął Mudda.

— Wyśmienicie. W ten sposób możesz daleko zajść, Muddo.

Nieznajomy rozpląnął się w ciemności.

*

Jeszcze długo po zachodzie słońca Czenda chodził wśród zwierząt, uważnie badając każdą sztukę. Trzeba było wybrać. Do najbliższej znanej sobie studni mieli cztery dni drogi. Wody wystarczyć mogło na dwa. Najsłabsze zwierzęta musiały zostać wśród piasków, na pewną śmierć.

Ojciec Czendy, jeden z najmądrzejszych Degów, jacy chodzili po górach, nauczył go za młodu szacunku do zwierząt. Bacharn mógł wyżywić dużą rodzinę przez kilka dni, mógł też przenieść jurkę wraz z całym dobytkiem. Gdy się go zabijało, to z szacunkiem i świadomością, że mięso i skóry zostaną dobrze wykorzystane. Teraz Czenda bardzo cierpiał, wiedząc, że wybrane zwierzęta zginą przez zwykłą ludzką zawiść oraz głupotę. Miał nadzieję, że przodkowie nie zobaczą tego czynu ze swoich grobów w czeluściach gór.

Inni Degowie także ze smutkiem patrzyli na stado. Czuli się upokorzeni, oszukani. Całe dni ciężkiej wędrówki zdały się na nic. Część winiła za to Tenziha Bakh'Dezi, który przeforsował w końcu pomysł wysłania połowy daniny, większość jednak obwinała za wszystko Duzzaaha w czerwonych szatach i jego wielką pychę. Każdy z górali chętnie upuściłby mu krwi swoim

ghankiem.

Chmury spokojnie płynęły po nocnym niebie, wydmy zamarły w chłodnym świetle księżyca. Bacharny zbiły się w stado parskając, a siwy Czenda wciąż chodził między nimi, próbując wydać najsprawiedliwszy wyrok. Tymczasem wysoko w górze przeleciał samotny ptak. Żaden z Degów nie zwrócił na niego uwagi, nie mogli więc dostrzec, że to pocztowy gołąb z miedzianą tulejką przytroczoną do nogi. Ptak kierował się w tę samą stronę, co oni — ku Czerwonym Wzgórzom. Niósł list od samego Yholeda do komendanta Abashima, dowódcy garnizonu w Żelaznej Dolinie.

Dla Degów gołębie zawsze stanowiły dobry omen. Ten jednak był zwiastunem krwawej wojny.

Rozdział 6. Śmierć w podziemiach

Mur przyciągał wzrok, podkreślając idealnie równą linię horyzontu. Kashim żałował, że nie ma lunety, by lepiej mu się przyjrzeć. Dostrzegał jednak i z tej odległości, że to dzieło ludzkich rąk. W jednym miejscu zdawało się nawet, że ponad kamienną ścianą wystaje skrawek dachu. Widok dość niecodzienny na samym środku stepu, choć trzeba było przyznać, że ziemia nadawała się tu do zamieszkania. Była brunatna, nieco piaszczysta. Porastała ją rzadka trawa, a gdzieniegdzie widzieli karłowate drzewko czy krzak.

— Co sądzisz? — spytał Kashim. — To już twoje kraje.

— Sądzę, że powinniśmy jak najszybciej odjechać — odparł bez zastanowienia Brenvan. — Ominiemy tę posiadłość szerokim łukiem.

— Długo może się nie trafić ponowna okazja do napełnienia bukłaków. A wody jest już tyle, co nic. Masz jakieś poważne powody, by ominąć tych ludzi?

— Więcej niż poważne, Kashimie. Von Deller opowiadał mi o księżętach pogranicza — byłych kupcach i wygnanych rycerzach, osiedlających się na stepie. Mury i duże oddziały zbrojnych chronią ich przed barbarzyńcami oraz dziką naturą. Utrzymują się z pracy niewolników, którzy z dala od ludzkich oczu są traktowani gorzej niż zwierzęta. Ci nieszczęśnicy pracują do śmierci z wycieńczenia, a wtedy ich ciałami użyźnia się pola. „Księżęta” sprzedają swoje towary do Learfeld. Niespożyty apetyt na niewolników zaspokajają zaś w Marovii oraz wśród granicznych ludów. Lepiej nie wpaść w ich łapy. Wątpię, czy uszanują moje szlachetne urodzenie.

— Dądzę, że możemy zaryzykować. W razie czego posłużę się darem i spróbuję ich wystraszyć.

— Nie, na Warezara! Chcesz, żeby już od pogranicza ciągnęła się za nami sława czarowników i morderców? Posłuchaj, uratowałeś mi skórę na pustyni, ale teraz role się odwracają. Zaufaj mi, a doprowadzę nas bezpiecznie do ziem Caerleighbarm.

Kashim skinął ponuro głową. Popędzili saury na południe, by wyminąć mur szerokim łukiem. Jadąc, Al'Shannagg sprawdził jeszcze raz bukłaki przy bokach gada. Wyglądało na to, że jeśli nie uśmiechnie się do nich szczęście, i tak wkrótce będą musieli zdać się na łaskę granicznych księząt.

*

— Narysuj to, Ibo. Sto kroków od rozwidlenia — klif. Nie można iść dalej.

Zbroja mężczyzny błyszczała w świetle pochodni. Ibo poczuł na plecach dreszcz, gdy zobaczył, jak wojownik przechyla się daleko za krawędź skały, patrząc w atramentową otchłań. Po chwili rzucił w nią pochodnię. Długo obserwował malejący ognek.

— Dopisz, że klif ma najmniej pięćset stóp. Na Jedynego, tym chyba można dotrzeć do samych trzewi ziemi.

Jeden z pozostałych gwardzistów podał dowódcy nową pochodnię, którą ten zaraz zapalił. Skryba tymczasem przykucnął na nierównym skalistym podłożu i w świetle malutkiego kaganka naniósł na plan kolejną odnogę, wraz z adnotacją. Potem rzucił okiem na całość. Dzisiaj uszli znacznie więcej niż zwykle. Ibo był już zmęczony i bardzo chciał zawracać, jego eskorta jednak nie okazywała znużenia. Nic dziwnego, w końcu Święci Jeźdźcy byli wytrzymali jak dorosłe bacharny.

— Idziemy! — rzucił krótko kapitan.

Jeźdźcy wrócili do szyku. Trójka szła daleko z przodu, badając ostrożnie drogę. Czterech, wraz z kapitanem, otaczało Ibo, bacznie rozglądając się na boki. Nie wypuszczali z dłoni ciężkich szabli, zupełnie jakby bali się, że zaraz spotkają wroga. Mieli na sobie pełne pancerze, które utrudniały marsz po stromych pochyłościach i przez skalne szczeliny. To zachowanie bardzo skrybę niepokoiło. Kogo mogli spotkać w jaskiniach, skoro przez kilka dni widział tu jedynie parę pajaków, ślepe robaki i całe kolonie zdiczałych grzybów hungu?

Jeszcze bardziej dziwiło go zachowanie dwóch członków oddziału. Otóż szli w pewnej odległości za środkową grupą, pieczołowicie zacierając wszystkie ślady. O ile broń i pancerze Ibo mógł sobie wytłumaczyć obawą przed dzikimi bestiami z podziemi, o tyle niszczenie tropów było już całkiem niepojęte. Byli przecież pierwszymi ludźmi, którzy zeszli do jaskiń od dwóch setek lat! Tak przynajmniej wynikało z kronik Świętego Miasta...

Oddział tymczasem dotarł do skrzyżowania. Tylko jedna odnoga została już do zbadania — ta wiodąca w dół. Tworzył ją pokręcony korytarz, pod którego ścianami leżały sterty gruzu i wielkie, oderwane od sufitu bloki skał. Jeźdźcy szli wolno, bo szyb wyglądał tak, jakby lada moment mógł runąć. Co sto kroków przystawali, a wtedy Ibo dorysowywał do planu kolejny fragment podziemi. Penetrując tę odnogę, zatrzymali się pięć razy. Potem usłyszeli

przed sobą ludzkie głosy.

Ibo zamarł z przerażenia, pewien, że to duchy przodków, a ich obawiał się najbardziej; ponoć zamieszkiwały te jaskinie. Święci Jeźdźcy nie zawahali się jednak nawet przez chwilę. Natychmiast zdeptali pochodnie, przywarli do ścian, padli za stertami gruzu, czyjaś krzepka ręka pociągnęła skrybę w ukrycie. Nad uchem usłyszał szept jednego z żołnierzy:

— No i mamy ich. Wycofujemy się, kapitanie?

— Idą za szybko. Zresztą znajdą ślady naszych zagwi, a tego nie zdążymy uprzątnąć. Przygotować się do walki.

Ostatnie zdanie zabrzmiało jeszcze kilka razy, powtórzone szeptem od żołnierza do żołnierza. Ibo czuł, jak krew łomocze mu w skroniach. Podpełził pod samą ścianę i wcisnął się w skalną szczelinę.

Niech Jedyne wybaczy mi chciwość, myślał. Dobrze płatne zlecenie, mówili, nic groźnego, tylko odrobina kartografii. Jeśli wyjdę z tych przeklętych korytarzy żywy, nigdy więcej nie wezmę specjalnych zleceń!

Tymczasem na końcu korytarza błyskało już światło pochodni. Ibo nie widział ludzi idących w ich stronę, lecz dostrzegł, że na twarzach niektórych Jeźdźców widnieje obawa. Przeciwników musiało być wielu. Jeden z nich głośno mówił, wspominając ostatnie pojedynki, do jakich miało dojść na jakiejś arenie, więc Ibo mógł się rozeznać, że przybysze podeszli już na niecałe kilkanaście kroków. Gdy pierwszy z nich dotarł do miejsca, w którym kryli się Jeźdźcy, kapitan bezszelestnie wychynął z cienia i ściął mu głowę płynnym ruchem. Cały oddział Jeźdźców wysypał się wówczas zza kamieni i rozgorzała walka.

— Na Jedynego! — krzyknął któryś z zaatakowanych.

Jeźdźcy walczyli w ciszy. Upuszczone na ziemię pochodnie zaatakowanych dawały mało światła, a kilka zostało rychło zdeptanych, więc korytarz spowił niemal całkowity mrok. W kotłowaniu Ibo nie potrafił poznać, kto ma przewagę. Co chwila migały przed nim czarne sylwetki, zmagając się na śmierć i życie jak w upiornym teatrzyku cieni. Szczekał oręż, krzyczeli ranni. Czasem tu i tam sypnęły skry, a ze dwa razy w powietrzu rozbrzmiał huk, gdy któryś z walczących użył daru. Po kilku chwilach potyczka dobiegła końca, niemal tak gwałtownie, jak się zaczęła. Na korytarzu rozbrzmiały tylko odgłosy podkutych butów; oddalały się od pola walki.

— Nie dajcie nikomu uciec! — rzucił któryś z Jeźdźców.

Dwie osoby rzuciły się w pościg. Sądząc po krzyku, który wkrótce

dobiegł z dołu korytarza, był to pościg owocny.

Ktoś za stertą kamieni zaczął na nowo rozdmuchiwać żagiew. W jej migotliwym świetle Ibo dostrzegł stojącego za nim wysokiego człowieka z szablą w ręku. Skulił się, czekając na cios.

— Kapitan nie żyje — usłyszał Ibo, dopiero teraz rozpoznając z ulgą jednego z Jeźdźców. — Wycofujemy się, ten hałas może ściągnąć ich więcej. Jesteś ranny?

Skryba potrząsnął głową.

Gdy pancerni gwardziści rozpalili już kilka pochodni, skryba niepewnie wyszedł z kryjówki i rzucił okiem na korytarz. Leżały tu trupy czterech Świętych Jeźdźców, w tym kapitana. Większość była paskudnie rozsieczona. Wyglądało na to, że nawet grube płytki z hartowanej stali nie mogły powstrzymać broni, którą władali ci drudzy — szóstka mężczyzn w czarnych dżelabach i ciemnych płaszczach, z turbanami na głowach. Część miała na piersi złote ozdoby, jeden nosił przy pasie Księgę. Każdy ścisnął w martwej dłoni długi na dwie i pół stopy, szeroki nóż. Mieli po kilka śmiertelnych ran, jakby ich ciała trzeba było przebić wiele razy, nim wypędziło się z nich resztki życia.

Nagle skryba rozpoznał martwych wojowników i zachwiał się jak cytrusowe drzewko na wietrze. Jastrzębie Najwyższego! Co też najlepszego zrobili ci Jeźdźcy? Zabili najbardziej zaufanych ludzi proroka! Lecz cóż Jastrzębie mogły robić w podziemiach?

Tymczasem dwóch Jeźdźców wróciło z dołu korytarza. Byli zdyszani, a wyższemu obficie ciekła z nosa krew. Musieli użyć daru, by dogonić zwinnego jak cień asasy. W tym czasie blondyn, który przejął dowództwo po śmierci kapitana, zbadał wszystkie ciała.

— Idziemy — rzekł wreszcie. — Nie ma czasu do stracenia. Ahiz, Imri?

— Tak?

— Sprzątnijcie tyle śladów walki, ile tylko się da. Jeśli nadejdą kolejne patrole, natychmiast wycofajcie się w górę korytarza i dajcie mi znak, żeby nie odcięli nas w ślepym zaułku. Ja z pozostałymi zaciągnę ciała w poprzednią odnogę i zrzucę je w przepaść.

Jeźdźcy skinęli głowami i zaraz zabrali się do pracy.

— No, dalej — powiedział jeden do Ibo. — Potrzebna nam każda para ręk. Bierz tego z odciętą głową. Będzie lżejszy.

Skryba wzdrygnął się z obrzydzenia. Mógł znieść podziemia, robactwo, nawet obserwowanie walki. Jednak zmuszanie go do noszenia okrwawionych

trupów zakrawało na bezczelność!

*

Kashim liczył w myślach kroki: od pierwszego kusznika dzieliło go dwanaście stóp. Nim zdoła doskoczyć, ów zarośnięty bandyta zdąży strzelić. Pojedyncze cięcie i można zająć się następnymi.

Jeden stał dwadzieścia stóp dalej, drugi, niestety, po przeciwległej stronie placu. Do momentu, w którym zabije pierwszego, pozostali wypuszczą po bełcie. Drugiego powinien dopaść, nim zdąży przeładować broń. Jednak trzeci może strzelić kolejny raz. Chyba żeby wcześniej obalić go na ziemię darem, ale mogło mu nie wystarczyć sił. Uniknięcie trzech strzał i wezwanie geniuszy powietrza — to było zbyt wiele i Święty Jeździec o tym wiedział. Nawet jeśli zdoła wypowiedzieć tyle rozkazów, potem będzie zmęczony, a prawdopodobnie czeka ich jeszcze walka z osadnikami. Źle to wyglądało.

Kashim spojrzał na Brenvana i lekko pokręcił głową. Rycerz potwierdził skinieniem, a potem na jego twarz wrócił uśmiech. Zaczął dalej targować się z ciemnoskórymi wieśniakami, używając ich dziwnego narzecza, które gęsto przetykał przekleństwami w pustynnej mowie. Nareszcie Brenvan dobił targu. Wysupłał z mieszka dwie duże srebrne monety. Jedną przełamał w pół na łęku siodła, półtora srebrnika wręczył mężczyźnie, resztę zaś schował. Potem dał Kashimowi znak, że mogą zsiąść z saurów. Święty Jeździec lekko zeskoczył na ziemię, lecz wciąż nie spuszczał oka ze strażników wsi. Z ich twarzy łatwo mógł wyczytać, że poważnie rozważają, czy nie zabić i okraść podróżnych.

W powietrzu czuło się ciężkie napięcie.

Trafili na tę osadę w ostatniej chwili, gdy woda niemal im się skończyła. Kashim próbował ratować sytuację, budując wieczorem kamienne kopce — skraplająca się na nich rosa spływała do stojącej pod spodem misy. Jednak z każdego kopca mieli ledwie kilka łyków, co wystarczało im na pół dnia. A u zwierząt pojawiły się pierwsze oznaki odwodnienia.

Na szczęście piątego dnia, odkąd minęli graniczną posiadłość, Kashim wypatrył ślad ludzkiej bytności. Na małym wzgórzu znajdował się półdziki sad oliwny, wśród drzewek zaś stała niziutka lepianka, teraz opuszczona, było jednak widać, że ktoś w niej od czasu do czasu nocuje. Ledwie dwa farsangi dalej dostrzegli wśród stepu pasterza ze stadem owiec. Wiedzieli już, że gdzieś w okolicy musi być osada. Rozmowa z ciemnoskórym chłopcem okazała się trudna, bo mówił w dziwnym połączeniu maroviańskich dialektów z językiem pustyni, ale Brenvan zdołał wywiedzieć się od niego o

położeniu wsi, która zwała się Bylkyen.

Bylkyen tworzyło kilka prostych chat o ścianach okładanych gliną oraz dwie czy trzy zagrody z owcami. Mieszkańcy byli niscy, mieli skórę o miedzianej barwie. Kashima uderzyła ich niechlujność, pełne wszy włosy i brudne ubrania. Niepokoiły go też wrogie spojrzenia, jakie osadnicy rzucali przybyłym. Co gorsza, okazało się, że przy głównym placyku osady znajduje się coś na kształt posterunku, z którego wyszło zaraz kilku uzbrojonych zbirów. Zarośnięte i poryte bliznami twarze nadawały im zacięty wygląd, a broń, choć toporna, wyglądała na często używaną. Na ramionach nosili zielone opaski; potem Brenvan wytłumaczył Kashimowi, że byli pewnie najmitami któregoś z książąt i mieli za zadanie trzymać wioskę w ryzach. Trzech z nich dzierżyło kusze o grubych niczym palec cięciwach. Kashim wolałby nie sprawdzać ich działania na sobie, toteż żałował, że przed wjazdem do Bylkyen obaj z Brenvanem schowali pancerze, by nie straszyć niepotrzebnie mieszkańców. Może gdyby wjechali w pełnym rynsztunku, wzbudziliby większy respekt.

Na środku wsi znajdowała się studnia. Kiedy się do niej zbliżyli, zastąpił im drogę kaprawa mężczyzna z zajęczą wargą i zaczął coś mówić, żywo gestykulując. Reszta mieszkańców patrzyła na nich spode łba. Brenvan wytłumaczył Kashimowi, że za skorzystanie ze studni wieśniacy zażądali od nich złota. Al'Shannagg był nawet gotów zapłacić, lecz Aam Caerleigh kategorycznie stwierdził, że tam, gdzie jada, złoto będzie im bardziej potrzebne. Zaczął się targować z wieśniakiem, pokrzykując na niego głośno, a uzbrojeni strażnicy zajęli w tym czasie pozycje do ataku...

Teraz, gdy dano im już przyzwolenie, Jasnowłosy zaczął poruszać długim żurawiem. Nikt z mieszkańców nie kwapił się z pomocą, Kashim zaś uznał, że lepiej zrobi, stojąc groźnie z ręką na głowicy szabli. Gdyby obaj pokazali plecy, dla bandytów mogłoby to stanowić zachętę.

Brenvan wyciągnął pierwsze wiadro. Woda okazała się mętnawa, lecz saury na jej widok gwałtownie się ożywiły. Rycerz jednak wpierw nappełnił bukłaki. Osadnicy patrzyli uważnie, jak wyciąga wiadro za wiadrem. Dopiero gdy wszystkie skóry były pełne, przystawił wodę zwierzętom. Piły łapczywie, sycząc na siebie i parskając. Jasnoróżowe ozory trzepotały w wodzie jak skrzydła kolibrów.

Gdy tylko Brenvan skończył, Kashim pomógł mu przytroczyć bukłaki do jucznego gada i obaj dosiedli wierzchowców. Było oczywiste, że nie ma sensu tu nocować, gospodarze bowiem poderżnęliby im pewnie gardła we

śnie. Wyjeżdżali już niemal z osady, gdy niespodziewanie drogę zastąpiła im stara kobieta w kwiecistej chuście. Biadoliła głośno, wyciągając ku podróżnym bochen chleba i zakryty płótnem garnek. Brenvan próbował ją odsunąć, lecz wieśniaczka uparcie chwyciła za uprząż saurów, za strzemiona. Wreszcie zniecierpliwiony rycerz rzucił jej pół srebrnika, a Kashim podjechał i wziął z jej rąk jedzenie. Potem ruszyli szybko uliczkami, a na stepie puścili się kłusem prosto na zachód.

Po pół dnia szybkiej jazdy Kashim spytał:

— Dzisiaj stajemy dopiero po zmroku?

— Tak. Wolę być daleko od wsi, nim pójdziemy spać. Ktoś pewnie nas śledzi.

— Może chociaż zatrzymamy się na posiłek — zaproponował Święty Jeździec.

Zajrzał już do garnka i wiedział, że jest wypełniony apetyczną polewką z dużymi kawałkami mięsa oraz papryki.

— Chcesz to jeść?! — Brenvan z niedowierzaniem wskazał naczynie, które Kashim trzymał przed sobą w siodle.

— Wygląda smakowicie.

— Mam nadzieję, że jeszcze nie próbowałaś?

— Nie. Ale o co chodzi?

— Po pierwsze, szlachcic nie powinien przykładać do ust tego, co zawszeni żebracy przygotowali brudnymi rękami. Po drugie, posiłek z pewnością jest zatruty.

Kashim zajrzał do garnka.

— Naprawdę?

Brenvan zaśmiał się.

— Lepiej naucz się mi ufać, jeśli chcesz dożyć do Caerleighborough. Na pograniczu już wielu niebacznych kupców oraz podróżnych dało się nabrać. Najpierw sprzedają ci zatrutą żywność, a potem jadą twoim śladem. Mają dobry łup bez walki i bez narażania własnej skóry.

— Barbarzyński kraj — sarknął Kashim, wyrzucając naczynie.

*

Służba porucznika okazała się tak samo nudna, jak służba szeregowego Jeźdźca. Przez trzy dni Nahar ćwiczył szermierkę, biegał wokół fortu, a także, jako młody podoficer, brał udział w prowadzonych przez Hanhakha czytaniach, gdzie przedstawiano znane z historii bitwy. Potem dyskutowano o mądrych i złych decyzjach dowódców, szkicując plany na glinianych

tabliczkach.

Czas mijał bez ciekawych zdarzeń, Nahar zaś mógł się bliżej przyjrzeć zmianom, które zaszły w forcie. Kilka rzeczy nieco go zdumiało, na przykład fakt, że Jeźdźcom zakazano mówić o zadaniach, jakie wypełniały ich kompanie. Albo to, że część Orlego Fortu została zamknięta i zapieczętowana, a komnat w dzień i w nocy strzegli wyznaczeni gwardziści. Al'Iarnak rozumiał jednak, że niezwykle czasy wymagają niezwykle metod. Nawet w szeregach Jeźdźców musieli być szpiedzy oraz donosiciele, nic więc dziwnego, że pasza rozkazał trzymać pewne sprawy w sekrecie.

Czwartego dnia kompania Nahara dostała wreszcie zadanie. Okazało się rozczarowujące: kapitan Sidzar Al'Rashad podzielił Jeźdźców na małe grupy, które ruszyły w miasto szukać Immana Al'Qidara. Nahar wiedział, że to pogoń za cieniem. Imman był jednym z bardziej znanych isyckich poetów, ponoć za dawnych czasów współpracował z Zerakhimem. Od chwili gdy nastąpiły nowe porządki, dosłownie rozpląnął się w powietrzu, choć świetnie napisane odezwy przeciw Vezamarowi, których kopie znaleziono u kilku heretyków, pozwalały sądzić, że jeszcze żyje.

Al'Qidara poszukiwały Czerwone Turbany oraz Jastrzębie Najwyższego. Nahar nie pojmował, dlaczego do poszukiwań zaprzęgnięto ludzi paszy, tym bardziej, że sprawa Immana już przycichła i sam wielki kadi uznał, że szanse na jego pojmanie są małe. Jednym słowem dla młodego Jeźdźca zadanie było absurdalne, zupełnie jakby przydzielono je tylko po to, by nie nudzili się w forcie.

Po całym dniu krążenia rozgrzаныmi uliczkami Nahar zdał sobie sprawę, że nade wszystko marzy o pucharze chłodnego trunku. Dlatego gdy kapitan rozpuścił oddział, ruszył wprost do Rozbitej Amfory. Miał tam gościć pierwszy raz od wyjścia z lochu, do tej pory każdy wieczór spędzał bowiem z rodziną, która wciąż nie mogła się nacieszyć cudownie odzyskanym krewnym.

Gdy Al'Iarnak wyszedł z szerokiej alei Murarzy i zobaczył przed sobą budynek tawerny, przytulony do miejskiego muru, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Już ostatnio widział, że Alimowi nie powodzi się najlepiej, mimo to widok go zaskoczył.

Płot, który odgradzał Rozbitą Amforę od ulicy, był w wielu miejscach zniszczony. Furtkę wyłamano, połamane deski wisiały na zawiasach. Ogród, niegdyś wspaniałe miejsce, w którym można było odpocząć, gdy się wypilo o pół garnca za dużo, zupełnie się zmienił. Alim ściał palmy i wykarczował

kwieciste krzewy, zamiast nich znajdowały się tu ubogie grządki warzywne. W rogu ogrodu, przy białej przybudówce, pasły się kozy. Zniknęły baldachimy, tam, gdzie był posąg Ehry, postawiono zbity krzywo gołębnik. Na domiar złego przepadł symbol tawerny — szyld ze znakiem stłuczonego naczynia. Teraz tylko wystający ze ściany pręt przypominał o jego istnieniu.

Nahar nie wiedział, czy tawerna w ogóle jeszcze działa. Na szczęście, gdy stanął pod drzwiczkami, usłyszał ze środka kilka głosów i śmiech. Odetchnąwszy z ulgą, pchnął skrzydło.

Wewnątrz było dokładnie tak, jak się spodziewał: straszyły nagie, obdarte z arrasów ściany. Czyjaś niezręczna ręka wybazgrała na nich cytaty z Księgi. Zniknęły ozdobne stoliki, zastąpione prostymi, często krzywo zbitymi meblami. Zamiast jedwabnych poduszek leżały połatane puffy. Zerwano wszystkie zasłony, także z każdego kąta było widać całą salę. Mimo to goście wciąż dopisywali.

Nahar zobaczył kilkanaście osób, głównie strażników, kupców lub młodzieńców ze średnio zamożnych rodzin. Panowała dość wesoła atmosfera, choć goście byli ostrożni w słowach, licząc się z obecnością donosicieli. Nahar odruchowo zwrócił się w stronę miejsca, które zazwyczaj zajmowali z Kashimem i Dahalem.

Kashim, Dahal... Nagle młody wojownik poczuł gryzący żal. Oddałby chętnie swój oficerski awans, by znów spotkać się ze starymi przyjaciółmi, by znów panował Zerakhim, Święci Jeźdźcy mknęli pustkowiami, tawerny kipiały wieczorem śmiechem oraz muzyką, a kobiety nie bały się słać na wszystkie strony uśmiechów i zalotnych spojrzeń.

Z melancholii wyrwał Nahara dopiero widok znajomej twarzy. Dostrzegł jednego z Jeźdźców, Imriego Makhar'Sawi, który właśnie marszczył czoło nad planszą do gry paszy. Włosy miał w nieładzie, a jedna ręka zwisała mu na prowizorycznym temblaku. Nahar przysiadł się i nim Imri zdążył unieść głowę, rzekł:

— Przesuń Duzzaha dwa pola na ukos. Zagroziś prorokowi.

— Witaj, Naharze — odparł żołnierz. — Po pierwsze, teraz nie mówi się na tę figurę „prorok”, lecz „władca”. Tak bezpieczniej. Po drugie, od kiedy znasz się na grze paszy?

— Grałem z braćmi. Jak chcesz, możemy się zmierzyć.

— Może gdy skończę tę partię.

Nahar skinął głową. Za dawnych czasów grywał bardzo często, jednak znalezienie nowych przeciwników zawsze nastęrczało trudności. Choć grę

wymyślił wielki pasza Bimirdż niemal pięćdziesiąt lat temu, upowszechniła się tylko wśród żołnierzy oraz niektórych Duzzahów. Pospólstwo zostało przy bardziej tradycyjnych rozrywkach.

W tym momencie do sali wszedł Alim, niosąc nad głową tacę. Choć wychudł strasznie, a niegdyś pucółowate policzki zapadły mu się, wciąż z wprawą lawirował między stolikami. Nahar machnął na niego ręką. Alim podszedł, chwilę patrzył na twarz Jeżdźca, jakby szukając jej w pamięci, po czym krzyknął:

— Niech mnie sępy zeżrą, jeśli to nie panicz Al'Iarnak! Na Jedynego, nie widziałem panicza od dawna. No, no! Przez ten czas panicz całkiem się zmienił.

— Więzienie nikomu nie służy, Alimie.

— Aaaa... rozumiem. O nic więcej nie pytam, pozwolę sobie tylko pogratulować paniczowi. W dzisiejszych czasach wielu wchodzi do Pałacu Sprawiedliwych, ale niewielu go opuszcza.

— Widzę, że ciebie też czasy nie rozpieszczają. — Nahar spojrzał wymownie na gołe ściany.

— Niestety. Niech zapalę się od słońca, jeśli miałbym powiedzieć co złego o Duzzahach, lecz dla tawern i winiarni faktycznie nastąpiły trudne czasy. Nie pomogło, że zyskałem wszystkie pozwolenia, dałem sowite łapówki, a na ścianach kazałem wypisać moralizatorskie cytaty. I tak Czerwone Turbany już dwa razy zdemolowały mi ogród oraz salę, a ostatni ukaz mędrca Yholeda zabronił wywieszania szyldów nad miejscami zbytków. Dlatego przychodzą już tylko ludzie, którzy znają moją tawernę z dawnych czasów... No, ale dość tych smutków. Trzeba się cieszyć, że panicz wrócił cały z kazamatów.

— Może z tej radosnej okazji przyniesiesz mi swojego najlepszego?

Alim stropił się.

— Niestety, paniczu. Ów nektar znad Shaprut, który serwowałem najwierniejszym gościom, dawno się skończył. A uzupełnić piwniczki nie sposób.

Tutaj pochylił się nad Naharem i rzekł konspiracyjnym tonem:

— W Tel'Amman wybuchły ponoć jakieś zamieszki. Od miesiąca nie ma stamtąd karawan, lecz szczegółów nie znam, bo Duzzahowie dławią w zarodku wszystkie plotki.

Nahar uśmiechnął się.

— Widzę, że pewne rzeczy nie zmieniają się nigdy. Wciąż jesteś

świetnym źródłem informacji, Alimie.

Kupiec podziękował ukłonem.

— Staram się służyć gościom na wszelkie sposoby, nie tylko trunkiem i jadłem. Księga bowiem mówi: „Jeśli umiesz łątać dachy, załataj dach bratu swemu. Jeśli umiesz naprawiać buty, zszyj mu trzewiki. Jeśliby co drugi z was swoimi talentami służył bliskim, byłibyśmy o krok od rajy”.

— Widzę po twoim przypadku, że gadatliwość nie siedzi u ludzi w brzuchu, bo choć straciłeś z dziesięć dirhamów tłuszczu, wciąż nie brak ci elokwencji — zażartował Nahar. — Teraz przynieś mi trochę wina, bo zaschło mi w gardle. Zadowolę się jakimkolwiek, byle dobrze gasiło pragnienie.

Alim się skłonił.

— A dla panicza? — zwrócił się jeszcze do Imriego.

Żołnierz pokręcił głową, całkowicie pochłonięty grą. Gdy zostali sami, Nahar spytał:

— Nie pełnisz służby już od kilku dni. Co się stało?

— Pułkownik dał nam tydzień wolnego, żebyśmy odpoczęli po ciężkiej misji.

— Ciężka misja? Daj spokój, przyjacielu! Jakie tu można mieć ciężkie misje?

Imri podniósł wzrok znad drewnianej planszy. Jak na swój wiek, miał bardzo poważny wyraz twarzy. Prawie jak mój brat, pomyślał Nahar. I jak Kashim. Na Marrenvan, wielu ostatnio widział nazbyt poważnych ludzi.

— Naharze — rzekł Imri. — Znasz przecież zasady. Nie mogę mówić o swoich zadaniach.

— No to nie mów. Ale od czasu do czasu możesz skinąć głową, na znak, że dobrze dedukuję. Rozumiem, że zostałeś raniony na owej misji... tak? Zatem pewnie chodziło o szkołę heretyków... czy jakiegoś ważnego buntownika. Mmm... Gdzie indziej mogło dojść do walki?

Imri tylko się uśmiechnął z politowaniem. Młody Al'Iarnak westchnął głośno.

— Dobrze, na Jedynego. Nie będę więcej o to pytał. Powiedz mi jednak, co się stało z kapitanem Al'Amathem i paroma Jeźdźcami z twojej kompanii? Nikt nie wie, gdzie są.

— Kapitan nie żyje. — Zakłopotany Imri nie spuszczał wzroku z mahoniowych figur. — Z nim zginęło jeszcze trzech Jeźdźców. Hanhakh powinien wam powiedzieć.

Nahar przełknął z trudem ślinę.

— Nie żyją? Ale nikt nie mówił w mieście o śmierci Świętych Jeźdźców! Zresztą gdzie ciała, gdzie pogrzeby i...

— Nie będzie pogrzebów. Tylko małe uroczystości w gronie rodziny. Ciała zostały... Nie mogliśmy ich uratować. Nie pytaj o więcej.

— Imri! Co się tu, na Jedynego, dzieje! Opuściłem więzienie i nagle znalazłem się w świecie, którego już nie rozumiem. Na wszystkie demony Marrenvan, co my w ogóle jeszcze robimy w Tel’Halik? Kto chciał zabić paszę? Z kim walczyliście? Skąd cztery trupy i cała tajemnica?

— Przysięgałeś na kodeks Świętych Jeźdźców — warknął rozzłoszczony żołnierz — więc go przestrzegaj. Mamy obowiązek zachować milczenie i nic ci nie powiem. Choć nawet nie wiesz, jak bardzo... Ile mnie to kosztuje... I jak trudno mi było porzucić za sobą martwych przyjaciół.

Nahar skinął powoli głową. Teraz był już pewien, że wokół Świętych Jeźdźców dzieje się coś nader tajemniczego. Bardzo żałował, że nie ma przy nim Kashima. On rzuciłby się zaraz w wir zdarzeń, znalazł świadków, poszlaki, hipotezy. Nahar zaś nigdy nie czuł potrzeby, by wiedzieć wszystko. Owszem, lubił przygody, lecz jednako cenił sobie wesołe towarzystwo, wino, piękne kobiety. A teraz... Teraz wiedział, że musi się w to mieszać wbrew własnej woli; z poczucia obowiązku wobec Kashima. Wiedział, że nikt inny tego nie dokona.

I tak Nahar Al’Iarnak powziął mocne postanowienie, że mimo przysięgi Jeźdźca dowie się, co dzieje się w Orlim Forcie. A potem — co dzieje się w całym Tel’Halik.

Kiedy Alim przyniósł wino, nie mógł się nadziwić, że dwaj Jeźdźcy nie chcą zamienić ze sobą ani słowa, pijąc w ciszy. Imri był zajęty przesuwaniem figur na planszy, Nahar zaś przesuwał figury w swojej głowie, snując karkołomne plany.

*

Step wydawał się nieskończony jak piaski Ocalonej Krainy. Pochłonął ich na wiele dni i Kashim zaczął się poważnie obawiać, czy białoskóry prowadzi w dobrym kierunku. Brenvan twierdził jednak uparcie, że wkrótce zobaczą granicę dzikiej Marovii. Na razie mieli przed sobą tylko pofalowaną równinę. W ciągu tygodnia widzieli ledwie dwie malutkie osady i stare pogorzelnisko, częściowo już zarośnięte, gdzie między zgliszczami leżały pożółkłe ludzkie kości.

Zwierząt było jednak sporo. Myszolowy krążyły po niebie, drobne

gryzonie i króliki biegały między trawami. Parę razy spotkali zdziczałe kozy, a jednej nocy podeszło do obozowiska duże stado stepowych wilków. Kashim, rozkazując geniuszom piasków, uwięził łapy jednego z nich w ziemi. Potem ściął zwierzę jednym ruchem. Mięso wilka okazało się jednak całkiem nieprzydatne, tak żylaste i włókniste, że nie dało się go przyrządzić. Zresztą Brenvan już z góry oświadczył, że szlachcic z Learfeld prędzej szczeźnie, niż zje mięso padlinożercy.

Następne dni były spokojne, a że słońce już nie doskwierało, mieli czas i siły na więcej rozmów. Kashim dowiedział się co nieco o marchii Learfeld oraz innych krainach środka. Zaczął też poznawać język, który, choć gramatycznie prostszy od mowy Tel'Halik, był dla niego niezwykle trudny w wymowie.

Ósmego dnia między wzgórzami zaczęły pojawiać się mroczne, suche i pełne pajaków zagajniki. Kashim przyglądał się im ciekawie, bo drzewa w niczym nie przypominały palm z Tel'Halik lub małych drzewek z okolic Tel'Amman. Wkrótce podróżni dotarli do rzeki, której płytki, szeroki nurt wił się przez step. W jej zakolu stała nieduża osada. Mieszkańcy różnili się nieco od ludów pogranicza. Budowali domy z ociosanych bali, nosili futra i lniane koszule do kolan. Pływali po rzece dłubankami, a przy domach stały drewniane stelaże pełne suszących się ryb i kilka małych wędzarni. Kobiety były jasnoskóre i przeważnie miały płowe włosy. Brenvan powiedział, że w żyłach rzecznoego ludu musiało być dużo krwi Marovian, co niechybnie znaczyło, że są już blisko tej lesistej, dzikiej krainy.

— Co to za rzeka? — Kashim patrzył na nurt z niedużego wzniesienia.

— Nie mam pojęcia, ale nie cieszy mnie jej widok. Nie pamiętam, by moja wyprawa ją przekraczała.

— Taka wspaniała rzeka, a ty nawet nie znasz jej miana — zdziwił się Kashim.

— Nie widzę w niej nic wspaniałego...

— Na tysiąc skorpionów, jest szersza niż Shaprut w środkowym biegu, przyjacielu! A ci ludzie w ogóle jej nie wykorzystują! Spójrz, jaka dobra ziemia. Gdyby wykopać kanały... Ech, taka rzeka może wykarmić wielkie miasto.

Brenvan uśmiechnął się z politowaniem, ale Kashim przez chwilę dał się porwać marzeniom. Ziemie tu były w zasadzie niczyje. Gdyby wrócił do Ocalonej Krainy i opowiedział o tym, z pewnością znalazłby dość chętnych, którzy chcieliby zaryzykować przejście wielkiej pustyni. Nad tymi brzegami

można było żyć, nie martwiąc się o wodę i żywność, wystarczyłoby trochę narzędzi i kilku mądrych Duzzahów z księgami o melioracji oraz rolnictwie. Z czasem obok osady wznieśliby fort, a w dalekiej przyszłości dałoby się wytyczyć stosunkowo bezpieczny szlak łączący ją z Um'Magar, a dalej — z Tel'Halik.

*

W osadzie zdołali dość tanio uzupełnić zapasy. Kupili głównie mocno solone paski suszonych ryb, trochę owoców i dwie misy koziego sera. Kashim z radością odkrył, że tutejsze kobiety piekły mączne placki na wielkich kamieniach, pod którymi rozpalano ogień. Danie przypominało chleb Degów i podpłomyki z Tel'Halik, więc Kashim kupił ich całą sakwę.

Choć zaufali osadnikom na tyle, by nabyć u nich prowiant, nie zaryzykowali noclegu. Jeszcze przed zmierzchem opuścili osadę i przekroczyli rzekę w kamienistym brodzie. Za rzeką ziemia była już wilgotna i żyzna, co rusz musieli wymijać pełne krzaków jary i splątane zagajniki. Następnego dnia w południe zobaczyli przed sobą las, którego nieregularna ściana, wcinająca się w step wąskimi pasami, ciągnęła się jak okiem sięgnąć z północy na południe. Wysokie, liściaste drzewa spletały się rozłożystymi koronami, a ich pnie ginęły w gęstych zaroślach.

Stanęli na granicy Marovii.

Kashim tego dnia miał zły humor, choć widok puszczy był dla niego cudowny. Po raz pierwszy od opuszczenia pustyni tak mocno doskwierała mu tęsknota za Świętym Miastem. Czuł się jak zwitek suchych gałęzi miotany przez wiatr. Kim był? Tylko włóczęgą zagubionym w krainach wschodu. Miał wokół siebie obcą przyrodę, obcych i groźnych ludzi — nawet gęsto zasnute chmurami niebo wydawało się tu zupełnie inne.

Pogrążony w ponurych rozmyślaniach, dopiero po pewnym czasie zauważył, że jadą wzdłuż lasu, a Brenvan przygląda się z niepokojem linii drzew ginącej na horyzoncie.

— O co chodzi? — spytał Kashim. — Widzisz coś niezwykłego?

— Nie widzę, i to mnie właśnie martwi. Wiedziałem, że wyjdziemy z pustyni daleko na północy, lecz sądziłem, że będzie to w okolicy Stregojaru. Tam na skraju lasu leży wiele osad, a w puszcze prowadzą trakty. Tu jednak nie widać nawet śladu człowieka. Jesteśmy w dziczy, Kashimie.

— Jak przez ostatni miesiąc.

— Widzę, że nie rozumiesz, na Warezara! Droga przez Marovię bywa trudna nawet traktem, a przedzieranie się przez puszcę jest szaleństwem. To

prastare, gęste lasy, pełne wijących się rzek, wykrotów, bagnisk i uroczysk. Roi się tam od dzikich zwierząt, można też spotkać tajemnicze i groźne stworzenia, o których Marovianie opowiadają w legendach.

— Więc ruszajmy na południe. Dojedziemy do twojego traktu.

— Stracimy wiele dni. Zresztą teraz już nie jestem pewien, czy południe to dobry kierunek. Do diabła, wiem tyle, że mocno pomyliłem się w szacunkach! To nie przedpola Stregojaru, skąd więc mogę wiedzieć, po której jego stronie jesteśmy? Może trzeba jechać na północ?

Al'Shannagg westchnął.

— Jechaliśmy cały czas niemal dokładnie na wschód — powiedział — a wyjechaliśmy na martwe piaski sto farsangów na północ od miejsca, gdzie was spotkaliśmy. Znaczy to, że jesteśmy właśnie tyle na północ od punktu, w którym opuściliście Marovię, czyż nie?

Brenvan pokręcił głową.

— Widzisz, chodzi o to, że ja nie wiem, czy von Deller prowadził nas dokładnie na zachód. Jestem rycerzem, a nie astronomem.

Kashim potarł brodę.

— Mimo to stawiam na południe — rzekł w końcu.

— Niech będzie południe — odparł Brenvan. — Mam tylko nadzieję, że dotrzemy do Caerleighmarch przed zimą...

*

Wkrótce przed świtem wartownicy byli już tak przemarznięci, że musieli schować się pod wspólnym futrem tuż przy ścianie namiotu. Para buchała im z ust przy każdym oddechu, lecz wciąż uważnie obserwowali obozowisko i skąpane w zimnym świetle księżycy wydmy. Wszystkie zwierzęta, uwiązane do pali między namiotami, spały. Kosmate boki bacharnów unosiły się w takt ich spowolnionego oddechu. Saury leżały na ziemi skulone, bez najmniejszego ruchu i wyglądały jak błyszczące kamienie, które ktoś z nieba rozrzucił po piaskach.

Z namiotu dobiegł cichy jęk. Jeden ze strażników poderwał głowę i wsłuchał się w niego uważnie.

— Zajrzeć? — spytał po chwili.

— Daj spokój. Stara Kama chyba cię zabije za podglądanie kobiet. Gundzar z kolei wychłosta.

— Ale tam może dzieć się coś złego...

— To tylko sny. Miidza od Kwiatów znów ma wizje i nie wolno jej przeszkadzać.

Miidza od Kwiatów — tak ją teraz zwali. Była skarbem plemienia, a jej głos znaczył więcej niż całej starszyny. Już w dzień po ataku na oazę mężczyźni plemienia Manar uznali ją za żywe wcielenie opiekuńczego ducha swego ludu. Uznano, że jest ishib, że mówią przez nią przodkowie. Ci, którym uratowała życie, domagali się tego najgłośniej.

Otrzymała własny, zdobiony namiot oraz ochronę, młode kobiety usługiwały jej i składały ofiary z potraw. Mimo to Miidza nie była szczęśliwa. Z początku wstydziała się tego, co nastąpiło w oazie. Wstydziała się, bo utraciła nad sobą panowanie, sprzeciwiła się woli babki, wreszcie pojawiła się przed tyloma mężczyznami odziana tylko w długą, domową koszulę. Poza tym czuła się skrępowana, gdy znacznie starsi i mądrzejsi padali przed nią na twarz. Nawet Gundzar i jej przybrany brat Kazi nabrali do niej nabożnego dystansu. Dobrze chociaż, że Kama nie pozwoliła się oddzielić od wnuczki i wbrew woli starszyny sypiała w jej namiocie.

Było jeszcze coś, co dręczyło Miidzę. Wbrew swojej woli prowadziła lud Manar coraz bardziej na południe. Chciała jak najszybciej znaleźć się wśród znajomych piasków, lecz wizje i olśniewająco piękna kobieta, która się w nich pojawiała, były jednoznaczne: za Manar ruszył pościg. Zemsta oczyściła honor plemienia, lecz rozwścieczyła Tel'Halik. Kapłani z Pustynnego Miasta dowiedzieli się, kto zabił ich sługi, i kipiąc wściekłością, wysłali duży oddział zbrojnych na ziemię Manar. Nomadzi nie mogli więc tam wrócić, musieli kluczyć wśród piasków, prowadzeni wizjami Miidzy. Jej lud stał się nagle podobny do szczura, uciekającego przed psami.

Któryś ze strażników przed namiotem drgnął, poczuwszy na policzku lekki podmuch. Odwrócił się i zamarł. Jeden z boków namiotu właśnie się odchylił, a na piasek wyszła boso miedzianowłosa. Jej ciało wydawało się całkiem białe w świetle księżyca, na sobie miała tylko cieniutką koszulę, którą przewiewał na wylot lodowaty wiatr. Mimo to nie drżała, zupełnie jak w głębokim transie. Brodawki jej piersi zeszywniały od zimna i odcinały się wyraźnie pod jasnym materiałem.

— Pani, powinnaś... — zaczął wartownik, lecz urwał, gdy Miidza od Kwiatów powiedziała beznamiętnym głosem:

— Dwudziestu mężczyzn od strony wschodzącego słońca. Musimy być w drodze, gdy nastanie świt. Dogoniam, nim słońce stanie w zenicie. Trzeba zorganizować zasadzkę. Przy suchej studni... — Zachwiała się i omal nie upadła.

Strażnik upuścił broń i poderwał się, by podtrzymać dziewczynę, inny

zaraz pobiegł szybko w głąb obozowiska. Jego krzyki poderwały wszystkich na nogi.

Rozdział 7. Marovia

Prawie wszystkie troczki okazały się za długie. Choć na pierwszy rzut oka nie było tego widać, Brenvan w czasie ostatnich tygodni musiał bardzo schudnąć. Zbroja, którą zrobił mu na miarę doskonały rzemieślnik, już nie pasowała. Aam Caerleigh klął na czym świat stoi, lecz nawet z pomocą Kashima dużo czasu zajęło mu umocowanie pancerza na przeszywanicy i cienkiej kolczudze. Al'Shannagg zresztą gubił się w zawłościach folg, sprzączek oraz pasków, nie mógł więc wiele zdziałać.

Gdy wreszcie każda część zbroi znalazła się na miejscu, Brenvan zrobił kilka kroków i zaklął ponownie. Miał nadzieję, że nie będzie musiał teraz walczyć, bo luźna opacha tarła ze zgrzytem o naramiennik, a przy chodzeniu nabiodrek zapadał się w głąb nakolannika. W krytycznej sytuacji mogło go to kosztować życie, dlatego solennie obiecał sobie, że dopasuje pancerz, gdy tylko staną w pierwszym mieście. Niestety, do tego czasu musiał jeszcze długo czekać.

— Nie możesz włożyć tylko części blach? — spytał Kashim ze zdziwieniem, widząc niezadowolenie rycerza.

— Nie, na Eyul! Chcesz, żeby wzięli mnie za bandytę, co zlepił sobie pancerz, zdzierając z trupów luźne fragmenty? Zresztą cóż to za wstyd pokazywać się w zdekompletowanej zbroi! Już lepiej byłoby bez niej.

— I tak na razie zobaczą cię tylko Marovianie!

— Ha! Zatem tym bardziej powinienem mieć pełny pancerz. Pamiętaj, będziemy wśród nich bezpieczni, dopóki wyglądamy dostojnie i dwornie. Jeśli nasunie się im choć cień podejrzenia, że jesteśmy tylko zwykłymi wędrowcami, rozszarpią nas jak wilki kulawe jagnię.

Kashim wzruszył ramionami. Mimo to również nałożył pancerz, wypolerował szyszak oraz naramienniki, a szablę z siodła przewiesił na pas. Co prawda nie rozumiał, dlaczego na pograniczu bezpieczniej było jeździć w chałatach, a do Marovii należało wjechać w pełnym rynsztunku, postanowił jednak i tym razem zaufać Brenvanowi. Obyczaje w krainach wschodu były dla niego dziwne, więc najwyraźniej musiał się jeszcze wiele nauczyć.

Przygotowawszy cały wojenny ekwipaż, podróżnicy wsiedli na saury i ruszyli ku majaczącej we mgle osadzie.

Trafili na nią ledwie dwa farsangi od nocnego postoju, po czterech dniach

podróży wzdłuż brzegu lasu. Jako że tego poranka nad ziemią wisiała ciężka mgła, spostrzegli zabudowania dopiero wówczas, gdy znaleźli się zaledwie pół farsanga od nich. Brenvan od razu rozpoznał w tych przysadzistych drewnianych budowlach rękę Marovian. Zatrzymali się więc, by wzuć pancerze i przygotować broń.

Teraz domy były już niemal na wyciągnięcie ręki, lecz między nimi Kashim wciąż nie widział ludzi. Zaczął się już poważnie niepokoić, gdy nagle, niczym duchy, od ścian budynków oderwali się wysocy mężczyźni. Większość miała brody i dzikie oczy, nosili proste ubrania z materiału, którego Kashim nie poznawał. Kilku trzymało w dłoniach prymitywne łuki z ledwie okorowanych gałęzi cisu. Inni mieli topory i drewniane, okrągłe tarcze.

— *Myrchyynt!* — krzyknął zaraz Brenvan. — *Myrchyynt!* My kupcy, nie strzelajcie, wy zarośnięte pokraki!

Ostatnie zdanie oczywiście wypowiedział w mowie piasków, lecz mimo to Kashim chwilę patrzył w niepewności na obce twarze, jakby się bał, że mężczyźni zrozumieją obrazę. Na szczęście rozpromienili się, a jeden odparł głośno:

— *Serea tyche lad! Myrchyynt ag Lyrfld mdii wlet!*

— Wita nas serdecznie i mówi, że kupcy z Learfeld zawsze są w jego osadzie chętnie widziani — przetłumaczył Brenvan.

— Nie otrują nas, nie okradną we śnie?

— Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie. Widzisz, Kashimie, Marovianie sami nie kują żelaza, nie robią zwierciadełek ni szkła. Od wielu pokoleń nabywają je w zamian za miód oraz skóry od kupców ze wschodu. Dlatego nawet najbardziej zbójceckie plemiona nauczyły się ich szanować.

Kashim odetchnął z ulgą. Może wreszcie trafi im się okazja zjeść dobry, ciepły posiłek i przenocować pod dachem.

*

— Giń, wiedźmo! — krzyknął mężczyzna łamiącym się głosem.

Choć lewe ramię miał rozplątane powyżej łokcia, z uda ciekła obficie krew, a wgnieciony naramiennik zwisał na ostatnim pasku, nie tracił chęci walki.

— W imię proroka!

Ostrze jego szabli wzniosło się, błyszcząc w słońcu karmazynem. Kilka kropel krwi, odrzuconych ze zbrocza, padło na skraj jedwabnej dżelaby Miidży. Dziewczyna stała bez ruchu.

Ten młody wojownik był ostatnim z czwórki, która wyrwała się z rzezi i ruszyła na szczyt wydmy, by zabić miedzianowłosą wiedźmę. Wiedzieli, że to ona odpowiada za śmierć Jastrzębi. Prorok osobiście kazał ją zgładzić, obiecując raj każdemu, kto tego dokona. Nie dbali więc o własne życie, gotowi je poświęcić, byle choć jeden z nich miał okazję zatopić ostrze w ciele plugawego demona.

Wojownicy Manar byli tak zajęci dobijaniem ich towarzyszy, a bitwa okazała się tak chaotyczna, że mało kto zauważył grupkę desperatów. Co prawda dwóch przybocznych, którzy stali przy Miidzy, próbowało dać znak, że życie królowej jest w niebezpieczeństwie, lecz ich głosy zginęły w zgiełku bitwy. Nomadzi u stóp wzgórza zdawali się całkiem pochłonięci walką, skupieni tylko na sobie i przeciwnikach w zasięgu ciosu.

Gdy czterej żołnierze proroka dotarli już do połowy stoku, strażnicy Miidzy ruszyli im na spotkanie. Wybuchła krótka, pełna desperacji walka. Pierwsi walczyli z gwardią demona, drudzy — ze świętokradcami, chcącymi zabić Głos Jedynego. Wymieniali ciosy bez litości, a gdy któryś padał w piach, natychmiast zostawał dobity. Młodzi Manar walczyli dzielnie i nim zginęli, położyli trupem trzech wrogów. Czwarty zaszarżował na Miidzę.

Choć jej serce zamarło ze strachu, w głowie słyszała ciche, uspokajające słowa. Przymknęła oczy i zdawało jej się, że widzi przed sobą świetlistą postać. Głos szeptał: „Jesteś królową, stój więc dumnie, dziecko. Nie daj im znaku człowieczej słabości, a uznają cię za coś szlachetniejszego od człowieka. Nie bój się bólu i śmierci. Ja cię ocalę. Nic ci się nie stanie. Jesteś królową”.

Ani Miidza, ani Samir Al'Qidi, syn kupca z Szarego Stoku, który trzymał ostrze nad jej głową, nie mogli wiedzieć, że w tym momencie historia stanęła na rozdrożu. Nie wiedziała tego nawet potężna istota, która z daleka obserwowała tę scenę. Gdyby ostrze zdążyło opaść, dwa lata później Tel'Halik spłonęłoby do gołej skały. Wraz z nim ogień strawiłby każdą kobietę, dziecko i starca. Prorok Vezamar oszalałby na widok pożogi i rzucił się z balkonu Piaskowej Iglicy. Duzzahom przeznaczona była śmierć pod walącą się kopułą Pierwszej Świątyni. Tylko Yholed by przeżył, wraz z małą grupką wiernych, z którymi mógł znaleźć schronienie w najgłębszych jaskiniach. Następnego dnia armia jasnowłosych, zakutych w stal demonów rozpoczęłaby na gruzach wielkie święto.

W trakcie jednego uderzenia serca decydowała się przyszłość Ocalonej Krainy. Ostrze jednak nie spadło. Samir z niedowierzaniem zorientował się,

że jego ręka nie wyprowadziła ciosu, choć wyraźnie jej rozkazał. Magia, zdążył pomyśleć. I w tej samej chwili dwie ciemnopióre strzały przebiły mu plecy. Miidza odetchnęła głęboko, gdy ciało żołnierza zważyło się tuż przy jej drobnych białych stopach. On, umierając, skręcał się z żalu, że nie zdołał spełnić woli proroka. Ona, żyjąc, drżała na myśl o tym, ilu śmierci będzie jeszcze świadkiem.

Dwóch łuczników w granatowych chałatach z poczuciem ulgi otarło z czoł pot i pył. Dostrzegli zagrożenie zbyt późno — gdy człowiek z pustynnego miasta wznosił już ostrze nad królową, mimo to poderwali łuki, wycelowali i wypuścili strzały.

Fakt, że zdążyli, był dla nich kolejnym dowodem opieki, jaką duchy przodków roztoczyły nad Miidzą od Kwiatów.

*

W tej samej chwili, gdzieś bardzo daleko stamtąd, ruda kobieta opadła na posadzkę. Chwilę klęczała, czując pod kolanami i dłońmi zimne płyty czarnego kamienia. Perełki potu błyszcząły na jej czole. Wreszcie wstała, opierając się ciężko o krawędź fontanny. Nagle poczuła na policzku zimno, odwróciła się powoli w bok i dostrzegła bladą czarnowłosą zjawę, która przysiadła na marmurowej krawędzi z głową wspartą na dłoni.

Przez dłuższą chwilę żadna z kobiet nic nie powiedziała. Mierzyły się wzrokiem; usta rudej drżały, mocno zaciśnięte. Zjawa uśmiechała się kpiąco.

Były same w tej gigantycznej, ciemnej sali, której strop, podtrzymywany przez sześciokątne kolumny, nikał gdzieś w mroku. Patrzyły na nie tylko ślepe oczy kamiennych lwów, służących za bazy kolumn. Gdyby nie fontanna tryskająca czystą wodą, można by pomyśleć, że to środek opuszczonej przed wiekami twierdzy. Żaden dźwięk nie dochodził zza półotwartych spiżowych wrót, które tkwiły w ścianach. W istocie, choć większość mieszkańców dawno już opuściła to miejsce, nigdy, nawet za czasów świetności fortecy, nie było ich tylu, by zapełnić komnaty oraz pasażę głosami.

Blada kobieta przegięła się lekko w tył i skierowała puste oczodoły w wodę. Na jasnej tafli wciąż można było zobaczyć resztki obrazu, który powoli znikał, rozmywany przez fale. Zjawa powiedziała:

— Rozczarowałaś mnie, Saari. Sądziłam, że myślimy podobnie. Że mamy podobne plany, siostrze. Ty jednak nazbyt łatwo dałaś się ponieść emocjom.

Saari szybko zmaciła wodę. Postać Miidzy od Kwiatów całkiem się

rozpłynęła.

— Jak mam to rozumieć? — spytała zjawa. — Chcesz walczyć? Może jak pozostali opuścisz to miejsce, przyłączysz się do szalonego Gaavra... A może do Węża? Co planujesz, moja droga?

— Nie dręcz mnie. I tak dużo wycierpiałam, Eyul. Myślisz, że łatwo mi było się zdecydować? Ale ty wiesz, że nie mogłam pozwolić jej umrzeć. Wiesz, co czuję. Nie mogłam stracić swojej ostatniej, nie w taki głupi sposób. Zresztą i ty pomogłaś swojemu.

Czarnowłosa wzruszyła szczupłymi ramionami.

— Ja ograniczyłam się do snów, Saari. Nie próbowałam interweniować, nawet gdy konał na pustyni... nawet gdy myślałam, że to koniec. Moja kochana siostrzyczka tymczasem już raz nie utrzymała rąk przy sobie. Historię ze skrzynią mogłam ci jeszcze wybaczyć. Ale to... — wskazała wymownie wodę — było coś zupełnie innego. W tej chwili niczym nie różnisz się od reszty. Czy zdajesz sobie sprawę, że mogłaś zmienić bieg historii?

Saari opuściła głowę. Zjawa westchnęła.

— O co ja pytam... Oczywiście, że nie wiesz. Nawet o tym nie myślałaś, oślepiąca emocjami. Odruchem matki.

Ostatnie słowa były wypowiedziane ze złośliwą ironią.

— To ostatni raz, naprawdę — próbowała tłumaczyć się ruda. — Już więcej...

— Nie żartuj sobie — uciszyła ją Eyul. — Rozpoczęłaś ciąg zdarzeń, którego nie da się przerwać. Teraz ściga ją całe Tel'Halik. Za kilka dni znów będzie potrzebowała pomocy. Potem jeszcze raz i jeszcze. I wiem, że tej pomocy udzielisz. Nasze drogi rozeszły się, siostro. Opuść to miejsce. Najlepiej zaraz.

— Chyba nie mówisz tego poważnie, kochana?

— Całkiem poważnie. Odejdź.

— Ale...

— Idź już!

Saari opuściła głowę. Jej zaciśnięte wargi drżały.

— Jeśli tego właśnie chcesz — odparła, tłumiąc płacz. — Zostaniesz tu sama, ostatnia. Będziesz się błąkać po pustych korytarzach i czekać na Jego przyście — w nadziei, że pozwoli ci żyć, że nie będzie chciał zemsty. Ale wszystko pójdzie na marne, Eyul. Bo On jest zazdrosnym władcą. Zazdrosnym i pamiętliwym.

— W każdym razie nie zamierzam się pogrążyć, jak ty, naiwna siostrzyczko — syknęła Eyul. Jej blada twarz wykrzywiła się w brzydkim grymasie, a w głębi pustych oczodołów błysnął ognik. — Precz! Więcej się już nie zobaczymy!

Saari odwróciła się na pięcie, a burza jej kasztanowych włosów zalśniła w powietrzu. Ruszyła w stronę jednego z wyjść. Starła się płakać cicho, tak by siostra patrząca na jej plecy nie mogła tego zobaczyć.

A więc stało się. Ostatnie więzi zostały zerwane. Nie byli już dwunastką, wielkim rodzeństwem, tylko grupą skłóconych buntowników, z których każdy miał realizować własny, szalony plan.

*

W ciągu najbliższych dni słowo myrchyynt utorowało podróżnikom drogę przez zamieszkane obszary, drewnianą twierdzę, strzeżony most i wreszcie — na szlak. Trakt, który wedle Brenvana przecinał lasy Marovii na pół, zdał się Kashimowi wyjątkowo wąski i źle utrzymany. Nie umywał się choćby do Wzgórnego Szlaku, a na dodatek w wielu miejscach zarósł trawą i całkiem rozmókł, bo w ostatnim tygodniu coraz częściej padały długie, jesienne deszcze. Brenvan Aam Caerleigh twierdził jednak, że lepszej drogi nie ma w całej Marovii, a i w Learfeld rzadko się trafia.

Liście na czubkach drzew, które okalały trakt i rzucały na niego cień rozłożystych gałęzi, były już całkiem pożółkłe. Gdy Kashim zwrócił na to uwagę, rycerz odparł, że to pewny znak nadchodzącej zimy. Al'Shannagg jednak nie rozumiał, dlaczego liście usychały, choć ziemia była nabrzmiąta wodą, a w powietrzu czuło się wilgoć. W krainach wschodu było wiele rzeczy, których pojęcie sprawiało mu trudność.

Co więcej — odkąd zaczęli zagłębiać się w prastary bór, Świętego Jeźdźca coś niepokoiło. Często rozglądał się na boki, zupełnie jakby krzewy i wielkie drzewa napawały go strachem. Na dźwięk najmniejszego hałasu sięgał po broń. Nawet wieczorami, przy trzaskającym ognisku, mówił znacznie mniej niż podczas podróży przez step. Wreszcie Brenvan dostrzegł to i spytał:

— Powiedz, Kashimie, co cię trapi? Od paru dni jesteś nieswój.

— Ściślej mówiąc, odkąd wjechaliśmy w ten przeklęty las.

— Przecież jeszcze niedawno bardzo chciałeś zobaczyć te wielkie puszcze.

— Wiem, ale gdy tu jestem... Ty tego nie czujesz, białoskóry. Nie masz krwi Najwyższego. Ja zaś wyraźnie słyszę głos całkiem obcych geniuszów.

W tych roślinach, w mchu, paprociach i koronach drzew, czuję nieznaną moc. Wiem, że jest mi wroga. Gdybym musiał wzywać pomocy, nie wiem, czy odważyłbym się rozkazywać tym duchom. No i nie wiem, czyby mnie usłuchały.

— Ha! Cóż, człowieku pustyni, w razie czego będziesz polegał na mieczu. Zresztą kogo się boisz?

— W tych lasach mogą się kryć rzeczy, dla których ostrze szabli niewiele znaczy. Sam to mówiłeś.

— No tak. Są ponoć badnjaki, chiały, mamuny, wilkołaki, a przynajmniej tak gadają Marovianie. Ale możesz być spokojny, potwory polują tylko na pospólstwo. Żaden nie odważy się podnieść ręki na rycerski majestat!

Kashim nic na to nie rzekł, uniósł tylko brew i uśmiechnął się lekko.

*

— Czemu się pan przygląda, kapitanie?

Święty Jeździec nie odpowiedział od razu. Chwilę jeszcze trzymał przy oku lunetę, a silny wiatr targał jego brodą i połami płaszcza. Saur niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę, więc mężczyzna lekko ścisnął go ostrogami.

Było już po zachodzie słońca. Choć na horyzoncie widniała jeszcze lekka, różowa zorza, nad pustynią zawisły ciemności. Kapitan widział, jak daleko przed nim z ciemnoszarej połaci piasków wyłaniają się zbocza i stoki Żelaznych Wzgórz. Teraz, w półmroku, straciły swą zwykłą rdzawą barwę.

Gdy żołnierz już myślał, że nie doczeka się odpowiedzi, kapitan schował lunetę za pas.

— Oglądałem Żelazne Wzgórze — odezwał się. — Musieliśmy pomylić kierunek. Jesteśmy trochę za daleko na północ.

Robiło się coraz zimniej. Żołnierz wzruszył ramionami i owinąwszy się szczelniej wielbłądzim płaszczem, odrzekł:

— Nic dziwnego. Niech mnie psy zeżrą, jeśli znam gorszego astronoma od Muktawiego. — Skinął głową w stronę reszty oddziału, która mijala ich kilkadziesiąt stóp z tyłu.

— Muktawi jest dobry, to mapa mogła się mylić. Poza tym nie narzekaj, Sadzir! Pasza nie ma wielu zaufanych ludzi. Wiesz dobrze, że wśród oficerów i żołnierzy zdarzają się szpiedzy. Nawet zebranie naszej ósemki było wielkim ryzykiem.

— Wiem. I dlatego tym mocniej się zastanawiam nad celem naszej misji. Wydawał mi się z początku bzdurny, lecz teraz... Pasza chyba nie wysyłałby

na pustkowia najwierniejszych ludzi, gdyby nie miał ważnego celu!

— Pasza jest sprytny jak stary lis. Zapamiętaj to sobie, żołnierzu. Możesz być pewien, że robimy coś ważnego.

— Tylko dlaczego tam?! Na Jedynego, przecież od lat nie patrolowano tych okolic.

— Nie znam odpowiedzi, a i ty też lepiej się nie zastanawiaj. W dzisiejszych czasach lepiej nie wiedzieć zbyt dużo. A teraz ruszajmy, podgonimy trochę.

Saury ospale ruszyły z miejsca, zmuszone ukłuciami ostróg i pokrzykiwaniem. Nim jeszcze dwójka żołnierzy zbliżyła się do reszty oddziału, Sadzir zapytał:

— Nie skrećimy nieco na południe? Przecież sam kapitan mówił, że jesteśmy za daleko. Możemy minąć...

— Ziem Trupiego Szeptu nie sposób ominąć i powinieneś o tym wiedzieć. Ciągną się przez setki farsangów.

Żołnierz westchnął i spojrzał po raz ostatni w stronę wzgórz. W cieniu ich masywów czuły się bezpieczniej, niż pośród obcych ziem, ku którym zmierzali i na których od przeszło stu lat nie stanęła noga żadnego z wiernych.

Mimo że wzgórze wydawały się ostoją, w samym ich sercu, w Żelaznej Dolinie, gdzie ze stoków wyrastały dziesiątki dymarek i kopalnianych szybów, powietrze aż gęstniało od napięcia. Szykowano się do wojny.

Od wielu dni w okolicy doliny ściągały grupy mężczyzn, którzy rozkładali podrózne jurty na stokach okalających Umm'al'Biyara. Większość z przybyszów była uzbrojona. Garnizon w Czerwonym Forcie starał się przepędzać te małe zbieraniny, lecz Degowie gubili w górach żołnierzy i natychmiast powracali na dawne miejsca.

Komendant nie wiedział, po co do doliny ściągają zbrojni, jednak wśród Degów krążyła plotka, że wezwał ich Czenda Tenzih i nakazał czekać, obiecując, że wojna z Pustynnym Miastem wybuchnie lada dzień. Nic więc dziwnego, że robotnicy i mieszkańcy doliny patrzyli ze strachem to na przybyszów, to na żołnierzy Tel'Halik, którzy ostatnio stali się coraz bardziej nerwowi. Nie trzeba było wielkiego umysłu, by przewidzieć, że wkrótce dojdzie do starcia. Nikt jednak nie zgadłby, że miejscem, gdzie zostaną skrzesane pierwsze iskry wojennej pożogi, okaże się jurta starego Czendy Bakh'Agzi, który był uważany za posłusznego rozkazom komendanta.

Tego wieczoru w jurcie panował gwar. Jak zwykle, młodzi zebrali się za

zasłoną, by omawiać drażliwe polityczne kwestie. Kilku rozgrzewało się przy tym kumysem, więc wkrótce ich krzyki wypełniały całą jurty. Ganiające wokół paleniska dzieci oraz plotkujące przy pracy kobiety dokładały swoje do hałasu. Tylko stary Czenda siedział cicho, wpatrzony w ogień.

Dla jego rodu nastały złe czasy. Fort płacił teraz znacznie mniej robotnikom z kopalni, więc praca synów, z której utrzymywał się niemal cały ród, przestała nagle wystarczać. Co gorsza, nadzorcy stali się brutalni i opryskliwi. Coraz więcej młodych Degów przerywało pracę, zarzekając się, że prędzej zginą, niż wrócą do szybów. Abashim już zagroził, że w razie potrzeby zapędzi tam mieszkańców Umm'al'Biyara siłą. Wtedy...

Rozmyślenia Czendy przerwał zimy podmuch, który wdarł się do jurty, ognisko buchnęło iskrami, kilkoro dzieciaków pisnęło. Do środka butnie wmaszerowała czwórka żołnierzy Tel'Halik. Ich młody przywódca miał zaciętą i dumną twarz. Pozostali żołnierze ściskali w rękach napięte kusze.

— Wszyscy do ogniska! — krzyknął podoficer.

Czenda sapnął ze złości. Cóż to za czasy, w których wchodzi się bez pytania do cudzej jurty? Do tego pod bronią i z wrzaskiem poganiacza bacharnów? Mimo to starzec wstał i zbliżył się do ogniska. Zmierzył żołnierzy groźnym spojrzeniem i położył dłoń na rękojeści ghanka.

Zaraz uchyliły się boczne kotary, do głównego pomieszczenia weszły jeszcze dwa młode małżeństwa oraz siedmiu mężczyzn, prowadzących dotąd rozmowę w największym z wydzielonych zasłonami pomieszczeń. Podoficer wyciągnął zwój zza szerokiej szarfy, którą był przepasany, uniósł go i rzekł:

— Oto prawomocny rozkaz, który w imieniu Światła Jedynego, mądrze nam panującego proroka Vezamara, wydał dziś komendant Abashim Al'Dzizani. Mógłbym go pokazać, lecz nikt z was i tak nie czyta w mowie Tel'Halik, więc przekażę wam tylko treść. Otóż komendant wielokrotnie ostrzegał, że jeśli zobowiązania wobec proroka nie będą wypełniane, to zacznie je wymuszać. Niektórzy z was pewnie wiedzą, że dziś cała ruda wydobyta w dolinie nie zajęła nawet jednego wózka. Komendant wie, że w takim tempie nie spłaciecie zaległej daniny. Dlatego właśnie zdecydował się uczynić coś, co przypomni wam o powinnościach. Z każdej jurty mamy wziąć jednego młodzieńca, który zostanie wybatożony. Kara będzie powtarzana za każdym razem, gdy nie wydobędziecie dziennie choćby pół wozu rudy.

Kilka kobiet westchnęło, mężczyźni spojrzeli po sobie z niedowierzaniem. Podoficer wskazał jednego z nich pancerną rękawicą.

Dwóch gwardzistów podeszło, mierząc mu w pierś czubkami bełtów. Obskoczyli ich wściekli Degowie, kilka kobiet upadło do stóp podoficera, płacząc coś tłumacząc, on jednak nie rozumiał ich słów.

— Rozejść się! — krzyknął w złości do młodych Degów. — Odejdźcie od moich ludzi, bo rozgonimy was szablami.

Jego głos ledwie przebijał się przez biadolenie kobiet. Degowie zaczęli się szarpać z kusznikami — ci także krzyczeli, trzymając broń w kurczowo zaciśniętych dłoniach. Zbielałe palce, z których odpłynęła już krew, coraz mocniej wciskały dźwignie kusz. Widać było, że boją się strzelać, lecz zaraz zostaną do tego zmuszeni. Sytuacja powoli wymykała się spod kontroli.

— Na co czekacie?! Rozpędzić ich! — Głos młodego podoficera przeszedł w falset.

W tym momencie jedna z kobiet uwiesiła mu się ciężko na szarfie. Tego było już za wiele: wziął zamach i grzmotnął ją rękawicą na odlew.

— Rozejść się!

Tym razem Degowie odstąpili o jeden krok, podoficer jednak zorientował się, że nie za sprawą jego rozkazu. Wszyscy górale patrzyli na starszą kobietę, która leżała na ziemi i z płaczem przyciskała rękę do ust. Między palcami ciekła jej krew, na klepisku jurty leżało kilka wybitych zębów. Żołnierz popatrzył na Czendę, starając się ukryć strach. Oblicze starego mężczyzny było jednak kamienne, więc oficer odetchnął, a potem rzekł spokojnie:

— Zabierajcie chłopaka. Wynosimy się.

Nie wiedział, że Degowie nie mają w zwyczaju okazywać złości; nawet drgnieniem powieki nie pokazują, kiedy jeszcze panują nad sobą, a kiedy pochłania ich gniew. Gdy kusznicy znów zbliżyli się do jeńca, Czenda dał mrugnięciem znak. Synowie zrozumieli bez słowa.

Z szaleńczą desperacją rzucili się na kusze. Dwójka najbliższych żołnierzy nie zdążyła strzelić, tak ich zaskoczył atak. Zostali powaleni i unieruchomieni. Jednakże dwóch pozostałych wypuściło bełty. Ręce pierwszego trzęsły się zbyt mocno i pocisk przeleciał przez wnętrze, niknąc w zasłonie, drugi trafił młodego Dega między zebra. Ranny zwał się na ziemię. Podoficer wyszarpnął szablę, lecz nim zdążył włączyć się do walki, Czenda rozbroił go zamaszystym uderzeniem ghanka. Para żołnierzy próbowała się wycofać z jurty, ale szybko ich doścignięto. Oficer chciał krzyzczeć, jednak kobiety zamknęły mu usta, przykładając do szyi nóż.

Jeden z górali wydobył ghank i wznosił go nad głową leżącego na ziemi

żołnierza. Czenda powstrzymał go ruchem ręki, a potem wskazał tył jurty. Mężczyźni podnieśli jeńców i przepchnęli ich w tamtą stronę.

— Natychmiast nas wypuść, Czendo. Inaczej komendant spali twój dom do gołej ziemi — syknął dowódca.

Bakh'Agzi zignorował go, zwracając się do jednego z synów:

— Pędź jak wiatr nad szczytami i powiadom o wszystkim Tenziha. Powinien obozować na grani nad północnym stokiem.

Młodzieniec skłonił się i pobiegł w kierunku tylnej ściany. Żołnierze dostrzegli jeszcze, jak podnosi jedną ze skór i wybiega ukrytym pod nią wyjściem. Zaraz sami zostali przez nie wypchnięci. Na dworze było ciemno. Tuż za jurtą wznosił się stromy, trawiasty stok, przy paliku stały dwa konie, z których jednego właśnie odwiązywał syn Czendy. Mężczyźni z Tel'Halik nie zobaczyli niczego więcej. Degowie ustawili ich w rzędzie, strącając im z głów szyszaki z kolczą osłoną. Jeden kusznik modlił się głośno, a podoficer wciąż pytał górali, co zamierzają z nim zrobić. Buta zupełnie zniknęła z jego głosu. Nie widział, jak za jego plecami Czenda daje głową znak. Z głuchym młaśnięciem ghank opadł na kark żołnierza. Dokładnie w tym samym momencie zginęło czterech innych.

— Ukryjcie ciała — rozkazał Czenda, gdy dobił źle trafionego podoficera. — Wracamy do jurty. Trzymajcie broń w pogotowiu i módlcie się do przodków, żeby nikt nie przyszedł szukać tego patrolu, nim zjedzie do nas Tenzih.

Tak rozpoczął się bunt w Żelaznej Dolinie.

*

W dwa i pół dnia potem Kashim z Brenvanem dotarli do kolejnej osady leżącej przy strumyku. Tuzin chat był otoczony niską palisadą, a pracownicy mieszkańcy pielęgnowali w pocie czoła poletka, które z trudem, za pomocą siekier i ognia, wydarli puszczy.

Podróżni zatrzymali się tam pewien czas i uzupełnili zapasy. Podobnie jak w reszcie maroviańskich osiedli, rycerz bez trudu dogadywał się we własnej mowie. Większość mieszkańców Marovii znała choć kilka słów z marchii. Kashim postanowił nie być gorszy i gdy tylko opuścili wieś, wrócił do nauki ze zdwojonym zapałem.

Trzynastego dnia podróży Kashim potrafił już wypowiadać proste zdania. Pogoda była słoneczna i ciepła, co nastrajało do rozmów, niemal od świtu do nocy jechali więc bok w bok, rozmawiając na przemian to w języku Learfeld, to w pustynnej mowie. Rozmowa ta ograniczała się jednak do kolejnych

zwrotów i zdań, które Brenvan zadawał Kashimowi do tłumaczenia.

— Daj mi poorać i sobie odpocznij — rzucił Aam Caerleigh w mowie Tel’Halik, gdy zatrzymali się na chwilę pod drzewem, żeby w jesiennym słońcu zjeść obiad.

Kashim namyślał się długo.

— *Ivee meah... thye* — zaczął w końcu, co znaczyło „Daj, ac ja”, lecz słowa całkiem mu się pomieszały i zaciął się, nie mogąc dokończyć.

— Dobra, to było za trudne — przerwał Brenvan. — Niech będzie co innego: nawet dobry płaszcz nie pomoże, jeśli mężczyzna jest gruby i brzydki.

— Poczekaj chwilę... — rzekł Kashim, po czym wydukał łamanym learfeldzkim: — I zacna delija nizacz zda się, gdy mąż cielisty a szkaradny.

Brenvan kiwnął głową z zadowoleniem, a chwilę potem zadał kolejny zwrot:

— Uważaj, żebyś nie spadł z konia, bo się mocno potłuczysz.

— Yyy... Bacz, co byś nie spadł z rumaka, alboć się obtłuczysz wielce.

— Brawo! Gadasz niemal jak rodowity Learfeldczyk!

— Jeno szkoda, że moja mo... mowa wcale ku twojej nie... niepodobna — odparł na to Kashim, robiąc między słowami dłuższe przerwy.

— Ho, ho! Widzę, że na rozumie nie zbytkujesz, więc od tej chwili biorąc początek, dysputy prowadzić będziemy jeno w moim języku.

— Wolałbym nie — odparł Kashim. — Mam jeszcze dużo kłopotów ze znajdowaniem odpowiednich słów. Zresztą wszystkie są zbyt podobne.

Brenvan tylko wzruszył ramionami.

— Jak mój tatko gadał, kiedym się uczył machać mieczyskiem: „Kto nie próbował, trudno iżby królował”.

Od tej pory podróżnicy coraz częściej rozmawiali w niezrozumiały dla postronnych sposób, w którym zdania i słowa w mowie Tel’Halik przeplatały się ze śpiewnymi zwrotami rodem z trawiastych równin Learfeld.

Gościniec zaczął się zmieniać. Coraz częściej po jego obu stronach widzieli dzikie, zielone stawy o brzegach zarośniętych tatarakiem. W powietrzu unosił się ciężki zapach wilgoci i psujących się wodorostów, a wieczorami powietrze aż ciemniało od chmar komarów. Mimo gorąca Kashim i Brenvan musieli na noc szczelnie zawijać się derkami, inaczej bowiem gryzące owady nie dawałyby im zasnąć. Jeszcze bardziej cierpiały saury, którym komary bezlitośnie kłuły niepokryte łuską miejsca na ciele.

Wreszcie trakt zaczął wspinać się na starą, rozmytą groblę, górującą nad

ponurym trzęsawiskiem. Kashima znów ogarnął niepokój. Nocami często się budził z nieprzyjemnym uczuciem, że ktoś lub coś podkrada się do obozu. Przykra podróż trwała dzień z okładem, potem drzewa znów zaczęły się robić gęste, a ziemia sucha.

Wreszcie podróżni wyjechali na bujną łąkę, przy której północnym krańcu znajdowało się kilka częściowo zapadniętych chat. Niezrażeni tym, że na dachu jednej widać było nawet młode drzewko, zbliżyli się. Kashim wypatrzył tuż pod lasem drewniane ule, a Brenvan wskazał mu dwie kobiety, krzątające się koło studni. Osada okazała się zamieszкана, choć przebywały tu tylko trzy rodziny, powiązane wzajemnymi koligacjami. Kashima zdziwiło to, że nie widzi żadnych zbrojnych, spytał więc, czy osadnicy nie boją się obcych plemion oraz stworów z głębokiej puszczy. Gruba kobieta, z którą rozmawiali, tylko pokręciła głową i rzekła, kalecząc słowa:

— Ne, pane. Nam tu *wirk* pilnują dobrze trzy woje. Ojciec mój od dawno być woj u wielki księżę, siła wiedzieć o walce, jeszcze syn i syn od Hleny. Więcej nie trza, bo woje ksiązęcy *cztyvhar* siedzą niedaleko. Jak coś z bagien za daleko wylizie, to my wzywamy pomoc z *hrad*.

— Z grodu? — podchwycił Brenvan.

Okazało się, że osada leży o pół dnia drogi od warowni otoczonej wodami jeziora. W owym mieście rządził zaś jeden z potężniejszych władców w Marovii, księżę Sverk Krzepki.

Brenvan Aam Caerleigh ucieszył się niezmiernie, gdy o tym usłyszał. Krzyknął i uściskał kobietę. Krzepka, przysadzista Marovianka wyrwała się przestraszona, a przed chatę wyszło dwóch mężczyzn z podejrzliwym wyrazem twarzy. W dłoniach mieli włócznie. Rycerz skłonił się im tylko dwornie, po czym, mimo pełnej zbroi, odtańczył na trawie dzikiego hołubca. Kashim patrzył na ten nagły atak szaleństwa w zdziwieniu.

— Uspokój się — rzekł w końcu. — No, Jasnowłosa. Jeszcze nas wezmą za wariatów.

Brenvan podszedł do Al'Shannagga i grzmotnął go ręką w plecy.

— Też się powinieneś cieszyć. Wróciliśmy! Jesteśmy znów w cywilizacji. To znaczy... nie uważam twojego pustynnego kraju za dzicz, ale... Zresztą, pal to lichy! Wiesz, o co mi chodzi! Sverk to władca przyjazny Learfeld, jego gród zaś odwiedzają często kupieckie wyprawy. Przy odrobinie szczęścia znajdziemy tam transport do któregoś z większych miast marchii! Rozumiesz?

I dodał po *learfeldzku*:

— Nie zejda trzy tygodnie, a będzim grzac kości na zamku mego ojca!

Kashim kiwnął głową, uśmiechając się. Również był rad, że podróż przez przygraniczne, ledwo zaludnione ziemie dobiegła końca. Przeczucie mówiło mu jednak, że w ludnych rejonach mogą ich czekać kłopoty. A może to nie przeczucie, tylko miny, z jakimi Marovianie patrzyli na jego orientalną twarz i ekwipunek?

Rozdział 8. Ognie wojny

Czerwony Fort miał grube i wysokie ściany oraz mocną bramę. Nic dziwnego. Po ostatnim buncie Degów odbudowano go według wskazówek Mustafy Al'Istaniego, który do śmierci był radcą paszy i napisał wiele dzieł z dziedziny technik oblężniczych. Poczył nawet pewne interesujące odkrycia na polu geometrii oraz chemii, lecz to raczej nie interesowało żołnierzy, którym tej strasznej nocy przyszło bronić fortu.

Mustafa i jego kalkulacje zawiodły, choć wcześniej garnizon w Umm'al'Biyara pokładał w nich duże nadzieje. Niestety, Al'Istani, rozważając wszelkie możliwe sposoby, na jakie można zdobyć fort, brał pod uwagę zawsze klarowną sytuację, gdy wrogowie są na zewnątrz, przyjaciele w środku, a wrota zamknięte. Tej nocy zaś wszystko stało na głowie.

Zaczął się od tego, że kilka grup, wysłanych przez komendanta po młodych Degów, nie wróciło. Abashim czekał wraz ze strażą i częścią jeńców na dziedzińcu fortu, lecz choć słońce zaszło, patrole nie nadchodziły. Żołnierze niepokoiли się, a komendant był wściekły, że nie może zacząć chłosty. Wreszcie posłał po maruderów dwie drużyny zbrojnych. Ci zniknęli w ciemnościach nocy. Nie minęło dużo czasu, a od strony zabudowań dobiegły odgłosy walki i wołania o pomoc. Strażnicy wbiegli na blanki, lecz choć wysilali wzrok, ciemną nocą ledwie potrafili odróżnić czarne plamy jurt od stoków. Czasem gdzieś mignął błysk stali czy pochodnia, lecz nikt nie wiedział, co właściwie się dzieje.

Abashim przestraszył się nie na żarty. Rozkazał zamknąć i zabarykadować wrota, a fort przygotować do obrony. Roztrzęsiona załoga fortu natychmiast wykonała polecenie. Wkrótce w dolinie zapłonęły dwie jurty. Pożar pozwolił przynajmniej dostrzec biegające wśród zabudowań sylwetki, choć wciąż ciężko było powiedzieć, które należą do Degów, a które do żołnierzy Tel'Halik. Tylko wrzaski i szcęk broni wskazywały na to, że w Umm'al'Biyara ciągle wrze bitwa.

Wkrótce jednak od zabudowań oderwała się grupa dziesięciu lub jedenastu żołnierzy. Wycofywali się w szyku drogą wiodącą do wrót fortu. Mieli kilka tarcz oraz pik i za ich pomocą usiłowali opędzać się od dzikich górali, co chwila uderzających z ciemności jak wataha stepowych wilków. I choć wielu Degów ginęło, co kilkadziesiąt kroków również któryś z żołnierzy

padał przebity strzałą lub ghankiem, co prześlizgnął się nad krawędzią tarczy. Gwardziści na blankach obserwowali to w napięciu, z nadzieją że Abashim rozkaże iść z odsieczą, komendant jednak okazał się zbyt przytłoczony nagłym zwrotem sytuacji, by zaatakować. Miotał tylko z muru klątwy, grożąc Degom śmiercią na palach oraz interwencją Tel’Halik.

Garstka pozostałych żołnierzy dotarła niemal pod wrota. Co rusz któryś rzucał zdesperowanym wzrokiem na spiżową bramę. Jej skrzydła stały jednak nieruchomo.

— Komendancie! — krzyknął do Abashima młody oficer. — Musimy uchylić skrzydło, wpuścić naszych do środka!

Abashim popatrzył na niego nieprzytomnie.

— Komendancie! — nalegał oficer. — Chyba nie pozwoli pan, by wojownicy Tel’Halik zginęli pod samą ścianą fortu!

— Uchylić lewe skrzydło! — krzyknął chrypliwie Abashim.

Pot obficie ściekał mu po nalanej twarzy. Z początku żołnierze na dziedzińcu nie usłyszeli komendy, więc musiał powtórzyć:

— Uchylić lewe skrzydło, na Jedynego!

Zaraz ku bramie puściło się kilkanaście osób. Podnieśli masywne sztaby, pchnęli wrota. Gdy tylko utworzyła się szczelina wystarczająca, by przecisnąć się przez nią zbrojni, żołnierze na zewnątrz złamali szyk i rzucili się na złamanie karku do przodu. Razem z nimi kilkudziesięciu rozwścieczonych Degów. Niewyraźne postacie kłębiły się przy wrotach, walcząc w tłoku i ciemności.

— Zamknąć wrota! Zamknąć! — wrzeszczał Abashim, choć nikt w dole nie mógł go usłyszeć.

Żołnierze Świętego Miasta wiedzieli jednak, co ich czeka, jeśli Degowie dostaną się do środka. Pamiętali upiorne opowieści o pierwszym buncie, a naznaczone oblędem twarze górali świadczyły, że ich dawno tłumiona złość wybuchła dziś z nieposkromioną siłą. Słudzy proroka walczyli więc z całą desperacją. W ciasnym zwarciu, gdzie ciosy sypały się przypadkowo i nie można było wziąć porządnego zamachu, pancerz dawał im ogromną przewagę i wkrótce wyparli niemal wszystkich napastników za wrota. Ziemię pod łukiem bramy zaścielały spiętrzone trupy.

— Pchać! — krzyknął jeden z żołnierzy. — Musimy to domknąć!

Mimo że górale wciąż próbowali wciskać się do fortu, bramę pewnie udałoby się zamknąć, gdyby nie jeden istotny szczegół: na dziedzińcu stało dwudziestu trzech młodych Degów, przyprowadzonych tu wcześniej na

chłostę.

W gorączce walki Abashim niemal o nich zapomniał, a ponad połowa strażników rzuciła się na mury albo do pomocy przy wrotach. Jeńcy, którzy dotychczas w napięciu śledzili wydarzenia, teraz znacząco spojrzeli po sobie. Wreszcie młody Dindżar, syn Irdžiha Kowala, dał znak. Krzyknął głośno i rzucił się na najbliższego strażnika. Reszta poszła w jego ślady. Atakowali gołymi rękoma i choć kilku, w tym Dindżar, padło na ziemię pod ciosami szabli, inni powalili strażników, wyrywając im broń, i zaraz uderzyli na bramę, by wspomóc przegrywających.

Walka rozgorzała na nowo i tym razem żołnierze Tel’Halik nie mieli w niej wielkich szans. Kilku padło w pierwszym ataku, gdy szable wbiły im się w plecy i karki, inni zaczęli bardziej interesować się własnym życiem niż wrotami. Wkrótce tylko czwórka strażników usiłowała utrzymać skrzydła, podczas gdy inni zmagali się w mroku z nowym wrogiem.

Brama zaczęła się otwierać, powstała szczelina powiększała się szybciej i szybciej. Wkrótce stało się jasne, że Degowie wedrą się do fortu. Abashim, nie dając żadnego rozkazu, puścił się po murze w stronę drzwi głównego budynku. Część żołnierzy poszła w jego ślady, a część próbowała zbiec na dół, by pomóc towarzyszom. W kilka chwil na podwórku, blankach i pod drzwiami baraków z czerwonego kamienia zapanował chaos. Oficer, który zastąpił komendanta na polu walki, próbował wycofać wszystkich do budynku i zabarykadować się w nim, żołnierze byli jednak zbyt rozproszeni.

Rzeź trwała. Obok siebie padali synowie kupców z Szarego Stoku i biedacy z Krwawego Sztyletu. Syn jednego z doradców Yholeda padł z przebitym bokiem, a bratankowi wielkiego kadiego poderżnięto gardło zębatym nożem.

— Do środka! Przebijajcie się do środka! — chrypiał z wysiłkiem oficer, który wraz z trzema weteranami bronił małych drewnianych drzwiczek.

Przez puste korytarze fortu biegł Abashim, cały czerwony. Sapał ciężko, mimo to uparcie dążył do podziemi prawego skrzydła, gdzie czekało wybawienie.

Mustafa Al’Istani wiedział, że w wypadku przebicia pasa umocnień twierdza zmienia się dla obleganych w śmiertelną pułapkę. Wiedział też, że czasem trzeba przeprowadzać nagłe wycieczki, by zniszczyć maszyny oblężnicze wroga i zastraszać jego żołnierzy. Dlatego przygotował ukryty tunel, wiodący kilkaset kroków za mury. Abashim znał tunel ze szczegółowych planów i nigdy nie mówił o nim załodze. Teraz był z tego

faktu szczególnie dumny: gdyby żołnierze wiedzieli o drodze ucieczki, dawno już opuściliby pozycje i lecieli tu na złamanie karku, ciągnąc za sobą Degów. Abashim nie musiał się bać, wiedział, że walka jeszcze trochę potrwa i że upłynie dużo czasu, nim górale zorientują się, że w forcie nie ma osoby, na której zależało im najbardziej.

*

Gród wyglądał jak spiętrzona masa drewna zakotwiczona w jednej z zatok jeziora. Przed palisadą, której podstawa była szerniała i pokryta wodorostami, jeżyły się zaostrome pale. Do bramy wiódł pomost. Podtrzymujące go bale nadgniły już od wody, kilka desek było złamanych. Powyżej wzrok grzęznął w chaotycznej plątaniu strzech, nad nią górowała jeszcze jedna palisada, a dalej kasztel z grubo ciosanych bali o dachu krytym gontem.

Gdy Kashim stał u wejścia na most, wyraźnie czuł zapach butwiejącego drewna oraz nieczystości, od których woda wokół grodu była aż ciemna. Zdawało mu się, że gród pływa, i dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że w rzeczywistości zbudowano go na wyspie, choć drewniane fortyfikacje i jezące się pale zasłaniały każdą jej piędź. Napatrzywszy się wystarczająco na dziwną architekturę Marovian, zszedł na ląd i zaczął szukać wzrokiem Brenvana.

Rycerz zdążył się już oddalić, rozmawiał właśnie z jakimś starym kupcem i jego synem, opierając się o zagrodę pełną małych maroviańskich koni. W miejscu, gdzie zaczynał się most, wyrosła już całkiem spora osada. Widać gród rozwijał się na tyle prężnie, że dla wielu mieszkańców nie wystarczyło miejsca na wyspie. A może woleli mieszkać na stałym lądzie? Kashim już teraz mógł sobie wyobrazić, jak kłopotliwe musiało być życie nad falami jeziora. Od wszechobecnej wilgoci domy zapewne gniły i zarastały grzybem, a ludzie chorowali. Na dodatek w wypadku pożaru wyspa mogła się zmienić w śmiertelną pułapkę, strzechy domów bowiem niemal dotykały jedna drugiej.

Brenvan chwilę dyskutował ze sprzedawcą koni, wreszcie machnął ręką i wrócił do Kashima, pilnującego wierzchowców u wejścia na pomost.

— Myślałem, że uda nam się zmienić saury na konie, ale ten chciwy parch nie chce kupić gadów. Mówi, że zimą na nic mu się nie przydadzą, że będzie musiał cały czas trzymać je w stodole.

— To prawda. Saury bardzo źle znoszą mrozy, a sam mówiłeś, że zimno bywa tu nie gorsze niż nocą na pustyni.

— Daj spokój! I tak oferowałem mu dobrą cenę. Maroviańska kutwa! Zauważ tylko, jak kpiąco na mnie teraz patrzy! Na rycerza, kawalera z zakonu Złotej Róży. Już ja bym mu...

Szeroka dłoń Brenvana zacisnęła się na rękojeści miecza.

Kashim westchnął.

— Sam mówiłeś, że mamy sprawiać wrażenie spokojnych kupców. — I dodał po learfeldzku: — Pomiarkuj się, bo z tego, com widział, w grodzie siła zbrojnych.

Brenvan spojrział z nienawiścią w stronę kupca. Splunąwszy na klepisko, wycedził:

— Nauczyłbym go chętnie odrobiny szacunku, ale chyba masz rację, człowieku z pustyni. Choć czasem trudno mi zrozumieć twój spokój.

— Idziemy już. Chętnie bym coś zjadł. Na brzegu nie widać żadnej gospody, więc chodźmy do środka.

Ruszyli pomostem w stronę półotwartych wrót. Deski skrzypiały i ugiwały się pod krokami, zaś prowadzone saury, widząc wokół wodę, szarpały z niepokojem postronki. Kashim zmierzył Brenvana spojrzeniem, wreszcie rzekł:

— Nie wiem, jak ci to powiedzieć, przyjacielu, ale... Zmieniasz się, białoskóry. Gdy tylko wjechaliśmy między ludzi, stałeś się nagle nerwowy. Mówisz z dziwną pychą, we wszystkich twoich ruchach czuję jakąś grę.

Rycerz zacisnął zęby. Po raz pierwszy Święty Jeździec zobaczył, że jego towarzysz jest na niego zły.

— Na Eyul! — wybuchnął Learfeldczyk. — Jestem szlachcicem! Muszę się zachowywać tak, by nie przynieść wstydu rodowi! Jakie mniemanie mieliby o mnie ludzie niższego stanu, gdybym płaszczył się przed każdym kupczyną czy żołdakiem? Zresztą spójrz na tych brudnych tuziemców. Pamiętasz, mówiłem ci: jeśli im pokażemy, że jesteśmy maluczcy i słabi, zeżrą nas żywcem. Nie, Kashimie. To półbestie, gorsi ludzie. Musimy traktować ich twardo, musimy wydawać się im bardziej szlachetnym gatunkiem istot, aby utrzymać ich w ryzach.

— Więc tak u was myślą szlachetnie urodzeni? W Tel'Halik nazywamy to grzechem pychy. Księga mówi...

— Nie obchodzi mnie twoja księga. A z krytykowaniem obyczajów Learfeld poczekaj chociaż do chwili, gdy zobaczysz je na własne oczy.

Nozdrza Kashima wydeły się ze złości. Lekceważenie Księgi było strasznym grzechem. Chciał krzyknąć na Brenvana, lecz zdołał się

powstrzymać. Cierpliwość. W obcych krainach musiał wykazać się cierpliwością.

Dotarli tymczasem na tyle blisko bramy, że widzieli wojów o czarnych włosach i okrągłych tarczach, którzy stali nad nią. Al'Shannagg uważnie obserwował ich wyposażenie. Jeden miał na sobie szłom z nosalem i krótką kolczugę, reszta tylko grube przesywanice. Obok każdego stały oparte trzy włócznie z cienkimi grotami, ponadto mieli jeszcze po długim nożu i toporku o wąskiej brodzie. Kashim skrzywił się, gdy dotarł do niego fetor nieczystości, których warstwa pokrywała sterczące pod ostrokołem kije. Mieszkańcy wyspy istotnie wylewali wszystkie brudy za palisadę.

Zbliżyli się do półotwartych wrót. Deski trzeszczały groźnie, a raz czy dwa Kashim musiał zrobić duży krok, by nie wpaść nogą w dziurę. W szczelinach pomostu widział wodę okrytą białą szumowiną i leniwie uderzającą o pale. Kashim spodziewał się, że strażnicy ich zatrzymają, lecz woje spojrzeli tylko raz na zbroję Brenvana i nie rzekli słowa.

Podróżni wkroczyli na wąską uliczkę grodu. Łapy saurów chlupały w kałużach, pokrywających rozmokłe klepisko. Gdzieśgdzie rzucono na nie drewniane bale, by łatwiej dało się przejechać, lecz te w większości już zbutwiały i zniknęły pod powierzchnią błota. Al'Shannagg patrzył z ciekawością na długie, prostokątne domy, strzechy i samych mieszkańców. Ci ostatni ledwie zwracali uwagę na podróżnych, a jeśli już zerkali, to raczej na Kashima, nie Brenvana. Istotnie, kupcy z Learfeld musieli być tu częstym widokiem.

Nieopodal bramy znajdowała się gospoda. Niski, zapadnięty jednym narożnikiem dom, z którego otwartych drzwi buchał kwaśny zapach kapusty i smród spoconych ciał. W zagrodzie parobkowie oporządzali konie. Nieco dalej stały dwa wozy, a na jednym z nich siedział ponury dryblas o krzywym nosie, trzymając na kolanach poszczerbiony topór.

— Learfeldzka wyprawa — Brenvan wskazał wozy. — Nie jesteśmy dziś pierwszymi gośćmi.

Kiedy weszli do środka, wzrok Kashima musiał długo przyzwyczajać się do półmroku, bo wewnątrz rozświetlało jedynie kilka dymiących łożowych świec. Gospoda, a raczej część przeznaczona dla gości, składała się z trzech pomieszczeń. Środkowe, bardzo niewielkie, miało tylko długą ławę i wejście do kuchni, skąd buchał kwaśny zapach i dochodził głos kobiet szczebioczących po maroviańsku. Po lewej i prawej znajdowały się niskie salki z ławami, służące jednocześnie jako jadalnie oraz miejsce do spania.

Za stołem w głównej izbie siedziało trzech mężczyzn pochylonych nad drewnianymi kubkami. Jeden wstał, gdy tylko goście weszli do środka, i skłonił się. Jego postura przywodziła Kashimowi na myśl tyczkę — był chudy i wysoki, w średnim wieku. Koło nosa miał nabrzmiałą siną narośl. Rzekł po learfeldzku:

— Wasze moście pozwolą, lewa sala wolna, w prawej jakowaś szlachecka kompania. Służę wiktem i opierunkiem. Przyjmuję learfeldzkie złoćce, grosze takż inne waluty.

— A co w garnkach, bośmy z kompanem głodni jak wilcy?

— Kiszonka z kiełbasą, panie. Wyśmienita, przez moją żonę...

— Ujdzie — przerwał mu Brenvan. — Siądziem po lewej, zostajem na noc. Ino mam nadzieję, że nie chowasz tu pluskiew!

— Gdzieżby! Wasze moście niech same zobaczą! Chata często odymiana, a wszystkie posłania prane. Moja żoneczka...

— Miast mleć ozorem, podajże nam dwie miski — zakomenderował rycerz. — I garniec piwa.

— Służę waszym mościom!

— I przykaż parobkom rozkulbaczyć saury.

— O, to nieproste, panie. Dzieciuchy się strasznie tych jaszczurek strachają — powiedział gospodarz, kłaniając się ponownie.

— Płacę dobrze. Który bydłeta oporządzi, dostanie dwa grosze.

— Tak, panie.

Gdy gospodarz zniknął w kuchni, a dwóch jego znajomych wróciło do cichej rozmowy, Brenvan zajrzał do prawej sali. Skrzywił się jednak tylko i wrócił do Kashima.

— No i kto tam siedzi? — spytał Święty Jeździec.

— Myślałem, że świta jakiegoś rycerza, ale nie. Mieszczństwo — prychnął Brenvan.

Przeszli do drugiej sali i zajęli miejsca przy dębowej ławie. Choć widać było, że niedawno ktoś ją czyścił popiołem oraz piaskiem, w zagłębieniach drewna wciąż były resztki jedzenia. Jedynym źródłem światła w pomieszczeniu okazało się małe okienko oraz jedna świeca. Z powały zwisały pęki suszonych ziół, których zapach aż kręcił w nosie. W ciemnym rogu Kashim widział kilka sienników.

— Dziwny ten kraj. Podróżni płacą złotem za gościnę w miejscu przypominającym loch.

— No cóż, przyznasz chyba, że i tak wygodniej w gospodzie niż w

czyjejs chacie? Przynajmniej nie musisz spać bok w bok z niedomytymi parobkami i ich babami, które wodę widują tylko od święta.

— Nie było tak źle.

— No i tu przynajmniej gospodarz nie pozwoli poderżnąć ci gardła.

— Co racja, to racja. Choć muszę przyznać, że Marovianie zdają się mniej dzicy, niż wynikałoby z twoich opowieści.

Gospodarz nie dał na siebie długo czekać. Wkrótce dostali dwie misy pełne kapusty z grubo siekanymi kawałkami kiełbasy, dwie łyżki oraz dzban piwa i dwa gliniane kubki. Gospodarz już miał odchodzić, gdy Kashim wstał i rzekł:

— Poczekaj jeszcze chwilę.

Ów cofnął się o krok, lecz Kashim chciał jedynie bliżej przyjrzeć się narośli przy jego nosie.

— Pozwolisz? — spytał i wyciągnął rękę, by jej dotknąć.

— Nie, panie. Nie lza tykać, bo znachor mówi, że to się przenosi niczem parchy na wieprzkach.

— Na żonę ci się przeniosło?

— Nie, ale łona takż nie tyka.

— Mi widzi się, że to zwy... Wybacz, nie władam jeszcze biegle tą mową. Widzi mi się, że to czyrak jeno, któren można ostrzem gorącym przeciąć. Medycy w moim kraju często z powodzeniem to czynią. Nie masz li u was medyka?

Gospodarz odskoczył jak oparzony.

— Nie, panie! Nie lza nic przecinać, już dobrze mi jak jest. Znachor zioła daje, nic po nich nie boli. Nie lza przecinać.

Brenvan gruchnął śmiechem, a Kashim pokręcił głową i puścił Marovianina wolno.

— A cóżeś ty, służka Saari, coby plebsowi czyraki leczyć? Zresztą nie dla niego takie leczenie, on na sam widok ostrza sfajda się w famurały i tyle mu przyjdzie z medyka.

Kashim z powrotem zajął miejsce.

— Chciałem tylko pomóc — rzekł w mowie Pustynnego Miasta. — Poza tym byłem ciekaw. U nas podobne rzeczy widuje się rzadko. Dobra wiedźma potrafi usunąć je za kilka srebrnych centim. A jeśli ktoś nie ma pieniędzy, może zawsze pójść do Duzzaha z Pałacu Chorych.

— A, tak. Medyków pewnikiem macie przednich. Ale cóże z tego, skoro ziemia sucha i niepłodna, kobiety ciemne, a w całej krainie jeno jedno

miasto.

— Dwa. Jest jeszcze Tel' Amman nad brzegiem Shaprut.

— Nawet dwa to nic — odparł Brenvan, lejąc do kubków napój.

W powietrzu rozniósł się zapach fermentu.

— Tego też u was nie uświadczysz. Zwiemy to: piwo. Zacny napój, spróbuj, Kirajczyku.

— A przy tym temacie akurat cię zadziwię. Znamy taki napój, a kmiecie z Tel' Amman wielką w jego warzeniu posiadli biegłość.

Przerwał na chwilę, by pociągnąć łyk z kubka.

— Jeno to wasze dziwnym mi się zdaje. Widać z innych ziaren robione.

— Wiedz, że Marovianie marnie piwa warzą, nadto chrzczą je wodą, a miast jęczmienia używają stłuszczowanej pszenicy. Spójrz, jakie to wodniste! Jakie zielonkawe! Niemalże niczem siki z Południowych Księstw, bo trzeba ci wiedzieć, że południowcy piwa odsączają i takie właśnie, na kształt wody, sobie chwalą. A co my, bydłeta czy psi, żeby wodą się cieszyć? U mojego wuja na zamku tak zacny trunek się daje, że strażnikom za dzienny przydział spyży wystarczy półtora garnca piwa, jest ono bowiem sycące, gęstawe, pełne miazgi jęczmiennej a przyjemnego kwasu. Zaprawdę, kubek takiego piwa ze świeżym chlebem to najlepszy posiłek po pełnym pracy dniu...

— Nad Shaprut takóž piwo klarujemy.

— Bo nie wiecie, co dobre. Ale cóž ja mówię, jeno w Learfeld porządnie się warzy. Choć i Gotrlandczycy, by oddać im sprawiedliwość, zacny trunek czynią. Maroviańskie piwa czasem bywają znośne, jak to, ale na południu... Tam już, przyjacielu, zgroza i zgrzytanie zębów. Wystaw sobie, że ichni mnisi poczęli dodawać do piwa chmielu! Nie robią go już, jak tradycja i dobry smak każe, jeno ze zbóż. Ale, powiadam ci, to się nie przyjmie! Ludziska są łase na nowości, lecz gdy już się w tych chmielowych sikach obsmakują, wrócą do starych, sprawdzonych sposobów...

*

Wieść o buncie Degów i atakach na pustynne patrole spiorunowała Święte Miasto. Wyglądało na to, że prorok miał rację, gdy ostrzegał przed podstępными buntownikami, przed wrogami Księgi, którzy podnoszą głowę w całej Ocalonej Krainie. Oto wojna, choć od wielu lat obca mieszkańcom Tel'Halik, znów nadeszła, a wraz z nią okrutne pokłosie śmierci.

Nad miastem pojawiły się dymy ze stosów, gdy rodziny żołnierzy z fortu w Umm'al'Biyara paliły ubiór oraz przedmioty zmarłych. Nikt nie liczył na to, że uda się odzyskać ciała. Komendant Abashim oraz trójka ocalałych z

pogromu żołnierzy rozpowiadali wciąż o okrucieństwie Degów, rwących trupy na strzępy gołymi palcami, by później pożreć je na surowo.

W tej sytuacji nikt nie zdziwił się, gdy prorok zapowiedział dodatkowy, przymusowy nabór do straży Świętego Miasta. Nikt jednak nie przypuszczał, że zapowiedź zostanie wprowadzona w życie tak szybko i na tak wielką skalę.

Już drugiego wieczoru, odkąd z Żelaznej Doliny przysły złe wieści, na uliczkach Tel'Halik pokazały się grupy werbowników. Zazwyczaj w ich skład wchodził Duzzah, podoficer oraz parę Czerwonych Turbanów. Krążyli od domu do domu, na każdym dziesięciu mężczyzn biorąc jednego zdolnego do noszenia broni. Grupki rekrutów od razu kierowano do północnej bramy, za którą rozłożono już na piasku wielki obóz. Nieduży garnizon straży nie mógł bowiem pomieścić tylu osób, a pasza nie zechciał udostępnić choćby części Orlego Fortu.

Ku zgorszeniu sędziwych patriarchów, poboru nie uniknęły nawet rody szlacheckiej krwi. Choć dla ludzi wywodzących swoją linię od proroka służba w zwykłej straży była niemal obrazą, werbownicy nie okazywali wyrozumiałości. Kilka grup krążyło po dzielnicy Wzgórze Wiernych, pukając do bram posiadłości. Nie ominięto domu starego Iznaka, choć w tym przypadku sprawy nie poszły zupełnie gładko.

Narfah wściekł się, gdy usłyszał, że ma zostać zabrany od swoich gołębi, lekcji szermierki i wyścigowych saurów do ciasnych namiotów straży. Poparli go oczywiście młodsi bracia Jelayi, szarpiąc werbowników za poły chałatów i grożąc im pięściami. Iznak natomiast kłócił się z Duzzahem, rwał z głowy włosy i przeklinał głośno. Większość kobiet płochliwie pochowała się w swoich pokojach na piętrze. Jelaya jednak stała na schodach, wraz ze służbą obserwując zajście.

Dwójka Czerwonych Turbanów zdołała wreszcie obezwładnić Narfaha, wykręcając mu ręce. Barczysty młodzieniec parskął jak dziki koń i co chwila obrzucał przybyszów obelgami. Jeden z młodszych braci (w ścisłości ciężko było poznać który) uderzył niższego napastnika, wyższy zaczął krzyczeć coś łamiącym się głosem. Wybuchła chaotyczna przepychanka, mężczyźni szarpali się za poły szat, uderzali po twarzach. Nad całym rabanem zaś górował skrzekliwy głos Iznaka, rzucający obelgi na wszystkich kapłanów Świętego Miasta. Jelaya patrzyła spokojnie, jakby rejestrowała każdy szczegół swoimi czarnymi, błyszczącymi oczyma.

Gdy żalсна scena dobiegła końca, a Narfah jako tako się uspokoił i dał

wyprowadzić na ulicę, dziewczyna nie zeszła na dół jak reszta rodziny, by wspólnie biadolić nad losem młodzieńca, lecz pobiegła do swoich komnat napisać list do Duzzahów ze szkoły. Była oczyma proroka. Oczy proroka nigdy nie śpią.

*

W tym samym czasie nieco dalej, na ulicy rzemieślników, mimo późnej pory warsztaty pracowały, jakby dopiero zaczynał się dzień. Dymy z kominów zasnuły wieczorne niebo, z wejść buchał żar rozgrzanych pieców. Wszyscy płatnerze oraz zbrojmistrze Tel'Halik pracowali. Jeden z nich szczególnie ciężko.

Namib od Mieczu nie dawał sobie nawet chwili odpoczynku. Poza czytaniem, podczas których nie można było pracować, spędził przy miechach oraz kowadle całutki dzień. W tym czasie musiał dwa razy zmienić pomocników, bo niedoświadczonym uczniom trudno było tak długo wytrwać w skwarze i duchocie.

Sam jednak nie dał sobie chwili wytchnienia. Kuł brzeszczoty na wojnę z Degami.

Nie robił tego tak starannie, jak zwykle. Zakładał metal w mniejszą liczbę warstw, nie sprawdzał precyzyjnie wyważenia; zleciodawcy mówili wprost, że w pierwszej kolejności ważna była liczba broni, a władać nią mieli nie wprawni szermierze, lecz niedoświadczeni rekruci po pobieżnym przeszkoleniu. Namib kuł więc dużo szabli. Miał nadzieję, że jedna z nich dopadnie Dega, który zamordował jego siostrzeńca, miłego chłopaka, za którym tęskniła cała rodzina.

Zajęty pracą Namib nie zorientował się, że jego pomocnik wyszedł po wodę. Nie spostrzegł nawet, gdy średniego wzrostu szczupły gwardzista stanął za jego plecami, zapatrzony w czerwony żar.

— Przydmij w miechy, mały leniu! Zaczyna już stygnąć! — rzekł Namib.
— Nie słyszysz? — dodał po chwili.

— Obawiam się, że twój uczeń wyszedł, Namibie.

Rzemieślnik odwrócił głowę i łypnął na przybysza. Zobaczył pancerz podoficera Świętych Jeźdźców, na którego wypolerowanych płytkach odbijał się ogień z paleniska. Właściciel zbroi nie wyglądał jednak groźnie, miał wesołą twarz i lekko rozczochrane ciemne włosy. W przeciwieństwie do większości Jeźdźców nie nosił brody. Jego prawa dłoń była zatknięta za szarfę niby w niedbałym geście, lecz podejrzanie blisko rękojeści szabli.

— Potrzebujesz nowego ostrza? — spytał Namib. — Jestem bardzo

zajęty i...

— Nie — przerwał mu Jeździec. — Przychodzę służbowo, mam ci zadać kilka pytań.

— Mnie? Na Jedynego, kogo może interesować żywot prostego, starego płatnerza!

Nahar uniósł lekko brew i uśmiechnął się.

— Nie jesteś stary ani prosty, Namibie. Wiem, że reszta rzemieślników darzy cię wielkim respektem. Wiem, że masz dar, który pozwala ci kuć doskonałą broń, a także przewodzis radzie płatnerskiej Tel'Halik. Jesteś więc najlepszą osobą, by udzielić paszy kilku informacji. Będiesz współpracować?

— Zamieniam się w słuch, Jeźdźcze.

— Jaka jest wysokość zamówienia?

Namib od Mieczy wzruszył ramionami.

— Urzędnicy, którzy tu przyszli, nie określili liczby. Mam przygotować tyle broni, ile się da. Zresztą dlaczego pytasz? Czyż to nie Orli Fort zlecił zakup nowego uzbrojenia?

— Nie, Namibie. To Duzzahowie z Pałacu Proroka oraz Pierwszej Świątyni. Pieniądze pochodzą z kasy Vezamara, a nie z Orlego Fortu.

Rzemieślnik odłożył rozgrzany pręt i odwrócił się do przybysza. Na jego twarzy rysowało się zdziwienie.

— Niemożliwe! Przecież to pasza dowodzi armią i obroną Świętego Miasta! Od wieków był zbrojnym ramieniem proroka i...

— Teraz prorok sam dzierży broń. Pasza dowodzi już tylko Jeźdźcami. No dalej, Namibie. Bądź szczery. Wiem przecież o tobie coś jeszcze. Coś, co mówiłeś kilka razy przy winie do reszty płatnerzy. O nowych podatkach, o proroku.

Poryta bruzdami twarz Namiba ściągnęła się w złości. Jego dłonie mięły boki jasnego chałatu.

— To szantaż? Kto...

— Nie zamierzam cię szantażować. Wprost przeciwnie. Widzisz chyba, że stosunki między prorokiem a Orlim Fortem są... napięte. Słyszałeś plotki o tym, kto stał za zamachem, dzięki komu pasza leży teraz bez życia i z trudem wypowiada dwa słowa? Proszę cię więc, wspomóż nas. Podaj liczbę, Namibie. Płatnerze Tel'Halik często ze sobą rozmawiają, musisz wiedzieć, jakie zlecenia dostali inni. Ba, może sami podzieliliście je między sobą!

Namib od Mieczy westchnął głęboko. Minął Świętego Jeźdźca i wystawił

głowę na zewnątrz, by sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje. Potem zaciągnął zasłonę i rzekł:

— Zamówienia składali u każdego osobno. Wszystkie bardzo duże, na długie miesiące pracy. Gdyby to podliczyć, byłoby z... tysiąc szabel, parę tysięcy liści do włóczni. Warsztat odlewnika Imheba ma przygotować osiem tysięcy grotów strzał.

Uśmiech zniknął z twarzy Świętego Jeźdźca.

— Czy jesteś pewien? — spytał z naciskiem gwardzista. — To sprawdzone informacje?

— Tak pewne, jak to, że słońce co dzień płynie po niebiosach z Marrenvan do Shannyevan.

— Dziękuję zatem, Namibie. Oby praca szła ci lekko, a jej owoce przyniosły zwycięstwa Świętemu Miastu.

— Tak niech się stanie, Jeźdźcze. Tak niech się stanie.

Chwilę potem tajemniczego gwardzisty nie było już w warsztacie. Namib wrócił do pracy, lecz czuł się rozbity, a zmęczenie zaczęło dawać o sobie znać. Zresztą teraz, gdy wiedział, na czyje zlecenie pracuje, nadludzka energia szybko się ulotniła.

Nahar również miał dużo do przemyślenia. Szedł, nie patrząc pod nogi. W zadumie wbijał wzrok w gwiazdy. Po obu stronach uliczki stukały młoty, trzaskał ogień, płatnerze krzyczeli na czeladników. Młody Al'Iarnak cieszył się, że dostarczy Hanhakhowi ciekawych informacji, pułkownik z pewnością będzie zadowolony. Jednocześnie trudno mu było nie myśleć o ich treści, która napawała obawą. Kilkutysięczna armia? Tylu wojowników Tel'Halik miało tylko raz, za czasów Wojny Trzech Sokołów. Do rozprawy z Degami z pewnością wystarczyłoby i pięć setek dobrych żołnierzy. Po co więc prorokowi tak wielka siła?

Rozdział 9. Zwierzyna i łowcy

Vartislad uważał się za szczęściarza. Prawda — ta wiedźma, którą wypędził kijem spod drzwi, rzuciła na niego urok. Prawda — wyrósł mu przez to na nosie paskudny siny guz. Miał jednak duży dom, zasobną piwniczkę, służbę, dobrze płatne zajęcie, prestiż i, co ważniejsze, urodziwą żonę, której ów guz zupełnie nie przeszkadzał. Jakby tego było mało, sam ksiązę Sverk lubował się w piwach z piwniczki Vartislada, przedkładając je nad produkcję reszty piwowarów grodu. Ponoć gdy był zły, wołał do drużynnych: „A przynieś mi który piwa, jeno zimnego i od Vartislada! ”. Istotnie, do gospody często przychodzili ludzie z dworu, a płacili jeszcze lepiej niż learfeldzcy kupcy, zjawiający się ostatnio niemal co miesiąc.

Tej nocy Vartislad miał podwójne szczęście. Obie sale zajęte! I to przez dostojnych gości! To nie zdarzało się często. Już zdążył zarobić półtora learfeldzkiego złoćca, bo choć policzył za posiłek poczwórną cenę, żaden z kupców nie protestował. Czując, że do wyciągnięcia jest znacznie więcej, gospodarz co chwila biegał od sali do sali, proponując kolejne garnce piwa, chleb i ciasto do zagryzienia czy wreszcie małe, mocno przyprawiane kiełbaski. Żona wraz z dwiema służkami również uwijała się w kuchni i Vartislad ledwie znalazł czas, by w przelocie uszczypnąć ją w tyłek.

Nic nie zapowiadało, że tej nocy nastąpi katastrofa, jednak wkrótce po zachodzie słońca na ulicy zaczął się dziwny raban. Od strony wysokiego grodu dochodziły pokrzykiwania i odgłosy gardłowej sprzeczki. Vartislad nie miał czasu poświęcać im uwagi. Dopiero gdy w drzwiach stanęło trzech barczystych wojów z toporami oraz krótkimi mieczami z brązu, Vartislad jakby się ocknął. Przystanął i spytał:

— Mogę li w czymś pomóc?

Jeszcze kilku mężczyzn wcisnęło się do wnętrza. Większość nosiła przeszywanice, grube pasy i lniane spodnie, kilku miało tarcze z dębiny o okrągłym umbie oraz kutych na kształt węży wzmocnieniach. Po nich właśnie i wzorach rysowanych ochrą na twarzy Vartislad poznał, że ma przed sobą wojów z Pajęczego Jaru, osady leżącej daleko na północ, na bagnach, co rozciągały się przy brzegu rzeki Krstvy. Pajęczarze byli bodaj najdalszym plemieniem, które ślubowało wierność Sverkowi Krzepkiemu.

Woje byli rozgniewani. Przegnano ich widać z wysokiego grodu.

Marovianin o szopie płowych włosów wysunął się z grupy i zawołał:

— Nuże, gospodarzu! Będziem tutaj nocować, nagotujcie miejsca dla piętnastu i wytozczcie jakiego piwa.

Vartislad zgiął się wpół. Miał złe przeczucia.

— Raczcie wybaczyć, zbrojni panowie, ale obie sale zajęte. Miejsca ci u nas już nie ma, więc może... Znam uczynnego gospodarza na podgrodziu...

— Na Czteroga! — krzyknął płowowłosy. — Nie macie, gospodarzu, miejsca dla pajęczojarskich wojów? A pokażcie, kto tam siedzi?

Zajrzał do lewej sali i szybko wyszedł, bo wycelowane kusze pięciu drabów w ćwiekowanych kaftanach nie wyglądały zapraszająco. Potem zajrzał do prawej.

— No, gospodarzu, cóże za bajędy nam pleciesz! Toć tu jeszcze i tuzin luda wejdzie.

— Ależ nie! Ci goście, możni bardzo. Nie mogą...

— Dalej, powsinogi. Wieczerzamy tutaj! Wchodzić, wchodzić do środka.

Po chwili w sali była już przeszło dziesiątka wojów. Vartislad oniemiał z przerażenia, a dwójka gości patrzyła ze zdziwieniem, jak przybysze wciskali się na tę samą ławę. Learfeldczyk wyglądał na oburzonego, a jego dziki sługa trzymał już dłoń na rękojeści szabli.

— Cóż to ma być, gospodarzu?! — krzyknął rycerz. — Ta sala miała być jeno dla mnie i mego przyjaciela!

Vartislad rozłożył ręce w geście niemocy i zaraz zniknął, pobiegłszy do kuchni. Trzeba było zaraz podać wojom trunki, może wtedy atmosfera nieco się rozluźni.

— Czemuś taki skwaszony, mężu? I co to za ludzie? — spytała żona, gdy Vartislad rzucił się do drzwi spiżarki.

— Nie bojąj się, Debredo, duszko. To jeno woje z Pajęczego Jaru. Popiją i pójdą, a jeśli...

Przerwał. Z sali dobiegły go pokrzykiwania, na przemian w learfeldzkim oraz mowie leśnych ludzi. Rozróżniał też jakieś dziwne, chrobotliwe słowa w obcym języku, przez ścianę nie mógł jednak usłyszeć, o co dokładnie idzie.

Wtem szczęknęła broń, ktoś krzyknął rozzwierająco. Żona gospodarza upuściła miedziany rondel i pisnęła. Dwie służki objęły się, wcisnęły w kąt. Vartislad rzucił klucz na komodę, chwycił drewnianą pałkę, którą zwykł przeganiać spod drzwi pijaków, i pobiegł do prawej sali. Już w połowie drogi dobiegły go odgłosy regularnej bitwy. Zdyszany, stanął w progu i zamarł.

Z przewróconej ławy zwisały dwa pocięte trupy, w tym ciało

płowowłosego. Rycerz stał ze swoim potężnym mieczyskiem za ławą i trzymał wojów na dystans długimi ciosami. Drugi z gości z boku stołu zmagął się z trzema wojownikami, a jego szabla śmigła tak szybko, że z trudem dało się złowić okiem ostrze. Ot, jeden z pajęczojarskich właśnie zwalił się na ziemię z rozciętą głęboko szyją. Na podłogę bluzgała tętnicza krew. Któryś z młodych wojów wyszarpnął topór i cisnął nim w rycerza, ale niewprawnie rzucone ostrze tylko wgięło napierśnik.

— Do mnie, synowie marchii! — krzyknął Learfeldczyk. — Biją naszych! Biją rycerza, wiernego sługę rady parów!

Za plecami Vartislada zadudniły buty. Kilku drabów z ochrony karawany zajrzało do środka, jednak widząc wielką przewagę, jaką wciąż mieli pajęczojarscy woje, stanęli w miejscu.

— Nie wazcie się mieszać! — syknął gruby kupiec, wystawiwszy głowę z drugiej sali. — Mamy towar do przewiezienia. Wracajcie, a nuże. Chce który postradać miesięczny żołd?

Walka się zaogniała, na dzikiego wojownika naparło tylu wrogów, że musiał cofnąć się pod ścianę, jego ostrze uwięzło w czymś boku. To koniec, pomyślał Vartislad. Chciał już się odwrócić i biec do grodowych po pomoc, gdy nagle z pomieszczenia dobiegł rozdzierający huk. Pięciu wojów dosłownie wyleciało w powietrze i padło kilka stóp dalej, druzgocząc deski oraz jedną z ławek. Gospodarzowi zadzwoniło w uszach. Learfeldczyk krzyknął coś, lecz Vartislad nie potrafił rozróżnić słów. Najmici z karawany stali z rozdziawionymi gębami.

Zdyszany obcokrajowiec doskoczył do jednego z wojów i przeszył go potężnym sztychem, nim ów zdążył wstać na nogi. Tymczasem ci, którzy walczyli z rycerzem, odciągnęli wreszcie ławę na bok.

— Na Czteroga i Trygłowa! — krzyknął miedzianobrody woj z tatuażem na czole. — Bić go, synkowie!

Wokół rycerza się zakłębiło. Choć zdążył wymierzyć cios, rozszczepiając jednemu z napastników czaszkę wraz ze szłomem, ktoś chwycił go za prawicę, inny objął w pasie i pchnął na ścianę. Learfeldczyk wyrwał zza pasa mizerykordię i raz za razem dźgał napastników, krzycząc w obcym języku. Wreszcie dostał od kogoś w głowę i zalał się krwią.

Gdy to zobaczył obcokrajowiec, zrobił się jeszcze straszniejszy. Twarz wykrzywił mu okropny grymas, nozdrza haczykowatego nosa się rozděły. Ryknął gardłowo i nagle świece buchnęły dziesięciokroć jaśniejszym ogniem. W powietrzu przed nim pojawił się żywy ogień, rażąc oczy niczym

słońce. Chwilę tkwił zawieszony między podłogą a sufitem, po czym runął falą na napastników oraz rycerza. Vartislad, uderzony w twarz żarem, jęknął, błagając bogów o zmiłowanie.

Magiczne płomienie zniknęły, lecz posłania w rogu oraz przeszywanice kilku wojów zdążyły się zająć płomieniem. Trzech pajęczojarskich, znajdujących się najbliżej obcokrajowca, tarzało się po ziemi, przycisnąwszy dłonie do okropnie poparzonych twarzy, z których płatami schodziła skóra.

— Czarownik! — Ktoś próbował stłamsić ogień na skraju szaty. — Wiedźmak!

Rozpętał się chaos. Dwóch wojów uciekło, przeciskając się koło Vartislada, reszta albo gasiła ubranie, albo stała w szoku. Tylko kilku pajęczojarskich naparło po raz drugi, lecz obcokrajowiec rozgonił ich młyńcem, dopadł do rycerza i z trudem postawił go na nogi. Ów słańiał się, lecz jakoś zdołał iść. Czarownik przebił szyję topornika, który właśnie się na nich zamierzył, a potem szybko zaciągnął towarzysza do wyjścia. Potrącili Vartislada, zupełnie jakby go nie było.

— Parszywe tchórze! — wychrypiał osmalony rycerz w stronę lewej sali.

— Czarownicy uchodzą! Brać ich, na Peruna!

Na zewnątrz rozległy się krzyki gapiów, zaraz potem głośnie syczenie saurów. Część pajęczojarskich wybiegła śladem uciekinierów przed chatę. Ze środka pokoju biły kłęby dymu.

— Gore, gore!

— Wiedźmak, czarownik! Bić go, ludziska, bić!

— Bogowie — jęknęła małżonka, stanąwszy za Vartisladem i spoglądając na osmaloną salę, na ogień, zdruzgotane meble i posieczone okrutnie trupy.

Wtedy z pomieszczenia wypadło ostatnich dwóch wojów. Jeden niósł na ramieniu rannego towarzysza i wybiegł na ganek, jednak nagle się zatrzymał. Miał okopconą brodę i szalony wzrok, w ręku ścisnął toporek z brązu. Gdy zobaczył gospodarza, wyszczerzył zęby. Vartislad zasłonił żonę, gotów przyjąć cios na siebie. Topornik postąpił naprzód. W tym momencie w drzwiach ukazała się jeszcze jakaś sylwetka.

— Co czynisz, Karel?! Ze szczętem chybaś zdurniał. Nuże, na Czteroga! Musimy złapać czarownika!

Czarnobrody wetknął ostrze za pas, mrugnął do Debredy, po czym wybiegł na dwór. Gospodarz zaraz poderwał się na równe nogi i krzyknął:

— Przynieś który wiadra z wodą!

Pożar udało się zdławić, nim narobił poważnych szkód. Vartislad stanął w wejściu do zdemolowanej sali, objął żonę i rzekł:

— No, nie martw się, duszko. Podłogi się zerwie, a położy nowe. Ci czarownicy zostawili nam dwa calutki złoćce! Toż za to można i pięć podłóg odnowić.

Istotnie, Vartislad był szczęściarzem.

*

W tumanach kurzu, które wzbił silny północny wiatr, ledwie było widać sylwetki budynków. Mimo to minaret o kopule krytej złotą blachą nie pozostawiał wątpliwości.

— Rał'Manid! — rzekł Tenzih Bakh'Dezi do towarzyszy.

Degowie zaszemrali. Resztę oddziału zostawili daleko za sobą, lękali się więc o swoje bezpieczeństwo. Gdyby teraz spomiędzy budynków wyjechała grupa Gunda'Tian, jedyną nadzieją byłaby ucieczka.

— Co teraz, Tenzihu? Nie złapiemy już tych przeklętników — odezwał się jeden z Degów.

— Racja — dodał drugi. — Jeśli są w osadzie, są bezpieczni.

Czenda zmarszczył czoło i odsunął z niego kosmyk włosów.

Wbijał wzrok w budowlę, jakby próbował między nimi wypatrzeć żołnierzy Świętego Miasta.

— Nie. Zaatakujemy. Im mniej niedobitków dotrze do Tel'Halik, tym lepiej dla nas.

Degowie zaszemrali. Co prawda od czasu ostatnich zwycięstw ufali Tenzihowi bezgranicznie, lecz na pustyni czuli się niepewnie. Zdobył Czerwony Fort i wszystkie strażnice, jakie pustynny lud wzniósł przy Wzgórnym Szlaku, to jednak mogło nie wystarczyć, zwłaszcza gdyby mieli toczyć boje wśród piasków, daleko od rodzimych jurt. Na radzie zwołanej po uwolnieniu doliny tylko jeden Czenda chciał iść pod bramy samego Tel'Halik. Był to wódz, którego syn znajdował się w zwiadowczym oddziale Tenziha.

— Doskonale, Tenzihu — rzekł właśnie ów młodzieniec. — Zemścimy się na tych zdradliwych psach. Zajmiemy tę osadę, a potem...

— Nic nie będziemy zajmować. Zaatakujemy, wybijemy zbrojnych i tych, którzy nam się sprzeciwią. Potem ograbimy osadę, weźmiemy zapasy wody i wracamy między wzgórza. Nie zabijamy mieszkańców, nie gwałcimy kobiet.

Degowie patrzyli na Tenziha w zdziwieniu. Nie potrafili zrozumieć, do

czego dąży młody Czenda. Jeśli już zdobędą przyczółek na pustyni, z wodą i małą strażnicą, w której mogli się bronić, czemu go oddawać?

— Muszę przyznać, że nas zaskakujesz, Tenzihu — rzekł jeden z Degów.
— Najpierw ta wyprawa za niedobitkami z ostatniej strażnicy, teraz zaś każesz zdobywać miasto tylko po to, by zaraz je oddać.

— Po prostu wyciągam wnioski z porażek naszych ojców, Dirduku. Nie możemy walczyć wśród piasków i w oblężeniach. Nie z armią Świętego Miasta.

— Po co więc...

— Musimy ich rozdrażnić. Kęsać jak wąż. Niech zobaczą, że póki nie zdławią naszego powstania, nie będą mieli chwili spokoju. Ograbimy Ral'Manid i wszystkie graniczne osady raz, potem drugi. Później będziemy powtarzać to tak długo, aż pod pałacami proroka z pustynnego miasta rozbiją namioty setki uchodźców. A gdy ruszą na nas armią... Zniszczymy ich między wzgórzami. Nie dotrą nawet do Umm'al'Biyara. Kiedy prorok straci kły, będzie musiał rozmawiać. A teraz zawracajcie! Trzeba powiadomić resztę, że osada jest tuż, tuż!

Degowie zwrócili kuce na wschód i szybko odjechali. Tenzih chwilę jeszcze patrzył na miasteczko.

Przodkowie, pomyślał, dzięki waszym naukom ludy gór mają wreszcie szansę.

*

Między rozłożystymi koronami drzew a mokrą ziemią rozpostarły się kłęby wieczornej mgły, tak gęstej, że widać było ledwie na pięćdziesiąt kroków w przód. Ponure konary wyłaniały się z niej całkiem niespodziewanie. Daleko we mgle powoli przemieszczały się światła. Pomarańczowe punkciki pełżyły to w jedną, to w drugą stronę. Wędrowiec mógłby stanąć zdziwiony i zastanawiać czy to leśne duszki, czy może zgubne bagienne ogniki. Para uciekinierów nie stawała jednak. Wiedzieli, że światła są pochodniami pościgu, który szedł za nimi trop w trop.

— Dlaczego użyłeś magii, głupcze?! — syknął Brenvan, gdy ból głowy zelżał na tyle, że mógł wyrzec choć kilka słów.

— Dlaczego zaczynałeś burdę? — powiedział w złości Kashim.

— No już, biegnij! — pogonił zaraz saura. — Dzielne zwierzę.

Gad co kilkanaście kroków zataczał się. Za nim, na bagnistej, cuchnącej zgnilizną ziemi, zostawał ślad w postaci małych kropelek krwi.

— Nie zaczynałem...

— Tak? Wybacz, ale moje oczy widziały co innego. Co ty sobie myślałeś, na Najwyższego?! Że zwymyślasz ich przywódcę, a oni po prostu pokornie wyjdą z chaty?

— Tak! To proste chłopstwo! Powinni czuć respekt przed rycerzem. Poza tym liczyłem, że learfeldzka brać pomoże nam w razie czego. Parszywe tchórze.

— Niewiarygodne! — rzekł Kashim.

— Ciszej, na Eyul. Inaczej niepotrzebne będą im ślady, by za nami iść.

— Twoja głupota zapiera mi dech — rzekł Kashim półgłosem. — Białoskóry, ja, choć jestem w tych krainach od ledwie kilkunastu dni, mam bardziej trzeźwy obraz od ciebie. Chyba oszalałeś! To był obłęd!

— Obłędem było używanie magii, barbarzyńco! Gdyby nie twoje czary-mary, mielibyśmy za sobą tylko kilkunastu zbrojnych, a nie cały gród! Przecież ściga nas dobra setka ludzi! To przez ciebie!

— Gdyby nie moje czary-mary, roznieśliby cię na kawałki.

— Daj spokój. Żartujesz chyba, miałem w zanadrzu jeszcze parę sztuczek.

Kashim sapnął ze złości. Nie chciało mu się nawet odpowiadać. Długą chwilę milczeli więc obaj, skupieni na lawirowaniu między błotnistymi bajorkami i pniami zbutwiałych drzew. Ponieważ saury były wolniejsze od koni, nie mogli uciekać traktem. Zamiast tego ruszyli na północ, wzdłuż jednej z rzek, które zasilały jezioro. Niestety, po dwóch farsangach las stał się ledwie przejezdny. Dzikie rozlewiska i grząska gleba coraz bardziej ich spowalniały, pościg się zbliżał, na dodatek saur Kashima był ranny. Gdy wyjeżdżali spod bramy grodu, woje w strażnicy już słyszeli krzyki z ulic. Cisnęli włóczniami, a jedna wbiła się w ciało gada tuż nad prawą nogą. Rana nie była głęboka i Kashim łatwo wyciągnął ostrze, lecz po długim biegu saur zaczął posykiwać z bólu i wyraźnie kuleć. Nie wiadomo było, jak daleko ujdzie.

— Co robimy? — spytał Brenvan, gdy gad potknął się kolejny raz.

— Jak to co? Jedziemy, jak długo się da. Potem będziemy się bronić. Teraz w lewo — dodał, gdy z mgły wychynęła kolejna mętna tafla wody.

— Jesteś pewien?

— W lewo, na Jedynego.

Znów kilka chwil milczenia. Po lesie niosły się echem nawoływania pogoni.

— Może wypuścimy saury i ukryjemy się? No wiesz, w jakimś starym

konarze, czy coś takiego.

— Nagle zachciało ci się ukrywać? Cała pycha już z ciebie uleciała? — zakpił Kashim.

— Nie przesadzaj, barbarzyńco, bo... Będziemy musieli się rozstać. Teraz jest już stu na jednego, na dodatek nie mam żadnych nadziei na odsiecz. Ukryjmy się.

— Dopiero gdy padnie saur. Wcześniej niech nas zanosą tak daleko, jak tylko się da. Schronienie to ostateczność. W tym grzęzawisku nie zatrzesz śladów stóp.

— A... magia?

— Ha! Przecież sam mówiłeś, że nie wolno mi używać daru.

— Nikt nas nie zobaczy.

— Nie, białoskóry. Choć krew proroka, niech cieszy się wieczną chwałą, jest we mnie silna, mam ograniczone możliwości. Wciąż jeszcze czuję w kościach opór geniuszy ognia. Gdybym teraz próbował jeszcze z ziemią... Nie. Wystarczy mi sił najdalej na kilkanaście kroków.

Rycerz ponuro skinął głową. Nie zwalniając, sięgnął do sakwy i wyciągnął z niej swój hełm ze złotym jednorożcem. Otarł czoło z krwi, nałożył go na głowę i zapiął mocno sprzączki. Więc jednak walka. Tylko jaką mogli mieć nadzieję?

— Brenvan?

— Tak, Kirajczyku.

— Jest jeszcze jedna sprawa.

— Zamieniam się w słuch.

— W pobliżu jest osoba z silnym darem. Czuję coś, skupienie i uwagę wszystkich geniuszy, zupełnie jak w Tel'Halik. Jak w pałacach Świętego Miasta.

— Niemożliwe — prychnął rycerz. W hełmie jego głos był niższy i niewyraźny. — Mówiłem ci już, że nie ma u nas ludzi, którzy posiadają twój „dar”. Są wiedźmy i czarnoksiężnicy, ale bardzo nieliczni, na dodatek z tego, co wiem, wcześniej muszą czynić długie przygotowania, odprawiać rytuały. Nie, Kirajczyku. Na pewno się mylisz. Sam przecież wspominałeś, że jesteś bardzo zmęczony.

Kashim nie odpowiedział. Czuł jednak, jak narasta w nim niepokój.

Długo i żmudnie brnęli przez mokradła, a z każdym krokiem saur coraz bardziej zwalniał. Wreszcie Święty Jeździec zorientował się, że szybciej już będzie im pieszo. Zatrzymał gada i zeskoczył z siodła. Szybko przetrząsnął

sakwy, biorąc tylko to, co konieczne: kindżał, jeden z bukłaków, nieco jedzenia i egzemplarz Księgi. Gdy zobaczył, że Brenvan robi to samo, rzekł:

— Ty możesz jeszcze jechać. Idź, rozdzielimy się. Może to zwiększy nasze szanse.

— Nigdy w życiu. Rycerski honor mi nie pozwala.

— Oszaleć można z twoim „rycerskim honorem” — rzekł Kashim. — Niemniej dziękuję... Nawet wielu Świętych Jeźdźców pojechałoby dalej.

Ogniki były coraz bliżej. Gdy ścigani skończyli wybierać bagaż, Kashim przegonił saury, wymierzając im w zady kilka solidnych kuksańców. Stworzenia odbiegły, lecz po kilkunastu krokach zatrzymały się i odwróciły w ich stronę trójkątne łby, pokryte oliwkową łuską.

— No, dalej — powiedział Al’Shannagg. — Uciekajcie!

Potem rzekł do Brenvana:

— Idziemy najszybciej, jak się da, tuż przy brzegu tego rozlewiska.

— Oszalałeś? Może nas wciągnąć!

— Ale tylko tam woda jest wysoka po kostki. Zaleje ślady! Musimy zaryzykować.

Brenvan zgodził się, choć niechętnie. Nie uśmiechały mu się spacery po grząskim gruncie w pełnej gotrlandzkiej zbroi. Nie miał też zamiaru zostawiać pancerza. Gdy tylko poszedł gdzieś bez hełmu, dostał w łeb. To był znak.

*

Tego dnia koło w warsztacie Udaja stało nieruchomo. Na ulicy nie było słyhać jego cichych stuków, nie niósł się także spokojny głos ślepego garncarza czy śmiech jego wnuczka. Praca zamarła, Udaj bowiem umierał.

Wieczorem w małym pokoiku na tyłach warsztatu Ezih siadł przy łóżku dziadka i ścisnął go za pomarszczoną dłoń. Widać było na niej sploty wielkich sinych żył, które wyglądały jak tłuste robaki, co chcą uciec z umierającego ciała. Starzec miał wzrok wbity w sufit, jego pierś ledwo się poruszała. Obok na podłodze leżały tabliczki ze słowami Księgi. Ezih spisał je, bo nie mieli własnego egzemplarza, a chciał przeczytać dziadkowi choć kilka pocieszających fragmentów. Teraz jednak siedział bez słowa, z twarzą opuchniętą od płaczu.

Udaj gasł ze swoim warsztatem, zupełnie jakby stanowili jedno. Dawno temu, gdy pracownia dobrze prosperowała, ślepiec był radosny i pełen życia. Jednakże ostatnio pieniędzy ledwie wystarczało im na jedzenie. Pod ścianami leżały sterty gotowych naczyń, których nikt już nie chciał kupować. To

prawda, że ludzie zbiednieli, ale część z nich rozmyślnie omijała warsztat, wierząc plotkom, jakoby Udaj był płatnym informatorem. Teraz dwa koła na nic się już nie zdawały — przy jednym robił więcej naczyń, niż mógł sprzedać. Obrazu nędzy dopełniał gruby poborca o ospowatej twarzy, zagląający do nich co tydzień z nieubłaganą punktualnością. Zdierał ostatnie grosze, grożąc strażą.

Udaj coraz mniej pracował, a coraz więcej czasu spędzał przy oknie, zwrócony niewidzącymi oczyma gdzieś w stronę kopuły Pierwszej Świątyni. Z dnia na dzień robił się coraz chudszy i drobniejszy. Mniej mówił, mniej jadł. Wreszcie pewnego dnia po prostu spadł z krzesła i nie zdołał się już podnieść.

Pogrążony w półśnie garncarz ocknął się. W świetle malutkiego kaganka, który palił się na półce, na jego twarzy utworzyły się głębokie plamy cienia. Wyglądał teraz strasznie.

— Ezihu... — rzekł cicho.

— Tak, dziadku?

— Ezihu... muszę ci opowiedzieć historię.

— Nie, dziadku! Masz słabe serce, powinieneś odpoczywać! Spójrz, jestem już dorosły. Teraz to ja mogę czytać ci Księgę i opowiadać historie.

Blade wargi garncarza zadrżały.

— Proszę, Ezihu, wysłuchaj mnie. To bardzo ważna historia i chcę, byś dobrze ją zapamiętał. Jeśli umrę...

— Nie umrzesz, dziadku. Będziesz żył jeszcze wiele lat.

— Posłuchaj mnie, Ezihu. To długa opowieść, więc musisz skupić uwagę.

Chłopiec otarł łzy rąbką dzelaby i kiwnął głową.

— Dawno, dawno temu żyło sobie trzech braci — zaczął opowieść garncarz. Nagle jego głos stał się silniejszy i bardziej pewny, jakby choroba się cofnęła, a Udaj wciąż był tym samym żwawym staruszkiem, co jeszcze rok wcześniej. — Mieszkali w małej osadzie na skraju pustyni, a utrzymywali się z poletka, które w pocie czoła i dzień w dzień musieli nawadniać wodą czerpaną z głębokiej studni. Osada ta była niemal zapomniana przez ludzi. Nie miała własnej straży, a Święci Jeźdźcy nigdy do niej nie zagląдали. Mieszkańcy żyli w strachu przed bandą dzikich zbójów, co jakiś czas kradnących im zwierzęta lub napadających ludzi. Zbójce ci nosili futra i mieli długie, skołtunione włosy. Żyli w jaskiniach, niczym dzikie zwierzęta, a ich kryjówka leżała w wielkim, poplątany wąwozie.

Udaj zrobił przerwę i wziął kilka głębokich oddechów. Chwilę zbierał siły, by kontynuować opowieść:

— Pewnego razu ojciec wezwał trzech braci i rzekł: „Moi drodzy synowie! Zaginęło małe koźlę, a wiecie, jak cenne są dla nas zwierzęta. Koźlę pasło się u wejścia do wąwozu. Widocznie weszło tam i błąka się między skałami. Jesteście wszyscy odważni i silni, wierzę, że się nie lękacie. Niech zatem najstarszy pójdzie szukać koźlęcia. Wróć jednak, synu, przed zmierzchem i nie daj się złapać zbójom! ”. Syn zgodził się z wolą ojca. Zabrał kij, pół bochenka chleba i wszedł do mrocznego wąwozu. Długo krążył między skałami, słońce zaszło. Mimo że nie znalazł jeszcze koźlęcia, nie chciał wracać do domu z pustymi rękoma. W końcu zwierzęta były bardzo cenne!

W pewnym momencie, klucząc w ciemności, najstarszy z braci wpadł na dwunastu zbójów. Byli wielcy jak drzewa i silni jak bacharny. Wyrwali mu z rąk kij i poprowadzili go do przywódcy. Ów łypnął na chłopca okiem i rzekł: „Ha! Wpadłeś w nasze ręce, człowieku z wioski, i już z nich nie ujdiesz. Daję ci do wyboru dwie możliwości: albo włożysz skórę, zaczniesz jeść surowe mięso i przyłączysz się do watahy, albo zostaniesz strącony z najwyższej skały”. Chłopak zastanawiał się długo, wiedział bowiem, że ojciec będzie niezwykle smutny na wieść o jego zaginięciu. Uznał jednak, że lepiej zginąć niż umrzeć, więc przyjął ofertę. Od tej pory ubierał się i zachowywał jak zbój. Razem z kamratami chodził na zbójckie wyprawy, co wkrótce nawet polubił.

Minął rok. Dawno już się skończyła żałoba po utraconym młodzieńcu i oto zaginęło kolejne koźlę. Ojciec znów wezwał przed swoje oblicze synów i rzecze: „Jedyny mi świadkiem, że wolałbym tego nie mówić, ale zaginęło nam, synkowie, koźlę. Obawiam się, że weszło w wąwóz zbójów i teraz błąka się między skałami. Wiem, że wasz zmarły brat zginął tam marnie, dlatego pozostawiam wam decyzję, czy szukać koźlęcia, czy też nie”. Średni syn odparł wtedy: „Ojcze. Ja poszukam koźlęcia. Nie boję się zbójów”. I poszedł, biorąc tylko kij i pół bochenka chleba. Spędził w labiryncie cały dzień, jednak nie znalazł koźlęcia, a tuż po zachodzie słońca wpadł na zbójów. Nie poznał wśród nich rodzzonego brata, tak bardzo odmieniły go miesiące życia z watahą. Brat zaś nie chciał się do niego przyznawać, ponieważ czuł się już zbojmem. Młodzieńca zaciągnięto więc przed oblicze herszta, który powiedział: „No, człowieku z wioski. Niegdyś razem z innymi ścigałeś nas i przeklinałeś. Teraz jesteś w naszych rękach i masz dwie

możliwości: albo włożysz skórę, zaczniesz jeść surowe mięso i przyłączysz się do watahy, albo zostaniesz strącony z najwyższej skały”. Średni brat myślał długo, ale zbyt bał się śmierci, żeby odmówić. Przyłączył się więc do watahy.

Minął kolejny rok. Ojciec w tym czasie ciężko odbołał stratę dwóch synów. Pewnego razu jednak w wąwóz weszło kolejne koźle. Tym razem ojciec nie chciał narażać jedyne dziecko, toteż usiadł na kamieniu i zapłakał. Wkrótce zjawił się najmłodszy syn. „Czemu płaczesz, ojcze?” — spytał. „Płaczę, bo oto straciliśmy następne zwierzę”. Na to chłopiec odparł: „Nie jest jeszcze stracone, z twoim pozwoleniem, ojcze, pójdę go poszukać”. Mężczyzna długo nie chciał się zgodzić, lecz w końcu uległ, a najmłodszy z braci wszedł do wąwozu. Podobnie jak poprzedni, błądził w nim cały dzień, a pod wieczór wpadł na zbójów. Nie poznał swoich braci, a oni go zignorowali. Po tylu zbójceckich wyprawach byli członkami watahy, a nie mieszkańcami wioski. „Ha! — krzyknął herszt. — Oto kolejny człek wpada nam w ręce. Wybieraj: przyłączysz się do nas i włożysz skóry, zaczniesz jeść surowe mięso? Czy może wolisz zostać strącony z najwyższej skały?”. Najmłodszy brat zastanawiał się długo, ale w końcu musiał się zgodzić. Pomyślał, że zawsze lepiej żyć, bo wtedy ma szansę uciec kiedyś z powrotem do ojca.

Minął rok. W tym czasie zbóje grabili i napadali, nie bojąc się ani Jedyne, ani ludzkich praw. Wieści o ich bezceństwach dotarły do uszu samego proroka w Świętym Mieście. Ów przykazał zdolnemu komendantowi wybrać pół setki krzepkich żołnierzy, a potem urządzić obławę. Tak też się stało. Zbóje, choć znali wąwozy na wskroś, wkrótce zostali...

Udaj zakasłał, wziął kilka głębokich oddechów. Słysząc było, że powoli kończą mu się siły, głos znowu zaczął mu się załamywać i słabnąć.

— Zostali zapędzeni do głębokiej jaskini. Tam odpierali wszelkie ataki, a żołnierze tracili człowieka za człowiekiem. Wszystko skończyłoby się źle, gdyby nie to, że pod osłoną nocy z jaskini wymknął się jeden zbój. Przyszedł do obozu żołnierzy i powiedział komendantowi, że zna tylne wejście do kryjówki watahy. Zbójem tym był najmłodszy brat. On nie zapomniał, kim jest naprawdę, mimo wielu niecznych czynów, których dopuścił się z bandytami.

Następnego dnia żołnierze zaatakowali z obu stron, a dzicy zbóje, mimo całej siły i złości, nie potrafili ich odeprzeć. Przed zachodem słońca wszyscy zostali pojmani. Gdy zaprowadzono ich przed oblicze komendanta, zobaczyli po jego prawicy byłego kamrata... Zaraz zaczęli miotać w jego stronę

przekleństwa, tylko dwóch ukorzyło się, mówiąc: „Nie poznajesz nas, miły bracie? Wstaw się za naszym uwolnieniem, przecież jesteśmy członkami tego samego rodu. Ojciec tęskni za nami! ”. „Znasz tych ludzi? ” — spytał komendant najmłodszego z rodzeństwa. „Tak”. „Chcesz ich uwolnienia? Jedyny mi świadkiem, że zasłużyłeś na taką nagrodę! ”. Najmłodszy brat zastanawiał się krótką chwilę, a potem odmówił. I rzekł do swoich braci: „Nie jesteście już członkami rodu ni mieszkańcami osady... Jesteście zwykłymi zbrojnymi, jak cała reszta. Wyparliście się i mnie, i mojego ojca”.

Udaj robił coraz dłuższe przerwy, zupełnie jakby każde zdanie wymagało wysiłku.

— Następnego dnia na środku wioski powieszono wszystkich bandytów. Ojciec zaś cieszył się z odzyskania syna, podobnie jak syn cieszył się z powrotu w ramiona ojca... Do końca życia pracował ciężko, by zmyć hańbę zbrojstwa, aż wreszcie Jedyny pobłogosławił mu piękną żonę i gromadką dzieci.

Garncarz przerwał, jego głowa opadła na poduszkę. Ezih długo wpatrywał się w starca, rozmyślając nad opowieścią.

— Chyba rozumiem, dziadku.

— Cieszę się, Ezihu... Cieszę się, że jesteś dorosły. Zawsze...

Zakrztusił się i długą chwilę kaszlał.

— Zawsze pamiętaj, kim jesteś naprawdę — podjął wreszcie. — Najgłębsza noc kiedyś się skończy.

— Tak, dziadku.

Ezih pomyślał, że gdyby sami byli bohaterami przypowieści jakiegoś staruszka, dziadek pewnie umarłby właśnie teraz. Chłopiec jednak był na tyle dorosły, że znał różnicę między prawdziwym życiem a bajkami. Chrapliwy oddech Udaja niósł się po pomieszczeniu, jego wytrzeszczone, okryte bielmem oczy były wzniesione ku górze. Ezih siedział bez ruchu. Czas płynął.

*

Mało brakowało, a Kashim i Brenvan zginęliby wśród mgły i podmokłego lasu, zakłuci włóczniami jak odyńce. Pościg z każdą chwilą się zbliżał i choć Święty Jeździec parł dzielnie naprzód, rycerz coraz wyraźniej zwalniał. Z trudem wyciągał wysokie buty z błota, zupełnie jakby przy każdym kroku zapadał się w nie głębiej i głębiej. Doskonały pancerz, robiony na miarę przez zbrojmistrzów z Unborga, teraz był śmiertelnie groźnym balastem. Ogniki się zbliżały, a wraz z nimi śmierć.

Gdyby nie wprawne oczy Świętego Jeźdźca, szliby dalej wzdłuż zachodniego brzegu rzeki i wtedy prędzej czy później obława musiała ich dogonić. Jednakże Kashim wypatrzył miejsce, gdzie rozlewiska znikają, a rośliny sięgały aż do stromego brzegu. Po drugiej stronie, we mgle, majaczyły wysokie drzewa.

— Przez rzekę — rzucił do Brenvana, by nie tracić zbyt wiele tchu.

— Co? Oszalałeś. Nie mogę... pływać.

— Może będzie płytko. Jak nie, zrzucisz zbroję.

— Prędzej umrę... Warta trzy wioski. Zresztą... Czy jesteś pewny, co... Diabli, pękają mi płuca... Co jest na drugim brzegu?

— Widzisz wysokie drzewa? Nie wyrosłyby na bagnie. Musi być dość suchy.

I tak zmienili kierunek. Nurt okazał się szeroki i rwący. Woda miała mętnozielony kolor, a tuż nad nią unosiła się cienka warstwa oparów. Prawdziwą trudnością okazało się jednak zejście. Było niezwykle strome, więc Aam Caerleigh potknął się i stoczył do wody. Omal nie utonął, bo już przy brzegu sięgała mu po pierś. Na dodatek zrobił wiele hałasu i plusk musiał się nieść daleko w cichym, nocnym lesie.

Gdy po chwili byli w wodzie obaj, Kashim objął prowadzenie. Brodził ciężko, uważnie badając nogami grunt. Przed sobą widział drugi brzeg, który teraz, gdy miał twarz tuż nad lustrem wody, wydawał się bardzo odległy.

— Diabli... — rzekł Brenvan. — Będę potrzebował wora z wiórami, inaczej zbroja zardzewieje.

— Cicho.

Przeprawa zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Na środku nurtu prąd okazał się na tyle silny, że Kashim tylko dzięki najwyższemu wysiłkowi utrzymywał się na nogach. Spychany w bok, rył butami po śliskim i mulistym dnie. W lodowatej wodzie dopadły go dreszcze. Czuł się nieswojo. Otaczały go zewsząd geniusze, z którymi miał dotąd mały kontakt. Od ich pełnego napięcia milczenia aż dzwoniło mu w uszach. Czuł pokusę, by im rozkazywać, była to jednak ostateczność. Co prawda słyszał, że czwartokrwiści z Tel'Amman swobodnie chodzą po wodzie, wiedział jednak, że każdego rodzaju geniusze należy wpierw dobrze poznać — inaczej słuchają, inaczej trzeba do nich mówić, w tej chwili zaś nie było czasu na naukę ani miejsca na błędy.

Po bardzo długiej, pełnej napięcia chwili minęli środek nurtu, i drugi brzeg był już bliski. Gdzieś za sobą, ponad stokiem, widzieli światła

poходni.

— Myślisz, że nas widzą? — spytał Aam Caerleigh.

— Za ciemno, zresztą kryją nas opary. Minie jakiś czas, nim zrozumieją, że przeszliśmy rzekę.

Brzeg istotnie okazał się dość suchy. Kiedy przedarli się przez gęste krzaki, stanęli w wysokiej trawie, pod sklepieniem z liściastych koron. Las po tej stronie wyglądał całkiem inaczej, drzewa rosły tu większe i były rzadziej rozstawione, mniej było chaszczy, rozlewisk oraz jarów. Ruszyli dalej na północ, rozglądając się uważnie na boki. Brenvan kłął, bo napęczniała od wody przeszywanica bardzo krępowała mu ruchy.

— Na Gaavra, jeśli nie staniemy wkrótce i nie obsuszymy pancerzy piaskiem lub czymś innym, twoja przeprawa może nas drogo kosztować!

— Nie staniemy, póki nie będziemy wystarczająco daleko. Wierz mi, też bym się chciał osuszyć. Chlupie mi w butach i trzęsę się z zimna. Zresztą...

Kashim raptem przystanął. Jego nozdrza rozszerzyły się, chwilę obracał się we wszystkie strony.

— Słyszysz pościg?

— Nie, białoskóry. Nie słyszę, nie widać też pochodni. Czuję jednak, że coś się zbliża.

— A ty znowu swoje.

— Dar nieraz uratował mi życie. Wolę go nie lekceważyć.

— Jeno kiep, nie rycerz, którego wszystkiego się stracha. Zali nie lepiej polec w chwale, niżli żyć w ciągłej obawie? — odparł po learfeldzku Brenvan.

Al'Shannagg tylko wzruszył ramionami. Wkroczyli w długą przesiekę, gdzie szło się nieco wygodniej, ponieważ trawa była tu niższa, a grunt twardy. Pomyśleli z ulgą, że uda im się uciec przed pościgiem; że wkrótce będą mogli rozbić obóz. Krok za krokiem oddalali się od grodu na jeziorze.

Nagle zza pni po obu stronach przesieki wyszła garstka wojów. Nie mieli pochodni, poruszali się lekko przygarbieni, zwinnie jak żbiki. Ruszyli na nich bez słowa, ściskając w dłoniach broń. Kashim cofnął się i wyszarpnął szablę. Skąd tamci wiedzieli, którzydy uciekli zbiegowie? Jak zdołali ich wyprzedzić?

Kiedy od napastników dzieliło go już tylko kilkanaście stóp, mógł dostrzec więcej szczegółów ich wyglądu: nie przypominali wojów z grodu, choć mieli takie same tatuaże. Jednak prócz znaków na czołach dostrzegł sine wzory na przedramionach oraz szyjach. Nosili się lżej, część była tylko w koszulach, część w kaftanach z czarnego futra, dwóch wdziało płaszcze z

wilczych skór. Wszyscy bez wyjątku trzymali miecze o masywnej głowni, co było, jak na Marovian, niezwykle. Wzrok Kashima przykuł szczególnie jeden z nich, wysoki i chudy jak sęp mężczyzna o długich czarnych włosach. W jego ruchach dało się zauważyć oszczędność i precyzję charakteryzującą najlepszych szermierzy.

— *Vlqvaj* — rzekł cicho Brenvan. — Maroviańscy wilczarze. Uważaj, Kashimie, oni...

Nie zdążył skończyć. Niespodziewanie napastnicy wydali z piersi przerażające wycie. Już mieli rzucić się na popdróżnych, gdy chudy sęp krzyknął:

— *Ny zhad, dedi! Ny zhad. Czterog dag stinda evo krov.*

Potem stanął przed Al'Shannagiem i rzekł do niego:

— Poznaję ten zapach. Tyś czarownicyą, choć daleka krew, cherlawy pomiot. Jam jest po mieczu synem lepszego, synem Czteroga. W dawnych czasach zabiłbym cię, zjadł tve *srđce*, a razem z nim siłę. Ale dziś zbyt mało nas zostało.

Al'Shannagg oniemiał. Wojownicy cofnęli się, a jeden przyniósł z krzaków ukryte wcześniej sakwy. Na Brenvana patrzyli z ledwie skrywaną nienawiścią, jednak wzroku Kashima woleli unikać.

— Co z nami zrobicie? — spytał Al'Shannagg.

— Odprowadzimy najpierw do obozu, a potem na *hostyniec* — odparł długowłosa. — Krew Czteroga nie podniesie ręki na krew Mędrca i Śmiertnicy.

Rozdział 10. Syn śmierci

— Uważajcie! — Nauczyciel w szarej chli pogroził dziewczętom palcem. Przeszedł za plecami uczennic, zaglądając każdej przez ramię, aż wreszcie stanął u szczytu stołu i rzekł:

— Widzę, że wiele z was nie przykłada należytej uwagi do pracy. Popatrz, Ihilo, rozlałaś dwie krople na blat. Czy wiesz, że te dwie krople mogą cię zabić, jeśli przypadkiem położysz na nich dłoń?

— Przepraszam, o mądry.

— Nie przepraszaj, tylko zetrzyj to czym prędzej. Do reszty zaś mówię: pamiętajcie! Ten jad warzyłę... warzyli niezwykle zdolni alchemicy, noszący w żyłach krew Jedynego, którzy długą pracą i medytacjami rozbudzali w truciznie geniusze śmierci. Teraz przenika przez skórę i natychmiast przesiąka do krwi, limfy oraz żółci. Niczym jad wlany do studni obraca wodę w truciznę, tak ów wywar zmienia w nią wszystkie płyny waszych ciał. W ciągu jednego czytania zmienia człowieka w poskręcany z bólu łachman, z którego życie wycieka jak wino z dziurawej amfory.

Kilka dziewcząt wzdrygnęło się, a jedna spytała cicho:

— O mądry, czy Jedyny nie będzie miał nam za złe, że korzystamy z alchemii? W końcu Duzzahowie mówią, że to grzech! Czy nie spotka nas boska kara?

— Skądże! Co za bzdury! — prychnął alchemik, lecz zmitygował się, gdy spostrzegł, jak groźnie patrzy na niego Duzzah siedzący w rogu pomieszczenia, przyczajony niczym grzechotnik w trawie.

— Jedyny wręcz wam pobłogosławi — dodał zaraz — bowiem czynicie to w zbożnym celu. Pamiętajcie, Jego światło zdoła uświęcić nawet najbardziej plugawe rzeczy, jak w opowieści o Bramie Niebios. Możecie być przekonane, że dopóki działacie wedle planu Najwyższego, nic wam nie grozi.

Młode uczennice odetchnęły z ulgą, a alchemik spostrzegł, że ich ruchy, dotychczas spięte i pełne niepewności, natychmiast się rozluźniły.

— Kontynuujcie pracę — powiedział, po czym ruszył z powrotem w dół stołu, patrząc na zgrabne dłonie uczennic, jedyny fragment ich ciał, jaki dane mu było podziwiać.

Obserwował łapczywie, jak owe śliczne młode rączki odlewają do

kielichów idealnie wymierzone porcje jadu; jak mieszają wino i przyprawiają je tak, by nikt nie poczuł w nim obcego posmaku; jak szczupłe paluszki ostrożnie, niemal z czułością, wcierają zabójczą maść w szpilki do włosów i w malutkie ostrza, które można ukryć w dłoni.

Tylko Jelaya mało przykładała się do pracy. Po tym, jak alchemik ją skarcił, starła uważnie dwie krople jadu, ale potem wiodła wzrokiem za nauczycielem, przekładając z ręki do ręki pusty kielich. Ihila. Nowe imię bardzo przypadło jej do gustu, bo w dawnym narzeczu Tel’Halik zwano tak piękny kwiat lotosu. Te dziewczęta, które dostały gorsze imiona, żałowały, że nie mogą używać własnego, ale takie były surowe prawa szkoły. Większość jednak była zadowolona. Nowe imiona przydawały bowiem spotkaniom smakowitej tajemniczości, dawały poczucie, że jest się kimś niezwykłym, że naprawdę, mimo płci, dziewczęta są kimś pokroju Jastrzębi Najwyższego, wierną gwardią proroka.

Nauczyciele także mieli wymyślne imiona, wzięte z dawnej mowy. Ten siedzący w rogu sali zwał się Mihab, czyli Słoneczny. Jelaya wiedziała to, bo uczyła się kiedyś starego narzecza; języka uczonych oraz poetów. Jednak cóż znaczyło Hittib, imię alchemika? Tego słowa nie знаła, choć po długim namyśle przypomniała sobie starą przypowieść o Hittibie grzeszniku, któremu Jedyny dał szansę odkupienia win.

Czy stąd wzięto się imię nauczyciela? Trudno było powiedzieć, lecz sama jego postać była równie tajemnicza, jak miano. Miał wychudzoną twarz, dużo blizn na rękach oraz pożółkłe ślady po siniakach. Wyglądał, jakby niedawno opuścił głęboki loch i patrzył na kobiety, jakby nie widział ich od...

— Ihilo! Znów nie uważasz! Wracaj do pracy.

— Tak, o najmądrzejszy.

*

Odpoczęli dopiero następnego dnia, na rozległej i pełnej skałek polanie, z której roztaczał się piękny widok na położone niżej lasy oraz drogę. Kashim i Brenvan zsunęli się ciężko z siodła swoich nowych, maroviańskich koni, kupionych za resztę złota od wilczarzy. Wyciągnąwszy z sakw jedzenie, mogli wreszcie nasycić głód.

Po posiłku Kashim obtarł usta wierzchem dłoni i spytał:

— Znasz ich? Mówiłeś na nich wilczarze. Czy...

— Tak, znam. Ale do dziś myślałem, że są bujną strachliwych kupców. Widzę jednak, że bardzo się myliłem. Wiesz, pośród ludzi, którzy zjeździli Marovię wzdłuż i wszerz, krążą historie o szalonych wojach,

przywdziewających do walki tylko skóry i tatuujących sobie całe ciała. Ponoć myśla, że są wilkami, a po tym, co wczoraj widziałem, trudno mi w to wątpić. Mówi się też, że są piekielnie krzepcy i wytrzymali. No i że używają czarnej magii. Zresztą sam wspomniałeś, że ten wysoki chudzielec był czarownikiem.

— Nie czarownikiem. Potomkiem Jedynego! Czułem, jak geniusze ziemi i powietrza zamarły w oczekiwaniu na jego rozkaz. Jego! Nie mój!

— Ale przecież on nie jest z twojego ludu. Jak więc może posiadać krew, którą zwiesz darem?

Al'Shannagg westchnął. Czuł się oszołomiony i przytłoczony. Po raz kolejny jego wiara, opierającą się przecież na fundamencie dowodów widzianych własnymi oczyma, chwiała się. Kim byli wilczarze? Potomkami demonów? Prowadziło to do bluźnierczego stwierdzenia, że Sammar posługiwał się tą samą mocą, co istoty z Marrenvan. A może Sammar był tylko jednym z proroków? Może każda kraina miała swojego, a pożoga i wszystko, co po niej, dotyczyła tylko pustynnych ziem Ocalonej Krainy?

To znaczyło to, że albo Pierwszy Prorok kłamał, albo też Irda, czyli objawiona część Księgi, nie była prawdziwa. Nasuwały się wnioski, napawające strachem nawet tak odważnego człowieka, jak Święty Jeździec. Lud Tel'Halik został wprowadzony w błąd. Ale czy przez siły wyższe, czy też przez ludzi?

I czym potomkiem nazwał go wilczarz?

Mędrzec. Śmiertnica. Pierwszym mógł być Sammar, ale kim była ta druga? Czyżby kobietą z jego snów?

Na myśl, że może być z nią spokrewniony, Kashim poczuł niemiły dreszcz. Nic dziwnego, że śmierć kroczyła za nim, skoro był jej dalekim potomkiem.

*

Drobinki kurzu wirowały w powietrzu, dobrze widoczne w jasnym świetle pochodni. Sala, choć opuszczona ledwie od kilku tygodni, wyglądała jak komnata pradawnego grobowca, do której pierwszy raz od niezliczonych stuleci wdarły się odgłosy ludzkich kroków i szmer oddechu. Wszystkie kotary były pozaciągane, a nieliczne meble, jakie jeszcze zostały, zepchnięto pod ścianę i przykryto kilkoma płachtami. Każdy ruch intruza śledziły chłodne i nieruchome oczy posągów z czerwonego marmuru. Statuy przedstawiały groźnych mężczyzn w przepysznych szatach, pancerzach i turbanach, w które misternie wpięto liczne klejnoty.

Były to posągi najszlachetniejszych paszów w historii Tel’Halik: pogromców buntowników i demonów, wodzów armii, którzy dawali prorokowi siłę niezbędną do obrony jedynej wiary. Za to właśnie spotkał ich zaszczyt, o jakim mogli tylko marzyć zwykli ludzie, zaszczyt, na który ortodoksyjni duchowni patrzeli niechętnie — nieśmiertelność pod postacią kamiennej statuy.

W Tel’Halik nie pozwalano wznosić ludziom pomników i teoretycznie tylko prorocy stanowili wyjątek. Mimo to przez dziesięciolecia żaden z duchownych nie kwapił się, by wejść do Sali Bohaterów, leżącej w sercu Orlego Fortu, i strącić z cokołów kamienne postacie paszów.

Teraz figury stały zapomniane, w ciemności. Oprócz Hanhakha, który oglądał pomieszczenie i przyświecał sobie żagwią, była tu tylko jedna osoba. Siedziała na małym cokółku znajdującym się na końcu szeregu dawno umarłych wojowników. Podwyższenie, na którym nie spoczął jeszcze żaden posąg, było dość świeże i odcinało się od posadzki jaśniejszym odcieniem. Tutaj miał kiedyś stanąć pasza Asimar Amra Al’Dibin — Lew Pustyni, Pogromca Siedmiu Plemion.

Pułkownik Hanhakh westchnął cicho na myśl, że podest zostanie pusty na wieki. I że prawdopodobnie żaden srogooki wojownik z kamienia nie stanie już pod wysokim sklepieniem sali, bo urząd paszy odejdzie w przeszłość. Przecież pod murami Tel’Halik zbierała się jedna z największych armii w historii Ocalonej Krainy, i to nie pasza nią dowodził. Prorocy, dotychczas dzierżący Księgę, pozostawiając paszom szablę, wyrwali im broń z dłoni.

Osoba siedząca na podeście także wydawała się zamyślona. Była zgarbiona, a gruby ciemny płaszcz nie pozwalał ocenić jej sylwetki. Gdy Hanhakh podszedł bliżej, postać uniosła głowę, błyskając ciężką maską, którą nosiła pod kapturem. Hanhakh poczuł lekkie mrowienie na plecach, jak zawsze przy spotkaniu z tą osobą.

— Nie wiem czy pieczołowitość, z jaką wyprzątnięto komnaty, nie była zbyt wielka — rozległ się głos spod maski. — Teraz całe skrzydło wygląda jak pałac umarłych. Ciężko mi krążyć po tych korytarzach.

— Tak, o najpotężniejszy — rzekł Hanhakh, zginając się wpół. — To jednak było konieczne, bo...

— Doskonale wiem. Przejdźmy do rzeczy, gdyż nie mam wiele czasu ni ochoty, by siedzieć za długo w tej sali.

— Dobrze. Dlaczego mnie wezwałeś, panie?

— Abyś zdał raport z prac, które ci ostatnio zlecono.

— Ale...

— Wiem, czyniłeś to ledwie trzy dni temu, lecz czas płynie teraz bardzo prędko. W jeden dzień dzieje się tyle, co w miesiąc za czasów Zerakhima. Mów więc.

— Pojmaliśmy wreszcie jeńca. Nocnego Jastrzębia. Teraz nasi ludzie próbują wydusić wszystko, co się da, o szkole i jej przywódcy oraz o przygotowaniach, które zaczęli jeszcze przed Wstąpieniem. To twardy mężczyzna i ma dar. To, co przeżył, wielu by zabiło, ale jestem dobrej myśli. Mamy prawdziwego mistrza. Poza tym przyleciał gołąb z samego serca Ul'Thandzar. Chyba dowiemy się wreszcie, skąd ta piekielna wytrzymałość oraz ostrość ich għanków. Wieść jest krótka, mówi tylko: „Znaleźliśmy obóz przy ruinach. Są ogromne, w okolicy jest ponoć więcej. Ludzie z obozu cały dzień kopią. Jutro o świcie atakują, by wziąć jeńców i znaleziska”.

— Doskonale, żołnierzu. A więc ten kupczyna przyciśnięty przez Jeźdźców mówił prawdę. Rzeczywiście dowozili Jastrzębiom metal z ruin Ul'Thandzar.

— To nie koniec, o potężny. Mam też coraz więcej informacji o pewnej tajemniczej postaci, z którą Vezamar zdaje się konsultować każdy krok. O tym, którego starzy Duzzahowie zwą Wysłannikiem Niebios. Wkrótce może dowiem się, jak wygląda.

— Doprawdy? — spytała postać przeciągle.

W jej głosie dało się wyczuć napięcie.

— Tak, o najpotężniejszy. Rozpracowuję informatora z samego pałacu.

— Kogo?

— Wybacz, o najpotężniejszy, ale jego imię nic ci nie powie. To jeden z członków przybocznej gwardii Vezamara.

— Ciekawe, ciekawe. Powiadom mnie, gdy tylko będziesz znał szczegóły. Są jakieś wieści z Tel'Amman?

— Nic konkretnego, panie. Patrole Świętych Jeźdźców z Um'Magar oraz Jastrzębi Najwyższego rygorystycznie egzekwują zakaz podróży na południe. Nie nadchodzą stamtąd żadne wieści, jedynie plotki, przynoszone przez nomadów i pojedynczych kupców. Wiadomo, że był bunt. Wiadomo, że nie żyje nowo mianowany komendant Tel'Amman. Ponoć to nie jest zwykła rebelia prostaczków, których dotknęły przymusowe dostawy ziarna. Mają sprawnych dowódców, w tym jakiegoś czwartokrwistego.

— Czwartokrwisty w Tel'Amman? Proszę, proszę. Będę musiał spytać genealogów, może zdołają dojść, któż to może być. To już wszystko?

— Tak.

— W porządku, żołnierzu. Dobrze się spisaliście... A, jeszcze jedno! Rozumiem, że śledzicie Jeźdźca Nahara Al'Iarnaka?

— Tak jest, o potężny.

— Doskonale. Odmaszerować.

Hanhakh odwrócił się na pięcie i ruszył w mrok pod wysokimi arkadami. Odgłosy jego podkutych butów niosły się daleko po pustych salach fortu.

*

W tym samym czasie, gdy zamaskowana postać wypowiedziała jego imię, Nahar Al'Iarnak wszedł do pachnącej papirusem sali, gdzie pod sufit piętrzyły się stojaki na zwoje oraz półki z oprawionymi w bacharnią skórę kodeksami. Wciąż uśmiechał się na wspomnienie miny skryby, gdy ów usłyszał, że Święty Jeździec pyta o to miejsce. Wiele komnat w Pałacu Ksiąg było całkiem zapomnianych. Za panowania każdego proroka przybywało ponad tysiąc woluminów, a badaczy wciąż było tylu, co przed laty. W efekcie pałac miał zakątki, do których nawet uczeni rzadko zaglądali, a co dopiero Święci Jeźdźcy.

Aby nie wzbudzać zbyt wielu podejrzeń, Nahar powiedział skrybie, że jego dowódcy zażądali dokumentów z wypraw przeciw musalitom, gdyż spisane doświadczenia wojenne sprzed wieków miały się przydać w nadchodzącej wojnie. Skryba wskazał mu drogę z wielką ochotą.

— To wspaniale, że ktoś jeszcze interesuje się archiwami, o szlachetny — powiedział z zachwytem, gnąc się w ukłonach. — Na Jedynego! Zgromadzono tu mądrość wielu pokoleń i uwierz mi, panie, ludziom żyłoby się znacznie łatwiej, gdyby znali te historie. Dziś popełniamy te same grzechy i błędy, co dwa wieki wcześniej. Wszystko, co dzieje się dziś, zdarzyło się już w przeszłości. Wystarczy znać historię, a staniemy się mądrzejsi od...

Nahar przerwał grzecznie wywód i podziękował skrybie. Potem ruszył korytarzami, aż dotarł do komnaty, gdzie gromadzono pisma z czasów jedenastego proroka. Jakiś czas krążył między regałami, patrząc na nieprzebrane mnóstwo zwojów. Dopiero po dłuższej chwili dostrzegł małe biurczko za rogiem regału, gdzie przy wąskim oknie siedział siwobrody Duzzah w granatowej chili. Ogromny turban sięgał mu prawie oczu, a wysuszone drobniutkie dłonie wystawały z bufiastych rękawów. Nahar zastanawiał się, czy ten drobny staruszek potrafi w ogóle wstać o własnych siłach.

— Witaj, mędrco. — Ukłonił się dwornie, z jedną dłonią zatknietą za szarfę.

Starzec uniósł wzrok znad zwojów. Chwilę mrużył oczy i było widać, że bardzo słabo widzi.

— Utzdah? — rzekł wreszcie.

— Nie, o mądry. Jestem Nahar Al'Iarnak, porucznik Świętych Jeźdźców. Mniemam, że tyś jest szlachetny Ziran Makhar'Bakhr, znany badacz historii?

— Owszem. A teraz powiedz, młody człowieku, czegoś to pasza może ode mnie chcieć?

— Pasza prawdopodobnie już nie żyje, Ziranie. A w każdym razie nie wydaje rozkazów. Przychodzę w prywatnej sprawie.

— Doprawdy? — zdziwił się Duzzah. — No cóż, rzadko stąd wychodzę. Nie znam najnowszych plotek. Cóż więc się stało? Pasza zachorował?

— Padł ofiarą zamachu. Sprawcy zostali ujęci, lecz nie zdradzili mocodawców.

— Bardzo niefortunne. Mam nadzieję, że ktoś szybko zastąpi miejsce szlachetnego Amry. Khe, khe. Brak paszy to niebezpieczna rzecz dla Świętego Miasta. Dla przykładu, w roku sto dwunastym, gdy... Ale, ale, widzę, że cię to nie interesuje młodzieńcze! Khe. Trudno. Przyzwyczailem się już, że dziś wszyscy się śpieszą i nie mają czasu, by wysłuchać kilku opowieści starego człowieka. Mów zatem, z czym przychodzisz.

— Mam wiadomość. Brzmi: „Światło mądrości przenika najgęstszą ciemność”.

— Khe. Doprawdy? Nie rozumiem za bardzo, o co chodzi, ale widać to jakaś zagadka. — stropił się starzec. — A kto słał tę dziwną wieść?

— Szlachetny Kazar Al'Dabri.

Mężczyzna przełknął ślinę i zmrużył oczy.

— Doprawdy? A kiedy ci ją przekazał, jeśli można wiedzieć?

— Przeszło miesiąc temu, gdy siedzieliśmy razem w lochu.

— Khe, khem... Widzisz, młody człowieku, mam prawo żywić podejrzenia wobec twoich intencji. Niedawno dotarła do mnie wieść, że Kazar został stracony. Co prawda już po tym, jak miałeś z nim rozmawiać, lecz mimo to...

Starzec zamilkł, uważnie lustrując oblicze Nahara. Młody Al'Iarnak czekał, ale wyglądało na to, że Ziran już się nie odezwie. Święty Jeździec szukał więc rozpaczliwie sposobu, by wybrnąć z sytuacji.

— Wiem, że jesteś musalitą, o mądry. I że Kazar też nim był.

— Khem. No to dużo wiesz, młody człowieku. Chyba mogą zaryzykować. W razie czego pamiętaj, że nieroztropnie byłoby składać przeciw mnie donosy. Mamy, to znaczy ja mam, kilku ukrytych sprzymierzeńców w Pałacu Proroka, rozumiesz?

— Rozumiem, o mądry. Lecz uwierz, nie jestem szpiegiem.

— Po cóż więc przyszedłeś?

— Chcę przystać do waszej grupy.

— Ha! Dobrze sobie. Powiedz, młodzieńcze: czytałeś księgi Musy? Podważasz dogmat zamkniętych drzwi? Wierzysz, że treść objawienia jest w istocie mistyczną zagadką? A może pociąga cię iscycka filozofia? Wolałbyś Boga nieskończenie miłosiernego?

— Nie, o mądry. Ja po prostu szukam zemsty. Pragnę jej bardziej niż czegokolwiek w świecie.

— Na kim? Za co?

— Na proroku. Za śmierć przyjaciół i zło, które widzę wokół. Za to, że wszelkie dobre rzeczy odeszły wraz z Zerakhimem.

Starzec znów umilkł na dłuższy czas. Jego palce o pergaminowej żółtej skórze bębniły o blat.

— Dobrze — odezwał się wreszcie. — Jeśli Kazar ci ufał, zaufam i ja. Wiedz jednak, że nie ma żadnej organizacji. Jest tylko sieć małych grup, z których każda zajmuje się czym innym. Nie istnieje nawet wspólny cel, a łączy nas jedynie to, że wedle praw Świętego Miasta wszyscy powinniśmy dawno nie żyć.

Nahar skinął głową.

— Sądzę — powiedział Ziran — że najlepiej będziesz pasował do rozkosznej gromadki Irhima Ostrorękiego. Spodoba mu się twój temperament. Pójdź więc do tawerny Siedem Słowików w dzielnicy Krwawy Sztylet i pytaj o niejakiego Didźbę. On poinstruuje cię, jak porozumiewać się z grupą, ale już teraz ci powiem, że nie będzie to łatwe. Przez lata życia w ukryciu wypracowaliśmy wiele systemów i praw. Sporo wysiłku będzie cię kosztowało poznanie ich wszystkich.

— Mimo to dziękuję, Ziranie. Nie zawiedziesz się na mnie.

— Mam nadzieję. Możesz już odejść, wojowniku. Albo nie, poczekaj jeszcze.

To mówiąc, starzec zaczął pośpiesznie przekopywać zwoje leżące na skraju biurka. Wreszcie odnalazł ten, którego szukał, rozwinął i przeczytał fragment:

Prorok, niech łaska Najwyższego zawsze będzie przy nim, rzekł wtedy: „Smucisz mnie, przyjacielu. Mógłbyś żyć spokojnie, wykonując przypisane prawem i Księgą obowiązki. Mógłbyś cieszyć się rodziną, majątkiem i dobrym zdrowiem. Jednak jakiś zły duch, jakieś szaleństwo i niebezpieczny żar w sercu nie dają ci spocząć. Zaprawdę, powiedz, czego tak usilnie szukasz?”. Wtedy ów mąż odparł bez chwili namysłu: „Ja po prostu szukam zemsty. Pragnę jej bardziej niż czegokolwiek w świecie”.

— Poznajesz te słowa? — spytał Ziran. — Przed chwilą wypowiedziałeś takie same. Wiesz, kim był mężczyzna z fragmentu?

— Nie, o mądry.

— To Umgar Al’Bari, jeden z ulubieńców proroka Ismaila. Bogaty kupiec, patriarcha wielkiego rodu. A wiesz, co z nim się stało?

Nahar pokręcił głową.

— Doprowadził siebie i cały ród do zguby w imię zemsty. Poczytaj, Święty Jeźdźcze. Dawne dzieje kryją w sobie wiele odpowiedzi.

Al’Iarnak zręcznie chwycił zwój, który rzucił mu Ziran. Chwilę ważył go w dłoni, lecz w końcu odłożył na półkę. Skłonił się z uśmiechem Duzzahowi, po czym wymaszerował z komnaty.

Rozdział 11. W krainie martwych bogów

Gdy w południe wrócili wszyscy zwiadowcy, stało się jasne, że pustynne miasto porzuciło zemstę. Obława dobiegła końca. W promieniu kilkunastu farsangów nomadzi nie odnaleźli nawet śladu ludzkiej bytności. I nic w tym dziwnego, plemię oddaliło się wszak od Tel'Halik o niemal miesiąc drogi. Teraz lud Manar jechał przez całkiem martwe ziemie, na południowo-wschodnich rubieżach Ocalonej Krainy. Daleko na północy zostawili Ostatnią Oazę i teraz szli w głąb pasa, który dzielił krainy ludzi od Marrenvan. Nie bali się jednak. Mieli królową, która potrafiła leczyć, przywracać siłę dotykiem, znajdować wodę pod grubą warstwą piasków.

W ciągu tygodni pościgu życie plemienia zupełnie się odmieniło. Stare zwyczaje, kultywowane od pokoleń, nagle zarzucono. Zastąpiły je zupełnie nowe. I tak o świcie starsi osady, zamiast zbierać się na wspólnej modlitwie, klękali przed namiotem królowej, czekając, aż się przebudzi, na wypadek gdyby miała im do przekazania treść kolejnego snu. Zmienił się układ obozu — teraz w jego środku zawsze zostawiano duże, puste miejsce, aby namiot królowej stał w odosobnieniu, z dala od zwykłych hałasów. Inny obyczaj dotyczył świty Miidży. Ponieważ dziewczyna całymi dniami siedziała zamyślona lub wpadała w długie transy, potrzebowała opieki. Lud Manar nie znał niewolnictwa ni urzędów, toteż każdego dnia dwie dorosłe kobiety plemienia służyły Miidży pomocą. Myły ją, ubierały, gotowały dla niej posiłki. Szybko okazało się, że chętnych jest znacznie więcej niż potrzeba, dlatego kolejność służby wyznaczała kobietom Kama, która teraz cieszyła się posłuchem w pleminiu.

Sama Miidża patrzyła na to wszystko z zażenowaniem, lecz zbytnio nie protestowała, bo pochłaniały ją zupełnie inne sprawy. Co prawda sny o zagrożeniach ustały, ale zaczął ją dręczyć nowy rodzaj wizji. Niosły niezrozumiałe obrazy i uczucia. Widziała w nich miasto wśród piasków ogarnięte przez płomienie; fale wielkich słonych wód, na których kołysały się łodzie długie jak stajnia karawanseraju. Wreszcie coraz częściej przed jej oczyma pojawiał się dziwny mężczyzna o krótkiej brodzie, orlim nosie i przeszywającym spojrzeniu niebieskich oczu. W głowie słyszała strzępki rozmów, jakieś wyrwane z kontekstu słowa. Próbowwała złożyć to wszystko w logiczną całość, a jednak mimo upływu wielu dni wciąż rozumiała tyle, co na

początku.

Tego dnia, gdy okazało się, że oblawa dobiegła końca, Miidza, odprowadzając sprzed namiotu starszyznę oraz zwiadowców, poszła w głąb obozu. Jej pięknie haftowana dzelaba, nad którą kobiety plemienia pracowały bez wytchnienia pięć dni, wydymała się lekko na wietrze, nad piaskami pędził bowiem lodowaty wichur, który zwiastował nadejście zimy.

Zaraz za Miidzą ruszyło dwóch postawnych młodzieńców. Nie opuszczali jej na krok, gdy wychodziła z namiotu. Byli gotowi poświęcić życie za bezpieczeństwo królowej — największego skarbu, jaki kiedykolwiek miało plemię.

Miidza popatrywała czasem kątem oka na ich młode twarze i muskularne ramiona i ogarniał ją wtedy jeszcze głębszy smutek. Niedawno, gdy była jeszcze zwykłą dziewczyną, ci przystojni młodzieńcy traktowali ją jak powietrze, mogła jednak mieć nadzieję, że któryś kiedyś przełamie się i przyśle do Kamy swatkę; że się nią zainteresuje. Teraz jednak czuła, że jako królowa, obiekt kultu plemienia, na zawsze pozostanie samotna, bowiem żaden mężczyzna nie odważy się prosić o jej rękę. Miidza, przeprowadzając się z małego, wypełnionego po brzegi namiotu do swego pałacu z jedwabiu i haftowanego płótna, czuła się bardzo osamotniona. Jak wiele dałaby za jedną pokrewną duszę, za mocne ramię, które mogłoby ją objąć, gdy drżała ze strachu, sama w ogromnym i ciemnym namiocie.

Miedzianowłosa minęła kolejne namioty, a ludzie kłaniali się jej w pas. Kiedy doszła do stóp wzniesienia, które osłaniało obóz od wichru, zaczęła wspinać się, a piasek wsypywał się do jej trzewików. Strażnicy szli za nią bez słowa.

Gdy stanęła na szczycie, zadrżała z zimna. Wiatr przenikał jej ubranie. Niebo nad pustynią było ciemne i ciężkie, o stalowej barwie.

— Pani! Wracajmy, bo się przeziębisz — rzekł jeden ze strażników.

— Daj mi zebrać myśli, Niho. Potrzebuję kilku łyków świeżego powietrza.

Nomad skinął głową i odstąpił. Miidza stała na szczycie długą chwilę. Wtem usłyszała, że ktoś jeszcze pnie się pod górę. Odwróciła głowę i zobaczyła Gundzara, szczelnie zakutanego w płaszcz z wełny. Przybrany ojciec skłonił się jej na przywitanie, a pokonawszy ostatni kawałek stoku, stanął obok.

— Miidzo, wybac, że ci przeszkadzam, drogie dziecko...

Strażnicy spojrzeli na niego niechętnie. Gundzar i Kama jako jedyni w

plemieniu mogli tak do niej mówić, lecz wcale nie było to mile widziane przez starszyznę.

— Tak, ojcze?

— Wielu ludzi się zastanawia... Wiesz, nie powiedziałaś starszyźnie nic konkretnego... Idź i Zibar chcą ocieplić namioty. Zwierzęta z dnia na dzień coraz bardziej marzną, trzeba je spędzić, postawić zagrody. Powiedz, czy będziemy się przenosić gdzieś dalej?

Miidza westchnęła. Na Jedynego! Tak pochłoneły ją własne sprawy, że zapomniała, iż plemię musi gdzieś przezimować. Dni stawały się krótsze i chłodniejsze. Odparła więc ojcu:

— Gdy tylko znajdziemy wodę, rozbijemy zimowe obozowisko.

— A potem? Na wiosnę? Powrócimy jeszcze kiedyś do Ocalonej Krainy?

— spytał z troską Gundzar. — Na ziemię ojców za Słonymi Oazami?

Miidza długo milczała. Wiatr rozwiewał jej rude włosy, drobinki piasku smagały policzki. W myślach powracała do wizji ze snów.

— Tak — rzekła wreszcie. — Wrócimy. Czeka nas tam ważne zadanie.

*

Po dwóch dniach samotnej jazdy gościńcem, Kashim z Brenvanem trafili wreszcie na jakiegoś podróżnego, na dodatek zdążającego w tym samym kierunku co oni. Był to rycerz Erwald Aam Nesse z giermkim i paroma zbrojnymi. Twierdził, że wracał z dworu Sverka Krzepkiego, gdzie bawił z rozkazu swego suwerena.

Władcy z Learfeld interesowali się osobą księcia, bo ów, mając w młodym wieku znaczne osiągnięcia, mógł wreszcie stworzyć w Marovii jakąś większą polityczną siłę. Wyglądało na to, że Aam Nesse miał za zadanie przyjrzeć się uważnie młodemu władcy. Teraz zaś jego misja dobiegła końca i planował powrót na rodzinne ziemie.

Zaproponował obu podróżnikom towarzystwo i zgodzili się, choć na Kashimie ów rycerz nie zrobił najlepszego wrażenia. Zdawało się, że patrzy na nich z pełną rozbawienia wyższością. Świętego Jeźdźca traktował jak egzotyczne zwierzę, zadając mu ciągle głupie pytania o rodzinny kraj; dziwił się przy tym niepomnie, gdy słyszał, że ludzie noszą tam ubrania, znają ogień i nie zjadają się nawzajem. Jeszcze mniej przyjemni od Erwalda byli jego tarczownicy — kilku gotrlandzkich gburów, którzy łakomym okiem patrzyli na zbroję i szablę Świętego Jeźdźca.

Al'Shannagg czuł, że za plecami ciągle drwią z niego. Szczególnym tego powodem były włochate, niskie konie kupione od wilczarzy, na których

wyglądali z Brenvanem dość komicznie.

Brenvan mimo tych przeciwności miał znacznie lepszy humor. Całymi dnami jechał bok w bok z Erwaldem. Zasypywał go pytaniami, całkiem ignorując ironiczne lub zbywające odpowiedzi. Al'Shannagg przysłuchiwał się czasem, jednak choć rozumiał całkiem niezłe język, niewiele pojmował z opowieści o rodowych waśniach, podjazdach i turniejach. Dziwił się jedynie, że Brenvan, dotychczas tak wyczulony na sprawy honoru, gładko znosił lekceważenie Erwalda tylko po to, by wysłuchać garści plotek.

Wyprawa przejechała leśne ostępy, przekroczyła dwa razy bród. Gdy wreszcie któregoś popołudnia gościniec zmienił się w szeroką, brukowaną drogę, Brenvan nie posiadał się z radości. Niebezpieczna podróż dobiegała końca. Kilkanaście dni zaledwie dzieliło ich od momentu, gdy zobaczą pierwsze wsie Caerleighmarch. Najwyższy był ku temu czas, bo drzewa niemal całkiem już pożółkły, a kałuże na drogach skuwał nocą lód. Zima zbliżała się wielkimi krokami, a na tych ziemiach była surowa i groźna.

Kashim wiele czasu poświęcał naprawianiu pokiereszowanej zbroi oraz rozmyślaniom. Odsunął się w cień, nie wtrącał do rozmów Aam Nessego i Brenvana. Podążał w milczeniu za resztą grupy. Wiezorami i o świcie wybierał się na długie, samotne przechadzki po lesie. Prześladowała go samotność oraz snucie domysłów, które tak często ocierały się o bluźnierstwo, że sumienie gryzło go dotkliwie. Al'Shannagg martwił się też o własny los. Teraz czuł jak nigdy wcześniej, że nie jest już tym dumnym i odważnym kapitanem Świętych Jeźdźców, co kilka miesięcy temu. Stał się włóczęgą bez pomysłu na własną przyszłość. Zmierzał do krain, gdzie był obcy i nikomu niepotrzebny. A kiedy już tam dotrze? Spędzi na zamku Aam Caerleighów jedną zimę, może dwie. I co potem? Wróci do Ocalonej Krainy, na pewną śmierć, czy zostanie w tych dziwnych ziemiach do końca życia?

Przed załamaniem uchroniła Al'Shannagga wrodzona ciekawość. Im dłużej myślał nad prorokiem, pochodzeniem daru i historią świata, tym bardziej paliło go pragnienie wiedzy. On, człowiek szabli, poczuł nagle ten palący pęd do wiedzy, to uczucie niespełnienia, które odbiera spokój badaczom.

Wreszcie pewnego ranka, gdy byli na nowym trakcie już od trzech dni, podjechał do Brenvana i Erwalda, po czym bezceremonialnie przerwał im pogawędkę, zwracając się do nich w ich własnym języku.

— Wybaczcie, rycerze z Learfeld, lecz jest takowa rzecz, której rad bym się dowiedzieć o waszych krainach.

Brenvan był trochę zaskoczony, niemniej powiedział:

— Oczywiście to sprawa. Pytaj śmiało, przyjacielu.

— Opowiadałeś mi onegdaj o waszych ziemiach i wspominałeś także o licznych bogach, którym stawiacie chramy. Wszelako to wszystko, co o nich usłyszałem. Chciałbym wywiedzieć się czego jeszcze.

— Bogowie to temat to dla Learfeldczyków przykry — Aam Nesse zaśmiał się. — Pewien jesteś, że chcesz słuchać, Kirajczyku?

— Teraz tym bardziej.

— Zatem niech tak będzie. Rzeknę ci kilka słów o bogach — odparł Brenvan.

Chwilę zbierał myśli. Przeczesał dłonią jasną grzywę i zaczął:

— W Learfeld, w Gotrlandzie, wreszcie w Południowych Księstwach wyznają wszyscy jednych bogów, choć różne miana im dają. U nas mawia się: Złoty Tuzin, lecz Dorianie przywykli zwać ich po prostu Trybunałem. Każde z bóstw nad inną rzeczą roztacza opiekę. Tak jak do Saari modły wznoszą matki w połogu, młodzi kochankowie oraz chłopstwo proste, gdy błaga o dobre żniwa, tak Eyul z kolei daje pocieszenie chorym, przeprowadza dusze zmarłych w zaświaty, patronuje grabarzom. Mamy monastyny i zakony, które służą poszczególnym bogom z dwunastu, lecz większość duchowieństwa służy im po prostu jako całości.

— Wasi mężowie wiary... Czy przypominają Duzzahów z Tel'Halik? Uczą pospólstwo, dbają o prawa, strzegą duchowej czystości?

Brenvan zmieszał się i chwilę rozmyślał nad odpowiedzią.

— Widzę, że kawaler Aam Caerleigh wielce jest polityczny, zatem pozwól, że ja ci odpowiem — wtrącił się Erwald. — W tych łysych opojów nikt już nie wierzy, poza prostymi duszami. Żyją sprośnie a rozrzutnie, sami tarzają się w grzechu, przeciw któremu wołają w świątyniach. I bogowie ich za to pokarali srodze, przestali im pomagać. Jeszcze sto lat temu, gdy chory na krwawą gorączkę prosił zmiłowania u kapłana Gaavra — którego przed ową chorobą broni — rychło stawał na nogi zdrów jakby ryba. Także gdy Saari ofiarował korzec pszenicy, cały rok pole tve bezpieczne od ognia i robactwa było. Teraz możesz leżeć plackiem na progu katedry i tydzień, a nic się nie zdarzy. Księża powiadają: tak się stało, bo lud zgrzeszył, a władcy pyszni. Jednakże każdy, kto ma rozum, wie, że to wina duchowieństwa. Oni bogów zrazili, przez nich zostaliśmy na pastwę losu wydani.

— Erwald dobrze prawi — rzekł cicho Brenvan. — Żyjemy już bez bogów, a żywot to smutny i groźny. Nawet prostaczkowie przestają wierzyć

kapłanom Tuzina, maleją wpływy z dziesięcin, głodne chłopstwo grabi świątynie.

— Teraz lud na przemian umartwia się w rozpacz i wpada w religijne histerie — podjął Erwald. — Rzuceni na pastwę chorób, nieszczęść i śmierci, gotowi są pójść w ogień za każdym szalonym pustelnikiem albo wędrownym kaznodzieją, który przyobieca lepszy los. W każdym jego geście dopatrują się cudu. Niewielu spokojnie tkwi na roli, jak przykazała im tradycja. Miasta pękają od włóczęgów i inszej szumowiny, szlachta zaś cześć oddaje heretyckim kultom, wodzić się za nos pozwala wiedźmom oraz czarnoksiężnikom. Zresztą powiadają, że sam Filip II Gotrlandzki, zwany Dobrym, złej magii wielce ciekaw i czcicieli demonów na swym dworze żywi.

— Jeno u nas, w Learfeld, prawi rycerze wiedźmostwo a chłopstwo za mordę trzymają — dokończył Brenvan.

— A to się rozumie samo przez się — powiedział Aam Nesse.

— Powiadasz więc, że bogowie już nie czynią cudów? Powiedz jednak więcej o nich samych! Na razie znam miana jeno paru.

— I wszystkich nigdy nie poznasz, jako i my nie znamy — Erwald zaśmiał się.

Kashim wyglądał na zdziwionego, więc Brenvan zaczął tłumaczyć:

— Zwiemy ich Tuzinem, bo wedle dawnych przekazów w początkach czasu tylu właśnie ich było. Jednak już w zamierzchłej historii jeden zbuntował się przeciw reszcie, został wyklęty i nazwany Zdrajcą. Ludziom przykazano o nim zapomnieć. Choćbyś znalazł najstarsze tablice z dawnych doriańskich świątyń, imię dwunastego zawsze jest wymazane. Jego posągi strzaskano w drobny pył, oddanych mu zakonników wybito do nogi. Podobny los spotkał później i jedenastego. Owego zwiemy Sprzeniewiercą, choć pono uchowało się kilka dawnych zwojów, starszych niż Learfeld i Gotrland do spółki wzięte, gdzie widnieje prawdziwe imię jedenastego.

Tutaj rycerz zrobił przerwę, bo podjechał do nich tarczownik, mówiąc:

— Wybaczycie raczcie, panowie, lecz Agwin, który pojechał w przód przepatrywać gościniec, jeszcze nie wrócił. Pozwólcie, bym pojechał go szukać. Może gdzie zamarudził lub stracił rachubę w czasie.

Aam Nesse skinął tylko tarczownikowi głową, po czym rzekł do Brenvana:

— Opowiadajcie dalej, kawalerze. Z dużym kunsztem to robicie, moglibyście pędzić żywot rybaka czy bakałarza. Wszyscy u was w zakonie

Złotej Róży tak umnie bajędy klecą?

— Jeszcze umniej bronią władamy, baczcie tedy, kawalerze. Honor mi nie pozwala słuchać obrazy zakonu...

Brenvan zamierzał coś jeszcze dodać, lecz Kashim mu przerwał. Historia bardzo go zainteresowała, więc nie chciał, by zaczęli się teraz kłócić.

— Mów dalej, białoskóry. Co z resztą? Co z pozostałą dziesiątką?

— Wyznajemy ich do dziś, choć za sprawą grzechów się od nas odwrócili. Najpierwszy jest Warezar, którego pod postacią staruszka z kosturem przemierzał niegdyś gościńce. Opiekun to zakonów żebraczych, podróżników, włóczędów, chroni przed pęcherzami na stopach, przeziębieniem na szlaku, błogosławi wszystkim, co wiodą proste i skromne życie. Potem jest Saari, o której już słyszał. Pono była to pani pięknej urody, a wszystko wokół niej zieleniało; a tam, gdzie przeszła, powietrze długi czas jeszcze pachniało polnym kwieciem. Następny jest Gaavr, ponury pan, co lubuje się w wojnie. Świadek dla rycerskich przysięg, patron honoru, pojedynków, ale także i odczyniacz chorób, co słabość na wojów zsyłają. Następną wezmę Eyul, panią szaleństwa i śmierci, lecz także pocieszycielkę chorych, co wedle woli może przynieść ulgę ozdrowienia albo ulgę, co czeka w zaświatach. Po niej jest jeszcze Zindar, którego w wielkim poważaniu mają południowcy, jako i insze morskie ludy, bo ukochał sobie ponoć morze i szum fal, a kiwnięciem ręki potrafił zażegnać najgorsze nawet sztormy. Ostatnia to Yeilne. Zjawiała się często w miastach, w bibliotekach i pracowniach uczonych, jak też na wielkich uniwersytetach południa. Upodobała sobie bowiem wiedzę.

— Zaraz! Czekajcie, mości rycerzu. „Zjawiała się”? Bogowie chodzili u was między śmiertelnymi?

— Tak właśnie było — odparł Erwald. — W dawnych, szczęśliwych czasach. Choć i utrapienie z tego przychodziło, ale o tym teraz ci mówić nie będę. Dość wiedzieć, że od przeszło wieku nikt ich nie widział, mimo że chłopstwo i prości mieszczanie co jakiś czas plotą, jakoby ten i ów miał objawienie czy dostąpił cudu.

— Coraz dziwniejsza zdaje mi się historia waszych krajów. Ale kontynuuj. Skończyłeś na Yeilne.

— I dobrzem skończył. To już wszystko.

— Ale wedle mojej rachuby opisałeś mi sześciu, co razem z dwojgiem zapomnianych daje osiem. Gdzie pozostała czwórka?

I Erwald, i Brenvan milczeli, wpatrując się w błoto gościńca pod

kopytami koni.

— Co z pozostałą czwórką? — spytał Kashim spokojnie, lecz zdecydowanie.

— Nie żyją — odparł Brenvan cicho. — Zabiliśmy ich.

*

Komendant Al’Ghazi upadł ciężko na inkrustowane srebrem mahoniowe krzesło. Chwilę oddychał chrapliwie, potem sięgnął po haftowany kawałek płótna leżący na stole obok czarki z wodą. Zamoczył róg chusty i dokładnie wytarł twarz z potu i brudu. Wlał do wody kilka kropli kamforowego olejku, by powtórzyć ablucje. Gdy skończył, chwilę macał twarz. Skrzywił się. Na pustyni nigdy nie czuł się czysty. Choć mył się kilka razy dziennie, lepki pył osiadał na nim już po kilku chwilach, tworząc nieprzyjemną maskę. Tymczasem Al’Ghazi, wychowany w Pałacu Proroka, przez trzydzieści osiem lat swego życia nie był dalej niż pół dnia jazdy od Tel’Halik. Ba! Na palcach rąk mógł policzyć noce spędzane poza pałacem. Przynajmniej do ostatniego miesiąca, bo teraz od wielu dni musiał siedzieć w brudnym obozie, wśród stłoczonych namiotów, ryczących bacharnów i nieczystości, których rekruci często nawet nie zasypywali porządnie piaskiem. Torturę Al’Ghaziego pogłębiało to, że miasto było tuż-tuż — patrzył na jego mury codziennie sprzed namiotu. Choć zabrał ze sobą do obozu misy, olejki, perfumy, bielidła, róże, czernidło do brwi, wciąż nie był z siebie zadowolony.

Al’Ghazi postanowił ukoić nieco nerwy. Wstał od stołu i wziął ze stojaka jeden ze zwójów. Całe szczęście, że mógł zabrać choć część biblioteki, inaczej na wyprawie przeciw Degom zanudziłyby się na śmierć. Wrócił na miejsce, rozwinął zwój, pogрузzył się w lekturze. Po raz kolejny ze wzruszeniem czytał, jak młody Al’Sanubari mówi do przyjaciela przed pojedynkiem:

Czy pamiętasz czasy,
Gdy łączyła nas przyjaźń
Na złe i dobre,
Na trzeźwo i po winie?
Oddani byliśmy rozkoszy
Na niebie sztuk pięknych,
Widoczni jak księżyc i słońce,
Złączeni razem jak czuła muzyka
Ze swoją lutnią i swoim fletem.

Komendant westchnął. On także zostawił w pałacu swojego drogiego Mihira, poetę o słodkich oczach, których mógł się już nigdy nie zobaczyć... Z drugiej strony, coś drgało w duszy Al’Ghaziego na myśl, że oto dostał szansę

wejść w grono najświetniejszych wojowników w historii Świętego Miasta. On, który myślał, że do końca życia będzie dowodził pałacową strażą! Jednak jeszcze ważniejsze było to, że miał szansę zmazać winę swoją i Mihira. Księga mówiła: „Zbrodniarz największy, jeśli podniesie szablę w obronie proroka, błogosławionym natychmiast się staje”. Tak oto miał szansę zmazać grzech swój i poety. Ach, ten słodki, choć straszny grzech, który...

W tym momencie ktoś wdarł się bezceremonialnie do namiotu, Al’Ghazi zaś podskoczył ze strachu, jakby się bał, że jego myśli zostaną w podsłuchane. Badawczo przyjrzał się przybyłemu i zamarł.

— Lammadż — powiedział cicho.

— To ja, marny grzeszniku. Mam dla ciebie nową przesyłkę od proroka.

To mówiąc, Lammadż Miecz Najwyższego zbliżył się do stołu i zamaszystym ruchem zrzucił z niego zwoje, miskę z wodą, buteleczki z kosmetykami. Dworzanin skurczył się w krześle i teraz wyglądał przy Jastrzębiu Najwyższego niczym karzeł. Lammadż położył na mokrym blacie jakieś zawiniątko.

— Dwadzieścia nowych kart. Strzeż ich niczym własnych oczu. Za tydzień dostaniesz następną partię.

Al’Ghazi rozwinął cienki materiał. W środku leżał fragment manuskryptu na świeżym, białym papirusie. Przerzucił strony. Dopiero co je zapisano — atrament nie był wytarty, na ostatnich kartach ledwie przysechł.

Komendant przebiegł wzrokiem po licznych rysunkach i schematach, przejrzał nagłówki.

Współpraca żołnierzy z bronią ręczną oraz drzewcową w ofensywnej formacji piechoty. Sygnały dla dziesiętników. Reorganizacja szyku w warunkach bezpośredniego starcia. Zawiązywanie formacji w trudnym terenie. Dzielenie formacji w marszu celem oskrzydlenia.

— Przeczytaj do jutra i od razu zacznij musztrować podoficerów — rozkazał Lammadż. — Nim przyjdzie następna część, wszystko to musi być opanowane. Niedługo trzeba będzie ruszać pod Żelazne Wzgórze, a prorok chce, żeby to była pierwsza wojna prowadzona wedle nowych reguł.

— Rozumiem — rzekł Al’Ghazi — i nie zawiodę proroka.

— Mam nadzieję. Inaczej z chęcią przejmę komendę nad twoją zbieraniną. Żegnaj, grzeszniku.

— Żegnaj, Lammadż. Niech światło Najwy...

Al’Ghazi nie skończył, bo Jastrzębia nie było już w namiocie. Tylko wejściowa zasłona kołysała się jeszcze, targana zimnymi podmuchami

nocnego wiatru. Dworzanin wstał i upiął ją złotymi troczkami, a potem wrócił do biurka. Pogrążył się w lekturze.

Wnet poczuł się jak zawsze, gdy dostawał nową część manuskryptu: stropiony, przestraszony, pełen podziwu. Kto pisał to dzieło? Kto mógł tak szybko tworzyć równie skomplikowany podręcznik? Al'Ghazi wiele życia spędził przy zwojach, miał więc literacki instynkt, który nakazywał mu wątpić, by jakikolwiek mędrzec zdołał równie prędko pisać tak wyśmienite dzieło. Może więc pracowała nad nim grupa Duzzahów? Czemu jednak styl był idealnie spoisty? I czemu ów styl tak odbiegał od stylu reszty uczonych Tel'Halik? Był oschły, pozbawiony poetyckich porównań, nie operował alegorią ni symbolami. Zdania dłużyły się w nieskończoność, surowe jak nagi brzeszczot, cięte przecinkami równo niczym glina dobrze naostrzoną szablą.

Dworzanin przerzucił kolejną stronę i skupił wzrok na szkicach, które przedstawiały manewry bojowych formacji. Niepokoiło go coś jeszcze: twórca dzieła musiał posiadać imponujące doświadczenie wojskowe. W jego uwagach oraz rzeczowych komentarzach czuło się wprost namacalnie tętno dziesiątek bitw, których musiał być świadkiem. Obecnie żył tylko jeden wysoki oficer o podobnym doświadczeniu — pasza Asimar, lecz on nie miałby sił ani chęci, by stworzyć dla Duzzahów podobny kodeks.

Al'Ghazi włąbił się w tekst i nagle jego oczy wyłowiły dwa dziwne zdania. Poczłł ciarki na plecach, gdy zdał sobie sprawę z ich implikacji. Brzmiały bowiem:

Jak pokazały ubiegłe doświadczenia, prostokątne formacje wzmocnione tylko na brzegach pawężnikami padają łatwo ofiarą ciężkiej jazdy, która przebiwszy się przez pierwszy szereg, bez trudu wrzyna się dalej w formację, dzieląc ją na kawałki. Nie zdały też rezultatu poczwórne szeregi pawęzy, bowiem pikinierzy umieszczeni w piątym szeregu mają zbyt ograniczony zasięg broni i zdolność manewru — jako optymalny mogę śmiało określić układ z dwoma szeregami ciężkich pawęzy, lub trzema — jeśli dowódca spodziewa się na polu bitwy licznych grup pancernych kawalerii.

Będąc wielkim miłośnikiem historii, Al'Ghazi znał opisy wszystkich bitew, jakie toczono na przestrzeni ostatniego wieku. Do tej pory nigdy i nigdzie nie próbowano dzielić piechoty na zamknięte, dwuosobowe formacje. Walki z góralami oraz dzikimi plemionami przypominały raczej kotłowanie, w której udział brało najdalej sto osób. Skąd więc „ubiegłe doświadczenia”? Skąd „ofiary ciężkiej jazdy”, skoro jedynymi pancernymi kawalerzystami w Ocalonej Krainie byli Święci Jeźdźcy, którzy od zawsze

stali po stronie proroka?

Al'Ghazi siedział długo, wpatrując się w manuskrypt. Dręczyło go dziwne wrażenie nierealności pajęczego pisma. Nie pasowało do tego świata i widząc je, czuł się tak, jakby pewnego razu zobaczył kamienną górę, strzelającą w chmury zamiast Piaskowej Iglicy.

*

Kashim zakrztusił się wodą z bukłaka, który właśnie przykładał do ust.

— Jakże to! Chybaście oszaleli, rycerze. Bogów zabić? Przecie bóg z samej natury rzeczy śmierci się nie lęka, a mocą przerasta wszystkich na świecie. Zali po co ktoś miałby nawet próbować?

— To długa historia, Kirajczyku — rzekł Aam Nesse. — Postaram się opowiedzieć ją tak, byś zdołał pojąć, choć i mnie trudno to wszystko zrozumieć. Złoty Tuzin u zarania czasów nie ukazywał się ludziom inaczej niż w snach i przez cuda ręką kapłanów a dyscypułów czynione. Prawda li to: plotki się szerzyły, jakoby pod ludzką postacią na ziemię schodzili, stopami swemi deptali nasze gościńce, a niejedna kobieta ubzdurała sobie, że bóg pod ludzką postacią brzuch jej przyprawił. Kapłani za takowe bajędy surowo ganili, ale oto nadszedł dzień, gdy z bajęd zrobiła się najszczęsza prawda. A był to czas niepokoju i wojen, kiedy marchia jeszcze nie istniała, a możni panowie knuli tylko, jakby drugiemu ziemi odjąć a sobie przyprawić. Krew lała się strumieniami, pola płonęły, lud cierpiał od głodu. Jakby tej zgrozy mało było, pewnej wiosny przysła zaraza, co miasta całe w cuchnące śmiercią cmentarze odmieniała. Niejeden zwątpił i mówił tedy, że czas dobiegł swego kresu i że całej ludzkości śmierć przeznaczona. I wtedy zaczęli pojawiać się bogowie. Leczyli chorych i chromych, zsyłali z nieba manę, godzili ojca z dziećmi, brata z bratem, nawet zbrodniarzy z szafotów zdejmowali. Nie wiedzieć mi, ilu z Tuzina widziano na ziemi. Jedni mówią, że jeno czwórkę, inni, że wszystkich wszyściutkich. Ciężko rozsądzić, czas bowiem dawno już pożarł kroniki i mądre pisma z onych wieków. Dość powiedzieć, że chadzali gościńcami niczym prości ludzie, lecz choć niektórzy pono próbowali, późniejsze wydarzenia pokazały, iż bogom nigdy nie uda się żyć jak zwykłym śmiertelnikom. Wróćmy jednakowoż do tematu. Jeden z dwunastki szczególnie często się objawiał. Kler zwał go Beliar, lecz lud prosty rychło przechrzczył go mianem Złotousty.

Była to istota piękna, światła a mądra, co przeciw wojnie wołała, panów starała się pogodzić i na ziemi pokój słodki zaprowadzić. I zbierał Beliar coraz większe grono wiernych rycerzy pod sobą, coraz liczniejsi władcy

oddanie mu ślubowali, aż wreszcie stał się panem wielkich ziem, niczem król jaki lubo cesarz. Pragnął pono oddać swe lenno godnemu człekowi, by ten je utrzymał i zmienił w miodem płynące królestwo. Jednakowoż albo Złotoustemu władza ziemską do gustu przypadła, alboż nikt godzien się nie napatoczył, bo trzy dziesiątki lat przeminęły, a bóg wciąż rządził ze swego pałacu w mieście Asterlet.

Nie wszystkim wszelako było to w smak, a w szczególności panom, którzy nie chcieli uznać prymatu Złotoustego. Wreszcie ktoś się odważył, najął zabójców, dał im sztylety z najprzedniejszej stali i jady śmiertelne. Bo gdy bóg zaczął krążyć między ludźmi, spać w ludzkich pałacach, jeść ludzką spyżę, przestał się zdawać tak boski i odległy — mimo całej mocy oraz piękności. I dokonała się zbrodnia pewnego ranka, gdy Beliar wychodził z katedry, gdzie celebrował mszę ku czci swego rodzeństwa. Zalali go zbójce ciemną falą, obalili na ziemię i choć kilkunastu podarł na sztuki jak zbutwiały pergamin, reszta wraziła w jego ciało śmiertelne ostrza.

Powiadają, że Złotousty konał cały dzień, roniąc krew, od której topniały kamienie, a z jego ran buchał żar tak mocny, że nikt nie mógł się doń zbliżyć. Był bowiem najpotężniejszym z Dwunastu. Od jego krzyku, co ciągnął się bez przerwy do samego zachodu słońca, wielu ludzi popadło w obłęd, a małe dzieci umierały. Ci, którzy widzieli jego oblicze w chwili agonii, do końca życia śnili kosmary. Wielu zadało sobie śmierć po ledwie kilku miesiącach. Katedra zaś całkiem inna się stała, ściany i filary uległy osobliwym skrzywieniom, rzeźby zmieniły oblicza. Dziś to przekłete miejsce, odgródzone od reszty miasta murem.

— Bajki dla dzieci — prychnął Brenvan.

Aam Nesse uniósł brew.

— Tak sądzisz? Jedźże zatem do Asterlet, przekonaj się. Stań przy murze, przystaw do niego ucho. Dziś jeszcze słyhać echo krzyku Złotoustego.

— Mówisz, jakbyś sam go słyżał!

— Bom słyżał.

Brenvan zacisnął wargi i ucichł.

— Teraz rozumiesz, przybyszu z dalekich ziem, dlaczego kawaler Aam Caerleigh tak oszczędnie opowiadał ci o naszych bogach. To niepiękne historie — Aam Nesse podkreślił węża. — Niepiękne i straszne. Wielu ludzi stara się o nich zapomnieć.

— A co z... Jak zginęła pozostała trójka? — Kashim mówił cicho, zaszokowany tym, co właśnie usłyżał.

— Zdarzyło się to niemal wiek później. Po śmierci Złotoustego bogowie długo nie mogli dać wiary temu bluźnierczemu aktowi. Wreszcie dotarło do nich, że ludzie mogą okazać się zagrożeniem. Trójka osobno przemierzająca zielone krainy ludzi zdecydowała się mieszkać razem, ku większemu bezpieczeństwu. Obrali za siedzibę zacne miasto Corvis, wzniesione wśród gór w sercu znanych człowiekowi krain, na skałach jasnych niczym śniegowy puch, wśród nieustannego śpiewu wiatrów, które dęły przez górskie przełęcze. Ich imiona brzmiały: Aarie, Kadwyrth oraz Delvyn. Tam wzniesli pałac niespotykanej urody i wiedli spokojny żywot. Do Corvis zaś przybywali pielgrzymi z najdalszych ziem, by zasięgnąć rady i wsparcia u trójcy.

Tymczasem mijały lata, jedne chude, drugie grube, jak to los psotliwie zrządził. Bogowie coraz rzadziej ukazywali się ludziom, coraz rzadziej opuszczali pałac, by czynić cuda. Aż nastał czas, gdy trzy learfeldzkie dynastie poczęły walczyć między sobą. Nie było dnia, żeby kalecy, głodni i umierający nie dobijali się do wrót pałacu trójcy. Wrota jednakowoż od wielu lat były już zawarte. Jedni powiadają, że bogowie unieśli się dumą po jakiejś rzeczywistej lub rzekomej obrazie, jakiej mieli od mieszczan doświadczyć. Inni prawią, że słabi byli, doszło bowiem między nimi do wojen, na które trójca poświęcić musiała wszystkie siły. Tak czy inaczej, lud był coraz bardziej rozeźlony. Kapłani próbowali uspokajać prostaczków, lecz ci uwidzieli sobie, że opieka i cuda to obowiązek bogów, że to niejako ich odpłata za życie w mieście. Znalazło się wnet i kilku rajców, co krzyczeli, że nie dadzą bogom zajmować całego pałacu w sercu Corvis, jeśli nie ma z nich pożytku. Gdy na kogo trafiało nieszczęście, nie mówił już: „to przez zły los”, lub: „to przez me grzechy”, albo: „to przez me niedbalstwo”. Krzyczał za to co sił w gardle: „to przez bogów, co mi nie pomogli”. No i w końcu przytrafiła się tragedia. Widzisz, cudzoziemcze: Złotousty zginął za sprawą zazdrości, a trójka z Corvis z winy rozczarowania i tego, że nie dopełniała posług, do których tak lud przyzwyczaiła, że stały się one wedle tegoż ludu obowiązkiem.

Pewnej nocy, gdy przerażeni i chorzy mieszczanie zebrali się na kilku wiecach, podburzani przez własnych rajców oraz wędrownych kaznodziejów, miarka się przebrała. Pomaszerowano na pałac trójcy. Mało kto trzeźwo myślał, że oto staje przeciw trójce bogów. Tłum, gdy oszaleje, jest bowiem gorszy niżli wzburzone morze, gorszy niżli pożar. Wyłamali drzwi pałacu, setkami włali się do środka. Pierwej znaleźli Aarie od Śpiewu. Siedziała w

ogrodzie, wśród kwiecica, na lutni rzewną melodię grając. Nie uciekała ani nie próbowała się bronić, jeno grała, zupełnie jakby sądziła, że piękno jej muzyki nie pozwoli nikomu ręki na nią podnieść. Jednakże bezbronność rozjusza ludzi, tak jak krew rozjusza gończego psa. Rozszukowali ją nożami, pazurami, chociaż wielu zginęło od dotyku jej krwi, wielu oszalało od krzyku, a kolczaste pędy wystrzeliły spod ziemi, by bronić boginki, i niejednemu kmieciowi wyłupiły oczy.

— Dziś tam, gdzie zginęła, rośnie ponoć labirynt z czarnych róż o płatkach nabrzmiałych od jej krwi, tak splątany, że nikt nie zdołał dotrzeć do jego serca, gdzie leżą kości Aarie — dodał ponuro Brenvan.

— Nie inaczej. Nie mieszajcie się wszelako, kawalerze, do mojej historii. Dalej: Delvyn Sprawiedliwy. Wiedział już, co się święci, gdy tłum wszedł w komnaty. Duma boska nie pozwalała mu uciekać, stawił więc czoło tłuszczy i wkrótce korytarze pałacu zasłane były trupami. Pono dwie setki ludzi padło, spalonych ogniem, co znikąd się zjawiał, łamanych wespół ciosami jego ramion, wreszcie obdzieranych ze skóry przez niewidzialne zjawy. Z każdym trupem rosła jednak i wściekłość tłumu. Na koniec, gdy się Delvynowi poczęło już braknąć, osaczyli go gwardziści ze spisami i kusznicy. Sto bełtów naraz poszło ku niemu i choć pięćdziesiąt z nich strzaskał wzrokiem lub skierował przeciw samym żołnierzom, pozostałe pięćdziesiąt trafiło. Żył jeszcze, klątwy okrutne rzucając, tedy stłukli go toporami, choć i to wielu żywotem przypłaciło. Pałac zapłonął, a wiele przejść się zawaliło, odcinając ludziom drogę i gubiąc ich w pożarze. Do dziś stoi ów gmach, czarny od ognia, a korytarze w środku załamały się pod dziwnymi kątami, scholarzy zaś mówią, że wiele odnóg zerwało się i teraz prowadzi do innych światów albo nawet w czarną próżnię, gdzie uleciał duch zgładzonego boga.

Gdy Delvyn padł, Kadwyrth Błazen, zwany też Panem Złodziei, nie czekał na swój los. Pod postacią prostego człeka chciał uciec z pałacu. Wmieszał się w tłum, lecz rychło zdradziło go to, że płomienie przed nim gasły, kałuże krwi się rozstępowały, a pył i kurz pod jego stopami układał się w magiczne wzory. Tłum rzucił się na Kadwyrtha, poranili go szkaradnie, wszelako uciekł, w ciemność nocy. Leciał nad dachami domów i przenikał przez ściany, jednakże pogoń nie odstępowała, na miasto wylegli ludzie z pochodniami. Nim dotarł do murów, już osłabł od ran i tak osaczyli go w małym zaułku, gdzie ubili bez litości, a jego krew zmieszała się z błotem. Domy wokół się pochyliły, cała ulica odmieniła, a z błota rychło wychyły się szkaradne bestie, narodzone z robaków, co piły krew boga. Dziś miejsce to

zwie się Zaułkiem Szaleńców, a domy w okolicy są opuszczone. Trwa tam wieczna noc, zjawy zaś i insze paskudztwa chodzą po kamienicach, które niegdyś zamieszkiwali ludzie. Jakby tego było mało, każdy, kto tylko się zbliży, odczuwa łamiący serce żal i słyszy na wietrze błagania boga, co przed śmiercią prosił ludzi o litość.

Tak oto skończyła się najciemniejsza karta w historii naszej — rzeź w Corvis, która pochłonięła trzech bogów, przeszło tysiąc mieszczan i w perzynę obróciła środek ludnego miasta. Od tej pory nikt z Tuzina nie pokazywał się już, chyba że damy wiarę opowieściom różnych szaleńców czy nadgorliwych kapłanów.

Kashim przetarł czoło. Chwilę myślał, aż w końcu spytał:

— I dalej ich czcicie? Cały Tuzin? Nawet tych, których zabiliście?

— No, no, Kirajczyku! Jam żadnego z nich nie zgładził — odparł Erwald. — To parszywe prostactwo całego nieszczęścia dokonało, to przez nich dziś jesteśmy opuszczeni. I widzisz, to był znak największy, że szlachta powinna władać wszystkim, nad każdą rzeczą mając pieczę. Gdy bowiem ciemny lud rośnie w zbyt wielką siłą, tylko nieszczęścia patrzeć, lud bowiem jest popędliwy, krwiożerczy, głupi a zabobonny.

Brenvan zaś dodał:

— My pamiętamy o Tuzinie, bo wielce się ludzkości w jej początkach przysłużyli. Poza tym wciąż jeszcze jest gdzieś tam sześciu bogów. Może i nie mają już siły ni ochoty, by pomagać ludziom, ale każdy z nas skrycie wierzy, że gdy znajdzie się w wielkiej biedzie, gdy będzie błagał o pomoc, to do niego właśnie szczęście się uśmiechnie. Zresztą wielu księży mawia, iż tak jak między mężem a żoną wróżdy kończą się po kilku dniach, tak i między człowiekiem a bogami waśń dobiegnie końca, choć może to trwać kilka tysięcy lat. Im zaś przystojniejszy żywot prowadzimy, tym rychlej bogowie znów nas obdarzą błogosławieństwem.

— Tymczasem jednak — rzekł ponuro Aam Nesse — żyjemy w niełasce. Wjeżdżasz właśnie do krain ponurych i porzuconych, gdzie ludzie każdego stanu cierpią przez całe życie dziesiątki niedoli. Rycerz, chłop, kleryk: każdy teraz po równo na łaskach śmierci i choroby, każdego fortuna może w kilka chwil w pył i proch obrócić. Takie są właśnie, Kirajczyku, krainy martwych bogów.

Rozdział 12. Learfeld

Krajobraz wokół szlaku zaczął się zmieniać. Najpierw zobaczyli kamienną strażnicę przy trakcie, omszałą i pochyloną. Puste okna i wyłamane drzwi świadczyły, że dawno już ją opuszczono. Ledwie pół dnia drogi dalej wyprawa spotkała graniczny patrol, który włókł się powoli gościńcem. Przewodził rycerz w ciemnej kolczudze, bijącej w oczy liniami świeżych ogniów. Widać było, że ostatnio ją łątano, a po miejscach tych łątań łatwo było dociec, że poprzedniego właściciela nie ma już wśród żywych. Prócz rycerza była jeszcze garstka ponurych knechtów w przemokniętych butach. Szlachcic ukłonił się kawalerowi Aam Nesse, potem (trochę płyciej) Brenvanowi, wymienili kilka zdawkowych słów, po czym wyprawa ruszyła w jedną stronę, a patrol w drugą.

Wkrótce Kashim dostrzegł między przyprószonymi żółcią koronami drzew dach jakiegoś budynku. Po kilku chwilach wyłoniła się polanka, przy której stała nowa strażnica, kamienne domostwo o wąziutkich oknach oraz okutych drzwiach i okiennicach. Miała własną stajnię, nieduże pomieszczenie gospodarcze, a w środku, jak wkrótce się okazało, mieścił się także posterunek celny i stacja pocztowa.

Orszak Erwalda spędził noc w małych, wilgotnych pomieszczeniach strażnicy, sam zaś Aam Nesse, wylegitymowawszy się wcześniej książęcym sygnetem, rozkazał, by natychmiast ślano gońca do Fryderyka Aam Derben, zleceniodawcy misji. Umyślny ruszył w drogę od razu i poniósł listy Erwalda oraz jego sprawozdanie z pobytu na dworze Sverka.

Następnego dnia rano Kashim dowiedział się, że są już w Learfeld. Na razie trudno było ów fakt spostrzec. Lasy za strażnicą wyglądały wciąż tak samo, podobnie jak trakt. Dopiero pod wieczór podróżni minęli pierwszą learfeldzką wieś, a raczej sioło, bo składało się tylko z pięciu kamiennych domków oraz kościółka poświęconego Aarie. Kashim mimo to odłączył się od kolumny i objechał osadę, strasząc przy okazji grupkę dzieci. Ciekawiła go architektura learfeldzkich osadników, wznoszących swoje domy z nieobrobionych kamieni i wzmacniających je rusztem z belek, których pobrązowiałe boki cięły ściany pod równymi kątami. Takie chaty były z pewnością bezpieczniejsze od maroviańskich domostw, lecz także i trudniejsze do wykonania.

Za osadą las coraz częściej przecinały pręgi świeżo wypalonych i wykarczowanych pól. Gdy wyprawa wjechała na ciągnące się jak okiem sięgnąć pogorzelnisko, Brenvan nachylił się do Kashima i rzekł:

— No, no. Widno, że pan na tych włościach, Johan Aam Lannoy, nie próżnuje. Kiedym wyjeżdżał, dopiero co odziedziczył te ziemie, po tym jak jego bezdzietnego wuja rozerwał na łowach odyniec. A tu — proszę! Tyle lasu zdołali wypalić! Widno Johan chce przypodobać się baronowi Aam Hinze, który nieraz ukazy dawał, by jego lenni ziemie na zachód poszerzali, puszcę toporem a ogniem niszcząc. Gdy tylko nadejdzie wiosna, wiele nowych pól będzie miał Johan.

— A Marovianie? Nic oni przeciw nie mają, by wasza marchia podchodziła coraz bliżej ich progów?

— To nie maroviańska ziemia, Kirajczyku. Od strażnicy jedziesz przez lenna learfeldzkich panów. A kiedy ziemi nam pod topory nie stanie, kupimy więcej za garść błyskotek.

— Nasz lud musi w siłę rosnąć, by stawić odpór yaurańskiej czerni — wtrącił się Aam Nesse. — Takie są prawa dziejów, Kirajczyku. My jesteśmy ludem silnym, bitnym, wywodzimy się ze szlachetnej krwi pierwszych wodzów oraz zdobywców. Oni zaś — jak pisze znany dziejopis, brat Helgryd — „z tłuszczy tchórzliwej, co to przed wrogiem dalej a dalej uciekała, by wreszcie osiąść na skraju zamieszkanego świata”. Dziwnym nie jest, że potomkowie tchórzy przed potomkami zdobywców raz jeszcze ustąpić będą musieli.

Kashim skinął głową, choć zdawało mu się, że dzielenie cnót oraz szlachetności krwi wedle zwyczajów jest błędem. W końcu i sprawny wojownik może przegrać, gdy okoliczności nie sprzyjają, co nie uczyni jego potomstwa gorszym od potomstwa zwycięzcy.

Wkrótce pośród wypalenisk, z rzadka tylko poznaczonych kępami drzew, ukazały się zabudowania, a potem ponura twierdza, której soczyście zielone chorągwie kontrastowały nieprzyjemnie z szarymi murami i brunatnymi ścierniskami, otaczającymi budowlę wraz z całym podgrodzem.

— Twierdza Hyungwydd — powiedział Brenvan. — Od tej pory nic już nam nie grozi.

*

Istotnie, minąwszy twierdzę, wyprawa zaczęła się zapuszczać na zielone ziemie, gęsto usłane wsiami i miasteczkami. Trakt dzielił się, co kilkanaście staj były przy nim małe stacje pocztowe. Podróżni spotykali też coraz więcej

ludzi — raz był to pasterz, który gonił drogą stado owiec, raz wędrowny cyrulik wraz ze swoim wozem, kiedy indziej jakiś mniej ważny szlachetka na żyłastym koniu. Kashim obserwował ich wszystkich uważnie, a czasem zadawał Brenvanowi pytania, jak wtedy, gdy na wzgórzu przy gościńcu wypatrył mężczyznę we włosiennicy przepasanej sznurem, który z zapalem kuł rzeźbę z wielkiego kamienia. Nieopodal stał szałas, obok leżała sakwa z ubogimi sprzętami.

— Toż u was tak biedni są wszelacy artyści, że w worach chodzą, a bez pomocników skały kuja?

Brenvan uśmiechnął się na to.

— To nie rzeźbiarz, jeno zbrodniarz, który musi za swój czyn odpłacić. Kamień pokutny musi wykuć własnymi rękoma, a tedy kary duchowej dopełni, bo świecką była grzywna lub męki.

— Atoli u was dwie kary za jeden czyn przystoi nakładać? Cóż to właściwie: świecka kara?

— Ha! Ciągłe zapominam, jak to u was poukładane, że kapłani i kler ludem rządzą. U nas wszelako, jak już wiesz, rządzi szlachta i ona wedle uznania prawa nowe stanowi. Ale są i prawa odwieczne, nad którymi duchowieństwo ma pieczę i które ramieniem władców wymuszają.

— Nie prościej byłoby prawa te złączyć, a jeden kodeks i jedną karę za każdy czyn uchwalić?

— Widać nie, inaczej tak by to książęta do społu z duchowieństwem urządzili. — Brenvan westchnął.

Erwald, który słyszał rozmowę, zaśmiał się.

— Widzę, Kirajczyku, że tobie w głowie sprawy scholarów, a nie rycerzy. Przeto ze scholarami i jurystami winienesz gadać, oni to bowiem ci o naszych prawach rzecz mogą. Czy u ciebie każdy wojownik rzeczami uczonych takoz się para?

— Pytałem już o to, kawalerze — rzekł Brenvan. — I u nich są prości ludzie miecza, ale ten tu jest książę krwi, jakożem mówił, więc w naukach wyzwolonych dużą posiadł biegłość. Astronomiję studiował, medycynę, sztukę rządzenia i prawo. Przeto ciekaw naszych krain.

— Rozumiem. Patrzaj więc, przybyszu, ile sił ci starczy, a potem nasze porządki u siebie wprowadź, Learfeld bowiem najzaciejszym jest królestwem w świecie. Wiele by twe dzikie ziemie skorzystały, gdyby nasze sposoby a nasze nauki zechciały przyjąć.

Kashim uśmiechnął się tylko dyskretnie, bo jemu ziemie zakutych w

żelazo jeźdźców zdawały się pólziki, mimo wiatraków pędzonych wodą, mocnych fortyfikacji oraz ciekawej architektury. Wystarczyło, że popatrzył na ubogich wieśniaków, że zobaczył strach, jaki malował się na ich obliczach, gdy obok przejeżdżał rycerz ze świtą, a już wiedział, że w Tel'Halik prosty lud żyje szczęśliwiej. A raczej żył — za czasów Zerakhima.

Na dodatek wszystko wokół było jakieś ponure. Ponurzy ludzie o zaciętych twarzach. Ponure kształty świątyń, ponurzy podróżni.

Czuł niemal namacalnie, że Learfeld to kraina pogrążona w smutku, której mieszkańców czeka niepewna przyszłość.

Przekonał się o tym ostatecznie trzeciego dnia od przekroczenia granicy. Zbliżali się do miasteczka zwanego Rais, gdzie Erwald miał pożegnać Brenvana, by ruszyć na północ, do swojego lenna. Był wieczór, panowała nieprzyjemna szaruga, w której konie stawały się półślepe. Nim jeźdźcy dostrzegli zabudowania, spotkali pierwszych, pijanych mieszczan. Ich grupka kłębiła się w krzakach przy drodze. Kilku prostaków w burych ubraniach obległo grubą i nie pierwszej młodości kobietę, która ległszy pijana i z podwiniętą spódnicą, szeroko rozkraczała nogi. Jeden z mężczyzn miotał się na niej i świecił w stronę gościńca gołym tyłkiem. Kilku rechotało, patrząc, jak kobiecina próbuje go zepchnąć nieporadnymi ruchami, inni zaś próbowali ściągnąć szczęściarza, żeby zająć jego miejsce. Rycerze odwrócili wzrok i przejechali w dumnym milczeniu. Kashim rzucił okiem na scenę, zastanawiając się, czy jest świadkiem przestępstwa, czy nie.

Nieco dalej, przy gościńcu, widniała na trawie bura plama. Z bliska okazała się wędrownym mnichem, który tulił do piersi glinianą butelczynę. Potem znaleźli leżącego w poprzek traktu trupa, odartego ze wszystkich kosztowności. Kashim zaczął się już zastanawiać, czy tak obłędne sceny są typowe w barbarzyńskim Learfeld, lecz wyraz twarzy obu rycerzy pozwalał sądzić, że oni także byli zaskoczeni.

Wkrótce podróżni dostrzegli bijący zza wzniesień dym. Potem do ich uszu zaczęły dochodzić odgłosy krzyków, śpiewów, piszczał oraz kobz, mieszające się w dzikim harmidrze i narastające powoli niczym burza piaskowa, co rodzi się z lekkiego podmuchu, by po kilkuset krokach zmienić się w rozsadzający uszy ryk. Wreszcie, wyjechawszy na łagodny stok, u stóp którego leżało Rais, Kashim zobaczył istne Marrenvan w całej piekielnej okazałości.

Miasteczko, upstrzone światłami, tętniło w takt kocie muzyki, a na place i uliczki wylegały coraz to nowe korowody mieszczan. Ludzie łączyli się w

tańcu, czy raczej w pijackich uściskach, by zaraz rozbryzgnąć się jak brudna piana o ściany domów, które stawały im naprzeciw przy kolejnym zakręcie. Potem znów łączyli się w grupy, a między nimi uwijali się równie pijani i ogarnięci amokiem muzykanci. Gdzieniegdzie trwały bójki lub zwykłe przepychanki. W tłumie dało się rozróżnić bordowe wamsy strażników, lecz ci nie czynili pożytku z broni, zajęci zabawą jak cała reszta. Na ryneczku Rais dopalało się kilkanaście stosów.

Temu wszystkiemu przypatrywał się mały kościółek stojący na wzgórzu, niedaleko miejsca, gdzie podróżni zatrzymali się, by podziwiać piekielne widowisko. Przypatrywały się też wodniste, wytrzeszczone oczy nieszczęsnego kapłana — jego ciało, odarte z szat, obite, podrapane, wysmarowane nieczystościami, wisiało na skrzydle wrót świątyni. Nieopodal, za węglem kościoła, otwierała się furtka cmentarza pełnego grobów, z których znaczna część była jeszcze świeża. Kashim i rycerze poświęcili temu obrazkowi ledwie po jednym spojrzeniu i ruszyli w stronę miasteczka.

Nim dotarli do pierwszych uliczek i minęli podmiejskie farmy, już po obu stronach drogi pełno było mieszczan. Kipiąca tłuszcza wylewała się na przedpola Rais, zalegała ciemnymi plamami skłębionych ciał na trawie, na jesiennych ścierniskach.

Gdy podróżni wjechali między zabudowania, otoczyły ich twarze wykrzywione w pijackiej ekstazie. Starzy, młodzi, kobiety, mężczyźni — bez wyjątku. Ktoś szarpał za uprzęż koni, wierzchowce rżały; ktoś inny podsuwał Erwaldowi butelkę z winem. Przyjezdnych otoczyły bełkotliwe głosy. Kawaler Aam Nesse tylko zmarszczył nos i dał znak knechtom, by odpędzili tłum od koni. Ci zabrali się do sprawy ochoczo, sownie rozdzielając kopniaki i uderzenia drzewcami włóczni.

Wyprawa przedzierała się przez miasteczko powoli, co chwila walcząc z tłumem. Zdawało się, że świętują wszyscy. Przybysze widzieli dziesięcioletnią dziewczynkę, pijaną i zataczającą się, a także starowinkę, która podkasała spódnicę, by wycinać na bruku hołubce. Wkrótce dostrzegli władcę tego pijackiego królestwa. Na ryneczku, gdzie płonęły ogniska, gawiedź obnosiła na krześle brodatego eremity, tak brudnego, że białka jego oczu zdawały się aż świecić. Człek ów trzymał w jednej ręce flaszkę, a w drugiej święty symbol i krzyczał zachrypniętym głosem:

— Bawcie się! Dziś nie ma grzechu, dziś bogowie odpuszczą każdemu. Zło wielkie zażegnane, zatem bawcie się, bracia!

— Bawcie się! — zawtórował mu opasły łyсы strażnik.

Kashim tymczasem spostrzegł z obrzydzeniem, że na stosach, u stóp pionowych belek, leżą zwęglone i powykręcane od ognia trupy. Niektóre zwłoki nie osunęły się w dół pali, stopione pod wpływem żaru z poczeriałym drewnem. Tłuszcz ze zwłok palił się powoli i rozżarzał jeszcze popioły. Jego smrodu nie potrafiła przytłumić nawet woń spoconych ciał mieszczan i zapach rozlanego na ziemi piwa.

Brenvan zeskoczył z konia i chwycił za poły szat jakiegoś młodzieńca, który dopiero co skończył rzygać na bruk. Uderzył go w twarz rękawicą i spytał o coś warkliwie. Chwilę rozmawiali, po czym Aam Caerleigh odepchnął go w tłum i chwycił następną osobę, a czujni knechci zrzucili z siodła i obili mężczyznę próbującego odjechać na jego koniu.

Wkrótce rycerz był z powrotem przy Kashimie i Erwaldzie.

— Świątują zwycięstwo nad wiedźmostwem — rzekł głośno, by przekrzyczeć tłum.

— A ów pustelnik, co go jak księcia obnoszą? — spytał Aam Nesse.

— Wędrowny kaznodzieja. Przybył, gdy miasteczko borykało się z potną gorączką, na którą wymarła większość dzieci. Podjudził mieszczuchów, mówiąc, że to czary i wiedźmowska sprawa. Ci, co potomstwo potracili, najmocniej za nim stali. Zaczęli tedy między sobą szukać czarownic, by je za nieszczęście obwinić i ukarać... Idź precz, ścierwo! — ryknął na człowieka, który uczepił mu się nogi.

Odpędziwszy natręta kopniakiem, zwrócił się znów do towarzyszy:

— Jeno stary ksiądz protestował i gadał, coby eremity nie słuchać, lecz ludziska się rozsierzili i obwiesili go na wrotach świątyni. Po części za to, że zarazy wstrzymać nie umiał, a po części za podpuszczeniem kaznodziei, który go o spółkowanie z wiedźmami pomawiał. Następnie mieszczanie zaczęli łowy, uchwycili ileś tam niewiast, szczególnie tych, w których domach nikogo zaraza nie zmogła. Torturami przymusili je do zeznań, a gdy poszły z dymem, ów włóczęga przeklęty ogłosił, że za tak zbożny czyn należy się miasteczku święto nad świętami, jakiego nikt jeszcze nie widział. Obiecał wszystkim odpust grzechów.

— Widzisz teraz, Kirajczyku?! — krzyknął Aam Nesse. — Lud głupi a krwiożerczy, gdy pana silnego nad sobą nie ma.

— Chyba wasz książę nie puści takich podżegań płazem? — spytał zdziwiony Kashim.

— W rzeczy samej! Rychło królewskiego szeryfa przyślą, coby porządek

zaprowadził, a eremity uchwycił i publicznie poćwiartował. Nam jednak w to mieszać się nie lza. Z całym miastem walczyć nie będziemy.

Jako że tłum coraz mocniej na nich nacierał, podróżni wycofali się z ryneczku i ruszyli na drugą stronę Rais, gdzie ludzi na ulicach było mniej i tylko od czasu do czasu pod ścianami kamienic przemykała się jakaś rozbawiona grupa. Jedna z nich, szczególnie krzykliwa, składała się z trzech młodych mężczyzn oraz kilkorga dziewcząt o zmierzwionych włosach i policzkach czerwonych od wina. Obejmując się, szli od rynsztoka do rynsztoka, a kobiety wypiskiwały fałszywie jakąś piosenkę. Nagle, gdy na ich drodze wyrosli konni podróżnicy, od grupy oderwał się jeden z młodzieńców, szczupły szatyn, który do tej pory trzymał za pas dwie urodziwe mieszczki. Wylazłszy na środek ulicy, zagroził im drogę i, chwając się na nogach, patrzył badawczo na rycerzy. Miał umazany błotem kabat, brudną twarz i pozlepiane włosy.

— I co się gapisz, prostaku? Idźże precz, bo buławą po żebrach pomacam! — krzyknął do niego Brenvan.

— Zali mnie nie poznajesz? — spytał ze zdziwieniem obcy.

— Tyś się chyba nadto piwem zamroczył. Nie miałem nigdy rzeczy wspólnej z ludźmi twego pokroju. — Aam Caerleigh zmrużył oczy.

Erwald uśmiechnął się znacząco, jakby dając znak, że wizja komitywy Brenvana z jakimś mieszczaninem wcale go nie dziwi. Tymczasem przybysz zatoczył się raz jeszcze i rzekł:

— Eep! Serce mi łamiesz, Brenvan, jak bogów kocham! Ale nie mam do ciebie żalu, w końcu jak... Eep! Jak wiadomo: kto w górę się pnie, na przyjaciół ślepy, kto pada w dół, z daleka ich woła.

To powiedziawszy, machnął ręką na swoich kompanów, by szli dalej, nie czekając.

— No dalej, kawalerze, nie wzdragaj się — zaszydził Aam Nesse. — Przedstaw nam swego szlachetnego przyjaciela.

— Kto zacz jesteś? — rzucił gniewnie Brenvan.

— Hej, onegdaj byś do mnie... Eep! Onegdaj byś takim tonem nie gadał. Pamięć niecj ci odświeżą te skromne wersy: „Niebezpieczna rzecz w Unborgu chodzić do zamtuza — jeśli nie w łeb, to na główce obawiaj się guza”.

— Van Dreyck!

— Nie kto inny, mój drogi. Nie kto inny.

Brenvan zaraz zeskoczył z konia i rzucił się, by objąć przyjaciela.

Złośliwy uśmiech zszedł z ust Erwalda, zupełnie jakby i jemu ta persona nie była obca.

— Gdzie twoje jedwabne kaftany? Wyglądasz jak zabiedzony żak, co czyści przyodziewek raz do roku!

— Bo mnie pies jaki... Eep! W błoto obalił i plecy mi podeptał. Na domiar złego ta diabelska czkawka powoli mnie zabija. Mus mi więcej się napić. Ale, ale... kogo to prowadzisz?

Aam Caerleigh posmutniał nieco.

— To długa historia. Wpierw opuścimy to szalone miejsce. Jedziesz z nami?

— A po co od razu opuszczać? Skoro wam to małe święto do gustów nie przypada, zaszyjem się w jakiejś przyjaznej gospódce. Znam ci ja tu zacnego gospodarza, człek to rozważny i uczciwy. Dzisiaj, miast z innymi świętować, drzwi zabił ćwiekami, kobiety zamknął w komódcie, a pacholków zbrojnych postawił na straży interesu. Nas jednak wpuści bez ochyby.

Brenvan spojrział pytająco na towarzyszy. Erwald skinął mu głową.

— Dobrze więc — rzekł Aam Caerleigh. — Prowadź.

*

Mudda, cicho niczym pustynny duch, zdjął z półki wolumin. Odłożył go na bok i przesunął jeszcze dwa tomy, tak by między ich okładkami widzieć stół i rozmawiające przy nim osoby. Serce łomotało mu tak mocno, że niemal bał się, iż w cichutkiej, pustej sali archiwum ktoś usłyszy ten odgłos.

Po wielu tygodniach gonitw za każdym cieniem i za każdym podejrzanym słowem młody Duzzah był znów na tropie. Najwyższy czas, bo już dawno nie dostarczył swemu zleceniodawcy żadnych ciekawych wieści. Czuł, że tajemniczy człowiek w masce zaczyna się niecierpliwić. Mudda zaś wiedział, że to zniecierpliwienie może być fatalne w skutkach dla niego samego i jego rodziny. Spędzał więc na rozmowach oraz ich podsłuchiowaniu całe dni, krążył po madrasach, po salach świątynnych, tawernach, nielegalnych domach uciech, szukając czegokolwiek, co mogło zadowolić zamaskowanego. Trafiał jednak na same płotki. Raz był to prostaczek, który nieświadomie głosił herezję, a za drugim razem kupiec ukrywający dochód przed poborcami. Mudda nie zawiadamiał o nich nikogo. Wiedział, że w oczach mocodawcy nie zyska na tym wiele, a miał już wystarczająco zszargane sumienie.

Tak czy inaczej, jego poszukiwania okazywały się bezowocne. A przynajmniej do ubiegłego tygodnia. Wtedy to złowił uchem rozmowę

dwóch rzemieślników wracających z czytania. Jeden skarżył się, że ktoś wchodzi nocami na jego podwórze i myszkuje przy ścianie starego składziku. Młody Duzzah był tak zdesperowany, że podążył za mężczyzną do jego domu. Każde tajemnicze zdarzenie mogło przecież wieść do innych! Przy nadkruszanej ścianie nie znalazł nic ciekawego, lecz postanowił spędzić noc w cieniu pobliskiego muru w nadziei, że ktoś przyjdzie. Dygotał, owinięty w bacharni płaszcz, odganiał od siebie psy i obserwował szczury, które przy pryzmie odpadków walczyły o pożywienie.

W samym środku nocy, gdy Duzzah niemal już zasnął, z uliczki przy domu rzemieślnika wychynął niski chłopiec. Rozglądał się uważnie na boki, przemykał zacienionymi miejscami, widać chodzenie ulicami o zakazanych porach nie było dla niego pierwszoznaczną. Podeszedł do ściany i chwilę grzebał przy niej małymi dłońmi. Gdy odszedł, Mudda zbliżył się i teraz zobaczył już, o co chodzi. W załamaniu muru leżał kamyk innej barwy niż reszta — położony przez chłopca. Czyżby ktoś pozostawiał w ten sposób jakiś znak?

Mudda wynajął człowieka do obserwowania tego miejsca w nocy, a sam wyszedł osobę dającą chłopcu rozkazy. Po jej śladach dotarł do kolejnej skrzynki, kamiennej płytki w łaźni, pod którą umieszczano takie same kamyczki. Płytkę sprawdzało w różnych odstępach czasu pięć osób. Wiedza Muddy powoli się powiększała, wkrótce mógł już powiedzieć, że ma do czynienia z jakąś tajną organizacją, której członkowie nie znają się osobiście ani nie spotykają. Skrytki i kolory kamieni niewątpliwie coś oznaczały, ale tego Mudda nie zdołał rozszyfrować. Dlatego poświęcał wszystkie siły na śledzenie kolejnych zamieszanych w sprawę osób. Chciał podsłuchać jakąś rozmowę, dotrzeć do jakiegoś miejsca spotkań. W końcu mu się udało. Gdy odkrył kolejną skrytkę w bramie Pałacu Ksiąg, okazało się, że stary Duzzah z niej korzystający spotyka się czasem z innymi podejrzanymi w komnatach archiwum. Na ironię zakrawał fakt, że w tej komnacie przechowywano zwoje z czasów proroka Muira; z czasów największej herezji, jaka kiedykolwiek ogarnęła Ocaloną Krainę.

Mudda nie mógł pozwolić, aby taka okazja przeleciała mu koło nosa. Choć śledzenie wewnątrz budynków było trudne i niebezpieczne, przybył na jedno ze spotkań i teraz obserwował spiskowców zza regału pełnego ksiąg.

Widać było, że starszy stoi już niemal nad grobem. Oczy miał zapadnięte, skórę jak pergamin. Schorowane ciało zdawało się tonąć w przepysznej szacie, w bufiastych rękawach i spodniach, turban zaś osuwał się na brwi. Drugi był z pewnością szlachcicem, o czym świadczyła jego jedwabna

dzielaba z wyszywaniem skrajem, przetykany złotem pas oraz utrefione włosy wraz z idealnie przystryżoną brodą. Rozmawiał ze starcem bardzo cicho, tak że Mudda łowił uchem tylko co któreś słowo.

— ... nowych brak. Mam... Al'Dabhem... mówi.

— Uciszyć go. W księdze zapisano... rozważnych... czasu...

— ... niekorzyść! Przecież...

— ... nastąpiłby koniec... ostatni...

Szlachcic zabębnił nerwowo po stoliku.

— ... nie posłucha?

— Odbierz... nie będzie... Nie tak się umawialiśmy...

— ... ma już broń. Jest...

Staruszek machnął dłonią, jakby odpędzał natrętną muchę.

— Na Jedyne! Dajże mi...

Podniósł z blatu jeden ze zwojów i podał go rozmówcy.

— Masz... wyciągnij z tego... dwustu trzynastu, a reszta... śmierć.

Rozumiesz już?... nie zgodzę się.

— ... sam.

— Wtedy zginie!

— A po jego... do nas... koniec...

— Rzekłem już wszystko. Teraz...

Szlachcic westchnął i podniósł się z mahoniowego krzeselka. Pożegnał się z Duzzahem i wyszedł. Mudda skulił się za regałem, by nie wpaść szlachcicowi w oko. Potem, bardzo cicho i dyskretnie, ruszył za nim. Choć strzępki rozmowy można było zinterpretować na wiele sposobów, czuł już, że sprawa może być poważna.

Gdy wyszedł na światło dzienne, płaczliwy głos muezina ogłaszał właśnie czwarte czytanie. Z domów zaczęli powoli wylegać mężczyźni, którzy samotnie lub małymi grupami szli do najbliższej świątyni. Szlachcic parł jednak pod prąd, kopiąc w zamyśleniu kamyki. Dla osoby tak wprawnej jak Mudda śledzenie go było dziecinną igraszką.

Mężczyzna przeszedł przez prawie całą Dzielnicę Rzemieślników i zanurzył się w wąziutkie zaułki Krwawego Sztyletu. Tu Mudda nabrał ostrożności w obawie, że śledzony mógł zdać sobie sprawę z jego obecności. Wtedy w najlepszym wypadku spróbuje go zgubić w labiryncie zaułków i brudnych podwórek, a w najgorszym — przyczai się za jakimś zakrętem, by zadźgać prześladowcę z dala od ludzkich oczu.

Na szczęście obawy okazały się płonne, szlachcic najwyraźniej nie

wiedział, że jest śledzony. Bez wahania podążył ku bocznemu wejściu w starym, dwuskrzydłowym budynku. Przy grubych, czerwonych kotarach dwóch ludzi grało w kości, ale Mudda widział, że nie po to siedzą przy progu. Pod chałatami mieli zapewne broń. Mężczyzna kiwnął im lekko głową i wszedł do środka. Duzzah tymczasem pogładził brodę i uśmiechnął się. Choć donosicielstwo było dla niego ciężkim brzemieniem, potrafił cieszyć się z dobrze wykonanej pracy, nawet jeśli była to praca tak niewdzięczna.

Miał już teraz kilka punktów zaczepienia, kilka osób i miejsc. Ciekawe, ile jeszcze odkryje? Bo czy to możliwe, aby w Tel’Halik, w mieście, gdzie szpiegów Vezamara jest więcej niż daktyli w gąsiorze daktylowego wina, istniał jeszcze tak rozległy spiszek?

Mudda czekał chwilę pod wejściem, nikt jednak nie wychodził i nikt więcej nie wchodził. Duzzah postanowił nie ryzykować przeciskania się do środka, bo choć mógł wytłumaczyć grającym na progu wyrostkom, że pomylił miejsca, to pewnie spłoszyłby zwierzynę. Poza tym był bardzo głodny i zmęczony, ruszył więc do domu szybkim, sprężystym krokiem, obmyślając dalszy plan działania.

Tymczasem szlachcic, który wszedł do budynku, znalazł się w krainie grubych dywanów, oparów kadzideł, misternie inkrustowanych mebli oraz delikatnego światła złożonych kaganków. Budynek o wiecznie zamkniętych okiennicach ukrywał bowiem w środku prawdziwą oazę luksusu — tak jak ciemna i niepozorna skorupa małży potrafi kryć migotliwą perłę. Wnętrza pełne były ludzi. Mężczyźni leżeli na jedwabnych poduszkach, a usługiwały im dziewczęta w muślinowych zawojach. Dla tych, co chcieli być z jedną z nich na osobności, otwierały się wejścia do zaciemnionych bocznych pomieszczeń. Między gośćmi uwijała się postawna kobieta, która z każdym zamieniała słówko, by dowiedzieć się, czy czegoś mu nie trzeba, i naturalnie by pobrać należną opłatę. Nim szlachcic przeszedł pół drugiej sali, była już przy nim. Położyła rękę na biodrze, gdzie złożony łańcuszek podtrzymywał czarną spódnicę.

— To co zwykle, szlachetny Mehidzie? Czy też tym razem wolałbyś zażyć nieco zabawy?

Szlachcic sięgnął do kieszeni i wyjął z niej srebrną centimę.

— To co zwykle. Nie czas na zabawy, gdy wzywa obowiązek.

Kobieta wzięła od niego skromną zapłatę, a on ruszył przez wszystkie pomieszczenia do sporej, prosto urządzonej sali na tyłach budynku. Tam, na miękkich pufach, czekało już kilkunastu innych mężczyzn. Jeden stał i

przemawiał właśnie, gdy wszedł Mehid.

— Niech Najwyższy czuwa nad prawością, a nieprawość zetrze z powierzchni ziemi — rzekł szlachcic.

— Tak niech się stanie — odparli zgromadzeni.

Nie bez przyczyny jako miejsce spotkań obrali sobie nielegalny dom uciech. To był najbezpieczniejszy sposób, bo nikt z tutejszych nie mógł ich wydać. W prywatnych domach nie można już było ufać ani służbie, ani rodzinie. Płacili więc za każde wejście i za każdą klepsydrę zajmowania sali, ponieważ mogło im to ocalić życie. Gdyby wdarli się tu Duzzahowie, każdy ze spiskowców odpowiadałby po prostu za rozpustę i sianie publicznego zgorszenia — za to groziła chłosta oraz dyby. Natomiast zgromadzenie w jakimś sekretnym miejscu z pewnością zostałyby ocenione jako spisek — a za to groziła śmierć.

Mehid, skinąwszy lekko głową prowadzącemu dyskusję, przyjrzał się zgromadzonym. Większość była młoda i pełna sił. Nawet wizja śmierci lub tortur nie potrafiła odebrać im odwagi. Nic dziwnego — wielu z nich było szlachetnej krwi, niektórzy mieli za sobą wojskową służbę, a ostatnio do grupy dołączył nawet Święty Jeździec. Mehid posłał temu młodzieńcowi krótkie spojrzenie. Jego czarna, rozwichrzona czupryna i młodzieńcza twarz o nieco kobiecych rysach mogły świadczyć, że jest niegroźny, Mehid wiedział jednak, że ma przed sobą doskonałego szermierza, ucznia i przyjaciela samego Kashima Al'Shannagga. Ważniejsze było jednak to, że ów młodzieniec pałał szczerą nienawiścią do Vezamara oraz nowych porządków. W ledwie dwa spotkania przekonał resztę, że warto mu ufać, choć zazwyczaj byli wobec świeżych członków spisku nadzwyczaj ostrożni.

Szlachcic zajął jedno z wolnych miejsc i wsłuchał się w rozmowę.

— Zakupu można dokonać przez mojego szwagra, Namiba. Nie będzie pytał o nic, jest lojalny wobec rodu.

— Ale czy dostarczy nam też odpowiedniej liczby pancerzy?

— Nie, Namib może dać tylko ostrza.

— Kilka pancerzy załatwię ja, ze zbrojowni fortu — rzucił Święty Jeździec.

Zebrani zaszemrali zdziwieni.

— Będą to najlepsze zbroje, robione przez dawnych mistrzów. Znam kwatermistrza, zaproszę go na wino i uśpię, a nocą razem z pomocnikiem wyniosę tyle, ile zdołamy unieść.

Prowadzący skinął powoli głową.

— Odważna to zapowiedź — rzekł. — Zaimponowałeś nam, Jeźdźcze. Przejdźmy więc do następnego tematu: strażę w Zakazanym Ogrodzie.

Mehid słuchał uważnie i skubał niespokojnie zarost. Choć stary Ziran Makhar'Bakhr nalegał, by czekać, ci ludzie byli już niemal gotowi. Jeszcze tylko miesiąc czy dwa pracy, jeszcze osiem lub dziesięć spotkań. Kiedy zaś wszystko zostanie przygotowane, każdy tydzień zwłoki będzie tylko zbędnym ryzykiem. Szabla wyjęta z pochwy i wzniesiona nad głowę musi uderzyć szybko.

*

Głęboką nocą krzyki na ulicach zaczęły cichnąć. Coraz rzadziej ktoś dobijał się do drzwi gospody, pacholkiwie z kijami posnęli w sieni. Sala gościnna była niemal pusta, w kominku trzaskał ogień, a jego światło padało na spokojne twarze trójki ludzi, siedzących na drewnianych fotelach twarzą w stronę płomieni. Jeden sączył z kufła piwo, a pozostałych dwóch gapiło się w próżnię. Było cicho i sennie. Przez uchyloną okiennicę wpadał do środka srebrzysty blask księżyca.

— Na Eyul, zaraz przyjdzie mi iść na spoczynek, w ślady Erwalda i naszego miłego gospodarza — rzekł jeden z mężczyzn, barczysty blondyn, na którego czoło spadała równo przycięta grzywa włosów.

— Czas już najwyższy — odparł mu inny, o śniadej cerze i krótko przyciętej brodzie. — Północ już dawno minęła.

Trzeci nie chciał jednak spać.

— Jeśli północ minęła, to wiele mamy jeszcze czasu — powiedział. — Nie nawykłem, moi panowie, tak szybko głowy do poduszki przykładać.

— Bo żyjesz jako nietoperz, w dzień śpisz, w nocy ssiesz krew z ludzi — blondyn zaśmiał się.

— Hej, mnie przynajmniej ludziska płacą z własnej woli, a kto z własnej woli dymne i pogłównie swemu panu daje? — Zripostował mężczyzna. — Nie kłóćmy się jednak, bo wtedy lepiej by już nam było spać. Miast tego opowiedz o swoich ziemiach, obcokrajowcze.

Śniadoliccy drgnął, jakby obudzony z letargu.

— Co? — spytał.

— Rozmawialiśmy o nowinkach z Learfeld i Gotrlandu, a tymczasem ja pierwszy raz w życiu widzę przybysza zza maroviańskich borów. Wiem tyle, ile mi zdążył Brenvan rzec — żeś z pustyni bezkresnej, gdzie wśród piasków wiedziecie życie pobożne i spokojne. Opowiedz mi jednak o swoim dworze, o tym, jakie macie kobiety, jakie rozrywki, o bestyjach, co w dalekich krajach

żyją.

— Po cóż ci ta wiedza, przyjacielu?

— Ha, dla poety nigdy za wiele nowinek! Może poemat jaki napiszę o twoim kraju? A może być i tak, że jeśli mi o czynach swoich opowiesz, parę wersów tobie poświęcę. Wiesz, napisałem kiedyś o śmierci hrabiego Ragnalda, co zginął w tylnej straży swego pana, yaurańską hordę samojeden wstrzymując. Dziś ów poemat szeroko dość znany, więc może i twoje imię rozślawię.

Kashim westchnął.

— Ze wszystkich rzeczy na świecie sławy najmniej mi potrzeba. Opowiem jednak, bo widzę, że spać mi nie dasz, póki ciekawości nie zaspokoisz.

— Racja, przyjacielu — powiedział blondyn. — Znam ci go jak fałszywe złoćce. Będzie dziurę ci w brzuchu wiercił, aż usłyszy to, o co się dopomina.

— O czym więc najpierw?

— O kobietach! — zawołał van Dreyck. — Ładne li są? Ciemnoskóre, jako i ty? A jaki kształt piersi mają? Pełne, jak u nas, czy też płaskie a szpiczaste, jak to częściej bywa w Gotrlandzie? A kibić, biodra? Opowiadaj.

Obcokrajowiec westchnął raz jeszcze i zaczął mówić.

Słowa płynęły leniwie, przerywane tylko co jakiś czas pełnymi emocjami pytaniami Learfeldczyka. Czas mijał, ogień zaczął powoli gasnąć, lecz nikomu nie chciało się wstać i dorzucić szczap. Na zewnątrz zapadła już martwa cisza, a blondyn, słuchając rozmowy tylko jednym uchem, zaczął powoli zasypiać. Wreszcie van Dreyck jęknął:

— Zazdroszczę ci... To musiała być piękna kraina.

— Nie była tak piękna, jak ci się zdaje — odparł Kashim.

— Rozumiem, przecież cię wygnali. Spójrz jednak tylko na nasze życie! Wszystko idzie ku złemu, wszystko grzęźnie — dla nas historia już się kończy. Dotknęła nas plaga gorsza niżli czarna śmierć. Plaga niepohamowanej chciwości, głupoty oraz pychy. Każdy pogardza tymi niższego stanu. I każdy jeno patrzy, jak wzbogacić się na bliźnim. Zamożni okradają biednych, biedni łupią się nawzajem. Na dodatek nic tu już nie ma celu, wszelki wysiłek wniwecz łącno się obraca. No bo rzeknij mi, obcokrajowcze, po cóż nam się żenić, skoro małżonka umrze w połogu bądź w najlepszym wypadku oszpetnie po drugim dziecku? Po co pracować, skoro niesprawiedliwi sędziowie oraz poborcy zedrą z nas każdą monetę? Po co mieć dzieci, skoro będą brzydkie i krnąbrne? Nawet jeśli nie zwrócą się

przeciw nam, nawet jeśli nie umrą, pogrążając nas w goryczy, to rychło zejda na złą drogę i trafią do więzienia.

— Prawdziwie radosny obraz nam malujesz — Brenvan, ocknąwszy się na chwilę z płytkiego snu, zachichotał. — Daj spokój, Johan. Mówisz zupełnie jak jakiś wędrowny kaznodzieja. Jak ów Botten, przez którego całe Rais padło w objęcia szaleństwa.

— Nie przerywaj mi, rycerzu — rozzłościł się poeta. — To nie kaznodziejskie sztuczki i *retos*, ale szczerą prawdą. Spójrz sam — coraz szybciej umieramy i łatwiej zapadamy na choroby. Mężczyzna jest stary, gdy ma czterdzieści lat, kobieta zaś w wieku trzydziestu. A czymże jest starość? Upodlenie, szpetota ciała, a nade wszystko duszy, gderliwość, kłótność, zawiść. A i to szczęśliwcom tylko uda się owego wieku dożyć! Zaprawdę powiadam, nasz czas dobiegł kresu w dniu Rzezi w Corvis. Nikt od tej pory nie zostanie zbawiony.

— I tu cię boli...

— Nie przerywaj, bo kuflem przyłożę, jak matulę kocham! Powiedziałem, że nikt nie zostanie zbawiony, i temu nie zaprzeczysz. Bogowie już nas opuścili, idzie koniec świata, a koniec ten ma barwę yaurańskich sztandarów. Spalą tu wszystko do gołej ziemi, a gdy zostaną już tylko bałwochwalcy i poganie, bogowie bez żalu rozniosą ten świat na strzępy! A jak jest u ciebie, Kirajczyku? U was nie widać końca wszechrzeczy? Wierzysz, że trafisz do rajy?

Kashim zastanawiał się chwilę.

— Nie wiem. Ale niemal całe życie byłem w zgodzie z Księżą, broniłem drogi do Shannyevan, służyłem Jedynemu. Mam w żyłach kroplę Jego krwi. Sądzę, że tak. Jeśli Księdze choć trochę można wierzyć.

— To ci zazdrozczę. Ja nie mam nadziei, podobnie jak wszyscy, którzy trzeźwo patrzą. Ale jeśliś taki mądry, powiedz, co winniśmy robić? Jak żyć, gdy otacza nas tak bezdenne morze zepsucia? Jak osiągnąć zbawienie bez bogów?

Kashim uśmiechnął się.

— Powinni to wiedzieć wasi mędrzy. Jeśli nie wiedzą, pora przegnać ich na cztery wiatry. Jestem tylko wojownikiem, van Dreyck. No, ostatnio po trochu badaczem. Jednak to nie mnie rozstrzygać... — Kashim próbował chwilę znaleźć odpowiednie słowo w języku Learfeld — .. teologiczne sprawy.

— Ale gdybyś miał coś poradzić od siebie? — nalegał poeta.

— Spełniajcie swój cel.

— Cel? Co masz na myśli? — zdziwił się van Dreyck.

Brenvan również nie zrozumiał:

— Może mojemu przyjacielowi pomyliły się słowa. Czasem ma jeszcze kłopoty z językiem. Powiedz, Kashimie, chodziło ci o *aen teget* — miejsce, do którego się podróżuje lub strzela z łuku, czy też *an pehors*: zadanie, rzecz, którą zlecono.

— *An pehors* — rzekł Kashim. — Powiedziałem dokładnie to, co miałem na myśli. Widzisz, celem moim i wszystkich mieszkańców Ocalonej Krainy jest pamiętać o Jedynym i stać na straży Jego ziem. A jaki wy macie cel?

Van Dreyck prychnął.

— Nie ma celu, Kirajczyku. Nawet jeśli jakiś był, został już dawno zapomniany.

Rozdział 13. Caerleighmarch

Od Rais do zamku Caerleigh jechało się, wedle słów Brenvana, nieco ponad tydzień i Kashim postanowił wykorzystać ten czas, by dowiedzieć się więcej o dziwnej krainie, przez którą podróżował. To, co zobaczył w miasteczku, obudziło w nim wielką ciekawość.

Podróżni nie musieli się śpieszyć, bo Erwald, któremu najbardziej zależało na czasie, pożegnał ich zaraz za Rais. Od tej pory Al'Shannagg objeżdżał każde sioło, w którym się zatrzymywali. Rozmawiał też z prostymi ludźmi spotykanymi na trakcie, choć ci wyraźnie obawiali się obcokrajowca. Wyniósł z tego ciekawe spostrzeżenia. Lud Learfeld był porywczy, skłonny zarówno do skrajnej pobożności, jak i szalonych oraz krwawych rozrywek. Wszyscy, począwszy od najprostszego oracza po zakutanego w złotogłów szlachcica, przypominali Kashimowi dzieci w swych zmianach nastroju, w swym nieumiarkowaniu, w przesadnym odgrywaniu roli, jaką nadało im życie. Al'Shannagg był też zdziwiony, jak marnie wykształceni są mieszkańcy tych ziem. Dla chłopów i ubogich rzemieślników świat zamykał się w obrębie dwóch, trzech wiosek. Nie umieli czytać, nie znali się w ogóle na leczeniu, w zamian wierząc w dziwne zabobony i gusła. Widocznie tak być musiało, skoro nie posiadali swoich Pałaców Mądrości ani Duzzahów, którzy gotowi byli dzielić się mądrością za darmo, bo tego wymagał od nich urząd.

Brenvan przyglądał się badawczej pasji Kashima z niechęcią i dawał mu do zrozumienia, że rozmowy z plebsem źle wpłyną na jego reputację, a pośrednio — na reputację rodu Aam Caerleigh. Na szczęście Al'Shannagg znalazł do tych zajęć innego kompana: van Dreycka. Ten wędrowny wierszokleta chętnie rozmawiał z ludźmi, był dowcipny i pełen życia. Kashim polubił go, choć i w jego zachowaniu czuł pewną przesadę, która tak mocno teraz biła z postawy kawalera Aam Caerleigh.

Dni mijały szybko. Co prawda gościec już zniknął, rozdzieliwszy się na kilka mniejszych szlaków, jednak i te były wygodne. Podróżni jechali między skoszonymi polami, małymi wioseczkami, zagajnikami i strumieniami. Od czasu do czasu siąpił deszcz, lecz przez większość podróży rozgrzewały ich ostatnie promienie jesienno słońca. Ta kraina w kolorze brązu i żółci zdała się Kashimowi niezwykle piękna.

Piątego dnia od opuszczenia Rais wyprawa dotarła do skrzyżowania traktów. Ścieżka, którą jechał Kashim z towarzyszymi, przecinała ludny i szeroki gościniec, łączący jedne z większych miast marchii. Skrzyżowanie leżało pośród łagodnie pofalowanych pól i, ku zdziwieniu Al'Shannagga, nie było przy nim żadnego budynku. W Ocalonej Krainie zwykle w takich miejscach stawiano karawanseraje, lecz tutaj Święty Jeździec wypatrzył tylko pstrokaty namiot, odcinający się od zieleni przydrożnych krzewów. Pod namiotem siedział znudzony pacholek, zajęty struganiem kijka. Przy drodze zaś stał rycerz w polerowanym pancerzu i garnczkowym hełmie ze złotymi ladrami oraz głową jelenia. Wspierał się ciężko na mieczu, a z szerokiego pasa zwisał mu kiścień oraz mizerykordia. Tarcza leżała nieopodal, oparta o drzewo. Gdy tylko podróżni zaczęli się zbliżać, rycerz wyprostował się dumnie. Kashim dostrzegł teraz, że do jego prawej nogi jest przytwierdzona nieduża, połączana kula na łańcuchu.

— Coś mi się widzi, że zaraz czekają nas nieliche kłopoty — van Dreyck nachylił się do Brenvana.

Aam Caerleigh ponuro skinął głową. Kashim tymczasem z zainteresowaniem lustrował obcego, który wyglądał jak srebrny posąg. Z nieczystości zalegających wokół namiotu łatwo było poznać, że ów rycerz obozował przy trakcie od wielu dni.

Gdy podróżni byli ledwie kilkadziesiąt kroków od niego, mężczyzna wyszedł na środek gościńca i siląc się na odpowiednio wyniosły ton, rzekł:

— Przejścia nie ma! Jam jest Dervel Aam Nitte, kawaler zakonu Srebrnego Runa, i stać mi tu przyszło z honorową strażą, póki pięciu rycerzy szlchetnych nie zmożę w pieszej walce ku chwale mojej pani, najpiękniejszej w świecie, szlchetnej i czystej niczym gwiazda panny Brygidy von Zarr. Wtedy tylko będę mógł kulę oną od nogi zdjąć i zdobędę serce mej damy.

Van Dreyck uśmiechnął się i szepnął Kashimowi do ucha:

— Znam ja tę pannę von Zarr. Oto kolejny kiep, co na nią nabrał chrapki. Aam Nitte — pewnikiem prowincjusz, który na dwór jej ojca zajechał i tam dał się kiejby łątka w sak ułować. Trzeba ci wiedzieć, że panna von Zarr takich dla krotchwili wpierw kokietuje, aby potem do różnych głupich przysiąg zmuszać.

Rycerz zwrócił się teraz do Brenvana:

— Wyzywam przeto na pojedynek najszlchetniejszego z was, inaczej przejścia nie dam, a o tchórzostwie waszym opowiem wszystkim

szlachetnym panom, jakich napotkam.

— Nie starczy nam najzwyczajniej objechać tego rycerza w koło? — spytał cicho Kashim.

— Bogowie by dali! Niestety, kawaler Aam Caerleigh prędzej szcześnie, prędzej żywcem spłonie i kuśkę da sobie urznąć, niż odmówi rycerskiego pojedynku. Poczytałby sobie ów fakt za zmasę na honorze własnym, honorze rodu, honorze swojego bractwa i także honorze paru innych rzeczy.

Wystarczyło jedno spojrzenie na twarz Brenvana, by Święty Jeździec pojął, że van Dreyck ma rację. Jego towarzysz siedział w siodle sztywno, ze ściągniętymi wargami, i uważnie spoglądał na przeciwnika, jakby chciał oszacować, jak trudny będzie pojedynek.

Aam Nitte odezwał się znowu:

— Czekam, aż wystąpi godzien, który skrzyżuje ze mną miecze.

Brenvan odwrócił się do dwójki przyjaciół, po czym rzekł:

— Trudna rada, muszę walczyć, chociaż straszliwa to pieniędzy marnacja.

— Pieniądzy? — zdziwił się Kashim. — Toś tak pewny siebie, że o życie się nie boisz?

— Kirajczyku! — prychnął van Dreyck. — Widziałeś kiedy honorowe pojedynki? Panowie rycerze będą wpierw chodzić wokół siebie i puszyć się jako pawie, dwornie sobie ubliżając. Kiedy już pomyślisz, że tak zostanie do zmierzchu, jeden wreszcie podejdzie do drugiego i zaczną się bez przekonania okładać po blachach, a gdy który zbyt długo na zbroi uszczerbku dozna lubo też krew mu z nosa pójdzie, podda się zaraz i tyle będzie pojedynku. Jedyne co z tego przyjdzie, to godny księcia rachunek u zbrojmistrza.

Aam Caerleigh spiorunował trubadura wzrokiem.

— Widzę, żeś lepiej uczony w sztuce pojedynkowej niż herbowi — powiedział. — Ty zaś, Kashimie, wiedz, że i w honorowej walce rozplątane brzuchy się zdarzają albo urżnięte członki. Jednak zazwyczaj strata istotnie większa jest w złoćcach niż we krwi, a ja tych pierwszych nie mam w nadmiarze. Przeto pytam się, czy który wie może, jak lepiej pozbyć się tego paniczyka niż za pomocą mojego miecza?

— Najwyższy mi świadkiem, że wolałbym w takiej sprawie szabli nie wznosić — odparł Kashim. — Jednak mam u ciebie dług, kawalerze, przeto jeśli chcesz, stanę. Jenowiedzw, że mnie nie uczono walki dla zabawy, ale dla zabijania. Mogę mu z pomocą Jedyne go wrazić szable między blachy, lecz

sam rozumiesz, że...

— Nie, na bogów! Tego być nie może, Kirajczyku. Nie chcę, by się fama rozeszła, że obcokrajowiec w pojedynku szlachetnego pana zadźgał. Zaraz, w dzień i w nocy, do zamku Caerleigh dobijać by się poczęli różni rycerze z marchii, by plamę na honorze zmyć i wyższości swego oręża nad cudzoziemskim dowieść. Może więc ty, mości Filipie?

— Co, że niby ja mam z nim walczyć? — zdziwił się van Dreyck.

— Nie, do diaska! Miałem na myśli to, byś nas od pojedynku jakimś fortem zbawił. Bacz jeno, by sprawę rozwiązać zgodnie z regułami rycerskiego kodeksu.

Trubadur westchnął i przeczesał ręką włosy.

— Długo jeszcze przyjdzie mi czekać na odpowiedź? — upomniał się Aam Nitte.

Van Dreyck oczyścił chrząknięciem gardło, po czym rzekł donośnie:

— Gorze nam wszystkim, gdyż wielkie nastąpiło dziś nieszczęście — z twojej przyczyny, kawalerze!

— Z mojej? O co ci chodzi, człeku? — spytał niepewnie rycerz.

— Tak właśnie, bowiem dzisiejszy dzień okazał się dla naszej marchii dniem zguby, dniem, który nasze wnuki będą po wielekroć przeklinać. To znaczy jeśli będziemy mieli wnuki, bo wedle wszelkiej miary zginiemy wkrótce marnie.

— Cóż takiego mówisz? Czyś szalony?

— Nieszczęściem, które mam na myśli, jest wojna, co zacznie się, kawalerze, z twojej winy!

Rycerz chciał coś odpowiedzieć, lecz van Dreyck nie dał sobie wejść w słowo.

— Ten oto cny człek z dalekich krajów — wskazał na Al'Shannagga — jest potężnym pryncem, synem wielkiego króla zachodu, którego armia niewiele jeno ustępuje armii całego Yauranu. Nie wiesz zali, że rada parów posłała do zamorskich ziem posłów, by znaleźć dogodny sojusz przeciw cesarskim hordom? Pięć statków i pięciuset ludzi w podróż wyruszyło, lecz ledwie garstka dotarła, wprawdzie walcząc z krakenami na zimnych morzach, potem ze smokami wśród gorących pustkowi. Ci, co przeżyli, przybyli wreszcie do złotego miasta, w którym zasiadał król o szacie ze złotogłowiu i diamentów, na tronie z berylu. Król, gdy usłyszał o nieszczęściach, jakie nasz sprawiedliwy i cny lud cierpi od yaurańskich najeźdźców, wzruszył się, zapłakał rzewnie i postanowił słać do nas swego syna z poselstwem, aby

ułożył z radą parów warunki godnego sojuszu. Prync wraz ze swoją gwardią oraz resztką learfeldzkich rycerzy musiał znów pokonać zdraдлиwe pustkowia i wzburzone morze. Ledwie tuzin z dzielnych mężów powróciło do brzegu naszych ziem, a z tego tuzina dziesięciu dało gardła w ciemnych lasach Marovii. Masz przed sobą księcia oraz posła rady, dwóch ostatnich, którzy cudem zawędrowali tak daleko, i oto zastępujesz im drogę i na pojedynek ich wyzywasz, gdy byli niemal u celu swej podróży! O, bogowie! — Van Dreyck w dramatycznym geście wyciągnął ręce ku niebu. — Jakaż w tym okrutna ironia, że pokonawszy tyle zamorskich dziwadeł, z największą przeszkodą już we własnym się spotkali kraju.

Rycerz zdjął hełm, spod którego wyłoniła się twarz młodzieńca o grubych rysach i tępych spojrzeniu. Stropiony, chwilę patrzył to na jednego, to na drugiego z przybyszów.

— W czym rzecz, cny heroldzie? — spytał wreszcie van Dreycka. — Przecie idzie mi tylko o honorowy pojedynek! Krzywdy czynić nikomu nie zamierzam!

— Aaach... Wiedz, że jeśli do pojedynku dojdzie, honor nakaze walczyć zamorskiemu księciu, bo on w naszej kompanii jest najdostojniejszy. Czyżbyś, szlachetny panie, tak przywykł do potęgi i wojennych przewag learfeldzkich rycerzy, że zapomniałeś o słabości dzikich barbarzyńców?

Kashim z trudem powstrzymał uśmiech. Wiedział już, do czego zmierza trubadur.

— Ów prync — kontynuował van Dreyck — choć szlachetny i mężny, padnie po ledwie kilku ciosach, a jego dziwaczna, cudzoziemska zbroja łącno się rozpaść może przy najlżejszym puknięciu. Nawet nie chcąc, z pewnością krzywdę mu uczynicie, panie. Wtedy zaś nie tylko podważycie sojusz, lecz także przysporzycie nam strasznego wroga, bo ojciec księcia zapragnie zemsty.

— Przeto nie nalegam, by walczył sam książę. Może pan rycerz spod znaku jednorożca, który mu towarzyszy?

— Wykluczone! — krzyknął van Dreyck. — Książę nigdy na to nie przystanie, zresztą gdyby panu Aam Caerleigh cokolwiek się stało, wszelakie rozmowy dyplomatyczne staną się niemożliwe. To jedyny żywy człowiek na tych ziemiach, który zna języki zachodu.

— Może więc chociaż wy, drogi heroldzie, zaszczyćcie mnie pojedyńkiem — jęknął rycerz. — Honor nie pozwala mi oddać miejsca, bom ślubował nikogo nie puszczać bez walki.

— Jam jest pospolity człek, choć w księgach uczony. Szlachetnej krwi nie mam w żyłach, przeto wytaczając ją ze mnie, łatwiej niesławę niż sławę zyskasz, kawalerze.

Dervel Aam Nitte zaklął. Chwilę kręcił się w miejscu, nie mogąc podjąć decyzji. Obsypany krostami paż odłożył kozik wraz z patykiem i czekał, patrząc na swojego pana.

— Dobrze więc, jedźcie. Rychlej przyjmę plamę na honorze, niżbym miał zdradzić marchię atakiem na posłów.

— Niestety — powiedział trubadur melancholijnie. — Zło się już dokonało, wyzwanie zostało rzucone. Ktoś będzie musiał walczyć!

Kashim odwrócił się do Brenvana i rzekł w języku Tel'Halik:

— Udawajmy rozmowę. Niech myśli, że mamy wątpliwości.

Aam Nitte patrzył na twarze Kashima i Brenvana, jakby chciał wyczytać z nich treść dyskusji.

— Książę właśnie pytał, na jaką broń toczy się w naszym kraju pojedynki — pomógł mu van Dreyck. — Pan Aam Caerleigh próbował odwieść go od pomysłu walki, lecz to na nic się nie zdało.

Na twarzy młodego rycerza zrezygnowanie ustąpiło miejsca obawie.

— Zaklinam was, panowie! — rzekł. — Po prostu przejedźcie, a ja udam, że nigdy was nie widziałem!

Van Dreyck odwrócił się do towarzyszy i chwilę rozmawiali ściszonymi głosami. Wreszcie odparł:

— Zgoda, dla dobra i spokoju naszego królestwa książę poniecha walki. Musisz jednak poprzysiąc na swój miecz i honor swego rodu, iż nigdy i pod żadnym pozorem nie powiesz nikomu o naszym spotkaniu. Wtedy bowiem splugawiłbyś honor wielkiego królestwa zachodu, co skończyć by się mogło tylko krwawą wojną!

— Przysięgam! Na bogów przysięgam, na honor, na swój rycerski pas! Nigdy i nikomu!

— Pamiętaj! I dziękuj bogom, że udało nam się uniknąć tragedii, która z twej przyczyny omal tu się nie wydarzyła.

Gdy nieszczęśliwy rycerz ustąpił z gościńca, podróżni spokojnie minęli skrzyżowanie. W ten sposób wjechali na drogę wiodącą wprost do Caerleighmarch.

*

Fala ciemnego żelaza ściekała powoli zboczem, jak miód po brzegach misy. Panczerze piechurów, choć odymione, by nie przyciągały z daleka oczu

jasnymi refleksami, odcinały się wyraźnie od czerwonego stoku. Armia Tel'Halik maszerowała w równych szeregach, podzielona na karne bataliony. Setnicy dawali sobie znaki gwizdkami, dziesiątnicy krzyczeli, pilnując szyku. Gdzieś w środku tego całego hałasu, wśród szczęku broni i pobrzękiwania ekwipunku, tkwił Narfah Makhar'ad.

Nerwowo żując kawałek słomy, który wyciągnął z wyściółki hełmu, lustrował teren przed sobą, niedużą kotlinę o stokach porytych żlebami. Robił to bez pozwolenia, bo dziesiątnicy zabraniali się rozglądać. Od tego byli zwiadowcy, żołnierz zaś miał patrzeć tylko na swojego dziesiątnika, by nie przegapić żadnego sygnału. Narfah jednak nie potrafił oderwać wzroku od skalnych załamów i wielkich kamieni. Bał się. Tyle już słyszał o celności Degów, którzy ślali z zasadzki strzały, by zaraz zniknąć niczym mgła o poranku. Ich łuki sklepane z wielu warstw drewna i ścięgien, wywracane na odwrotną stronę celem uzyskania większego naciągu, z bliska przebijały nawet łuski pancerza. A często i to nie było konieczne, bo górale potrafili celować w nieosłonięte punkty — w szyję, w twarz. Już kilku ludzi z regimentu Narfaha zginęło w ten sposób, nawet nie widząc wroga. Dla młodego szlachcica taka śmierć była szczególnie odstręczająca. Mógł paść w chwale, w sercu jakiejś krwawej bitwy, ale nie postrzelony w plecy przez tchórzliwego Dega! Nie, to było nie do pomyślenia.

Narfah żałował swojej głupoty. Gdyby nie duma, która kazała mu się kłócić z oficerami w obozie dla rekrutów, pewnie byłby teraz dziesiątnikiem lub setnikiem, jak większość żołnierzy z darem. Jednak zraziwszy do siebie dowódcę kompanii, został zwykłym piechurkiem. On, doświadczony jeździec i szermierz, wyśmienity strzelec, znawca literatury i religijnych traktatów — pikinierem! Jak mógł wykorzystać swą zwinność i doświadczenie, stojąc w ciasnym szeregu? Jak mógł pokazać kunszt walki, mając w dłoniach drzewce tej prostackiej i niefinezyjnej broni? Zaiste, miał powody, dla których mógł się przeklinać.

— To będzie dzisiaj. Czuję w kościach. To już — szepnął piechur po lewej stronie Narfaha.

— Cicho. Jeszcze usłyszysz nas ten szalony pies Dżizim.

— Słuchaj, gdyby jednak... Jeśli zginę, odnajdź moją narzeczoną, Mahirę Al'Ziwari. Mieliśmy się pobrać, ale...

— Cicho tam, na Jedynego!

— Przyszli po mnie trzy dni przed ślubem. Napisałem do generała Al'Ghaziego, lecz nic... Słuchaj, chcę, żeby dostała moje pieniądze. Niech

spadek po mnie weźmie ona, a nie ten głupi dzieciak, mój brat. Obiecuj, że...

— Nie gadaj tyle... zaraz...

— Proszę, obiecuj...

Narfah nie odpowiedział, zbyt skupiony na lustrowaniu otoczenia, by myśleć o towarzyszu. Również on przeczuwał, że dziś wreszcie Degowie wydadzą im bitwę. Bin'Sigd, czyli Dziurawy Stok, roztaczający się właśnie przed maszerującą armią, był ostatnią doliną przed Umm'al'Biyara. Degowie, którzy dotychczas szarpali tylko ich flanki, muszą tu stanąć, jeśli chcą ocalić serce Żelaznych Wzgórz. Wiedział też o tym generał, dlatego od dwóch dni maszerowano tak, jakby zaraz miała zacząć się bitwa — w karnych formacjach, w pełnym uzbrojeniu, powoli i ostrożnie, tak by żaden regiment nie odsunął się za daleko od reszty. O ile w momencie wymarszu z Tel'Halik wielu rekrutów miało jeszcze problemy z podstawową musztrą i trzymaniem szeregu, to po tych dwóch dniach regimenty ruszały się jak części w mechanicznym zegarze.

Przed szeregiem Narfaha przejechał jakiś oficer, a zaraz za nim Duzzah w przepysznej szacie. Młodzieniec zmełł w zębach przekleństwo. Choć duchowni szli z nimi, by wspierać ich w walce i dokonywać czytań w przewidzianych prawem porach, żaden nie miał nawet broni. W razie walki od razu chowali się na tyłach lub w głębi szeregów. Po raz pierwszy w życiu młody Makhar'ad zazdrościł Duzzahom.

Gdy kurz wzbity przez saury opadł, rozległ się gwizd, następnie ryki dziesiętników. Na szerokim stoku regimenty zaczęły oddalać się od siebie, rozwijać skrzydła. Narfah odjął prawą dłoń od piki, by wytrzeć ją o skrawek szaty, który wystawał spod zbroi na wysokości połowy uda. Drewno ślizgało mu się w rękach. Potem wpatrzył się w skałę po lewej stronie doliny. Jej zaciemnione załomy były najlepszym miejscem dla górali z łukami. Narfah czuł, że jeśli jacyś byli w Bin'Sigd, kryją się właśnie tam.

W momencie gdy młody żołnierz prześlizgiwał się wzrokiem po załamaniach skały, za jednym z nich kulił się Czinbej, prosząc przodków, by dali mu odwagę, dziś bowiem mu jej brakowało. Oto bowiem z kryjówki widział, jak liczne są legiony Pustynnego Miasta. Co więcej, armia posuwała się naprzód w zwartym szyku, a żołnierze szli ramię przy ramieniu, niczym żelazny mur. Czinbej nie wiedział, co teraz myśli Tenzih, którego ludzie ukryci byli w jarach po przeciwległej stronie doliny. Sam jednak pojmował, że bitwa na tych warunkach jest samobójstwem. Nie można było liczyć na to, co udawało się dotychczas — że nagłym i wściekłym atakiem wprowadzą

chaos, część żołnierzy ucieknie, a reszta nie będzie wiedziała, co się wokół dzieje. Gdyby górale spadli teraz w dolinę, odbiliby się od rzędów opancerzonych, zdeterminowanych żołnierzy. A przecież nie mogli siedzieć w nieskończoność pośród skał, jeśli chcieli zagrozić legionom drogę do Umm'al'Biyara.

Czinbej wiedział, że Tenzih, mimo zwycięstw, wciąż ma wielu wrogów. Gdyby wojska Tel'Halik odbiły dolinę i Czerwony Fort — największe symbole zwycięstwa młodego górala — część rodów mogłaby odłączyć się od rebelii. Tenzih oczywiście zdawał sobie z tego sprawę i dlatego Czinbej się bał. Wiedział, że dla powodzenia buntu wódz nie cofnie się przed żadnymi ofiarami. Nawet tak wielkimi, jakie musiał przynieść szalony atak na całą armię proroka.

Fala żołnierzy spłynęła już do połowy stoku. By zająć całą jego szerokość, sześć regimentów powoli oddalało się od siebie. Za nimi dreptało kilka małych chorągwi łuczników. Zwiadowcy wjechali w dolinę, by dotrzeć do każdego jej zakątka. Oddział pancernej kawalerii zajął miejsce w górze, ponieważ stąd mógł błyskawicznie dojechać do każdego ze skrzydeł.

Czinbej splunął na ziemię i zdjął z pleców łuk. Teraz wszystko było już kwestią kilku chwil. Prosił przodków, by przegnali to niebezpieczne drżenie dłoni, które nagle go opanowało.

Narfah mocniej ścisnął drzewce włóczni. Potknął się o kamień i omal nie upadł na żołnierza z pierwszego szeregu. Nie wiedzieć czemu, nogi miał zdrętwiałe. Stok okazał się nagle trudny do pokonania. Pot spływał po karku żołnierza, krew łomotała mu w skroniach.

Gdy w powietrzu świsnęło kilka strzał, a pierwsi zwiadowcy zwalili się z sodeł, większości mężczyzn w Bin'Sigd serca podeszły do gardeł.

*

— Dziwny to kraj — rzekł Kashim, gdy pstry namiot zniknął daleko za ich plecami — gdzie mężowie składać muszą dziwaczne przysięgi, by zaskarbić sobie przychylność niewiast. Zresztą cóż za sprzeczność: kobieta kazała mu walczyć, a jednocześnie obarczyła go kulą, która utrudnia walkę.

— Ha! Bywały i gorsze ślubowania — powiedział Brenvan. — Lord Dunsday przyobiecał raz, że nie tknie mięsa ni piwa, póki nie odbije twierdzy Yearlwight z rąk Gotrlandczyków. I tak pości już dwunasty rok. Albo pan Ragnald van Eberhoff, któren do bitwy idzie z opaską na oczach, bo ślubował, że będzie ślepcem, póki tuzina yaurańskich żołnierzy nie zetnie.

— Jak dotąd ściał już pono tuzin własnych knechtów — wtrącił van

Dreyck. — Lecz najgłupszy ślub, o jakim w życiu żem słyszał, jest taki: otóż pan Aam Ulgwyrth, któren mało w zbroi nie utonął podczas przeprawy przez rzekę, przyobiecał, że póty wody nie tknie, póki nie nauczy się pływać. No i teraz cuchnie niczym wieprz, no bo jak głupiec może posiadać sztukę pływania wody przy tym nie tykając?

— Przesadzasz, van Dreyck — Brenvan skrzywił się. — Nie tak to było, lecz widzisz już, Kashimie, że kula u nogi nie jest najsurowszym ślubem, jaki może złożyć rycerz. Po prawdzie, mało to uciążliwe zobowiązanie.

— Ale co on robi, kiedy trza mu spać? — zdziwił się Al'Shannagg.

— Pewnikiem zdejmuje cały pancerz prócz nagolennika.

— Lub też ów nagolennik przyczepia na nogę sługi, wedle zasad zastępstwa honorowego, na które rycerze często się powołują — dodał van Dreyck ze śmiechem.

— Nie prawdziwi rycerze.

— Odważnyś przyjacielu, jeśli hrabiego Aam Wirge zwiesz „nieprawdziwym rycerzem”. O ile mnie zresztą pamięć nie zwodzi, w twym rodzie takż jeden szlachetny kawaler posłał swego knechta, draba ponoć okrutnego, na honorowe zastępstwo w pojedynku.

— To było dawno temu. — Brenvan się zdenerwował. — Zresztą stryj nie miał wyboru, jako że przeciwnik jego słynął ze zdradzieckich metod walki. No i wspomagał się magią.

— Hej, ja tej magii nigdy nie widziałem, a rzeczzonego Gotrlandczyka, co miał przeszło sześć stóp, trudno było przeoczyć.

— Poniechaj, van Dreyck — syknął Brenvan. — Poniechaj albo źle na tym wyjdiesz.

Trubadur wzruszył ramionami.

— To tylko gwoli odmalowania naszemu przyjacielowi pełnego obrazu rzeczy. Dalej i tak ciągnąć nie zamierzam.

Nie ujechali jednak kilkuset kroków, a Brenvan sam wrócił do tematu.

— Wiem, co robisz w naszej kompanii, van Dreyck — rzekł. — Liczysz na to, że w zamku Caerleigh znajdziesz kąt, gdzie będziesz mógł zimę przeczekać w ciepłe i dostatku, dziewczkę zbałamucić i garniec piwa ze spiżarki ukraść. I ja nic przeciw temu nie mam, by szlachetnie urodzeni wspierali tych spośród plebsu, którzy talentami ponad swój stan wyrastają. Wiedz jednak, że zły to pies, który rękę pańską gryzie.

— Nie rozumiem, Brenvan, o co ci...

— Idzie mi o to, że to nie karczma ni burdel, w którym możesz ciętym

językiem imponować dziewczkom sprzedajnym, rzeźmieszkom i żakierni. Nazbyt często wcinasz się w rozmowy moje i Kashima, a co gorsza, budujesz mu przed oczyma fałszywy obraz naszych ziem, zwyczajów i, przede wszystkim, stanu rycerskiego. Nie pozwolę na to, van Dreyck. Jenó w komedianckich trupach giermek dogaduje rycerzowi, a wszyscy się z tego śmieją. Bacz, że w prawdziwym życiu za takie przygadywania może ci spaść głowa, jeśli trafisz na mniej wyrozumiałego pana.

W tym momencie Al'Shannagg uznał za stosowne włączyć się do rozmowy:

— Uspokój się, Jasnowłósy. Mam własny rozum. To nie opowieści van Dreycka wpływają na moje sądy, lecz to, co sam widzę i słyszę.

Ta odpowiedź nie ucieszyła ani rycerza, ani trubadura.

— Uważam, że traktujesz go zbyt ostro — dodał Kashim w mowie Pustynnego Miasta.

— Ty też przeciwko mnie? Mówiłem: zły to pies...

Kashim zmarszczył czoło i zacisnął zęby. Przez chwilę wyglądał, jakby zaraz miał wpaść w gniew, lecz w końcu położył dłoń na naramienniku Brenvana, mówiąc:

— Uważaj, przyjacielu. Nie jestem sługą nikogo, poza Księżą oraz paszą Asimarem. Dotychczas puszczałem koło ucha twoje narzekanie i humory, kierując się mądrościami proroków. Teraz jednak, Najwyższy mi świadkiem, zaczynam tracić cierpliwość.

Brenvan zamruczał coś złowrogo, po czym zepchnął dłoń Kashima. Od tej pory jechał daleko z przodu, obrażony. Al'Shannagg z kolei zastanawiał się, jak upłynie mu zima w zamku Caerleigh. Z każdym krokiem, który zbliżał go do rodzinnych ziem, Jasnowłósy stawał się coraz bardziej obcy.

Na szczęście przykra atmosfera nie trwała długo. Wieczorem, gdy dostrzegli przed sobą mały potoczek i kamienny most, Aam Caerleigh poweselał. Długo patrzył na stare omszałe kamienie, na dziurawe deski i skrzącą się w ostatnich promieniach słońca wodę, która przelewała się pod nimi. Wreszcie rzekł:

— I oto dojechaliśmy, przyjaciele. Za mostem są ziemie mojego ojca. Dotarliśmy do Caerleighmarch!

*

Czinbej sięgnął do kołczanu przy pasie. Pod palcami czuł tam już ledwie kilka piór. Szybko wyciągnął strzałę, nałożył ją na cięciwę i wychylił się zza kamienia. Strzelił, nie celując. Ciężko było nie trafić w zbity czworobok

żołnierzy Tel'Halik, stojących nieopodal skały. Jednocześnie Czinbej ocenił szybko sytuację i wskoczył z powrotem za kamień, bo w jego stronę posypały się pociski. Z lewej ktoś zarządził boleśnie.

Sytuacja była coraz gorsza. Choć zadali żołnierzom Tel'Halik spore straty, plan Tenzih się nie powiódł. Młody Czenda założył, że gdy po wejściu w dolinę piechota zostanie ostrzelana z dwóch stron, armia rozdzieli się, by spacyfikować oba szczyty. Wtedy jedna z górskich grup mogła zostawić dla pozorów garstkę obrońców i przebiec graniami na pomoc drugiej. W powstałą między oddziałami Tel'Halik szczelinę wjechałby jeźdźcy, ukryci w wąwozie za Bin'Sigd. Gdyby to się udało, jedno ze skrzydeł armii Pustynnego Miasta zostałyby otoczone i zniszczone. Potem zaś los bitwy znalazłby się w rękach Najwyższego. Niestety, żołnierze Świętego Miasta zrobili coś trudnego do wyobrażenia. Gdy z obu stron posypały się strzały, a szeregi zaczęły się rozluźniać, dziesiątnicy natychmiast przywołali ludzi do porządku, ścinając przy tym kilka głów. Dwa regimenty z prawego skrzydła ruszyły do zlebów, by podjąć walkę z ludźmi Tenzih. Reszta zwiększyła odstęp i wciąż tkwiła na stoku, a lewy regiment, znajdujący się pod deszczem śmiertelnych strzał, nawet nie drgnął. Ci żołnierze, którzy mieli tarcze, kryli się za nimi, inni, skurczeni, tylko modlili się głośno. Choć skała, z której sypały się pociski, była ledwie sto kroków od nich, stali i ginęli, by nie łamać szyku bez rozkazu. Jedynie kilka grup łuczników podbiegło by zapewnić im choć minimalną ochronę.

Takiej karności i determinacji Tenzih i Czinbej nigdy by się nie spodziewali. Deg jeszcze raz wysunął się zza kamienia. Po przeciwległej stronie doliny toczyła się zacięta walka wręcz. Górale bronili się na zboczu, wśród skał i grot, a szedł ku nim kolejny, trzeci regiment. Na samym końcu doliny Bin'Sigd Czinbej widział tumany kurzu — jazda Tel'Halik przechwyciła tam jeźdźców mających pomóc Tenzihowi. Świst strzały. Czinbej padł za kamień, a grot skrzesał iskry tuż przy jego głowie. Pomacał kołczan — zostały mu już tylko trzy strzały. Czuł, jak lodowaty pierścień zaciska mu się wokół serca. Jeśli nic nie nastąpi, bitwa będzie przegrana.

U podnóża skały Narfah skulił się i cicho jęknął, gdy tuż obok padł z przebitym gardłem jego przyjaciel. Młody Makhar'ad rzucił wokół nieprzytomnym wzrokiem. Żołnierze modlili się, zwracając oczy ku niebu, niektórzy szlochali. W powietrzu rozlegały się jęki rannych, a między szeregami przeciskał się Duzzah, który głośno czytał ustępy z Księgi. Dziesiątnicy biegali jak wściekli i krzyczeli na każdego, kto tylko próbował

położyć się czy opuścić broń.

To szaleństwo! — pomyślał Narfah. Wybiją nas tu jak muchy!

Niemal czwarta część regimentu leżała już martwa lub umierająca. Z suchej ziemi co krok sterczały białopióre strzały Degów. Kolejne świsty. Tym razem Narfah poczuł szarpnięcie w lewym ramieniu. Spojrzał tam mętym wzrokiem i zobaczył jasną ryse na odymionym naramienniku. Wtem na plecy upadł mu żołnierz z tylnego szyku i zawisł ciężko, a krew z jego ust bluznęła na szyję Narfaha. Młodzieniec strząsnął umierającego i poczuł, że zaraz zwymiotuje. Ciepła posoka spływała mu za kołnierz i pod przesywanicę. Tak być dalej nie mogło! Narfah wymacał rękojeść kindżału i poszukał wzrokiem najbliższego z dziesiętników. Jeśli to jedyny sposób, gotów był poderwać regiment do buntu. Ale czy żołnierze uderzą na oficerów? Spojrzał na najbliższych towarzyszy i zobaczył tylko blade twarze, puste spojrzenia i zdrętwiałe wargi szepczące modlitwy.

Nagle z lewej strony rozległ się przerażający wrzask. Spomiędzy skał wysuwały się dziesiątki Degów i ruszały biegiem w stronę regimentu, wymachując ghankami. Nie mieli już pocisków, a jasne było, że regiment nie wejdzie między skały.

— Zewrzeć szyki! Piki naprzód!

— Tarcze w górę, na Jedynego!

Duzzah podniósł głos, tak by wszyscy go słyszeli:

— „Wtedy Pan rzekł: kto z moim imieniem na ustach umrze, zaraz odnajdzie się w Shannyevan”.

— Strzelać! Strzelać!

Czinbej skulił się, gdy zobaczył, jak łucznicy, którzy wybiegli przed regiment, naciągają łuki. W powietrzu zaświstały strzały, kilku górali padło na ziemię, a na ich ciałach potknęło się kilku następnych. Mimo to reszta parła naprzód. Pierwsze szeregi pikinierów zbliżały się nieubłaganie. Ponad nimi Czinbej widział, jak drugi regiment powoli rusza się z miejsca, by wspomóc towarzyszy. Po drugiej stronie doliny wciąż walczył Tenzih Bakh’Dezi.

Przed ledwie kilkoma chwilami granią przybiegł do Czinbeja goniec od wodza. Czenda rozkazał, by Czinbej z ludźmi jak najszybciej opróżnił kołczany i uderzył na lewy regiment. Degowie po drugiej stronie doliny, choć było ich niemal dwie setki — czyli trzy razy więcej niż pod wodzą Czinbeja — tracili siły, a zagrażały im kolejne posiłki Tel’Halik. „Atakuj wściekle, jak górski wilk”, rozkazał Tenzih. „Wciągnij do walki tyłu wrogów, ilu zdołasz.

Jeśli cała reszta ruszy na ciebie, mamy jeszcze szansę — uciekaj wtedy z powrotem na skały. Jeśli nie uda ci się ich ściągnąć, walcz tak długo, jak się da. Ja w tym czasie poprowadzę odwrót przez Przełęcz Dwóch Starców”.

Odwrót! Czinbej wiedział, co to znaczy. Tenzih musiał stracić już większość ludzi, inaczej nigdy by o tym nie pomyślał. Jeśli jednak atak na lewe skrzydło mógł mu pomóc, Czinbej gotów był poświęcić życie swoje i wszystkich podwładnych.

Gdy regiment zwrócił się w stronę atakujących górali, Narfah znalazł się w czwartym szeregu. Przed nim stał blady młodzieniec z szablą, a dalej klęczał pikinier i pawężnik. Narfah chwilę oddychał głęboko, próbując powstrzymać drżenie rąk. Degowie pędzili jak szaleni, wymachując nad głowami bronią. Łucznicy Tel’Halik wypuścili ostatnie szypy, po czym rzucili się do ucieczki, by nie wpaść między uzbrojonych Degów a zwarty szereg piechoty.

Narfah zacisnął zęby, po czym chwycił żołnierza przed sobą za bark. Bez słowa pociągnął go do tyłu i zajął jego miejsce. Ułożył drzewce piki tak, jak go uczono, na ramieniu pikiniera z przodu. Czekał. Mógł już dojrzeć długie ostrze jednego z górali — pomyślał o domu i o tym, jak rodzina będzie opłakiwać jego śmierć. Dostrzegł naszyjnik z kłów wilka, który góral nosił na piersi; modlił się cicho. Zobaczył białka oczu górala — pomyślał o tym, kto dostanie w spadku jego wspaniałe, wyścigowe saury. Wreszcie zobaczył wyraźnie cieniutkie wzorki wyryte na ghanku wroga — w głowie miał pustkę.

Ostatnie kilka kroków. Pawężnik w pierwszym szeregu skulił się za tarczą. Narfah skierował ostrze piki w pierś nacierającego wojownika.

Po dolinie przetoczyła się fala przeraźliwych krzyków, trzask łamanych drzewców, zgrzyt pancerzy. Deg tuż przed Czinbejem w ostatniej chwili ściął jedno z ostrzy, lecz na drugie nadział się z takim impetem, że przeszedł jeszcze sztywno kilka kroków, tryskając krwią z okropnej rany. Czinbej uniknął grotu, ściął pikę po lewej, potem uderzył na szereg tarcz jak wściekły wilk. Chwycił krawędź pawęża dłonią, pociągnął go w dół i jednocześnie pchnął od góry ghankiem; zza żelaznej ściany doszedł agonálny ryk. Wtem z boku uderzyła czyjaś szabla, czubek jej pióra sięgnął barku Dega, rozorał ured oraz znajdujące się pod nim ciało, ale wokół Czinbeja zakłębili się już jego wojownicy, szarpiąc tarcze, wciskając ostrza w szczeliny, ginąc od ciosów. Ktoś pchnął go w plecy i Deg przewrócił się na pawęż, który teraz upadł lekko, jakby nikt go już nie trzymał. Zobaczył wokół siebie wysokie

buty żołnierzy Tel'Halik i krew uderzyła mu w skronie. Czinbej błyskawicznie przetoczył się w bok, podcinając innego tarczownika, a w miejsce, gdzie leżał przed chwilą, uderzyły dwa ostrza. Wytrącony z równowagi żołnierz runął na niego wraz z tarczą, wywinął się twarzą w stronę Dega i chwycił za kindżał. W tym momencie na pawęż, który ich przykrył, wbiegli górale. Czinbej jęknął, czując przeraźliwy ciężar; czyjś but kopnął go w nasadę szyi.

I nagle tarzał się już z żołnierzem Tel'Halik, próbując wyrwać mu ostrze. Wokół wrzało, hałas rozsadał głowę, w każdej chwili ktoś mógł zatrzymać się i dźgnąć któregoś z nich. A oni walczyli z cichą wściekłością i determinacją, wśród sapnięć i zgrzytu zaciskanych zębów. Wreszcie nieludzka wytrzymałość górala zaczęła brać górę. Wykręcił żołnierzowi prawe ramię, siadł mu na plecach i przedramieniem objął jego szyję. Próbował skrócić kark, ale choć szarpał głowę wroga w lewo i w prawo, rozorał sobie tylko rękę o łuski pancernego obojczyka. Żołnierz dusił się i dławiał krwią, aż wreszcie Czinbej uderzył jego głową o ziemię. Raz, drugi, trzeci. Gdy ciało znieruchomiło, góral poderwał się na nogi. Miał nieprawdopodobne szczęście. Śmiertelne zapasy trwały tak długo, że powinien już nie żyć...

Narfah parsknął i szybko wytarł zalewającą mu oczy krew, gdy jakiś Deg z rozciętą do kręgosłupa szyją zwałił się u jego stóp, drgając jak węgorz wyrzucony na ląd. Makhar'ad cofnął się o krok. Przed nim blady żołnierz upadł właśnie pod ciosem ghanka, a wściekły góral poderżnął mu gardło. Narfah nie widział już z przodu żadnego pancerza, żadnego szyszaka, tylko futra i pikowane kaftany Degów. Cofnął się znów w szermierczej postawie, uderzył plecami o jakąś walczącą parę. Czuł przeraźliwy strach: w każdej chwili z tyłu, z boku, z dołu może go dosięgnąć ostrze, a on jest bezbronny. To było najgorsze w bitwie. W ścisku i zgiełku, wśród błyskawicznych wydarzeń nie można mieć oczu dookoła głowy. Narfah szybko zerknął za siebie i zobaczył chaotyczne kłębowisko ostrzy i pokrytych kurzem postaci. Przed nim zaś z ziemi podniósł się góral w zakrwawionym uredzie. Jak przez mgłę dotarło do Narfaha, że ma przed sobą Czendę. Góral wymacał rękojeść porzuconego ghanka i rzucił się do ataku.

Narfah Makhar'ad sparował jego cięcie zza głowy, odskoczył w lewo na lekko ugiętych nogach, wywinął szablę wokół wrogiego ostrza i pchnął je w dół, by błyskawicznie wymierzyć cięcie w szyję, lecz Deg cofnął się i rąbnął z boku w wysunięte kolano żołnierza. Ten sparował, lecz przeciwnik zostawił

ostrza w zwarciu, na wysokości uda, i pchnął, w nadziei, że obali go, korzystając z większego ciężaru. Narfah jednak chodził do najlepszych szkół szermierki. Zaparł się jedną nogą, a drugą nadepnął mocno ghank, jednocześnie wyrywając spod niego swoją głownię. Wzniósł ją do ciosu...

I wtedy usłyszał ostatnią rzecz w swoim życiu — przeraźliwy zgrzyt łusek na karku, gdy spadł na nie czyjś cios.

Czinbej skinął głową Udzirowi, który powalił jego przeciwnika, po czym rzucił na boki szybkie spojrzenia. W jego sercu zaświtała nadzieja. Regiment już prawie nie istniał. Górale, depcząc po odymianych zbrojach martwych piechurów, właśnie dorzynali ostatnich żołnierzy. Tuż obok Czinbeja przetoczyła się, tryskając obficie krwią, głowa brodatego Duzzaha. Jednak kolejny regiment — wypoczęty zwarty szereg, najeżony ostrzami pik — był już tylko kilkadziesiąt stóp dalej.

— Do mnie! — ryknął Czinbej. — Do mnie, synowie gór!

Wówczas Deg zobaczył, jak z kłębow kurzu przy końcu doliny wyłaniają się na kucach wojownicy z gór. Przed nimi uciekały na złamanie karku niedobitki kawalerii Tel’Halik. Tenzih ciągle się bronił na skałach po drugiej stronie. Może więc jednak...?

— W imię proroka!!!

Krzyk, który nagle rozległ się na szczycie stoku, ściał w Czinbeju krew. Deg, wraz z resztą górali, odwrócił się w tamtą stronę i zobaczył purpurowe chorągwie i złożone główce sztandarów o kształcie Piaskowej Iglicy. Z góry zstępowała pięćdziesiątka Jastrzębi Najwyższego, w ciemnych turbanach, z ghankami w dłoniach. Wojowników prowadziło kilku Duzzahów, wznosząc nad głowę złożone egzemplarze Księgi. Regiment piechoty był ledwie o dwadzieścia stóp dalej.

Wtedy Czinbej zrozumiał, że to koniec.

*

Chłop w brudnej koszuli, który właśnie spędzał z pastwiska kilka wychudzonych krów, zatrzymał się nieopodal drogi. Zdjął czapę ze zmierzwionej czupryny i mrużąc oczy, długo wpatrywał się w nadjeżdżających. Zwierzęta ryczały, wiał chłodny, wieczorny wiatr. Wreszcie, gdy jeźdźcy byli już tak blisko, że można było ich rozpoznać, mężczyzna krzyknął radośnie. Rzucił czapkę na zbrązowiałe ściernisko, po czym puścił się biegiem w stronę gościńca.

— Panicz Aam Caerleigh! Dzięki bogom! — krzyczał.

Jeźdźcy zatrzymali się. Jeden z nich, rycerz w jasnej, choć nieco

przyśniedziałej zbroi, chwycił się pod boki ze śmiechem.

— Nie pędź tak, człeku, bo jeszcze kark skręcisz, a ojcu szkody przysporzysz.

— Bogom dzięki, paniczu! — Chłop zatrzymał się parę stóp od gościńca i uklęknął. — Myśmy już do cna nadzieję postradali. Ojciec panicza pono już do żałoby się przymierzał, a brat pieniądze zbierał, by na ratunek ruszać.

— Jak widzisz, ratunku mi nie trzeba, choć wiele niebezpieczeństw musiałem pokonać. Cieszę się, że jestem w domu. Ojciec na zamku?

— A gdzieżby indziej? Jemu się, paniczu, jeszcze pogorszyło przez wszystkie te zgryzoty. Pani go już z komnat nie wypuszcza, chyba żeby na krótką przejażdżkę.

Jedna z krów zaczęła oddalać się od stada, więc chłop odwrócił się i krzyknął:

— A wracajże, głupie bydło! — Po czym rzekł do Brenvana: — Widzi panicz, mnie trudno tera gadać, zaraz mi się stadko po polu rozlizie.

— Idźże więc. Powiedz jeno jeszcze, bom tak ciekaw, że do zamku nie wytrzymam: zdarzyło się coś ważnego?

— Nie, gdzieżby tam! Na wiosnę były ulewy straszne i wszyscy o siew się bali, lecz odprawili kilka mszy i żniwa pokazały się nad wyraz dobre. Kuźnia jeno zgorzała. No i nasi z Kołpaków wzięli się za łby z parobkami z Orzyc. O lasy za rzeką poszło, dwóch młodych nam ubili, ale brat panicza knechtów wziął i do pana Hugona pojechał. Bali się tedy ludzie, że bić się będą, ale pan Hugon rychło dał odszkodowanie, a swoich skarcił, coby na naszą stronę nie chadzali...

Tu wieśniak umilkł, jakby dopiero teraz zobaczył Kashima. Jego oczy rozszerzyły się ze strachu.

— Głupi ty! — powiedział rycerz. — To ino cudzoziemiec, nie ma się czego bać. A teraz pędź do zwierząt, bo znowu się rozpełzają.

Chłop pobiegł do stada, a Brenvan dał towarzyszom znak i pojechali dalej. Wkrótce po lewej stronie, za małym wzniesieniem i owocowymi sadami, zobaczyli jakąś wieś. Brenvan nie skręcał jednak w jej kierunku.

— Dużo macie ziemi? — spytał Kashim. — Daleko li do zamku?

— Nigdy ci jeszcze nie mówił? Ojciec ma osiem wsi i kawał puszczy. Gdy trzy lata temu najął pisarzy, by odnowili spisy, co jeszcze za jego młodości były robione, pokazało się, że mamy tu przeszło dwieście dymów. Do zamku niedaleko. Nim słońce zajdzie, będziemy pod bramą.

Al'Shannagg skinął głową i popatrzył na owocowy sad oraz szare

domostwa. Osiem wsi! Wspaniała, smolista ziemia! W Ocalonej Krainie ród, który posiadałby tyle dobra, mógłby się mierzyć bogactwem z samym paszą. Tu jednak klan Brenvanva był ledwie jednym z wielu.

Lodowaty wiatr przybrał na sile. Kashim zawinął się szczelniej w płaszcz i spojrzał na zachód. Słońce zniżało się ku horyzontowi. Tego dnia zmierzch był wyjątkowo czerwony. Al'Shannaggowi przez chwilę zdawało się, że ta krwawa łuna bije w niebo setki mil dalej — za równinami Learfeld, borami Marovii, za wielkim pustkowiem, w Ocalonej Krainie. Miał nawet wrażenie, że do jego uszu dochodzą odległe głosy walki.

Ile to już minęło? Przeszło dwa miesiące, jeśli dobrze liczył. Przez ten czas w Tel'Halik mogło się stać dosłownie wszystko.

— No dalej, przyjacielu! — dobiegł go daleki krzyk. — Zamarzłeś?

Towarzysze Al'Shannagga byli już kilkaset kroków dalej, więc pogonił konia. Wkrótce, zgodnie z obietnicą Brenvana, dostrzegł nad grzbietami wzniesień dach okrągłego donżonu zamku Caerleigh.

*

Twierdzę zbudowano, jak się później dowiedział Kashim, przed dwoma wiekami. Była stworzona na planie trójkąta o niskim, lecz bardzo grubym murze z ledwie dopasowanych kamieni. Budowniczo wie ze Świętego Miasta z pewnością patrzyliby zdziwieni podobną niedbałością, bo w niektórych miejscach w szczeliny muru dało się nawet włożyć dłoń. Każdy z wierzchołków trójkąta wieńczyła mała baszta. Od południowego wschodu pod zamkiem płynęła rzeczka, reszta murów nie była jednak chroniona niczym prócz płytkiego rowu. Znad głównej bramy zwisała chorągiew ze złotym jednorożcem, a figura drugiego, bijąc w oczy blaskiem, zatknięta była na szczycie donżonu. Wokół zamku nie było żadnych budowli, poza dwiema niedużymi chatkami u stóp północnego zbocza. Obok nich leżały sterty surowych kamieni i kilka świeżo obrobionych bloków.

Przy półotwartych wrotach siedziało paru strażników. Wcale nie obserwowali gościńca, zajęci grą w kości. Brenvan sięgnął więc do boku i odpasał róg. Kiedy wibrujący, wysoki dźwięk poniósł się nad ciemniejącymi polami, na murach i przed bramą zawrzało. Strażnicy zerwali się, ktoś wbiegł do środka, ktoś się pojawił na murach. Po chwili przy bramie było już spore zbiegowisko, a na blankach stanęło kilku łuczników i dwie kobiety w prostych, jasnych sukniach. Brenvan pomachał im.

Gdy podjechali bliżej, rozległa się radosna wrzawa. Strażnicy i służba zaraz obskoczyli rycerza, przekrzykując się nawzajem. On tylko poklepał

tego i owego po ramieniu, innych pozdrowił ruchem dłoni, po czym wjechał na dziedziniec, a za nim Kashim wraz z van Dreyckiem.

Naprzeciw bramy znajdował się przyległy do drugiego muru budynek o wąziutkich oknach i grubych murach. Po lewej Kashim zobaczył drewnianą stajnię i jakieś gospodarcze przybudówki, po prawej budynek nieco mniejszy, w rogu dziedzińca zaś znajdowała się duża studnia.

Na schodach głównego budynku zgromadziła się już większość rodu Aam Caerleigh. Jakiś wysoki, rudy młodzieniec w zielonym ubraniu podtrzymywał barczystego starca, który wyglądał jak siwy niedźwiedź, choć jego nogi drżały, a wspierać się musiał na cudzym ramieniu. Starzec miał na sobie aksamitny kaftan z rodowym herbem, wielki złoty łańcuch, czapkę z gronostajów i gruby płaszcz. Za jego pasem tkwiła buława. Kashimowi zdawało się, że głowa starca jest z boku dziwnie zdeformowana.

Obok tej pary stało kilka kobiet. Jedna — tęga, o włosach uczesanych w kok i ujętych w srebrną siatkę — otoczona była przez grupkę znacznie młodszych. Poza tym Kashim widział trójkę dzieci, jakiegoś czarnobrodego mężczyznę w kolczudze i skórzanej kamizeli oraz pryszczatego młodzieniaszka, który do złudzenia przypominał van Dreycka. Na razie ciężko mu było ocenić, kto jest krewnym Brenvana, a kto tylko sługą. Ponieważ rozpoznał jedynie ojca, nestora rodu, postanowił, że lepiej będzie nie witać się samemu i poczekać, aż młody Aam Caerleigh go przedstawi.

Tymczasem z murów zbiegły jeszcze dwie kobiety. Brenvan zeskoczył z konia. Padł przed ojcem na kolana, ucałował rodowy pierścień, powiedział kilka słów. Starzec wybełkotał coś niezrozumiale, a następnie poklepał syna po głowie. Z kącika ust wyciekła mu strużka śliny, którą rudy od razu wytarł aksamitną chustką. Brenvan wstał i ucałował w czoło najstarszą z kobiet, a wtedy rzucili się na niego młodszy krewni, mniej przywiązujący wagę do ceremoniału i nakazanej obyczajem kolejności. Przez długą chwilę rycerz, wśród męskich okrzyków i perlistego śmiechu kobiet, obcałowywał i ścisnął kolejne osoby. Wreszcie, przypomniawszy sobie o Kashimie i van Dreycku, odwrócił się i powiedział:

— Ojcze, matko! Oto drodzy mi wielce towarzysze, z których jednemu zawdzięczam życie.

Gdy stary Gwidon Aam Caerleigh zmrużył niedowidzące oczy i dostrzegł Kashima, natychmiast wyrwał z pasa buławę. Z jego ust trysnęła ślina i strumień bełkotliwych przekleństw.

Rozdział 14. Najdłuższa z zim

W przestronnej, wysoko sklepionej sali trzaskał ogień, rzucając na kamienne ściany jasny poblask. Kominek był tak wielki, że mimo przeciągów, jakie panowały w zamku, oraz lodowato zimnych murów, goście mogli cieszyć się przyjemnym ciepłem. Twarze dziewcząt siedzących na futrach przed ogniem były aż czerwone od bijącego żaru.

Za stołem także było gorąco. Kashim zdjął płaszcz i siedział tylko w podróżnym burnusie, który nosił podczas pierwszej części podróży. Ubranie, choć było prostym strojem, wziętym z domu Celbala, i tak przyciągało uwagę zebranych orientalnym krojem oraz tajemniczymi ornamentami wokół kołnierza.

Al'Shannagg nie czuł się najlepiej, bo rodzina Brenvana wystroiła się na ucztę jak na święto. Kobiety miały na sobie obcisłe od pasa w górę suknie z aksamitu, złote łańcuszki, srebrne fibule, pierścienie z wielkimi półszlachetnymi kamieniami. Mężczyźni nosili na ciemnych dubletach jaskrawe *robe* z adamaszku oraz szerokie, zdobione pasy. Brenvan i jego ojciec, brat i wuj mieli przy pasach miecze, nosili też napierśniki, a wuj nawet cienką jak pajęczyna kolczugę, którą zwykle kładło się pod zbroję. Kashima to dziwiło, bo w Tel'Halik sam pasza nie siadał do posiłku w zbroi. Mimo to zastanawiał się, czy nie zrobiłby lepiej, biorąc na ucztę szablę i część wojennego ekwipażu. Był zażenowany tym, jak wiele osób bez skrępowania się na niego gapi. Brenvan, który właśnie opowiadał o swojej podróży, żywo przy tym gestykulując, pogarszał tylko sprawę. Co jakiś czas wskazywał na Al'Shannagga, a wtedy zebrani, mrużąc z uznaniem, kiwali Kashimowi głowami.

Święty Jeździec próbował o tym nie myśleć i skupić uwagę na posiłku. Ten zaś składał się głównie z mocno doprawianych mięs oraz pasztetów, a także kilku rodzajów pieczywa i słodkich kołaczy. Pito piwo, istotnie bardziej gęste i kwaskowate niż to warzone w Marovii. Większość kubków i naczyń urzeźbiona była z jakiegoś dziwnego i miękkiego kamienia. Potem Al'Shannagg dowiedział się, że jego nazwa brzmi „słoniniec”.

Za plecami jedzących uwijała się służba, a mimo to mężowie sami usługiwali swoim żonom, bracia zaś siostram. Tylko niedołącznego pana domu wyręczał w tym sługa.

Gdy Kashim nasycił głód, a współbiesiadnicy przestali tak bardzo interesować się jego śniadą skórą oraz dziwnym strojem, mógł uważnie przyjrzeć się ich twarzom i zachowaniu.

Lord Gwidon Aam Caerleigh udawał, że słucha, lecz jego wzrok co chwila odpływał od twarzy syna i błędził nieprzytomnie po ścianach. Teraz, gdy gospodarz był bez czapki, Kashim mógł zobaczyć, jak potężny był cios, który zniekształcił Gwidonowi głowę. Brenvan twierdził, że zadano go sześć lat temu, w czasie bitwy między możnymi rodami marchii. Wtedy to spieszony Gwidon walczył z gotrlandzkimi najmitami i otrzymał w bok głowy cios toporem. Gruby i ciężki hełm wytrzymał, ale wgniół się bardzo, miażdżąc kości. Al'Shannagg słyszał, że po bitwie dwa dni szukano cyrulika na tyle biegłego w swoich sztukach, by zdołał zdjąć go ze zmasakrowanej głowy Gwidona. Mimo to stary Aam Caerleigh przeżył, choć od tej pory ciało miał częściowo niewładne, ślinił się i bełkotał, podczas deszczu zaś cierpiał na straszliwe migreny. Co gorsza, był też nie do końca poczytalny, o czym Kashim przekonał się przy pierwszym spotkaniu, gdy trzech ludzi musiało trzymać starca, który, myśląc, że ma przed sobą prawdziwego Yaurańczyka, rzucił się, by go zabić. Co prawda Brenvan długo tłumaczył ojcu, kim naprawdę jest Kashim, lecz Święty Jeździec nie był wcale pewien, czy te tłumaczenia dotarły do zdziwaczałego lorda Gwidona. Zresztą, jak pisał w jednej ze swoich ksiąg Al'Razi, ludzi tkniętych przez obłęd często zawodziła pamięć.

Al'Shannagg odprawił sługę, który chciał mu napełnić kubek, i dalej obserwował pana zamku. Starzec kiwał się na krześle i miedlił w dłoni kawałek chleba, mamrocząc coś pod nosem. Kashim pokręcił głową. Gdy spytał Brenvana, dlaczego człek niespełna rozumu jest wciąż głową rodu i panem włości, spotkał się tylko ze zdziwieniem. Wyglądało na to, że dla ludzi z Learfeld obłęd nie jest wystarczającym powodem, by odsunąć kogokolwiek od władzy. Choć wszystkie ważne decyzje podejmował stryj Brenvana — czarnobrody Falkirk Aam Caerleigh — musiały być one zatwierdzone przez Gwidona.

Gdy wzrok starca spoczął na Kashimie, Święty Jeździec popatrzył na Falkirka, siedzącego po jego prawicy. Ów mężczyzna wyglądał niemal jak mieszkaniec Tel'Halik, był tylko wyższy i miał jaśniejszą skórę. Słuchał opowieści Brenvana niechętnie. Krzywił się w momentach, gdy rycerz dopuszczał się jakiejś szczególnie oczywistej przesady. Wystarczyło parę chwil, by zobaczyć, że Falkirk nie jest życzliwy Jasnowłosemu. Główna

przyczyna była dla Kashima oczywista. Wiedział już, że to Brenvan odziedziczy Caerleighmarch, a dopiero w wypadku bezdzietnej śmierci jego oraz młodszego brata, głową rodu stanie się stryj. Kolejny dziwny obyczaj — w Tel’Halik patriarchą był zawsze najstarszy mężczyzna rodu.

Po lewej stronie Gwidona zasiadała lady Mardibh, matka Brenvana. Ta z kolei słuchała go uważnie i klaskała głośno przy bardziej niezwykłych fragmentach opowieści. Pani zamku Caerleigh była kobietą starszą i otyłą. Na jej brodzie widniała brzydka kurzajka, a okrągłą, nalaną twarz pokrywały zmarszczki. Mimo to w jej spojrzeniu i gestach znać było tę samą żywość, którą odziedziczył Brenvan.

Obok Mardibh siedział Brenvan, a z drugiej strony jego brat. Ten bardzo wysoki młodzieniec o krótkiej ryżej czuprynie wyglądał na spokojniejszego i bardziej statecznego. Mniej odziedziczył po matce, a więcej po ojcu. Jego szaty nie zdobiły złożone troczki, miała też bardziej stonowaną barwę. Nie nosił pierścieni czy ozdób, w przeciwieństwie do swego brata. Kashim wiedział już, że Swayn Aam Caerleigh, w przeciwieństwie do większości młodych rycerzy Learfeld, nie należy do żadnego bractwa ni stowarzyszenia, a Brenvana potępia za to, że więcej zajmuje się sprawami swojego rycerskiego zakonu niż rodowych ziem.

Po prawicy Swayna siedziała jego małżonka, ciemnowłosa kobieta o szerokim nosie i dość pospolitej urodzie. Pobrali się raczej z rozsądku niż z afektu, bo Bryneth była córką lorda Hugona Aam Birge (Birgemarch zaś przylegało do Caerleighmarch). Dzięki temu małżeństwu ród Aam Caerleigh miał nadzieję zakończyć ciągnące się latami spory graniczne, co jednak powiodło się tylko częściowo.

Znudziwszy się obserwowaniem otoczenia pana domu, Kashim zwrócił wzrok na drugą stronę stołu. Napotkał zaraz spojrzenie wielkich chabrowych oczu. Siedziała tam bowiem siostra Brenvana, panna Gwynn Aam Caerleigh. Jej owalna główka była lekko przekrzywiona. Złociste włosy, przyozdobione diademem, spływały błyszczącą falą aż do siedziska ławy.

Gwynn patrzyła na Kashima tak, jakby nic na świecie nie interesowało jej poza tym śniadym, urodziwym obcokrajowcem. Oczy dziewczyny wydały się Al’Shannaggowi niezwykle wprost duże i błyszczące. Nie wiedział, że przed ucztą zastosowała sposób, w jaki kobiety z Learfeld od wieków zwracały na siebie uwagę rycerzy. Posłała służkę do lasu po świeże wilcze jagody, a potem wcisnęła sobie pod powieki ich sok, który rozszerzał źrenice i sprawiał, że oczy zmieniały się w migotliwe klejnoty.

Kashim chwilę podziwiał jej urodę, ale w końcu uśmiechnął się i opuścił wzrok. Nie chciał zawieść zaufania swego przyjaciela.

Zaraz po uczcie, gdy lord Gwidon oraz pan Falkirk opuścili z małżonkami komnatę, młodzi mogli bezceremonialnie usiąść na skórach przed kominkiem. Tam, w ciepłe bijącym od ognia, Brenvan kończył swoją opowieść, a van Dreyck beczelnie uwodził młodziutką kuzynkę lady Bryneth. Gdy tylko rycerz umilkł, od razu uwaga młodych przeniosła się na Kashima. Pytano go o dziesiątki spraw dotyczących Ocalonej Krainy oraz o detale przygód, o których tak malowniczo opowiadał Brenvan. Czyniono to z uprzejmym zainteresowaniem, szczególnie ze strony kobiet, gdyż wszystkie wydawały się zaintrygowane orientálną urodą gościa. I tak Al'Shannagg zastąpił Brenvana w opowieściach, a kilka razy miał nawet okazję powiedzieć coś w rodzimej mowie, bo okazało się, że Swayn także w dzieciństwie pobierał lekcje u ciemnoskórego sługi. Władał językiem Tel'Halik znacznie gorzej od brata, lecz mimo to Kashim słuchał go z wielką radością. Wkrótce poczuł, że wśród tych życzliwych i gościnnych ludzi czuje się jak w domu. Cieszył się, że właśnie tu spędzi zimę.

*

Jelaya Makhar'ad zaniosała się cichym płaczem i zakołatała w drzwi jeszcze raz. Choć ze środka dobiegały jakieś szurnięcia i szelesty, nikt nie otwierał, a ona bała się, że przyjdzie nadzorca Pałacyku Skrybów i wygoni ją na ulicę lub jeszcze gorzej — wyda Czerwonym Turbanom. W końcu kobieta, która wychodzi w nocy samotnie, jest co najmniej podejrzana.

Gdy kolejny raz uderzyła w mocne drzwiczki, te wreszcie uchylily się, ukazując sień, a za nią gabinet, skąpany w blasku świec. Na progu stanął Tantahar w lekkiej dżelabie, luźno przewiązanej paskiem. Zmrużył oczy, jakby nie mógł poznać, kto do niego przyszedł. Dopiero po dłuższej chwili w opuchniętej od płaczu i bicia dziewczynie rozpoznał Jelayę.

— Co tu robisz, nieszczęsne dziecko! Na Jedynego, gdybyś trafiła na patrol...

Wciągnął Jelayę do środka i zatrzasnął drzwi.

— Ktoś cię widział? — spytał. — Gdyby wyszło na jaw, że przyjąłem w nocy obcą kobietę, skończyłbym w lochach Pałacu Sprawiedliwych! Na Boga, co cię podkusiło, by ściągać mi na głowę takie niebezpieczeństwo?! Jak w ogóle dostałaś się do Pałacyku?!

— Ogrodową furtą. Ja... przepraszam, Tantaharze — wyszlochała Jelaya, pociągając co chwila nosem. — Pilnowałam, by nikt mnie nie zobaczył.

Spięta twarz Duzzaha rozluźniła się nieco.

— Już dobrze, dziecko. Miałaś, jak widzę, ważny powód. Powiedz, kto cię pobił?

Gdy Jelaya już otwierała usta, Tantahar jej przerwał:

— Albo lepiej nie. Usiądź w gabinecie, a ja włożę jeszcze coś. Nie powinnaś mnie oglądać w takim stroju.

Wnętrze było nieduże, ale bogato wykończone. Może nawet za bogato, jak na ortodoksyjnego Duzzaha, lecz Jelaya nie zastanawiała się teraz nad tym. Siadła na miękkiej leżance, przebiegła wzrokiem po stojakach na zwoje oraz mahoniowych meblach ze srebrnymi inkrustacjami. Jedyne, co przeszkadzało jej w tym pomieszczeniu, to brak okna, jeśli nie liczyć kilku lufcików pod sufitem. Komnaty Duzzahów znajdowały się bowiem w samym środku prawego skrzydła Pałacyku Skrybów.

Przez chwilę Jelayi zdawało się, że słyszy jakieś głosy w odgradzonej kotarami sypialni. Gdyby nie miała nosa opuchniętego od płaczu, z pewnością poczułaby w powietrzu zapach delikatnych różanych perfum.

Wkrótce Duzzah wrócił odziany w służbową chilę, przecesał brodę, poprawił włosy, po czym usiadł na pufie naprzeciw dziewczyny.

— Opowiadaj, dziecko.

Jelaya przetarła nos skrajem czarnej burki i rzekła:

— Najwyższy jednak mnie ukarał, Tantaharze. Staralam się na każdy możliwy sposób odpokutować moje grzechy, ale uznał widocznie, że to, co robię, jest niewystarczające.

— Mów jaśniej, moja droga.

Dziewczyna chwilę międlila w dłoni kawałek ubrania, po czym zawołała z płaczem:

— Ojciec mnie wygnał! Groził, że odda mnie Czerwonym Turbanom pod sąd, na ukamienowanie.

— Czy...?

— Jestem brzemienna, Tantaharze. Próbowałam to ukrywać, ale jedna ze służek zobaczyła, kiedy się przebierałam, i zaraz doniosła ojcu... On... Od kiedy przyszła wiadomość, że mój brat padł w Bin'Sigd, ojciec popadł w obłąd. Wścieka się o każdą rzecz, ale gdy się dowiedział o mnie, jego złość była trzykroć większa.

— A więc to szacowny Iznak cię pobił?

— Tak!... Wezwał mnie, a kiedy przyszłam, od razu mnie uderzył. Potem jeszcze kopał. I groził... Och, Tantaharze! Zawołał służbę, mówił, że

oszczędzi Duzzahom pracy i sam mnie ukamieniuje. On...

Jelaya zaszlochała, nie mogąc wymówić słowa.

— Wtedy... przyszła matka z siostrami... próbowały mnie bronić. Zaczęli się kłócić, a ja... ja po prostu wybiegłam na ulicę. Powiedz, Tantaharze, co mam robić?

Duzzah przyglądał brodę i westchnął.

— Cóż, nasze prawa są jasne.

Oczy Jelayi rozszerzyły się ze strachu.

— Prawa ojca są niepodważalne i nikt nie może stawiać się ponad nimi. Powinnaś wrócić do jego domu i zdać się na litość oraz mądrość Najwyższego, która z pewnością będzie przyświecać czynom Iznaka. Księża mówi...

— Nie, nie mogę! Prędzej umrę. Ojciec mówił, że będzie bił, póki nie wytłucze ze mnie tego... tego...

Jelaya znów się rozplakała.

Tantahar wstał i chwilę chodził po komnacie. Wreszcie rzekł:

— Nie mówiłbym tego, gdyby nie to, że jesteś tak wierną i pilną uczennicą. W szkole jest kilka dziewcząt, które nie mieszkają w rodzinnych domach. Ich rodzice wykazywali... pożałowania godny opór wobec decyzji dzieci, by oddać się służbie Vezamarowi. To jedyny wypadek — rozumiesz — jedyny, w którym z poparciem Księgi oraz proroka możemy podawać w wątpliwość rodzicielską władzę. Jeśli istotnie Iznak groził ci śmiercią, pójdę z nim porozmawiać. Gdyby okazał się uparty... Możesz mieszkać w szkole, Jelayo.

— O, tak! Dziękuję ci, Tantaharze... Ja...

— Wiedz jednak, jaka jest cena za porzucenie rodzinnego życia. Zamieszkas z innymi służkami. W dzień i w nocy będziesz służyć prorokowi, w zapłacie za utrzymanie i żywienie. Wiedz też, że małżeństwo... Będę z tobą szczery, Jelayo. Jeśli wyrzekniesz się rodziny, nigdy nie będziesz mogła pojąć męża w majestacie praw Księgi. Bez zgody ojca, bez posagu, bez porozumienia między rodami jest to niemożliwe.

Jelaya poderwała się z miejsca.

— Nie chcę już mężczyzn, Tantaharze. Nie po tym. Miłość do Jedyne go zastąpi mi wszystko. Jestem gotowa...

— Dobrze już, dziecko. Dobrze. Porozmawiamy jutro, po tym jak wrócę od Iznaka. Zarzucić coś na głowę, znajdziemy ci teraz miejsce do spania. Tutaj zostać nie możesz. Kobieta nigdy nie powinna spać u Duzzaha w domu.

Przez chwilę Jelayi zdawało się, że zza zasłony słyszy stłumiony chichot, lecz szybko odegnała te myśli. Nie bała się już o swoją przyszłość i przyszłość dziecka, które z dnia na dzień rosło w jej brzuchu. Była gotowa zostać służką Jedyneego.

*

— Nie tak, na bogów! W walce rychło byś to mieczysko stracił!

Dzieci, które przyglądały się ze szczytu muru ćwiczącym, zachichotały. Kashim stropił się i opuścił czubek wielkiego miecza.

— Ale dlaczego? — spytał.

— A dlatego, że mógłby kto po prostu za głównię uchwycić i wyrwać ci ją z rąk, lub przytrzymać i cios na bark spuścić.

— Pociąłby przecie ręce szkaradnie!

— A skądże! Jeśliby miał pancerną rękawicę z kolczą plecionką od spodu, nawet by nie poczuł. Nasze miecze mniej są ostrzone niż twoja szabla, a to dlatego, że im co ostrzejsze, tym łatwiej się szczyrbi i łamie — a koniec wielkiego miecza tak silnie uderza, że łącno by w drzazgi mógł pójść.

Kashim opuścił ostrze i oparł je na ziemi. Nie było bardzo ciężkie, wręcz przeciwnie. Spodziewał się, że będzie trudniejsze w manewrowaniu, lecz za sprawą bardzo długiej rękojeści i masywnej głowicy broń okazała się dość zrywna, choć oczywiście nie tak, jak szable Świętych Jeźdźców.

— Jak blachy rozcina, kiedy mało ostry? — spytał Al'Shannagg.

— Siekiera też nie jest ostra jak twoja szabla, a wielki dąb potrafi zwalić. Spróbuj uderzyć tym żelazem silnie w bal drewniany, to zobaczysz, jak drzazgi pójdą. Jeśli zbroja słabsza, udany cios rozłupać ją może. A nawet gdy nie rozłupie, to wegnie, co — mimo aketonu — krwawych sińców przysporzy wrogowi. Każdy zaś krwawy siniec zmniejszy jego waleczność, szybkość i zdolność manewru. Gdybyś zaś w taszki trafił czy między folgi na ramieniu, sięgniesz ciała łatwo i głęboko. Jeśliby natomiast przeciwnik dobrze się bronił, a pancerz miał dobry, obtłuc go możesz i zmęczyć, a wtedy na ziemię obalić i sztychem pchnąć gdzie w szparę.

Kashim skinął głową. Poprawił naramiennik, który obsunął się przy poprzednim ciosie Brenvana, a potem uniósł ostrze. Wiatr zawył na blankach, na dzieciniec spadło trochę żółtych liści, doniesionych podmuchem aż z pobliskiego lasu. Z okna obserwowała walczących Gwynn. Kiedy jednak Brenvan pomachał jej dłonią, schowała się zaraz, wyraźnie spłoszona.

— Jak więc poprawnie winienem tę postawę wykonać? — spytał tymczasem Kashim.

— Jako i mistrz Johannes Liechtenauer zaleca: stań z lewą nogą w półkroku do przodu, torsem lekko skręconym, a trzymaj swój miecz blisko przed głową i pozwól, aby sztych zwisał w stronę twarzy wroga.

— Tak?

— Dobrze, dobrze. Ta garda *ochs* zwie się, co w gotrlandzkim znaczy „wół”. Łatwo i szybko możesz z niej potężny *zornhaw* wykonać, to jest cięcie na bok, szczególnie na szyć. Takż i pchnięcia dobrze wychodzą, najlepiej z góry ku dołowi: w miejsce gdzie kończy się pancerny obojczyk.

— Tak?

— Tak właśnie. Bacz jednak, coby długo tak miecza nie trzymać, bo przeciwnik zbyt łatwo może wziąć nad nim władzę: uchwycić czy wybić daleko w bok. Bacz też na nogi, bo trudno niskie ciosy z tej postawy zbijać, a na nogach pod blachami masz jeno nogawice, więc każdy dobry cios będzie bolesny. A teraz przećwiczmy, cóżś poznał, nim przejdziemy do następnej postawy, to jest *von tag*, czyli „z dachu”. Atakuj, jestem gotów. Sił tylko nie oszczędzaj, bo kto słabo bije, lepiej, iżby od razu się poddał.

Kashim wzniosł miecz do wyuczonej pozycji. Zaatakował kilkoma cięciami, na próbę. Nie bał się używać całej mocy ramienia, bo broń, którą walczyli, była spiłowana na okrągło, jak treningowe szable z Orlego Fortu. Brenvan sparował ciosy bez problemu, przeszedł do postawy z nisko opuszczonym mieczem i odpowiedział śmiałym kontratakiem. Al'Shannagg zrobił krok w tył, ale zbyt mało zdecydowanie, i zwarli się z ostrzami tuż przy twarzy. Siłowali się chwilę, wreszcie Brenvan odepchnął Al'Shannagga, lecz ten wygiął tylko ciało i powrócił z cięciem w bok. Miecz zgrzytnął na podrdzewiałym ćwiczebnym napierśniku...

— Żle! — krzyknął Brenvan.

— Jak to: źle? Przeciem trafił!

— Ale ciągasz ostrze, jakbyś pajdę chleba kroił!

Dzieciaki znów się zaśmiały.

— Zapominasz, że to wielki miecz, nie twoja szabla, która jest jeno przerośniętym nożem — kontynuował Brenvan. — Mieczem się uderza, nie kroi. Szkoda czasu, bo i tak najwięcej szkód czyni w momencie uderzenia. Gdy więc trafisz, zaraz odbij się i wejdź w gardę lub, idąc za ostrzem, uderz z drugiej strony.

Al'Shannagg skinął głową.

— No to atakuj raz jeszcze.

Ostrza zwarły się ze szczęką.

Gdy po treningu Kashim z Brenvanem schodzili z dziedzińca do chłodnego zamkowego wnętrza, by odnieść miecze do zbrojowni, rycerz spytał:

— I jak tę nową sztukę znajdujesz? Będziesz walczył wielkim mieczem? Bo ja mam jedno ostrze, które mógłbym ci pożyczyć albo odsprzedać. Wyśmienita głownia, kuta w Gotrlandzie.

— Nie, Jasnowłosa. Raczej zostanę przy szabli.

— Dajże spokój! Krótka ona, a przeciw pełnym pancerzom mało zdatna.

Kashim się zaśmiał.

— Jakoś się waszych pancerzy nie boję. Wiele lat uczyłem się szabli. Potrafię dobrze celować w nieosłonięte. W walce i rycerzowi dam radę.

— Ba! Cóż z tego, skoro szabla nie da! Jak każde ostrze, prędzej czy później złamie się albo wyszczerbi — jeśli będziesz ją pakował między blachy, to raczej prędzej niż później. Wtedy zostaniesz bez broni.

— Prędzej życia mi zbędzie, niż szablę złamię — to mówiąc, Kashim wysunął z pochwy ostrze, które nosił przy pasie nawet w trakcie treningu.

Podszedł do okna i przysiadł na parapecie, obracając je tak, by odbijało promienie światła.

— Przyglądałeś się kiedyś z bliska?

Brenvan podszedł i spojrzał na głownię.

— Tak, zauważyłem już, że wybarwiono na niej wzory dziwne...

— To nie barwienie. To pieczołowicie skuwany stop, u nas stałą damasceńską zwany, od mistrza Al'Damascusa, któremu ów sposób sam Bóg pono objawił. Twardszy jest od stali, a przy tym bardziej sprężysty. Kiedyś widziałem, jak pasza mający jedno z najprzedniejszych damasceńskich ostrzy, bo spod ręki samego Al'Damascusa dwa wieki temu wyszło, dla popisu wetknął szablę między kamienie w murze i pchnął całą siłą. Wygiął je niemal do połowy, a nie pękło, potem od razu do pierwotnego kształtu wracając.

Oczy Brenvana zaślnęły.

— Naprawdę? Cudowna to musi być broń. Pokażesz, jak jest sprężysta?

Al'Shannagg parsknął śmiechem.

— Tego nie uczynię, bo oficerskie szable, jak ta, z mniejszą uwagą są kute, choć nawet im poświęca się długie miesiące. Boję się, że aż takiej sztuczki bym nie dokonał. Ale już nieraz widziałem, jak to moja szabla ugina się, bez sprzeciwu najsilniejsze uderzenia biorąc.

Brenvan uchwycił broń Kashima. Dotknął ostrej jak brzytwa krawędzi,

przyjrzał się stopowi.

— Gdyby taki oręż udało nam się do Learfeld przywieźć, stalibyśmy się bogaczami.

— Pierwej bogactw byś potrzebował, by go w Tel’Halik kupić, bo i u nas damascynt drogi. Na co dzień walczą nim jeno Święci Jeźdźcy, a zwykli z nich i tak zadowolić się muszą wyrobami pośledniejszych uczniów Al’Damascusa.

— Więc może by naszych rzemieślników u was wyuczyć?

— Trudno by było, bo powiadają, że najprzedniejszą broń robią tylko ci, w których krew Sammara płynie i którzy geniusze metalu potrafią jednym słowem zaklinać. Takiej sztuki nikt nie nauczy, można ją tylko odziedziczyć.

Brenvan westchnął.

— Cóż. I tak sądzę, że nasz wielki miecz to broń przedniejsza od twej szabli. A teraz chodź. Odłożmy żelazo i weźmy konie. Trzeba objazd po lesie zrobić, by zobaczyć, czy kmiotki jakie nie próbują na zimę pańską dziczyzną spichlerzy napęścić.

Kashim skinął głową. Już przyzwyczał się do tego, że Brenvan nie daje mu chwili wytchnienia. Spędzał czas na treningach, biesiadach, konnych spacerach, opowiadaniu historii o dalekich ziemiach. Tylko nocami, gdy przychodził mróz, woda w korytach zamarzała, a na zewnątrz dał lodowaty wicher, Al’Shannagg mógł sięść przy kominku w sali jadalnej i w spokoju pomyśleć o odległym Tel’Halik.

*

Po raz pierwszy od chwili, w której opuścił więzienie, Nahar Al’Iarnak poczuł chłodny oddech śmierci. Położył prawą rękę na rękojeści szabli, a lewą na kindzale, choć wiedział, że walka nie ma sensu. Nawet najlepszy szermierz nie mógł się równać z bełtem wystrzelonym z kuszy.

Przeciwników było czterech. Otoczyli go tak cicho, że zorientował się, dopiero gdy ulica z obu stron była zablokowana. Z każdej strony kusznik i wojownik z szablą. Wszyscy zakutani po oczy w bure chałaty, lecz ich broń była wyśmienicie utrzymana, a pod luźnymi zawojami z pewnością mieli pancerze.

Scenariusz był dla Nahara paskudnie znajomy. Ciemna noc, wąska ulica i zasadzka: tak samo zginął Muhhamar, Al’Qidi i wielu innych ludzi przed i po przejęciu władzy przez Vezamara. Szybko jednak zorientował się, że ci tutaj nie chcą go zabić, ale pojmać. Dopiero wtedy przestraszył się na dobre. Przed chwilą opuścił spotkanie w domu uciech, oczywiste więc było, że ta sytuacja

ma coś wspólnego ze spiskiem. Za spisek zaś karano najgorszymi torturami.

— Odepnij pas i rzuć go trzy kroki przed siebie — rzekł jeden z napastników. — Nie chcemy twojej krzywdy, przyjacielu.

Drżąca dłoń Nahara zacisnęła się na broni. Mimo że jak każdy młodzieniec na myśl o śmierci buntował się w głębi duszy, nie bał się jej. Ponure, rządzone przez szalonych starców Tel’Halik nie było miastem, w którym chciał żyć. Czuł, że mimo młodego wieku należy do innej epoki, że powinien był odejść wraz z Kashimem i Dahalem, wraz z tawerną Alima oraz pieśniami poetów w pałacowych ogrodach; rozpląnąć się w piaskach czasu, gdy nastąpiła nowa era. Nie dbał więc o życie, ale za nic, nawet za cenę wiecznego potępienia, nie oddałby się w niewolę. Wolał już sam przebić się ostrzem, choć to oznaczało niekończące się męki Marrenvan.

Zaczął powoli wysuwać kindżał z pochwy. Błysk księżycowego światła na głowni zaalarmował napastników. Jeden z nich, jakkolwiek bezsensowny byłby to gest, poderwał do oka kuszę. Drugi stanął w szermierczej postawie, lecz szybko pojął intencje Nahara, krzyknął bowiem:

— Nie jesteśmy ludźmi Duzzahów! Powstrzymaj ostrze! Jest ktoś, kto chce z tobą pomówić. Chodzi tylko o jedną rozmowę, klnę się na Najwyższego!

Nahar stał chwilę sztywno. Wreszcie zaczął odpinać powoli pas. Robiąc to, bardziej niż o intencjach napastników myślał o tym, co widział przed chwilą. Otóż gdy mężczyzna wznosił szablę do ciosu, przyjął pozę, jakiej uczył tylko mistrz Abaherim w Orlim Forcie. Ów zamaskowany człowiek musiał być kiedyś Świętym Jeźdźcem.

*

Później Nahar nie potrafił sobie przypomnieć, jak długo prowadzili go z przesłoniętymi oczami i związanego przez ulice miasta. Trwało to co najmniej klepsydre, bo zdążył w tym czasie solidnie się zmęczyć. Na przemian wchodził na wzniesienia i schodził z nich. Przeszedł przez kilka domów, parę placów, raz czuł pod stopami nawet płytki świątyni. Tajemniczy ludzie byli tak ostrożni, że obwiązali mu grubo uszy, a przed nozdrza dali perfumowaną chustę.

W ten sposób nie mógł nawet po dźwiękach czy zapachu poznać dzielnicy, do której trafił.

Wszystkie szmaty zdjęto mu z głowy dopiero w ciemnej piwnicznej komnacie. Powietrze było tu wilgotne i stęchłe, a w górę prowadziły strome stopnie. Pewnie był to niegdyś składzik win, lecz teraz zostawiono tu jedynie

gołe ściany. Na drewnianym zydlu siedziała zwałista postać, zawinięta od stóp do głów w luźną szatę o granatowej barwie. Na twarzy miała jakąś maskę, lecz więcej szczegółów Nahar nie dostrzegł, bowiem ciemności rozświetlała tylko jedna świeca na wysokim świeczniku.

— Chcę oszczędzić ci kłamstw i wykrętów — odezwała się postać.

Głos był dziwny i Al'Iarnak od razu poznał, że z jakiejś przyczyny zamaskowany nieznajomy próbuje z trudem ukryć jego brzmienie. Jednak akcent i tembr wydawał mu się znajomy.

— Wiem o waszym małym spisku, nie próbuj więc mnie zwodzić.

Nahar stał z zaciśniętymi ustami. Wciąż nie pojmował, co tu robi.

— Musisz wiedzieć — kontynuował nieznajomy — że nie tylko wy zostaliście jeszcze w Tel'Halik. Wielu osobom nie podobają się rządy proroka i mam tu na myśli nawet ludzi z jego otoczenia. Tyle że osoby te uznają za stosowne ukrywać swoją tożsamość oraz poglądy.

Al'Iarnak rzekł:

— Rozumiem, panie, że jesteś jedną z tych osób?

— Między innymi, młody Al'Iarnaku. Między innymi. Stąd ostrożność, z jaką prowadzono cię do tego miejsca. No, ale nie o tym chciałem rozmawiać. Ciebie ze wszystkich spiskowców znamy najlepiej, dlatego będziesz naszym posłańcem. Powiedz Mehidowi, żeby nie robił nic głupiego i nieprzemyślanego. Wiemy, że gromadzicie broń, że przekupujecie służbę pałacu, i domyślamy się, czemu to mogłoby służyć.

Nahar zmartwiał. Jeśli o planach dowiedzieli się inni spiskowcy, równie dobrze mogli o nich wiedzieć szpiedzy Piaskowej Iglicy!

— Wiedz, Naharze — podjął mężczyzna — że w tej chwili, nawet gdyby udało się wam zgładzić Vezamara, nic tym nie zyskacie. Moi... informatorzy trafili na wiele frapujących śladów, które wskazują, że prorok może być tylko zwykłą marionetką. Gdy umrze, jego miejsce zajmie Kar'Shin lub Yholed, albo nawet ktoś gorszy. Ktoś, kto kryje się w cieniach. W mieście nic się nie zmieni. Oczywiście oprócz tego, że zniknie jedno z ostatnich ognisk oporu przeciw nowym prawom. Nie wmówisz mi bowiem, że zamierzacie przeżyć zamach.

— Trzecia część — odpowiedział cicho Nahar — ma wedle planu wyjść z pałacu. Reszta zginie w ataku i osłaniając odwrót.

— Trzecia część? Wysoko oceniacie swoje siły! Będziecie mieli szczęście, jeśli przeżyje choćby jeden z was. A nawet wtedy znajdzie się on w ogromnym niebezpieczeństwie, bo Pałac Sprawiedliwych rozpocznie

śledztwa, przy których terror Vezamara jest tylko dziecinną igraszką. Tak jest! Za wasz wybryk zapłacą życiem setki niewinnych osób.

— Więc mamy tak po prostu siedzieć i czekać z założonymi rękami?! — obruszył się Nahar. — Czekać, aż wyłapią nas do ostatniego człowieka?

— Tego nie mówię. Chcę tylko poinformować cię, że zamach teraz byłby największą głupotą. Na Jedynego, powstrzymajcie się choć przez kilka miesięcy. Przyjrzyjmy się bliżej planom Vezamara, jego otoczeniu.

— Każdy miesiąc to kolejne ofiary.

Mężczyzna poderwał się i ryknął:

— Zamach to jeszcze więcej ofiar! Na Jedynego, nie popełniajcie tego szaleństwa! Przekaż Mehidowi, by czekał. Powiedz, że jest ktoś, kto ma wielu przyjaciół i wielu informatorów i pomoże mu, lecz nie teraz. Gdy ma się tylko jedną strzałę w kołczanie, nie można jej wypuścić bez celowania.

Nahar nie odparł nic.

Kilka chwil później ci sami mężczyźni prowadzili go z powrotem, znów w przepasce na oczach i skrzepowanego. Potykając się o kamienie, Nahar rozmyślał o słowach tajemniczej postaci. Wiedział, że spiskowcy nie mają już wyboru: „Szabla wzniesiona nad głowę musi uderzyć szybko”. Prędzej czy później ktoś się wygada, a wtedy wszyscy skończą na mękach, jeśli wprzód nie zostaną co do jednego wciągnięci w szeregi armii, która zdawała się rosnąć bez opamiętania, napędzana wojną i strumieniem złota ze skarbców proroka. Ale mimo wszystko zamaskowana postać budziła zaufanie. W jakiś sposób Nahar miał wrażenie, że ten mężczyzna jest mu znajomy...

*

Przez szpary między deskami wpadał na poddasze chłodny wicher. Kashim z uwagą obserwował płatki śniegu, które razem z nim wdzierały się do pomieszczenia, by w promieniach światła odtańczyć ostatni taniec, nim padną na słomę i stopnieją.

Śnieg. W Tel’Halik czasem wspominali o nim poeci, a kilku najsłynniejszych podróżników nawet widziało go na własne oczy, gdyż pojawiał się zimową porą na najwyższych, najbardziej niedostępnych szczytach Żelaznych Wzgórz. Uczony Ridżam Al’Hawi twierdził, że śnieg to jedynie szczególny stan lodu, co próbował dowieść, krusząc na białą miazgę lodowe bryły. Teraz jednak Al’Shannagg widział, że Ridżam się mylił. Bo czyż kawałki lodu mogły tak lekko unosić się w powietrzu?

— Na cóż tak patrzysz, ciemnoskóry? — spytała Gwynn.

Jej wdzięczna główka leżała na piersi Kashima, chabrowe oczy były półprzymknięte.

— Na śnieg, moja śliczna — odpowiedział Kashim. — To rzecz, którą mało kto u mnie widział.

Dziewczę coś wymamrotało i zapadło z powrotem w płytki sen. Al'Shannagg pogładził ją po głowie.

Minęło już przeszło półtora miesiąca, odkąd zawitał na zamku Caerleigh. Mimo że Brenvan wynajdował mu zajęcia od rana do wieczora, Kashim nie mógł nie dostrzec wielkiego zainteresowania, jakim darzyła go córka lorda. Wieczorami to Gwynn jako ostatnia opuszczała salę kominkową, z zachwytem chłonąc historie z odległych ziem. Przez cały dzień starała się mieć gościa na oku, jakby jego śniada twarz o ostrych rysach była najprzyjemniejszym widokiem na zamku. Al'Shannagg prosił w modlitwach, by Najwyższy oddalił od niego pokusę, lecz mimo to zbliżali się do siebie coraz bardziej. Sumienie Kashima nie cierpiało, bo ich związek na razie miał posmak dziecinnej zabawy. Gwynn lubiła zaszyć się z nim gdzieś, by ukraść mu kilka pocałunków, a on ochoczo je dawał. Gwynn pragnęła, by jakiś mężczyzna przytulił ją i rzekł kilka komplementów, Kashim więc przytulał i mówił gorące słówka. Wkrótce też przekonał się, że obyczaje były tu lżejsze niż w Tel'Halik i nie narażał ani siebie, ani dziewczyny na jakieś niebezpieczeństwo. W końcu van Dreyck nie ukrywał swojego afektu do jednej z pomywaczek, a gdy pewnego razu służka lady Mardibh pognała ich ze spiżarki, gdzie bezceremonialnie sobie figlowali, poety nie spotkało za to ani wygnanie z domu, ani choćby nagana.

Kobiety miały tu więcej wolności. Choć służba starała się mieć na nie oko, poruszały się swobodnie po wszystkich częściach twierdzy. Ba! Czasem wyjeżdżały nawet bez męskiego towarzystwa na konne przejażdżki.

I tak wreszcie Kashim poczuł, że mur, którym próbował otoczyć serce, powoli się kruszy. Przy Gwynn czuł niezwykły spokój ducha. Zapach jej złotych włosów był teraz najmiłszym w świecie zapachem. Gdy patrzył na nią, mrok spowijający jego myśli o przyszłości nagle się rozwiewał. Gdy nikt nie patrzył, coraz częściej się przytulali, a Gwynn długo i namiętnie gładziła twarz ciemnoskórego mężczyzny.

W modlitwach, które wciąż odprawiał regularnie o pięciu porach dnia, wyrzucał to sobie i postanawiał, że dalej się nie posunie. Wiedział jednak, że może mu nie wystarczyć sił, tym bardziej że znajdowali coraz więcej okazji, aby się spotykać. Pomogło im w tym między innymi poddasze stajni, gdzie

można było wejść, nie przyciągając niczyjej uwagi, służba zaś zaglądała tu najwyżej raz dziennie.

Gwynn spała, Kashim znów patrzył na śnieg. Po raz pierwszy od wielu miesięcy czuł się niemal szczęśliwy.

*

Dom Al'Iarnaków był duży i bogato urządony. Jak większość rodowych rezydencji, miał też własną łaźnię, wyłożoną pomarańczowym marmurem z Żelaznych Wzgórz. Choć kiedyś Nahar wolał łaźnie publiczne, gdzie zawsze można było spotkać znajomych czy porozmawiać o polityce, teraz bywał jedynie we własnej. I nie szło bynajmniej o to, że Pałac Kąpieli roił się dziś od szpiegów, a korzystanie z niego zostało obwarowane dziesiątkami zakazów. Po prostu długie, samotne ablucje były dla Świętego Jeźdźca sposobem na ukojenie nerwów, które ostatnio coraz bardziej mu słabły.

Nic dziwnego. Minął przeszło miesiąc od rozmowy z tajemniczym nieznajomym, którego propozycje spiskowcy odrzucili jako niegodne zaufania. Przygotowania posuwały się ostro do przodu i były na ukończeniu. Czekało tylko na korzystny układ wart pałacowej straży, tak by wszyscy ich ludzie pełnili służbę tej samej nocy. Oznaczało to, że każdego dnia mógł nadejść rozkaz, każdego dnia mogła nadejść śmierć.

Nahar zanurzył twarz w gorącej wodzie. Siedział tak chwilę, po czym uniósł głowę, parszając jak źrebię. Przetarł oczy. Gorąca woda bardzo go uspokajała, lecz nawet w niej nie potrafił zapomnieć o tym, co wkrótce go czeka. Od wielu dni mało jadł, do swoich prostych obowiązków w Orlim Forcie nie przykładał się wcale. Za to tężał cały, gdy na ulicy mijał patrol Czerwonych Turbanów albo Jastrzębia Najwyższego. Wiedział, że wkrótce skrzyżuje z nimi ostrza. Choć w gruncie rzeczy nie bał się śmierci, wciąż było w nim dużo z dawnego, żywego i wesołego młodzieńca, który chciał żyć — na przekór wszystkiemu.

Aby odegnąć niemiłe myśli, Nahar zanucił jakąś karczemną śpiewkę, lecz zaraz ucichł, usłyszawszy odgłos bosych stóp. Zimny podmuch z korytarza przyprawił go o dreszcze. Al'Iarnak pomyślał, że to służa przychodzi, by spytać, czy nie trzeba mu więcej wrzątku, lecz z kłębow mgły wynurzyła się przygarbiona postać Muddy. Wydawał się jeszcze bardziej zmęczony niż zwykle.

— Witaj, bracie! — rzekł oficjalnie Duzzah.

Nahar skinął mu głową i spojrział gdzieś w bok. Nie rozmawiali dużo, a szczególnie od czasu, gdy Al'Iarnak dowiedział się, że Mudda szpieguje dla

ludzi Vezamara. Kiedyś po prostu nie poświęcali sobie uwagi, dziś stali po przeciwnych stronach barykady.

Mudda powoli rozebrał się, ukazując oczom Nahara wychudłą, przygarbioną sylwetkę. Choć był tylko o dwa lata starszy, z wyglądu mógłby być ojcem Nahara. Jak bardzo jego ciało kontrastowało z dobrze urzeźbionym, muskularnym ciałem Świętego Jeźdźca! Nahar pomyślał, że księgi są widać gorsze od trucizn, bo nawet barwiarze, którzy do płócien używali szkodliwych farb, wyglądali po pracy lepiej od Muddy. A może to wyrzuty sumienia tak go odmieniły? Jeśli w ogóle je ma!

Młody Duzzah, nie wiedząc, jak niesprawiedliwie jest oceniany, zmówił krótkie modły, zalecane przed kąpielą, by wzbudzić w sobie pogardę wobec spraw ciała. Potem wsunął się do wody po przeciwnej stronie baseniku. Nie wbił jednak wzroku w sufit, jak zwykle czynił, lecz spojrzał głęboko w oczy brata.

— Musimy porozmawiać, Naharze — rzekł powoli.

Al'Iarnak skrzywił się. Rozmowa z człowiekiem Pałacu Proroka była nierozsądnym pomysłem w przeddzień planowanej rebelii.

— Ostatnio... — Głos uwiązał Muddzie w gardle i widać było, jak ciężko jest mu dobrać właściwe słowa. — Wiesz, jak sędzę, że wykonuję określone prace dla ludzi... związanych z prorokiem?

Nahar skinął głową.

— Ostatnio odkryłem ślad pewnej grupy... Nie, na Jedyne! Nie będę kłamał. Wiem o waszych spotkaniach, Naharze! Śledzę tę siatkę od przeszło dwóch miesięcy, lecz dopiero niedawno doniesiono mi, że i ty masz w tym udział.

Al'Iarnak zgrzytnął zębami. Krew uderzyła mu do skroni. Czyżby to koniec?

— Tak? — spytał. — I co zamierzasz z tym zrobić?

— Na tysiąc sępów, nie myślisz chyba, że wydam rodzzonego brata? Wiedz, że nie służę Vezamarowi z potrzeby serca...

Nahar nie wiedział, co jest gorsze: fanatyk, czy człowiek, który spełnia rozkazy proroka dla osobistego zysku.

— Cieszyłbym się, gdyby wam się udało, ale uwierz mi, wiem o tym spisku wszystko. Wiem o waszych ludziach w pałacu, o tym, gdzie się spotykacie.

— I...?

— I jeśli ja o tym wiem, mogą też wiedzieć inni! Nawet nie wyobrażasz

sobie, ilu Pałac ma płatnych informatorów! Ile osób potrafi śledzić tego samego człowieka, by pracodawca przekonał się, że żadna z nich nie kłamie. Byliście zbyt nieostrożni! Istnieje wielkie niebezpieczeństwo, że pójdziecie na pewną śmierć, w pułapkę! Zginiecie, a Tel'Halik straci ostatnią szansę.

— I...? — zapytał nerwowo Nahar.

— Tak być nie musi. Rozpuśćcie szeregi, przeczekajcie. Są jeszcze inni ludzie.

— Jesteś z nim?

— Kim? — zdziwił się Mudda.

— Z człowiekiem w masce — wycedził Nahar. — Mówił to samo.

Mudda zerwał się nagle, rozchlapując wodę.

— Co mówisz?! — krzyknął. — Jaki człowiek w masce?

Nahar zdał sobie sprawę, że mógł wyjawić o jeden fakt za dużo.

— Nic ci nie powiem — wycedził.

— Na Jedynego, bracie, to może być bardzo ważne! Chodzi ci o osobę w ciemnych szatach i o dziwnym głosie? Z maską na twarzy?

Nahar nie odpowiedział.

— Błagam cię! Mów! Życie wielu ludzi może od tego zależeć. Spotkałeś go?

— Tak — powiedział niechętnie Święty Jeździec. — Wiesz o nim coś więcej?

Mudda chwilę ciężko oddychał, zastanawiając się, co teraz począć. Wreszcie wyszedł z wody i rzekł:

— Nic już nie rozumiem, a w szczególności celów tej dziwnej osoby. Wiem jedno: on jest zły. Bardzo zły, Naharze, a na dodatek zmienny i zdradliwy. Zdążyłem się już o tym przekonać, bo byłem zmuszony wykonać dla niego wiele zleceń. Słuchaj, teraz już nie dbam o wasz spisek. Nie chcę wiedzieć, co i kiedy zrobicie. Cokolwiek by się jednak działo, nie słuchaj tego człowieka, nie rób nic, czego zażąda! Jeśli choć raz wejdiesz z nim w układ, już cię nie wypuści ze szponów.

To mówiąc, Mudda pośpiesznie zebrał rzeczy i wyszedł z łaźni, zostawiając Nahara samego ze swymi myślami. Jeśli młody Al'Iarnak w ogóle jeszcze zastanawiał się, czy ufać tajemniczej postaci, teraz stracił już wszelką wątpliwość.

Rozdział 15. Ogień w Tel'Halik

W święto, które mieszkańcy Learfeld zwali Yldweyn, czyli początkiem roku, Brenvan sprawił Kashimowi miłą niespodziankę. Mieszkańcy zamku Caerleigh wybierali się właśnie na uroczystą mszę w opactwie, które stało wśród wzgórz o dwie klepsydry konnej jazdy od zamku. Choć na co dzień modlono się w zamkowej kapliczce, tradycja nakazywała przy okazji świąt pojawiać się w świątyniach. Na wyprawę do opactwa zbierali się wszyscy członkowie rodu i niemal cała służba. Zaprzęgnięto każdy wóz, wyszykowano każdego konia, używając najlepszych rzędów. Kashim jednak wolał zostać w zimnych murach zamku. Choć wiele aspektów Księgi zaczął podawać w wątpliwość, to we fragmencie dotyczącym innowierców jej słowa były całkowicie jasne: pod żadnym pozorem nie wolno mu było przekroczyć progu obcej świątyni.

Jednakże o świcie Kashima odwiedził Jasnowłosość. Okazało się, że postanowił wreszcie pomóc przyjacielowi, którego tygodniami dręczyły domysły i wątpliwości. Brenvan puścił gońca do opactwa z prośbą, by tego dnia sędziwy kapłan był do dyspozycji Kashima wraz z bibliotekarzem i całym księgozbiorem.

Al'Shannagg czuł się wniebowzięty. Nareszcie będzie miał komu zadać szczegółowe pytania o historię krain wschodu, o ich religię i geografę. W zamku bowiem, choć rozmawiał już z każdym mieszkańcem, nikt nie wiedział wiele więcej od Brenvana. Ochoczo ubrał się w swój odświętny strój, przyszykował konia i wkrótce opuścił zamek, jadąc z Brenvanem oraz jego bratem na czele długiej kolumny.

Konie parły przysypaną śniegiem drogą, za nimi powoli jechały wozy. Cały krajobraz był spowity przez biały puch, a że tego dnia świeciło słońce, Al'Shannagg musiał mrużyć oczy, by nie oślepnąć od jasnych refleksów. Gdy patrzył na monotony krajobraz, który tylko sporadycznie zakłócały sylwetki pojedynczych drzew czy niemal zasypany płot, zdał sobie sprawę, że widoki przypominają mu Ocaloną Krainę. Zasypany wyglądały prawie jak piaskowe wydmy.

Orszak poruszał się szybko, wśród śmiechów kobiet, rozmów i żartów. Co jakiś czas do lorda Gwidona podjeżdżał starszy syn i pomagał mu wyprostować się w siodle. Jazda wierzchem była trudna dla zniedołężniałego

starca, lecz mimo to nie pozwolił usadzić się na wozie z niewiastami i dziećmi.

Jadąc, Al'Shannagg próbował uporządkować w głowie wszystkie pytania, które miał zamiar zadać. Było tego tak wiele! Tylu rzeczy wciąż nie rozumiał, że najchętniej spędziłby w opactwie miesiąc, a nie ledwie jedno popołudnie.

Gdy słońce stało w zenicie, oczom jeźdźców ukazały się przysypane śniegiem dachy. Otoczony murem kompleks miał własne ogrody, pola, kilka budynków gospodarczych. Sama świątynia, w porównaniu do reszty, była nieduża i niepozorna. Na podwórku za bramą, gdzie uwijali się młodzi mnisi, stało już kilka innych wozów. Jak później dowiedział się Kashim, należały do bogatszych gospodarzy ze wszystkich wsi Caerleighmarch.

Kilka osób zaraz podeszło, by przywitać orszak i zająć się wierzchowcami. Al'Shannagg przyglądał się z ciekawością duchownym, ich workowatym, ciemnym szatom oraz wygolonym głowom. W niczym nie przypominali Duzzahów. Nosili się ubogo, postawę zaś mieli pełną pokory, wzrok wbity w ziemię, głowę opuszczoną. Święty Jeździec nie dziwił się teraz, że tutejsi kapłani nie budzą respektu wśród ludu.

Po kilku chwilach krzątający cały ród Aam Caerleigh szedł już brukowaną ścieżką w stronę otwartych wrót świątyni. Przy nich stał opat w czerwonym ornacie i kilku akolitów z kadzidłami. Gdy tylko zbliżył się lord Gwidon, wszyscy pochyłili głowy. Starzec odpowiedział skinieniem zsiniałej dłoni, po czym wszedł do środka, by zająć honorowe miejsce. Kashim ledwo zdążył zajrzeć do mrocznego wnętrza, bo Brenvan zaraz pociągnął go w bok. Przy rogu kościółka stał niski, łysiejący staruszek o czole pokrytym siatką żył.

— Witaj, paniczu Brenvanie — powiedział. — Bogom niech będą dzięki, żeście z podróży swoich szczęśliwie wrócili.

— Witaj, ojcie Ulwiku. Oto człowiek, którego ci w liście wspominał.

— Witam i ciebie, obcokrajowcze. Słyszałem, żeś posiadał już władanie nad naszą mową?

— Istotnie, kapłanie, mówię dość dobrze.

— Wyśmienicie! Pójdziemy więc pierwej na mszę, czy od razu życzysz sobie, panie, obejrzyć księgozbiory?

— Mój przyjaciel nie postawi nogi za progiem świątyni — wyjaśnił Brenvan. — Zabrania mu tego jego wiara.

Odpowiedź nieco skonsternowała mnicha, odparł jednak:

— Jak sobie szlachetny pan życzy.

Brenvan nachylił się do przyjaciela, po czym rzekł:

— Zostawiam cię w dobrych rękach, Kashimie. Ulwik to człek wielkiej mądrości — i ja, i mój brat pobieraliśmy u niego za młodu nauki. Skorzystaj z jego wiedzy, a ja idę do świątyni.

Al'Shannagg skinął głową, a gdy Brenvan odszedł, staruszek wskazał mu drogę do biblioteki opactwa. Jego słomiane łapcie szybko obklejał śnieg i Al'Shannagg nie potrafił zrozumieć, jak kapłani potrafili przeżyć tutejsze zimy w tak marnym obuwiu.

Wkrótce okazało się, że księgozbiór opactwa daleko ustępuje archiwom Tel'Halik. Zajmował ledwie dwie większe sale, bo reszta skrzydła zarezerwowana była na skrytorium. Chodząc po jasnych, pełnych ksiąg pomieszczeniach, Kashim zauważył, że prawie nie używano tutaj zwojów. Wszystkie manuskrypty miały postać ciężkich, oprawionych w skórę i metal kodeksów.

Staruszek poprowadził gościa do małego, ubogo wyposażonego gabinetu, który przylegał bezpośrednio do sali z księgami. Tam usiedli, Ulwik zaś nalał Kashimowi małą czarkę jakiegoś mętnego płynu. Al'Shannagg powąchał i skrzywił się, lecz za namową mnicha wlał ciecz do gardła. Zaraz zaniósł się kaszlem, a oczy zaszyły mu łzami. Napój palił niczym żywy ogień.

— Okowita — wyjaśnił Ulwik. — Niedawny to nasz wynalazek. Destylujemy ją w piwnicach klasztoru za pomocą aparatury alchemicznej, którą żeśmy sprowadzili z południa. Pomaga rozgrzać członki w szczególnie zimne dni.

Al'Shannagg dopiero po dłuższej chwili odzyskał głos. Nawet najmocniejsze wina Tel'Halik nie mogły się równać siłą z tym tajemniczym trunkiem.

— Cóż więc chciałeś wiedzieć o naszych krainach, przybyszu z dalekich ziem? Może rad byś usłyszeć katechetyczne opowieści? Rozumiem, żeś jeszcze nie spotkał prawdziwej wiary i cześć oddajesz jakimś dzikim bałwanom, na sposób Marovian?

— Nie przyszedłem tu poznawać arkanów waszej wiary, kapłanie. — Al'Shannagg pokręcił głową. — Zacznijmy może od frapujących mnie pytań o dzieje waszych ziem.

— Pytaj, obcokrajowcze, o co tylko chcesz! A wiedz, że mamy tu wiele najsłynniejszych traktatów z dziedziny historii, w tym najdokładniejszy ze

wszystkich: w pięciu tomach przez mnicha Olausą przetłumaczone *Dzieje Dorianina Hedrota*.

Al'Shannagg pogładził brodę, zebrał myśli i rzekł:

— Jeśli już sam o nich wspomniał, kapłanie, powiedz mi, co wiesz o Dorianach, ich bogu i pierwszych dziejach świata.

*

Nic nie zapowiadało, że dwunasty dzień miesiąca Sibih przejdzie do historii, uwieczniony przez wszystkich dziejopisarzy Tel'Halik. Zaczął się bowiem normalnie, jak każdy zimowy poranek: słońce wstało późno i szło nisko nad linią horyzontu. Miasto, pogrążone w szarudze i smagane przez lodowaty wiatr, budziło się powoli. Nad budynkami wisały ciężkie, ołowiane chmury, w których ginał czubek Piaskowej Iglicy. Dopiero gdy mieszkańcy dawno już byli na nogach, odtajały kałuże skute lodem w ciągu nocy. Tuż przed drugim czytaniem spadł zaś drobny deszcz, więc mężczyźni, którzy wśród nawoływań muezina szli do świątyń, musieli przykrywać głowy połami szat.

Życie na ulicach toczyło się spowolnionym, zimowym rytmem. Było na tyle chłodno, że dzieci bawiły się w domach, zatem w mieście nie było słyhać ich pisków. Suki świeciły pustkami, bo gdy mało było przechodniów, kupcy nie mogli liczyć na dobry zarobek, pozwalający pokryć opłaty. Nawet Czerwonych Turbanów było mniej, zupełnie jakby wolały spędzać dzień we wnętrzach świątyń oraz madrasach, ogrzewanych przez system szybów z gorącym powietrzem.

Jednakże, choć nikt by się tego nie spodziewał, ten spokojny dzień był czasem pośpiesznych przygotowań. Już o świcie kilka tajemniczych osób zaczęło kręcić się po mieście, chodząc od skrytki do skrytki, od jednego sekretne go składziku do drugiego. Ktoś obszedł nielegalne tawerny, szukając amfor najlepszego wina. Ktoś inny kupił od Duzzaha z Pałacu Chorych cały zapas usypiającego wywaru z opium. W małym warsztacie przy ulicy Żebraków kilku młodych ludzi owijało strzały szmatami i moczyło w palnej oliwie, tak by były świeże, gdy trzeba będzie ich użyć. Kluczowe punkty miasta zajęli informatorzy i czujki, których zadaniem było ostrzec spiskowców o nieprzewidzianych ruchach straży lub świątynnej milicji.

Gdzieś w mieście kilka osób pisało w swoich gabinetach ostatnie listy. Pewien szlachcic żegnał się w oliwkowym gaju z narzeczoną, jakiś ojciec czulej niż zwykle przytulił dzieci. Nahar zaś siedział nad ogrodową sadzawką i myślał o przyjaciółach, którzy odeszli.

Wieczorem na podwórku za warsztatem Namiba trzech ludzi wyładowało do pełna wóz, po czym, zakrywszy go szczelnie plandeką, przeprowadzili do zaułka przy murze Pałacu Proroka. Nahar tymczasem ogolił się, włożył najlepszy ze swoich przesywanych kaftanów, powoli i dokładnie wzuł na siebie pancerz. Potem pożegnał wzrokiem dom, rzucił kilka zdawkowych słów służbie i ruszył w stronę Orlego Fortu, trzymając pod pachą zaczopowany garniec.

Zapadł zmrok. Rozpoczęło się piąte czytanie, a większość mieszkańców Tel'Halik gotowała się do nocnego odpoczynku. Byli jednak i tacy, którzy z nerwów ledwie potrafili ustać w miejscu. Wielu siedziało w madrasie przy Pałacu Proroka, bez przekonania słuchając wykładu. Inni poukrywali się w prywatnych domach, których właściciele zostali tego dnia przekupieni lub zastraszeni. Co jakiś czas dwie, trzy osoby wchodziły na podwórko z wozem i tam chowały pod płaszcze jakieś długie przedmioty, które potem roznosiły współtowarzyszom.

Po piątym czytaniu ulice opustoszały. Pod bramą Orlego Fortu stała już nocna straż, lecz Nahar nie miał kłopotu z wejściem do środka, jako oficer, a na dodatek jeden z zaufanych ludzi pułkownika Hanhakha. Przeszedł ciemny plac i zanurzył się w mroku arkad. Starając się zbytnio nie hałasować na kamiennej posadzce, ruszył do skrzydła ze zbrojownią. Na szczęście Dżibar — jeden z opiekunów zbrojowni, pełniący tej nocy wartę pod drzwiami — był sam...

Niedługo potem Al'Iarnak wracał już pod bramę. Tam zatrzymał się i zajął wartowników rozmową, głośno opowiadając jakąś historię. Nie usłyszeli, jak od tyłu podkradło się do nich kilka ciemno odzianych postaci. Nie zdążyli wydać nawet jęku, gdy krzepkie ręce przewróciły ich na ziemię, zakneblowały i wciągnęły do środka fortu. Nahar, patrząc, jak Święci Jeźdźcy są obezwładniani, poczuł niemiłe ukłucie. To w końcu byli jego towarzysze broni, jego fort. Teraz był dla nich zdrajcą.

Kilka chwil później stał się także złodziejem.

Na ulicach pojawiły się patrole. Choć krążyły po mieście powoli, wciąż były niebezpieczne. Znacznie później, gdy dziejopisarze Świętego Miasta próbowali odmalować bieg zdarzeń owej nocy, okazało się, że co najmniej dwa razy powodzenie przedsięwzięcia zawisło na włosku. Raz — gdy w alei za Pierwszą Świątynią aresztowano gońca noszącego wiadomości między grupami. Miał przy sobie broń i kompromitujący list. Patrol odstawił go zaraz do Pałacu Sprawiedliwych, na szczęście Duzzahowie, którzy pełnili tam

nocną służbę, nie chcieli kłopotać się organizowaniem przesłuchania przed świtem. Co ważniejsze zaś, nie powiadomili o sprawie przełożonych.

Druga katastrofa nastąpiła, kiedy na podwórko, gdzie stał wóz, weszła grupa strażników. Tym razem nie obyło się bez rozlewu krwi. Gdy pytania patrolu stały się zbyt niebezpieczne, a jego dowódca chciał zobaczyć, co jest pod płócienną plandeką, spiskowcy zaatakowali. Walka, choć krótka, była bardzo głośna i krwawa, jednak nikt z mieszkańców okolicznych domów nie wezwał straży. W końcu nawet z dobrym powodem niebezpiecznie było chodzić po zmroku...

Gdy księżyc stał już wysoko na niebie, a większość ludzi w Tel'Halik posnęła, wybuchł pożar. Zapłonęły składy oraz magazyny przy sukiennym suku. Rozprzestrzeniwszy się na kilka budynków, ogień wzbił się wysoko w granatowe nocne niebo, a jego łunę widać było w całym mieście ponad dachami domostw. Zaraz z całego Tel'Halik ściągnęły tam nocne patrole. Spiskowcy zaś odmawiali ostatnie modły, próbując uspokoić kołatanie serca. Dla nich pożar był umówionym znakiem.

Najszybciej jak mogli Nahar Al'Iarnak wraz z Mehidem i sześcioma przebranymi za Jeźdźców ludźmi donieśli worki pełne pancerzy i szabel do wskazanego zaułka tuż przy murze. W cieniu bram czekali już tam wybrani, najbardziej bitni spiskowcy. Szybko włożono pancerze, rozdzielono ekwipunek. Mehid rzekł kilka patetycznych słów, na których nikt nie potrafił się skupić, i wreszcie jego ludzie ruszyli ku pałacowi, kryjąc się w cieniu pod ścianami.

Noc była chłodna i wietrzna. Gwiazdy świeciły bledziej niż zwykle, jakby samo niebo sprzyjało zamiarom spiskowców. Gdzieś w niższej komnacie Piaskowej Iglicy Vezamar pisał nowe kazania. Pod ciemnogramatowym sklepieniem Kopuły Niebios leżał plackiem Kar'Shin. Yholed spał spokojnie w swojej willi koło Pierwszej Świątyni. Zamaskowana postać patrzyła z okna zamkniętego skrzydła Orlego Fortu na bramę, przy której nie było strażników, i na łunę nad miastem. Potem zaklęła siarczyście, obudziła strażników i ci wkrótce wypełnili wnętrze twierdzy krzykami i stukaniem butów.

Był jednak ktoś jeszcze. Ktoś, kto tej nocy krążył ciemnymi grotami pod pałacem, wśród świecących zielonkawo grzybów i śliskich, omszałych ścian. Ktoś, kogo tknęły złe przeczucia.

Na kilka chwil przed północą, gdy ogień wokół suku zaczął dogasać, dwudziestu ośmiu opancerzonych i zdeterminowanych wojowników weszło

do Pałacowego Ogrodu. Wpuścił ich sekretną furtą jeden z przybocznych gwardzistów Vezamara, lecz jego imię pozostało na zawsze tajemnicą dla historyków. Jednocześnie kilkadziesiąt odzianych w ciemne chałaty osób przypuściło pozorowany atak na główną bramę. Zwarli się z garstką gwardzistów, nocną ciszę brutalnie rozerwał szczęk mieczy i rżenie konających. Patrole, które rzuciły się w stronę pałacu, długo były wstrzymywane przez małe grupki zdeterminowanych młodzieńców oraz łuczników, szyjących celnie z dachów oraz ciemnych bram.

I tak w Tel'Halik zapłonął ogień znacznie gorętszy niż płomień na magazynach wokół suku.

*

Cios wsparty mocą daru był tak silny, że uniósł młodego spiskowca w powietrze i rzucił nim o ścianę. Wśród zgiełku bitwy rozbrzmiał trzask druzgotanych kości. Przyboczny strażnik proroka nie cieszył się jednak długo zwycięstwem. Nahar przygryzł wargę, zanurkował pod jego ramieniem i uderzył potężnym pchnięciem ku górze. Ostrze weszło między łuski, przebiło splot słoneczny i rwąc chrząstki oraz ciało jak worek wełny, zgrzytnęło na łuskach tylnej części pancerza. Gwardzista bluznął krwią i zwałił się na ziemię z odgłosem, który równie dobrze mógł być agonialnym kwikiem, jak i świstem powietrza uciekającego z przebitych płuc. Nahar rzucił wokół pełnym obłędu wzrokiem. Jego ludzie właśnie dorzynali rannych. Podłoga korytarza była zbryzgana krwią. Zaścielały ją trupy w zbrojach Świętych Jeźdźców oraz trupy w purpurowych płaszczach straży proroka.

Ośmiu ludzi. Zostało mu już tylko ośmiu! Choć w ich oczach wciąż tlił się płomień, to mieli powgniatane pancerze i poszczerbione szable. Kilku odniosło drobne rany. Był jeszcze Midżir, który konał właśnie pod ścianą, i Tamzih, patrzący tępo na ostrze wystające mu z boku. Tych Nahar już nie liczył. Ośmiu! Niestety, nawet mimo doskonałych pancerzy i ostrzy spiskowcy nie byli Jeźdźcami. I choć Nahar wyobrażał sobie, że prowadzi do serca pałacu dwie drużyny niezwycięzonych, elitarnych wojowników, co rusz któryś z nich ginął z rąk lepiej wyszkolonej gwardii. Wielu jego podwładnych nie było żołnierzami, wielu nigdy wcześniej nie nosiło ciężkiej zbroi, a żaden nie miał silnego daru.

— Dalej! — krzyknął Al'Iarnak chrypiącym głosem. — To już niedaleko!

— Słyszeliście, na Jedynego! Dalej! — podchwycił jeden ze spiskowców. Puścili się pędem przez korytarz, podkute buty głośno stukały na

kamieniach. Jeden z rannych patrzył za nimi błagalnym wzrokiem, jakby miał nadzieję, że go dobiją. Nie miał jednak siły o to prosić.

Z bocznych sal i pasaży docierały odgłosy desperackiej walki, cały pałac wprost nimi tętnił, zupełnie jakby zaatakowało go nie kilkudziesięciu, lecz kilkuset ludzi, jakby na każdym rogu trwała bitwa. Było to jednak tylko złudzenie, gdyż głosy nadzwyczaj łatwo niosły się po szerokich i pustych pasażach. W rzeczywistości spiskowców z każdą chwilą ubywało.

Kiedy ludzie Nahara dobiegali do kolejnego skrzyżowania, z bocznej odnogi wystrzeliła na nich nagle ciemna postać. Serce podskoczyło Świętemu Jeźdźcowi do gardła; uniósł szablę.

— To ja! Przychodzę od...

Postać zgięła się w kaszlu. Na posadzkę spadła odrobina krwi.

— Jak sytuacja w wielkim holu? Mów, człowieku! — rozkazał Nahar.

Goniec chwilę łapał oddech. Jeden z ludzi podtrzymał go i wlał mu między wargi parę kropli wody.

— Straciliśmy hol i trzy sale w skrzydle modlitw. Mehid padł... Dżibir przebija się z tuzinem ludzi przez wiszące ogrody, ale resztę odcięto w obserwatorium. Na Jedynego... Główną aleją atakuje tam pięć kompanii gwardii i Jastrzębie Najwyższego...

Mężczyzna znów kaszlnął, po czym dodał słabo:

— Dżibir prosi o pomoc. Bez niej nie dotrze do otoczonych.

Spiskowcy opuścili wzrok. Nahar zgrzytnął zębami. Coraz bardziej żałował, że zgodził się być dowódcą jednej z grup. Teraz, gdy zginął Mehid, musiał wziąć na swoje barki wszystkie decyzje. Och, jakby chciał w tej chwili spać w ogrodzie pod jakąś przytulną tawerną...

Cenne chwile mijały z każdym oddechem gońca. Kropla krwi zsunęła się po czyjejs głoŃni i spadła na podłogę.

— Idziemy do północnej furty — odezwał się Nahar. — Powiedz Dżibirowi, że nie mogę przyjść z odsieczą. Zobacz, jak niewielu nas zostało. Spróbujemy połączyć się z trzecim oddziałem i zaatakujemy Iglicę. Niech przyprowadzi nam tylu, ilu zdoła.

Goniec skrzywił się, lecz zaraz skinął głową i zniknął w ciemności. Grupa zbrojnych ruszyła tymczasem dalej w labirynt ciemnych, splątanych korytarzy pałacu. Minąwszy po lewej wielką salę audiencyjną i komnaty skrybów, wpadli do okrągłego pomieszczenia z fontanną. Wysoko nad głowami widzieli wspaniałą kopułę.

— To dwa korytarze stąd — rzekł do Nahara jeden z ludzi, niski,

siwiejący człowieczek, na którym źle leżała zbroja.

— Jesteś pewien?

— Panie, służyłem w tej części pałacu wiele lat. Dwa zakręty i znajdziemy się pod furką do Zakazanych Ogrodów. Jest strzeżona w dzień i w nocy.

— Może teraz strażnicy pobiegli gdzie indziej?

— Nie, panie. Pod karą śmierci nie wolno im ruszyć się spod drzwi, bez względu na okoliczności. Gdyby pałac się palił, staliby tam do końca i spłonęli żywcem.

Nahar przetarł rozbitą nos. Na stalowym karwaszu została ciemna smuga. Wiedział, że jeśli wedrze się do ogrodu, strażę ze wszystkich wrót rzucą się za nim.

— Imdżir?

— Tak, panie?

— Zrzuć pancerz! Wrócisz po naszych śladach do południowego skrzydła i ruszysz pod bramę. Muszę wiedzieć, co z grupą, która wdarła się głównymi wrotami. Zobacz, gdzie teraz walczą, i powiedz, że jesteśmy na pozycji do ostatecznego ataku, że nie możemy długo czekać. Sprowadź tyłu, ilu zdołasz.

— A o Mehidzie, panie? Powiedzieć, że...

— Nie. Idź już, na Jedynego!

Ciemne korytarze połknęły gońca, a łamany rytm jego biegu umilkł w oddali. Spiskowcy stali w ciszy przy brzegu fontanny.

Żaden nie usiadł, żaden nie schował miecza. Wyglądali teraz jak stojący u szczytu wodotrysku posąg Sammara, który ciosem laski rozłupywał skałę, uwalniając strumień. Modlili się, próbując uspokoić rozedrgane nerwy, wspominali gorzko rzeczy i ludzi, których nigdy już nie zobaczą.

Wiedzieli, że jeśli do tej pory zginęła już prawie połowa, to z ataku na Piaskową Iglicę nikt nie wyjdzie cało. Nawet gdy zabiją proroka, jedyną szansą ucieczki z Zakazanego Ogrodu był akwedukt, który wiódł do niższych parków. Jednak ludzie mający utorować do niego drogę ginęli właśnie w okrażeniu. Tym samym śmierć zacisnęła na spiskowcach swoją dłoń. Zdołaliby jeszcze wywalczyć sobie kilka chwil życia, ale koniec mógł być tylko jeden...

Czas mijał, lecz z korytarzy nie było słyhać zbliżających się kroków. Wręcz przeciwnie, odgłosy walk jakby się oddalały. Tylko w jednym momencie spiskowcy stanęli w gotowości, bo w którymś pasażu dostrzegli poblask żagwi, a do ich uszu dobiegły głośnie rozkazy — zaraz jednak

zorientowali się, że to kompania pałacowej straży pędzi w stronę lewego skrzydła. Zdawało się, że już-już zauważą ich i dojdzie do walki, ale żołnierze przemknęli, nie patrząc nawet w stronę sali z fontanną. Spiskowcy zostali znów sami, w ciszy i ciemności.

Każda chwila zmniejszała szansę powodzenia zamachu. Nahar Al'Iarnak zdał sobie sprawę, że nie może dłużej czekać na posiłki, i zastanawiał się, czy nie posłać kolejnego gońca. Spojrzał po ponurych twarzach swoich ludzi. Nie. Miał ich zbyt mało.

— Nie doczekamy się już pomocy — rzekł. — Musimy iść. Niech Jedyne czuwa nad naszymi krokami. Ufam, że choćbyśmy mieli przypłacić to życiem, ktoś zdoła przebić się do tego parszywego psa, który śmie mienić się prorokiem.

— Najwyższy jest z nami, bracia! — dodał ktoś inny.

Ruszyli w stronę wrót do wewnętrznego ogrodu. Biegając, Nahar pomyślał o czymś nieprzyjemnym: jeśli Bóg istotnie nie popierał Vezamara, to dlaczego sam nie pozbawił go godności? I czy namaściłby go na proroka, wiedząc, że w przyszłości wystąpi przeciw Jego naukom? Zaiste, straszna była myśl, że mogą iść na śmierć nie dla prawdziwej wiary, lecz za sprawą demonicznych podszeptów.

Na szczęście, nim te przemyślenia odebrały Naharowi odwagę, grupa spiskowców minęła drugi zakręt i oto w końcu korytarza ukazały się drewniane drzwi. Pod nimi stało dwóch gwardzistów: skierowali ku nacierającym włócznie, gotowi raczej zginąć niż dać im przejście. Cóż jednak mogło zrobić dwóch odważnych strażników przeciw ośmiu mężczyznom, w których oczach świecił obłęd? W okamgnieniu rozniesiono ich na szablach, choć wcześniej zdołali ciężko ranić jednego z ludzi Nahara. Sprawdziwszy, że ranny może poruszać się o własnych siłach, Al'Iarnak podszedł do drzwi. Nigdy nie był religijny, lecz nim pchnął ciężkie skrzydło, zmówił krótką modlitwę.

Zakazany Ogród powitał ich grobowym chłodem i milczeniem. Krótka przystrzyżona trawa była mokra od rosy, nad ziemią unosiła się nocna mgła. Nahar poczuł dreszcz na plecach, gdy pomyślał, że między tymi drzewami krążył Zerakhim i kilkunastu innych proroków, szukając boskiego natchnienia dla swojej pracy. Teraz szli tędy zamachowcy, mający nadzieję zgładzić Światło Najwyższego. Ponad koronami ozdobnych drzew widniała masywna sylwetka Piaskowej Iglicy. Jasny marmur, z którego ją zbudowano, zdawał się niemal świecić w świetle gwiazd. Al'Iarnak wzniósł wzrok.

Widok wspaniałej budowli był z tej perspektywy jeszcze bardziej imponujący.

Nie było czasu na podziwianie cichego piękna Zakazanego Ogrodu. Spiskowcy ruszyli w stronę podstawy Iglicy. Jednakże po kilkunastu krokach w ciemności zaśpiewały cięciwy kusz, a bełty wyleciały z mgły, siejąc wśród wojowników śmierć.

*

Śnieg spadł wkrótce po mszy, gdy ludzie wyszli już ze świątyni i wsiadali z powrotem na wozy oraz konie. Drobne płatki sypały z nieba, a wiatr nanosił je do środka przez szeroko otwarte wrota. Z każdą chwilą padało coraz mocniej, nic więc dziwnego, że większość gości uciekała z opactwa pośpiesznie, aby nie ryzykować podróży w śnieżycy.

Brenvan Aam Caerleigh stał przy wrotach kościoła i patrzył, jak jego rodzina przygotowuje się do odjazdu. Spojrzał nerwowo na przyprószony bielą dach biblioteki. Kashim nie zjawił się jeszcze, choć obiecywał, że zaraz po mszy będzie na podwórku. Kolumna już przygotowała się do odjazdu, a Falkirk patrzył na Brenvana pytająco.

Wreszcie Aam Caerleigh dał mu znak, by jechali, a sam — jak rozjuszony dzik — pognął do biblioteki. Skaranie bogów z tym Kirajczykiem! Czy w jego kraju równie lekko traktuje się gospodarzy?

Choć reguły zabraniały obcym chodzić po opactwie bez mnicha przewodnika, Brenvan nie czekał pod drzwiami budynku, tylko pchnął je, wmaszerował do sieni, a potem do sali z księgami. Nie było w niej nikogo, więc przeszedłszy krótki korytarz, rycerz wpadł do drugiej. Dopiero tam znalazł Kashima, pochylonego nad stołem pełnym ksiąg. Obok siedział bibliotekarz, który przerzucał strony popędzany warknięciami Al'Shannagga, a przy nich stał zafrasowany Ulwik. Brenvan krzyknął:

— Widzę, żeś jeszcze z naszych obyczajów niewiele pojął, mości Kirajczyku! Ładnie to bowiem umawiać się, a potem kazać mi sterczeć na mrozie?

Kashim nawet nie raczył odpowiedzieć, zamiast tego syknął coś do bibliotekarza. Ten skulił się i znów przerzucił karty.

Brenvan zgrzytnął zębami. Takie lekceważenie nie mogło nikomu ujść na sucho! Szczególnie przy świadkach. Zacisnąwszy rękawicę, rycerz ruszył w stronę stołu. Gdy zbliżył się do Kashima, usłyszał skrawek rozmowy. Al'Shannagg pytał właśnie:

— ... i jest tak samo?

— Tak, panie... Obawiam się, że w tym względzie księgi są jednomyślne...

Brenvan podszedł blisko, wziął zamach i grzmotnął przyjaciela w plecy ciężką rękawicą.

— Czyś ty ogłuchł, na bogów? Mówię do ciebie, Kashimie!

Bibliotekarz wraz z Ulwikiem skulili się, jakby doskonale wiedzieli, co zaraz nastąpi. Święty Jeździec odwrócił się, a Brenvan zrobił krok do tyłu, blednąc jak ściana, na obliczu jego przyjaciela malował się bowiem obłęd. Kashim był cały czerwony, nozdrza miał rozszerzone jak gończy pies, który zwietrzył krew. Na czole perlił mu się pot, zupełnie jak ktoś chory na wodną gorączkę.

— Brenvan... Idź stąd — warknął.

— Ale cóż się stało, przyjacielu? Czyś chory?

— Proszę, idź stąd zaraz! — Czoło Kirajczyka zmarszczyło się groźnie.

Aam Caerleigh widział, jak Kashim cały czas kurczowo zaciska zęby.

— Na bogów, mów, co ci dolega! Wiedz, że takie zachowanie ubliża mi przy świadkach, więc może...

Al'Shannagg bez słowa odwrócił się z powrotem do almanachów. Mnisi opuścili wzrok.

— Dobrze więc! — krzyknął Brenvan. — Sam będziesz szukał drogi do domu... I pewnikiem noclegu na resztę zimy!

To powiedziawszy, pomaszerował do wyjścia. Jego podkute buty dźwięczały głośno w kamiennej sali.

Wyszedłszy z opactwa, Brenvan poczuł rześkie powietrze, stanął na chwilę i przymknął oczy. Płatki śniegu przylepiały się do jego twarzy, kojąc rozognione od gniewu czoło. Po namyśle rycerz uznał, że najlepiej zrobi, jeśli się oddali i zostawi Kirajczyka samego. Jednak z przyczyn nie do końca zrozumiałych nawet dla siebie samego po prostu nie mógł teraz odejść. Spoglądał chwilę na ciemną ścianę mającą po drugiej stronie dziedzińca, potem popatrzył na dwóch akolitów, którzy ukrywając się pod drewnianym daszkiem, rozprawiali o czymś. Wreszcie cofnął się i oparł plecami o mur.

Kiedyś nie puściłby takiej obrazy płazem, ale od czasu, gdy poznał tego obcokrajowca... Choć Brenvan nie chciał do końca przyznać się do tego przed sobą, pasje Kashima i w nim rozbudziły ciekawość. Nie był też głupi, domyślał się więc, co mogło tak rozjuszyć przyjaciela, że pozornie stracił rozum. Brenvan Aam Caerleigh postanowił czekać na niego i się przekonać.

Kashim wyszedł z biblioteki po przeszło dwóch klepsydrach. Do tego

czasu Brenvan musiał chronić się w sieni, bo śnieg padał coraz mocniej. Gruba warstwa bieli przykryła już brązową wstęgę gościńca i wszystkie dachy, a nawet bardzo stromy grzbiet świątyni.

Al'Shannagg kroczył powoli i chwiejnie, jego twarz była blada jak u trupa. Z tyłu dreptał zafrasowany Ulwik, więc Brenvan spytał go:

— Co się stało, ojczy? Czy...

— Nie... — przerwał Kashim cichym głosem. — Sam ci powiem, chodźmy już stąd.

Zaraz też otworzył drzwi i zniknął w śnieżycy. Ulwik rozłożył ramiona w geście bezsilności, Brenvan zaś zaklął i ruszył za przyjacielem.

— Powrót może być teraz niebezpiecznym pomysłem — powiedział, gdy szli środkiem placu. — Zawierucha przybiera na sile, konie będą iść wolno, a jeśli sytuacja jeszcze się pogorszy, mogą paść z zimna.

— Nie chcę tu zostawać dłużej — rzekł Kashim, jakby to był wystarczający powód, by narażać się na zamarzenie.

Młodzi mnisi wyprowadzili z przegród ich wierzchowce i chwilę później dwójka podróżnych była już za bramą, zostawiwszy za plecami ciepłe, przyjazne budynki opactwa. Przed nimi zaś wichur gnał, wyjąc nad śnieżnobiałą pustynią, i miotał im w twarz mroźne podmuchy. Niebo pociemniało, nadając krajobrazowi jeszcze groźniejszy wygląd. Kashim i Brenvan szczelnie owinęli się płaszczami, a mimo to chłód szybko zaczął im doskwierać.

— Powiesz mi wreszcie, co się tam stało? — spytał Brenvan, kiedy ujechali w ciszy już spory kawałek drogi.

Kashim milczał długo i dopiero gdy rycerz już myślał, że jego towarzysz nie odezwie się słowem, powiedział w języku Tel'Halik:

— Prorok Sammar wszystkich nas oszukał. Oszukał cały lud Ocalonej Krainy.

Ciche i pełne goryczy słowa utonęły w głośnym wietrze, więc Brenvan rozłożył ręce.

— Co mówiłeś, przyjacielu? — rzekł.

— Pierwszy prorok był kłamcą! — Krzyk łamał się Kashimowi w gardle, zupełnie jakby Święty Jeździec szłochał, skryty w cieniu wełnianego kaptura.

Rozdział 16. Stłuczone zwierciadło

Z najwyższego balkonu Orlego Fortu można było lepiej ogarnąć miasto niż z poziomu pograżonych w ciemności ulic. Dlatego mężczyzna, którego przyciągnęła tu łuna pożaru, przeciwnie niż Jastrzębie Najwyższego oraz Czerwone Turbany biegające chaotycznie w dole, nie musiał długo zastanawiać się, by zrozumieć, co tej nocy nastąpiło. Jego nalana, pokryta zmarszczkami twarz była skrzywiona w niemiłym grymasie. Na barierce leżała srebrna maska, którą zdjął pierwszy raz od długiego czasu. Obok, w cieniu kolumny, stała jeszcze jedna osoba. Odległy pożar skrzył się na jej polerowanym pancerzu.

— Głupcy — rzekł mężczyzna. — Po stokroć przekłęci głupcy. Powiedz, Hanhakh, czy mogłem być jeszcze bardziej bezpośredni niż wtedy, gdy słałem im wiadomości? Czy to ja popełniłem błąd, czy może to im Jedyny odebrał rozum?

Pułkownik wyszedł z cienia i stanął obok swego dowódcy.

— To prości ludzie, o potężny! Nie mają woli Świętych Jeźdźców. Ich gniew jest szybki, trudny do powstrzymania...

— I spłoną przez to jak wiązka słomy, nagle i efektownie, lecz bez większego skutku. Na Jedynego! Wyobraź sobie, Hanhakh, jak stare sępy teraz oszaleją! To będzie piekło!

To powiedziawszy, pasza Asimar patrzył w milczeniu na pożar, po czym dodał cicho:

— Obecna pozycja, jakkolwiek wygodna i odpowiednia do kierowania akcjami na terenie Świętego Miasta, może się dla mnie okazać zbyt niebezpieczna. Jeśli w tym pożalowania godnym zdarzeniu brali udział nasi ludzie, a jestem przekonany, że tak było, Pałac będzie inwigilował Jeźdźców. Mogą dociec, że nie leżę w Umm'Magar, pułkowniku...

— Tylko jeśli atak się nie powiedzie. Przecież musisz, o potężny, dopuszczać taką możliwość, że spiskowcom dopisze szczęście!

— Nie, Hanhakh.

— Ale...

— Nie dopuszczam takiej możliwości i mam ku temu powód. Po prostu wiem, z kim jeszcze przyjdzie im się mierzyć, nim przedrą się przed oblicze proroka. Uwierz mi, żaden nie wyjdzie z pałacu żywy.

*

Obite żelazem drzwi aż jęczały przy każdym uderzeniu. Z kamiennego obramienia sypał się pył oraz drobne, rozkruszone fragmenty piaskowca. Nie ulegało wątpliwości, że żołnierze po drugiej stronie zdążyli już sprowadzić taran. Mimo to zarówno wrota, jak i potężne zawiasy trzymały — na razie.

— Mahmid! Zostaniesz tutaj. — Nahar przygryzł z bólu wargę.

Sięgnął dłonią do dolnej części pancerza i wymacał szeroką szczelinę w łuskach, która była już mokra od krwi. Bełt z ciężkiej kuszy rozerwał zbroję bez najmniejszego problemu, rozorał biodro, zgrzytnął na kości, a potem poleciał dalej, zostawiając paskudną i szeroką ranę, sprawiającą ból przy każdym kroku.

Mężczyzna, któremu rozkazał Al'Iarnak, także był ranny. Mimo to skinął głową i zaparł się o drzwi, podczas gdy Święty Jeździec podniósł wzrok na pozostałą trójkę.

— Idziemy! — Rzucił krótko. — Pies Vezamar może mieć ukryte tunele pod Iglicą. Trzeba go osaczyć, nim z nich skorzysta.

Bez słowa ludzie opuścili sień, która leżała zaraz za drzwiami Iglicy. Zostawiwszy za sobą dwa skrwawione trupy służących, wbiegli na strome, kręcone schody. Za nimi, nieco wolniej, zaczął się wspinać posiniały z bólu Nahar.

— Powodzenia! — krzyknął Mahmid, gdy Święty Jeździec już zniknął za załomem ściany.

Al'Iarnak przystanął i odwróciwszy się, oddał Mahmidowi salut szablą, po czym zniknął na górze. W jego ostatnim spojrzeniu było coś pożegnane.

Piaskowa Iglica była wielka, lecz wewnątrz dość ciasna, głównie za sprawą potężnych murów, grubych u podstawy na przeszło osiem stóp, oraz równie grubego rdzenia, który wedle architekta Al'Imteha, twórcy planu, miał chronić budowlę przed pustynnymi wiatrami. Niektórzy uczeni Tel'Halik twierdzili, że konstrukcja jest wręcz zbyt ciężka, i proponowali zrobić w środku nieco więcej miejsca, lecz ich plany nie wzbudziły zaufania żadnego z kolejnych proroków. Piaskowa Iglica była symbolem wiary i musiała przetrwać stulecia.

Wąskie i strome schody prowadziły na piętro, gdzie mieściły się trzy małe sale, służące za kuchnię, magazyny oraz kwatery najbliższej służby proroka. Nahar i jego ludzie przelecieli tędy jak wichry, wywracając sprzęty i zrywając kotary. Wkrótce, po przeszło stu stopniach, dotarli do drzwi na

drugi poziom. Za nimi znajdowały się prywatne komnaty, gdzie prorocy mogli w spokoju pracować i mieszkać, wyżej trzeci poziom, z biblioteczką i malutką kaplicą, a na samej górze — można tam było dojść po bardzo długiej i wyczerpującej wspinaczce — niemal zawsze zatrzaśnięte drzwi do Kaplicy Objawień.

Wejście do komnat mieszkalnych było zaryglowane, toteż czwórka spiskowców musiała uderzać w nie barkami dłuższą chwilę, nim skrzydło, znacznie mniej wytrzymałe niż to z samego dołu, uległo pod naporem. Wtedy zaś oczom zbrojnych ukazało się bogato umeblowane pomieszczenie, gdzie wśród jedwabnych leżanek i przepysznych dywanów stał Vezamar we własnej osobie. Jego kosztowna szata była w nieładzie, tak jakby dopiero co się ubrał. W oczach miał przerażenie, choć obok stały dwa Jastrzębie Najwyższego, jego osobiści strażnicy. Przyboczni proroka wzniesli ghanki i zastąpili napastnikom drogę. Z dołu dał się słyszeć huk, a potem odgłosy desperackiej walki. To pałacowa straż wdarła się do Iglicy.

— Cóż czynicie, szaleni?! — rzekł Vezamar. — Jestem pomazańcem niebios!

Spiskowcy zaczęli zbliżać się do niego z bronią przygotowaną do ataku. Jastrzębie stały spokojne, pewne swojej przewagi nad czterema pokiereszowanymi desperatami.

— Odłóżcie broń i porozmawiajmy! Uznaję prawo ludzi do popełniania błędów, w końcu Księga mówi, że zdarzają się one nawet najmądrzejszym. Nie będziecie ukarani, jeśli poddacie się zaraz i wyrzekniecie swoich heretyckich mocodawców!

— Vezamarze Al’Istani! — odparł jeden z ludzi Nahara. — W obliczu odwiecznych praw i obyczajów Tel’Halik uznajemy cię za winnego morderstw, spisków i godzącego w prawa Księgi okrucieństwa. Za te wszystkie czyny zostajesz skazany na śmierć!

Vezamar cofnął się, przewracając złocony stół, ale spiskowcy wahali się chwilę. Choć mieli oto przed sobą znienawidzonego starca, choć dzieliła ich od niego tylko krótka walka, nie mogli się zdobyć na ostateczny krok. Niełatwo było podnieść rękę na Światło Najwyższego, nawet gdy okazywał się nim łajdak, który kulił się na widok błyszczącej głowni. Serca spiskowców głośno protestowały, lecz gdy ze schodów zaczęły dobiegać głosy straży, zamiast serc przemówiły ostrza.

Jastrzębie były zdziwione furją i desperacją atakujących. Jeden ze spiskowców padł nagle, nadziawszy się na ostrze ghanka, ale w ostatnich

spazmach chwycił rękę swojego zabójcy i przytrzymał go przez kilka kluczowych chwil, a inny spiskowiec rozerwał w tym czasie Jastrzębiowi szyję. Drugi z ludzi proroka, otoczony ze wszystkich stron, choć bronił się i cofał krok za krokiem, i choć za pomocą daru rozrąbał kolejnego spiskowca niemal na pół — został szybko zakłuty. Nahar i jego towarzysz zwrócili się teraz w stronę Vezamara.

Starzec z krzykiem osunął się na ścianę, zrywając przy tym jeden z arrasów, i pociągnął ukrytą dźwignię. Rozległ się zgrzyt skomplikowanej maszyny oraz przeciwwagi, która zsunęła się w dół komina wmurowanego w trzon Iglicy. Kawałek ściany zaczął się odsuwać i ukazał ciemne przejście. Lecz spiskowcy nie mieli czasu podziwiać tego cudu techniki. W przejściu ktoś stał. Vezamar początkowo był równie zaskoczony, jak jego niedoszli oprawcy.

— Snaar! — Prorok wyciągnął wreszcie ręce w dramatycznym geście. — Ratuj mnie!

Istota bez słowa przeszła obok Vezamara. Miała na sobie ciemny płaszcz oraz ciężką złotą maskę. Jej niezwykle wysokie, wrzecionowate ciało nie przypominało Al'Iarnakowi niczego, co widział wcześniej. Tylko przez jedną chwilę miał wrażenie, że to ten sam zamaskowany mężczyzna, z którym rozmawiał w piwnicy, ale szybko zdał sobie sprawę, że się myli.

— Głupcy — wyrzekła istota głosem przyprowadzającym spiskowców o dreszcze.

Nahar i jego towarzysz nie mieli jednak czasu na strach. Pościg już się zbliżał, a Vezamar był na wyciągnięcie szabli. Rzucili się na zamaskowanego w nadziei, że nie zdąży nawet dobrać broni.

Nie musiał.

Jeden gest wystarczył, by towarzysz Nahara wzleciał w powietrze i jak powalony przez pędzącego bacharna, grzmotnął o ścianę kilkanaście stóp z tyłu. Uderzenie potrzaskało mu wszystkie kości, a czaszka pękła jak dojrzały melon, bryzgając czerwienią.

Al'Iarnak bez namysłu zaatakował, płytkim cięciem celując tam, gdzie pod zawojami powinna się znajdować szyja. Wtedy zdarzyło się coś tak błyskawicznego, że Nahar ledwo zdołał cokolwiek dostrzec, nim padł z krzykiem na podłogę. Zamaskowany wyciągnął dłoń w bok i cudem, jakby znikąd, zjawił się w niej ghank jednego z zabójców. Potem, szybciej niż człowiek jest zdolny spostrzec, wróg uderzył. Prawa dłoń Nahara — dłoń szermierza dzierżąca szablę — upadła na dywan, on sam zaś osunął się na

kolana. W pierwszej chwili prawie nie poczuł bólu, tylko ciarki przeszły mu po skórze, a włosy stanęły dęba. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że oto klęczy, przyciskając do piersi tryskający krwią kikut. Nahar zdążył jeszcze tylko pomyśleć, że to koniec, że szermierz bez ręki równie dobrze może umrzeć, gdy potężny cios w głowę powalił go na ziemię.

Gdzieś z daleka dobiegał odgłos straży, coraz odleglejszy i bardziej cichy.

*

Śnieżycą ustała, zostawiwszy po sobie idealnie białą równinę, która ciągnęła się po horyzont. Ciężka warstwa śniegu przykryła trakt, pola, kamienie, gdziekolwiek tylko wybijały się spod niej krzewy i drzewa. Oko ledwo potrafiło złowić miejsce, gdzie kończy się biała ziemia, a zaczyna blade, bezchmurne niebo.

Dwie ciemne plamki na jasnym tle poruszały się powoli tam, gdzie niegdyś znajdował się trakt. Byli to jeźdźcy, którzy dopiero co zdążyli otrzepać płaszcze z ciężkiej warstwy topniejącego śniegu. Jechali bok w bok, zbyt zajęci rozmową, żeby podziwiać zimowe pejzaże.

— Więc jeśli dobrze cię pojąłem „przyjacielu” — rzekł Brenvan — uroiłeś sobie, że wasz prorok był... jednym z Tuzina?

— To nie urojenia, Jasnowłosa — odrzekł ponuro Kashim.

Choć wzburzenie zdążyło z niego ująć, wciąż był blade i rozedrgany.

— Księgi z opactwa są w tej kwestii jednoznaczne. Wedle większości waszych dziejopisów ten, którego zwiecie Sprzeniewiercą, zbuntował się przeciw dziesiątce współbraci. Potem zaś objął władanie na dalekim zachodzie i z pomocą złej, ognistej magii wybił wszystkich, którzy ich czcili. Jeszcze później wzbronił poddanym wyznawać kogokolwiek prócz siebie.

— I...? To jeszcze nic nie znaczy, przyjacielu.

— Też tak z początku myślałem. Ale twój Ulwik przeczytał mi przypowieść o tym zdarzeniu, wedle której za Sprzeniewiercą stanęło jedenastu potężnych lordów, których imiona wraz z jego imieniem skazano na zatracenie.

— Nie rozumiem.

— Boś mnie nie słuchał, kiedy o Księdze opowiadałem — Kashim westchnął. — Inaczej wiedziałbyś, że gdy Sammar zjawił się, by wybawić ciemnoskórych z niewoli, miał ze sobą jedenastu wspaniałych wojowników, którzy władali jego niezwykłą mową.

— A nie sądzisz, że to może być ledwie przypadek? Ot, dwie podobne do

siebie klechdy!

— Nie nazywaj Księgi bajką, zresztą podobieństw znalazłem więcej. Dla przykładu: cuda, jakie wasi bogowie czynili, pokrewne są bardzo cudom Sammara.

— No dobrze, lecz cóż z tego wynika, prócz tego, że wasz święty mąż był bratem naszych bogów? Dlaczego omal nie postradałeś zmysłów, gdyś się o tym dowiedział?

— I znów nic nie rozumiesz! Jeśli prorok, Światło Najwyższego, Książę Wiernych, skłamał i opowiedział nam nieprawdziwą historię, to jak możemy mieć pewność, że reszta jego słów nie jest fałszywa? Czy przekazał nam posłanie Najwyższego, czy może... swoje własne? Zaufałbyś powtórnie kłamcy, gdy wcześniej go złapałeś na oszustwie? Nie, Brenvanie! Jeśli prorok kłamał, nic nie jest pewne. Nic nie ma sensu... — dodał gorzko Kashim.

Jechali chwilę w milczeniu.

— Lecz jeśli dobrze pamiętam — rzekł wreszcie rycerz — wasz bóg wielkie cuda czynił już po odejściu proroka!

— Ba! Czyż jednak i moc waszych bogów nie działa po ich śmierci? Wiesz, o czym mówię — wszystkie złe miejsca, jak katedra w Asterlet czy Zaulek Szaleńców. Sammar też mógł zostawić coś po sobie. Dlatego właśnie, choć moje sumienie wzdraga się, gdy w ogóle to rozważam, muszę dopuścić możliwość, że Najwyższy nigdy nie istniał. Przecie nie mówił do nikogo poza prorokiem! Mogło być nawet gorzej...

Tu Kashim przerwał, jakby sam przestraszył się słów, które przyszły mu na myśl. Szybko podjął jednak wątek, tym razem w mowie Tel'Halik.

— Mogło być gorzej... Ta Bestia, ten gad o postawie człowieka, który z podziemi rządził Świętym Miastem. Powiedziałaś, że przypomina yaurańskich generałów, a wiem już, że historia waszych wojen jest starsza od Ocalonej Krainy. Może Sammar był tylko... pionkiem w rękach obcego mocarstwa? Może wraz z przybocznymi działał z cudzego rozkazu?

— Och, zbyt daleko się posuwasz w swoich przypuszczeniach, Kashimie, przyjacielu! Doprawdy, Yaurańczyk w waszej odległej krainie? Po co?

Znów zapadło kłopotliwe milczenie, a Brenvan desperacko szukał sposobów na pocieszenie druha. Wreszcie rzekł:

— Bacz, że to jeszcze nic nie znaczy. Kto wie? Może właśnie my, mieszkańcy krain środka, tkwimy w błędzie, może cały Złoty Tuzin tojenolennicy kogoś znacznie potężniejszego, a wszyscy prócz twojego Sammara

wyparli się go?

Kashim prychnął, nie wiedząc nawet, jak blisko prawdy był w tej chwili ów prosty rycerz z Learfeld.

— Ani nasze, ani wasze księgi tego nie opisują, dlatego nie wydaje mi się to prawdopodobne. A co z gadem?

— Gad? Mógł przybyć nawet kilka wieków później, przyjacielu.

— Nie przeczę, lecz to, com widział w podziemiach Tel’Halik, było gotowione od dawna. Zresztą czy ciebie taka wizja nie niepokoi? Przecież wtedy wasi duchowni w wielkim błędzie by tkwili, cześć oddając ledwie prorokom, posłańcom, zamiast samemu bogu!

Rycerz rozłożył ręce i rzekł:

— Nieszczerze by mnie to obeszło. Nigdy nie byłem zaintrygowany sprawami religii.

Kashim pokręcił głową. Niewiarygodne, z jakim lekceważeniem jego towarzysz traktował fundamentalne kwestie swojego bytu. Jak dalece był odporny na strach przed nieznaną przyszłością oraz przeszłością zarówno świata, jak i ludzkiego ducha.

Gdy wrócili do zamku, Kashim, nie witając się z nikim, poszedł wprost do swojej komnaty. Spędził tam resztę dnia, nie wychodząc na posiłki, nie odpowiadając nawet na wezwania. Próbował wyobrazić sobie zdarzenia sprzed lat, znając ledwie ich skrawki. Z drobnych kawałków szkła odczytać obraz w stłuczonym zwierciadle.

Wieczorem zdał sobie sprawę, że przeoczył już porę popołudniowej modlitwy, a właśnie nastał czas czwartego czytania. Położywszy rękę na modlitewnym dywaniku, który spoczywał zwinięty obok łóżka, Kashim popatrzył przez wąskie okno, przez szybki z grubego szkła na zachodzące słońce i zamkowy mur. I pierwszy raz w życiu świadomie zlekceważył modły. I mimo że przez wiele dni miało go kłuć poczucie winy, to nie widział możliwości, by szczerze i z pełną świadomością czcić coś, co mogło nie istnieć; co mogło być tylko wymysłem żadnego władcy bożka. W taki sposób Kashim Al’Shannagg oprócz banity stał się również apostatą.

Tej nocy nie mógł w ogóle zasnąć. Tłumaczył to wzburzeniem, lecz w pewnym momencie uświadomił sobie, że przyczyna jest inna.

W głębi duszy poczuł jeszcze mocniej niż zwykle, że w Świętym Mieście dzieje się coś bardzo złego. Właśnie teraz.

Zbliżywszy się do okna, otworzył je. Do środka wdarł się lodowaty wichur, niosąc drobinki śniegu. Mimo zimna Kashim długą chwilę patrzył w

ciemności nocy na zachód, w stronę Piaskowej Iglicy. Wtem poczuł dreszcz i wzdrygnął się. Wziął to za znak, że pora zamknąć okno, jeśli nie chce nabawić się choroby, która, biorąc pod uwagę stan wiedzy tutejszych medyków, mogła okazać się śmiertelna. Nie wiedział, że właśnie w tej chwili jego najbliższy przyjaciel upadał zamroczony bólem, a jedyna szansa na wyrwanie Tel’Halik z władzy Vezamara zniknęła.

*

W swoim późniejszym życiu Nahar Al’Iarnak wiele razy zastanawiał się, dlaczego Najwyższy postanowił go ocalić. Nie było bowiem żadnej wątpliwości, że przeżył cudem. Kiedy leżał zamroczony na ziemi, Bestia zniknęła, żeby bez potrzeby nie rzucać się w oczy pałacowym strażnikom. Ci zaś, wbiegłszy do pomieszczenia, wpierw chcieli zakłuć Jeźdźca, ale powstrzymał ich słabym głosem Vezamar, który dopiero podniósł się z ziemi. Prorok patrzył bowiem daleko. Chciał mieć jeńców, aby poddać ich najsurowszym kaźniom — tak potwornym, by w przyszłości odwiodły wszystkich od planowania zamachu na Światło Najwyższego. Dwóch gwardzistów wzięło Nahara pod ręce. Ktoś zadzierzgnął mu na przedramieniu jedwabną szarfę, by nie umarł z upływu krwi, nim trafi do uczonego w medycynie Duzzaha.

Wtedy nastąpiło pierwsze niespodziewane zdarzenie. Jak przez mgłę Nahar zobaczył, że po schodach wbiegł goniec, krzycząc coś głośno. Vezamar pobladł i wydał gwardzistom szybkie rozkazy. Okazało się, że niedobitki spiskowców spod głównych wrót także dotarły do Ogrodu i teraz nacierały przez południową furtę. Niemal wszyscy gwardziści ruszyli tam natychmiast, a dwóch, wzięwszy półprzytomnego Nahara pod ręce, zaczęło go ciągnąć do północnego wyjścia, w stronę pałacowych lochów. Oddalali się szczęśliwi, że zamiast ryzykować życie, mają do spełnienia tak prosty obowiązek.

Lecz pałac nie był jeszcze bezpiecznym miejscem.

Już w kilka chwil po pierwszym szturmie grupy spiskowców były równie zdezorientowane, jak gwardziści. Atakujący stracili ze sobą kontakt, oddzieleni dziesiątkami komnat. Nikt nie wiedział, gdzie i kto walczy, a wieści niesione przez biegaczy stawały się nieaktualne, gdy ci byli ledwie w połowie drogi przez mroczne korytarze. W ogromnych, wyludnionych pasażach trwał pojedynek ślepców — gwardziści i spiskowcy to wpadali na siebie, to rozmijali się dosłownie o kilkadziesiąt stóp. I choć plan celowo zakładał wprowadzenie zamieszania, żeby część zamachowców mogła

przedrzeć się do Zakazanego Ogrodu, rozmiar chaosu zaskoczył nawet tych, którzy go spowodowali.

Dziwnym zrzędzeniem losu jeden mały oddział nie został wychwycony. Potem Nahar dowiedział się, że była to trójka ludzi puszczone przez Mehida na zwiad, by znalazła mu bezpieczne przejście. Choć ich macierzystą grupę rozbito, a korytarzami obok raz po raz przebiegały patrole, tych kilku zbrojnych przetrwało, ostrożnie skradając się przez pałac, by odszukać współtowarzyszy. Jedyne chyba sprawił, że to właśnie na nich wpadli strażnicy niosący rannego Nahara do lochów.

Al'Iarnak nie zapamiętał walki. Był już półprzytomny i co chwila tracił czucie. Po prostu w pewnym momencie zamiast twarzy pałacowych gwardzistów zobaczył wokół oblicza, które znał z tajnych spotkań. Nie miał sił nawet się ucieszyć, zdołał tylko wyjęczeć, że Vezamar żyje, a cały plan się nie powiódł; powiedział też o Bestii, co wzięto za bredzenie rannego. Upiorna cisza, jaka zapanowała w pałacu, dobitnie potwierdzała słowa Nahara o fiasku całej akcji. Do spiskowców dotarło, że to już koniec. Po krótkiej sprzeczce zdecydowali, iż jedyne, co mogą jeszcze zrobić, to wynieść głowy cało.

Zadanie okazało się trudne. Żaden z pozostałych przy życiu nie znał dobrze wnętrza pałacu, z grubsza tylko pamiętali wejścia, które pokazywano im na planach w trakcie przygotowań do zamachu. Zdecydowali się na drogę przez akwedukt — skomplikowany system łuków i arkad, dźwigający kamienne kanały z wodą zasilającą wspaniałe ogrody pałacu. Wybór okazał się dobry. Mimo że musieli iść po zdradliwych, wąskich murkach wysoko nad poziomem ziemi, nie spotkali żadnego strażnika, jedynie w dole ktoś czasem przebiegał, świecąc pochodnią.

Wreszcie, dotarłszy prawie na skraj muru, spiskowcy zeszli z akweduktu. Byli już blisko upatrzonego celu — jednej z bocznych ogrodowych furt. Niestety, jak się wkrótce okazało, była ona strzeżona. Trzech strażników stało przy drzwiczkach, patrząc niepewnie w stronę pałacu. Człowiek, niosący dotąd Nahara na plecach, położył go na mokrej trawie. Zamachowcy zaczęli naradzać się cicho, po czym jeden z nich wybiegł na główną ścieżkę, odciągając dwóch strażników. Trzeciego spiskowcy roznieśli na szablach.

Za furtą były już pograżone w ciemności wąskie uliczki Krwawego Sztyletu. Śmiałka, który wziął na siebie strażę, już nigdy nie zobaczyli, lecz sami byli wolni. Ledwie trzech ludzi z przeszło pół setki atakującej pałac!

Przed nimi zaś rysował się los równie niepokojący i mroczny, co pełne

szczurów zaułki ubogiej dzielnicy. Mieli zostać najbardziej poszukiwanymi zbiegami w całej Ocalonej Krainie. Lecz na razie Nahar nie zdawał sobie z tego sprawy. Gdy tylko zobaczył wokół ulice i strach przed niewolą minął, poczuł, że słabnie, i stracił świadomość.

*

Następnego dnia już na pierwszym czytaniu Duzzahowie krzyczeli w świątyniach, jak to heretycy do spółki z przyzwanymi przez siebie demonami zaatakowali pałac. Ludzie szeptali między sobą, że buntownicy władali ponoć nieludzką siłą i ubili wielu pałacowych gwardzistów, którzy w tym dniu okryli się chwałą, własnymi piersiami osłaniając proroka. Na potwierdzenie tej plotki od południa nad miastem zaczęły się pojawiać siwe dymy z pogrzebowych stosów. Atak pochłonął życie wielu lojalnych sług pałacu, żegnanych teraz przez tłumy wiernych otaczających stosy pełne najprzedniejszych darów ze skarbca proroka. Lecz jeszcze bardziej niż pogrzeby interesowała ludzi sprawa jeńców. Pojmano ich ponoć pięciu i jeszcze tego dnia mieli być sądzeni jednocześnie za zdradę, spisek, świętokradztwo, zamach na życie proroka, praktykowanie magii, układanie się z demonami oraz włamanie. Nie ustawały spekulacje, jaka kara będzie wystarczająco okrutna za tak przerażające grzechy. I choć wielu mieszkańców Świętego Miasta w głębi ducha żałowało, że zamach się nie powiódł, nikt nie odważył się powiedzieć tego głośno — nawet bliskim o podobnych poglądach. W powszechnym mniemaniu zamach na Światło Najwyższego, choćby prorok był nim tylko z nazwy, to zbrodnia, której ogrom ledwie mieścił się w głowie. Na dodatek nastroje podgrzewały orędzia Vezamara, twierdzącego, że wielu spiskowców mogło ujść z życiem i szukać teraz schronienia. Za ich pochwylenie oferowano niewiarygodne nagrody i w Pałacu Sprawiedliwych szybko zaroiło się od prostaczków chcących złożyć donos na swego sąsiada lub dalekiego krewnego. W mieście panował strach. Bano się, po pierwsze, grasujących rebeliantów, a po drugie, straży pałacowej i wojska, bo te dwie instytucje niezwłocznie przystąpiły do przetrząsania Tel’Halik dom po domu.

Wszyscy szpiedzy oraz informatorzy na usługach pałacu mieli tego dnia pełne ręce roboty. Wszyscy z wyjątkiem nielicznych szczęściarzy, którym wcześniej powierzono misję obserwowania ruchów Świętych Jeźdźców. Ci od rana nie wykazywali niemal żadnej aktywności, ledwie jedna kompania wyszła w miasto z jakimś tajnym zadaniem, druga zaś pojechała na pustkowie, w stronę Umm’Magar, poganiając saury tak, że ich kwiki było

słysząc w całej dzielnicy.

Orli Fort zamilkł, niczym chłopiec, który siedząc w madrasie obok psotliwego kolegi, nieruchomieje, by nie zostać wziętym za jego przyjaciela.

Koło południa, gdy patrole przetrząsnęły już większą część miasta, Nahar Al'Iarnak ocknął się w małej i dusznej piwniczce. Nad sobą widział podłogowe deski izby, co jakiś czas słyszał kroki. Leżał w półmroku na słomianej macie, obok spoczywały worki pełne ziarna i kilka zaczopowanych naczyń, a na drugiej macie jak kamień spał mężczyzna w porwanym i pociętym ubraniu.

Wróciwszy całkiem do przytomności, Al'Iarnak poczuł bolesne rwanie w rękę. Zobaczył owinięty szmatami kikut i przypomniał sobie, co nastąpiło ubiegłej nocy.

Wtedy zaczął się bać.

*

Od dnia powrotu z biblioteki coraz rzadziej widywano Kashima na zamku. Wkrótce kazał sobie sporządzić odpis jednej z najdokładniejszych map krain środka. Wziął czyste karty pergaminu, ostrze do jego skrobienia oraz pióro i kałamarz, po czym zamknął się w komnacie na długie tygodnie. Jadał głównie tam i tylko od czasu do czasu Brenvanowi udało się go namówić, by nie czynił despektu gospodarzom i zasiadł do wspólnego rodzinnego posiłku.

Z sytuacji nie była też zadowolona Gwynn. Z początku dąsała się, pewna, że mężczyzna ze wschodu zaczął jej unikać. Potem próbowała odwiedzać Kashima w jego pokojach, lecz Święty Jeździec za każdym razem zbywał ją krótkim pocałunkiem i kilkoma słowami. Sam tymczasem snuł plany. Skopiowawszy mapy z opactwa, naniósł na ich zachodniej części to, co wiedział o ziemiach, które przemierzali w podróży, oraz o Ocalonej Krainie.

W ten sposób powstał plan, który opisywał większą część świata niż jakikolwiek zrobiony przedtem, może z wyjątkiem wspaniałych almanachów Dorian. Al'Shannagg nie miał jednak czasu podziwiać swojej pracy. Gdy skończył, znów siadł do układania planów. Chciał wrócić. Pojechać z powrotem do Ocalonej Krainy z wiedzą o krajach środka, z wozami pełnymi białoskórych ludzi oraz ich egzotycznych wyrobów. Z Brenvanem władającym mową Tel'Halik. I wreszcie z garstką odważnych, bitnych najmitów, którzy pomogliby w razie czego pozbawić proroka władzy.

Kashim nade wszystko pragnął teraz pokazać swoim współplemioncom, jak małe mieli pojęcie o świecie, jak uproszczona była Księga, traktowana

przez Duzzahów jako najważniejsze źródło wiedzy. Pragnął im powiedzieć, że za piaskami jest nie Marrenvan, lecz wręcz przeciwnie — Shannyevan zielonych i żyznych krain.

W tym celu opracowywał różne wersje planu, od czasu do czasu śląc Brenvana do opactwa po nowe informacje albo wypytyując go o Learfeld, szlachtę i rycerzy. Tymczasem mijały zimowe dni, jednakże krótkie, chłodne i obfitujące w śnieg. Al'Shannagg ledwo to zauważał. W myślach zbierał już w Learfeld grupę śmiałków, szukał bogatych patronów, którzy wedle młodego Aam Caerleigh mogliby wyłożyć pieniądze i ludzi na ekspedycję, gdyby przyobiecać im zysk. Planował też, jak przekona do swojej sprawy rycerskie bractwo Brenvana, zrzeszające ponoć pół setki w pełni wyekwipowanych i żądnych przygód rycerzy.

Al'Shannagg nie wiedział, że od jego wygnania armia Tel'Halik wzrosła przeszło dziesięciokrotnie, a lud stracił resztki wolności, po zamachu na Vezamara wzięty w karby jeszcze silniej niż dotychczas. Nie wiedział też, że podczas gdy on siedzi sobie owinięty w futra w przytulnej zamkowej komnacie, jego najbliższy przyjaciel trzęsie się z zimna i z grymasem bólu rozmasowuje nogi, zdrętwiałe po kilkunastu dniach spędzonych niemal bez przerwy w ciasnej kryjówce. I nie wiedział, że gdy posila się tłustymi mięsami i piwem z Learfeld, Nahar musi przeżyć dzień na misce cienkiej polewki, którą przynosiła mu wystraszona córka właściciela domu.

Kiedy Al'Shannagg wybiegał myślą w odległą przyszłość, Al'Iarnak ze strachem wyglądał następnego dnia, bo każdy kolejny wschód słońca mógł być jego ostatnim.

*

W domu Al'Iarnaków nie przywdziano żałoby po zmarłym członku rodu — i nie dlatego, że ktoś jeszcze spodziewał się ujrzeć Nahara wśród żywych. Noszenia bieli zabronił sam patriarcha, świadom, że może to budzić niebezpieczne pytania Czerwonych Turbanów. Oficjalnie rodzina twierdziła, że młody Jeździec wyjechał do rodzinnych posiadłości w Jedwabnych Oazach trzy dni przed zamachem. Krewnych zamachowców spotykały surowe kary, już przeszło pół setki rodów zostało skazanych na decymację, konfiskatę dóbr, niesławę. Terror nie ustawał i nie było dnia, by słudzy pałacu nie pukali do kolejnych drzwi.

Jedną tylko osobę ciekawił los Świętego Jeźdźca — Mudę. Wierzył on, że jest szansa, by brat należał do niewielkiej grupki uciekinierów. Choć ojciec surowo zabronił mu interesowania się sprawą, Duzzah dyskretnie

sprawdził, czy Al'Iarnaka nie ma wśród ciał, które rozrzucono posiekane na kawałki wśród pełnych psów ulic Krwawego Sztyletu. Kilka dni później odwiedził też pod zmyślnym pozorem więzienie, gdzie udało mu się zajrzeć do celi ze spiskowcami. Wśród bladych, wymizerowanych twarzy nie poznał brata, co sprawiło mu wielką ulgę, bo jeńcy czekali na los trudny do wyobrażenia. Przez dwa dni mieli być poddani torturze łamania kołem, wyrywania paznokci, darcia pasów, a potem zamierzano ich rzucić związanych na żer głodnym szczirom lub pustynnym mrówkom. Następnie mieli być nawleczeni na pale, a na koniec podpaleni. Prochy, zmieszane z gnojówką, zgodnie z rozkazami należało zaś wylać na ulice najbiedniejszych dzielnic. Taką oto karę obmyślił mędrzec Kar'Shin dla tych, którzy porywają się na proroka.

Gdy Mudda zyskał pewność, że Nahar może żyć, próbował przekonać do jego poszukiwań siostrzeńców oraz ojca. Zarówno namowy, jak i zaklinanie się na Najwyższego nie przyniosły jednak skutku. Dobro rodu było ważniejsze niż życie jednego człowieka, szczególnie takiego, który splamił się świętokradztwem. W ten sposób Mudda osiągnął przykry impas. Wiedział, że ci, którzy jeszcze żyją, są sprytnie ukryci i że jeśli nie znalazła ich armia szpiegów oraz milicja świątynna, to tym bardziej nie mógł tego dokonać samotny Duzzah. Z każdym dniem Pałac Sprawiedliwych ogłaszał kolejne pojmania, Duzzahowie mieli już w lochach ponad stu spiskowców, co Muddzie zdawało się liczbą podejrzanie wysoką. Prześladowania jednak nie ustawały.

Straciwszy możliwość działania, Mudda popadł w depresję. Włóczył się bez celu po salach Pałacu Ksiąg, nie mógł się skupić na codziennej pracy. Zresztą i tak nie miał jej wiele, bo od czasu zamachu nie dostał żadnej misji od sekretnego pracodawcy. Było to o tyle dziwne, że wszyscy szpiegzy, jakich znał, dwoili się i troili. Jednak gdy Mudda zaczął już myśleć, że o nim zapomniano, pewnego chłodnego poranka goniec przyniósł list. Wiadomość była krótka i nie miała podpisu. Jej treść brzmiała:

O piątym czytaniu. Aleja Ślepców.

Mudda Al'Iarnak nie miał wątpliwości, kto jest nadawcą notki.

*

Gdy o wskazanej porze wszedł w małą uliczkę, z trudem powstrzymywał drżenie rąk. I choć spodziewał się, że dziwny stwór jak zwykle go zaskoczy, to mimo wszystko wzdrygnął się, gdy ten wynurzył się z cienia trzy kroki przed nim, błyskając ciężką maską ze szczerego złota.

Nad dachami wył wicher. W okolicy nie było żywego ducha.

— Składam ci pokłon, o potężny — wydusił Mudda, zginając się wpół.

Odpowiedziało mu pełne napięcia milczenie. Nie wiedząc, co teraz powiedzieć, czekał, jego rozmówca zaś zdawał się lustrować go uważnie zza maski.

— Zdradziłeś mnie — syknęła wreszcie istota.

Wyczuwalna w tych słowach złość odepchnęła Muddę dwa kroki w tył.

— Ja... Nie rozumiem, o czym mówisz, panie.

— Powiniennem wyrzucić cię na śmietnik jak zużyty kalam, spalić jak przetarty pergamin. Powinieneś siedzieć teraz w lochu.

Mudda przełknął z trudem ślinę.

— Jeśli w czymś zawiniłem, powiedz mi o tym, panie! — rzekł.

— Zamach na proroka. Dowiedziałem się już, że rozpracowałeś tę grupę na długo przed atakiem, a jednak milczałeś. Dlaczego, Muddo? Przysięgałeś być moimi oczyma!

— Panie, musiałem mieć pewność, że...

— Nie kłam, w imię Najwyższego! Zwlekałeś, by nie narażać własnego brata. Powiedz to!

Mudda poczuł, jak pot spływa mu po karku. Wiedział, że od tego, co będzie teraz mówił, zależy jego życie.

— Tak, panie — szepnął wreszcie z pokorą. — Mogłem powiadomić Pałac Sprawiedliwych przed zamachem, a jednak nie zrobiłem tego. Błagam teraz Najwyższego w każdej modlitwie, by wybaczył mi ten grzech.

Zamaskowana istota długo mierzyła Muddę wzrokiem. Wreszcie syknęła:

— Gdyby nie to, że znasz każdy tom i każdy manuskrypt w archiwach Pałacu Ksiąg, zginąłbyś tu i teraz, zdrajco. Podejdz.

Mudda zbliżył się do nieznanego, a ten nieśpiesznie począł zsuwać z dłoni grubą rękawicę. Gdy skończył, w poświacie księżyca błysnęły oliwkowe łuski i długie, zakrzywione szpony. Mudda jęknął, a jego oczy rozszerzyły się ze strachu. Nie miał jednak czasu się cofnąć, nim dłoń wykonała nagły ruch, uderzając go w twarz.

Mudda zobaczył eksplozję czerwieni, zachwiał się i ryknął z bólu. Jasne rozbłyski to tętniły, to gasły przed jego oczyma. Czuł się tak, jakby łapa, która przejechała od lewego oka do prawego ucha, zerwała mu po drodze całą twarz, zostawiając tylko kości i drgające mięso. Choć bardzo chciał ustać, szybko upadł na ziemię i zaczął skręcać się z bólu, skomlać cicho. Białe światło powoli odchodziło, było już tylko malutką plamką, a wszędzie

panowała ciemność.

— Tobie, o Jedyny, zawierzę. Za tobą pójdę ku dolinom Shannyevan — modlił się cicho.

Usłyszał nad sobą jadowity śmiech.

— Nie umrzesz, głupcze — rzekł gad. — Ale do końca życia będziesz pamiętał, komu się sprzeciwiłeś. To twoja pierwsza kara. Teraz masz tydzień na zaleczenie ran i wrócisz do pracy. Tym razem będą to znów księgi. Potrzebuję kogoś, kto by mi wyszukał kilkudziesięciu młodzieńców szczególnie szlachetnej krwi.

— Ale panie... — jęknął Mudda, a głos grzął mu w schrypłym z bólu gardle. — Ja oślepiłem!

Znów śmiech.

— Przetrzyj prawe oko z krwi, a będziesz widział. Przynajmniej na tyle, by czytać. Wiedz jednak, że czeka cię jeszcze druga i trzecia kara.

— Tak, o potężny?

— Drugą wymierzy ci sumienie, a nie wątpię, że takowe posiadasz. Gdy będziesz świadkiem okrutnych kaźni i prześladowań, które jeszcze nastąpią, zawsze pamiętaj, że to wszystko z twojej winy. Niewyobrażalne męki, jakie będzie cierpieć wielu ludzi, upodlenie i bieda całych rodów, są twoją wyłączną zasługą, młody Duzzahu. Nigdy by do tego nie doszło, gdybyś w porę mnie powiadomił. Trzecia kara... Trzecią będzie twój brat. Kiedy go złapiemy, zginie tą samą śmiercią, co reszta spiskowców. Ty zaś zostaniesz wyznaczony do napisania sprawozdań z egzekucji jako świadek Pałacu Sprawiedliwych.

Łopot ciężkiego płaszcza, który zaraz rozległ się w górze, uświadomił Muddzie, że został sam w uliczce. Duzzah spróbował podnieść się na nogi. Trzy razy przewracał się na śliskim błocie zmieszonym z własną krwią, zanim udało mu się stanąć i wyjść chwiejnie z zaułka. Czuł przeraźliwy ból, krew ściekała mu po twarzy, tłoczyła się do rozerwanego nosa, dławiała w gardle, rozsadzała czaszkę, lewy oczodół piekł tak, jakby zamiast oka leżał w nim rozpalony węgiel. I choć każdy krok był dla Duzzaha męczarnią, nagle przez myśl przeszło mu coś, co sprawiło, że na krótką chwilę zapomniał o cierpieniu. „Kiedy go złapiemy...”. Czyli Nahar był jeszcze wolny!

Radość z tego faktu nie opuściła Muddy nawet wtedy, gdy wróciwszy do domu z pomocą napotkanego nosiwody, odkrył, że jego twarz została okrutnie okaleczona, a lewe oko było już tylko poszatutowanym, nasiąkniętym krwią kawałkiem galarety.

Rozdział 17. Znów w drodze

— Tutaj! — krzyknął Brenvan, machając ręką. — Tutaj, przyjacielu!

Kashim Al'Shannagg odwrócił się ku niemu. Rycerz, zsiadłszy z konia, stał na małym wzniesieniu.

Czyżby wreszcie trop? Od momentu gdy w pewien śnieżny poranek zobaczyli potężnego łosia na brzegu rzeczki Arbenn, całe dni spędzali w okolicznych lasach. Jednak wspaniały zwierz o porożu tak wielkim, że mogło być ozdobą sali kominkowej w zamku Caerleigh, wciąż wodził ich za nos. Czasem znajdowali świeże łajno, czasem ślady jego ogromnych racic, lecz stworzenie potrafiło dosłownie rozpływać się w powietrzu, zacierać trop, klucząc po zamarzniętych jeziorach, na których wiatr odsłonił nagi lód, czy po kamienistym brzegu rzeki. Co prawda zdołali go kilka razy dostrzec z daleka, ale odległość była za duża nawet dla gotlandzkich kusz z cięciwą ze stalowej plecionki, które nosili na łowy. Wydawało się, że łoś jest nie tylko władcą, ale i duchem puszczy. Jego nieuchwytność zaś tym bardziej pobudzała myśliwych do tego, by każdy kolejny dzień poświęcać na tropienie.

Kashim zatrzymał rumaka u podnóża wzniesienia, by nie zatrzeć przypadkowo śladów. Następnie, brodząc po kostki w śniegu, wspiął się na szczyt, stanął obok okrytego futrzanym płaszczem Brenvana i spojrzał na miejsce wskazane przez rycerza.

Nie było tam jednak śladów. Na czubku wzgórza, gdzie nie rosły żadne krzaki i cały dzień świeciło słońce, warstwa śniegu zaczęła topnieć. Spod niej przebijały ku światłu zielone źdźbła trawy oraz kilka drobnych, białych kwiatków, z których każdy miał trzy długie płatki. Kashim przyklęknął przy nich na jedno kolano.

— Przebiśniegi! — powiedział Brenvan. — Tak oto nadchodzi kres zimy, Kirajczyku.

Zerwał kilka roślinek, by je zabrać. Kashim również odciął kindziałem kilka kwiatków — dla Gwynn. Wiedział, że kobiety w tych krainach ogromnie cieszyły się z podobnych gestów.

Gdy schodzili ze wzgórza, prawie już nie myśleli o wielkim łosiu. Brenvan w duchu przeżywał święta, jakie organizowano po wsiach Caerleighbarch z okazji końca pory mrozów. Kashim zaś uznał, że czas

przystąpić do realizacji planów: przed następną zimą pragnął zobaczyć mury Tel'Halik i górujący nad nimi smukły kształt Piaskowej Iglicy.

*

Choć w lewym skrzydle Pałacyku Skrybów mieszkało wiele dziewcząt, przez dwa i pół miesiąca nauki Jelaya nie znalazła sobie przyjaciółek. Może dlatego, że dziewczęta te były jeszcze poważniejsze niż ona, a czas wolny spędzały na modlitwach? A może z powodu jej brzemienności, która z dnia na dzień stawała się coraz bardziej widoczna i niezmiernie drażniła niektóre uczennice? Tak czy inaczej, Jelaya była sama. Raz tylko zdołała porozmawiać z młodszym bratem, który wbrew woli rodziców przyszedł ją odwiedzić.

Na szczęście nie miała wiele czasu, by o tym myśleć. Choć przeszkadzał jej wyduły brzuch, a na skórze pod nim zjawiły się dwie czerwone, piekące pręgi, młoda Makhar'ad cały czas przebywała na zajęciach, w tym takich, które były dla niej nieobowiązkowe, lub takich, które zarezerwowano dla bardziej doświadczonych uczennic. Udało jej się nawet wyprosić u Tantahara pozwolenie na udział w strzelaniu z kuszy, a także lekcjach Duzzaha Mirbara, uczącego bronić się i zabijać zatrutym sztyletem. W tych ćwiczeniach, które niegdyś byłyby jej wstrętne, brała udział ochoczo, bo wierzyła, że kiedyś w końcu stanie przeciw wrogom proroka i będzie mogła pokazać swoją wartość.

Choć czasem Jelaya zauważała w szkole niepokojące rzeczy (niektóre dziewczęta chodziły pobite, Duzzahowie zaś byli często napastliwi), nie rozmyślała nad nimi, tym bardziej że spokojny, zamknięty w obrębie muru świat Pałacyku Skrybów wydawał się znacznie bezpieczniejszy od tego, który rozpościerał się teraz na zewnątrz. Słyszała przecież tyle plotek i historii o demonach chodzących nocami po ulicach Tel'Halik. O wielkich bandach buntowników, o złowrogich kultach, co odrodziły się w jaskiniach pod miastem... Naprawdę, lepiej było siedzieć już cały czas w dziewczęcej madrasie.

To złudzenie rozwiało się w okrutny sposób któregoś wiosennego wieczoru. Gdy Jelaya wraz z kilkoma dziewczętami wracała z czwartego czytania, zatrzymał ją nieznajomy Duzzah. Przykazał, by poszła natychmiast do skryptorium, odnalazła ważny zwój i przyniosła do jego komnat. Jelaya nie była tym zdziwiona, nauczyciele bowiem często traktowali uczennice jak osobiste służące, przydzielając im różne prace. One jednak nie narzekały, świadome, że jest to też w pewnej mierze próba posłuszeństwa oraz pokory.

Szukanie zajęło Jelayi trochę czasu, tym bardziej, że opiekuna księgozbioru nie było już w archiwum, a wszystkie światła zostały zgaszone. Długo błądziła między półkami z oliwnym kagankiem w dłoni, a gdy zjawiała się pod drzwiczkami do komnat Duzzaha, było już późno, a na korytarzach szkoły nie rozbrzmiewał żaden głos.

Otworzył jej inny mężczyzna niż ten, któremu miała przynieść zwój. Nie zdążyła jednak wyrazić swojego zdziwienia, bo zaraz mocna dłoń chwyciła ją za rękę i wciągnęła do środka. Było tam dwóch innych Duzzahów. Jednego poznała, lecz reszta brodatych twarzy była jej obca. Siedzieli na pufach wokół stolika, na którym stała butelka z jakimś trunkiem i wysoka wodna fajka. Patrzyli na Jelayę dziwnym, tępym wzrokiem, a ona dopiero po chwili poczuła w powietrzu aromat zakazanej rośliny, nazywanej w Tel'Halik hashish.

— Czy już mogę...? — zapytała niepewnie dziewczyna.

— To ta? — rzucił jeden z gości, zupełnie ją ignorując.

— Tak, zobacz sam — odparł Duzzah, który wpuścił Jelayę, po czym bezceremonialnie obciągnął na niej burkę, tak by widać było wzdęty brzuch.

Jeden z mężczyzn zachichotał głupkowato.

— Zdejmuj szmaty, mała ladacznico! — ryknął ten sam Duzzah.

Jelaya stała jak sparaliżowana.

— Nie udawaj niewiniątka. Ktoś ci w końcu zrobił tego bachora — zawołał jeden z mężczyzn, śmiejąc się okrutnie.

— Na co czekasz? Zrzucaj ubranie!

Mężczyźni patrzyli na nią z okrutnym wyrazem twarzy, a ona wprost nie mogła się ruszyć. Paraliżował ją zarówno wstyd, jak i szok, że słudzy Jedynego mogli się tak zachowywać. Wreszcie ten, który stał przy niej, zniecierpliwił się.

— No już, nie mamy całej nocy! — krzyknął i kilkoma ruchami zdarł z niej burkę.

Pod spodem miała tylko lekką koszulę, więc skuliła się wstydliwie, lecz on chwycił ją brutalnie za kark, wyprostował, po czym zdarł do góry jej spodnią szatę, by wszystkim zebrany ukazać blade nogi i brzuch dziewczyny.

Duzzahowie zarechotali.

Dopiero teraz Jelaya zaczęła krzyczeć, wysoko i rozzwierając. I nagle poczuła ból — ktoś wymierzył jej kilka ciosów, ktoś zaciągnął ją do stojącego nieopodal łoża i pchnął. Jelaya upadła na brzuch, a Duzzah wdusił

jej twarz w poduszki, tak że zaczęła się dławić. Drugą ręką uniósł biodra Jelayi i podwinął koszulę. Chwilę siłował się przy swojej chili, a Jelaya ryczała w poduszki jak zarzynana świnia, czując, że coraz bardziej brakuje jej powietrza.

Mężczyzna wdarł się brutalnie w jej suche, skurczone ze strachu ciało. Ból wstrząsnął każdym nerwem dziewczyny. Choć napastnik klął i spełniał swoje dzieło z trudem, nie pomógł sobie nawet śliną, zupełnie jakby jej cierpienie i krew sprawiały mu dodatkową przyjemność. Świat wirował Jelayi przed oczyma, każda sekunda ciągnęła się w nieskończoność. Skądś, jakby z daleka, dobiegały rozbawione głosy mężczyzn, którzy szydzili z niej i komentowali wszystko, co działo się na łóżku. Jelaya była już na skraju utraty świadomości, gdy Duzzah wreszcie zaspokoił swoją żądzę.

Lecz nim zdążyła opaść na posłanie i skulić się w kłębek, chwycił ją mocno drugi z mężczyzn. Po jej udach ściekała strużka krwi.

Kiedy Duzzaha znudziło gwałcenie jej od tyłu, przewrócił Jelayę na plecy, po czym zaczął bić po twarzy napęczniałym, okrwawionym członkiem. Wymyślał jej od ladacznic, a dziewczyna była tak zaszokowana, że nie usłyszała nawet, jak rozkazał, by zaczęła ssać. On zaś, biorąc to za znak uporu, spoliczkował ją, po czym chwycił za kostki, uniósł je wysoko i wbił się w nią na powrót, przygniatając swoim ciężarem brzuch dziewczyny. Jelaya kwiliła z bólu, czując na dodatek przeraźliwy strach, że ten zarośnięty, potężny mężczyzna dosłownie wygniecie z niej dziecko.

Trzeciego oprawcy już nawet nie zapamiętała.

— Jeśli choć piśniesz komuś słowo... suko — wysapał do jej ucha, kończąc — ukamienujemy cię. Myślisz, że komu ludzie uwierzą? Duzzahowi czy małej dziwce?

Gdy wyszedł z niej, wpierw upadła na bok, a potem — skręcana torsjami — na ziemię. Zwymiotowała gwałtownie. Brzuch bolał ją okropnie, zupełnie jakby dziecko w niej także skręcało się z obrzydzenia. Włożyła dłoń między uda i przycisnęła do krocza, pojękując cicho. Zewsząd otaczał ją zły, szydzący śmiech Duzzahów.

— Okryj sobie czymś tyłek! — krzyknął jeden.

— Idź po szmatę i posprzątaj, zanim wyjdiesz, głupia — dodał z pogardą drugi.

Jelaya nie mogła się jednak ruszyć, więc któryś kopnął ją jak psa. Na głowę rzucono jej płócienną ścierekę.

— Wycieraj!

Na czworakach, drżącymi dłońmi zaczęła czyścić kamienną posadzkę. Gdy skończyła, brudną szmatą starła też plamkę krwi, która skapnęła na podłogę pod jej brzuchem. Otepiałym wzrokiem spojrzała na swoich katów.

— Wynos się — powiedział najwyższy, kopiąc w jej stronę czarną burkę. — I włóż coś na siebie.

Gdy wygnali ją na korytarz, powłokła się jak pijana w stronę sali sypialnej. Gdy weszła do ciemnego pomieszczenia i wymacała swoje poślanie, rzuciła się na nie jak kłoda, nawet nie zdejmując szaty. Choć chciała płakać, nie potrafiła, zupełnie jakby oczy wydusiły z siebie już wszystkie łzy. Leżała bezsennie do rana, skręcana torsjami. Jednak cierpienia jej umęczonego ciała nie były w połowie tak dotkliwe, jak cierpienia duszy.

*

Ledwie w tydzień od dnia, w którym Kashim i Brenvan spostrzegli pierwsze kwiaty, wiosna na dobre zawitała do Caerleighbarch. Dni były teraz dłuższe i cieplejsze, śnieg szybko stopniał, a pola połyskiwały zielenią. Na zamku zapanowało radosne ożywienie, podczas gdy mieszkańcy wsi przygotowywali się zarówno do świętowania, jak i do pierwszych prac w polu. Nie było teraz dnia, by Brenvan lub Falkirk nie objeżdżali dóbr, wydając dyspozycje sołtysom i słuchając skarg oraz uwag. Co najmniej dwa razy w tygodniu organizowano też konne spacerki. Wybierał się na nie każdy, kto tylko potrafił usiedzieć w siodle.

Wkrótce nadeszło święto Narodzenia. Całą noc, wśród śpiewu, tańców i ludowych obrzędów, które Kashim rozumiał jedynie z grubsza, prości mieszkańcy Caerleighbarch celebrowali narodziny świata, bo wedle ich wiary bogowie stworzyli go właśnie wiosną, jakieś dwadzieścia wieków temu. Choć starsi mieszkańcy zamku patrzyli na to krzywo, młodzież pojechała na obchody do największej z wsi marchii. Tam, całą noc spędziwszy na honorowym miejscu, Kashim bawił się jak nigdy wcześniej.

W następnych dniach zaczęły mu jednak ciążyć dwie rzeczy. Po pierwsze, choć powiedział już Brenvanowi o swoich planach, ten zwlekał, twierdząc, że teraz potrzebny jest na zamku. Data wyjazdu przesuwiała się w bliżej nieokreśloną przyszłość. Po drugie, Al'Shannagg coraz wyraźniej nabierał przekonania, że Gwynn zaczynają męczyć sekretne spotkania i ciągnęła obawa przed tym, by nie przyłapała ich służba. Al'Shannagg zaś nie potrafił przewidzieć, jak zareagowałby Brenvan, gdyby się dowiedział o afekcie przyjaciela do swojej siostry, a przede wszystkim, co powiedzieliby lady Mardibh i lord Gwidon.

Sprawę pogarszał fakt, że Kashim, choć czuł się szczęśliwy przy tej małej, wesołej osobce, sam nie mógł się zdecydować, jaka przyszłość byłaby dla nich najlepsza. Miał świadomość, że to nie jest dobra pora na związek małżeński, nawet gdyby rzecz okazała się możliwa. Wtedy musiałby zostać z Gwynn w Caerleighmarch lub zabrać ją ze sobą na zachód. Tak więc albo już nigdy nie zobaczyłby Tel'Halik, albo Gwynn, nawet gdyby przeżyła niebezpieczną podróż, znalazłaby się w obcej krainie, wśród obcych zwyczajów. Tam ściągnęłaby na siebie gromy Duzzahów, postępując zgodnie z obyczajami niewiast z Learfeld. Nie poznawszy Księgi, byłaby wykluczona z Ocalonego Ludu, a Kashim wątpił, czy wesoła dziewczyna kiedykolwiek zadałaby sobie trud studiowania świętych pism. Zdawało mu się niemożliwe wyjść z kłopotów tak, żeby Gwynn go nie przekląła.

Wkrótce sytuacja rozwiązała się sama, lecz w sposób, którego Kashim nigdy by nie pragnął. Okrutny los wygnańca dogonił go nawet w odległym Caerleighmarch.

*

Zaczął się, gdy do zamku przybył siostrzeniec Hugona Aam Birge. Jego pan słał wieść, że wkrótce odwiedzi te ziemie, by zobaczyć się z długo niewidzianą córką i doprowadzić do końca pertraktacje o skrawek ziemi w zakolu rzeki, który od dawna był kością niezgody między rodami. Lady Bryneth ucieszyła się bardzo, że dane jej będzie zobaczyć ojca. Lord Gwidon oraz Swayn ucieszyli się nieco mniej, świadomi kosztów, jakie poniosą w ciągu kilkudniowej wizyty Hugona wraz z całym orszakiem. Mimo to zaczęto odpowiednie przygotowania. Swayn z Falkirkiem pojechali do miasta, by kupić niezbędne zapasy, podczas gdy reszta rodu zaczęła przygotowywać stary zamek na przyjęcie gości.

I tak pewnego dnia chłop ze wsi koło brodu przypędził na kucu, niosąc wieść, że lord Hugon w dwadzieścia osiem koni przekroczył rzekę i jedzie ku zamkowi. Zaraz też rozwinięto proporce, na murach ustawili się żołnierze rodu w błyszczącym (po wielu nocach polerowania) ekwipunku. Cały ród Aam Caerleigh wyszedł na podwórzec w najlepszych strojach, dzieci zaś z koszykami stały na murze i po bokach drogi, by sypać kwiaty pod stopy przyjezdnych.

Pan Hugon nie mniej starannie przygotował się do wizyty. Jechał na bojowym wałachu we wspaniałej zbroi o złożonych brzegach, którą, jak orzekł potem z niesmakiem Swayn, zamówił specjalnie u rzemieślników z południa nie do walki, lecz tylko na pokaz. Za lordem jechali jego synowie

oraz rycerze z dalszych gałęzi rodu. Następnie niewiasty na ukwieconych i przybranych płótnem wozach, wiele służby, niedźwiedz na łańcuchu, trupa komediantów, wóz z kucharzami i prowiantem, nadworny poeta Hugona (na jego widok van Dreyck skrzywił się, jakby wypił skwaśniałe mleko) oraz kilka innych osób. Najwięcej uwagi przyciągnął jednak odyniec wieziony w mocnej klatce. Zwierzę, łypiące wściekłym wzrokiem i raz po raz rzucające się na boki, miało dostarczyć rozrywki w trakcie którejś z uczt, bo Hugon lubował się w walkach zwierząt, a i mężczyźni z rodu Aam Caerleigh patrzyli na nie z zainteresowaniem. Szczególnie zaś ciekawe były te, w których dziki — wróg okrutny i nieustępliwy — stawały naprzeciw sfory specjalnie głodzonych myśliwskich psów.

Hugon zatrzymał się u podnóża schodów, zeskoczył z konia i wszedł po stopniach do lorda Gwidona, stojącego w drzwiach zamku. Uściskali się jak bracia, choć po minie starca widać było, że nie za bardzo rozumie, z kim się wita. Potem pan Aam Birge wyściskał się równie wylewnie z Falkirkiem i dopiero dał znak, że świta i reszta rodu może zejść z koni.

Wtedy nastąpiła tragedia. Jeden z synów lorda Hugona, puciołowaty młodzieniec, który jechał koło wozu z odyńcem, postanowił popisać się sztuką zeskakiwania z siodła w pełnej zbroi. Traf chciał, że zahaczył przy tym stopą o strzemię, po czym zwałił się jak kłoda w bok, na konie zaprzężone do wozu. Te spłoszyły się mocno, szarpnęły, klatka zaś, zbyt słabo umocowana, spadła na ziemię. Sznur łączący w jednym miejscu dębowe drągi pękł. Śmiech z niezdarności młodego rycerza zamarł ludziom na ustach.

Odyniec wystrzelił niczym bura błyskawica. Wziął na kły małego chłopca, który stał przy wozie, i rzucił nim jak lalką w róg podwórca, po czym pognał w stronę przestraszonych maluchów, stojących po drugiej stronie wozu. Kashim Al'Shannagg wyrwał szablę z pochwy i rzucił się na ratunek, choć wiedział, że nawet z pomocą daru nie zdąży, a na rzut bronią było za daleko. Szczęśliwie jednak zdążyli knechci z pikami, którzy szli tuż za wozem. Obskoczyli odyńca i skłuli go rohatynami. I choć ranna bestia rzucała się jeszcze, a jednemu rozerwała paskudnie goleń oraz stalowy nagolennik, wreszcie padła, otrzymując dziesiątki głębokich ran.

Jednak nim jeszcze zwierzę wydało z siebie ostatni kwik, nad murami poniósł się wibrujący wrzask rannego dziecka. Wszyscy puścili się w jego stronę, lecz Kashim był pierwszy. Gdy zatrzymał się nad małym, wezwał cicho Najwyższego. Najmłodszy syn Swayne'a, bo to on stał z lewej strony

wozu, leżał w błocie z nóżką wykręconą pod nienaturalnym kątem. Na udzie widać było blade wybrzuszenie i Kashim ani chwili nie wątpił, że to złamana kość wypchnęła ciało. Najgorsza była jednak rana, którą kiel odyńca zostawił w pachwinie malucha. Choć niezbyt rozległa, musiała być głęboka. Z tej niedużej dziurki krew sikała w przerażającym tempie. Po jej jaskrawym kolorze i tym, jak rytmicznie wystrzeliwała, Al'Shannagg od razu poznał, że została uszkodzona tętnica, którą Al'Razi zaliczał do żył głównych. Przypomniął sobie też, że wedle słów Al'Raziego takie obrażenia zabijają człowieka w ciągu trzech modlitw.

Dziecko było mimo to przytomne i wielkimi niby talerze oczyma patrzyło na życie wyciekające z jego ciała wartką strugą.

Matka chłopca zawyła żałośnie i chwyciła go za głowę. Siwiejący brat lorda Hugona klęknął obok, po czym nakazał przynieść sobie białe płótno i gorącą wodę. Al'Shannagg nie wiedział, do czego to zmierza, bo opatrunek nie mógł pomóc przy takiej ranie. Kiedy zaś zobaczył, jak mężczyźni próbują nieporadnie zatkać ją brudnymi rękoma, przecisnął się do przodu i krzyknął:

— Odejdźcie, szlachetni panowie. Pozwólcie mi go opatrzeć!

Ludzie z rodu Aam Birge spojrzeli na Świętego Jeźdźca z mieszaniną zdziwienia i niesmaku, jakby dopiero teraz zauważyli jego ciemną skórę i nietypowy ubiór.

— A kim to jesteś, dziwny człecze? — spytał lord Hugon.

— To przyjaciel rodu — wtrącił się Brenvan. — Księżę z dalekiego Kiraju, we wszystkich naukach wielce biegły.

Kobieta zaprotestowała z płaczem, lecz mężczyźni długo się nie zastanawiali. W większości byli to doświadczeni wojownicy i wiedzieli, że przy takiej ranie niewiele mogą pomóc. Dopuścili więc Al'Shannagga do dziecka, a ten wytarł ręce o skraj białej szaty, po czym przyłożył je do rany. Gorączkowo szukał jakiegoś pomysłu i próbował sobie przypomnieć zarówno lekcje o ludzkim ciele, które pobierał w młodości, jak i nauki sędziwego pułkownika Ihmida, uczącego Świętych Jeźdźców leczyć rany odniesione w boju.

Wreszcie, ku powszechnej dezaprobachie, Kashim wsadził palec do rany. Chłopiec zakwilił jak zdychające szczenię, lecz Al'Shannagg kontynuował badanie. Wreszcie zdołał wyczuć pulsujący, przzerwany skraj tętnicy. Wiedział, że może próbować go podwiązać, lecz wielu pacjentom obumierały po takim zabiegu kończyny, wielu też umierało od zakażeń.

Pozostawało tylko jedno.

Skupiwszy całą wolę, Kashim Al'Shannagg wyrzekł donośnym głosem rozkaz. Te słowa w pustynnej mowie skierowane były do geniuszy ziemi i wody, z których składało się ciało chłopca. Kashim nakazał, by tętnica zrosła się, a ciało nad nią zasklepiło.

Widział, że osoby z silnym darem potrafią leczyć i że właśnie dzięki temu wiedźma uratowała niegdyś Jasnowłosego. Świętych Jeźdźców tej sztuki nie uczono — mało który potrafiłby ją opanować choćby i po latach ćwiczeń, zresztą rany zadane w boju były zbyt głębokie i rozległe dla osoby nawet czwartej krwi. Jednakże tutaj Kashim musiał zawładnąć tylko małym kawałkiem materii, tylko kilkoma niesfornymi geniuszami. Dlatego się odważył. I dlatego mu się powiodło.

Wśród akompaniamentu zdziwionych i przerażonych okrzyków ciało powoli zaczęło się zrastać. Krwotok był coraz słabszy, wreszcie ustał. Kilka kobiet zemdlało z wrażenia. Osłabiony Kashim przymknął na chwilę oczy.

Gdy je otworzył, na twarzach wokół siebie zobaczył strach i nienawiść zmieszane z obrzydzeniem.

— Czarownik! — sapnął lord Hugon, odsuwając się od Kashima. — Panie Aam Caerleigh, czy już tak daleko się posunęliście, by bezbożnego wiedźmaka na dworze trzymać? Toż to prawom ludzkim i boskim urąga.

— Gore, gore nam — załkała niewiasta. — Pewnikiem duszę mojego chłopca podstępnie uwięził i teraz na męki piekielne ją skaże!

— Cóżżeś uczynił, dzikusie?! — krzyknął Falkirk. — No, cóżeś uczynił?!

— Pod własnym dachem taką żmiję... — pisnęła przerażona pani Mardibh.

Gwynn kwiliła cicho.

— O co chodzi? — spytał Brenvana zdezorientowany Kashim. — O co, przyjacielu?

Lecz twarz młodego rycerza była kamienna i nieprzenikniona.

— Mówiłem ci — rzekł cicho i odwrócił wzrok — iż w ziemiach naszych lepiej zginąć niż pokazać, że uprawia się magię. A tyś o tym zapomniał, nieszczęsny głupcze.

— Ubić czarownicę! — wrzasnął któryś z knechtów.

Służba podchwyciła okrzyk, który rozbrzmiał wkrótce na całym podwórku. Nawet uratowany chłopiec zdawał się bardziej wstrząśnięty tym, że siedzi przy nim czarnoksiężnik, niż tym, że przed chwilą jeszcze konał. Lecz Brenvan nie zamierzał wydać przyjaciela na sąd pospólstwa. Stanął dumnie przed Kashimem i zawołał:

— Wara, psy! To człek błękitnej krwi, syn wielkiego króla. Nikt go nie będzie sądził, prócz równych jemu.

Przez tłum przeszedł groźny szmer.

— Póki żyję, nie pozwolę by mojemu przyjacielowi spadł włos z głowy!

W tym momencie lord Gwidon Aam Caerleigh przedarł się przez tłum. Szedł powoli i chwiejnie, a jego zniekształcona głowa kołysała się na boki. Gdy był kilka kroków od syna, wyrzucił z siebie stek przekleństw i ledwo słyszalnych słów, obficie tryskając przy tym śliną. Brenvan zbladł.

*

By dostać się do wiosennego pawilonu, trzeba było glejtu, który wielki opiekun ogrodów wydawał tylko przy okazji niezwyklej okoliczności lub za opłatą wynoszącą tysiąc dżirów. Dla większości ludzi była to kwota trudna do ogarnięcia. Zresztą opiekun urzędował jedynie przez osiemnaście dni w roku, więc sporo mniej poważnych petentów musiało czekać latami. Jednak w Wiecznym Cesarstwie czas miał inną wartość, a w Asar'Aden — jego stolicy — wedle słów niektórych zatrzymał się całkiem, zawstydzony splendorem Boskiego Cesarza. Były więc urzędy, do których kolejkę zajmowali dziadkowie, by przed obliczem państwowego urzędnika mogły stanąć ich wnuki.

Gh'Zar nie miał z tym jednak problemu. Choć strażnicy zabiliby każdego ciepłokrwistego, który zbliżyłby się do drzwi pawilonu, nie przestrzegając ceremoniału, on należał do Starej Rasy. Stara Rasa zaś poruszała się po pałacu prawie bez ograniczeń, choć i jej przedstawiciele obowiązywał surowy ceremoniał, spisany przed wiekami na ośmiuset siedemdziesięciu siedmiu kartach.

Z tej przyczyny najpierw musiał czekać na kolanach przy bramie pawilonu na urzędnika opiekującego się tą częścią pałacu oraz na jednego z członków przybocznej straży Cesarza. Powitawszy się z nimi serią ukłonów, wyjaśnił urzędnikowi cel swego przybycia. W tym czasie strażnik uważnie obszukał całe ciało Gh'Zara, zabierając mu szablę i kindżał. Zajrzał mu nawet do ust i uszu, by sprawdzić, czy nie kryje tam zatrutych strzałek, a jego zręczne palce zbadały każdy szew i fałdę w ubraniu gada.

Wreszcie Gh'Zar dowiedział się, że właśnie trwa uroczystość przebierania Cesarza do kolacji. Wszedł do środka, lecz miast do komnat władcy ruszył szukać zastępcy mistrza ceremonii, który pełnił jego obowiązki, gdy sam mistrz zajęty był pracą. Odnalazłszy go w herbacianym pawilonie, Gh'Zar skrzywił się. Zastępca mistrza miał ledwie trzydzieści lat,

co zdawało się konserwatywnemu dworzaninowi wielkim pogwałceniem tradycji. Z trudem tłumiąc niechęć, poprosił urzędnika o pozwolenie na udział w ceremonii zmiany ubioru oraz w ceremonialnej kolacji. Złożył odpowiednie opłaty urzędowe i w końcu otrzymał upragniony dokument. Z nim w rękę mógł bezpiecznie minąć straż i wejść do Sali Polnych Kwiatów, gdzie Cesarz, w towarzystwie przeszło stu dworzan, zmieniał strój na wieczorny, mniej oficjalny.

Gh'Zar czekał cierpliwie w ostatnim rzędzie, a potem przyszło mu siedzieć jeszcze przeszło dwie klepsydry na samym krańcu stołu z dworzanami, podczas gdy Cesarz na podwyższeniu spożywał posiłek. Gh'Zar nie patrzył w jego stronę. Oglądanie Cesarza bez potrzeby było karanym grzechem. Czekał cierpliwie, a jego gadzia, pokryta łuskami twarz nawet nie drgnęła. Dopiero gdy kolacja dobiegła końca, a urzędnicy wstali z ław i zaczęli zbliżać się do podwyższenia, stając w karnym ogonku przed strażą i mistrzem ceremonii, Gh'Zar uniósł się i przedarł przez ludzi, roztrącając ich gniewnie na boki. Mistrz bez szemrania uznał jego pierwszeństwo, skłonił się i odstąpił w bok.

Gh'Zar wkroczył na czerwony dywan. W każdej komnacie pałacu oznaczał on granicę, której nie może przekroczyć żaden śmiertelnik bez wiedzy i zgody Żyjącego Boga. Gdyby teraz Gh'Zar wykonał choć jeden przeciwny ceremoniałowi ruch, zaraz padłby przeszyty kilkunastoma strzałami, nawet mimo swej wysokiej rangi i wielu lat poświęconych służbie Cesarstwu.

U podnóża schodów gad wykonał ukłon głęboki, po czym złożył dłonie i czekał tak, aż nad nim rozległ się głos Cesarza:

— Podejdz, synu.

Gh'Zar, choć miał już trzysta lat, z czego większość spędził na cesarskim dworze, za każdym razem, gdy słyszał ten głęboki, pełen niebiańskiego spokoju głos, czuł zawroty głowy. Podeszedł dziesięć kroków, wykonał ukłon głęboki, a po kolejnych dziesięciu padł na kolana; później — na twarz. Podniósł się po dłuższej chwili i dopiero teraz spojrzał w oczy Cesarza.

Żyjący Bóg był odziany w pomarańczową jedwabną szatę, która aż skrzyła się od złota i klejnotów. Jego szare łuski błyszczały w świetle lamp. Gh'Zar był Spokrewnionym, więc czuł niemal namacalnie przerażającą władzę, jaką Bóg miał nad naturą. Wiedział, że w razie czego Cesarz nie potrzebowałby ochrony, bo jednym skinieniem dłoni mógł zmienić dowolnego człowieka czy zimnokrwistego w kupkę dymiącego żużlu.

— Składam ci tysiąc pokłonów, o najpotężniejszy z władców, moje Boskie Światło i mój Prawowity Cesarzu.

Cesarz w odpowiedzi wyciągnął dłoń. Dworzanie zaszemrali, była to bowiem oznaka jego wielkiej życzliwości, na którą mało kto mógł liczyć. Znaczyło to, że poddany dostąpi wkrótce ogromnych zaszczytów.

Gh'Zar, choć zdziwiony, nie dał Cesarzowi czekać. Zbliżył głowę do jego szponiastej dłoni, a następnie polizał ją czubkiem długiego, białawego języka.

— Wezwaliśmy cię, Gh'Zarze Siedem Głów, bo wedle naszych cesarskich inspektorów przygotowania do inwazji, które przedsięwzięliśmy, idą zbyt wolno.

Słowa Żyjącego Boga były zawsze powolne i pełne władczości, idealna zaś dykcja zawstydziała pałacowych poetów.

— Ponoć gubernator Adż'sr nie zbudował jeszcze połowy potrzebnych statków. Ponoć puste są jeszcze spichlerze, a armie z innych prowincji, które ściągają do portów, nie mają żywności oraz miejsc przygotowanych na obozy. Dlatego też nakazujemy tobie, byś zastąpił gubernatora. Jutro o świtaniu otrzymasz żelazne listy i dekret, a potem ruszysz na wybrzeże wraz z pułkiem ciężkich saurników.

— O Władco Władców, wybacz me pytanie, które świadczy tylko o tym, jak trudno memu ciasnemu rozumowi pojąć twe wielkie plany, lecz... Czy życzysz sobie, panie, by Adż'sr został pochowany z honorami, czy też mam potraktować go wraz z rodziną jak zdrajców?

— Błogosławione Cesarstwo straciło na jego opieszałości.

Dworzanin uklonił się głęboko, bo wiedział już, jaka jest odpowiedź. Gdy kilka chwil później szedł przez ogród wiosenny, czuł wielkie podniecenie i — choć Adż'sr Żelazna Pięść był jego wujem — cieszył się. Wreszcie jego talenty zostały dostrzeżone! Zaiste, Cesarz był sprawiedliwy oraz łaskawy!

*

Gdy zamek Caerleigh zniknął już za pagórkami, Brenvan wstrzymał na chwilę konia i ostatni raz odwrócił się w jego stronę. Na polach wokół szumiały wysokie trawy, brzęczenie końskich much denerwowało wierzchowce.

Widząc, z jaką melancholią przyjaciel obserwuje stare mury, Al'Shannagg rzekł:

— Możesz jeszcze zawrócić, Jasnowłosa. Nie prosiłem cię o towarzystwo.

— Nic nie rozumiesz — prychnął rycerz. — To sprawa honoru. Po pierwsze, mam wobec ciebie dług. Po drugie, nie mogłem po prostu puścić płazem tego, jak odezwał się do mnie Falkirk. Choć ojciec jeszcze żyje, on rządzi się, jakby całe Caerleighbmarch należało do niego. No to niech teraz radzi sobie sam.

Al'Shannagg skinął głową. Istotnie, kłótnia między Brenvanem a Falkirkiem, nalegającym na jak najszybsze przegnanie Kashima, była nadzwyczaj burzliwa. O wszystkim zdecydował jednak pan Gwidon, który, choć zazwyczaj miał problem z określeniem swoich myśli, tym razem wyraźnie oświadczył, że nie zdierzy czarnoksiężnika pod swoim dachem. I tak Kashim dostał niewiele czasu na przygotowanie się do podróży. Pośpiesznie spakował sakwy, zabrał wszystkie rzeczy pamiętające jeszcze Ocaloną Krainę, a także odpisy z ksiąg i swoje mapy. Zdołał tylko przelotnie pożegnać zapłakaną Gwynn, po czym Swayn i Falkirk bezceremonialnie odprowadzili go do stajni. Oburzony kłótnią oraz wyrzuceniem przyjaciela Brenvan też nie zbierał się długo. Wziąwszy kilkanaście złoćców, zbroję, konia podjezdnego oraz swego bojowego wałacha, broń, namiot i trochę podróżnego sprzętu, dołączył do Kashima zaraz za bramą. Wcześniej krzyknął, że nie wróci do Caerleighbmarch, dopóki jego mieszkańcy nie nauczą się szanować honoru i rycerskich przysiąg.

W ten sposób dwóch przyjaciół, choć jeszcze rano wydawałoby im się to nieprawdopodobne, znowu znalazło się w drodze. Zamek zniknął im już z oczu, a tej nocy mieli zamiar opuścić Caerleighbmarch.

— Sprawa honoru, powiadasz? — rzekł Kashim w mowie Learfeld. — Tedy obraż się na nich, lecz nie skazuj się na bezdomność i tułaczkę! Nikt przecie nie kazał ci opuszczać zamku!

— Opuśćcie mi, przyjacielu. Gdybym lubił tam siedzieć, nigdy bym nie przystał do bractwa i nigdy nie pojechał do twoich odległych ziem. Bezdomność nam nie grozi. Każdy rycerz Złotej Róży ochoczo nas przyjmie w swych dobrach i ugości odpowiednio.

— Ale jak się utrzymasz, skoroś się skłócił z rodem?

Brenvan zmartwił na twarzy, jakby dopiero teraz o tym pomyślał. Szybko jednak wrócił mu radosny humor.

— Uczciwą pracą zarobimy. Przecie bitni z nas ludzie, możemy posłużyć za eskortę jakiej wyprawie do Marovii czy w północne góry. Albo gotowiznę pożyczymy i sami co zorganizujemy. Wuj Eryk nie raz mi opowiadał o swych kupieckich wożach.

— Aleś sam mówił, że rzemiosło kupieckie to ujma na honorze rycerza!

— Dlatego właśnie jakiegoś kmiotka najmiemy. W żupę go ubierzemy i na koźle posadzimy, będzie kupiec jak się patrzy. Pojedziemy z nim niby dla ochrony.

To mówiąc, Brenvan spojrział w tył. Potem stanął w siodle, zmarszczył brwi.

— O co chodzi? — spytał Święty Jeździec.

— Jakiś człek gna ku nam. Na razie słabo go widzę.

— Gdzie?

— A tam. Jedzie teraz obok rozstajnego drzewa.

Al'Shannagg spojrział tam, wysilił wzrok i dostrzegł szczegóły postaci. Jechała na masywnym kasztanku, a na jej głowie...

— Van Dreyck! — krzyknął Kashim. — Nie myślałem, że za nami pójdzie.

Brenvan tylko się uśmiechnął.

Gdy trubadur podjechał bliżej, pomachał im czapką i zawołał:

— No, szlachetni panowie? Przyjmiecie mnie do kompanii?

— Długoż ci wszystko zajęło... — powiedział rycerz.

— Mus mi było porządnie się pożegnać z córą stajennego. No i w drodze do stajni niejako przypadkiem wpadłem do spiżarki — to mówiąc, poklepał sakwę.

— Okradłeś zamek mego ojca! — rzekł gniewnie Aam Caerleigh.

— Nie okradłem, jeno pożyczyłem na drogę. I nie twego ojca, lecz tego bufona Falkirka. Bo z tego, com widział, twój tatko jada jabłka tłuczone, a nie wędzone szynki.

Kashim roześmiał się, po czym spytał:

— A pewnyś, że chcesz z nami jechać? Bo sami za dobrze jeszcze nie wiemy, co ze sobą zrobimy.

— Tako jak i ja. Za chlebem mus mi jechać, a gdzie — to już wszystko jedno. Na początek niech będą miasta północy: Venore, Thain, może Corvis.

— Niech tak będzie — przystał Brenvan. — Zatem gdy tylko opuścimy Caerleighmarch, jedziemy na północ.

To ustalwszy, ruszyli dalej gościńcem w pogodnym nastroju. Byli znów w drodze, i choć Kashim musiał przez to wszystkie plany układać na nowo, w jakiś dziwny sposób cieszył się, widząc przed sobą trakt, który wił się wśród zielonych pól w stronę skrytych za horyzontem przygód.

Rozdział 18. Spotkanie

Rano, gdy strażnicy weszli do namiotu, Czenda Tenzih Bakh'Dezi klęczał blady przed jagnięcą skórą, na której spisano cytaty z Księgi. Spędził tak całą noc, więc potrzeba było pomocy dwóch żołnierzy, by mógł się podnieść. Dwóch kolejnych musiało siłą rozebrać go i odziać w długą płócienną koszulę, jaką wedle prawa skazańcy nosili na egzekucję. Tenzih, ignorując ich, wciąż się modlił. Przepraszał przodków za to, że zawiódł.

Od samego rana do Umm'al'Biyara spędzano wielkie grupy Degów. Już kilka dni wcześniej rozesłano patrole żołnierzy do wszystkich przyległych osad, by przywieźli ich mieszkańców w odpowiednim czasie. Miało to ważny cel — generał Al'Ghazi bał się legend, jakie zdążyły narosnąć wokół postaci młodego wodza. Wiedział, że gdyby zgładzono go przy kilkunastu ledwie świadkach, mieszkańcy gór wkrótce zaczęliby opowiadać, że Tenzih jeszcze żyje, że znów wystrychnął na dudka żołnierzy Tel'Halik i dzięki jakiejś niezwykłej sztuczce wyrwał się na wolność, a teraz grasuje po szlakach z drużyną wiernych wojowników.

Gdy przed południem wokół miejsca kaźni — trawiastego stoku, na którym stał bacharni zaprzęg i leżał ociosany pal — zebrało się przeszło tysiąc dusz, generał mógł odetchnąć. Z grzbietu saura widział, jak strażnicy prowadzą w jego stronę Czendę, i wiedział, że oto zaczyna się nowa epoka dla Pustynnego Miasta. Teraz mieli zacisnąć dłoń na Żelaznej Dolinie mocniej niż kiedykolwiek wcześniej. Potem przyjdzie czas Tel'Amman. Już od dłuższego czasu trwały tam walki, a przywódca buntowników, niejaki Arim, groził, że odetnie Świętemu Miastu dostawy żywności. Jego dni były jednak policzone. Pięć tysięcy rekrutów szkoliło się teraz w Tel'Halik. Kolejne trzy tysiące zwolni się, gdy w Żelaznych Wzgórzach zapanuje spokój. Wtedy zaś żadna rebelia przeciw prorokowi nie będzie już miała szans. Generał uśmiechnął się, podkręcając wąsa.

Tenzih wszedł w tłum. Jego eskorta roztrącała Degów, garnących się, by dotknąć choć skrawka szaty człowieka, o którym mówiono, że jest największym wojownikiem, jaki chadzał po górach — może z wyjątkiem samego Kamudżyna Jednookiego. I choć żołnierze z trudem utrzymywali napór tłumów, Al'Ghazi nie miał powodu do zmartwień. W końcu nieopodal, przy szczycie wzniesienia, stało w równych szeregach przeszło osiem setek

piechurów Tel’Halik. Będąc spokojny o przebieg egzekucji, generał mógł poświęcić się marzeniom. Oto wróci wkrótce do ukochanego Tel’Halik, otoczony splendorem zwycięskiego wodza. Znow będzie kąpał się trzy razy dziennie w różanej wodzie, w Sali Natchnień zaś odczyta publicznie swoje nowe poematy o prostym życiu dzikich górali i o pięknie tutejszych gór. Nie wątpił, że w kilka dni stanie się najjaśniejszym klejnotem Świętego Miasta, wyłączając samego proroka oraz jego doradców. No i będzie mógł wreszcie zdobyć mężczyznę takiego jak on sam — czułego i pełnego melancholii. Mihir, jego ukochany poeta, z pewnością na niego czekał...

A wszystko to dzięki tajemniczej księdze, którą napisał dla niego anonimowy geniusz. Choć z początku generał był sceptyczny wobec zawartych w niej tez i taktyk, teraz ufał im już bezgranicznie. Pełna dyscyplina, pełna kontrola, współpraca różnych rodzajów wojsk — wszystko to zapewniło mu zwycięstwo w kotlinie Bin’Sigd. Dzięki temu właśnie główne siły rebelii zostały rozbite, Tenzih zaś musiał pierzchnąć w wysokie góry. I choć od tej pory szarpał ich niczym wilk, a wielu prawowiernych żołnierzy jeszcze zginęło, to w końcu, stopniowo osaczany i pozbawiany sił, wpadł w ich ręce. Najlepsze zaś było to, że został zdradzony przez jednego z własnych ludzi, który pod wrażeniem potęgi armii Tel’Halik uznał, że Degowie nie mogliby wygrać tej wojny. Teraz Al’Ghazi nie wątpił, że nowa taktyka sprawdzi się także w Tel’Amman. I w dalszych wyprawach, o których prorok wspominał w osobistym liście do generała.

Tenzih był już przy miejscu kaźni. Duzzah o białej brodzie, która sięgała mu niemal do pasa, zaczął czytać wyrok, a młodszy — siedząc na niebieskim dywaniku — spisywał każde słowo i każde zdarzenie. Al’Ghazi spostrzegł zaś, że od strony osady oraz Czerwonego Fortu w stronę kaźni jedzie gromada żołnierzy, za nimi zaś jeszcze trzydziestu Degów. Generał pomyślał przelotnie, że będzie musiał upomnieć dowódcę tej grupy, który niemal spóźnił się na kaźń, i wrócił do obserwowania zdarzeń. Tenziha doprowadzono pod pał.

Grupa nadjeżdżających przyśpieszyła, nikt tego jednak nie zauważył, ludzie bowiem byli zbyt przejęci tym, co właśnie działo się wokół pała. Dopiero gdy jeźdźcy znaleźli się jakieś pół farsanga od tłumy, któryś z żołnierzy na wzgórzu szepnął coś do towarzyszy, a wzdłuż szeregu przeszedł niespokojny szmer. Beztrouski do tej pory generał uniósł głowę i zobaczył, że nowi goście pędzą ku nim na złamanie karku. Nim jednak zorientował się, co to może znaczyć, kilku jeźdźców z tej grupy wyciągnęło z pochew szable,

krzycząc coś głośno.

Krzyczeli w języku Degów!

Wybuchł chaos. Tłum rozbiegł się na boki, jakby przepędzony nawoływaniami jeźdźców. Oni zaś byli coraz bliżej. Kilkunastu pikinierów próbowało zastąpić im drogę, teraz bowiem było już wyraźnie widać, że to tylko Degowie przyodziani w pancerze żołnierzy Tel'Halik. Al'Ghazi nie zastanawiał się jednak, skąd je wzięli.

— W dół! Czwarty regiment w dół! Łucznicy!

Żołnierze poczęli zbiegać w stronę pala i tłumu, który pierzchał na boki jak piana zdmuchnięta z wody. Łucznicy Tel'Halik wypuścili strzały, powalając wielu jeźdźców, Duzzah zaś podszedł do skrepowanego Tenzih'a z nożem, gotów raczej go zabić niż oddać współplemieńcom.

Atakujący, krzycząc wniebogłosy, byli coraz bliżej. Al'Ghazi siedział sztywno w siodle, zaciskając zęby. Oto znów doświadczał tego niemiłego uczucia, gdy sytuacja wymyka się dowódcy z rąk. Rozkazy zostały wydane, elementy wojennej maszyny zaczęły się poruszać, a on nie mógł już nic zrobić. Najgorsze było to, że widział, iż piechota nie zdąży. Och, jak bardzo się teraz przeklinał! Przecież sam wymyślił, by większość żołnierzy ustawić na szczycie pobliskiego wzgórza, tak by górując nad tłumem, sprawiali wspaniałe i majestatyczne wrażenie.

Degowie zderzyli się wreszcie z grupą kilkunastu strażników i dosłownie roznieśli ich w mgnieniu oka, stratowawszy przy okazji kilku współplemieńców, którzy uciekali zbyt wolno i dostali się pod kopyta. Choć strzały sypały się na nich gęsto, jeźdźcy nie zwolnili, pędząc do pala. Al'Ghazi popatrzył w tamtą stronę i tętno błyskawicznie mu przyspieszyło: oto Duzzah już nie żył, zabity własnym nożem, a Tenzih, który jakimś cudem zdołał się wyzwolić z więzów, trzymał jego ciało przed sobą jak tarczę. W trupie tkwiło kilkanaście strzał.

Degowie, rozbiegłszy się na boki, wiwatowali, niepomni tego, że żołnierze Tel'Halik są ledwie kilkadziesiąt stóp dalej. Szczególnie często powtarzało się w ich krzykach jedno słowo. Było Al'Ghaziemu w dziwny sposób znajome.

— Na Jedynego, co wrzeszczą te dzikusy? — spytał adiutanta.

Ów przystojny młodzieniec, który zdążył się już nauczyć górskiego narzecza, odparł:

— Kamudżyn. Witają Kamudżyna Jednookiego, panie.

Al'Ghaziemu zaparło dech w piersi. Dopiero teraz zorientował się, kim

jest wielki, siwiejący Deg, jadący bez hełmu w pierwszej linii. Ten sam Deg, który właśnie zatrzymał się przy palu i — osłaniany od strzał przez towarzyszy — poderwał na siodło Tenziha.

Generał zaklął głośno i rozejrzył się: piechota już dobiegała do jeźdźców, ale ci właśnie zawracali. Z Czerwonego Fortu wysypywali się już kawalerzyści Tel’Halik, lecz Al’Ghazi wątpił, czy dogonią zbiega.

Górale pędzili co koń wyskoczy w stronę Wzgórnego Szlaku. Razem z nimi odjeżdżały marzenia Al’Ghaziego o spokoju w Ocalonej Krainie. I o powrocie do przytulnych ogrodów Pałacu Proroka.

*

Deszcz lał strugami. W ciągu ledwie kilku chwil ziemia nasiąkła tak mocno, że na wąskim trakcie utworzyły się kałuże sięgające do kostek. Kashim patrzył ze zdziwieniem, nigdy w życiu bowiem nie widział jeszcze takiego deszczu i takiej ilości wody. Zupełnie jakby nad niebem znajdował się nieskończony ocean, a ono pękło, skazując cały świat na potop.

— Do diabła, mus nam rozstawić namiot, póki nie będzie za późno! — krzyknął Brenvan, by zagłuszyć szum wiatru i wody ściekającej po liściach.

— Już za późno. Sakwy przemokły! — odparł żalonym tonem van Dreyck, naciągając na głowę skózaną kurtę.

Choć dąb, pod którym stanęli, dawał im ochronę przez krótką chwilę, teraz woda spadała z niego tak samo, jak z gołego nieba. Aam Caerleigh zaklął. Rozkładanie namiotu z ciężkiego woskowanego płótna i w zwykłych warunkach było trudne, ale w deszczu i na wietrze zakrawało na niemożliwość.

— Tak czy inaczej, musimy spróbować, jeśli nie chcemy potonąć. Kashimie, wskakuj na konia i zetnij jaką długą i grubą żerdź.

Ale Al’Shannagg nawet nie drgnął, wpatrzony w ciemnoszare niebo.

— Słyszysz mnie, Kirajczyku?

Dopiero teraz Święty Jeździec odwrócił się do rycerza i, jakby oprzytomniawszy, powiedział:

— Imponujący deszcz. Często tak macie na wiosnę?

— Nie ma czego podziwiać! Chyba że chcesz, by przemókł nam cały ekwipaż. Nuże, pędź do lasu. Będziemy rozbijać namiot!

Niestety, choć Kashim znalazł odpowiedni drąg, rozłożenie okrągłej płóciennej konstrukcji okazało się niemożliwe. Sznurki plątały się, kołki niemal tonęły w grząskiej ziemi, podźwignięcie zaś ciężkiego materiału, łapiącego wiatr jak najlepszy żagiel, przerosło siły podróżnych. Osiągnęli

tylko tyle, że gdy deszcz ustał, byli przeraźliwie zmęczeni. Siedzieli więc w ciszy pod drzewem, dygocząc w mokrych ubraniach. Obok osowiałych koni leżały sakwy, z których większość była pełna wody.

— Gdybyśmy szli na Corvis, inaczej by teraz było — rzekł ponuro Brenvan. — Siedzielibyśmy w jakiej przytulnej gospodzie.

— A cóż byś robił w Corvis, panie rycerzu? — spytał van Dreyck. — Pasał owce albo zbierał grzyby po lasach?

Brenvan zacisnął zęby. Istotnie, choć byli w drodze już od dwóch tygodni, wszelkie próby znalezienia dobrze płatnego zajęcia spełzły na niczym. W mniejszych miastach kupcy albo już wyruszyli, albo tej wiosny nie zamierzali nigdzie wyruszać. Padł też pomysł zatrzymania się na dworze kogoś z rycerzy Złotej Róży. W tej części Learfeld mieszkało ich dwóch. Pierwszy był na wyprawie wojennej przeciw granicznym fortecom Yauranu, drugi zaś ubiegłej jesieni pojechał do księstw południa i od tej pory słuch o nim zaginął.

Skromne fundusze, którymi dysponowali na początku, niemal się skończyły i zarówno Kashim, jak i Brenvan poważnie zastanawiali się nad sprzedażą części ekwipunku. Al'Shannagg wiedział już, że tutejsi rycerze wiele zapłaciliby za jego broń. Pokazał kindżał jednemu z napotkanych płatnerzy, a ten za owo krótkie ostrze z damascynty był gotów od ręki wypłacić piętnaście złotych. Brenvan orzekł, że dałoby się utargować i dwa razy więcej.

Rycerz z kolei poważnie rozważał sprzedaż jednej z tarcz. Miał bowiem dwie — do walki konnej i pieszej, a różniły się ciężarem oraz ułożeniem imaczy, bo tarcze kawaleryjskie w Learfeld miały pasy ukształtowane w sposób, którego Kashim nigdy wcześniej nie spotkał.

Nic więc dziwnego, że humory im nie dopisywały, a potężne deszczysko wypłukało z nich resztki entuzjazmu do wyprawy. Osowiali i przemoknięci, myśleli tylko o tym, by rozpalić ogień, lecz było to niewykonalne, gdy cały las dosłownie pływał w wielkich kałużach.

W końcu, wygłodniali, wyciągnęli racje, by zjeść choć zimny posiłek, kiedy na gościńcu pojawiła się jakaś postać. Kashim popatrzył z zaciekawieniem, bo na starym trakcie podróźni trafiali się bardzo rzadko. Nadchodzący był niemłodym mężczyzną, którego wiek przygiął już ku ziemi. Wspierał się na kosturze, na grzbiecie miał gruby wełniany płaszcz, a pod nim luźną szatę. Na ramieniu niósł podróźny worek. Ubranie starca było zniszczone i poplamione błotem. Nie wyglądał bogato, a jednak cała postać

w jakiś sposób emanowała dostojnością.

— Popatrz — rzekł Kashim, trącając Brenvana, który tak był zajęty żuciem solonego mięsa, że nic nie spostrzegł.

— Pewnikiem znachor wędrowny albo zubożały skryba, co szuka zajęcia — powiedział van Dreyck.

— Racja — potwierdził Brenvan. — Nie wygląda na dziada prozalnego.

Mężczyzna zбочzył z traktu w ich stronę. Jego posiwiata broda z kilkoma ciemnymi pasmami poruszała się przy każdym kroku. Stanąwszy nieopodal, starzec rzekł:

— Powitać. Pozwolicie, szlachetni panowie, przysiąc na chwilę?

— A siadaj, człecze. Nikt ci nie broni — odparł van Dreyck. — Potrzeba ci może kawałka chleba?

Brenvan skrzywił się na te słowa, sami bowiem nie mieli zbyt wiele żywności. Poza tym drażniło go, że trubadur, który bez mrugnięcia okiem wyciągał od szlachty złoto, wobec pospolitaków był nad wyraz hojny.

— Dzięki stokrotne, dobroczyńco — odparł podróżnik.

Chwycił podany kawałek czarnego chleba oraz pasek wędzonego mięsa i zaczął jeść łapczywie. Zaspokoiwszy pierwszy głód, zapytał:

— A cóż tak szlachetna kompania robi w środku lasu? Trakt to półdziki, rzadko uczęszczany...

— Nie twój interes — odparował rycerz.

Kashim zaś rzekł uprzejmie:

— Szukamy kogoś, komu swe miecze można by za złoto odnająć. Pracy nam trzeba.

Brodacz skinął głową, zupełnie jakby rycerz w zbroi wartej pięć wsi i trubadur w jedwabkach, jeżdżący niczym bezrolni od miasta do miasta, byli dla niego zwykłą rzeczą.

— Nie wyglądasz na tuziemca, panie. Po cóż przybyłeś w nasze strony? — spytał Kashima.

Al'Shannagg zwlekał chwilę z odpowiedzią. Odkąd podróżny przysiadł się do nich, Kashim czuł dziwne otępienie. Głowę miał lekką, ledwie potrafił skupić na czymś wzrok. Przestraszył się nawet, że obcy jest czarownikiem, lecz nie czuł przecież działania daru. Tak był zajęty rozważaniem tej sprawy, że mężczyzna musiał powtórzyć pytanie.

— Ja...? — odparł wreszcie. — Wywodzę się z dalekiej krainy za piaskami. Przybyłem tutaj w poszukiwaniu prawdy o moich ziemiach i świecie.

Van Dreyck i Brenvan spojrzeli na Kashima zdziwieni. Taka otwartość wobec obcego zaiste była zaskakująca, Al'Shannagg zaś sprawiał wrażenie, jakby sam nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, co mówi.

— Prawdy? Ciekawe, ciekawe... — Mężczyzna pogładził się po brodzie. — Cóż, szukaj w takim wypadku cierpliwie, przyjacielu, bogowie lubią cierpliwych i pokornych.

— Mówisz, jakbyś był kapłanem. — Brenvan zaśmiał się.

— No, no, szlachetny paniczu. Wiedz, że nigdy nie pobierał nauk ani ksiąg nie widział na oczy, lecz sporo już lat chodzę pod słońcem i wiele rzeczy słyszałem. Nie powinienesz drwić sobie z wiedzy starszych.

Brenvan sapnął. Bardzo nie podobał mu się ton, jakim ów włóczykij ważył się zwracać do szlachetnie urodzonego.

— A ty dokąd idziesz, człeczko? — bezceremonialnie spytał podróżnika van Dreyck.

Przybysz dojadł kawałek chleba, strzepnął z burej szaty okruszki i dopiero potem odparł:

— Gdzie mnie oczy poniosą, młody przyjacielu. Niewiele mi już czasu zostało, a chciałbym jeszcze trochę świata zobaczyć.

— A mnie się widzi, że trochę przesadzasz — zaśmiał się Brenvan. — Całkiem krzepko jeszcze wyglądasz.

Podróżnik spojrział na niego ponuro.

— Nikt nie zna dnia ni pory.

To powiedziawszy, wstał i chwycił kostur. Skinął głową na pożegnanie i ruszył po mokrej trawie z powrotem ku gościńcowi.

— Dziwny był jakiś — rzekł Brenvan, gdy ciemny płaszcz zniknął za krzakami.

Kashim skinął w milczeniu głową.

*

Kilka mil od traktu, wśród prastarych liściastych drzew, które mogły swoim ogromem wprowadzić w zdumienie każdego podróżnika, leżała polanka porośnięta trawą wysoką i gęstą. Uwiły w niej gniazda liczne kuropatwy, których głosy było słychać już z daleka. Za ich sprawą oraz z powodu nadzwyczaj jaskrawej, rażącej oczy zieleni, to małe, jasne oczko w sercu ciemnego lasu zdawało się tętnić życiem. Na środku polany znajdował się samotny głaz, częściowo spękany, porośnięty mchem. W jednym z załamów zdążyło już nawet wyrosnąć drzewko. Trzeba by wprawno oka, by spostrzec i inne, mniejsze kamienie, prawie całkiem skryte wśród trawy.

Natomiast zauważenie, że polana ma kształt idealnego koła, nie było już tak trudne.

Miejsce to otaczał splątany gąszcz leszczyny, więc trudno było się do niego dostać bez dobrego ostrza. Jednakże kobieta w jasnej sukni, która teraz stała przy głazie, nie miała noża, ba! nie miała nawet podróznego kija czy torby, choć najbliższa ludzka siedziba leżała ponad dzień drogi stąd.

Zapatrzona w pradawny monolit, zdawała się nie słyszeć gdy na skraj polanki wyszedł brodaty mężczyzna w brudnej szacie. Krzewy rozstępowały się przed nim same, gałęzie odginały, by nie zaczepić o skrawek jego podartego płaszcza.

Stanąwszy za kobietą, powiedział głośno:

— Mogłaś wybrać łatwiej dostępne miejsce, moje dziecko.

Odwróciła się. Grzywa jej kasztanowych włosów zaśniła w słońcu. Chwilę patrzyła z uśmiechem, jakby nie widzieli się od wieków. Wreszcie rzekła:

— Czyżby Wędrowiec na starość stał się Leniwcem?

Pod wpływem słów w jej pradawnym języku wszystko zamarło. Trawa przycichła, ptaki znieruchomiały, wsłuchane w tajemną melodię, której nie słyszały od wieków.

— Gdybyś wiedziała, jak wiele mil przeszedłem, nie mówiłabyś tego, dziecko.

Skrzywiła się.

— Dziecko? Przypominam ci, że mamy tyle samo lat!

— Dość przekomarzań. Tak mnie zamierzasz witać? — rzekł ze śmiechem, po czym rozpostarł ramiona.

Uściskali się serdecznie, a potem przysiedli na skraju głazu.

— Opowiadaj — poprosiła dziewczyna. — Co robiłeś przez tyle czasu?

— Przebyłem dalekie szlaki, odwiedziłem ziemie za oceanem i wśród zimnych mórz północy. Doszedłem na kraniec Cesarstwa, ale i na wielki południowy kontynent, okryty nieprzebytą dżunglą. Teraz mogę powiedzieć, że moje buty poznały kurz z każdego miejsca tego świata.

Po czym nieco bardziej ponurym tonem dodał:

— Mimo to wciąż wiem tyle co wcześniej, Saari. Choć widziałem miasta opuszczone przed narodzinami pierwszego człowieka, choć znalazłem ruiny cywilizacji, które pod gruzami grzebały jeszcze starsze cywilizacje, Jego plan wciąż jest mi obcy.

— I obcy pozostanie. Powinieneś uwierzyć Yeilne, gdy w dawnych

czasach twierdziła, że nie da się przejrzeć Jego umysłu, bo nie jest podobny umysłom żywych istot.

— Pamiętam. „To myśl absolutna, myśl nieludzka i niepojęta. Myśl, dla której nie istnieją tak proste pojęcia, jak dobro i zło” — rzekł cicho mężczyzna. — A jednak rozumiesz mnie chyba? Przecież właśnie w tej myśli się narodziliśmy, ona jest w drzewach i ptakach, w leśnych stworzeniach. A więc jest tam coś, co powinniśmy pojąć...

— Ale nie pojąłeś, prawda, Warezarze?

Mężczyzna umilkł i długo wpatrywał się w malutką wiewiórkę, która przystanęła nieopodal kamienia.

— Słyszałam, że ty... Że zamierzasz... — zaczęła niezręcznie Saari.

— Walczyć? Tak. Jestem w końcu również człowiekiem, z całym bagażem ludzkich wad. Jest pewien plan... Szalony może, ale zawsze.

— Plan Gaavra?

— Tak.

— Ale jeśli tylko Go rozwścieczycie?

— Uwierz, nie uczyni to żadnej różnicy. Czulaś przecież ostatnio to samo, co ja. Wszyscy z pewnością to czuliśmy, nawet Zdrajca. Ziemia kurczy się w sobie, skały zamierają ze strachu, morze martwieje. Architekt zrywa kolejne zasłony, jest już blisko. Albo jeszcze dokładniej — my jesteśmy blisko Niego. Swoją wszechjednością ogarnął już miejsce na linii czasu, do którego brakuje nam ledwie kilku kroków. Kilka kroków i wszystko zniknie tak, jak powstało.

— Ale może nie jest przesądzone, jak On nas potraktuje?

Warezar zaśmiał się chłodno.

— Spytaj swoje serce. Pomyśl o tym i uczciwie przyznaj, co mówi ci intuicja.

Saari zamilkła, opuszczając głowę.

— Nie, doprawdy ciężko wyobrazić sobie, byśmy nie mieli odpowiedzi za wszystkie błędy. Co więcej, razem z nami odpowie świat, który zawiódł Jego oczekiwania. Dlatego została nam tylko jedna możliwość.

— Jeśli uważasz, że mogłabym w czymś pomóc — rzekła powoli Saari.

— Nie wahaj się mnie wezwać.

— Ach. Więc to prawda, że opuściłaś na dobre fortecę?

— Eyul mnie przegnała.

Mężczyzna uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Eyul... Została w takim razie sama. Kto wie, może to właśnie jej się

poszcęści? Niemniej cieszę się, że jesteś z nami.

— Ja też.

Chwilę siedzieli w milczeniu, a trawy szumiały cicho. Wreszcie Warezar powiedział:

— Zastanawiam się właśnie... Wiesz, dziś spotkałem kogoś, kogo nigdy bym się nie spodziewał spotkać. Ledwie kilka staj od tego miejsca. Myślisz, że to przypadek? Teraz widzę, jak wiele błędów popełniliśmy. Jeśli oni dalej będą swobodnie się mieszać, kto wie...

— A więc spotkałeś dziecko Eyul? Człowieka z kraju piasków? — spytała ciepło Saari.

— Tak. I muszę ci przyznać, że jego splątany los zarazem cieszy mnie i niepokoi. On dokona czegoś ważnego, Saari. Czuję to.

— Eyul przepowiedziała mu śmierć. Prędką i w rozpacz.

— Może — starzec westchnął. — Ona pewnie wie lepiej.

To mówiąc, wstał i rozprostował kości.

— Tak czy inaczej, pora już na mnie. Muszę zobaczyć, co porabia reszta, i poinformować Gaavra o twojej decyzji. Niedługo spotkamy się ponownie, dziecko.

Skinęła głową, a słońce zalśniło na jej rudych włosach.

— Idź szybciej! — Zawołała, machając beztrosko stopami w powietrzu. — Nie mamy w końcu wiele czasu.

Warezar uśmiechnął się, poprawił płaszcz, po czym ruszył w stronę gąszczy leszczyny, a trawa rozstępowała się pod jego nogami.

*

Pasza Asimar siedział pochylony nisko nad dokumentami i w zadowoleniu gładził brodę. Pucółowate policzki uniosły się nieco i po raz pierwszy na jego twarzy zawitał uśmiech.

— A więc nasz wróg nie jest tak wszechmocny — rzekł. — Potrafi się omylić, potrafi przeoczyć coś istotnego.

— Na to wygląda, o potężny — odparł Hanhakh, stojący z drugiej strony stołu.

Przed Lwem Pustyni i jego pułkownikiem leżały dokumenty, które kosztowały życie dwunastu odważnych ludzi, w tym ośmiu Świętych Jeźdźców. Tyle właśnie osób zginęło w głębokich, pozornie nieskończonych labiryntach grot rozciągających się pod Tel'Halik. Teraz jednak pasza mógł powiedzieć, że cena była tego warta. Miał wreszcie dokładne mapy podziemi, co więcej — notatki zwiadowców, którzy zbadali tam każdą piędź ziemi w

poszukiwaniu tropów, a nawet celowo rozrzucali cienkie warstewki kredowego pyłu, by dowiedzieć się kto, kiedy i jakimi korytarzami chodzi. W ten sposób poznali układ patroli wokół Kaan'Baash. Ale z obserwacji wyłaniało się coś jeszcze ciekawszego. Dostrzeżono tropy pewnej osoby, co dzień krążącej pod miastem, od wąskich przesmyków pod Szarym Stokiem do niezbadanych głębin, daleko niższych od pustyni za murami miasta.

— Kim jesteś, Snaar? — szepnął pasza, kartkując raporty szpiegów.

Miał przed sobą kronikę samotności, dziennik istoty, która dzień po dniu, miesiąc po miesiącu spędzała w ciemnych grotach. Czy była człowiekiem? Nie. Wielu świadków to potwierdzało; sam Asimar w jakiś sposób też to wyczuł, gdy jeszcze się z nią widywał. Kim zatem była? Kto mógł być tak upiornie cierpliwy, by w samotności przez dziesięciolecia, a może i wieki, realizować własny plan...

— Kim jesteś, Snaar? — powtórzył jeszcze ciszej.

Od niedawna wiedział już, że to właśnie ów przeklęty stwór, który go nie raz oszukał, rządzi Vezamarem. Coraz lepiej pojmował, spod czyjej ręki wychodziły wszystkie dziwne i tajemnicze dekryty. Pasza Asimar zrozumiał, kto jest jego największym wrogiem. Przygotowywał się do bitwy. Mapy miały mu w niej wydatnie pomóc.

— Więc co teraz, o potężny? — spytał pułkownik. — Czy kończymy eksplorację?

— Nie — odparł Asimar. — Wycofaj z podziemi wszystkie grupy prócz jednej. Ta jedna będzie co jakiś czas sprawdzać, czy Jastrzębie nie wykonują nowych ruchów.

— Tak, o potężny.

— I jeszcze jedno. Zacznij przygotowywać bezpieczny transport. Lepiej, bym na jakiś czas wywędrował do Umm'Magar. Słyszałem, że prorok podejrzewa mnie o pomoc w spisku. To przez te przeklęte pancerze ukradzione ze zbrojowni. Muszę go uspokoić, pokazać się jego szpiegom i pozwolić, by donieśli, że jestem chorym, umierającym nieszczęśnikiem, myślącym tylko o pojednaniu z Najwyższym.

— Tak, panie. A co w tym czasie mamy robić? Zająć się jedynie treningami?

— Nie. Twoi jeźdźcy muszą tymczasem...

W tym momencie ktoś stanął na korytarzu po drugiej stronie kotary.

— Panie! Wybacz, że przeszkadzam, ale człowiek, którego kazałeś sprowadzić, czeka już na dole.

— Skończymy później, Hanhakh. Nie chcę go trzymać za długo w strachu.

Pułkownik skinął głową i zaczął zwijać papiery, a pasza podszedł do łóżka, wziął leżącą na nim maskę i nałożył ją. Dotyk zimnego metalu na twarzy nie był przyjemny. Następnie Asimar zawinął się szczelnie w gruby, ciemny płaszcz i wyszedł z komnaty, zostawiając za plecami Hanhakha.

Żołnierz przy drzwiach wyprężył pierś, gdy Asimar przeszedł obok, kierując się w dół ciemnego korytarza. Mijał puste, zakurzone sale, pogrążone w mroku schody, wreszcie zszedł na sam dół budynku, do wionących grobową wilgocią piwnic. Tam, starając się nie otrzeć o pokryte śliskim porostem ściany, szedł długim, niskim przejściem, aż znalazł się przed drzwiami, które wiodły do niemalże pustego pomieszczenia. Zajął zydęł stojący na jego środku, a z drzwi po przeciwległej stronie wychylił się mężczyzna w brązowym turbanie. Pasza dał mu niedbały znak ręką.

Do komnaty wprowadzono skrępowanego Duzzaha o głowie owiniętej szmatami, zataczającego się po wpływem oszołamiającego narkotyku, który mu podano. Pasza skinął i eskorta zdjęła zawoje z twarzy mężczyzny.

Pasza sapnął ciężko.

Twarz tego człowieka została niedawno przeraźliwie okaleczona, i to w sposób, jakiego Asimar nigdy wcześniej nie widział. Od lewej skroni szły trzy zgrubiałe, sine blizny o postrzępionych krawędziach. Powieka lewego oka była zapadnięta, jeden z policzków zdeformowany, jakby uszkodzeniu uległa kość. Grzbiet nosa również nosił ślady ciężkich obrażeń, był załamany i przecinało go podłużne wgłębienie. Ciało było tam jeszcze zaczerwienione, zupełnie jakby goiło się nadzwyczaj długo i z komplikacjami.

— Tyś jest Mudda Al'Iarnak? — upewnił się pasza.

— Tak, to ja. Cóż to za żarty? Przecież znasz mnie dobrze, człowieku w masce.

— Nie, Muddo. Nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy.

Dopiero teraz Al'Iarnak zorientował się, że głos postaci nie jest znajomy. Zmrużył jedyne oko i zobaczył w półmroku więcej niepasujących szczegółów: kształt maski, masywną i krępą sylwetkę. Namysliwszy się, rzekł:

— Witaj, potężny paszo Asimarze.

Pasza zacisnął zęby, lecz po chwili wybuchnął śmiechem.

— Tak łatwo było mnie poznać?

— A któż inny musiałby tak dbać o swoją anonimowość? I kto pozostał

przy życiu z ludzi, którzy muszą kryć się przed sługami proroka? Wiedz jednak, że to głos cię zdradził, paszo. Z woli Najwyższego mam doskonałą pamięć do ludzkich głosów.

— To tylko potwierdza, że wezwanie cię było dobrym krokiem. I ty, i ja nie mamy wiele czasu, Muddo Al'Iarnaku, dlatego przejdę od razu do rzeczy. Mam dla ciebie ofertę. Śledzę... człowieka, dla którego pracujesz. To ktoś, kto może mieć zgubny wpływ na Tel'Halik, albo i całą Ocaloną Krainę. Potrzebna mi zaufana osoba, która mimo całej grozy owego... człowieka zgodziłaby się donosić mi o wszystkich jego ruchach.

— Więc prosisz, o potężny, bym został podwójnym zdrajcą?

— Nie. Proszę tylko, byś wyrzekł się służby wrogowi naszego ludu i naprawił zło, które wyrządziłeś.

— Skąd mogę wiedzieć, czy powinienem ci ufać? Czy działasz w imię Ocalonego Ludu i naszej wiary, czy też jak on: w imię własnych ambicji? — spytał ponuro Mudda.

— Och, nie bądź tak podejrzliwy. Zdołam ci pomóc i nieroztropnie byłoby odrzucać moją ofertę. Weź pod uwagę, że próbowałem wyciągnąć dłoń ku twojemu bratu, a on ją odrzucił i teraz...

Nagle z Duzzahem zaczęło dziać się coś dziwnego. Jego okaleczona twarz wykrzywiła się, oko wytrzeszczyło. Jeden ze strażników przysunął się, pewien, że Mudda zaraz upadnie. On jednak tylko przycisnął dłoń do czoła i rzekł łamiącym się głosem:

— Czy to ty... czy ostrzegałeś Nahara, by nie brał udziału w spisku?

— Tak. Chciałem pokazać mu, że pomysł zamachu na proroka jest szalony i...

Mudda już nie słuchał. Powoli osunął się na kolana i przycisnął ręce do piersi. Strażnicy patrzyli w zdziwieniu, Asimar zamilkł. Duzzah wbił w sufit pełen bóleści wzrok.

Gdy znowu spojrzął na Asimara, w jego oku szklily się łzy.

— Jestem przeklęty. Posłałem własnego brata na śmierć.

— Nie rozumiem, Duzzahu, co próbujesz sobie zarzucić.

— Powiedziałem mu... Na Jedynego, jakież byłem głupi! Powiedziałem, by nie wierzył żadnym słowom istoty w masce, panie! Myślałem, że to jego spotkał, nie ciebie.

To rzekłszy, znów zaczął płakać. Asimar odczekał chwilę, by nie okazać się zbyt natarczywy, a w końcu rzekł:

— Jeśli uważasz, że jesteś winien temu, co się stało, masz okazję to

naprawić. Święte Miasto cię potrzebuje, Duzzahu Muddo. Możesz nam pomóc w pokonaniu największego złoczyńcy, jakiego nosi Ocalona Kraina. Przyłącz się, a ten, który cię skrzywdził, zapłaci za wszystko.

Lecz Mudda nie wiedział, czy chce komukolwiek pomagać i czy ma to jakikolwiek sens. Po sinych grzbietach blizn na jego policzkach ściekały łzy. Jedyne, czego pragnął w tej chwili, to umrzeć.

*

Kashim i van Dreyck siedzieli przy malutkiej ławie z nieheblowanym blatem, wciśniętej w ciemny róg pomieszczenia. Ława śmierdziała, jakby nikt jej nigdy nie czyścił, a w zagłębienia drewna wtarte były ciemne i lepkie resztki jedzenia. Święty Jeździec gapił się na belki sufitu i liczył pająki, które uwiły sobie przy nich sieci. Van Dreyck grzebał drewnianą łyżką w misce, jakby próbował wyskrobać jeszcze trochę kaszy.

W pomieszczeniu było przeraźliwie głośno. Właśnie miał tu spotkanie cech murarski miasteczka, z braku własnej siedziby świętujący w oberży przyjęcie nowego młodzieńca w grono rzemieślników. Śmierzący, spoceni robotnicy przekrzykiwali się ochryplymi głosami. Garnce marnego piwa znikwały w niezwykłym tempie. I choć Al'Shannagg z trubadurem znaleźli sobie najdalsze miejsce, hałas i odór sprawiały, że poważnie się zastanawiali, czy nie należałoby spędzić kolejnego wieczoru pod gołym niebem, tym bardziej, że jedzenie, które tu kupili za garść miedziaków, okazało się podłe.

Niestety, od przeszło tygodnia nie mieli już specjalnego wyboru. Żyli na resztkach prowiantu i posiłkach z najbardziej lichych oberż.

Sakiewki świeciły pustkami, mogli więc tylko marzyć o porządnych, czystych gospodach, gdzie zatrzymywali się głównie kupcy i podróżujący rycerze. Choć starali się najdłużej jak tylko można odwlekać sprzedaż części ekwipażu, wiedzieli, że wkrótce może się to okazać konieczne. Wciąż nie udało im się znaleźć żadnego płatnego zajęcia. Brenvan pogardliwie odrzucał każdą ofertę fizycznej pracy, Kashim zaś gorąco zaprotestował, gdy przyjaciel wpadł na pomysł, że zostaną szampierzami i za pieniądze będą reprezentować cudzy honor w pojedynkach. Jedyne skromny przychód zapewniał im van Dreyck, który od czasu do czasu dostawał pół złoćca od jakiejś mieszczańskiej matrony czy młodziutkiej szlachcianki wzruszonej rzewną balladą.

Nic dziwnego, że humor podróżnym nie dopisywał. Nie rozmawiali, nie żartowali, tak bardzo pogrążeni w ponurych rozmyśleniach, że ledwie usłyszeli, jak do pomieszczenia wszedł Brenvan i, głośno klnąc, zaczął

przeciskać się między pijanymi plebejuszami. Ci byli tylko nieco zdziwieni jego obecnością w oberży; widzieli już w życiu niejednego utracjusza z dobrej rodziny.

Gdy rycerz usiadł ciężko na ławie obok Kashima, ten jakby się ocknął.

— A z czegoż się tak radujesz? — spytał, zauważywszy szeroki uśmiech na twarzy przyjaciela.

— Ano z tego, że znalazłem sposób, by wreszcie na własny chleb zarobić, a może i duży pieniądz zbić!

Na te słowa van Dreyck również się ożywił.

— Doprawdy? Gadaj więc, bo mnie już to podłe żarcie ze szczętem obrzydło. No i wykapałbym się porządnie, ubranie nowe kupić...

— Ciebie, drogi trubadurze, propozycja i tak nie tyczy. Wszelako wiedz, że radzi odpłacimy za twoją skromną pomoc częścią naszych zarobków.

— Ale cóż będziem czynić? — zapytał Al'Shannagg.

— Otóż dowiedziałem się od pewnego kmiotka, że ledwie kilka mil stąd, pod miasteczkiem Ipswin, od jakiegoś czasu stacjonuje kompania najemna. I to nie byle jaka, lecz osławieni Grudgeryngerzy kapitana Gedharda van Eiser.

— Nie pojmuję — odparł Kashim. — Przecież sam ledwo coś gadał, że z pospolitakami nic do czynienia mieć nie chcesz...

— Głupiś, Kirajczyku! Kompania Gedharda jest jedną z największych w świecie! Na kilka chorągwi się dzieli, a wśród nich jest i chorągiew ciężkiej jazdy, do której synowie szlacheccy się garną po złoto i przygodę. Sam znałem człowieka, który pod jej sztandarem pół świata zjeździł!

Van Dreyck rzekł ponuro:

— Tu ma rację kawaler Aam Caerleigh. Bardzo nieliczni mogą sobie pozwolić na pełną zbroję i wojennego konia, przeto Gedhard wabi pancernych wysokim żołdem. Choć doprawdy nie rozumiem, dlaczego jeszcze nie spostrzegł, że miast jednego szlacheckiego darmozjada lepszych jest dwudziestu toporników.

— Ach, pleciesz trzy po trzy, przyjacielu! — powiedział Brenvan. — To sprawa prestiżu. Szlachta chętniej najmuje jego chorągiew, gdy wie, że w jej imieniu będą walczyć także herbowi, a nie bezimienna tłuszcza. Tak czy inaczej, jutro jedziemy do Ipswin, Kashimie. Chude dni minęły!

— Jeśli uważasz, że chleb najmity jest łatwy, wielce się mylisz — odparł van Dreyck.

Rycerz zbył jego słowa śmiechem.

Rozdział 19. Najmici

Pola wokół miejskiego muru były tak upstrzone kolorowymi namiotami, że z góry zdawało się, iż wyrósł na nich jakiś dziwny gatunek ogromnych kwiatów. Jednakże takie kwiaty byłyby dla mieszkańców jedynie powodem do zdziwienia, namiotów zaś bali się jak ognia. Choć w miejskiej bramie zawsze stała duża grupa strażników, pilnujących, by najmici nie wchodzili do Ipswin grupami i pod bronią, w mieście co rusz wybuchały bójki. Czasem były krwawe, jak ta, w której zabito piwowara i jego syna, gdy stanął w obronie ojca, bo nieokrzesani pikinierzy z Gotrlandu twierdzili, że serwuje rozwodnione trunki. Nie było też dnia, by mieszczki nie skarżyły się rajcom, że ktoś nastawał na ich cnotę, by nikt nie zgłosił pobicia lub kradzieży. Rajcy zaczęli żałować swojej zgody, tym bardziej, że kompania stała pod miastem już cztery dni dłużej, niż przewidywała umowa. Niestety, kapitan Gedhard nie przyjmował posłańców ze skargami, nie mówiąc już o tym, że nie zamierzał tłumaczyć się z niecných czynów podwładnych.

Nic dziwnego, że w mieście kipiał tłumiony gniew. I choć krzykliwi oraz skorzy do bitki najmici budzili strach, a o wielu mówiono, że posłali na tamten świat więcej wrogów, niż mieli palców, mieszkańcy Ipswin patrzyli na nich z nienawiścią. Niechętnie spoglądali również na podróżnych, przybywających w dzień i w nocy do miasta, by wnet udać się do karczmy pod murem, którą Gedhard zarekwirował na swoje kwatery. Dowódca kompanii rozesłał bowiem heroldów i werbowników niemal po całym Learfeld, stąd ściągał do niego każdy, kto miał odwagę, broń i puste kieszenie.

Wśród rzeszy takich ludzi znaleźli się Kashim wraz z Brenvanem. Gdy wyjechali z lasu i zobaczyli pola pod miasteczkiem, tonące w szarości zmierzchu, Kashim zagwizdał. Ilu tu było zbrojnych! Gromowładni musieli być siłą nie mniejszą niż armia całego Tel'Halik! Nawet van Dreyck był zaskoczony.

— Słyszałem już, że kompanię najął ktoś z Południowych Księstw — powiedział. — Sądząc po tym, ilu ludzi ściąga ten diabeł van Eiser, musi być na żołdzie doży któregoś z największych miast.

Brenvan skinął głową.

— Bo tak pewnie jest. Gdyśmy byli w Thein, słyszałem, że stary

Diotavelli, przymuszony szantażem, zapisał Firdinim po śmierci całą Andawę. To z kolei rozwścieczyło szalenie Dardię, która od dawna czyniła ku niej podchody. Wypowiedziała wojnę lennu Firdinich, sama rychło padając ofiarą napaści ze strony ich sojuszników. Tymczasem Gedialan i Pavia, korzystając z tego, że inne księstwa nie patrzą chwilowo na ich ziemie, poczęły znów toczyć między sobą wyniszczającą wojnę o panowanie nad zatoką. Pavii pomoc wkrótce miał sam książę Bianco Firdini, w nadziei, że wspomże jego ród w walkach na wschodzie, gdy zabezpieczy swoje posiadłości.

— Jednym słowem: znów całe południe w wojnie... — wtrącił van Dreyck.

— Tak. I każde z miast ochoczo dałoby Gromowładnym zarobić. Przeto, jak mniemam, posłowie wprost zadeptywali się pod drzwiami Gedharda.

— Ciekawe, kto go w końcu najął — rzekł Kashim.

— Czy to ważne? — odparł Brenvan. — Przecie oni tam wszyscy siebie są warci. Za jedno mi, kogo będę tam bił, bo to wszystko lud kłótniwy, niehonorowy i skory do zrad.

To powiedziawszy, popędził konia w stronę namiotów. Kashim i van Dreyck podążyli za nim. Wkrótce dotarł do nich smród obozowiska. Tak wielka liczba ludzi sprawiła, że wszystkie krzaki i zagajniki wokół namiotów pływały w nieczystościach, toteż przy odpowiednim wietrze obóz dało się ze znacznie większej odległości wyczuć niż zobaczyć.

Między namiotami snuli się znużeni przydługawym postojem najmici, ludzie każdej postury, wieku, koloru skóry, od śniadych młodzieńców z południa po jasnobrodych, starszych mężczyzn z północnych granic Learfeld. Tu i tam mignęła nawet pokryta bliznami twarz kobiety — i nie szło bynajmniej o jedną z dziwek w pstrokatych strojach, chodzących od namiotu do namiotu.

Wjechawszy głęboko w obóz, zatrzymali się na chwilę, by zasięgnąć języka. Wtedy jakiś mrukliwy gbur wskazał im chylącą się ku ziemi karcznię, która stała na podgrodziu. Z jej okien biło światło i dochodziły jakieś głośnie krzyki. Brenvan skinął głową, po czym podróżni ruszyli w tamtym kierunku.

*

Gedhard van Eiser okazał się wysokim, lecz dość szczupłym mężczyzną o haczykowatym nosie i siwiejącej, krótkiej brodzie. Wedle mody południowej był ubrany w gruby, wzmacniany skórzanymi wszywkami wiśniowy dublet, jakie w tych stronach ostatnio zaczęto kłaść pod zbroję.

Nogawice miał obcisłe i tylko wysokie buty z cholewami przywodziły na myśl stroje rycerzy z północy.

Gdy Kashim z Brenvanem zobaczyli go po raz pierwszy, siedział rozparty za ławą, obok pisarza kompanii, szafarza, skarbnika oraz kilku oficerów, i kłócił się z jakąś czarnowłosą wysoką kobietą w skórni. Oparta na pięściach po przeciwległej stronie stołu, wyrzucała coś kapitanowi niskim głosem. Ten odpowiadał spokojnie, lecz mimo to właśnie jego głos, a nie krzyk dziewczyny, było słychać już od progu, Gedhard miał bowiem dźwięczny tembr przywódcy, na który tak zwracano uwagę w Tel'Halik przy szkoleniu oficerów. Kashim wiedział, że odpowiedni głos i sposób mówienia nie tylko pomagają zdobyć sobie posłuch, ale bardzo liczą się na polu bitwy, gdzie słabiej wypowiedziane rozkazy łatwo toną w zgiełku.

Przy ścianie karczemnej sali, z której wyniesiono wszystkie meble prócz jednej ławy, kilku mężczyzn czekało na swoją kolej, by podejść do stołu. Było też tu paru najmitów w pstrokatych strojach z pałkami i długimi mieczami — na wypadek, gdyby któryś z odrzuconych kandydatów nie chciał łatwo pogodzić się z przegraną. Mimo to Brenvan nie zamierzał przestrzegać porządku. Prychnął, widząc kolejkę, i ruszył środkiem sali wprost ku ławie. Jego dudniący krok przyciągnął uwagę wszystkich. Kobieta umilkła i odwróciła się w stronę nowo przybyłych, a jej trójkątną twarz o surowych rysach wykrzywił grymas złości. Dopiero teraz Kashim zauważył, że kobieta trzyma dłoń na wspianiałym, ażurowym koszu jakiegoś długiego i dziwnie cienkiego miecza.

Brenvan skłonił się płytko i rzekł:

— Jam jest Brenvan Aam Caerleigh, kawaler zakonu Złotej Róży, rycerz z południa Learfeld. Przyszedłem ofiarować ci, panie, moją kopię.

Gedhard wstał z niedbałej pozycji, przybrał od razu bardziej oficjalną postawę, po czym uścisnął Brenvanowi prawicę.

— Witaj, kawalerze. Szczególnie rad widzę w szeregach szlachetnie urodzonych. Zawsze...

— Kapitanie! Nie skończyłam — przerwała głośno kobieta.

I choć Gedhard i Brenvan spiorunowali ją wzrokiem, nie drgnęła jej nawet powieka.

— Wręcz przeciwnie, rzekłem ci już wszystko — odezwał się surowo van Eiser. — Poniechaj więc, jeśli nie chcesz kłopotów.

Jakby na potwierdzenie tych słów, jeden z barczystych najmitów zakaszlał głośno. Kobieta poczerwieniała na twarzy i zrobiła krok w tył, lecz

widać nie zamierzała odchodzić. Gedhard, zignorowawszy ją, zwrócił się do Brenvana:

— Cieszę się przeto niezmiernie, że kolejny szlachetny rycerz garnie się pod mój sztandar, i obiecać ci mogę, kawalerze, zacny żołd. Wiedz jednak, iż nawet herbowi muszą uczynić zadość pewnym warunkom, jeśli chcą przystać do Grudgeryngerów.

Tutaj rozmowę podjął pisarz, mały człowieczek o żółtawej skórze, który chrząknął głośno, po czym zaczął czytać pytania z pergaminu:

— Jakie miałeś, kawalerze, wojenne doświadczenia? Czyś służył kiedy na wojnie?

— Gdym miał siedemnaście lat — rzekł Brenvan — walczyłem z chorągwią Caerleighmarch u boku lorda Keira Aam Aileenad w wojnie trzech miast. Trzy lata później, już ze swoim bractwem, przeszło cztery miesiące spędziłem na granicy Yauranu pod wodzą słynnego hrabiego Ragnalda. Ostatnio zaś niemal rok spędziłem na niebezpiecznej wyprawie do krain za Marovią, zmagając się z barbarzyńcami i dzikimi bestiami z krańców znanego świata. Prócz tego walczyć mi przyszło w kilku honorowych pojedynkach.

Gedhard skinął głową z aprobatą.

— Jaki wojenny ekwipaż oraz ilu ludzi wniesiesz do kompanii?

— Widzę, że masz zacne wojenne blachy — wtrącił się Gedhard, Brenvan bowiem przyszedł na spotkanie w zbroi. — To już samo w sobie wystarczy, bo niewielu mamy ciężkozbrojnych, powiedz jednak dla porządku, czym jeszcze dysponujesz? Szczególnie o wierzchowce mi idzie, bo marne nie znoszą długiej służby, a dobrych wciąż nam brakuje.

— Konie mam dwa — podjezdnego i bitewnego, z czego ten drugi przez wyśmienitego nauczyciela był układany i wart jest przeszło czterdzieści złoćców. Mam też obozowy ekwipaż, dwie tarcze, miecz wielki, kuty przez samego Ardewusa, zacną kopię, topór, kiścień. Giermków ni knechtów nie przywiódłem.

— Czy jesteś w pełni zdrowy? — kontynuował pisarz. — Czy cierpisz na sparszywienia skóry, choroby wstydlive, puchliznę, bóle kości, biegunki? Czy jesteś ścigany prawem lubo przeklęty przez bogów?

— Nie — odparł sucho Brenvan.

— Wyśmienicie! Zatem postanowione! Teraz pozostało nam jedynie ułożyć się co do warunków, panie rycerzu. Zazwyczaj kontraktujemy jeźdźców na jedno lato, tak by na zimę mogli wrócić do swych domów.

Takim ludziom mogę zaoferować prowiant, opiekę i żywienie koni oraz złoćca za każde siedem dni służby. Dodatkowo złoćciec przynależy się za każdą bitwę, a kolejne — gdybyś kawalerze w polu wielkich rzeczy dokazał lubo też nadał się do roli dziesiątnika, porucznika albo chorążego. Wszelako możliwe są i dłuższe kontrakty, na mocy których żołd otrzymasz większy, a i miejsce zacne w naszym zimowym obozie. Jeśli chcesz o co spytać, rad odpowiem. Jeśli nie, racz rzec jeszcze raz skrybie swoje imię i herb, a potem zaczekać chwilę, aż skończymy gotować kontrakt.

— Mam jedną prośbę.

— Słucham, rycerzu.

Brenvan odsunął się na bok, by zrobić miejsce Kashimowi, i dał znak, by ten podszedł do stołu.

— Oto mój wierny przyjaciel, ksiązę z odległych krain zachodu, który także chciałby zaciągnąć się do służby.

Gedhard zmierzył Al'Shannagga wzrokiem.

— No, no. Ksiązę, powiadasz? Dziwna to rzecz, gdy ksiązę chce służyć jako najemny jeździec... Nie obraż się, rycerzu, lecz twój przyjaciel bardziej mi na Yaurańczyka wygląda, przeto wzbudziłby w obozie wiele wrogości.

Kilku oficerów przytaknęło cichymi pomrukami.

— Nie jestem Yaurańczykiem, pochodzę z zachodu, z krain, które wasi uczeni zwą Kirajem — powiedział Al'Shannagg.

— Widzę, że nieźle władasz już naszą mową, przyjacielu. To jednak nic nie zmieni, tym bardziej, że nie widzę u ciebie oporządzenia zdatnego, by służyć w ciężkiej kawalerii. Powiedz, przyjacielu, masz li w ogóle odpowiedniego konia?

Al'Shannagg zacisnął wargi.

— Nie mam wierzchowca uczonego do bitwy. Lecz mój jest silny, odważny i mądry. Nauczy się rychło.

— A pancerz? — wtrącił siwy oficer. — Przecie ta dziwna zbroja, jakby z rybich łusek, musi być miękka. Tymczasem pancerny winien mieć zbroję twardą, by wytrzymać wiele ciosów bez szkody. Ty zaś, obcokrajowcze, po dwóch ciosach wielkim mieczem miałbyś strzaskane wszystkie żebra.

— Łuski są grube i do spółki z aketonem niemal każdy cios utrzymają. Ponadto nie potom się uczył szermierki, by dać się po żebrach okładać.

Na te słowa zebrani wokół Gedharda mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

— I o wojnie też, widzę, małe masz pojęcie — rzekł kapitan — jeśli myślisz, że zdołasz wyjść z bitwy, choć kilku ciosów nie przyjąwszy. Zresztą

czym będziesz się osłaniał? Masz li tarczę?

— Nie, używam ostrza i sztyletu.

— A pokaż nam to ostrze.

Brenvan pokręcił głową, bo już wiedział, co się stanie. Gdy Kashim wyciągnął dumnie szablę, rozległa się kolejna salwa śmiechu.

— To przecie nóż, jeno większy — wołali oficerowie. — Takie ostrze i jednego uderzenia nie zdierży.

— Przykro mi, kawalerze — zwrócił się Gedhard do Brenvana. — Twój przyjaciel nie nada się na kawalerzystę, a z pospolitakami pewnie nie będzie chciał się bić.

Aam Caerleigh rozgniewał się, usłyszawszy tę decyzję.

— Racz to przemyśleć, kapitanie. Jam tego człeka w boju widział. Ja wiem, jak wyśmienicie walczy tą dziwną bronią, a nadto jeszcze naszych sposobów dobrze się wyuczył. Jeśli będzie trzeba, i wielkim mieczem umnie zamacha.

— Widzisz, rycerzu, miałem już tu przed chwilą taką umną szermierkę, która wszelako nijak mi do żadnej chorągwi nie pasowała, nadto na żołnierza zbyt nie wyglądając. Nawet jeśli prawda, że twój przyjaciel dobrze walczy, nie mogę sobie pozwolić, by z jazdy zrobiła mi się pstrokata zbieranina, gdzie każdy inną bronią włada i inny ma pancerz.

Kobieta, która do tej pory stała naburmuszona z boku, uznała za stosowne się wtrącić:

— I dlatego najlepszych ludzi odtrącasz, kapitanie? Ja walczyłam w oblężeniu Gedialanu, trzy lata chadzałam z kondotierami, sam Francesco Abemarco wziął mnie na porucznika. Powiedz chociaż śmiało, że nie o ekwipaż tu chodzi, bo ten każdy może nabyć bądź zdobyć. Idzie o to, żem kobieta, a on — ciemnoskóry.

Najmici znów się roześmiali, lecz Brenvan zdecydował już twardo bronić przyjaciela:

— Kapitanie! Albo dacie mojemu przyjacielowi szansę, albo nie widzę możliwości, by oddać się wam na służbę!

Van Eiser wziął głęboki oddech, a oczy zwęziły mu się jak u kota, który zobaczył małego ptaka.

— Nawet herbowy kawaler nie będzie mnie szantażował, rycerzu... Jeśli jednak tak mocno nalegasz, bym pozwolił wykazać się temu obcokrajowcowi, zrobię to. Niech walczą.

— Nie rozumiem — rzekł Kashim.

— To proste, człowieku z zachodu. Będziesz walczył tu i teraz z Vailaną, która również nie chce w spokoju przyjąć odprawy. Jeśli które z was wykaże się naprawdę niepospolitym kunsztem, gotów jestem przymknąć oko na jego pozostałe niedoskonałości.

Kobieta nie zastanawiała się ani chwili.

— Będę się bić z obcokrajowcem — oświadczyła z godnością, po czym na jej twarzy pojawił się nieprzyjemnie zimny uśmiezek.

Al'Shannagg zrozumiał, że nie ma wyboru.

*

Wiadomość o tym, że dojdzie do pojedynku, błyskawicznie obiegła obóz. I choć Kashim wraz z kondotierką nie zamierzali zwlekać, do gospody zdążyło się zbiec dobre pół setki ludzi. Gedhard nakazał surowo, by nie zabierali miejsca walczącym, toteż tłoczyli się pod ścianami lub zaglądali przez okna.

Al'Shannagg odpiął pas, odłożył na bok kindżał i spojrzał na przeciwniczkę, stojącą już na środku sali i rozgrzewającą nadgarstki. Vailana była wysoką, mocno zbudowaną kobietą, której twarz szpeciła blizna ciągnąca się od kącika ust po kość policzkową. Jednak w jej ostrych rysach i ciemnych niczym skrzydło kruka włosach było coś pociągającego, niemal hipnotycznego.

Kondotierka rozgrzewała nadgarstek próbnymi cięciami, Święty Jeździec mógł więc podziwiać jej broń w całej okazałości. Mimo obusiecznej głowni niczym nie przypominała miecza. Przede wszystkim zamiast jelca miała ażurowy kosz, który niby żelazna, zaciśnięta pięść obejmował całą dłoń szermierza, a ostrze było cieńsze i dłuższe.

— Wiesz, co to jest? — spytał Kashim rycerza.

— Zwą to chyba shiavona. To dziwny rodzaj pałasza korsarzy z południa. Nigdy tego wcześniej nie widział.

Al'Shannagg skinął głową. Doświadczenie i wprawne oko sprawiały, że obawiał się tej broni znacznie bardziej niż mieczy Learfeldczyków. Z pewnością mogła uderzać bardzo szybko i precyzyjnie, wyglądała też na lekką i świetnie wyważoną. Po krótkim namyśle zaczął zrzucać pancerz.

— Co robisz? — syknął Brenvan. — Tyś chyba oszalał, Kirajczyku! Teraz wystarczy jedno dobre pchnięcie, byś padł martwy.

— Coś mi mówi, że jeśli dam jej okazję do dobrego pchnięcia, to pancerz nie na wiele mi się zda.

Kashim wiedział, że tę walkę wygra szybszy i sprawniejszy szermierz, a

nie ten, który ma na sobie więcej żelaza. Gdy został w samych szarawarach oraz koszuli, chwycił za szablę. Kilka osób zagwizdało, widząc, jak światło oliwnych lampek odbija się od pięknej głowni. Kashim spojrzał na sufit: pomieszczenie było dość wysokie, ale przy górnych cięciach musiał bardzo uważać, by nie zahaczyć o belki. Błąd mógł równać się śmierci.

— Wiedz, ciemnoskóry, że zawsze walczę na śmierć — rzekła kondotierka, wyciągając w jego stronę broń.

— Ja też nie nawykłem krzyżować ostrzy dla zabawy — odparł.

Choć ostatnio modlił się rzadko, teraz prosił Najwyższego o wybaczenie. Wiedział bowiem, że dla paru marnych złoćców przyjdzie mu zabić kobietę. Wcześniej zrobił to tylko raz i choć wtedy jego przeciwnik był zamaskowany, Kashima długo jeszcze dręczyły wyrzuty sumienia.

— Broń się — rzuciła sucho Vailana.

Zaczęli powoli zbliżać się do siebie miękkim, szermierczym krokiem. Al'Shannagg przyjął zwykłą postawę, jakiej uczono Świętych Jeźdźców oraz najlepszych szermierzy Tel'Halik, i z zaciekawieniem obserwował, jak jego przeciwniczka obraca się do niego bokiem i unosi ostrze wysoko, tak by celowało w szyję przeciwnika.

Kashim uderzył pierwszy. Ciął błyskawicznie cztery razy — z górnych kwart, uderzenie za uderzeniem — mistrzowsko operując nadgarstkiem. Wydawało się, że niespodziewana nawała ciosów nie wywarła na Vailanie wrażenia. Sparowała lekko, a czubek shiavony wystrzelił w stronę piersi Kashima, nim ten zdążył podnieść broń do gardy. Al'Shannagg zszedł z linii ciosu skrętem tułowia, sieknął w wysunięte ostrze niedaleko kosza, kondotierka trzymała jednak broń pewnie i nie wypuściła jej z palców. Następnie, z impetem wymijając korpus, cięła wroga w szyję. Kashim sparował, odskoczył.

Widzowie zaszemrali. Wymiana uderzeń trwała dosłownie kilka mrugnięć oka. Brenvan, dotychczas pewny przewagi swojego przyjaciela, miał teraz zmartwioną minę.

Drugą część walki zainicjowała Vailana. Kashim był już znacznie ostrożniejszy, wiedział, że ma okazję walczyć z przeciwnikiem równie szybkim, co najlepsi wojownicy Tel'Halik. Na dodatek lekkość i oszczędność ruchów tej kobiety nie pozwalały żywić nadziei, że uda się ją zmęczyć i zmusić do popełnienia błędów. Przygotowawszy się na szybki atak, Al'Shannagg zdołał sparować wszystkie pchnięcia i cięcia, tym razem mierzone głównie w dolne kwarty, jakby przeciwniczka zdała sobie sprawę,

że serce i szyja Świętego Jeźdźca będą nadzwyczaj trudnym celem.

Walczący krążyli wokół siebie długą chwilę, od ich gwałtownych wypadów i odskoków drżała podłoga, kurz sypał się z belek stropowych. Obserwatorzy patrzyli urzeczeni. Vailana, sparowawszy kolejne pchnięcie Kashima, zrobiła błyskawiczny półkrok do przodu, prześlizgnęła ostrze po krawędzi szabli i pchnęła — bez zamachu, ale bardzo mocno. Kashim podbił jej broń, lecz omal się nie spóźnił. Czubek shiavony przeleciał mu tuż obok ucha.

Tym razem kilka osób głośno wyraziło swój podziw. O tego typu atakach mówiło się „królewskie ruchy”. Tylko najlepsi mistrzowie potrafili nauczyć kogoś, jak jednocześnie sparować i zadać cios przeciwnikowi. Wymagało to również niezwyklej precyzji, kontroli nad ostrzem, a często też wyzyskania siły ataku przeciwnika na jego niekorzyść.

Al'Shannagg nie zmarnował jednak ani sekundy na podziwianie kunsztu przeciwniczki. Mimo że byli bardzo blisko, zamiast odskoczyć, naparł. Barkiem celował w pierś kondotierki.

Atak, choć mocny, nie rzucił jej na podłogę. Sapnęła, cofnęła się nieco i zaraz znów uderzyła. Cios Kashima wybił jej jednak powietrze z płuc i sprawił ból, więc przez chwilę nie była tak precyzyjna i pełna samokontroli, jak zawsze. Uderzenie było słabe, więc Al'Shannagg zdołał zbić je daleko, wspomagając szablę drugą ręką. Vailana prawie straciła ostrze, Al'Shannagg zaś zaraz ciął płytko w nasadę jej szyi.

Pisarz krzyknął wysokim głosem, gdy na jego twarz i pergaminy padło kilka karmazynowych kropeł.

Kondotierka odskoczyła niczym kot i wierzchem dłoni przetarła płytkie rozcięcie tuż nad obojczykiem. Zaraz jednak zacisnęła zęby i rzuciła się do ataku. Tym razem nie dawała Kashimowi ani chwili wytchnienia, nacierając bez ustanku, a on od czasu do czasu wyprowadzał zabójczo precyzyjną kontrę. Ostrza ścierały się, stopy dudniły. Wreszcie Al'Shannagg zaczął się poważnie zastanawiać, czy nie użyć daru, bo ciało Vailany zdawało się odpychać jego szablę, podobnie jak magiczny kamień alchemików z Tel'Halik odpychał żelazne opiłki. Zwykłego przeciwnika Święty Jeździec przebiłby już tuzin razy, lecz ta kobieta nie dała mu się już więcej tknąć ostrzem.

Gdy zwarli się kolejny raz, Vailana znów spróbowała pchnąć Kashima, a wtedy...

— Dość! — krzyknął Gedhard. — Dość, bo jeszcze się pozabijacie, na

bogów! Przyjmę was oboje. Dawno nie widziałem równie niezwykłego przedstawienia!

*

Ulica okazała się cicha i spokojna. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę fakt, że było właśnie południe, a wiosenne słońce, które z dnia na dzień stawało się coraz gorętsze, prażyło bez litości. Mimo to niska, zakutana w czarną burkę postać stała jakiś czas w cieniu, nie mogąc zebrać odwagi, by pokonać ostatnie sto stóp. Swój cel miała już przed oczyma — dom o drzwiach przesłoniętych starymi, brudnymi kotarami znajdował się przed nią, przytulony do warsztatu krawca oraz małego sklepiku. Mimo wszystko ta odległość wydawała się kobiecie niezmierną przestrzenią.

Dopiero po dłuższej chwili ruszyła przed siebie, patrząc ze strachem na boki. Łatwo było poznać, że obawia się pościgu. Szła zgarbiona, jakby przygięło ją ku ziemi ciężkie brzemię, trudno więc było poznać jej wiek. Choć w ciemnych zawojach musiało być gorąco, nie poluźniła ich ani trochę.

Zatrzymawszy się przed śmierdzącą, poplamioną kotarą, zawahała się. Przemyślała już swą decyzję kilka razy, lecz mimo to serce w niej stawało na myśl o grzechu, jaki miała popełnić. Wiedziała, że to konieczne, że tylko w ten sposób rodzina, zhańbiona przez jej nieślubne dziecko, będzie mogła przyjąć ją z powrotem. Była gotowa zrobić wszystko, byle uciec od poniżeń, bicia i gwałtów, które spotkały ją w szkole dla dziewcząt. I choć nawet po spędzeniu płodu istniało ryzyko, że ojciec z braćmi uduszą ją niczym chore szczenię, była gotowa na morderstwo, by dostać choć małą szansę.

A przynajmniej tak jej się wydawało do tej pory.

Zasłony cuchnęły, a przez szczelinę między nimi i ścianą widziała, że wewnątrz jest mroczne i zakurzone. Obudził się w niej jakiś pierwotny strach i dopiero po dłuższej chwili zdołała się zmusić, by dotknąć i odciągnąć w bok gruby materiał.

Przedpokój był pusty, a pomieszczenie, które znajdowało się za nim, tonęło w czerni. Słyszać było tylko dochodzące stamtąd bulgotanie. Kobieta weszła do środka. Zasłony wróciły na swoje miejsce i w przedpokoju zrobiło się ciemno.

— Czy... Czy jest tu ktoś? — spytała niepewnie.

Nie słysząc odpowiedzi, spróbowała głośniejsze:

— Czy jest tu ktoś?

Dopiero teraz dobiegł do niej niski, dziwny głos:

— Wejdz, dziecko. Zapraszam.

Dziewczyna przekroczyła próg pracowni i dłuższą chwilę rozglądała się, zdezorientowana. W tym zagraconym pomieszczeniu, wśród rozrzuconych wszędzie przedmiotów, stłoczonych mebli, śmieci, odpadków, glinianych garnców, misek, czarek, wiszących pęków ziół, wypchanych zwierząt, mosiężnych moździerzy, wielkich kotłów — wśród tego wszystkiego długo nie potrafiła wypatrzeć sylwetki wiedźmy. Ona jednak tam była. Siedziała skulona przy stole, częściowo skryta za rzędem misek. Jej długie, blade dłonie rozbierały kawałek po kawałku ogromnego szczura. Wiedźma zrywała z niego skórę, odcinała mięso, oczyszczała kości, każdą część kładąc pieczołowicie do innej miski. Dopiero po dłuższej chwili spojrzała na gościa.

Dziewczyna wzdrygnęła się. Wiedźma, choć niezbyt stara, była oszpecona przez białe, zgrubiałe blizny rozsypane po całej twarzy. Na dodatek jedno z jej oczu było zasnutę bielmem, blade, o rozlanej tęczęwce.

— Czy ty jesteś Zebari? Wiedźma? — spytała niepewnie przybyła.

— Tak, dziecko. A teraz zdejmij kwef. Nikomu nie zdradzam imienia swoich klientek, ale wolałabym wiedzieć, z kim mam do czynienia.

Gdy dziewczyna odwinęła ciemny materiał, wiedźma odłożyła szczura. Wstała i zbliżyła się, by dokładnie obejrzeć siniaki pokrywające jej twarz.

— Chcesz spędzić płód?

— Tak, ale skąd...?

— Na pierwszy rzut oka widać, że jesteś ciężarna. I po co tu przyszałaś. Jesteś pewna tej decyzji? Mogę to zrobić szybko i w miarę bezboleśnie, lecz gdy zacznę, nie będzie już odwrotu.

— Tak — odparła cicho dziewczyna.

Wiedźma zadrzała. Coś w tej młodej osobie budziło w niej niejasne przeczucia. Przed ślepym okiem przewijały się strzępy obrazów z przeszłości i przyszłości. Zebari przyłożyła do łona dziewczyny okrwawioną dłoń.

— Znam cię... — rzekła powoli. — Znam to dziecko i jego ojca.

— Niemożliwe, ja nigdy...

Czarownica zdawała się przeszywać ją na wskroś niewidzącym okiem.

— To potomek Kashima Al'Shannagga?

— Tak — przyznała dziewczyna cicho, opuszczając wzrok.

Zaraz potem jej ramiona zatrzęsły się od szlochu.

— Już, spokojnie, dziecko — powiedziała wiedźma, głaszcząc ją po głowie. Na ciemnych włosach przybyłej została smuga szczurzej krwi. — Usiądź.

Dziewczyna nie mogła wiedzieć, że w tej chwili Zebari drży w środku co

najmniej tak jak ona i boi się, bo znów jej los splótł się z losem przeklętego człowieka i z losem Bestii, która idzie jego śladem. I że jednocześnie nie może powstrzymać radości na myśl o tym, jaka potęga wpadła jej w ręce.

— Ja nigdy nie chciałam... On wydawał się tak męski. Było jak w poematach, które Mahri przemyślała dla mnie z miasta. Myślałam, że jak w nich, że wszystko dobrze się skończy... — Głowa dziewczyny zaczęła się kołysać. Jej słowa były coraz bardziej bełkotliwe. — A Tantarhar... On kłamał. Przyjmuje kobiety, czasem zmusza uczennice. To nie jest wola Najwyższego... Oni nie znają... Ale zrozumiałam dopiero teraz... Jak bardzo bym... Jak bym chciała cofnąć...

Dziewczyna zwiotczała i osunęła się powoli ze stołka. Wiedźma szybko otoczyła ją ramionami, podniosła i znów posadziła, opierając bezwładne ciało ciężarnej o stół. Potem podeszła do ściennej wnęki, gdzie w równych rzędach stały maści oraz eliksiry. Były tam okrutne trucizny, które po wielu dniach sprowadzały śmierć w męczarniach; trucizny szybkie, co zabijały w kilka chwil; środki na spędzenie płodu i takie, po których płód obumierał, lecz nie wychodził na zewnątrz, psując się i zabijając powoli matkę; eliksiry, po których traciło się pamięć, i takie, po których zapadało się w kilkudniowy sen; były nawet wywary, które na długie miesiące potrafiły zmienić człowieka w wegetującą roślinę.

Zebari bardzo długo zastanawiała się, jaki eliksir wybrać.

*

Grudgeryngerzy stali pod miasteczkiem jeszcze cały następny dzień, Kashim wraz z Brenvanem mieli więc czas, by poznać swoją chorągiew oraz jej dowódcę. Jeźdźców było czterdziestu. Większość okazała się synami bogatych mieszczan, którzy jakimś cudem zdołali sobie kupić lub zdobyć ciężkie zbroje oraz odpowiednie wierzchowce. Było też jednak i kilkunastu zbiedniałych herbowych, pośród których Aam Caerleigh rozpoznał kilka osób. I choć z początku reszta najmitów patrzyła wrogo na Kashima, to gdy dowiedzieli się o jego popisie w karczmie, szybko zmienili nastawienie, tym bardziej że w obozowisku Pierwszej Chorągwi panowała raczej przyjazna atmosfera. Leżało ono z dala od głównego obozu, za skrawkiem lasu, parę strzałów z łuku od miasta. W ten sposób szlachetnie urodzeni nie musieli tłoczyć się z pospolitym żołdactwem ani znosić obozowego smrodu.

Al'Shannagg wzbudzał żywe zainteresowanie. Nawet Gedhard, który przyjechał pod wieczór z wizytacją, zaszczycił go dłuższą rozmową. Kapitan najmitów okazał się osobą inteligentną i ciekawą świata, wypytywał o ziemię

na zachodzie i o sposób, w jaki Pustynne Miasto organizowało zbrojnych.

Święty Jeździec dowiedział się potem z niejakim zdziwieniem, że van Eiser nie był szlachcicem, lecz synem rajcy z gotrlandzkiego miasta. Mianowany za młodu szafarzem kompanii, którą uformowano w mieście, by wspomóc sojusznika w granicznej wojnie, po rychłym zakończeniu konfliktu odmówił rozpuszczenia ludzi. Do dziś nie wiadomo, czy jemu i jego podwładnym tak zasmakował wojenny chleb, czy też nie chcieli po prostu wracać z pustymi rękoma. Tak czy inaczej, ruszyli na południe, szukając kolejnych pracodawców, a rada miejska, choć w pierwszym odruchu skazała wszystkich na śmierć, spuściła z tonu, gdy z południa zaczęły nadchodzić skrzynie ze złotem. Rajcy szybko zorientowali się, że posiadanie stałego, zawodowego oddziału najmitów może przynieść miastu bogactwo i zasiać strach wśród jego wrogów. I tak narodzili się Grudgeryngerzy, którzy z czasem rośli w siłę i prestiż, stopniowo uniezależniając się od macierzystej miejscowości. Ta jednak wciąż zapewniała im prawomocny mandat, przez co najmici znaczyli więcej niż nielegalne, zbrojne bandy.

Kapitan nie przyjechał do obozu sam. Razem z nim, prócz eskorty, przybyło pięć osób w lekkich zbrojach, na wspaniałych koniach krwi yaurańskiej. Byli to zwiadowcy, którzy wchodzili w skład Chorągwi Sztandarowej. Oprócz nich miała ona w szeregach także kilkunastu weteranów, służących za ochronę Gedharda, medyków, inżynierów oraz pół setki dopelsoldner — ciężkozbrojnych piechurów z wielkimi mieczami, rzucających się do walki bez tarcz i za swą niezwykle niebezpieczną służbę otrzymujących podwójny żołd. Van Eiser oświadczył porucznikowi Beckennowi, że postanowił część przepatrywaczy przydzielić do jazdy, bo sam miał ich już zbyt wielu. Kashima bardzo to ucieszyło, bo wśród lekkozbrojnych znalazła się i Vailana. Coś pociągało go w tej twardej kobiecie, choć usiłował sobie wmawiać, że to tylko chęć poznania jej szermierskich sztuczek.

Wkrótce zapadła noc, pełna śpiewu i pijaństwa. Z namiotów zaczęto wnosić bukłaki i małe beczułki, zakupione w mieście za grube pieniądze, rozpalono także dwa ogniska. Kawalerzyści bawili się zawczasu, bo podczas wyprawy panowała surowa dyscyplina, a ci, których złapano nietrzeźwych, podlegali chłóście niezależnie od stanu.

Tego wieczoru Kashima uroczyście przyjęto w szeregi jazdy, a pijany jak bela porucznik Beckenn wznosił toast za toastem za „księcia z dalekich ziem”. Jednakże równie ważną osobą, co Kashim, okazał się van Dreyck.

Choć nie przyjęto go na służbę, trubadur wywalczył u Gedharda pozwolenie, by mógł jechać za kompanią, jak długo będzie sam się żywił i nie sprawi kłopotu. Dołączył więc do sporej grupy dziwek, rzemieślników i cyrulików, którzy nie odstępowali kompanii na krok. Szybko zorientował się, że może tu nieźle zarobić — najmici kochali rubaszne przyśpiewki, a że nie byli ubodzy, często któryś, wypiwszy o jeden bukłak wina za dużo, sypał srebrnikami jak z rękawa. Tak więc van Dreyck śpiewał aż do ochrypnięcia, a jego repertuar sprośnych utworów wydawał się nieskończony.

Następnego dnia Beckenn i jego dziesiętnicy obudzili wszystkich o świcie. Zaraz po musztrze Al'Shannagg z Brenvanem poprosili o pozwolenie na wyjazd do miasta, Gedhard bowiem postawił temu pierwszemu warunek: Kashim miał jak najszybciej znaleźć sobie ekwipaż podobny do learfeldzkiego i gotrlandzkiego, tak by nie odstawał zbyt wyglądem od reszty jeźdźców, zatem jeszcze przed południem przyjaciele wjechali przez miejską bramę, obserwowani przez strażę.

Odwiedzili trzech zbrojmistrzów, lecz Kashim nie znalazł niczego, co mogło by go zadowolić. Rzemieślnicy, patrząc na wierzchowca i zbroję Brenvana, sądzili, że goście są zasobni w złoto. Pokazywali więc najprzedniejsze wyroby. Któryś nawet zapewniał, że w tydzień zrobi pancerz taki sam, jak Brenvana, tyle że wytrzymałszy i lżejszy.

Na Al'Shannaggu ci brudni i zapoceni ludzie nie robili jednak dobrego wrażenia. Nie było w nich nic z pobożnych, pełnych cierpliwości mistrzów Tel'Halik. Zbroje i wszelkie elementy zdawały się Kashimowi topornie wykończone, o wyraźnych śladach kucia i różnej wielkości nitach.

Al'Shannagg nie ufał kolczej plecionce, nawet tej, w której wedle wzoru gotrlandzkiego zamiast czterech oczek w jednym umieszczano osiem. Wydawała mu się bardzo niewygodna w noszeniu, cały ciężar bowiem spoczywał na ramionach. O pełnych pancerzach wprost nie chciał myśleć; kirysy nie wyglądały na lepsze od jego łuskowej zbroi; folgowe naramienniki miały znacznie mniejszy zakres ruchu niż te, które przywiózł z Pustynnego Miasta. Nagolenników i nabiodrników Kashim nie tykał. Wiedział już, że w starciu z pancernymi rycerzami jego atutem jest szybkość, dlatego wołał się jej nie pozbawiać, nawet za cenę docinków kapitana.

Rzemieślnicy robili co mogli, byle zatrzymać gości, lecz Kashim nie słuchał ich namów. Wreszcie zdecydował się tylko oddać szyszak do naprawy. Wybrał zbrojmistrza, który najmniej śmierdział gorzałką.

— Ciężkie z tobą życie, Kirajczyku — powiedział z westchnieniem

Brenvan, gdy wyszli przed warsztat. — Przyciągniesz zbyt wiele uwagi w tej egzotycznej zbroi i spiczastym hełmie.

Al'Shannagg tylko wzruszył ramionami.

— To dobrze pasuje do twojej bujdy o... jak to szło? „Księżciu z krain zachodu”?

— Na księcia może wyglądałeś, nim maroviańscy zbójce obtłukli ci pancerz. — Rycerz zaśmiał się. — Teraz wyglądasz bardziej jak yaurański jeniec.

Kashim zastanawiał się chwilę.

— Wróćmy do tego suku dwie ulice od bramy. Zdaje się, że widziałem tam coś interesującego.

— Na targ, Kashimie, na targ. U nas nie ma suków, tylko targi.

— Doprawdy, cóż za różnica? Kradną tak samo jak w sukach!

Śmiejąc się, ruszyli szybko brukowaną uliczką. Niedługo potem Kashim trzymał w rękach rozwiązanie swojego problemu: długi i gruby płaszcz z brązowej tkaniny. Na jego skraju wyszyty był złotą nicią misterny wzór. Brenvan długo targował się z grubym krawcem i jego przyszczatym uczniem, ale towar i tak kosztował ich półtora złoćca. Było jednak warto. Płaszcz, gdy zapięło się go na ramieniu, skrywał szablę Kashima, jego szeroki i haftowany pas, a nawet niemal cały pancerz.

— Jak teraz? — spytał Al'Shannagg, obracając się parę razy.

— Wybornie. Wyglądasz na yaurańskiego jeńca, który przebrał się za szlachcica z Learfeld.

*

Następnego dnia o świcie, gdy rycerze spali jeszcze ciężko, od strony głównego obozu przygalopował posłaniec. Gedhard, zupełnie niespodziewanie, nakazał zwijać obóz. Kompania miała już dostateczną liczbę ludzi, wybierała się więc na południe, w stronę bitewnych pól. Beckenn klął, bo nie spodziewał się tak szybkiego wymarszu. Jeźdźcy byli w rozsypce, bo kilku udało się nocą do karczmy w grodzie i jeszcze nie wróciło. Porucznik puścił tam zwiadowcę, a resztę podwładnych zaczął ostro popędzać.

Kashim starał się sprawnie wszystko przygotować. Zwinął namiot swój i Brenvana, spakował sakwy, zrolował derkę, osiodłał wierzchowca. Potem odłożył na suchą trawę rzeczy Aam Caerleigha, którego nie było jeszcze w obozie. Dłuższą chwilę przyszło mu się jednak męczyć z uprzężą. Koń prychał i dreptał niespokojnie w miejscu, gdy Al'Shannagg gmerał w

plątaninie pasków i klamer, bowiem rząd z Learfeld był znacznie bardziej skomplikowany od używanego na pustyni i Jeździec nie zdążył się do niego przyzwyczaić.

— Dalej, nieroby, kulawce, szlacheckie synalki! — ryknął porucznik, przemykając między ludźmi. — Do szeregu!

Następnie powtórzył to samo w gotrlandzkim, ubarwiając całość szpetnym przekleństwem.

Kashim rozejrzał się. Większość kawalerzystów już siedziała w siodłach, a dziesiątkowi zaczęli formować kolumnę. Tylko kilku żołnierzy grzebało jeszcze przy sakwach. W ostatniej chwili na rozmokłym gościńcu pojawił się Brenvan w towarzystwie paru maruderów. Jechał odziany tylko w skórzany kubrak. Zbroja, pośpiesznie wrzucona do sakw, klekotała przeraźliwie, więc rycerz czynił taki hałas, jak pochód trędowatych z kołatkami. Wjechał na trawę, zbliżył się do Kashima, zręcznie zeskoczył z konia i rzekł:

— Zupełnie jakby ziemia połknęła tego pajaca van Dreycka! Nie ma go w całym obozie.

— Nie był wczoraj w miasteczku? Pewnie leży obity gdzieś na podwórku oberży. Może wypadaloby go poszukać?

— Daj spokój, kmiotki by cię rozniosły na widłach, nim zdążyłbyś się wytłumaczyć. Wczoraj Gedhard znów pogonił wysłannika rajców. Puścił go do miasta z gołym tyłkiem, przywiązanego do świni.

— Czyli van Dreyck, nawet jeśli siedzi w mieście, pewnikiem woli się do nas nie przyznawać.

— Albo się rozmyślił. Wybacz, Kashimie, ale to dla niego typowe. Nasz miły trubadur lubi pobajać o rycerskich czynach, bitwach i turniejach, lecz jak przychodzi do bitki, musi zaciskać zęby, by nie napaskudzić pod siebie.

W tym momencie podjechał do nich chorąży.

— Na co jeszcze czekacie? Czy szlachetny panicz Aam Caerleigh potrzebuje zaproszenia wyskrobanego złotymi literami! *Dythar mung!* Jedziemy, na Eyul! I tak wiele czasu straciliśmy przez to, że złamaliście regulamin. Ale za to się rozliczymy później!

Brenvan bez słowa przytroczył sakwy i dopiął popręgi. Kilka chwil później cała chorągiew była już na gościńcu, goniąc główną kolumnę.

Kashim rozglądał się na boki. Po lewej mieli gęsty las. Drzewa wyciągały poskręcane konary daleko nad trakt, okrywając go miłym półcieniem. Po prawej zaczęły rzednąć, aż wreszcie zniknęły, odsłaniając krajobraz soczyście zielonych wzgórz, niekiedy poznaczonych kępami krzewów. Choć

dzień był raczej pochmurny, kolor traw zdawał się wyjątkowo jaskrawy. Powietrze pachniało wilgocią i mokrym runem, kopyta koni pluskały w kałużach. Chorągiew łopotała na wietrze.

Trakt oddalał się od puszczy, skręcając między wzgórz. Ich krajobraz, jeśli pominąć kolory, wydawał się znajomy. Wydmy trawy, pomyślał Kashim. W jakiś dziwny sposób widoki przypomniały mu nieskończone, pofalowane przestrzenie Ocalonej Krainy.

Wkrótce, za kolejnym zakrętem, spostrzegli przed sobą ciemne kubraki ariergardy, która składała się z tuzina przepatrywaczy. Ich dziesiątkowy machnął ręką Beckenowi, a dowódca odpowiedział skinieniem pancерnej rękawicy. Jeźdźcy przyspieszyli i wyprzedzili tylną straż, zaczęli zbliżać się do kolumny, wijącej się między wzgórzami. Jej przód nikał w dali, wchodząc za kolejny szczyt. Kashim widział, jak od zieleni traw i brunatnego gościńca odcinają się tam żółtopstrokate wamsy gotrlandzkich *zwiendarh*. Najmici maszerowali noga w nogę, równym szeregiem, z ogromnymi mieczyskami przytroczonymi do pleców. Zaraz za nimi kilka wozów. Potem Trzecia Chorągiew. Żołdacy ze spisami, topornicy — niebieskie kubraki, czapy z piórami, błyszczące kolczugi, naramienniki, jaskrawe nogawice. Ryczeli głośną, żołnierską piosenkę, a dwaj muzykanci walili rażno w bębny. Al'Shannagg pomyślał, że Gedhard miał jednak rację, gdy opowiadał mu przy ognisku o dziwnych strojach najemnych kompanii. Kiedy widziało się, jak idą do walki ubrani niczym na święto, ze sprośną przyśpiewką na ustach; kiedy widziało się te poryte szramami gęby i ospowate twarze między rondami kapeluszy z Wieli a kołnierzami barwnych kaftanów — można było poczuć grozę. Było w tym coś makabrycznego, nierealnego. Zupełnie jak śmierć płasząca z kupcami na obrazie ze skryptorium opactwa w Vickney.

Piechurzy byli już na tyle blisko, że Kashim słyszał słowa piosenki:

Za jedno nam miejskie ciury,
Chłopki, knechty czy rycerze.
Jeśli trzeba — to każdego
Tylcem włóczy dzisiaj spierzem.

Gdy dukata miły brzęk,
Żaden nie wie, co to lęk.
Gdy dukata miły błysk,
Obijemy każdy pysk.
Daj dukatów, miły bracie,

A będziemy walczyć za cię.
Całe złoto dla chorągwi,
Los najmity to los psi.

Tu się, bracie, nie dorobisz
Zamku, skarbcza ani wsi.

Gdy dukata...

Beckenn podjechał do Brenvana i Kashima i rzekł:

— Z tego, co wiem, mają już sześćdziesiąt osiem zwrotek. Pięć nowych van Dreyck wyskrobał ubiegłej nocy, jak tylko usłyszał ten hymn. Gedhard był nimi tak rozweselony, że dał mu pięć gotrlandzkich złoćców. Na Eyul! Pięć złoćców za pięć strof, które mógłby sklecić pijany marynarz!

— Trafilo mu się jak ślepemu psu w cudzej wsi — burknął Brenvan. Jak na zawołanie, żołdacy gruchnęli:

Miejskie rajce, same zdrajce,
Jedna ich poczęła mać.
Będziem rajcom łupić skórę
I na gołych kościach grać.

Kmioty z miasta przegnać chciały,
Upuścimy więc z nich krew.
Dawaj glewie i siekiery,
Niech kmiot zna najmity gniew!

Z wizytacją przyszedł poseł
Jakoś tak przed pierwszym kurem,
Więc go z gaci obłupilim,
Wrócił wnet do domu knurem.

Gdy dukata miły brzęk,
Żaden nie wie, co to lęk.
Gdy dukata miły błysk,
Obijemy każdy pysk.
Daj dukatów, miły bracie,
A będziemy walczyć za cię.

Al'Shannagg uśmiechnął się i poprawił zapinkę płaszcza. Chwilę słuchali z Brenvanem piosenki, parskając przy co bardziej rubasznych fragmentach. Wreszcie Święty Jeździec spytał:

— Nie zamierzają tak chyba aż do samych księstw?

Beckenn pokręcił głową.

— Szybko się zmęczą, lecz na razie dodają sobie otuchy. Daleka i trudna droga przed nami.

Al'Shannagg wiedział, że to prawda. Jeśli tutejsze mapy nie kłamały, mieli jechać dalej niż z Tel'Halik do Tel'Amman. Co prawda w tym kraju podróżowało się łatwiej niż na pustyni, ale kto wie, czego mogli się

spodziewać po mieszkańcach ziem, jakie musieli przemierzyć? Porucznik Beckenn mówił, że zachowanie rajców było wręcz przyjazne w stosunku do tego, z czym zazwyczaj się spotykali. Jeśli tak, Al'Shannagg czuł, że krew się poleje, jeszcze zanim przekroczą granicę.

Rozdział 20. W Południowych Księżtwach

Krzyk mew zgrzytliwie wdzierał się w harmonię morskiego szumu. Gh'Zar spojrział z gniewem na ptaki, które z oddali wyglądały niczym strzępki białej wełny, miotane przez wiatr. To krążyły nad wodą, to wzlatywały, to znowu padały w dół, prawie jej dotykając. Nienawidził mew. Choć mieszkał w pięknym pałacu na szczycie klifu, skąd widać było zatokę i ogromny port pełen statków, choć miał ogród pełen altan i pawilonów — mewy, które były tu dosłownie wszędzie, zawsze psuły mu nastrój niemuzykalnym wrzaskiem. Gh'Zar spędził większość życia na dworze Boskiego Cesarza i nie mógł przejść nad ich istnieniem do porządku dziennego. Był zbyt wyczulony na detale, zbyt wymagający.

Zimnokrwista, stojąca obok niego i również wpatrzona w morze, zauważyła, jak gubernator krzywi się na odgłosy morskiego ptactwa.

— Jeśli tak cię drażnią, Gh'Zarze Siedem Głów, wydaj dekret, by od dziś co rano strzelali do nich wszyscy cesarscy łucznicy. Najdalej w rok wymrą, jak wiele ludów, które stanęły na drodze Boskiego Cesarza i jego urzędników.

Administrator skrzywił łuskowaty pysk i machnął dłonią.

— Nie, moja droga. Na świecie może być więcej mew, niż mamy strzał w Yauranie. Zresztą nawet gdyby ich wystarczyło, wolałbym słać je w piersi krnąbrnych ludzi zza wód. Bez sensu jest toczyć wojny z mewami, gdy w naszych rękach jest chwała Boskiego Cesarstwa. I — jeśli już o tym mowa — po to właśnie cię wezwałem, najdroższa.

Ts'Rang Seledynowy Pazur, choć była twardym wilkiem morskim i nie lękała się srogości oceanu, drżała. Zupełnie nie wiedziała, czego ma się spodziewać i dlaczego wezwał ją nowy gubernator. Była przecież w niełasce...

— Wiadomo mi wszystko o wypadku, który nastąpił trzydzieści siedem lat temu — rzekł Gh'Zar. — Uważam jednak, że ten wybryk młodzieńczej głupoty nie powinien ciążyć nad tobą do końca dni i sam Cesarz podziela to zdanie. Dlatego dostaniesz nową szansę.

Milczał chwilę z dostojną miną.

— Na początku w twoich rękach znajdzie się flota prowincji Dindź i Basr, łącznie cztery tuziny galer i osiem tysięcy ludzi. To bardzo skromna siła, wiem. Jeśli jednak spełnisz nasze oczekiwania, otrzymasz dowództwo nad moim okrętem flagowym i zostaniesz zastępcą admirała Ur'Suga.

Ts'Rang padła na kolana i podniosła do ust skrawek jedwabnej szaty gubernatora. Trzykrotnie musnęła ją końcem języka.

— Podnieś się, jesteś cesarskim oficerem, a nie niewolnikiem o ciepłej krwi — rzekł. — Nie masz za co dziękować, bo zasłużyłaś na szansę. Cesarz był łaskawy wobec mnie, więc ja mogę choć promyk jego świetlanej łaskawości przekazać tobie. Żeglarze mówią, że jesteś najlepszym kapitanem w tej prowincji, a morze to dla ciebie drugi dom.

— Panie, morze było mi schronieniem, gdy na lądzie musiałam stawiać czoło szyderstwom i złej woli — powiedziała wzruszona Ts'Rang.

— Zatem nie zawieź mnie.

Ts'Rang energicznie kiwnęła głową. Oto dobiegały końca dni jej niełaski — bardzo długie lata żalu, że tamtego feralnego dnia podjęła wyzwanie rzucone jej przez kapitana cesarskiej galery. Lata, gdy co noc w snach na nowo przeżywała moment, w którym następnego dnia, jeszcze upojona zwycięstwem, przyszła na ucztę Boskiego Cesarza, tylko po to, by mistrz ceremonii wskazał jej miejsce o kilkadziesiąt siedzeń odleglejsze od tronu niż zazwyczaj. To oraz krótkie, karcące spojrzenie, jakim obdarzył ją Żyjący Bóg, było gorsze niż wyrok śmierci. Oto popadła w niełaskę, która mogła trwać do końca jej dni.

Dziś to wszystko stało się już tylko mętym wspomnieniem. Kapitan Ts'Rang Seledynowy Pazur wiedziała, że wkrótce poprowadzi okręty przeciw szczepom ciepłokrwistych oraz ich pożałowania godnej flocie. Wszyscy zobaczą, że jest niepokonana i nieustępliwa.

*

Trzy tygodnie żołnierze parli na południe, mijając przycupnięte u stóp wzgórz miasteczka i pozornie nieskończone równiny, gdzie czasem przez kilka dni z rzędu nie można było dojrzeć śladu bytności ludzi. Szerzyły się plotki, co jest ostatecznym celem marszu, bo prawdę na razie znał tylko Gedhard oraz trzech jego najbardziej zaufanych pomocników. Do ostatniej chwili chciano trzymać władców z południa w niepewności, po czyjej stronie staną Grudgerzyngery.

Wieczorami obóz był cichy i martwy. Najmici spali po forsownej drodze, a w trakcie kampanii nawet rozpalenie ognisk wymagało zgody Gedharda.

Kashim zaczął trenować z Vailaną. Namówienie tej kobiety do markowanych walk nie było trudne, bo pałała chęcią dowiedzenia, że to ona jest lepszym szermierzem. Poza tym interesowała się sztuką Kashima tak samo mocno, jak on jej południowym stylem.

Dwudziestego drugiego dnia podróży, gdy kompania stanęła pod większym miastem, do obozu przyjechał śniadoskóry rycerz w błyszczącej, misternie zdobionej zbroi. Miał przy sobie upomadowanych giermków w jedwabnych ubraniach, którzy wzbudzili szyderstwa i docinki najmitów, podobnie jak pancernik przybysza, wyglądający, jakby miał rozpaść się przy pierwszym uderzeniu. Rycerz nie przejął się tym jednak i czym prędzej ruszył do namiotu Gedharda. W krótkim czasie adiutant kapitana wezwał tam również wszystkich poruczników. Żołnierze czekali w niepokoju, bo zrozumieli już, kim jest mężczyzna z południa, i wiedzieli, że oto wreszcie poznają cel wyprawy. Jednak zanim jeszcze skończyła się narada, po obozie lotem błyskawicy przebiegła plotka, że ktoś rozpoznał czarnego orła na tarczy rycerza i że jest to orzeł Viscontich, jednej z możnych rodzin Gedialanu. A więc to wojna przeciw Pavii oraz słynnemu Bianco Firdiniemu, którego ród ma w ręku trzy z dziewięciu największych miast południa! Doprawdy, ta wieść sprawiła, że najmici poczuli na karkach lodowate tchnienie strachu. Tym bardziej, że wedle skąpych wieści, jakie przychodziły z południa, Gedialan przegrał już jedną większą bitwę, w której padł ponoć kwiat tamtejszego rycerstwa. Obawiano się, że kompanii przyjdzie stanąć po z góry przegranej stronie.

Jeszcze tego samego wieczoru dowódcy wszystkich chorągwi potwierdzili, że za miecze Grudgeryngerów zapłaciło wolne miasto Gedialan. Jednocześnie rozwiali największe obawy żołnierzy. Pierwszym celem nie były bowiem siły Pavii, lecz jej nowy, nieoczekiwany sojusznik.

Okazało się, że kilka tygodni temu do konfliktu przyłączył się nowy gracz. Książę Luca de Turi, który choć podległy radzie parów, bardziej sympatyzował z ziemiami południa, został namówiony przez Firdinich do wzięcia udziału w wojnie po ich stronie. Zebrał u boku sporą grupę rycerzy z południowego Learfeld, po czym wyruszył na wojnę. Z początku myślano, że jego celem jest Daradia, lecz szpiedzy wkrótce donieśli dożom Gedialanu, że w rzeczywistości Luca ma połączyć się z siłami księcia Bianco pod Pavią, a dopiero potem, zgniówszy Gedialan, ruszyć w stronę środkowych księstw. Tak więc to właśnie z Luca mieli zetrzeć się w pierwszej kolejności najmici i musieli zrobić to szybko — nim jego armia połączy się z sojusznikami.

*

Wkrótce po tym kompania zaczęła zbaczać nieco na zachód. Marsz stawał się bardziej mozolny, słońce bowiem z dnia na dzień grzało coraz mocniej. Wkrótce Kashim czuł się niemal jak w Ocalonej Krainie, tak wielki żar lał się z bezchmurnego nieba. Kolumna wojska, maszerująca przez rozległe równiny, była jak robaki pełzające po rozgrzanej patelni. Niektórzy rycerze słabli zamknięci w ciężkich zbrojach i pod grubymi przeszywanicami, dziesiątkowi jednak surowo zabraniali zdejmować choć części pancerzy. W każdej chwili spodziewano się bitwy, a przepatrywacze w dzień i w nocy patrolowali skrzydła maszerującej kompanii, jeżdżąc wokół niej w promieniu kilku mil.

Kashim z ciekawością obserwował, jak w każdej kolejnej miejscowości coraz więcej było śniadoskórych ludzi i coraz częściej mówiono w obcym mu, południowym języku. Zmieniała się też architektura, tutaj bowiem domy z nieciosanego kamienia, tak charakterystyczne dla Learfeld, uznawano za wymysł barbarzyńców. Domostwa miały bielone wapnem ściany, były też przeważnie zbudowane z cegieł, które na północy wielu wciąż jeszcze uważało za dziwactwo. Al'Shannagg nie miał jednak okazji, by swobodnie zwiedzić choć jedno z miasteczek, ponieważ kompania przemieszczała się od świtu do zmierzchu. Poza tym mieszkańcy południa patrzyli na najmitów z nienawiścią jeszcze większą niż ta, jaką dało się zobaczyć w Learfeld. Beckenn wytłumaczył Kashimowi, że od lat księżęta najmują do swoich wojen zaciężne wojska, które nie raz wślawiły się już rozbojami, a po zakończeniu służby, zamiast opuścić księstwo, długo jeszcze rabowały mieszkańców. Zdarzało się nawet, że kilka miast musiało zawrzeć sojusz przeciw szczególnie wojowniczym bandom najemników albo że któryś z ich przywódców zostawał na krótki czas księciem.

Wkrótce kompanii przyszło przeprowiać się przez najszerszą rzekę, jaką Kashim widział w życiu. Mosty spinały jej odległe brzegi tylko w górnym biegu i w mieście Andawa, które leżało u brzegów oceanu. Stąd niemal dwa dni przerzucano cały oddział wraz z wozami i aprowizacją za pomocą małych promów. Za rzeką ziemie były już znacznie ludniejsze, dało się też spostrzec oznaki wojny — spalone wsie, tłumy uchodźców tarasujących drogi, przydrożne szubienice przyozdobione gnijącymi ścierwami maruderów i bandytów oraz domniemanych szpiegów. Nie było teraz dnia, by do obozu nie przyjeżdżali posłańcy od różnych władców i gońcy z raportami szpiegów, których Gedhard przezornie rozesłał wcześniej po wszystkich księstwach.

Raporty te były niepokojące. Ponoć de Turi miał przy sobie stu herbowych, w tym tak słynnych, jak Sigfried von Holtzer czy Marco de Ardi, zwany przez lud „czarnym rycerzem”. Za nimi zaś ciągnęło przeszło pięć setek lancknechtów oraz dwie chorągwie wyśmienitych learfeldzkich łuczników. Z tą siłą nawet Grudgerzyngery nie mogli równać się w polu, mimo że Luca de Turi nie miał doświadczenia w kierowaniu wojskiem, a ponadto młodzieńcem był niezbyt bystrym, rozmiłowanym w rycerskich romansach. Swój dwór zmienił ponoć w wielki teatr.

Tak więc gdy po kilku kolejnych dniach zwiadowcy donieśli, że armia księcia znajduje się już niedaleko, Gedhard nie myślał nawet nad wydaniem mu walnej bitwy, lecz zaczął żmudne podchody. Kompania kluczyła wąskimi drózkami, a czasem nawet przedzierała się przez lasy i podmokłe pola, podczas gdy zwiadowcy dbali o to, by nie zbliżyć się za bardzo do wojsk księcia. Doszło do pierwszych starć między patrolami Gedharda a przednią strażą de Turi i po obu stronach byli zabici. Al’Shannagg każdego wieczoru patrzył z niepokojem, czy Vailana wraca z patrolu, bowiem podczas długich wspólnych treningów i rozmów zaczął się do niej przywiązywać.

Po trzech dniach żmudnych manewrów cierpliwość Gedharda została nagrodzona. Wieczorem zdyszany goniec doniósł, że kolumna wroga podzieliła się, a przyczyny tego wprawiły Kashima w osłupienie. Otóż księżę od dłuższego czasu nakazywał rycerzom prowadzącym grupy zwiadowcze, by nie wkładali zbroi i nie brali ze sobą sztandarów. W ten sposób nie splamiliby honoru stanu rycerskiego ani własnego herbu, gdyby przyszło im wycofywać się w obliczu przeważających sił wroga. Księżę hołdował najbardziej radykalnym wersjom rycerskiego kodeksu, wedle którego herbowemu należało raczej umrzeć niż się cofnąć przed wrogiem.

Tego dnia Luca de Turi wpadł jednak w sidła własnych zasad. Przypadkiem minąwszy wraz z orszakami wieś, gdzie kwatremistrzowie przygotowali mu nocleg, stanął przed wyborem — albo cofnąć się, co oznaczało oddanie przeciwnikowi ziemi, którą już osobiście zajął, albo też nocować w polu, kawał drogi od wsi. Księżę zdecydował się na to drugie, a większość rycerzy uznała za słuszne dotrzymać mu towarzystwa. W ten sposób rozbito dwa oddalone obozy — w jednym zostali lancknechci, łucznicy i nieco rycerstwa, w drugim prawie sama szlachta.

Kapitan Gedhard zrozumiał, że druga taka okazja może się nie powtórzyć. Tej nocy Grudgerzyngery niewiele spali, zmierzając forsownym marszem w stronę wroga. Gdy nad wsią Buisson, gdzie zatrzymała się

większość żołnierzy de Turi, zaczęło powoli wschodzić słońce, najmici byli już od dłuższego czasu na pozycjach, marznąc w porannym chłodzie.

Tak nastał dzień pierwszej bitwy Grudgerzyngerów w tej kampanii — bitwy, która dla wielu miała okazać się ostatnią.

*

Spomiędzy drzew widać było wyraźnie długą kolumnę piechurów, która szła przez pole. Konie niepewnie przestępowały z nogi na nogę, Kashim zaś podsunął się nieco do przodu, tak by perlące się rosą liście nie przesłaniały mu widoku. Wrogów była dobra setka. Szli powoli, jeszcze rozleniwieni wczesną pobudką, z partyzanami opartymi o ramiona. Część miała też topory i szerokie północne tarcze. Wschodzące słońce odcisnęło na każdym ostrzu i hełmie jasnoczerwone znamię. Ludzie zdawali się płynąć nad ziemią, bo ich nogi niemal do kolan znikały w ciężkich oparach, których nie zdążyło jeszcze rozproszyć ciepło poranka.

Beckenn tarł w milczeniu brodę. Tego się nie spodziewał. Wedle dotychczasowych raportów, wojska De Turi ruszały w drogę dopiero grubo po wschodzie słońca, ponieważ rozleniwieni rycerze nawet na wyprawie wojennej nie wyobrażali sobie wcześniejszej pobudki. Cóż więc robił ten znaczny oddział, który przed świtaniem wyruszył z martwej i uśpionej wsi? I choć porucznik cieszył się, bo oto dostawał jak na półmisku niedużą, pozbawioną wsparcia grupę wroga, martwiło go również, że ten dziwny pochód całkiem psuł plany.

Jeszcze w nocy zwiadowcy Gedharda obadali dokładnie teren wokół wsi i między jednym obozem a drugim. Książę Luca wraz z niemal dwiema setkami ludzi rozłożył się obozem na rozstajnych drogach, oddalonych o krótką przejażdżkę od wsi. Dzieliła go od niej wąska podkowa lasu, wygięta w stronę Buisson, a także niedawno zaorana ziemia, która stanowiła środek podkowy. Przez pole, gdzieniegdzie przecięte płotem czy wąskim rzędem drzew, przebiegała ukośnie droga, zagłębiona w wypłukanym przez wodę, głębokim jarze. Kapitan van Eiser postanowił wpierw uderzyć na księcia i jego przybocznych. To zadanie otrzymała chorągiew sztandarowa oraz chorągwie trzecia, czwarta i piąta, składające się z pikinierów, zwendarh oraz toporników i kuszników. Gedhard wiedział bowiem, że najgroźniejszym przeciwnikiem rycerza nie jest drugi rycerz, lecz trzech knechtów z dwuręczną bronią. Pochodził w końcu z Gotrlandu, a właśnie tam szlachta i stare sposoby walki poczęły tracić na znaczeniu, w miarę jak miasta utrzymywały coraz większe kontyngenty zbrojnych. Razem z Gedhardem

pojechało kilku rycerzy z pierwszej chorągwi, aby w razie czego byli pod ręką herbowi, mogący brać innych rycerzy w niewolę wedle praw kodeksu. Pierwsza oraz druga chorągiew otrzymały jednak inne zadanie: zająć dogodne pozycje między wsią a obozem księcia i dbać o to, by reszta armii nie przysłała mu z pomocą. Tu właśnie znaleźli zastosowanie pancerni jeźdźcy — na szerokim polu byli groźną bronią przeciwko pieszym, a mając pod dostatkiem miejsca na manewry, mogli bardzo długo opóźnić marsz nawet wielkich sił.

Beckenn wnet się zorientował, że najlepszym stanowiskiem dla oddziału będzie las obok jaru, bo tam mogliby spaść niespodziewanie na wrogów, rozdzielonych przez szeroką rozpadlinę. Jednak jeszcze nim zobaczyli jar, Vailana przypędziła ze środka pola z wieścią, że duża kolumna pieszych właśnie przebyła jar i idzie w stronę szczytu podkowy. Jeźdźcy sprawnie schowali się do lasu, Beckenn zaś walczył sam ze sobą, nie wiedząc, co zrobić. Jeśli rozpoczną teraz walkę, to odgłosy mogły dolecieć aż za las i zaalarmować obóz. Jeśli nie, ukrytym na pozycjach do ataku ludziom kapitana wróg dosłownie wejdzie na plecy.

Wreszcie uznawszy, że nie ma innego wyjścia, porucznik zdecydował o ataku. Posłał gońca do piechurów, którzy stali w głębi lasu, i nakazał im, by natychmiast zajęli miejsca tuż przy jarze. Musiał mieć pewność, że w trakcie walki kolejne oddziały nie przeprawią się przez przeszkodę.

Wkrótce, gdy las rozbrzmiał cichymi stukami mieczy i szczękami kolczug, a druga chorągiew zniknęła w zaroślach, jeźdźcy przygotowali się do ataku. Rycerze włożyli hełmy, odtroczyli kopie. Beckenn ustawił wszystkich w szeregu tuż przy granicy drzew.

— Uważajcie — rzekł cicho. — Jest ich więcej. Nawet jeśli połowa zginie w pierwszym ataku, przyjdzie nam trochę powalczyć. Uważajcie na plecy, nie chcę strat. Dzisiejszy dzień będzie długi.

Piechurzy de Turi, powłócząc nogą za nogą, pełzli tymczasem powoli przez pole. Byli tak zaspani, że gdy z granicy lasu rozległ się gromki ryk, początkowo gapili się w zdziwieniu na żelazną ścianę, która nagle zjawiała się przy drzewach i teraz pędziła w ich stronę, najeżona czubkami kopii. Dopiero po dłuższej chwili, kiedy jazda pokonała третią część drogi, dowódcy piechurów zaczęli pośpiesznie formować szyk. Może do tej pory łudzili się, że to tylko kolejny figiel ich księcia, lubującego się w pozorowanych walkach i atakach? Wszelkie wątpliwości rozwiązała jednak chorągiew, która rozpostarła się nad oddziałem: dwugłowy smok Grudgeringerów siedzący na

symbolach pierwszej chorągwi — mieczu i hełmie.

Kashim pędził w drugim rzędzie jeźdźców, zaraz za Brenvanem. W dłoni ścisnął mocno szablę, żałując teraz, że sam nie ma kopii albo włóczni. Jednocześnie z obawą spoglądał na wrogich knechtów, którzy już przykucnęli, zanurzając się w oparach po pas, i skierowali w stronę szarżujących wszystkie ostrza, jakie mieli. Kilku z nich — widać w myślach rozstrzygnęli już wynik starcia — oderwało się od tyłu szeregów i pobiegło w pole. Sierzanci byli tak skupieni na nadjeżdżającym wrogu, że nawet tego nie spostrzegli.

Z hukiem i zgrzytem dartej metalu, niosącego się daleko nad lasem, najemni rycerze wpadli na rzędy knechtów. Rozległy się pierwsze agonalne wrzaski i krzyki rannych. Kashim, choć przyzwyczajony do konnej walki, był zdumiony impetem tej szarży. Rycerze dosłownie stratowali pierwsze szeregi, wbili się w nie jak żelazny kolec w miękkie ciało. Ci, którzy dostali się pod kopie, nadziewali się na nie aż do połowy, mimo kirysów i kolczug. Ale i partyzany zniosły kilku jeźdźców z siodła z siłą tak wielką, że nawet gdyby przeżyli sam cios, nie mogli przeżyć upadku druzgoczącego wszystkie kości.

Skruszywszy kopie, rycerze dobyli ręcznej broni i w ten sposób zaczęła się walka bardziej znajoma Kashimowi. Krążył na koniu między piechurami, ciął i kłuł, od czasu do czasu wspierając się darem, bo w chaosie bitwy i tak nikt nie miał prawa tego zauważyć. Al'Shannagg dziękował też Jedynemu za to, że jeszcze przed opuszczeniem Learfeld udało mu się kupić kropierz i przyzwyczaić do niego konia. Teraz bowiem co najmniej dwa razy, gdy wokół robiło się gęsto od ludzi i ostrzy, ktoś uderzał jego wierzchowca po bokach.

Kashim starał się manewrować i nigdy nie walczył z więcej niż jednym przeciwnikiem, inaczej niż learfeldzcy rycerze, którzy jakby tknięci obłędem, wierząc w swoją wielką przewagę nad prostymi żołnierzami, pchali się w każdą grupkę wrażej piechoty. Inna sprawa, że zadawane z wysokości konia ciosy ogromnych mieczy pozwalały znacznie szybciej powalać wrogów, niż mógł to robić Al'Shannagg za pomocą szabli.

Starcie ciągnęło się długo, bo piechurzy, choć w pierwszej szarży ponieśli bolesne straty, nie zamierzali się wycofywać. Dopiero po kilku ładnych chwilach Święty Jeździec zdał sobie sprawę, że wokół robi się coraz luźniej. Ziemię zaścielały trupy, tu i ówdzie zmagaly się grupy zbrojnych, lecz bitwa rozlaża się, rozrzedziła.

I wtedy Kashim zobaczył coś dziwnego. Po polu, między walczącymi, śmigały brązowe kubraki zwiadowców. Wyglądało na to, że czegoś szukają. Wśród nich była Vailana, podjeżdżała do każdego rycerza, krzyczała coś głośno, lecz jej słowa ginęły w hałasie. Na twarzy miała wściekłość pomieszana ze strachem. Al'Shannagg przebił szyję topornika, który zamierzył się na nogi jego konia, po czym spiął zwierzę ostrogami i dopadł do Vailany.

— ... stronie... Beckenn?! — krzyknęła.

Kashim zdołał z dwóch zdań zrozumieć jedynie dwa słowa. Dał znak, że nie słyszy. Vailana, upewniwszy się, czy wokół nie ma żadnych wrogów, podjechała blisko i nachyliła mu się do ucha.

— Kolejny oddział jest już po tej stronie, a druga nie doszła jeszcze na pozycję. Gdzie jest Beckenn?

Al'Shannagg wzruszył ramionami, lecz w tym momencie któryś z brązowych kubraków zamachał do Vailany, oderwała się więc od Kashima i pognąła ku niemu, roztrącając po drodze dwie grupki walczących. Al'Shannagg, zamiast pomóc towarzyszom, popędził za nią.

Wkrótce okazało się, do czego wzywał ją zwiadowca. W płytkiej bruzdzie spoczywał martwy Beckenn ze swoim koniem, obaj skłuci ostrzami spis. Kashim nie zastanawiał się długo. Zeskoczył z siodła i porwał nieduży, okuty srebrem róg porucznika. Beckenn uczył swoich jeźdźców długiej listy sygnałów i Kashim pamiętał dość dobrze większość z nich. I choć nie potrafił grać na rogu, umiejętności nie były mu w tym wypadku potrzebne. Po prostu rozkazał, by róg wydał odpowiedni dźwięk.

Krótki, rwany sygnał „do mnie” przeleciał nad dogasającym polem bitwy. Rycerze spoglądali z niejakim zdziwieniem na Al'Shannagga, lecz ci, którzy zapędzili się daleko za uciekinierami, już zawracali, a ci, którzy wzięli się już do rabowania ciał, zrywali się i gnali do koni, po drodze pomagając towarzyszom dobić ostatnich walczących knechtów. Wkrótce cała kompania zjechała się w okolice bruzdy. Rycerze byli pokrwawieni, wielu miało uszkodzone zbroje, a kilku straciło wierzchowce. Do Kashima zbliżył się podporucznik, kawaler Aam Derin, który do tej pory walczył na drugim krańcu oddziału. Choć twarz miał paskudnie rozbitą ciosem drzewca, wysłuchał spokojnie słów Vailany, po czym rzekł głośno:

— Ruszamy natychmiast do jaru! Heiner, Kleiz — pędźcie do drugiej i przekazcie im, żeby wyciągali nogi. Jeśli dalej będą się tak wlec, pół sił de Turi przejdzie, nim tam dotrą.

Zwiadowcy pogalopowali w stronę lasu, reszta kompanii zaś ruszyła co koń wyskoczy w stronę nowego wroga. Spieszonych zostawiono z tyłu, liczyła się każda sekunda. Al'Shannagg zdołał w pędzie zamienić kilka słów z Brenvanem. Aam Caerleigh był rozpalony bitwą i choć czyjś topór wgniótł mu mocno naramiennik, tak że folgi zacięły się i blokowały nieco ramię, rwał się do dalszej walki.

W oddali dostrzegli ciemną smugę jaru oraz przeciwników. Duża grupa zbrojnych formowała szyki po tej stronie, pod drugiej zaś majaczyło jeszcze więcej sylwetek. Słońce stało już w pełni nad horyzontem, mgły rozwiewały się.

— Naprzód! — krzyknął Aam Derin, wznosząc miecz o pofalowanej głowni.

Odpowiedział mu gromki ryk, gdy jeźdźcy rzucili się do drugiej tego dnia szarzy. Tym razem było ich nieco mniej i tylko nieliczni zachowali jeszcze kopie, a na dodatek lekko ranne konie zostawały w tyle. Mimo to rycerze nie stracili animuszu, zwłaszcza że piechurzy, którzy dopiero wygrzebali się z jaru, byli ogromnie zaskoczeni atakiem.

Al'Shannagg znów był w sercu bitwy, siekąc wściekle na lewo i prawo. Starał się trzymać blisko Brenvana, lecz ten nagle gdzieś zniknął i Kashim bił się, mając u boku jakiegoś ciemnowłosego rycerza. Wkrótce ten został ściągnięty z siodła i nagle okazało się, że Al'Shannagg widzi już wokół tylko wykrzywione wściekłością twarze wrogich piechurów. Opędzał się od nich szybkimi ciosami szabli, lecz jeden uderzył ciężkim kordem w nogi konia. Zwierzę upadło z kwikiem, a Kashim ledwo zdołał zeskoczyć z siodła. Nie miał nawet czasu zobaczyć, jak poważne są obrażenia wierzchowca, bo zaraz obkoczyło go czterech knechtów, pewnych, że spieszony rycerz to łatwy łup. Omylili się bardzo, gdyż w pieszym starciu Kashim czuł się znacznie lepiej niż na siodle. Błyskawicznie, po pięknym zwodzie, rozplątał jednemu szyję, a gdy reszta napała, by zdławić go samą liczebną przewagą, cofał się umiejętnie, utrzymywał dystans, mając jednocześnie oczy dookoła głowy, tak by kierować się ku swoim. Gdy nagłym wypadem zabił kolejnego knechta, a ten na chwilę uwięził jego ostrze, dwóch pozostałych rzuciło się do przodu. Al'Shannagg byłby w poważnych tarapatach, gdyby nie to, że z boku wystrzeliła Vailana. Jej shiavona przebiła jednego z wrogów.

Od tego momentu bili się razem. Vailana okazała się zupełnie innym żołnierzem niż Brenvan. Ten szalał w sercu bitwy, nie patrząc na przyjaciół i sojuszników. Widział tylko kolejnych wrogów i, podobnie jak większość

rycerzy, pragnął jedynie kolejnego nacięcia na rękojeści swego miecza.

Vailana walczyła ostrożnie i przebiegle. W każdej chwili, nawet gdy zmagala się z dwoma przeciwnikami, wiedziała, co jest wokół niej. Jak daleko są przyjaciele, jak blisko kolejni przeciwnicy. Gdy przyszło jej stać bok w bok z jakimś rycerzem, chroniła go swoim ostrzem, w pełni wykorzystując to, jaką w zamian zapewniał ochronę. Z Kashimem, równie uważnym i precyzyjnym, tworzyli naprawdę przerażający duet. Wirowali po polu bitwy jak roztańczona śmierć. Te dwa szybkie ostrza, poruszane rękami zdolnych szermierzy, potrafiły stworzyć ścianę, przez którą nie mógł się prześlizgnąć żaden wrogi cios. Nie dało się też owej ściany obejść, bo szermierze chronili nawzajem swoje plecy — tam, gdzie nie było szabli Kashima, pojawiała się shiavona Vailany, i na odwrót.

Wkrótce okazało się, że i tym razem ciężkozbrojni rycerze zyskują coraz większą przewagę. Piechota wykruszała się powoli, a pod naporem najmitów wielu wpadało lub zeskakiwało z powrotem do jaru. Al'Shannagg nie miał czasu dokładnie tego obserwować, bo na niego i Vailanę rzuciło się właśnie kolejnych trzech wrogów. Jednakże świadomość, że jego towarzysze wygrywają sprawiła, że serce kołatało mu nieco mniej, a dłonie już się tak nie pociły.

Przynajmniej do momentu, gdy zobaczył, jak obok jego buta wbija się w ziemię białopióra strzała. Spojrzał na nią przelotnie, myśląc, że to jeden z piechurów po drugiej stronie wyciągnął jakiś mały łuk. Jednak gdy zaraz potem nieopodal padły kolejne pociski, i Kashim, i Vailana zamarli. Al'Shannagg dopiero teraz spostrzegł, że po drugiej stronie do jaru zbliża się szeroka tyraliera łuczników. I choć byli jeszcze daleko, strzelcy mający najbardziej nośne łuki już przystawali co jakiś czas, by wypuścić pocisk.

Na polu bitwy zapanował chaos. Knechci de Turi zaczęli pierzchać do jaru, żeby nie dostać się pod strzały własnych sojuszników. Kilku ciężkozbrojnych ruszyło w pościg, pozostali zaś chwilę stali zdezorientowani. Ci, którzy potracili konie, nie wyobrażali sobie pieszej ucieczki przed lżej odzianymi łucznikami, reszta zaś zastanawiała się, czy forsować jar, czy uciekać. W tym kluczowym momencie zabrakło dowódcy — pech bowiem sprawił, że Aam Derin leżał już z głową rozbitą toporem. Dlatego gdy strzały zaczęły spadać gęściej, ludzie zsuwali się coraz szybciej po stokach wąwozu, by w ten sposób wyjść z pola rażenia.

I choć Al'Shannagg czuł, że pędzą tam na swoją zgubę, nie mógł nic zrobić. Gdyby został na górze, jako samotny cel miałby szansę przeżyć

najdalej kilka chwil. Zbiegł więc szybko po stoku wraz z Vailaną, przeskakując zbroczone trupy, których krew zmieniła suchą glebę w błoto. Modlił się w myślach do Jedynego, bo wiedział, że pierwsza chorągiew może nie wyjść cało z tej opresji.

*

Sierżant Rocco Beladi, dowodzący kompanią długich łuków, nie był gołowąsem i nie szedł do bitwy pierwszy raz w życiu. Widział, ilu ludzi wpadło do jaru, i wiedział, że na wypadek, gdyby uznali za stosowne stamtąd wybiec, lepiej być wystarczająco daleko. Ustawił swoich żołnierzy w tyralierę sto kroków od brzegu, a potem posłał tylko dwie małe grupki, by wystrzelały uwięzionych.

Zobaczywszy to, Vailana zsunęła się na dno jaru i przecisnęła w tłoku do Kashima.

— Siedzieć tu to pewna śmierć! Musimy dalej napierać.

Al'Shannagg skinął głową. Poszukał wzrokiem dziesiętników, lecz ci albo nie żyli, albo byli równie zdezorientowani jak reszta. Krzyknął więc:

— Przygotować się do ataku! Rozciągnijcie linię i podpełznijcie pod samą krawędź. Na mój znak wychodzimy. To sto stóp, ale jeśli bogowie się nami zaopiekują, rozbijemy ich.

— A jakim prawem ty dowodzisz, kawalerze? — spytał jakiś wysoki, chudy jak tyka rycerz.

— Bom najwyżej z was urodzony. Jestem księciem krwi z krain dalekiego zachodu.

Między rycerzami przeszedł pomruk.

— Już, na pozycje! — ryknął Al'Shannagg. — Nie ma czasu do stracenia! Konie zostawcie, nie wejdą z powrotem pod górę.

Brenvan patrzył ze zdziwieniem, jak dumni panowie z Learfeld uwijają się, by wykonać rozkaz obcokrajowca. Musiał jednak przyznać, że Kashim, ze zdjętym hełmem, miotający na lewo i prawo groźne spojrzenia i marszczący czarne brwi, istotnie wyglądał niczym księżę-wojownik.

Gdy wszyscy dopełzli już pod sam szczyt stoku, Kashim wystawił ostrożnie głowę. Kilkunastu łuczników było ledwie dwadzieścia stóp stąd, lecz pozostałych kilkudziesięciu stało daleko w równym szeregu.

— No i pięknie! — szepnął Kashimowi Brenvan, który położył się z jego prawej strony. — Trzeba nam bogów prosić o zmiłowanie. Wiesz, ile szypów zdążą wypuścić learfeldzcy łucznicy, nim pokonamy tę odległość?

— Nie mamy innego wyboru — odparł Kashim.

Vailana zjawiała się po jego drugiej stronie, położyła mu dłoń na ramieniu i rzekła cicho:

— Gdyby któreś z nas padło, człowieku południa, wiedz, że...

Oczy jej zaśniły, przez twarz przebiegł wąty uśmiech.

— Że dobrze mi się z tobą walczyło. I że jesteś najlepszym szermierzem, jakiego znam.

Al'Shannagg tylko skinął głową, zbyt skupiony na obserwowaniu pola, by wyczuć pewną subtelną nutę w jej głosie. Wstał i krzyknął głośno:

— Do przodu!

— Do przodu, na bogów! Grudgeryngerzy, za honor kompanii! — podjęła reszta.

I wystrzelili z jaru na pole. Niemal natychmiast posypały się na nich strzały, z początku niezbyt celne, z każdym przebiegniętym krokiem jednak coraz bardziej zabójcze. Na szczęście grupka wysuniętych do przodu łuczników, zamiast strzelać, odwróciła się plecami i pierzchała co sił w stronę własnych szeregów. Widać learfeldzcy strzelcy nie chcieli przyjąć na siebie szarży kilkudziesięciu zdesperowanych, pieszych rycerzy z ciężkimi broniami.

Kilka pocisków świsnęło wokół Kashima. Bardziej jednak niż o siebie bał się o Vailanę, a potem o Brenvana. W tej właśnie kolejności, choć to z nim spędził długie miesiące i z nim więcej go łączyło. Tak mocno modlił się, by nic nie stało się kondotierce, że gdy trafiła go strzała, zdziwił się tylko, zupełnie jakby nie dopuszczał możliwości, że to on mógłby paść ofiarą białopiórej śmierci.

Ból pojawił się dopiero po kilku krokach, gdy pod Kashimem załamały się nogi.

Świat zawirował niespodziewanie, ziemia podskoczyła i uderzyła go w bok. Poczul, że leży w lepkiej glebie. Okropny ból łomotał w biodrze, wyduszał z płuc powietrze i odbierał zmysły. Al'Shannagg mimo to obrócił się, by napotkać pełne rozpaczę spojrzenie Vailany, która w tej chwili wykręciła ku niemu głowę. Ale najmitka wiedziała, jakie są prawa wojny. Nie zatrzymała się, pędząc dalej ku wrogim łucznikom.

Kolejna strzała wbiła się w ziemię tuż obok ręki Al'Shannagga. Spróbował chwiejnie wstać, lecz osunął się bezsilnie z gardłem zdławionym przez ból. Jak przez mgłę usłyszał jeszcze jeden bojowy krzyk. Krzyk dochodzący daleko z lewej, od strony lasu. Potem zdążył tylko popatrzeć na swoje biodro, z którego sterczało drzewce strzały, i stracił przytomność.

Rozdział 21. Człowiek z wysokich gór

Korytarze fortecy były martwe. Od wielu tygodni nikt nie chodził po jej salach, nikt nie otwierał spiżowych wrót, które wiodły do dziwnych, zapomnianych przez bogów i ludzi miejsc. Błyszczące niegdyś podłogi oraz wspaniałe płaskorzeźby pokrywały się wolno warstwą kurzu. Jeśli w jednej z sal kropla wody spadała z sufitu, jej odgłos jak grzmot przewalał się przez całą fortecę.

Miejsce to nie było jednak do końca wyludnione. Jedna osoba siedziała nieruchomo w głównej kaplicy. Otoczona przez rzeźby starsze niż pierwsi ludzie, wbijała wzrok w ołtarz, który był tylko idealnie równym sześcianem ciemnego granitu. Ktoś mógłby zrazu powiedzieć, że ta ciemnowłosa, blada jak śmierć kobieta modli się lub rozmyśla. Gdyby jednak popatrzył uważnie, zorientowałby się, że za tą kamienną twarzą, za tym pustym wzrokiem nie kryje się nic poza bezmyślnym trwaniem. Tak też było w istocie. Kobieta upodobniła się do kamiennych ław i ołtarza.

Kiedy już zdawało się, że nigdy nie wstanie z miejsca, niespodziewanie drgnęła. Dalekie, nieme wołanie przedarło się do jej uszu. Z początku próbowała je ignorować, lecz nie mogła się skupić. A wołanie stawało się coraz silniejsze.

Wreszcie Eyul wstała. Biała koszula zaszumiała cicho, gdy kobieta obróciła się i ruszyła ku wyjściu z kaplicy. Jej krok był szybki, pełen złości. Przebiegła dwoma korytarzami i stanęła na progu sali, której środek zajmowała nieduża fontanna. Eyul podeszła do jej krawędzi. Odgłos bosych stóp mnożył się w tysiąc dźwięków odbitych od ogromnej kopuły wysoko w górze.

Usiadłszy na kamiennym brzegu, bogini pochyliła głowę ku wodzie. Jej powieki były zamknięte. Na gładkim lustrze powoli zaczął się klarować obraz męskiej twarzy, wykrzywionej bólem, zaczerwienionej od gorączki i obsypanej kroplami potu. Eyul, nie rozwierając oczu, zdawała się patrzeć na nią długą chwilę. Choć próbowała zachować cały swój chłód i grobowy spokój, nie mogła stłumić uczucia żalu pęczniejącego w sercu.

Czy tak musiało być? Czy rzeczywiście ona i jej rodzeństwo byli skazani od chwili stworzenia? Czy naprawdę nie mogli po prostu odciąć się od ludzkich spraw i zamiast w ziemię — domenę ludzi — spojrzeć w wieczną

próżnię i poszukać mądrości pustki, która była domeną bogów?

Tymczasem twarz mężczyzny skurczyła się w kolejnym spazmie. Eyuł powoli i bez słowa przyłożyła opuszki palców do powierzchni wody i zaczęła szeptać ciche, iskrzące mocą słowa.

*

Dzień należał do Grudgeryngerów. Choć w pewnym momencie pierwszej chorągwi groziło unicestwienie, druga zdążyła nadejść z odsieczą, a w tym czasie reszta kompanii zdobyła obóz, biorąc do niewoli zarówno księcia de Turi, jak i wielu znamienitych rycerzy. Gdy Gedhard policzył, ile zyska za nich okupu, przykazał, by każdemu członkowi kompanii wypłacono dwa złołce nagrody, podoficerom zaś i szlachlicom osiem złołców. Nic dziwnego, że wśród najmitów zapanowała radość, choć były też powody do smutku. Przeszło pięćdziesięciu ludzi straciło życie pod Buisson, a dalszych trzydziestu leżało rannych.

Jednym z nich był Kashim Al'Shannagg. Wieczorem po bitwie, gdy przy ogniskach świętowano zwycięstwo, on leżał na wozie badany przez zatroskanego medyka. Obok stali Vailana, Brenvan i van Dreyck, śledząc z zatroskaniem każdy ruch lekarza.

Wiadomości nie były pomyślne. Strzała wbiła się pod kątem w bok i choć nie naruszyła trzewi, przeszła miednicę, druzgocząc jej krawędź na kawałki, które z kolei porozrywały mięśnie i żyły. Bok Al'Shannagga napuchł krwią i posiniał, choć wyciągnięto już drzewce. Medyk ostrzegł, że tylko co trzeci człowiek przeżywa podobne obrażenia. Gdy odszedł, Brenvan próbował pocieszać Vailanę i trubadura. Wiedział przecież, że Kashim nie jest zwykłym człowiekiem i potrafi znieść niewyobrażalnie dużo, czego przyjaciel nieraz już był świadkiem

Jednak następne dni zdały się potwierdzać słowa lekarza. Podczas gdy kompania parła w stronę równin Pavieri, Kashim coraz szybciej gasł. Dopadła go gorączka, a z rany zaczęła się sączyć smrodliwa ciecz. Brenvan oraz Vailana byli tak zmartwieni, że przeszła mimo ich uwagi wieść z południa, która uradowała najemników. Otóż słynny rycerz Bianco Firdini nie żył. Otruł go skrytobójca, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa był na usługach Gedialanu. Nie wykluczano jednak możliwości, że to jacyś starzy wrogowie Firdiniego postanowili wyrównać rachunki, korzystając z wojennej zawieruchy. Tak czy inaczej, wódz połączonych sił Pavieri oraz rodziny Firdinich leżał na marach, a nad jego ciałem od razu wybuchły przepychanki i walki o pierwszeństwo. Pavianie byli głęboko przekonani, że to obywatel

ich miasta powinien dowodzić teraz armią i poprowadzić ją do dalszych ataków. Poseł rodu Firdini nakazał im jednak czekać, mówiąc, że Bianca zastąpi jego starszy brat, który na razie był jednak daleko. Wśród niesnasek oraz intryg ofensywa Pavii się załamała. Gedialan zyskał szansę na przegrupowanie i chwilę wytchnienia, Grudgerzyngery zaś zamiast pod Pavię skierowali się ku wysokim murom Gedialanu.

Wkrótce wszyscy ranni spod Buisson albo ozdrowieli, albo poumierali. Został tylko Kashim, który od kilku dób konał na wozie, oblewając się potem. Wreszcie medyk zaczął dawać Gedhardowi do zrozumienia, że należałoby skrócić cierpienia obcokrajowca. Kapitan nie był człowiekiem kruchego serca, lecz odmówił. Miał wobec Kashima własne plany.

Kompania tymczasem mijała gęsto zaludnione ziemie, pełne miasteczek z szarego kamienia, wsi oraz folwarków. Kiedy na horyzoncie ukazały się wieże Gedialanu, a za nimi gruba, błękitna linia morza, nadszedł przełom w chorobie Al'Shannagga. Gorączka spadła, dreszcze ustąpiły. Z początku przyjaciele wzięli to za zły omen, bo tak bywało czasem z chorymi tuż przed śmiercią. Ale gdy przy następnej zmianie opatrunku medyk nie znalazł na ranie ani odrobiny ropy, wszyscy zrozumieli, że Święty Jeździec wraca z krainy zmarłych.

*

Pokoik o jasnych ścianach był urządzonej prosto, ale schludnie. Nieopodal łóżka stała okuta żelazem komoda z ciemnego drewna, obok niej zaś skrzynia, która służyła jako siedzisko. Okno było szerokie. Tak szerokie, jak to nigdy nie zdarzało się na chłodnej północy. Najlepszy był jednak widok z okna. Ponad spiętrzonymi, białymi ścianami kamienic i dachami z czerwonej dachówki było widać port oraz bezkresne morze, na którym od czasu do czasu pojawiał się żagiel gedialańskiej galery. Wiatr nawiewał stamtąd słony, świeży zapach wody.

Kashim czuł go pierwszy raz w życiu. I pierwszy raz w życiu oglądał spienione fale, bo gdy jeszcze mieszkał w Tel'Halik, nigdy nie zdarzyło mu się zajechać na wybrzeże. Całymi dniami podziwiał zatem widok, tym bardziej że był jeszcze zbyt słaby, żeby wstać o własnych siłach, nie mówiąc już o opuszczeniu pokoju.

Od siwego medyka, który go pielęgnował, Al'Shannagg dowiedział się, że jest w mieście już dobrych kilka dni, a leży w starych barakach miejskiej straży, oddanych przez dożę najmitom na czas ich pobytu w mieście.

Święty Jeździec wypytywał łąpczywie o nowiny, lecz medyk nie chciał

wiele mówić. Dlatego ranny z radością przywitał pierwszą wizytę Brenvana. Dowiedział się od niego o zwycięstwie pod Buisson, o sytuacji w Pavii i o tym, że kompania, z wyjątkiem kawalerzystów, stacjonuje teraz w mieście i pomaga w odnawianiu fortyfikacji. Spodziewano się, że jeszcze w tym miesiącu wrogowie wreszcie się porozumieją i ruszą przeciw Gedialanowi. Kashim usłyszał także, że najmici są tu przyjmowani niczym bohaterowie, a o ich zwycięstwie nad księciem de Turi krążą już pieśni, z których trzy czwarte ułożył van Dreyck. Zaczęto również plotkować o tym, jakoby w szeregach kompanii znajdował się książę krwi z potężnego zachodniego królestwa. Ta ostatnia wieść szczególnie rozbawiła Kashima.

Wkrótce po wyjściu Brenvana, któremu medyk rozkazał nie nadwierać sił rannego, Kashima odwiedził też Gedhard. Krótko, lecz po przyjacielsku oznajmił mu w kilku słowach, że za zasługi w ostatniej bitwie został podniesiony do rangi dziesiątkowego ze wszystkimi wynikającymi z tego korzyściami.

Kashima zaczęła odwiedzać także Vailana, która wróciła z dalekiego rajdu na południe. Al'Shannagg był z początku zaskoczony tym, jak bardzo ociepliły się jej uczucia, z jaką tkliwością gładziła go po głowie. Dopiero potem dowiedział się od Brenvana o męczarniach, jakie kondotierka przeżyła, gdy leżał na łożu śmierci. Teraz jednak byli już razem — z dnia na dzień coraz szczęśliwsi, jakby między zmęczonym banitą a okrytą bliznami najemniczką bardzo powoli i ostrożnie rodziło się uczucie.

*

Gdy Kashim wyzdrowiał na tyle, że mógł już swobodnie chodzić i wsiadać na konia, poszedł do Gedharda. Czuł się nieswojo, wiedząc, że był traktowany znacznie łagodniej niż każdy inny najmita i że stało się tak w dużej mierze przez kłamstwo o jego pochodzeniu. Chcąc jak najszybciej odpracować dni spędzone na łożu, poprosił o przydział. Gedhard początkowo odmawiał, tłumacząc się faktem, że Grudgerzyngerzy niewiele chwilowo mieli do roboty. Wreszcie jednak dał się uprosić, by Kashim mógł dołączyć do zwiadowczego oddziału, który co dzień przeczesywał tereny w promieniu wielu staj od miasta i wypytywał spotkanych uchodźców, szukając jakichkolwiek śladów wroga.

Wyruszyli następnego dnia o świcie, kiedy nad krainą wisiała jeszcze gęsta mgła. Do południa grupa ujechała szmat drogi, Kashim zaś cieszył się zielonym, pełnym słońca pejzażem oraz obecnością Vailany. Sielanekę jednak zepsuł wkrótce widok, jaki ukazał się ich oczom nieco po południu.

Gościńcem pełzła powoli długa kolumna uchodźców, wypłoszonych z granicy Gedialanu przez zbrojne podjazdy. Byli wymęczeni i brudni. Kobiety, słaniając się ze zmęczenia, niosły na rękach kwilące z głodu dzieci. Wielu ludzi miało osmalone ubrania i poparzone twarze, jakby cudem pouciekali z płonących wsi.

Za nimi toczyło się kilka wozów, załadowanych po brzegi okaleczonymi nieszczęśnikami. Muchy bzyczały, krążąc nad nimi ciemną chmurą, ludzie jęczeli z bólu. Wszyscy mieli poucinane dłonie i wyłupione oczy. Część ran była wypalona, część tylko przewiązana brudnymi szmatami. Do zwiadowców dotarł odór krwi i fekaliiów. Wśród wykrzywionych bólem twarzy widać było zarówno oblicza męskie, jak i kobiece — nie oszczędzono nawet starców i dzieci. Al'Shannagg nie mógł uwierzyć, że można dopuścić się takiego barbarzyństwa wobec prostych ludzi.

— To pewnie żołnierze Pavii — rzekła Vailana. — Pavianie nienawidzą Gedialańczyków od wieków, oba księstwa wprost prześcigają się w okrucieństwie.

Zbrojni zjechali na bok drogi, a wozy powoli przetoczyły się obok nich. Wielu najmitów odwróciło wzrok.

Wtem Al'Shannagg osłupiał: jego uszy wyłoniły z chaosu słowa, których się tu usłyszeć nie spodziewał. Pomyślał, że to może jakiś piekielny omam, że nie wyzdrowiał jeszcze do końca i ma zwidy za sprawą gorączki. Słowa jednak powtórzyły się jeszcze wyraźniej.

Modlitwa do Jedynego! W języku Tel'Halik!

Krew uderzyła Kashimowi do głowy, przypadł do najbliższego wozu i przechylił się nad jego burtą. Wtedy słowa rozległy się tuż przy jego uchu.

Wypowiadał je mały, skurczony człowieczek o ciemnej skórze i długiej brodzie. Siedział na wozie zwinięty w kłębek, przyciskając do brzucha spieczone żywym ogniem kikuty. Kołysał się w przód i w tył, wznosząc modły do Najwyższego i jego proroków.

Al'Shannagg, jadąc tuż obok, klepnął go lekko po ramieniu i rzekł w pustynnej mowie:

— Kim jesteś, przyjacielu? Co robisz tu, z dala od Świętego Miasta?

Mężczyzna uniósł głowę i obrócił ją na boki, jakby chciał dostrzec rozmówcę wyłupionymi oczyma.

— Ktoś ty...? Od Sahidża? — powiedział w końcu.

— Nie rozumiem cię. Przybyłem z Tel'Halik, jestem Świętym Jeźdźcem.

— Ach, więc widziałeś miasto? Widziałeś Iglicę... Jak bardzo bym chciał

choć raz... Sahidż opowiadał...

Wychudzony mnich, który powoził, odwrócił się do Kashima i rzekł:

— Zostaw go, szlachetny panie. Ból pomieszał mu rozum.

— Jeszcze tylko kilka słów — obiecał Al'Shannagg.

— Zaklinam cię, zostaw tych nieszczęśników. Wielu z nich wkrótce umrze, niech choć ostatnie chwile spędzą w pokoju.

Al'Shannagg zignorował kapłana i spytał:

— Kim jest twój Sahidż? Czy nie mieszkałeś kiedyś w Tel'Halik?

— Nie... Jak bym chciał, na Jedynego... Ale nie... Zszedłem na południe z wysokich gór... dziesięć lat temu... Pokłóciłem się z resztą rady... Dlatego znalazłem inny dom.

— Na południe? A więc skąd pochodzisz?

— Daleko za ziemiami tych... których zwie się Wetami... wśród szczytów założyliśmy osadę... wierną pierwszym prawom... Śniegi są niemal jak pustynia...

Mężczyzna zakaszłał tak mocno, że jego wątłe ciało aż podskoczyło na wozie.

— Z nami ci, co przeszli... na drugą stronę... za bramę...

Powiedziawszy te słowa, skulił się i położył na dnie wozu.

— Poczekaj, przyjacielu! — krzyknął Kashim, chwytając go za ramię. — Błagam cię, powiedz więcej! Na Jedynego, to ważne!

Człowiek nie odezwał się jednak, a mnich spojrzał na Al'Shannagga karcąco. Święty Jeździec ściągnął cugle i patrzył, jak wóz się oddala. Teraz myślał już tylko o słowach nieznajomego, dźwięczących mu w głowie niczym dzwon.

„Za ziemiami tych, których zwie się Wetami. Wśród gór założyliśmy osadę”.

Zaraz zrozumiał, że drugi fragment jest jeszcze bardziej niesamowity i mógł znaczyć coś trudnego to wyobrażenia. „Z nami ci, co przeszli na drugą stronę, za bramę”.

„Ci, co przeszli za bramę”.

W tym momencie przy Kashimie zjawiała się Vailana.

— Dobrze się czujesz? Czy to ktoś z twojej krainy?

— Tak — rzekł Kashim cicho.

— Współczuję ci. To straszne widzieć rodaka w takim stanie.

Al'Shannagg kiwnął głową i zawrócił wierzchowca. Do końca dnia myślał już tylko o jednym i nie odezwał się do towarzyszy ani słowem.

*

Gdy pod wieczór patrol wrócił, okazało się, że cały Gedialan jest wzburzony. Ludzie wylegli na ulice, zbierali się na rogach i placach. Całe huczało od plotek. Zorganizowano nawet specjalne spotkanie miejskiej rady, w którym uczestniczył Gedhard, wszyscy zaś posłańcy, jacy tylko byli dostępni, natychmiast ruszyli z listami do sąsiednich księstw.

Do brzegów zbliżała się yaurańska armada!

Flota była tak liczna, że świat podobnej jeszcze nie widział. Pierwszy napotkał wrogie statki kapitan wojennej karaweli i opowiadał potem, że z początku myślał, iż tuż nad horyzontem zawisła jakaś biała, niska i długa chmura. Dzień był jednak całkiem słoneczny i wiał lekki wiatr, który z pewnością rozgoniłby zwykłe opary. Gdy wreszcie kapitan spojrział przez lunetę, okazało się, że to nie chmura, lecz wielkie, kwadratowe żagle yaurańskich galer. Ciągnęły się prawie tak szeroko jak horyzont i kapitan naliczył ich ponad setkę, nim wydał rozkaz, by natychmiast zawrócono do portu. Płynął najszybciej, jak się dało, wykorzystując każdy węzeł przewagi swojego statku nad ciężkimi okrętami Cesarstwa.

Spodziewano się, że najdalej w pięć dni flota przybije do brzegów.

Al'Shannagg ledwo słuchał, jak podekscytowani Brenvan i van Dreyck opowiadali mu o tym, przekrzykując się jeden przez drugiego. Zaszył się w swojej komnacie i nie wychodził stamtąd do wieczora.

Gdy słońce zaszło, na ulicach zrobiło się nieco luźniej, lecz wciąż było tam znacznie więcej ludzi niż zwykle. Święty Jeździec wysunął wtedy głowę za drzwi komnaty, a zobaczywszy, że baraki są niemal puste, ruszył sprężystym krokiem w stronę wieży, w której mieścił się tymczasowy gabinet kapitana Gedharda van Eiser.

Szczyście dopisało Kashimowi. Dowódca kompanii był akurat u siebie, pochylony nad ciężkim biurkiem. W świetle świec pisał jakieś listy, a wokół było rozrzuconych wiele dokumentów oraz dopiero co odpieczętowane tuby pocztowe.

— Tak? O co chodzi? — spytał zimno kapitan.

— Pamiętasz, jak opowiadałem ci o moim kraju? O tym, że jestem wygnańcem, o tym, że szukam prawdy?

Gedhard skinął głową i odsunął na bok dokument oraz pióro z kałamarzem. Do tej pory myślał, że chodzi o jakąś prozaiczną sprawę, lecz pełen napięcia ton głosu obcokrajowca oznaczał coś innego.

— Dzisiaj prawda przysłała do mnie sama. Napotkaliśmy z Vailaną

człowieka, uciekiniera, który należał do mej rasy, a jednak nie przyjechał z moich ziem. On mi powiedział... Powiedział coś wielkiej wagi. Kapitanie, wiem, że ta kampania się skończyła, a w obliczu nowego wroga Pavia i wszystkie inne miasta zawrą sojusz. Mówił mi już o tym Brenvan. Przeto chciałem prosić... Wiem, że to wbrew kontraktowi, ale muszę prosić, by kapitan zwolnił mnie ze służby. To sprawa niezwykłej rangi. Sprawa, od której mogą zależeć losy mego ludu. Jestem gotów zrzec się całego żołdu...

Nastała cisza. Gedhard lustrował obcokrajowca uważnie, jakby próbował poprzez jego kamienną, śniadą twarz dotrzeć do głębi duszy. Miał groźnie zmarszczone czoło i Al'Shannagg nabrał szybko pewności, że kapitan odmówi.

Odpowiedź jednak była zgoła inna.

— Zatrzymasz to, coś do tej pory zarobił. Co do miedziaka, bo zasłużyłeś. Odejdź wszelako tak, by nikt cię nie widział, najlepiej jeszcze dzisiaj w nocy. To byłby zły przykład. Ja coś wymyślę.

Al'Shannagg opuścił głowę. Wstydził się, że porzuci w ten sposób kompanię. I to teraz, gdy znów znalazł miejsce, które mógł nazwać domem, i gdy znalazł kolejną kobietą, z którą gotów był spędzić życie.

Gedhard wstał, podszedł do Kashima, uścisnął mu prawicę i klepnął go po ramieniu.

— Idź już. Byłeś dobrym żołnierzem. Jeśli kiedyś zechcesz wrócić, przyjmę cię od razu jako dziesiętnika. A teraz jedź szukać swojej... prawdy.

Kashim odwzajemnił uścisk. Potem skłonił się głęboko i wyszedł bez słowa, bo i za bardzo nie wiedział, co mógłby powiedzieć.

Ruszył do swojej komnaty przygotować rzeczy do drogi. Kiedy był już gotów, chwilę zastanawiał się, czy nie pożegnać najbliższych przyjaciół. Ze smutkiem uznał jednak, że nie przyniosłoby im to nic prócz bólu. Gdyby zobaczył Vailanę, istniała spora szansa, że nie zdoła już odjechać. A nawet gdyby zdołał, ona, Brenvan i van Dreyck postanowiliby ruszyć jego tropem, Al'Shannagg zaś nie chciał tego. Choć już teraz, idąc długimi schodami w stronę stajni, czuł bolesny uścisk samotności, nie mógłby narazić ich na niebezpieczeństwa kolejnej szalonej wyprawy. Tym bardziej, że gdy leżał w malignie, powróciły do niego wizje, tym razem dokładniejsze niż przedtem i pełne szczegółów, które napawały strachem.

*

Niedługo potem Gedhard patrzył z okna wieży, jak Al'Shannagg odjeżdża powoli ulicą. Odgłos kopyt niósł się daleko nad miastem, odbijał od

ścian kamienic, aż w końcu cienie pochłonęły samotnego jeźdźca. Kapitan został sam, zastanawiając się, dlaczego też zgodził się puścić tego człowieka. Dlaczego coś w jego hartowanym przez długie lata sercu drgnęło, gdy zobaczył na twarzy obcokrajowca determinację graniczącą z obłędem? Mógł przecież powiedzieć prawdę — że miasto bynajmniej nie zwolniło Grudgeryngerów, przeciwnie, mieli teraz przystąpić do wojny jeszcze bardziej niebezpiecznej, więc każdy człowiek był na wagę złota. Jednakże z jakichś dziwnych przyczyn podobne słowa nie przeszły kapitanowi przez gardło. Zgodził się, choć wciąż jeszcze nie rozumiał dokładnie dlaczego.

Tak czy inaczej, wygnaniec z dalekiego kraju zniknął z życia Gedharda równie szybko i niespodziewanie, jak się pojawił. Van Eiser uśmiechnął się w myśli, po czym wrócił do dokumentów oraz szpiegowskich raportów. Już nigdy nie zobaczył Kashima, podobnie jak reszta kompanii. Choć Gedhard nie mógł o tym wiedzieć, wojna na południowych ziemiach miała być ostatnią kampanią w historii Grudgeryngerów.

*

Al'Shannagg jechał w stronę bramy z nisko opuszczoną głową. Oto znów był sam, znów został bez domu i przyjaciół, bo Brenvana i Vailany nie mógł przecież wyciągnąć z kompanii. Jego przygnębienie było tak głębokie, że postać stojącą na środku ulicy dostrzegł dopiero, gdy znalazł się kilkanaście kroków od niej.

— Mężczyźni zawsze tak robią — rozległ się dźwięczny kobiecy głos. — Do łóżnicy, a potem za drzwi. Jużem się przyzwyczała, lecz myślałam, że książęta mają lepsze maniery.

— Widziałaś mnie?

— Więcej nawet. Słyszałam twoją rozmowę z Gedhardem. Gdy zobaczyłam, jaki jesteś nieswój, śledziłam cię od powrotu do miasta. Wybacz, martwiłam się.

Kashim zeskoczył z konia i podszedł do Vailany.

— Nie możesz ze mną iść — rzekł twardo. — Wielu już próbowało i nikt nie wyszedł na tym dobrze. Ze mną nie będziesz miała przyszłości...

Vailana zacisnęła mu dłoń na ramieniu.

— A myślisz, że jaka to świetlana przyszłość czeka mnie bez ciebie? Prędej albo później legnę martwa na polu bitwy, przywalą mnie inne trupy, zmiażdżą kopyta rumaków. Potem zarośnięci knechci obedną mój zewłok z ubrania, zabawią się nim nieprzystojnie, cisną w płytki grób. Nie mam złudzeń, Kirajczyku. Taki jest los najmity, a ja wybrałam go z pełną

świadomością.

— Nieprawda, na Jedyne! Widziałem cię pod Buisson. Przeżyjesz jeszcze wiele wypraw, a gdy będziesz mieć wystarczająco dużo złota, odejdiesz. Zasyjesz się wśród learfeldzkich wsi, kupisz sobie dom.

— I co? — Kondotierka roześmiała się. — Widzisz mnie jako panią domu? Jako gospodarza na włościach? Nawet jeśli... Jeśli kupię duży dom, trochę ziemi, najmę służbę, jeśli zdzierzę przytyki i nienawiść sąsiadów... Cóż będę miała, prócz gorzkich lat samotności? Kto bowiem poślubi najmitkę o ciele porytym dziesiątkami blizn? Kobietę, która nurzała ręce po łokcie we krwi, która ma na sumieniu tylu zgładzonych ludzi, która budzi się co noc z krzykiem? Zła to partia dla szlachcica, zła dla mieszczucha, a tym bardziej dla bogobojnego prostaczka...

— Jeśli pójdziesz ze mną, zginiesz.

— Śmierć to naturalny porządek rzeczy. Jakoś od dziesiątego roku życia wiedziałam, że umrę młodo. Idę z tobą — za zgodą lub bez.

— Będziesz dezenterką.

— Myślisz, że van Eiser spróbuje mnie ścigać? Dobre sobie!

Kashim zacisnął zęby i dłuższą chwilę stał bez ruchu. Wreszcie odetchnął głęboko, przyciągnął do siebie Vailanę. Pocałował ją — sucho, krótko, niemal ceremonialnie.

— Wskakuj na konia — rzekł. — Nie powinniśmy tracić czasu.

I ruszyli w dół ulicy — do Bramy Praczek, która widniała już daleko przed nimi, odbijając światło księżycy od świeżych, stalowych okuć. Vailana jechała z twarzą rozjaśnioną. Była szczęśliwa, że ruszy na poszukiwanie przygód u boku ukochanego. Kashim zaś opuścił głowę i tylko przez to, że ulica była całkiem ciemna, Vailana nie dostrzegła, jak bardzo Święty Jeździec zbladł.

Wiedział, że w miarę jak zstępują po srebrzystej ścieżce z wyslizganych kamieni, na których pobłyskiwał księżyc, kondotierka zbliża się do własnej śmierci. Śmierci, którą Al'Shannagg widział od pewnego czasu, wraz z wizją własnego zgonu.

*

Miękki szelest bosych stóp niósł się daleko przez puste, ciche korytarze. Płynęła przez nie zjawa w białej szacie. Jej czarne niczym inkaust włosy, długie i skręcone szpony oraz sine powieki sprawiały, że w dziwny sposób zdawała się pasować do ciemnych, ponurych ścian. Wydawało się, że to upiór krąży po opuszczonych korytarzach czegoś, co niegdyś było jego

domem, a teraz popadło w ponurą ruinę. Lecz Eyul nie była upiorem, forteca zaś nie była ruiną.

Lewą ścianę korytarza, przez który szła, ozdobił długi rząd wrót. Korytarz był lekko zaokrąglony, obiegał bowiem dookoła centralną salę fortecy — tak wielką, że jej tytanicznej kopuły nie sięgnęłyby strzały wypuszczone przez najbardziej krzepkiego łucznika. Wszystkie wrota, zrobione ze srebrzystego metalu, były zawarte i zaryglowane.

Eyul próbowała sobie przypomnieć, co znajduje się za kolejno mijanymi skrzydłami. Nie było to proste, wielu nie otwierała od stuleci, a były i takie, których nie odpieczętowano nigdy. Wiedziała, że za właśnie mijanymi były wiszące ogrody, tak ukochane przez Saari. Dalej — ponury świat ognia, gdzie nie dało się przeżyć nawet sekundy bez potężnej magii. Potem — latające wyspy, które płynęły wiecznie przez bordowy przestwór. Kolejne drzwi — gęsta próżnia, pożerająca łąpczywie każdy promień światła. Tę próżnię badał przez długie lata Beliar, niemal tracąc przez to rozum.

Przed następnymi wrotami Eyul zatrzymała się i czule pogładziła zimne, masywne rygle. Za nimi rozpościerała się stracona kraina, już pogrążona w wojnie, a stojąca u progu wojny jeszcze większej. Bogowie zmagali się tam między sobą, u ich stóp walczyli ludzie oraz boskie potomstwo. Nad wszystkim zaś wisiał cień zguby, przybliżający się z każdym dniem.

Tam właśnie musiała iść.

Wiedziała, że nie może stanąć z boku i czekać, aż wszystko się samo rozstrzygnie. To, co musi się wydarzyć, prędzej czy później i tak pociągnęłoby ją za sobą, niczym morze rozpędzone przez szalejący wicher. Dlatego rzuciła ostatnie, pożegnalne spojrzenie na korytarze fortecy między światami, którą zbudował dzieciom sam Wielki Architekt. Potem otworzyła drzwi i przekroczyła próg, niknąc w jasnym świetle.

Tak oto ostatnie z Tuzina porzuciło swoje lenno i zamiast niego wybrało ludzki świat. Świat, który wkrótce miał się zatrzęść w posadach.

KONIEC TOMU DRUGIEGO

Już wkrótce:

Krzysztof Piskorski - Cienioryt

Urok siedemnastowiecznych zaułków, nonszalancja oraz tempo opowieści spod płaszcza i szpady, tajemnice rodem z książek Arturo Pereza-Reverte oraz odrobina magii tak charakterystyczna dla literatury iberoamerykańskiej. Wszystko to składa się na Cienioryt, nową powieść Krzysztofa Piskorskiego, jednego z najzdolniejszych twórców polskiej fantastyki.

W portowym mieście południa, Serivie, każdy cień jest oknem do groźnej i niezbadanej cieńprzestrzeni, w której tunele ryją adepci tajemnych sztuk. Sześciu grandów walczy o wpływy trucizną, zdradą i stałą, małoletni król z trudem trzyma się przy władzy, a inkwizycja rośnie w siłę.

Ale to wszystko sprawy, które trudno obserwować z okna małej izby przy ulicy Alaminho, gdzie mieszka Arahon Caranza Martinez Y'Grenata Y'Barratora, doświadczony nauczyciel szermierki. Arahon pragnie jedynie zapewnić bezpieczeństwo bliskim i odłożyć dość pieniędzy, by opuścić miasto. Przynajmniej do czasu, gdy w jego ręce wpada cienioryt — wypalony na szkłe obraz przedstawiający tajemniczą postać...

*

Cienioryt to nie tylko bogata, pięknie napisana powieść, pełna zaskakujących zwrotów akcja, ale także galeria bohaterów, którzy na długo pozostają w pamięci.

W Serivie cień potrafi rzucić człowieka, odległe o wiele mil drzwi mogą się łączyć, zwykły uścisk dłoni przynosi czasem tragiczne skutki, a słońce ma czarnego brata bliźniaka. Podróż do tego miejsca to niezapomniane przeżycie. Szczególnie w towarzystwie tajemniczego narratora powieści.

Cienioryt Krzysztofa Piskorskiego to literacki dwupak: porywająca przygoda w konwencji płaszcza i szpady, a zarazem światotwórstwo najwyższej klasy, dobrze przemyślane i — co rzadkie — odbijające się w samym sposobie poprowadzenia fabuły. Ten świat tak łatwo wciąga czytelnika, a światłocieniowy koncept Piskorskiego prędko wydaje się naturalny i oczywisty, być może dlatego, że został oparty na najdawniejszych intuicjach ludzkości: w cieniu kryć może się wszystko, a każdy człowiek ma swojego czarnego bliźniaka, cień jego myśli, czynków i snów.

Jacek Dukaj

Po lekturze Cieniorytu Krzysztofa Piskorskiego wyrażenie „bać się własnego cienia” nabiera nowego, mrocznego znaczenia. Świetnie napisana opowieść fantasy, barwny świat, ciekawi bohaterowie i język ostry jak klinga rapiera. Polecam.

Tomasz Majewski - lekkoatleta, Mistrz Olimpijski w pchnięciu kulą

Strona redakcyjna

Copyright © by Krzysztof Piskorski

Skład i korekta: Paweł Dembowski

Ilustracja na okładce: Carl Friedrich Lessing

Projekt graficzny okładki: Mariusz Cieśla

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

ISBN 978-83-937597-3-6

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>

Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział 1. Dotyk słońca](#)

[Rozdział 2. Tajemnica](#)

[Rozdział 3. Żmije i szczury](#)

[Rozdział 4. Kraniec świata](#)

[Rozdział 5. Dłoń proroka](#)

[Rozdział 6. Śmierć w podziemiach](#)

[Rozdział 7. Marovia](#)

[Rozdział 8. Ogień wojny](#)

[Rozdział 9. Zwierzyna i łowcy](#)

[Rozdział 10. Syn śmierci](#)

[Rozdział 11. W krainie martwych bogów](#)

[Rozdział 12. Learfeld](#)

[Rozdział 13. Caerleighmarch](#)

[Rozdział 14. Najdłuższa z zim](#)

[Rozdział 15. Ogień w Tel'Halik](#)

[Rozdział 16. Stłuczone zwierciadło](#)

[Rozdział 17. Znów w drodze](#)

[Rozdział 18. Spotkanie](#)

[Rozdział 19. Najmici](#)

[Rozdział 20. W Południowych Księstwach](#)

[Rozdział 21. Człowiek z wysokich gór](#)

[Już wkrótce:](#)

[Krzysztof Piskorski - Cienioryt](#)

[Strona redakcyjna](#)